

NOWY KANON

HENRY
JAMES
OPOWIADANIA
NOWOJORSKIE

Z PRZEDMOWĄ
COLMA TÓTBINA

W
ab
Two

Henry James

Opowiadania nowojorskie

Przełożyła Barbara Kopec-Umiastowska

[Przedmowa](#)

[Historia pewnego arcydzieła](#)

[Niezwykły przypadek](#)

[Stałość Crawforda](#)

[Epizod międzynarodowy](#)

[Plac Waszyngtona](#)

[Impresje kuzynki](#)

[Niezły narożnik](#)

[Krepowa Cornelia](#)

[Runda wizyt](#)

[Przypisy](#)

PRZEDMOWA

Nowy Jork Henry'ego Jamesa

Henry James właściwie już na samym początku literackiej kariery wyraźnie określił swoje stanowisko. Nie zamierzał być pisarzem zaangażowanym ani komentatorem społecznym – zamierzał wnikać pod podszewkę zjawisk, badać zawilości i kaprysy uczuć w związkach między ludźmi, a zwłaszcza między mężczyznami i kobietami. Ale uporczywe motywy twórczości Jamesa, takie jak chciwość i obłuda, rozczarowanie i wyrzeczenie, pojawiały się także w prywatnej sferze jego życia; i to za sprawą jego talentu sfera ta wydaje się dzisiaj bardziej dramatyczna i rozleglejsza niż wszelka przestrzeń zamieszкана przez władzę lub biznes.

Sam James był postacią skomplikowaną, niejednoznaczną i tajemniczą; wiele nurtujących go problemów najwyraźniej nie doczekało się rozstrzygnięcia. Osobowość pisarza, podobnie jak styl jego późnej prozy, należały do świata, w którym nic nie da się łatwo nazwać, niuans jest bardziej namacalny od faktu, a migotanie świadomości ciekawsze niż konkretna wiedza. James, nade wszystko, był powściągliwy. Jako artysta absolutny, w literaturze eksplorował głównie architekturę i ton; specjalizował się w tym, co rozważne, przemyślane i poddane kontroli, i bynajmniej nie pragnął obnażyć przed czytelnikiem duszy.

Niemniej, czytając między wierszami utworów Jamesa w poszukiwaniu wskazówek, można wychwycić momenty, w których autor jest bliski zdjęcia maski. Niektóre opowiadania, pisane w pośpiechu i dla pieniędzy, być może zdradzają więcej, niż zamierzał. Częściej niż w powieściach zdarzają się tu pęknięcia w ciężkiej zbroi, chroniącej seksualność pisarza, na mgnienie oka ukazujące jego najgłębsze i najmroczniejsze obawy. Takie opowiadania to między innymi *Wychowanek*¹, *Bestia w dżungli*² oraz *Autor „Beltraffia”*³ – historie ostrożne i wyważone, które jednak wyraźnie dowodzą, że tematy zakazanej miłości czy chybionej lojalności nadzwyczaj Jamesa interesowały, podobnie jak problem oziębłości płciowej.

A zatem możliwe jest wyśledzenie wysiłków Jamesa – niekiedy nieświadomych i bezwiednych, najczęściej jednak całkiem celowych – aby ukryć i jednocześnie zgłębić kwestie dlań istotne, lecz kłopotliwe. Na przykład, idąc tropem zawartych w jego bogatej spuściznie odniesień do Anglii, Irlandii, brata – Williama – czy powieściopisarki George Eliot, można odkryć spore obszary wahań i niejednoznaczności, a także dziwnie sprzeczne tezy, dowodzące, że sprawy te były dla Jamesa bardzo ważne, tak ważne, że pojawiają się w wielu odsłonach i przebraniach.

Pierwszorzędnym przykładem takiego obszaru, którego granice pozostały zatarte, a topografia nieokreślona, jest Nowy Jork. Utwory Jamesa o Nowym Jorku ujawniają przede wszystkim gniew, niepodobny do żadnego innego Jamesowskiego gniewu, gniew wywołany tym wszystkim, co mu odebrano – jak postąpiono, w imię komercji

i materialnego postępu, z miastem, które kiedyś znał. Nie jest to wszakże zwykły gniew z powodu destrukcji rzeczy pięknych i znajomych; to uczucie znacznie dziwniejsze i bardziej skomplikowane, zasługujące na większą uwagę.

Wspomnienia z pierwszych czternastu lat życia pisarza, *A Small Boy and Others* [Mały chłopiec i inni], które sześćdziesięcioośmioletni James opublikował w roku 1913, rok po śmierci swego brata Williama, odznaczają się intensywną drobiazgowością. Większość z przywołanych tam widoków i scen rozgrywa się w Nowym Jorku lat 1848–1855, w okresie między sprowadzeniem się rodziny Jamesów do miasta a ich wyjazdem do Europy. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że autor nie dysponował zapiskami, listami ani pamiętnikami z tego czasu, zaskakująca jest świeżość i szczegółowość reminiscencji, liczba zapamiętanych nazwisk – między innymi nauczycieli i aktorów – wyrazistość, z jaką oddane są miejsca i nastroje, precyzyjne opisy zapachów, widoków i wydarzeń, w tym licznych przedstawień i spektakli w nowojorskich teatrach owej epoki. „Nie utraciłem nic z tego, co widziałem – notowałem – i chociaż teraz nie bardzo potrafię rozdzielić całość na poszczególne zdarzenia, rozmaite sytuacje, o dziwo, przychodzą do mnie całymi chmurami”.

Wydaje się, że Nowy Jork, który pisarz oglądał między piątym a dwunastym rokiem życia, pozostał w jego pamięci znieruchomiały, zastygły, doskonały. Nie przyglądał się zachodzącym w mieście zmianom, nie uczestniczył w jego rozwoju. Ukształtowany przez ten kawałek świata, nigdy nie potrafił już znaleźć miejsca, które mógłby nazwać tak fundamentalnie swoim; aż do roku 1897, kiedy podpisał umowę dzierżawy Lamb House w angielskim mieście Rye, nie posiadał żadnego domu na własność. Zabrano mu Nowy Jork, lecz w zamian nie dano nic oprócz pokoi hotelowych i tymczasowych mieszkań – ten fakt być może tłumaczy niemal obsesyjny entuzjizm, z jakim dążył do objęcia Lamb House, oraz ulgę, gdy mu się powiodło. W rzeczy samej, na rok przed kupnem tej posiadłości napisał powieść *The Spoils of Poynton*, dramatyczną historię zdobycia i utraty ukochanego przez bohatera domostwa; a zaraz po podpisaniu aktu notarialnego stworzył *W kleszczach lęku*⁴, powieść o samotnym człowieku, usiłującym zamieszkać w domu, który jest już zajęty.

Nowy Jork po 1855 roku był dla niego stracony nie tylko dlatego – co uświadomił sobie po wielu latach – że jego ojciec postanowił zabrać stamtąd rodzinę, lecz także z powodu przemian metropolii, nieodwracalnych i przytłaczających. W mieście jego marzeń powstawał nowy świat – w mieście, gdzie ukochał przede wszystkim okolice domu pod numerem 58 przy Fourteenth West Street, który ujrzał pierwszy raz, „towarzysząc ojcu podczas popołudniowej wizyty w jednej z tamtejszych lekko już spatynowanych rezydencji po stronie południowej, w pobliżu Szóstej Alei. To był «nasz» dom, niedawno kupiony... miejsce, które na bardzo długo miało stać się dla mnie jakby kotwicowiskiem duszy”.

Nowy Jork Henry’ego Jamesa, kraj lat dziecińczych, „niewielki, ciepły, zamglony, jednorodny Nowy Jork połowy stulecia”, rozciągał się między Piątą i Szóstą Aleją, od placu Waszyngtona – gdzie mieszkała jego babka po kądzieli – na wschód aż do Union Square, wówczas jeszcze otoczonego wysokim ogrodzeniem. W pobliżu zamieszkiwali

członkowie rozległej rodziny Jamesów, między innymi Helen, kuzynka matki pisarza. „Dostrzegałem w niej moc i prostotę wcześniejszego, spokojniejszego świata; Nowego Jorku lepszych manier, lepszych obyczajów i bardziej szczerych przekonań” – wspominał James, odnotowując: „Jej dobroć w pewien sposób świadczy o poziomie całej społeczności, wyjątkowym skupisku cnót osobistych”. Jego wspomnienia stały się zatem elegią nie tylko dla utraconego dzieciństwa, lecz także dla zbioru wartości, który uległ erozji z chwilą, gdy niewielkie miasteczko, po którym mógł swobodnie krążyć, przeobraziło się w wielką metropolię. „Jakże charakter – wzdychał, widząc zachodzące w mieście zmiany – zatraca się w ilości”.

W miarę jak James dorastał, pozwalano mu zapuszczać się coraz dalej. Pamiętał anasz dom przy Fourteenth Street [...] a za nim topole, prosiaki, kury oraz dwie lub trzy „chatki irlandzkie”, graniczące z bardzo pięknym holenderskim domem, ostatnim w szeregu, niemal wśród ogrodów i zagajników – miejsce, gdzie oddech przestrzeni wciąż był wyczuwalny dzięki rozmiarom posesji i luźnej zabudowie; niemal zupełny brak tych walorów sprawia, że obecny wygląd Nowego Jorku cechuje powszechna klęska „stylu”.

Razem z bratem wędrowali po Broadwayu „niczym doskonali mali światowcy; zapewne puszczano nas, byśmy rozprostowali kości i przewietrzyli płuca, co nie miało wpływu na swobodę naszych przyjąć i wyjść wcześniej lub później... Broadway musiał wówczas przypominać ścieżkę w rajskim ogrodzie”.

W owym mieście, połączeniu zapamiętanego raj i klęski stylu, James osadził akcję ośmiu opowiadań i jednej powieści; również znaczna część jego książki *American Scene* [Scena amerykańska], o kilka lat poprzedzającej autobiografię, poświęcona jest Nowemu Jorkowi. W utworach beletrystycznych nie zamierzał jednakże kreślić historii miasta ani uczuć, jakie budził w nim jego rozwój; wszelkie wzmianki o stosunku autora do metropolii poczynione są jakby mimochodem. Na pierwszym planie znajdują się postacie bardziej rzeczywiste, o potrzebach pilniejszych niż wapno i cegły.

*

W miarę jak poszerzały się jego pisarskie horyzonty i ambicje, Henry James stawał się wręcz wyjątkowo wyczulony na nikłość amerykańskiego doświadczenia. Słynny jest spis umieszczony w książce o Hawthornie z roku 1879, wyszczególniający wszystko, czego nie ma w życiu Amerykanów: Nie ma monarchy, nie ma dworu, nie ma osobistej lojalności, nie ma kościoła, nie ma kleru, nie ma armii, nie ma służby dyplomatycznej, nie ma ziemiaństwa, nie ma pałaców, nie ma zamków, nie ma posiadłości, nie ma starych wiejskich domów, nie ma plebanii, nie ma chat krytych strzechą, nie ma obrośniętych bluszczem ruin; nie ma katedr, nie ma opactw, nie ma normańskich kościółków; nie ma wielkich uniwersytetów, nie ma szkół publicznych – Oksfordu, Eton ani Harrow; nie ma literatury, nie ma powieści, nie ma muzeów, nie ma obrazów, nie ma klasy politycznej, nie ma sportowców.

Jednakże osiem lat wcześniej pisał w liście do Charlesa Nortona Eliota: „Być Amerykaninem to skomplikowany los, z którym wiąże się między innymi obowiązki

zwalczania zabobonnych ocen Europy”.

James poruszał się zatem w szczelinie między Ameryką jako nietkniętą przez tradycję ziemią jałową oraz Ameryką jako wielką szansą dla powieściopisarza, którego fascynuje złożoność świata. Dlatego też w pierwszym opowiadaniu nowojorskim, *Historia pewnego arcydzieła*, opublikowanym przez pismo „Galaxy” w roku 1868, gdy autor miał lat dwadzieścia pięć, jego bohater może być człowiekiem wybrednym, a miasto – miejscem, gdzie taki człowiek ociera się o artystów, z których jeden namaluje „najlepszy portret, jaki powstał w Ameryce”. Tu i ówdzie James zaczyna prezentować również swój pogląd na kobiety jako osoby nie zawsze godne zaufania oraz na miłość jako utratę równowagi. We wspomnianym opowiadaniu malarzowi udaje się przedstawić prawdziwą naturę bohaterki, Marian Everett, i z tego powodu ubiegający się o jej rękę John Lennox musi zniszczyć obraz. Recenzent tygodnika „The Nation” pisał z uznaniem: „W wąskich granicach, jakie sobie wyznaczył, pan James [...] pisze najlepsze opowiadania w Ameryce”.

James stworzył przedtem zaledwie sześć opowiadań. Dwa najobszerniejsze, *The Story of a Year* [Historia pewnego roku] oraz *Poor Richard* [Biedny Richard], były pokłosiem wojny secesyjnej, a dokładniej relacji między mężczyznami, którzy walczyli na wojnie, i kobietami, które zostały w domu. Dziewiąte z kolei opowiadanie, *Niezwykły przypadek*, wydrukowane w „The Atlantic Monthly” w kwietniu 1868 roku, jest dramatycznym rozwinięciem tego samego tematu.

Historia rozpoczyna się „na poddaszu jednego z wielkich nowojorskich hoteli”, w „obskurnej klitce”, zajmowanej przez rannego na wojnie secesyjnej Masona, którego dolegliwości, aczkolwiek poważne, nie są do końca sprecyzowane. To jedno z tych opowiadań nowojorskich Jamesa, w których protagonista bezwzględnie musi opuścić miasto – czuje się tu zbyt samotny, zbyt niezdrowy albo jest mu zwyczajnie za gorąco. Pisarz po prostu nie wyobraża sobie, że ktoś mógłby wyzdrowieć z jakiegokolwiek choroby w mieście, które on sam utracił, toteż Mason rychło zostaje przeniesiony do podmiejskiej posiadłości nad rzeką Hudson. Na uwagę, że panna Hofmann, siostrzenica gospodyni, „wygląda, jakby wyszła z jakiejś amerykańskiej powieści, choć nie jestem pewien, czy to wielki komplement”, Mason odpowiada: „A zatem honor nakazuje [...], byś umieścił ją w innej”. Bohaterka ta jest godna wzmianki także dlatego, że odnosi się do niej najbardziej nieamerykańskie zdanie w dotychczasowej karierze Jamesa: „Obecnie miała lat dwadzieścia sześć i była piękną, starannie wykształconą młodą damą *au mieux* ze swoim bankierem”.

Jako rozwijający się pisarz, James był poważnie *au mieux* ze sceną zyskania świadomości, w której postronny obserwator, patrząc na postacie, dedukuje z gestów, ruchów i chwil milczenia, co się między nimi dzieje. Taka jest dramaturgiczna oś jego powieści *Portret damy*⁵ oraz *Ambasadorowie*⁶ – zamysł po raz pierwszy zastosowany w *Niezwykłym przypadku*, napisanym, kiedy autor miał dwadzieścia pięć lat. Mason, dochodzący do zdrowia pod opieką zdolnego lekarza, wchodzi do pokoju, gdzie panna Hofmann zasiada przy fortepianie, i widzi, że „jakiś dżentelmen, wsparty o wieko, stoi zwrócony plecami do okna, zasłaniając przed wzrokiem Masona jej twarz [...].

Panowało nienaturalne, wręcz przykre milczenie”. Ostatecznie rękę panny Hofmann zdobywa wspomniany lekarz; pod koniec opowieści Mason, zauważywszy, że tych dwoje wymienia „pełne treści spojrzenie”, ponownie zapada na zdrowiu, a świadomość głębokiej więzi między nimi przyspiesza jego śmierć.

W historii tej, podobnie jak w *The Story of a Year*, ujawnia się zainteresowanie Jamesa problematyką chorób i zranień, któremu autor da wyraz w wielu późniejszych utworach, poczynając od przypadku Ralpha Touchetta w *Portrecie damy*, po Milly Teale w *Skrzydłach gołębic*². Mason, podobnie jak Oliver Wendell Holmes, zostaje ranny w wojnie secesyjnej, okazuje się jednak, że jego wyzdrowienie jest uzależnione od szczęścia osobistego. Nieodwzajemnione uczucie powoduje śmiertelny nawrót choroby – w świecie wczesnego Jamesa wciąż jeszcze można było umrzeć z miłości. Opowiadanie *Niezwykły przypadek* zdobyło uznanie również brata Henry’ego, Williama, który był najsurowszym krytykiem w całej karierze autora. „Twój styl – ocenia w liście William – w miarę pisania staje się swobodniejszy, pewniejszy, bardziej zwięzły [...] cała historia nabiera jasności i blasku”.

Stać się Crawforda, kolejne opowiadanie nowojorskie, ukazało się w miesięczniku „Scribner’s Monthly” w sierpniu 1876 roku, kilka miesięcy przed przeprowadzką Jamesa z Paryża do Londynu. Za utwór ten oraz za *The Ghostly Rental* [Upiorny najem] zapłacono mu trzysta dolarów. „Niedawno wysłałem Scribnerowi dwa drobiazgi – pisał autor do ojca w kwietniu 1876 roku z mieszkania przy Rue du Luxembourg – które ujrysz w druku i, mam nadzieję, ocenisz zgodnie z ich aspiracjami, które są bardzo niewielkie”. *Stać się Crawforda*, opowieść, której James za życia nie zamieścił w żadnym tomie, gra na elegijnej, wspomnieniowej strunie dzięki sugestii, że akcja rozgrywa się w latach czterdziestych XIX wieku. Na przykład, gdy Crawford z narratorem przechadzają się po sielskich obrzeżach miasta, ten ostatni nadmienia, że „w owych czasach nowojorczyki mogli chodzić na spacer na wieś”. Crawford „w owych czasach” był majątnym człowiekiem, zamierzającym poślubić piękną, lecz niemającą grosza przy duszy pannę Ingram, która zawsze budziła w narratorze „niejasne uczucie nieufności”. Panna Ingram odrzuca konkurenta, ale następnie zapada na ospę wietrzną, po czym James pozwala narratorowi na wysoce niesmaczny komentarz: „Kilka miesięcy później ujrzałem na ulicy dziewczynę spowitą gęstą czarną woalką, pod którą ledwie rozpoznałem całkowicie zrujnowaną twarz. Szła między ojcem i matką, których oblicza były prawie tak samo zniszczone jak jej własne”.

Crawford wkrótce po odrzuceniu popełnia megalomanię, traci cały majątek i w końcu pada ofiarą własnej żony – zepchnięty przez nią ze schodów łamie nogę. Narrator nie może uwierzyć, by kiedykolwiek do niej wrócił, Crawford jednak – podobnie jak Isabel Archer w powieści *Portret damy*, którą James zaczął pisać kilka lat później – postanawia wytrwać w małżeństwie, odrzucając szansę łatwej wolności.

*

Epizod międzynarodowy, stanowiący coś w rodzaju dopełnienia wydanej pół roku wcześniej powieści *Daisy Miller*, po raz pierwszy ukazał się drukiem w „Cornhill

Magazine” w grudniu 1878 i styczniu 1879 roku. Dwaj młodzi Anglicy – w tym dziedzic szlacheckiego tytułu i fortuny – przybywają do Nowego Jorku, który dyszy w letnim upale. Jako twory literackie są oni beznadziejnie przeciętni, niekiedy nawet głupi, wyczuleni wyłącznie na własną pozycję oraz na nowość i dziwność Nowego Świata. Gorące lato dostarcza wszakże Jamesowi pretekstu, by zastosować regułę wymyśloną na użytek *Niezwykłego przypadku*: w mieście akcja może co najwyżej się zawiązać, ale nigdy – rozwinąć. Znajomy młodzieńców z Nowego Jorku, niejaki J.L. Westgate, to jeden z nielicznych bohaterów Jamesa, który naprawdę pracuje i cały dzień spędza w biurze. Ale żona i szwagierka Westgate’a przebywają w Newport, toteż czytelnik wyraźnie wyczuwa, że Jamesa aż korci, by jak najprędzej usunąć młodych bohaterów z zasięgu „złowieszczonego brzęczenia komarów” w odstręczającej i niegościnniej metropolii i przenieść ich do Newport, ze świata dorobkiewicza Westgate’a do świata nieśpiesznej swobody, gdzie królują amerykańskie kobiety pod wodzą szwagierki Westgate’a, panny Alden. Są to kobiety śmiałe, bystre, czarujące, ciekawe i pewne siebie, nic więc dziwnego, że młody angielski lord, przywykły do sztywniejszego towarzystwa, natychmiast wpada jak śliwka w kompot i zakochuje się po uszy.

Panna Alden to przeciwieństwo Daisy Miller: zbyt inteligentna, by ponieść klęskę, łamie reguły dlatego, że naprawdę ich nie szanuje, a nie z powodu jakiegokolwiek słabości. Anglicy przedstawieni są jako istoty snobistyczne, bezmyślne i źle wychowane, rasa, która wszystko marnotrawi – Amerykanie, przeciwnie, są demokratyczni i gościnni. Nic więc dziwnego, że gwałtowny atak przypuściła na autora opowiadania pani F.H. Hill, żona redaktora „The Daily News”, znana autorowi z Londynu. „Pani Hill – pisze Leon Edel – zarzuciła Jamesowi karykaturalny opis członków angielskiej szlachty i wkładanie im w usta słów, których nigdy by nie wypowiedzieli. Henry, jak rzadko, udzielił odpowiedzi, gdyż znał tę panią, a jego list stanowi mistrzowską obronę samego utworu oraz kunsztu pisarza. To jedyny zachowany list, jaki kiedykolwiek napisał do recenzenta”. Człowiek w moim położeniu – pisał James do pani Hill - uprawiający takie pisarstwo jak ja, często czuje się zmuszony zaprotestować przeciwko ekstrapolacji jego idei, jakiej w wielu przypadkach z pewnością oddają się czytelnicy. Można bez końca tworzyć postacie bez zamiaru tworzenia uogólnień – uogólnień, których ja przynajmniej panicznie się boję. Pisząc, że dwie Angielki robią coś niemiłego – *cela c’est vu*; przepraszam! – z miejsca staję się odpowiedzialny za przedstawienie w złym świetle angielskich manier! Nie powiedziałem jeszcze o s t a t n i e g o słowa na żaden temat – wysubtelniam i analizuję w nieskończoność, a z bożą pomocą będę żył dostatecznie długo, by przedstawiać najrozmaitsze rzeczy na najrozmaitsze sposoby. Aby – pośród tego wszystkiego – odnaleźć mój końcowy wniosek o czymkolwiek, potrzebny byłby ktoś znacznie mądrzejszy ode mnie. A skoro już o tym mowa, to strasznie kłopotliwe być Amerykaninem! Trollope, Thackeray, Dickens, prawda, że obdarzeni bezwzględny talentem, mogli swobodnie kreślić tysiące różnych niepoehlebnych obrazków z życia Anglików. Lecz ja, tworząc choćby jeden, z miejsca narażam się na kryminalne zarzuty – oraz ponure pogłoski o tym, co myślę o angielskim społeczeństwie. Myślę o większej liczbie spraw, niż podejmuję się opowiedzieć na czterdziestu stronicach „Cornhill”; może

któregoś dnia zajmę więcej stron, opiszę niektóre z nich i wówczas, mam nadzieję, każdy znajdzie coś dla siebie! Tymczasem jednak zamierzam, tak jak dotąd, kreślić mnóstwo obrazków niemiłych Amerykanów – a żaden przyjazny mi Brytyjczyk nie dojrzy w tym nic złego, gdyż uzna to za część naturalnego porządku rzeczy.

W styczniu 1879 roku James zwierzał się swej przyjaciółce Grace Norton z Bostonu: „Być może zainteresuje Cię wiadomość, że, jak słyszę, kilku tutejszych znajomych poczuło się dotkniętych moim małym *Epizodem międzynarodowym*. Zdziwiająca, prawda? Dopóki dla ich uciechy serwuje się Amerykanów, dopóty wszystko jest w najlepszym porządku – ale ręce precz od świętych tubylców. Wydaje mi się, że chyba naprawdę są bardziej przewrażliwieni od nas!”. Dwa tygodnie później w liście do matki pisarz deklarował: „Moim osobistym zdaniem byłem bardzo delikatny; niemniej w przyszłości będę unikał śliskiego gruntu”.

Pod koniec tego samego roku, gdy ukazała się książka o Hawthornie, James odkrył, że Amerykanie także potrafią być przewrażliwieni. Zaatakowali go krytycy zarówno z Nowego Jorku, jak i Bostonu („gdakanie stadka kurek preriowych”, uznał pisarz), między innymi zaprzyjaźniony z nim William Dean Howells, którego recenzja, aczkolwiek łagodniejsza w tonie, wyrażała opinie dość kąśliwe: „Nawet bez silnego proroczego szkiełka da się przewidzieć, że pan James w pewnych kręgach zostanie wkrótce oskarżony o zdradę stanu”. Na zarzut Jamesa, że Hawthorne był pisarzem prowincjonalnym, Howells replikował: „Skoro Anglik nie jest prowincjonalny, będąc Anglikiem, a Francuz – będąc Francuzem, to i Amerykanin nie jest prowincjonalny, będąc Amerykaninem; a skoro Hawthorne był «cudownie prowincjonalny», to chyba lepiej aspirować do uniwersalizmu z nim niż z jakimkolwiek londyńczykiem czy paryżaninem tej epoki”. I posłał swoją recenzję Jamesowi.

Ten wszakże pozostał nieskruszony. Sądzę, że bardzo rosyjski Rosjanin czy bardzo portugalski Portugalczyk to szczyt prowincjonalizmu; z tego prostego powodu, że pewne typy narodowe są zasadniczo i z natury rzeczy prowincjonalne. W mniejszym jeszcze stopniu podzielam Twój sprzeciw wobec idei, że trzeba starej cywilizacji, by uruchomić pisarza – moim zdaniem, to stwierdzenie to wręcz truizm.

W tym samym liście James wspomina o „marnej historyjce w trzech kawałkach – czysto amerykańskiej opowiadance, przy której pisaniu dotkliwie odczuwałem brak «rekwizytów»”, mającej się wkrótce ukazać w odcinkach w „Cornhill Magazine”. Rzeczone rekwizyty, wymienione w liście, to „obyczaje, przyzwyczajenia, nawyki, uzusy, formy, wszystkie te dojrzałe i zasiedziałe twory, którymi karmi się powieściopisarz – jest to surowiec, z którego wyrabia swoje utwory”, a „marna historyjka” to *Plac Waszyngtona*. I choć wiadomo, że przedstawiając książkę Howellsowi, James starał się być skromny (w ogóle miał skłonność do autoironii w stosunku do własnej twórczości), wydaje się, że trochę nie docenił tego opowiadania. To niewątpliwie najlepszy z jego krótkich utworów i również jedna z najlepszych książek, która jako pierwsza ukazała się w odcinkach jednocześnie po obu stronach Atlantyku, dzięki czemu autor mógł swobodnie przeznaczyć więcej czasu na pracę nad powieścią *Portret damy*.

Plac Waszyngtona opowiada historię doktora Slopera i jego jedynej córki, Catherine,

którą ojciec uważa za tępą. Gdy Catherine zakochuje się w ubogim młodzieńcu, doktor, z całym chłodem i okrucieństwem, postanawia za wszelką cenę nie dopuścić do jej małżeństwa z uzurpatorem. Sporządzony przez Jamesa portret wrażliwej, bezradnej i nieśmiałej córki jest jednym z najbardziej spójnych i przekonujących w jego karierze. Świetność *Placu Waszyngtona* jest również skutkiem braku „rekwizytów”: psychologiczny rysunek postaci ojca i córki nakreślony został jeszcze staranniej i subtelniej niż zazwyczaj, gdyż James, u szczytu powodzenia w londyńskim towarzystwie, niezbyt dobrze pamiętał miasto i społeczność, w których umieścił akcję opowiadania. Wiedział, jak urządzone były salony, w których przebywał jako mały chłopiec; potrafił pisać o znajomych wnętrzach; ale nie dorastał w tym świecie dostatecznie długo, by szerzej poznać jego charakter.

Wydarzenia opisane w *Placu Waszyngtona* rozgrywają się w latach, gdy autor mieszkał z rodziną w Nowym Jorku; dom jego babki stał się domem doktora Slopera, podobnie jak rok później dom jego drugiej babki miał się stać domem Isabel Archer w Albany. Pierwotną wersję historii usłyszał od Fanny Kemble, której brat porzucił pewną zamożną pannę na wieść, że ojciec zamierza ją wydziedziczyć. James przeniósł opowieść na własne, utracone terytorium, w miejsce, które należało już tylko do marzeń – do Nowego Jorku, który musiał opuścić, kiedy ledwie zaczął poznawać jego zarys. Umieszczony w trzecim rozdziale książki opis placu Waszyngtona i jego okolic wręcz uderza czytelnika jako dziwny i nieporadny – niemal nie do pomyślenia u autora, który zaraz napisze *Portret damy*. Nie wiem, czy to skutek pierwotnych, czułych skojarzeń, ale ten kwartał Nowego Jorku wielu ludziom wydaje się najrozkoszniejszy. Panuje tu coś w rodzaju zasiedziałego spokoju, rzecz niezbyt częsta w innych dzielnicach rozległego, rozkrzyczanego miasta; tutejsza okolica wygląda dojrzałej, zamożniej, szlachetniej niż którakolwiek z górnych narośli wielkiej, przecinającej ją arterii – wygląda, jakby miała jakąś historię społeczną. [...] Tutaj, w czcigodnym odosobnieniu, mieszkała twoja babka, której szczodra gościnność przemawiała zarówno do dziecięcej wyobraźni, jak i do dziecięcego podniebienia; stąd wyruszałeś na pierwsze wyprawy w świat, drepcząc za niańką niepewnymi krokami [...]. Tu wreszcie mieściła się twoja pierwsza szkoła, gdzie piersiasta, biodrzasta jejmość z liniałem w dłoni, pijąca herbatę w niebieskiej filizance z niedobranym spodkiem, poszerzała zakres twoich obserwacji i doznań. Tu w każdym razie moja bohaterka spędziła wiele lat życia; co być może uzasadnia mój topograficzny wtęret.

Pretekst – być może, ale nie powód. Powód jest taki, że ćwierć wieku po utracie placu Waszyngtona James gotów był zakłócić święty tok gładkiej narracji, aby przywołać to miejsce jako część swojej pamięci, pierwotnego poczucia tożsamości, teraz dostępnego już tylko przez słowa. Była to potrzeba tak pilna i nagląca, że pozwolił sobie zostawić ten akapit; gdyby chodziło o inne miejsce, z pewnością by go usunął. Zagarniał Washington Square dla siebie. I tam właśnie, już niebawem, ulokował następne pokolenie, które aż niezbyt chętnie wyrzekało się historii społecznej na rzecz plagi – jak postrzegał ją James – nowości.

Na przykład siostrzenica doktora Slopera zamierza poślubić Arthura Townsenda, który tak opowiada o swoim nowym domu: To tylko na trzy lub cztery lata. Po trzech

lub czterech latach się przeprowadzimy. Tak trzeba żyć w Nowym Jorku: przeprowadzać się co trzy lub cztery lata. Wtedy zawsze ma się wszystkie nowinki. To dlatego, że miasto tak szybko się rozrasta, musimy za nim nadążyć. Dalej od centrum, *up town*, tam zmierza Nowy Jork. [...] Pewnie będziemy przenosić się stopniowo; kiedy ulica nam się znudzi, przesuniemy się wyżej. Tak więc, widzicie, zawsze będziemy mieszkać w nowym domu; nowy dom to czysty zysk, dostaje się najnowsze ulepszenia. Wynajdują wszystko od nowa mniej więcej co pięć lat, a nadążyć za nowinkami to świetna rzecz. Nietrudno pojąć wściekłość i rozdrażnienie Jamesa w obliczu nowego etosu szybkich i łatwych zmian, który zawładnął jego miastem dawnych wartości, niszcząc budynki i ulice, tak dlań bogate w skojarzenia z przeszłości. Jednak podobnie jak przytoczony wcześniej ustęp o placu Waszyngtona, tyrada młodego człowieka robi wrażenie wysilonej, a jej wymowa – trochę zbyt natrętnej. Te dwa fragmenty, wyróżniające się w opowiadaniu, które poza tym jest zwarte i dobrze skonstruowane, stanowią część głęboko irracjonalnej reakcji Jamesa na zapamiętany Nowy Jork oraz to, co go zastąpiło; jego uczucia do tego miasta – jak do żadnego innego – czasem wędrowały nieśpiesznie, dziwnie wymykając się spod kontroli.

Wróciwszy do Stanów trzy lata później, po śmierci rodziców, James napisał kolejne opowiadanie osadzone w Nowym Jorku, *Impresje kuzynki*, jeden ze swych najsłabszych i najbardziej rozwlekłych utworów, interesujący głównie ze względu na światło, jakie rzuca na stosunek autora do Nowego Jorku. Historia zaczyna się sceną zdumienia narratorki, że w ogóle jest w stanie mieszkać na Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Kiedy skręcam za róg z Piątej Alei, widok jest wprost szkaradny; wąskie, bezduszne budynki z brunatnej cegły o oschłym, twardym odcieniu i fakturze nieciekawej jak papier ścierny; skostniała stromizna schodków, po których trzeba piąć się do drzwi; niezgrabne balustrady, portyki i gzymsy, powtórzone w setkach egzemplarzy, zdobne w ciężkie narośle – co za erupcja ornamentu, co za ubóstwo efektu!

Narratorka, artystka, która niedawno wróciła z Włoch, skarży się na jednej z pierwszych stronic, że w mieście nie ma co malować, nawet ludzie się nie nadają: „Jakich ludzi? Z Piątej Alei? Są jeszcze mniej malowniczy niż ich domy. Ci z Szóstej Alei nie są w niczym lepsi, ani z Czwartej lub Trzeciej, ani z Siódmej lub Ósmej. Dobry Boże! Co za nazewnictwo! Miasto Nowy Jork przypomina długie dodawanie, a ulice – kolumny liczb”. Później schodki i ganki wydadzą się jej „brzydkie jak zły sen”; nieco wcześniej stwierdza, że w Nowym Jorku niebo „wydaje się częścią świata jako takiego; w Europie jest ono częścią konkretnego miejsca”. Jest to echo opinii, którą James wyraził w książce o Hawthornie sprzed czterech lat, jakoby w czasach Hawthorne’a w Stanach Zjednoczonych „nie było nic wielkiego do oglądania (z wyjątkiem rzek i lasów)”.

Przez następnych dwadzieścia lat z okładem James pisał coraz więcej o Anglii i Anglikach, ale milczał na temat Nowego Jorku. Złe sny o tym mieście najwyraźniej ustąpiły. Miał inne miejsca, takie jak Paryż, Rzym czy Florencja, które mógł wspominać i patrzeć, jak się zmieniają. Ale w skomplikowanej osobowości Jamesa nic nigdy nie było proste. Nowy Jork ze swoją sprężoną energią przez te wszystkie lata wpływał na

jego świadomość niczym podskórny prąd. W 1906 roku w książce *The American Scene* poświęcił miastu trzy rozdziały, obsypując je chmurą przymiotników, które trzymał w zanadrzu w czasie wygnania, a teraz zesłał na rojną metropolię jak plagę szarańczy.

Rozpoczyna od niechęci do nowojorskiego portu: „Nadbrzeża są niskie, budynki na ogół przygnębiające, a ludzie prozaiczni; wyspy, aczkolwiek liczne, nie objawiają żadnych zalet”. Gotów jest uznać „piękno światła i powietrza”, co przypomina stwierdzenie, że w Stanach Zjednoczonych tylko lasy i rzeki nadają się do oglądania. Niebawem wszakże, w osobliwie żarliwym tonie, podkreśla poczucie siły, która wzbudza w nim niepokój, lecz także dreszcz dziwnego podniecenia. Wrażenie mocy [...] jest nieopisane; to moc najbardziej rozrzutnego z miast, które jak w porannej pieśni raduje się swoją potęgą, swoją fortuną, swymi niezrównanymi warunkami, przydając przedmiotom i żywiołom, ruchom i przejawom wszystkiego, co lata, śpieszy i dyszy, dudnieniu promów i holowników [...] trochę swego ostrego, swobodnego głosu.

Opisuje „ogrom, odwagę, a zwłaszcza zuchwalstwo wszystkiego, co pędzi i krzyczy”. Drapacze chmur wydają mu się wyzywająco nowe, a co więcej – wzorem wielu innych strasznych rzeczy w Ameryce – wyzywająco „nowatorskie”, za to triumfalnie dają dywidendy. [...] Nie dość, że nie uświetnia ich historia, to jeszcze nie mają na to najmniejszej wiarygodnej szansy, nie uświęca ich żaden pożytek z wyjątkiem handlu za wszelką cenę; to po prostu najdziksze nuty w koncercie kosztownej prowizorki, w który nade wszystko układa się przeżycie Nowego Jorku.

Robi się coraz gorzej: James odwiedza dzielnicę biznesu, gdzie odnotowuje „skończenie monotonna pospolitość [...] pchającego się męskiego tłumu, zwartej masy idących”. Przeraża go fakt, że jedne budynki zniknęły, inne zaś giną w cieniu wieżowców. Przyznaje, że „dręczy” go „poczucie wydziedziczenia”. Powraca też na swoje dawne tereny: „Bezcenny fragment przestrzeni między placem Waszyngtona i Fourteenth Street miał dla wracającej tu duszy wartość, a nawet urok, łagodny, melancholijny splendor, który, czego jestem w pełni świadom, bardzo trudno «przekazać» nowemu, nieczułemu pokoleniu”. Rozbiórkę domu przy placu Waszyngtona, w którym się urodził, przeżywa, jakby amputowano mu połowę historii; i odkrywa, że budynek, na którym mogłaby wisieć tablica upamiętniająca jego narodziny, właśnie uległ zniszczeniu.

Pomstujący na miasto James wymyśla zdumiewające obrazy, aby zilustrować domniemany poziom niedoli jego mieszkańców: Wolna egzystencja i dobre maniery zbyt często w Nowym Jorku redukują się do nagiego rygoru marginalnych związków z niekończącym się elektrycznym kablem; monstualnym łańcuchem, który oplata tułów i szyję, brzuch i nogi ogółu na podobieństwo węża boa, dławiącego grupę Laookona. Uderzyło mnie, że gdy w strasznych objęciach śnieżnych zimowych miesięcy zwoje się zacieśniają, kłopoty nowojorczyków znacznie przewyższają przedstawione cierpienia figur z Watykanu.

Nic mu się nie podoba. Grzech pierworodny – pisze – równoległych alei, nieprzerwanie, acz skąpo pociętych przecznicami, zorganizowana ofiara zalecanej alternatywy, czyli wielkich perspektyw ze wschodu na zachód, mógłby jeszcze zasłużyć na wybaczenie przez jakiś doraźny wyjątek od drobnostkowej konsekwencji. Niestety, konsekwencji tej zawdzięczamy, że miasto, spośród wszystkich wielkich miast, jest najmniej bogate

w wytchnienie dla oka – dostojne place, rozległe ogrody, szczęśliwe przypadki i zaskoczenia, wesołe zaułki i przygodne skrzyżowania – a ściślej, w odstępstwa na rzecz swobody i wdzięku.

Nawet dynamika metropolii budzi w nim przestraszonych: „Jej energię dobitnie znamionuje brak wiary w siebie; nie potrafi przekonać, nawet kosztem milionów, że ją posiada”.

Odraza Jamesa do nowo przybyłych, metaforyka zwierzęca, której używa, by ich opisać, sprawiają, że lektura tego fragmentu jego dzieł przypomina o największe chyba poczucie dyskomfortu. Emigrant w Nowym Jorku „chwilami przypomina psa, który wacha świeżo zdobytą kość, trąca ją i oblizuje, jakby świadomy jej możliwości, lecz na razie – wiedziony równie głębokim drgnieniem świadomości – nie rzuca się na nią od razu”. Społeczność Żydów autor kwituje uwagą: „W przyrodzie znane są zwierzątka, chyba węże albo glisty, które pokrojone na kawałki z zadowoleniem odpełzają na bok i żyją w okrawku równie kompletnie jak w całości. I tak czynią mieszkańcy nowojorskiego getta, spiętrzeni w stos jak odłamki na warsztacie szklarza – każdy i każda z nich, jak skrzący się szklany okruch, ma osobisty udział w ostrym blasku Izraela”. Schody przeciwpożarowe, „wszechobecne w «ubogich» dzielnicach”, przywodzą Jamesowi na myśl „przemysłnie urządzone klatki dla zręczniejszych klas zwierząt w wielkim ogrodzie zoologicznym. Podobieństwo jest nieodparte – jakby w każdym kwartale zbudowano mały świat grzęd, drążków i huśtawek dla ludzkich małp i wiewiórek”. Z okna w getcie autor spogląda na „rojny plac, po którym tam i z powrotem przemyka podobna mrówkom populacja”.

Trudno sprecyzować, co właściwie gryzie Henry’ego Jamesa, kiedy chodzi po ulicach Nowego Jorku, tego, jak to ujmuje, „okropnego miasta”, z nienawiścią słuchając głosów i akcentów w kawiarniach, „izbach tortur żywego języka”, nienawidząc nawet Central Parku, który porównuje do „aktorki w zespole pozbawionym, wskutek epidemii lub innych przykrości, wszelkich damskich talentów, która w związku z tym w ciągu tygodnia gra coraz to inną rolę, od tragicznej królowej do śpiewającej pokojówki”.

Jest tak, jakby coś zostało Jamesowi ukradzione – i rzeczywiście, coś mu skradziono, i to coś niezwykłego. Dla niektórych pisarzy dawno porzucone miejsca i przeżycia, które właściwie można by zapomnieć, nadal istnieją w czasie teraźniejszym. Można je przywołać na życzenie, niekiedy też przychodzą nieproszone. W umyśle żyją własnym życiem; są jak pokoje, gdzie zapalono elektryczne światło, którego nie da się zgasić ani ściemnić. Dla Jamesa Nowy Jork w latach 1845–1855 był właśnie takim miejscem; także doświadczenia tamtego okresu, pełnego swobody i szczęśliwej niewinności młodzieńczego chłopca, nie zatarły mu się w pamięci – pozostały żywe i obecne, inaczej niż wspomnienia jego brata. A teraz, po pięćdziesięciu latach, krążył po mieście, które próbowało, w imię nowinek, uniemożliwić mu powrót do oświetlonych miejsc. Nie chodzi tylko o to, że był w nowym mieście, a wspominał dawne. Dawne miasto nigdy dlań nie umarło; żyło jako przejaw imperatywu jego geniuszu. Lecz teraz światła w jego pokojach migotały szaleńczo, niemal go oślepiając. Więc żeby się ratować, obrzucił Nowy Jork stekiem obelg.

Zamazywanie granic między czasem teraźniejszym a przeszłym to dla pisarza metoda uwalniania wyobraźni, która potrafi wszakże doprowadzić do niepokoju i rozchwiania

osobowości. To, co James ujrzał w Nowym Jorku 1905 roku, sprowokowało go do użycia metaforyki dziko nieadekwatnej do rzeczywistych przeżyć, za to trafnie opisującej walkę, jaka toczyła się w jego duszy między lgnącą doń kurczowo przeszłością a przerażającą nowością współczesności. Pisarze umierają, gdy muszą dorosnąć; Nowy Jork owego roku wymagał od Jamesa zbyt wiele.

Naturalnie, można również utrzymywać, że sprawa przedstawiała się znacznie prościej, że James uważał miasto swego dzieciństwa za bardziej przyzwoite, ludzkie i cywilizowane, natomiast tego miasta, które zastał w 1905 roku, autentycznie nie znosił, czemu dosadnie dał wyraz w kilku opowiadaniach. Lecz jedna z ostatnich historii osadzonych w Nowym Jorku, i w ogóle jeden z ostatnich utworów Jamesa, zdaje się przemawiać na rzecz tezy przeciwnej – że w niechęci pisarza do metropolii i lęku, jaki przed nią czuł, było coś dręcząco niejasnego. Historia ta nosi tytuł *Nieżył narożnik*.

Jamesa, jak wielu jego współczesnych z Londynu, fascynowały sobowtóry. Wydane w 1892 roku opowiadanie *The Private Life* [Życie osobiste] odzwierciedla świat Doriana Graya i doktora Jekylla. James sfabularyzował w nim własne życie towarzyskie i społeczne oraz własny los twórcy i samotnika; bohater, pisarz, potrafi przebywać w dwóch miejscach naraz, w towarzystwie i przy biurku. Teraz, w roku 1906, James pisał do agenta: „Przyszedł mi do głowy znakomity mały pomysł, przez który całą zeszłą noc nie zmrużyłem oka, muszę więc przynajmniej kuć żelazo, póki gorące”. W *Nieżyłym narożniku*, powstałym w następstwie amerykańskiej podróży 1905 roku, James ukazuje nową, podwójną osobowość: człowieka, który kiedyś opuścił Nowy Jork i wyjechał do Anglii, oraz jego sobowtóra, który nigdzie nie wyjechał i wciąż błąka się po tych samych wnętrzach, jakimi James niebawem wypełni swoją autobiografię i jakimi już wypełnił opowiadanie *Plac Waszyngtona*.

Jego bohater, nazwiskiem Brydon, wróciwszy do Nowego Jorku po trzydziestu trzech latach nieobecności, podziela opinię Jamesa o tym mieście. Wydaje mu się pomniejszone, zamienione „w olbrzymią stronicę księgi rachunkowej, przerośniętą, fantastyczną gęstwą krzyżujących się liczb i linii prostych”. Widuje się z dawną przyjaciółką, Alice Staverton, rozważa również, jakim ważnym człowiekiem interesu mógłby zostać, gdyby stąd nie wyjechał. Rodzinny dom w śródmieściu na jego życzenie stał pusty przez te wszystkie lata, choć był codziennie sprzątnany i doglądany. Teraz Brydon napotyka tam widmową postać, krążącą po mrocznych wnętrzach, których nigdy nie opuściła – podobnie jak nigdy, przynajmniej w duchu, nie opuścił ich sam James.

Obaj – mężczyzna i jego sobowtór – zmagają się ze sobą pewnej długiej nocy, walcząc o zgaszenie światła w tych pokojach. „Stężały, lecz świadomy, widmowy, lecz ludzki – czekał na niego człowiek tej samej wagi i postury, pragnący jego miarą sprawdzić swoją moc przerażania”. Dwa palce prawej dłoni, która zasłania twarz, zostały odstrzelone. „Głowa się uniosła, dłonie rozchyliły, po czym, jakby na skutek nagłej decyzji, błyskawicznie opadły, ukazując nagą, bezbronną twarz. Na ten widok zgroza ścisnęła Brydona za gardło i uwięzła mu w krtani ze zdławionym okrzykiem”. „Jest to – napisał Leon Edel – opowieść głęboko autobiograficzna”: rekonstrukcja walki, którą James stoczył sam ze sobą po przyjeździe do Nowego Jorku, kiedy to postanowił zdemaskować

zastany świat, usiłując zniszczyć go swym opisem, przekłuć jego potęgę stalowym ostrzem świetnych akapitów. Pragnął znów tchnąć życie w świat, który przetrwał w jego myślach; w dawny Nowy Jork, którego zaznał, zanim nadeszły komplikacje dojrzewania i wykorzenia, i który opuścił, mając lat dwanaście. Rzecz znamienna: wybawicielką Brydona, który wychodzi bez szwanku z nocnej potyczki z sobowtórem, jest jego dawna przyjaciółka imieniem Alice – a pamiętajmy, że siostra Jamesa, jego szwagierka oraz żona bratanka nosiły wszystkie imię Alice. W ostatnim zdaniu *Nieżłego naroźnika* bohater bierze ją w ramiona; nagrodą za zgaszenie światła staje się zapowiedź miłości, szansa na nieskomplikowaną seksualność, jaką cieszył się brat pisarza, William. *Nieżły naroźnik* zostawia protagonistę porzuconego na mieliźnie między przedseksualną przeszłością i nieprzekonującą terażniejszością.

Oba ostatnie opowiadania również rozgrywają się w owym Nowym Jorku, który James tak eksplorował i potępiał w *The American Scene*. Z perspektywy *Krepowej Cornelii* oraz *Rundy wizyt* miasto wydaje się niemal złowieszcze, dość pospolite i głęboko zaburzone. Theodora Bosanquet, maszynistka, której James dyktował swoje utwory, odnotowała w grudniu 1897 roku: „Pan James pracuje nad opowiadaniem, które ciągnie się okropnie – i moim zdaniem jest nudne”. W *Krepowej Cornelii* James znów wprowadza motyw powrotu wygnańca, który z niechęcią odnosi się do nowego miasta i nostalgicznie wspomina stare. Bohater zwraca uwagę na dom pani Worthingham, gdzie „każdy kosztowny przedmiot krzyczał chępliwie i prostodusznie”. Przypuszcza również atak, chyba najbardziej wymowny w jego twórczości, na tutejszy brak społecznych więzi: „Wyraźnie taka miała być melodia przyszłości – że jeśli ludzie będą dostatecznie bogaci, dostatecznie umeblowani, dostatecznie wykarmieni, wyćwiczeni, higieniczni i wymanikiurowani [...], to za grzeczność wystarczy im przyjąć rozbawiony, ironiczny stosunek do tych, którzy są mniej wtajemniczeni”. A także pomstuje na brak skromności nowojorczyków popisujących się przywilejami: „Za j e g o czasów, gdy był młody, a nawet w tylko trochę mniej średnim wieku, najlepsze maniery polegały na jak największej życzliwości, największa zaś życzliwość sprowadzała się zazwyczaj do sztuki niepodkreślenia swej luksusowej inności, a nawet do ukrywania – jeśli nie przez zwykłą przyzwoitość, to ze względów czysto ludzkich – przynajmniej części swego przemożnie zajadłego dążenia, aby «wiedzieć, co w trawie piszczy»”.

W *Rundzie wizyt*, ostatnim opowiadaniu Jamesa, miasto jest jeszcze bardziej niegościnne niż zwykle. Mark Monteith, kolejny wygnaniec, powraca do Nowego Jorku, by stwierdzić, że znajomy nowojorczyk go oszukał, i podobnie jak protagonista *Niezwykłego przypadku*, napisanego czterdzieści lat wcześniej, natrafia na niemożliwą pogodę, tym razem na „oślepiającą nowojorską zamieć” i „wściekłą burzę śnieżną”. Tak jak w *Krepowej Cornelii*, bohater odwiedza kilku przyjaciół, znów ubolewając nad wystrojem ich domów, pełnych „rażąco fałszywych akcentów”. Jednakże tym, co w obu historiach najbardziej rzuca się w oczy, jest na wskroś odpychający wizerunek nowojorskich kobiet. „Kobiety w szczególności – komentuje Leon Edel – są tu pozbawione wszelkich cech sympatycznych: grube, ordynarne, brzydkie, bogate oraz okrutne, jakby zatraciły sens dobroci”. Być może zatem nie należy się dziwić, że w ostatniej scenie ostatniego nowojorskiego opowiadania Jamesa pewien nowojorczyk

strzela sobie w łeb z rewolweru.

Nieżyły narożnik był jedynym „amerykańskim” utworem, jaki James zgodził się włączyć do dwudziestotrzytomowej nowojorskiej edycji swych dzieł, z której wykluczył *Europejczyków*, *Plac Waszyngtona* oraz *Bostończyków*. Praca nad edycją pochłaniała go w latach między pisaniem *The American Scene* i autobiografii. Nie ulegało wątpliwości, że poważnie traktuje batalię, by przeciwstawić swój prywatny Nowy Jork Goliatowi, który co dzień wyrastał na wyspie Manhattan – 30 czerwca 1905 roku pisał do swego wydawcy, Scribnera: „Gdyby dla wygody bądź dla odróżnienia potrzebna była jakaś n a z w a , chciałbym zaproponować zwłaszcza *New York Edition*, jeżeli tak ogólny tytuł może uchodzić za dostatecznie godny i znaczący. Moim zdaniem, dzięki niemu całe przedsięwzięcie wprost nawiązuje do mego rodzinnego miasta – któremu, jak dotychczas, nie miałem okazji złożyć tego rodzaju hołdu”. Dzieła Jamesa miały pokazać światu, dość nieczułem na takie pomysły, że podszewka zdarzeń, ich miękka strona, jak ją określał, ma szansę przetrwać i zyskać znaczenie, zdobyć sławę nad wszelkie pieniądze. Pokazać, że wielki dom literatury dorównuje wysokością drapaczom chmur, a jego pokoje będą jasno oświetlone, nawet gdy zewnętrzny świat ogarnie ciemność.

COLM TÓIBÍN

Historia pewnego arcydzieła

I

Nie dalej niż zeszłego lata, podczas półtoramiesięcznego pobytu w Newport, John Lennox zaręczył się z panną Marian Everett z Nowego Jorku. Pan Lennox, bezdzietny trzydziestopięcioletni wdowiec ze sporym majątkiem, odznaczał się stosownie wytwornym wyglądem, świetnymi manierami i ponadprzeciętnym zasobem rzetelnych informacji; jego obyczajom trudno było cokolwiek zarzucić, jego charakter, jak ogólnie mniemano, wyszedł zwycięsko z ciężkiej, acz zbawiennej próby krótkiego pożycia małżeńskiego. W sumie zatem panowała opinia, że panna Everett robi dobrą partię, a w każdym razie nic na zamążpójściu nie traci.

A przecież Marian Everett – „ta ładna” panna Everett, jak o niej mówiono, dla odróżnienia od brzydkich kuzynek, z którymi, nie mając matki ani sióstr, musiała, gwoli przyzwoitości, spędzać sporo czasu, co zapewne dawało jej więcej satysfakcji aniżeli owym znamienitym damom – również była nader sposobna do małżeństwa. W gruncie rzeczy nie miała grosza przy duszy, została jednak szczerze obdarzona wszelkimi zaletami, które dodają kobiecie uroku. Była bezspornie najbardziej uroczą dziewczyną w kręgach, w których się obracała; nawet starsze od niej, bardziej doświadczone kobiety, cięższego, by tak rzec, kalibru, dzięki swej pozycji mężatek dysponujące większą swobodą działania, pod względem uroku właściwie nie mogły się z nią równać. Niemniej, naśladowując wyrobienie towarzyskie swych bardziej wyzwolonych siostrzyc, panna Everett nie dopuszczała się nawet najmniejszych odstępstw od ścisłych zasad panieńskiej godności. Deklarowała niemal nabożną cześć dla dobrego gustu i z przerażeniem patrzyła na hałaśliwy wdzięk wielu swych towarzyszek. Nie dość zatem, że była najbardziej zajmującą panną w Nowym Jorku, to jeszcze uchodziła za najbardziej nieskazitelną. Być może dałoby się zakwestionować jej urodę, ale z pewnością nikt jej nie kwestionował. Wzrostu nieco mniej niż średniego, miała pełną i krągłą sylwetkę, jednak mimo że przyjemnie pulchna, poruszała się lekko i zgrabnie. Jej naturalnie jasna karnacja tchnęła ciepłem – ciepłem blondynki z różanym rumieńcem lata na policzkach i błyskiem letniego słońca w rudawych włosach. Rysy jej twarzy, chociaż niezbyt klasyczne, były w najwyższym stopniu ujmujące: niskie i szerokie czoło, mały nosek, usta zaś – cóż, zazdrośnicy uważali jej usta za o l b r z y m i e . Pewne jest, że miały olbrzymią skłonność do uśmiechów, a gdy je otwierała, by zaśpiewać (z nieskończoną, dodajmy, słodyczą), płynęła z nich obfita fala dźwięków. Owszem, jej twarz była nieco zbyt okrągła, ramiona zaś nieco zbyt kwadratowe, lecz, jak powiadam, ogólne wrażenie pozostawało bez zarzutu; mógłbym wytknąć tuzin dysonansów w jej twarzy i figurze, a przecież w żaden sposób nie zdołałbym podważyć ich łącznego efektu. Skądinąd w próbach szczegółowego

uzasadnienia lub zanegowania kobiecego piękna jest coś zasadniczo niegrzecznego, więcej, niefilozoficznego, i każdy mężczyzna, który odkrywa, że ściśle biorąc, zbiór odrębnych cech nie sumuje się w całość, dostaje dokładnie to, na co zasłużył. Odstąpcie zatem, panowie, od takich zamiarów i pozwólcie, aby to dama wykonała dodawanie. A panna Everett nie tylko była piękna, błyszczała również pogodą ducha i żywością percepcji. Unikała ostrych wypowiedzi, ale ich nie potępiała; czerpała wielką radość z bystrości intelektu i nawet starała się ją pielęgnować. Jej wielką zaletą był brak jakichkolwiek roszczeń i pretensji; tak jak jej uroda nie miała w sobie nic sztucznego, tak jej inteligencja pozbawiona była pedanterii, a życzliwość sentymentalizmu. Ta pierwsza cała tchnęła świeżością, dwie ostatnie – dobrym humorem.

John Lennox ujrzał ją, pokochał i poprosił o rękę; a panna Everett, przyjmując go, zyskała w oczach świata jedyną zaletę, jakiej jeszcze jej brakowało – całkowitą stabilizację i regulację swojej sytuacji. Przyjaciele z niemałym zadowoleniem porównywali świetną i dostatnią przyszłość, jaka ją czekała, z jej nieco niepewną przeszłością, Lennox również zbierał gratulacje z prawa i lewa, aczkolwiek łatwowierności wieszowano mu niezbyt często. Wiary panny Everett nie poddawano tak surowym próbom, chociaż skłonni do moralizowania znajomi nieraz przypominali jej, że ma wszelkie powody, aby cieszyć się z wyboru pana Lennox. Zapewnień tych Marian słuchała z miną pokorną i cierpliwą, z którą było jej nadzwyczaj do twarzy – zupełnie jakby dla niej gotowa była się zgodzić nawet na to, by ją zanudzano.

Niespełna dwa tygodnie po ogłoszeniu zaręczyn narzeczeni wrócili do Nowego Jorku. Lennox, który miał własny dom, teraz zajął się jego remontem i przemeblowaniem; ślub wyznaczono na koniec października. Panna Everett chwilowo zamieszkała w pokojach zajmowanych przez jej ojca, spróchniałego dżentelmena, od rana do wieczora zacierającego gnuśne dłonie w oczekiwaniu rychłego zamążpójścia córki.

John Lennox, człowiek o wielu możliwościach, który lubił czytać, lubił muzykę, lubił towarzystwo i nie stronił od polityki, pierwsze tygodnie jesieni przeżył niespokojnie, jakby nie mogąc usiedzieć na miejscu. Gdy mężczyzna zbliża się do wieku średniego, trudno mu z wdziękiem znosić takie wyróżnienie, jak narzeczeństwo; trudno mu także z należytą skwapliwością wywiązywać się z rozmaitych *petits soins*, związanych z tą kondycją. Zabiegi Lennox według jego znajomych miały w sobie jakąś żalostną solenność. Przez jedną trzecią czasu myszkował na Broadwayu, skąd sześć razy w tygodniu wracał objuczony ozdóbkami i błyskotkami, które zawsze w końcu odrzucał jako zbyt dziecinne i prostackie, by mógł je ofiarować damie swego serca. Kolejna jedna trzecia mijała mu w bawialni pani Everett, i w tych godzinach Marian była niedostępna dla innych gości. Resztę życia, jak się przyznał przyjacielowi, spędzał Bóg jeden wie jak. Były to słowa mocniejsze, niż ów przyjaciel spodziewał się usłyszeć, gdyż Lennox nie był człowiekiem skłonny do pochopnych wypowiedzi ani też, w mniemaniu przyjaciela, nie odznaczał się szczególnie namiętnym usposobieniem. Jednak rzucało się w oczy, że jest bardzo zakochany – a przynajmniej bardzo wytracony z równowagi.

– Kiedy jestem z nią, wszystko wygląda świetnie – mówił – ale z dala od niej czuję się tak, jakby wykluczono mnie spośród żywych.

– Cóż, musisz być cierpliwy – rzekł przyjaciel – jest ci pisane jeszcze nieźle sobie

pożyć.

Lennox milczał z miną bardziej posępną, niż podobało się jego rozmówcy.

– Mam nadzieję, że nie istnieją żadne konkretne przeszkody – podjął w końcu ten ostatni, pragnąc nakłonić Lennox, by zrzucił z siebie ciężar, który najwyraźniej leżał mu na sercu.

– Boję się, że ja... czasem się boję, że ona właściwie mnie nie kocha.

– Cóż, odrobina wątpliwości nie zaszkodzi. To lepsze niż być zanadto pewnym uczucia i popaść w bezmyślność. Musisz tylko mieć pewność, że ty ją kochasz.

– Tak – oświadczył Lennox uroczyście – to oczywiście najważniejsze.

Pewnego ranka, nie mogąc skupić uwagi na książkach i dokumentach, pomyślał sobie, że znalazł sposób, by miło spędzić kilka godzin.

W Newport zawarł znajomość z młodym artystą malarzem nazwiskiem Gilbert, którego talent i sposób rozmowy ogromnie mu się spodobały. Po opuszczeniu Newport malarz wybierał się w góry Adirondack; zamierzał wrócić do Nowego Jorku pierwszego października i serdecznie zapraszał nowego znajomego, aby ten wówczas go odwiedził.

Rankiem tego dnia Lennox uświadomił sobie, że Gilbert z pewnością już jest w mieście i czeka na jego wizytę. Niezwłocznie więc udał się do jego pracowni.

Na drzwiach widniała wizytówka Gilberta, lecz gdy Lennox wszedł do pomieszczenia, ujrzał przed sobą nieznanego – przy sztalugach pracował młody mężczyzna w malarskim kitlu. Dżentelmen ów powiadomił gościa, że aktualnie korzysta z pracowni wspólnie z Gilbertem, który właśnie wyskoczył na chwilę, Lennox postanowił zatem poczekać na powrót gospodarza. Tymczasem wdał się w rozmowę z młodzieńcem i widząc, że jest to człowiek wysoce inteligentny i najwyraźniej bardzo z Gilbertem zaprzyjaźniony, zaczął nań spoglądać z większą ciekawością. Był to mężczyzna niespełna trzydziestoletni, wysoki i silny, o mocnej, radosnej, wrażliwej twarzy i gęstej rudawej brodzie. Lennox uderzyła zwłaszcza jego twarz, której wyraz, z jednej strony, zdawał się świadczyć o sporej roztropności, z drugiej zaś, znamionował prawdziwie artystyczny temperament.

„Człowiek o takiej minie – powiedział sobie – musi tworzyć prace, którym warto przynajmniej się przyjrzeć”.

Zapytał zatem rozmówcę, czy pozwoli obejrzeć swój obraz. Ten chętnie się zgodził i Lennox podszedł do płótna.

Przedstawiało ono półpostać kobiecą, której strój i ekspresja były tak enigmatyczne, że Lennox nie potrafił ocenić, czy ma przed sobą portret, czy wytwór fantazji: jasnowłosą młodą damę w bogato zdobionej średniowiecznej sukni, o wyglądzie renesansowej księżnej. Z luźno splecionymi dłońmi i wysoko uniesioną głową stała na tle ciemnego gobelinu, wpatrując się w widza, jakby szła wprost na niego – „*Dans un flot de velours traînant ses petits pieds*”⁸.

Przyglądając się uważniej, Lennox spostrzegł, że nieznaną zdradza ukryte podobieństwo do innej, dobrze mu znanej fizjonomii – Marian Everett. I oczywiście, od razu zapragnął się dowiedzieć, czy to dzieło przypadku, czy świadomy zamysł.

– To portret, jak mniemam? – zwrócił się do artysty. – Portret „kostiumowy”?

– Nie, to tylko wprawka z kompozycji, trochę tego i trochę tamtego. Ten obraz wisi u mnie od dwóch czy trzech lat jako coś w rodzaju śmietnika na zbędne pomysły. Padał ofiarą niezliczonych teorii i eksperymentów, ale najwyraźniej przetrwał je wszystkie. Przypuszczalnie ma w sobie pewną żywotność.

– Nazwał go pan jakoś?

– Początkowo nadałem mu tytuł czegoś, co przeczytałem: wiersza Browninga *Moja ostatnia księżna*. Zna go pan?

– Doskonale.

– Możliwe, że to próba, aby na płótnie przedstawić wrażenie, jakie na poecie zrobił istniejący portret. Ale co mnie to obchodzi? Chciałem po prostu przedstawić wrażenie, jakie na mnie samym wywarł wiersz, który zawsze silnie pobudzał moją wyobraźnię. Nie wiem, czy moje odczucie zgadza się z pańskim lub z odczuciami innych czytelników. Ale przy tytule się nie upieram. Właściciel obrazu może go sobie ochrzcić na nowo.

Im dłużej Lennox się przyglądał, tym bardziej obraz mu się podobał i tym głębsze wydawało mu się podobieństwo między miną portretowanej damy a tą, którą przypisywał bohaterce poematu Browninga. Również elementy wspólne dla twarzy Marian i twarzy na obrazie wydały mu się mniej przypadkowe. Pomyślał o szlachetnych wersach wielkiego poety i ich niezwykłym sensie oraz o rysach ukochanej kobiety, które artysta wybrał jako owego sensu najstosowniejszy przykład.

Odwrócił głowę; łzy stanęły mu w oczach. – Gdybym był właścicielem tego obrazu – rzekł w końcu, odpowiadając na ostatnie słowa malarza – nie oparłbym się pokusie, aby nazwać go imieniem osoby, którą bardzo mi przypomina.

– Ach, tak? – zdziwił się Baxter. – To ktoś z Nowego Jorku?

Tak się złożyło, że tydzień wcześniej panna Everett na prośbę ukochanego wybrała się z nim do fotografa, który zrobił jej kilka zdjęć w różnych pozach. Odbitki przysłano do obejrzenia Marian, która wybrała pół tuzina – a raczej wybrał je Lennox i następnie włożył do kieszeni, zamierzając wpaść do zakładu, by złożyć zamówienie. Teraz wyjął jedną z nich z portfela i pokazał malarzowi.

– Widzę ogromne podobieństwo – powiedział – między pańską księżną a tą młodą damą.

Artysta popatrzył na fotografię. – Jeśli się nie mylę – rzekł po chwili – ta młoda dama to panna Everett.

Lennox przytaknął.

Rozmówca z wielkim zainteresowaniem w milczeniu przyglądał się zdjęciu przez jakiś czas; ale, jak zauważył Lennox, nie porównał go z portretem.

– Bardzo możliwe, że moja księżna wykazuje pewne podobieństwo do panny Everett, ale nie jest ono całkiem zamierzone – powiedział w końcu. – Zacząłem malować ten obraz, zanim w ogóle ujrzałem pannę Everett. Panna Everett, jak pan widzi, jak pan wie, ma uroczą twarz, a ja podczas tych kilku tygodni, gdy ją widywałem, cały czas pracowałem nad tym portretem. Pan rozumie, jak pracuje malarz, jak pracuje każdy artysta: zawłaszcza wszystko, na co natrafi. Dla swoich celów bez wahania przejąłem wszystko, co mi odpowiadało w wyglądzie panny Everett; zwłaszcza że po omacku szukałem właśnie takiej urody, jaka znalazła wyraz w jej twarzy. Księżna, jak sądzę,

była Włoszką; ja zaś uparłem się, że musi być blondynką. Otóż karnacja panny Everett ma zdecydowanie południową, ciepłą tonację, a jej rysy są dość grube i wyraziste, co jest powszechne u włoskich kobiet. Widzi pan, że podobieństwo to raczej kwestia typu niż ekspresji. Niemniej jednak przykro mi, że kopia zdradziła oryginał.

– Wątpię – rzekł Lennox – czy zdradziłaby go komukolwiek oprócz mnie. Mam zaszczyt – dodał po chwili – być zaręczonym z panną Everett. Wybacz pan zatem, że spytam, czy zamierza pan sprzedać ten obraz?

– Już go sprzedałem pewnej damie – odparł artysta z uśmiechem – niezamężnej damie, która jest wielką miłośniczką Browninga.

W tym momencie wrócił Gilbert. Przyjaciele przywitali się serdecznie, a ich towarzysz wycofał się do sąsiedniego pokoju. Rozmawiali chwilę o tym, co przydarzyło się każdemu z nich od poprzedniego spotkania, po czym Lennox zapytał o autora portretu księżnej, podkreślając jego wybitny talent i wyrażając zdziwienie, że Gilbert nigdy o nim nie wspominał.

– Nazywa się Baxter, Stephen Baxter – wyjaśnił Gilbert – lecz zanim wrócił z Europy przed dwoma tygodniami, wiedziałem o nim niewiele więcej niż ty. To wzorcowy przypadek pracy nad sobą. Poznałem go w Paryżu w sześćdziesiątym drugim roku i wtedy nie robił absolutnie nic; tego, co zobaczyłeś, nauczył się później. W Nowym Jorku nie zdołał znaleźć dostatecznie dużej pracowni i nie miał gdzie się podziać. A ponieważ ja ze swoimi małymi szkicami zajmuję u siebie tylko jeden kąt, zaproponowałem, żeby korzystał z pozostałych trzech, dopóki się jakoś nie urządzi. Lecz kiedy zaczął rozpakowywać swoje płótna, odkryłem, że nic o tym nie wiedząc, goszczę u siebie anioła.

I Gilbert odsłonił przed Lennoxem kilka portretów Baxtera, zarówno męskich, jak i kobiecych, z których każdy potwierdzał powziętą przez Lennoxą opinię o zdolnościach malarza. Znów podszedł do obrazu na sztalugach – i znów Marian Everett przybyła na jego milczące wezwanie, patrząc na niego z portretu wzrokiem pełnym czułości i melancholii.

„Niech mówi, co chce – pomyślał Lennox – podobieństwo to w pewnym stopniu również kwestia ekspresji”. – Słuchaj, Gilbert – zapytał głośno, pragnąc sprawdzić, jak wierna jest podobizna – kogo ona ci przypomina?

– Wiem – odparł Gilbert – kogo przypomina tobie.

– A ty to widzisz?

– Obie są ładne i obie mają rudawe włosy. To wszystko, co widzę.

Lennox odetchnął z ulgą. Czuł pewien dyskomfort – który w żadnym razie nie był sprzeczny z pierwszym odruchem dumy i satysfakcji – na myśl, że swoisty, szczególny powab Marian został poddany wnikliwej ocenie innego mężczyzny. Z przyjemnością doszedł do wniosku, że uwagę malarza przykuły jedynie powierzchowne cechy jej wyglądu, a reszty dokonała jego, Lennox, wyobraźnia. W drodze do domu przyszło mu nawet do głowy, że bynajmniej nie byłoby od rzeczy, gdyby złożył hołd urodzie dziewczyny, zamawiając jej portret u tego zdolnego młodzieńca. Na razie ich narzeczeństwo sprowadzało się do czystego uczucia, albowiem skrupulatnie pilnował, by nie wyjść na wulgarnego dostawcę luksusów i przyjemności. Wobec przyszłej żony

zachowywał się właściwie jak biedak – lub raczej jak zwykły prosty człowiek, nie milioner. Zabierał ją na przejażdżki, posyłał kwiaty, bywał z nią w operze. Ale nie kupował jej łąkoci, nie zakładał się z nią, nie robił prezentów z biżuterii. Przyjaciółki panny Everett zwróciły nawet uwagę, że dotychczas nie dostała od niego nawet najskromniejszego pierścionka zaręczynowego z perłą czy z brylantem. Marian wszelako była zadowolona. Będąc z natury wielką artystką uczuciowej *mise en scène*, instynktownie czuła, że ów zgoła klasyczny umiar jest przewrotnym zwiastunem ogromnej małżeńskiej obfitości. A i Lennox, dokładając starań, by jego stosunki z panną Everett w najmniejszym stopniu nie zostały splamione odniesieniem do sytuacji finansowej – w końcu przypadkowej – obojga, udowadniał, że gruntownie rozumie własne odruchy. Wiedział, że pewnego dnia poczuje przemożny impuls, by podarować damie swego serca jakiś namacalny, artystyczny dowód afektu, i że podarunek ten sprawi jej tym większą radość, jeśli będzie jedyny w swoim rodzaju. Teraz miał wrażenie, że nadeszła odpowiednia chwila. Czyż mógł wykazać się większym taktem niż darować jej w prezencie szansę, aby – przejawiając cierpliwość i dobrą wolę – pozwoliła przysłemu mężowi zdobyć na własność doskonały wizerunek swojej twarzy?

Tego wieczora Lennox, jak co tydzień, jadł kolację u przyszłego teścia.

– Marian – zagadnął przy posiłku. – Dziś rano poznałem twego dawnego znajomego.

– Tak? – odrzekła Marian. – A kogo?

– Pana Baxtera, malarza.

Marian zaróżowiła się, ale istotnie tylko trochę – nie bardziej niż pod wpływem szczerzego zdziwienia.

Zdziwienie to wszakże nie mogło być duże, albowiem zaraz dodała, że przeczytała już w gazecie, że malarz wrócił do kraju, ponadto wiedziała, że Lennox obraca się w artystycznych kręgach. – Mam nadzieję, że jest zdrowy – zakończyła – i że mu się powodzi.

– Skąd znasz tego pana, moja droga? – zapytał pan Everett.

– Spotkałam go w Europie dwa lata temu, najpierw latem w Szwajcarii, a później w Paryżu. To jakiś krewny pani Denbigh. – Pani Denbigh była to dama, w której towarzystwie Marian niedawno spędziła rok w Europie, bogata bezdzietna wdowa, inwalidka, dawna przyjaciółka jej matki. – Cały czas maluje?

– Najwyraźniej, i to bardzo dobrze. Widziałem u niego kilka całkiem niezłych portretów. I w dodatku jest wśród nich pewien obraz, który przypomina mi ciebie.

– *Ostatnia księżna*? – zaciekawiała się Marian. – Chciałabym go zobaczyć. John, jeśli sądzisz, że jest do mnie podobna, to powinieneś go kupić.

– Chciałem, ale już został sprzedany. Więc znasz ten obraz?

– Tak, pan Baxter sam mi go pokazał. Widziałam go na początkowym etapie, gdy nie przypominał niczego, do czego chciałabym być podobna. Pani Denbigh bardzo się zgorszyła, gdy oznajmiłam panu Baxterowi, iż bardzo się cieszę, że jest „ostatnia”. W rzeczy samej, od tego obrazu zaczęła się nasza znajomość.

– A nie *vice versa*? – wtrącił pan Everett niemądrze.

– Jak to, *vice versa*? – zapytała niewinnie Marian. – Pierwszy raz spotkałam pana Baxtera na przyjęciu w Rzymie.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że poznałaś go w Szwajcarii – powiedział Lennox.

– Nie, w Rzymie, zaledwie dwa dni przed naszym wyjazdem na północ. Kiedy mi go przedstawiono, nie wiedział, że jestem z panią Denbigh, nie wiedział nawet, że ona przebywa w mieście. To była pierwsza rzecz, jaką mi powiedział: że jestem bardzo podobna do obrazu, który właśnie maluje.

– Że ucieleśniasz jego ideał i tak dalej.

– Owszem, ale nie w takim sentymentalnym tonie. Doprowadziłam go do pani Denbigh, z którą wspólnie odkryli, że są w szóstym stopniu spowinowaceni; następnego dnia złożył nam wizytę i nalegał, byśmy poszły do jego pracowni. Nędzna nora. Odniosłam wrażenie, że jest bardzo biedny. Przynajmniej kiedy pani Denbigh zaproponowała mu pieniądze, przyjął je bez ceregieli. Chciała mu oszczędzić upokorzenia, więc powiedziała, że jeśli chce, może w rewanżu namalować jej portret. Odparł, że namalowałby, gdyby miał czas. Potem przyjechał do Szwajcarii, a zimą spotkaliśmy się w Paryżu.

Nawet gdyby Lennox miał jakieś podejrzenia co do stosunków łączących pannę Everett z malarzem, to sposób, w jaki opowiedziała swoją historyjkę, skutecznie je zniweczył. Toteż zaraz wystąpił z pomysłem, by zważywszy na wielki talent młodzieńca oraz jego bezpośrednią znajomość twarzy narzeczonej, namówić go na sporządzenie jej portretu.

Marion zgodziła się bez niechęci i bez skwapliwości, zatem Lennox przedstawił artyście swoją propozycję. Ten poprosił o dzień lub dwa do namysłu, po czym odpowiedział (listownie), że z przyjemnością podejmie się zadania.

Panna Everett oczekiwała, że wobec planowanego odnowienia starej znajomości Stephen Baxter złoży jej wizytę pod auspicjami adoratora. I rzeczywiście zjawił się, ale sam, i nie zastawszy jej w domu, nie ponowił próby. Termin pierwszego posiedzenia ustalono zatem za pośrednictwem Lennox. Ten, widząc, że artysta nie znalazł jeszcze własnej pracowni, nader serdecznie zaproponował mu chwilowo pomieszczenie w swoim domu, przestronne i dobrze oświetlone, które pomyślano jako pokój bilardowy, lecz na razie jeszcze nie wyposażono. Co się tyczy portretu, Lennox nie wyraził żadnych życzeń, zostawiając wybór pozy i kostiumu samym zainteresowanym. Uznał, że malarz świetnie się orientuje, jakie są atuty Marian; do jej dobrego smaku miał bezgraniczne zaufanie.

Panna Everett przybyła umówionego ranka, eskortowana przez ojca; pan Everett, który tym głównie pragnął się chlubić, że wszystko robi zgodnie z etykietą, już wcześniej postarał się, aby go przedstawiono malarzowi. Po krótkiej wymianie uprzejmości Baxter i Marian przystąpili do dzieła. Panna Everett pogodnie zapowiedziała, że zastosuje się do życzeń i kaprysów artysty, jednocześnie jednak nie tała, że ma własne zdanie o tym, czego można spróbować, a czego należy unikać.

Młody człowiek nie był zaskoczony odkryciem, że jej opinie są rozsądne, a życzenia zrozumiałe. Nie musiał spełniać niczyich żądań, iść na kompromis z upartym i chorobliwym uprzedzeniem ani rezygnować z najlepszych intencji na rzecz krótkowzrocznej próżności.

Nie miejsce tutaj, by rozstrzygać, czy panna Everett była próżna, czy nie. Miała dosyć

rozumu, by pojąć, że oświecona roztropność zyskuje najbardziej, kiedy obraz okazuje się dobry z punktu widzenia malarza, taki jest bowiem główny cel malarstwa. Chciałbym ponadto dodać na jej korzyść, że doskonale wiedziała, jak wielką artystyczną wartość musi posiadać dzieło wykonane z nakazu namiętności, aby stać się czymś więcej niż tylko szyderstwem, parodią okresu, gdy ta namiętność trwała; że czuła instynktownie, iż nic tak nie studzi ferworu artysty jak ingerencja nielogicznej interesowności, czy to w jego, czy w cudzym imieniu.

Baxter pracował szybko i pewnie, toteż po dwóch godzinach poczuł, że zrobił dobry początek. Groziło mu, że siedzący z boku pan Everett będzie nudził, najwyraźniej wmówiwszy sobie, że ma obowiązek umilać posiedzenie tandetną pogawędką o sztuce. Lecz Marian przyjaźnie wzięła na siebie przypadającą na malarza część dialogu, a więc nic nie rozpraszało go przy pracy.

Kolejną sesję wyznaczono następnego dnia rano. Marian miała na sobie suknię zaakceptowaną przez malarza, w której, podobnie jak w jej pozie, element „malowniczości” został skrupulatnie wytłumiony. Z oczu Baxtera wyczytała, że wygląda nadzwyczaj pięknie, dostrzegła również, że palce go świerzbią, by zabrać się do pracy. Mimo to kazała wezwać Lennox pod pretekstem uzyskania jego aprobaty – suknia wszak była czarna, a czarny mógł mu się nie spodobać. Przyszedł i w jego dobrych oczach ujrzała, w mocniejszej wersji, tę samą pochwałę co u Baxtera. Entuzjastycznie odniósł się do czarnej sukni, która, niczym poważny okrzyk matki, rzeczywiście zdawała się podkreślać i wzbogacać niezmaconą młodość dziewczyny.

– Oczekuję – zwrócił się Lennox do Baxtera – że stworzy pan arcydzieło.

– Bez obawy – odparł artysta, stukając się w czoło – już jest stworzone.

Tym razem pan Everett, wyczerpany intelektualnym wysiłkiem dnia poprzedniego i zachęcony wygodą fotela, zapadł w spokojną drzemkę. Nasza dwójka przez jakiś czas nasłuchiwała jego regularnego oddechu: Marian cierpliwie wpatrywała się w ścianę przed sobą, młodzieniec mechanicznie wodził wzrokiem między modelką i płótnem. Wreszcie malarz cofnął się o kilka kroków, aby obejrzeć swe dzieło. Marian poruszyła głową i ich oczy się spotkały.

– Cóż, panno Everett – powiedział Baxter głosem, który zapewne by zadrżał, gdyby nie jego usilne starania, by się opanować.

– Cóż, panie Baxter? – odrzekła dziewczyna.

I wymienili przeciągłe, stanowcze spojrzenia, które zakończyły się uśmiechem – uśmiechem wyraźnie z tej samej rodziny co słynny śmiech aniołów za ołtarzem świątyni.

– Cóż, panno Everett – powtórzył malarz, wracając do pracy – takie jest życie!

– Na to wygląda – przytaknęła panna Everett. Milczała przez chwilę, po czym zapytała: – Dlaczego nie przyszedł mnie pan odwiedzić?

– Przyszedłem, lecz nie zastałem pani.

– Czemu nie przyszedł pan drugi raz?

– Co by to dało, panno Everett?

– Po prostu byłoby przyzwoiciej. Mogliśmy się pojednać.

– Najwyraźniej i tak do tego doszło.

– Chciałam rzec, „formalnie”.

– To niedorzeczne. Nie widzi pani, że mój odruch był słuszny? Cóż prostszego niż nasze obecne spotkanie? Zapewniam panią, że wszelkie rozmowy o przeszłości, wzajemne zapewnienia czy przeprosiny byłyby dla mnie nieznośne.

Panna Everett oderwała wzrok od podłogi i wpatrzyła się w towarzysza na poły z wyrzutem. – A więc przeszłość jest dla pana taka nieznośna?

Baxter spojrzał na nią zdumiony. – Wielkie nieba! – zawołał. – Ależ oczywiście!

Panna Everett spuściła oczy i zamilkła.

Pozwolę sobie wykorzystać tę przerwę, aby krótko objaśnić czytelnikowi wydarzenia, do których odnosiła się powyższa rozmowa.

Panna Everett w sumie nie uznała za wskazane, by wyjawić przysłuszanemu mężowi całą historię swej znajomości ze Stephenem Baxterem; gdy zaś przedstawię, co pominęła, czytelnik zapewne pojmie jej ostrożność.

Tak jak mówiła, młodego człowieka poznała w Rzymie, gdzie w trakcie dwóch rozmów zostawiła w jego sercu niezatarty ślad. Poczł, że dałby wiele, by znów zobaczyć pannę Everett, toteż ich ponowne spotkanie w Szwajcarii nie było całkowicie przypadkowe; Baxter doprowadził do niego tym łatwiej, że mógł powołać się na coś w rodzaju dalekiego powinowactwa z towarzyszącą Marian panią Denbigh. Za pozwoleniem owej damy dołączył do ich grona: podążał trasą ich wędrówki, zatrzymywał się tam gdzie one, był nadskakująco grzeczny i uczynny. Nie minął tydzień, a pani Denbigh, uosobienie wylewnej dobroci, zaczęła wynosić pod niebiosa pojawienie się nieocenionego krewniaka. Była wszakże z natury mało wymagająca, a co więcej, na skutek ciągłych dolegliwości fizycznych, bierna i apatyczna, więc jej obecność podczas wspólnie spędzanych godzin okazała się mało znacząca. Nietrudno sobie wyobrazić, jak rozkosznie mijały te godziny naszej dwójce; wszelkie zaloty rozpoczęte pośród najbardziej romantycznej scenerii w Europie są już w połowie udane. Przyjemność, z jaką Marian, obdarzona wrodzonym wyczuciem piękna przyrody, chłoneła wspaniałe alpejski krajobraz, dodawała blasku jej zaletom towarzyskim. Nigdy dotąd nie wyglądała tak korzystnie; nigdy dotąd nie poznała tak doskonałej wolności, szczerości, wesołości. Po raz pierwszy w życiu wzięła kogoś w niewolę, nic o tym nie wiedząc. Oddała swe serce górcom i jeziorom, wiecznym śniegom i sielskim dolinom, a czuwający u jej boku Baxter schwytał je w locie. Miał wrażenie, że jego długo planowany pobyt w Szwajcarii wyolbrzymiał, wypiękniał dzięki udziałowi panny Everett – dzięki potokowi kobiecej sympatii, który wciąż płynął w zasięgu słuchu, chłodny i czysty niczym górski strumień. Och! gdybyż jego źródłem nie były tylko wieczne śniegi! A już jej uroda – bezbrzeżna uroda – urzekła go wprost nieustannie. Panna Everett w salonie była tak całkowicie na właściwym miejscu, że niemal logiczny wydawał się wniosek, że nie będzie dobrze wyglądać nigdzie indziej. Jednak w istocie, co Baxter stwierdził osobiście, w roli tego, co panie zwykły nazywać „straszydłem” – spalona słońcem, zakurzona, przegrzana, ożywiona i głodna – wyglądała dostatecznie ładnie, by wymykać się krzywdzącym porównaniom.

Pewnego ranka pod koniec trzeciego tygodnia, stojąc przy niej nad rwącym wodospadem, wysoko nad zieloną wypukłością wzgórz, Baxter poczuł przemożną chęć

złożenia deklaracji. Grzmot kaskady głośzył wszelkie słowa; a zatem malarz stworzył szkicownik i na pustej kartce skreślił dwa krótkie wyrazy. Podał szkicownik panie Everett, która przeczytawszy liścik, ślicznie się zarumieniła i obrzuciła autora szybkim spojrzeniem. Następnie wyrwała kartkę z notesu.

– Proszę tego nie niszczyć! – zawołał młodzieniec.

Z ruchu warg zrozumiała, co mówi, i z uśmiechem pokręciła głową. Pochyliła się jednak, wzięła z ziemi kamyk i owinęła weń list, jakby zamierzając cisnąć go do wody.

Baxter, speszony, wyciągnął rękę, by odebrać pakiecik. Przełożyła go do drugiej dłoni i podała mu tę, którą próbował pochwycić.

List wyrzuciła, ale ręki nie zabrała.

Baxter miał do dyspozycji jeszcze tydzień, który dzięki Marian był dlań bardzo szczęśliwy. Pani Denbigh czuła się zmęczona, więc zrobili przerwę w podróży; nic nie zakłócało ich sam na sam. Dużo rozmawiali o rozciągającej się przed nimi długiej przyszłości, a oddaliwszy się od huku wodospadu, szybko postanowili budować ją wspólnie.

Na nieszczęście oboje byli biedni. W tej sytuacji uzgodnili, że nie ogłoszą swoich zaręczyn, dopóki Baxter, ciężko pracując, nie pomnoży swych dochodów przynajmniej czterokrotnie. Była to decyzja okrutna, lecz konieczna i Marian nie zgłaszała zastrzeżeń. Pobyt w Europie zmienił jej wyobrażenia o materialnych potrzebach ładnej kobiety, naturalną więc kolejną rzeczą po takim doświadczeniu nie śpieszyła się do wstąpienia w związek małżeński z ubogim artystą. Po kilku dniach Baxter wyruszył do Niemiec i Holandii, które chciał trochę zwiedzić w ramach prowadzonych studiów, a pani Denbigh wraz z młodą podopieczną udały się na zimę do Paryża. Tutaj w połowie lutego, zakończywszy wędrówkę po Niemczech, ponownie dołączył do nich Baxter. W podróży otrzymał od Marian zaledwie pięć krótkich, czułych listów – niewiele, jednak młody mężczyzna nawet w powściągliwości ukochanej wyczuwał pewną nutę czulej, utajonej wierności. Powitała go z całą otwartością i słodyczą, jakiej miał prawo oczekiwać, i z wielkim zainteresowaniem wysłuchała jego relacji o czekającej go poprawie perspektyw życiowych. Sprzedał trzy obrazy z Włoch, zgromadził też bezcenną kolekcję rysunków: znajdował się na najlepszej drodze do sławy i bogactwa, więc nie było już powodu, by wstrzymywać się przed ogłoszeniem zaręczyn. Lecz ta ostatnia propozycja wzbudziła sprzeciw Marian – sprzeciw tak silny, a zarazem tak nieuzasadniony, że doszło między nimi do dość przykrej sceny, po której Stephen opuścił pannę rozdrażnioną i skonsternowaną. Kiedy zaszedł do niej następnego dnia, powiedziano mu, że jest niezdrowa i nie może go przyjąć – i następnego dnia, i jeszcze następnego. Wieczorem po trzeciej bezowocnej wizycie u pani Denbigh, na jakimś dużym przyjęciu nagle dobiegło go imię Marian. Rozmawiały dwie starsze panie, które bynajmniej nie starały się zachować tajemnicy, nadstawił więc ucha i dowiedział się, że jego wybrance postawiono zarzut igrania z uczuciami udręczonego młodzieńca, jedyne go syna jednej z dam. Najwyraźniej nie brakowało na to dowodów bądź też faktów, które można by uznać za dowody. Baxter wrócił do domu *la mort dans l'âme*, a następnego dnia znów złożył wizytę pani Denbigh. Marian nadal nie opuszczała swego pokoju, lecz starsza pani zdecydowała się go przyjąć; Stephen, bardzo

wzburzony, lecz myślący trzeźwo, skupił się zatem na przesłuchaniu gospodyni.

Pani Denbigh, nieruchawa jak zwykle, nawet nie podejrzewała, jak stoją sprawy między młodymi ludźmi.

– Przykro mi to mówić – zagaił Baxter – ale wczoraj wieczorem słyszałem, że pannie Everett zarzuca się bardzo niegodny postępek.

– Ach, Stephen, na litość boską – odparła krewna – nie wracajmy do tego. Przez całą zimę nic nie robię, tylko bronię jej postępowania i łagodzę jego skutki. Przynajmniej ty mnie do tego nie zmuszaj. Znasz ją równie dobrze jak ja. Zachowała się nierozważnie, wiem, że teraz jest skruszona, a skoro już o tym mówimy, to dobrze, że z tym skończyła. Ten młody człowiek w żadnym razie nie był dla niej odpowiedni.

– Dama, która o tym wspomniała – rzekł Stephen – wyrażała się o nim z najwyższym uznaniem. Oczywiście, okazało się później, że to jego matka.

– Jego matka? Mylisz się. Jego matka zmarła dziesięć lat temu.

Baxter założył ręce z uczuciem, że musi się trzymać.

– *Allons* – powiedział – o kim właściwie pani mówi?

– O młodym panu Kingu.

– Wielkie nieba – zawołał Stephen – to jest ich dwóch?

– A o kim ty mówisz, jeśli łaska?

– O jakimś panu Youngu. Jego matka to przystojna starsza pani z siwymi lokami.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że coś łączy Marian z Frederikiem Youngiem?

– *Voilà!* Tylko powtarzam, co słyszałem. Wydawało mi się, droga pani Denbigh, że powinna pani o tym wiedzieć.

Pani Denbigh melancholijnie pokręciła głową.

– Ja już naprawdę nic nie wiem – westchnęła. – Poddaję się. Młodzi ludzie zachowują się wobec siebie zupełnie inaczej niż za moich czasów. Nie wiadomo, czy chodzi im o wszystko, czy o nic.

– Wie pani przynajmniej, czy pan Young bywał w pani salonie?

– O, tak, często. Bardzo mi przykro, że o Marian się mówi. To dla mnie nieprzyjemne. Ale co ma począć chora kobieta?

– Dobrze – rzekł Stephen – dość o panu Youngu. Przejdźmy do pana Kinga.

– Pan King wrócił do domu. Szkoda, że w ogóle stamtąd wyjeżdżał.

– W jakim sensie?

– Och, to dureń. Nie ma pojęcia o młodych dziewczynach.

– Słowo daję – powiedział Stephen *espressivo*, jak to piszą w partyturach – można być bardzo mądrym i wciąż ich nie rozumieć.

– Swoją drogą, Marian rzeczywiście była nieroztropna. Chciała być życzliwa, lecz posunęła się za daleko. Stała się zalotna. I zanim się ocknęła, już żądał od niej wyjaśnień.

– On jest przystojny?

– Całkiem przystojny.

– I bogaty?

– Bardzo bogaty, jak sądzę.

– A ten drugi?

- Jaki drugi?
- No, pani przyjaciel Young.
- Owszem, też jest dość przystojny.
- I też jest bogaty?
- Tak, wydaje mi się, że on również jest bogaty.

Baxter zamilkł na chwilę.

- I nie ma wątpliwości – podjął w końcu – że obaj wpadli po uszy?
- Mogę odpowiadać tylko za pana Kinga.

– No, to ja odpowiem za pana Younga. Jego matka nie mówiłaby tego wszystkiego, gdyby nie świadomość, że jej syn cierpi. Cóż, to chyba nie świadczy zbyt wiele na niekorzyść Marian. Dwaj przystojni milionerzy są w niej szaleńczo zakochani, a ona odprawia jednego i drugiego. Nie dba ani o urodę, ani o pieniądze.

– Tego bym nie powiedziała – oznajmiła pani Denbigh z namysłem. – Dbą o te rzeczy, ale nie wyłącznie. Chce je mieć, ale chce też talentu. Ach, Stephen, gdybyś ty był bogaty... – dodała poczciwa dama niewinnie.

Baxter wziął kapelusz.

– Ktoś, kto chce poślubić pannę Everett – sarknął – musi bardzo uważać, by nie powiedzieć zbyt dużo o panu Kingu i o panu Youngu.

Dwa dni później osobiście odbył rozmowę z dziewczyną. Być może czytelnikowi nie spodoba się łatwość, z jaką jego zaufanie uległo zachwianiu, niemniej faktem jest, że nie potrafił potraktować tych beztroskich rewelacji z równą bez troską. Dla niego miłość była namiętnością; dla niej, jak musiał przyznać, tylko prostacką rozrywką. Jako człowiek o krewkim usposobieniu od razu doszedł do sedna.

– Marian – powiedział – oszukiwałaś mnie.

Marian dobrze wiedziała, o co mu idzie – dobrze wiedziała, że narzeczeństwo ją znudziło i jakkolwiek jej zachowaniu wobec panów Kinga i Younga nie dało się wiele zarzucić, wobec Baxtera dopuściła się poważnej nielojalności. Czowała, że cios został zadany, a zaręczyny nieodwołalnie zerwane. Wiedziała też, że Stephen nie pozwoli się zbyć połowicznymi wyjaśnieniami czy wymówkami, jednak innych nie umiała mu udzielić. Nawet tysiąc wykrętów nie zastąpi szczerego wyznania; rezygnując zatem z próby ratowania swych „widoków”, na których przestało jej zależeć, podjęła tylko próbę ocalenia godności. Chwilowo jej godność była dość bezpieczna pod osłoną przyrodzonego, na poły cynicznego chłodu, lecz właśnie ów dystans zostawił w pamięci Stephena wrażenie, że ma do czynienia z osobą bezduszną i płytką, co przynajmniej w jego konkretnym przypadku na zawsze położyło kres pretensjom panny do prawdziwych walorów i wartości. Odmówiła młodzieńcowi prawa do żądania jakichkolwiek wyjaśnień i do ingerencji w jej postępowanie; niemal uprzedziła jego propozycję, by uznali swe narzeczeństwo za zakończone. Nie chciała skorzystać nawet z tak logicznej broni jak płacz. W tych okolicznościach, rzecz jasna, wymiana zdań nie trwała długo.

– Sądzę – rzekł Baxter na odchodnym – że jesteś najbardziej powierzchowną i nieczułą kobietą, jaką znam.

Natychmiast opuścił Paryż i udał się do Hiszpanii, gdzie pozostał do lata. W maju

pani Denbigh i jej protegowana wyjechały do Anglii, gdzie ta pierwsza miała po mężu liczne koneksje i gdzie zgoła nieangielska uroda Marian znalazła wielu admiratorów. We wrześniu wypłynęły do Ameryki. Od rozstania Baxtera z panną Everett do ich ponownego spotkania w Nowym Jorku upłynęło zatem około półtora roku.

Przez ten czas rany młodego człowieka zdążyły się zagoić. Jego rozgoryczenie, choć gwałtowne, miało krótki żywot, a gdy wreszcie odzyskał zwykłą równowagę, poczuł zadowolenie, że zdołał się wywinąć za cenę odrobiny cierpienia. Oceniając w spokojniejszym nastroju swoje opinie na temat panny Everett, zdecydował, że wcale nie była kobietą, której pragnął, właściwie nie była nawet kobietą, którą sobie wybrał. „Dzięki Bogu – mówił – że mam to za sobą. Jest niepoprawnie płocha. Jest pusta, próżna, pospolita”. W jego zalotach było coś zdyszanego i gorączkowego, w wymyślonej namiętności – coś sztucznego i nierzeczywistego. W połowie był to skutek scenerii, pogody, zwykłej towarzyskiej bliskości, a nade wszystko, malowniczej urody dziewczyny, nie wspominając o wręcz zachęcającej pobłażliwości i ociężałości biednej pani Denbigh. Kiedy więc w Madrycie odkrył, że bardzo interesuje go Velázquez, odsunął od siebie wszelkie myśli o byłej narzeczonej.

Jego sądu o panie Everett nie uważam za ostateczny, ale przynajmniej był sumienny. Pod wpływem złudnego uczucia obdarzył wielkim uznaniem jej powaby i wdzięki; zyskał zatem prawo, gdy złudzenia przysły, by sporządzić szacunek jałowych obszarów jej ducha. Panna Everett mogła z łatwością zarzucić mu okrucieństwo i niesprawiedliwość, lecz na jego obronę wciąż przemawiał fakt, że ogromnie cenił sobie prawdę. Marian, odwrotnie, była na nią całkiem obojętna, a gniewna opinia Stephena o jej zachowaniu nie wzbudziła w jej skarłałej duszy żadnego odzewu.

Czytelnik zapewne ma już wystarczające pojęcie, jakie były uczucia obojga przyjaciół, kiedy spotkali się twarzą w twarz, trzeba jednak dodać, że upływ czasu bardzo osłabił siłę tych uczuć. Chyba żadna kobieta nie może sobie życzyć bardziej swobodnego, niekrępującego i nieskrępowanego towarzysza, aniżeli rozczarowany kochanek; przy założeniu, oczywiście, że proces rozczarowania całkowicie się zakończył i od tego wydarzenia upłynął pewien czas.

Marian również była zupełnie naturalna. Nie po to podczas ostatniej, przykrej rozmowy zachowała spokój – który można wręcz nazwać filozoficznym – żeby go teraz utracić. Nie czuła urazy do byłego adoratora; jego pożegnalne słowa były – jak wszystkie słowa w mniemaniu Marian – zaledwie *façon de parler*. Panna Everett w ostatnich dniach panieństwa cieszyła się tak wyśmienitym humorem, że w przeszłości nie widziała nic, czego nie mogłaby wybaczyć. Toteż okrzyk rozmówcy sprawił, że oblała się lekkim rumieńcem, jednak pozostała niespeszona.

– Prawda jest taka, panie Baxter – powiedziała, przywołując całą pogodę usposobienia – że w obecnej chwili jestem ze światem w doskonałej komitywie; wszystko widzę *en rose*, zarówno przeszłość, jak i przyszłość.

– Ja również jestem ze światem w dobrej komitywie – odparł pan Baxter – i w głębi serca pogodziłem się z tym, co pani nazywa przeszłością. Niemniej jest mi bardzo przykro o niej myśleć.

– Ach – zauważyła panna Everett z wielką słodyczą – w takim razie obawiam się, że

pan się nie pogodził.

Baxter zaśmiał się tak głośno, że panna Everett obejrzała się na ojca. Ale pan Everett nadal spał wielkopańskim snem. – Nie wątpię – rzekł malarz – że daleko mi do pani chrześcijańskiego ducha. Ale zapewniam, że bardzo się cieszę, znowu panią widząc.

– Wystarczy jedno słówko, a zostaniemy przyjaciółmi.

– Byliśmy bardzo głupi, próbując być czymś więcej.

– „Głupi”, owszem. Lecz, przyzna pan, było to ładne głupstwo.

– Ależ nie, panno Everett. Jako artysta roszczę sobie prawo własności do słowa „ładne”. Nie powinna pani tutaj go wtrącać. Nie może być ładne coś, co skończyło się tak brzydko. To wszystko był fałsz.

– Cóż... jak pan chce. Co pan porabiał od naszego rozstania?

– Podróżowałem i pracowałem. Zrobiłem w swoim fachu wielkie postępy. I krótko przed powrotem do kraju się zaręczyłem.

– Zaręczył się pan? ...à la bonne heure. Czy ona jest dobra? Czy jest ładna?

– Nie dorównuje pani urodą.

– Innymi słowy, nieskończenie przewyższa mnie dobrocią. Naprawdę, mam nadzieję, że tak jest. Ale dlaczego pan z nią nie przyjechał?

– Została z siostrą, nieszczęśliwie chorą, która pije nad Renem wody mineralne. Chciały tam zabawić do nastania chłodów. Wracają za kilka tygodni i zamierzamy od razu się pobrać.

– Gratuluję panu z całego serca – powiedziała Marian.

– Pan pozwoli, że się przyłączę – oznajmił pan Everett, budząc się instynktownie, co czynił zawsze, kiedy rozmowa przybierała uroczysty obrót.

Panna Everett zgodziła się zaledwie na trzy dodatkowe posiedzenia, toteż większą część pracy malarz wykonał z pomocą fotografii. Pan Everett, także obecny przy tych spotkaniach, znowu z właściwą sobie wrażliwością uległ usypiającym wpływom swojej pozycji. Młodzi ludzie mieli wszakże dość dobrego smaku, by powstrzymać się od dalszych wzmianek o minionym związku, i ograniczyli pogawędkę do spraw mniej osobistych.

II

Pewnego popołudnia, gdy portret był już na ukończeniu, John Lennox zajrzał do pustej pracowni, aby ocenić postęp pracy. Zarówno Baxter, jak i Marian wyrazili życzenie, by nie oglądał dzieła na wcześniejszych etapach, widział je zatem po raz pierwszy. Pół godziny później, gdy Baxter, niezapowiedziany, wszedł do pomieszczenia, zastał Lennox siedzącego przed obrazem, pogrążonego w głębokiej zadumie. Baxter otrzymał klucz do budynku, umożliwiający mu łatwy i szybki dostęp do obrazu, kiedykolwiek nasza go ochota.

– Przechodziłem tędy – wyjaśnił – i nie mogłem się powstrzymać, by tu nie zajrzeć; chciałem poprawić błąd, który popełniłem dziś rano, póki mam w umyśle świeży ślad tej

potworności. – To mówiąc, zasiadł do pracy; Lennox stał obok i przyglądał się.

– No więc – zapytał wreszcie malarz – jak się panu podoba?

– Nie całkiem.

– Proszę, niech pan przedstawi swoje zastrzeżenia. Ma pan szansę udzielić mi konkretnej pomocy.

– Nie bardzo wiem, jak sformułować obiekcje. W każdym razie najpierw chciałbym podkreślić, że ogromnie podziwiam pańskie dzieło. To z pewnością najlepszy obraz, jaki pan namalował.

– Szczerze mówiąc, też tak sędzę. Niektóre fragmenty – rzekł Baxter z prostotą – są doskonałe.

– To rzuca się w oczy. Lecz albo te fragmenty, albo jakieś inne sprawiają niesłychanie przykre wrażenie. Wiem, że to nie jest rzetelna krytyka; ale płacę panu za to, by móc wypowiadać się arbitralnie. Są zbyt bezwzględne, zbyt przejmujące, pochodzą z rzeczywistości, która jest zbyt brutalna. Słowem, pański obraz mnie przeraża; na miejscu Marian czułbym, że dopuszczono się wobec mnie gwałtu.

– Przepraszam za to, co przykre; ale chciałem, by wszystko było prawdziwe. Opowiadam się za rzeczywistością, pan musiał to dostrzec.

– Ma pan moje poparcie; rozmach i siła, z jaką dąży pan do tej rzeczywistości, zasługują na najwyższy podziw. Ale nie może pan być realistą, nie będąc brutalnym, nie usiłując, jak to mówią, być a k t u a l n y m .

– Nie przyznaję się do winy; nie jestem brutalny. Widzę jednak, panie Lennox, że tą drogą nie całkiem udało mi się pana zadowolić. Potraktowałem obraz zbyt *au sérieux*. Za bardzo starałem się osiągnąć pełnię. Skoro jednak nie podoba się panu, to może spodoba się innym.

– W to nie wątpię. Ale nie w tym rzecz. Obraz jest tak dobry, że mógłby być tysiąc razy lepszy.

– Oczywiście, nie przeczę, że jest w nim dość miejsca na nieskończoną liczbę poprawek, i widzę, że kilka szczegółów mógłbym namalować lepiej. Ale w zasadzie portret już istnieje. Powiem panu, czego panu brakuje: moja praca nie jest „klasyczna”; ściśle mówiąc, nie jestem genialny.

– Przeciwnie, podejrzewam, że pan jest. Ale, jak pan powiedział, praca nie jest klasyczna; pozostanę przy swoim określeniu *b r u t a l n a*. Wie pan co? Zbyt przypomina akademickie studium. Nadał pan biednej pannie Everett wygląd zawodowej modelki.

– Jeżeli tak, to postąpiłem bardzo źle. Nigdy nie miałem modelki bardziej swobodnej i mniej skrepowanej. Patrzę na nią z zachwytem.

– Niech to richo, jej swobodę też pan odmalował. Cóż, nie mam pojęcia, co tu nie gra. Poddaję się.

– Sędzę – rzekł Baxter – że powinien pan wstrzymać się z werdyktem, aż obraz będzie ukończony. Jestem pewien, że jest w nim klasyczny składnik, ale go nie wydobyłem. Proszę poczekać kilka dni, a wypłynie na powierzchnię.

Lennox zostawił artystę samemu sobie; ten zaś zawzięcie malował do zapadnięcia zmroku i odłożył pędzle, dopiero gdy w ciemnościach przestał cokolwiek widzieć.

Wychodząc, spotkał w holu Lennox.

– *Exegi monumentum* – powiedział. – Skończone. Proszę iść i oglądać do woli. Przyjdę rano posłuchać pańskich impresji.

Po jego odejściu pan domu zapalił pół tuzina lamp i wrócił do studiowania obrazu. Portret niezmiernie zyskał na ostatnich zabiegach malarza; czy to, jak zapowiadał Baxter, wyzwolił się w nim składnik klasyczny, czy to Lennox był nastawiony bardziej wyrozumiale, w każdym razie teraz robił wrażenie oryginalnego i przejmującego dzieła sztuki, prawdziwego portretu, świadomego wizerunku ludzkiej twarzy i postaci. To była Marian, najprawdziwsza Marian, zmierzona i zbadana z ogromną cierpliwością. Jej uroda, jej słodycz, jej młodzieńczy powab i ulotny czar – wszystko to zostało zatrzymane na zawsze, aby trwać nietknięte i wieczne. Nic nie mogło być prostsze niż koncepcja i kompozycja obrazu. Dziewczyna siedziała spokojnie, patrząc nieco w prawo, z uniesioną głową i dłońmi – dziewiczymi dłońmi bez bransolet i pierścionków – złożonymi beczynn timer na podołku. Jej jasne włosy, zaplecione w warkocze i upięte na czubku głowy (według najnowszej mody), ukazywały niemal dziecięcy zarys policzków i uszu. W oczach lśniło zadowolenie, kolor i blask; usta rozchyliły się lekko. Ściśle mówiąc, koloru w obrazie pojawiała się niewiele, lecz czarne draperie promieniały odbitym światłem, skóra zaś modelki – ludzkim rumieńcem i bladością, pulsującym zdrowiem i życiem. Było to dzieło mocne i proste, przedstawiające postać całkowicie wyzbytą sztywności i afektacji, a przecież doskonale wytworną.

„Oto, co znaczy być artystą – pomyślał Lennox. – I tego wszystkiego dokonano przez ostatnie dwie godziny”.

Była to jego Marian, z całą pewnością, oraz wszystko, co go w niej urzekło – i nadal go urzekało za każdym razem, kiedy ją widział: zniewalająca pewność siebie, cudowna lekkość, urok kobiecości. Jednak w miarę, jak na nią patrzył, w jego oczach pojawiał się wyraz bólu, który w końcu przerodził się w śmiertelny ciężar.

Lennox naprawdę kochał, kochał z całą mocą; ale kochał też rozumnie, jak przystało na piętnaście lat doświadczenia w sprawach ludzkich. Miał przenikliwe spojrzenie i lubił czynić z niego użytek. Po wielekroć, gdy wymowne oczy i usta Marian obficie raczyły go skarbami jej ducha, on zaś ujmował jej twarz w dłonie, obsypywał pocałunkami i składał namiętne przysięgi, nagle gwałtownie się wzdrygał i wołał bezgłośnie: „Ale – ach! – gdzie jest serce?”. Pewnego dnia zapytał ją (niewątpliwie bez związku):

– Marian, gdzie ty masz serce?

– G d z i e ... O co ci chodzi? – zdumiała się panna Everett.

– Myślę o tobie od rana do wieczora. Składałam cię w jedno i rozbieram na części, jak w tej grze, w której ludzie układają słowa z przydzielonych porcji liter. Ale zawsze jednej litery mi brak. Nie mam pod ręką twojego serca.

– John – rzekła pomysłowo Marian – moje serce to cały wyraz. Moje serce jest wszędzie.

To nawet mogła być prawda. Panna Everett sprawiedliwie rozprowadziła swe serce po całym ciele, czego naturalnym skutkiem była skąpa obecność tego organu w przyrodzonym miejscu. Lennox, wpatrując się w znakomite dzieło Baxtera, czuł, że to pytanie znów wypływa na jego usta, lecz jeśli nawet podsunął mu je portret Marian, to

portret Marian nie umiał na nie odpowiedzieć; mogła to zrobić tylko ona sama. Lennox miał wrażenie, że jakaś potężna moc wydobyla z jego ukochanej najintymniejsze drgnienia duszy i przelała je na płótno mocnymi, namiętymi pociągnięciami pędzla. Marian uosabiała beztroskę, beztroska stanowiła o jej uroku – czy zatem było możliwe, że jej duszy również brakowało powagi? Czyżby była istotą bez wiary i bez sumienia? Jakież inne znaczenie mogła mieć straszliwa bezmyślność i martwota, przyćmiewająca blask jej oczu i kradnąca uśmiech z jej warg? Zjawisk tych nie dało się pominąć, tym bardziej że pod innymi względami artysta wykazał się głęboką wnikliwością. Był tyleż lojalny i przychylny, co inteligentny. Żadna cecha wyglądu dziewczyny nie została zlekceważona, wszystkie rysy oddano wyraziście i subtelnie. Czy Baxter był cudownie wrażliwym człowiekiem, obdarzonym niezrównanym zmysłem obserwacji – czy jedynie cierpliwym i niestrudzonym artystą, tworzącym nieskończenie lepiej, niż sam wiedział? Ale czy zwykły malarz nie zadowoliliby się przedstawieniem panny Everett w zdecydowanej, bogatej, obiektywnej manierze, której obraz był świetnym przykładem – i niczym ponadto? Nie ulegało bowiem kwestii, że Baxter zrobił coś p o n a d t o . Malował, posługując się nie tylko wiedzą, także uczuciem i wyobraźnią. Prawie komponował – a jego kompozycja zawierała prawdę.

Lennox nie potrafił rozstrzygnąć wątpliwości. Chętnie byłby uwierzył, że obraz nie zawiera innych wyobrażeń aniżeli dostarczone przez jego własny umysł, a czcza słodycz oczu i ust modelki to tylko uśmiech młodości i niewinności. Czuł zamęt w głowie – był nedorzecznie kapryśny i podejrzliwy; zgasił więc światła i zostawił portret w życzliwych ciemnościach. Po czym, częściowo, by wynagrodzić całą rzecz wybrance, częściowo zaś, by sprawić sobie przyjemność, poszedł spędzić godzinę z Marian. I stwierdził, że ona przynajmniej nie ma żadnych zastrzeżeń. Uważała portret za bardzo udany; z wielką chęcią dałaby się w tej formie przekazać potomnym. Mimo to po powrocie Lennox znów zaszedł do pracowni. Tym razem zapalił tylko jedną lampę. Faj! było gorzej, niż kiedy palił się ich tuzin. Pośpiesznie zakręcił gaz.

Baxter przyszedł nazajutrz, tak jak obiecał. Biedny Lennox, po dwunastu godzinach nieprzerwanych rozmyślań miał w oczach wyraz cierpienia tak intensywny, że malarz pojął, iż jego źródłem musi być coś więcej niż tylko uznanie dla sztuki.

„Czyżby ten człowiek był zazdrosny?” – pomyślał Baxter. Chciał jedynie namalować dobry portret i był wolny od jakichkolwiek ubocznych zamysłów, do tego stopnia, że sumienie nie zdołało mu podpowiedzieć, gdzie leży źródło niepokoju gospodarza. Niemniej zaczął mu współczuć; w rzeczy samej, pokusę, by mu współczuć, odczuwał od samego początku. Lubił go i szanował, miał za rozsądnego i wrażliwego; jego zdaniem, była to wielka szkoda, że taki człowiek – jednostka o silnych potrzebach duchowych – związał swój los z Marian Everett. Ale dość szybko uznał, że Lennox doskonale wie, co robi, i nie trzeba go oświecać. Żenił się, by tak rzec, z otwartymi oczami, starannie zważywszy zyski i straty. Każdy ma własny gust; a Johna Lennox w wieku lat trzydziestu pięciu nikt nie musiał pouczać, że panna Everett nie jest tym wszystkim, czym być mogła. Baxter uznał za rzecz oczywistą, że jego przyjaciel z rozmysłem dokonał wyboru drugiej żony – że chciał poślubić ładną kobietkę, osobkę obdarzoną talentem do podejmowania gości, która będzie malowniczo wydawać pieniądze męża.

Nie miał pojęcia o tym, jak poważna była namiętność poczciwca, ani o tym, jak dalece jego szczęście zależało od czegoś, co można by nazwać złudzeniem. Baxter troszczył się tylko o to, by dobrze wykonać swoją pracę, a wykonał ją tym lepiej, że kiedyś, dawno temu, zainteresował się urzekającą twarzą Marian. Z całą pewnością nasycił swój obraz ową siłą charakteryzacji i głębią realizmu, która zwróciła uwagę jego przyjaciela, lecz uczynił to całkowicie bez wysiłku i bez złośliwości. Artystyczna połowa jego osoby z wigorem sprawowała władzę nad połową czysto ludzką, jedna karmiła się klęskami drugiej, tuczyła na jej radościach i zgryzotach. Młody człowiek był po prostu prawdziwym artystą – i gdzieś głęboko, w najtajniejszych zakamarkach jego silnej i uczuciowej natury, geniusz wszedł w bliską zażyłość z sercem, przenosząc na płótno całe brzemie rozczarowań i ustępstw. Zresztą po miłostce z Marian Baxter zdążył już poznać dziewczynę, której, jak sądził, mógł zaufać, którą mógł pokochać na zawsze; otrzeźwiony i umocniony nową emocją był w stanie dokładniej ocenić niedostatki dawnej ukochanej. Dlatego też malował z uczuciem – panna Everett nie mogła oczekiwać, że postąpi inaczej. Uczciwie zrobił, co w jego mocy, a werdykt zjawił się nieproszony i zwięźliwie dzieło.

Chociaż Lennox bardzo ciekawiła historia znajomości przyjaciela z jego przyszłą żoną, był daleki od zazdrości. W pewien sposób miał nawet wrażenie, że już nigdy zazdrosny nie będzie. Jednak ustalając okoliczności dawnego związku tych dwojga, w żadnym razie nie mógł pozwolić, by młody człowiek zaczął podejrzewać, że on, Lennox, odkrył w obrazie jakiś zasadniczy defekt.

– Dawna znajomość z panną Everett – rzekł w końcu szczerze – najwyraźniej bardzo się panu przydała.

– Chyba tak – potwierdził Baxter. – Istotnie, gdy tylko zacząłem malować, odkryłem, że jej twarz wraca do mnie jak na pół zapamiętana melodia. Była wtedy niezwykle ładna.

– Była o dwa lata młodsza.

– Tak, i ja też byłem młodszy o dwa lata. Zdecydowanie, ma pan rację. Wykorzystałem swe dawne wrażenia.

Do tego Baxter był skłonny się przyznać; ale stanowczo nie chciał wygadać się z czymś, co sama Marian trzymała w tajemnicy. Nie dziwił się, że nie powiedziała wielbicielowi o minionym narzeczeństwie – tego się właśnie spodziewał, niemniej próba naprawy owego zaniechania byłaby czymś niewybaczalnym.

Lennox miał zmysły tak wyostrzone bólem i podejrzeniem, że nie mógł nie dostrzec w oczach rozmówcy, iż ten zamierza coś ukryć. Postanowił to udaremnić. – Ciekaw jestem – zagadnął – czy był pan kiedykolwiek zakochany w panie Everett?

– Nie waham się powiedzieć, że tak – odparł Baxter, sądząc, że ogólne wyznanie pomoże mu bardziej niż szczegółowe zaprzeczenie. – Wyobrażam sobie, że byłem jednym z tysiąca. No, może tylko jednym ze stu. Ale widzi pan, przeszło mi. Jestem zaręczony.

Twarz Lennox aż się rozjaśniła. – Ach, tak – powiedział. – Teraz wiem, co nie podoba mi się w pańskim obrazie: punkt widzenia. Nie jestem zazdrosny – dodał – w przeciwnym razie obraz podobałby mi się bardziej. Ale pan najwyraźniej wcale nie

lubi tej biednej dziewczyny. Zakochanie przeszło panu aż za bardzo. Kochał ją pan, ona pozostała obojętna, więc teraz pan się mści. – Udręczony smutkiem Lennox szukał ucieczki w bezrozumnej złości.

Baxter był zaskoczony.

– Przyzna pan – rzekł z uśmiechem – że to bardzo piękna zemsta. – Tu przyszło mu na pomoc poczucie własnej zawodowej wartości. – Namalowałem pannie Everett najlepszy portret, jaki powstał w Ameryce. Ona jest z niego zadowolona.

– Ach! – zawołał Lennox z cudowną nieszczerością. – Marian jest bardzo wyrozumiała.

– A zatem – zapytał Baxter – o co panu chodzi? Zarzuca mi pan skandaliczne zachowanie, więc muszę żądać, by się pan wytłumaczył. – Baxtera również ogarnęła złość. – Czy jakoś zniekształciłem pannę Everett? Czy źle ją przedstawiłem? Czy temu portretowi czegoś brakuje? Czy jest źle namalowany? Wulgarny? Dwuznaczny? Nieskromny? – Podczas tej wyliczanki cierpliwość Baxtera całkiem się wyczerpała. – Zawracanie głowy! – zakrzyknął. – Wie pan równie dobrze jak ja, że obraz jest znakomity.

– Nie będę próbował zaprzeczać. Zastanawia mnie tylko, że Marian zechciała panu pozować.

Chlubnie świadczy o Baxterze, że wciąż trwał w swym postanowieniu, by nie zdradzić dziewczyny, pozwalając raczej Lennoxowi sądzić, że jest odrzuconym wielbicielem.

– Ach – zawołał – sam pan mówił, że panna Everett jest bardzo wyrozumiała!

Lennox był tak niemądry, że uznał to za przyznanie się do winy.

– Baxter, kiedy mówię, że pan się zemścił, nie chodzi mi o to, że zrobił to pan rozmyślnie i świadomie. Mój drogi, jakże mógł pan się powstrzymać? Rozczarowanie było proporcjonalne do straty, a reakcja proporcjonalna do rozczarowania.

– Tak, wszystko to bardzo ładnie, ale tymczasem wciąż na próżno czekam, by się dowiedzieć, co zrobiłem źle.

Lennox przeniósł wzrok z Baxtera na obraz i z powrotem z obrazu na Baxtera.

– No, proszę, niech pan mówi – rzekł malarz. – Po prostu przedstawiłem pannę Everett z całym wdziękiem, jaki ma w rzeczywistości.

– Och, niech jej wdzięki diabli porwą! – krzyknął Lennox.

– Panie Lennox – ciągnął młody człowiek – gdybym nie uważał pana za dżentelmena, a mimo pańskiej porywczowości wciąż pana za takiego uważam, to gotów byłbym uznać, że pan...

– Uznałby pan, że ja co?

– Gotów byłbym uznać, że chce pan po prostu zbić cenę za portret.

Lennox gwałtownie machnął ręką, znieczcierpliwiony. Jego rozmówca wybuchnął śmiechem i na tym dyskusja się zakończyła. Baxter odruchowo wziął do ręki pędzel i podszedł do płótna z niejasnym zamiarem wykrycia utajonych błędów; Lennox zbierał się do odejścia.

– Proszę zostać! – zawołał malarz, widząc, że gospodarz go opuszcza. – Jeśli ten obraz naprawdę pana obraża, zamażę go. Wystarczy jedno słowo. – I uniósł pędzel unurzany w czarnej farbie.

Lecz Lennox stanowczo pokręcił głową i wyszedł. Jednak zaraz wrócił. – Niech pan

zamazuje – powiedział. – Obraz, oczywiście, już należy do mnie.

Teraz wszakże Baxter pokręcił głową. – Aa, za późno – oznajmił. – Szansa przepadła.

Lennox udał się prosto do mieszkania pana Everetta. Marian w bawialni podejmowała porannych gości, toteż jej wybranek usiadł z boku i zaczekał, aż się ich pozbędzie. Gdy zostali sami, Marian zaczęła kpić z odwiedzających i przedrzeźniać ich maniery, co czyniła z niezrównanym wdziękiem i zapałem. Jednak Lennox ukrócił tę zabawę i wrócił do sprawy portretu. Zastanowił się; odwoływał wczorajsze obiekcje; obraz mu się podobał.

– Dziwię się tylko, Marian – dodał – że miałaś ochotę pozować panu Baxterowi.

– Dlaczego? – zapytała czujnie Marian. Dostrzegła, że wielbiciel czegoś się domyśla, i nie zamierzała do niczego się przyznawać, póki się nie dowie, co to takiego.

– Dawny amant zawsze jest niebezpieczny.

– Dawny amant? – Marian oblała się porządnym, szczerym rumieńcem. Ale natychmiast się opanowała. – Błagam, powiedz, skąd ta uroczą wiadomość?

– Och, jakoś wyciekła – odparł Lennox.

Marian zawahała się, po czym rzekła z uśmiechem: – Cóż, byłam odważna. Poszłam.

– Jak to się stało, że nic mi nie powiedziałaś?

– O czym ci nie powiedziałam, drogi Johnie?

– No, o amarach Baxtera. Daj spokój, nie bądź taka skromna.

S k r o m n a ! Marian odetchnęła swobodniej. – Mój drogi, co masz na myśli, żądając od przyszłej żony, żeby nie była skromna? Błagam, nie pytaj mnie o amory pana Baxtera. Cóż ja mogę o nich wiedzieć?

– O tej sprawie też nic nie wiedziałaś?

– Ach, mój drogi. Wiem o wiele za dużo, by dobrze się z tym czuć. Na szczęście dzielnie sobie poradził. Jest zaręczony.

– Zaręczony, ale nie całkiem uwolniony. To uczciwy człowiek, moja droga, ale pamięta o swoim *penchant*. Robił, co mógł, by uniknąć w swej pracy sentymentalizmu. Widział cię taką, w jakiej się zadurzył – jakiej sobie życzył; i obdarzył cię minką, jak sobie wyobraża, moralnego powabu. Niewiele brakowało, a byłby zepsuł obraz. Baxter nie ma zbyt wielkiej wyobraźni, gdyż taka mina, w gruncie rzeczy, na ogół wyraża jedynie bezmyślność. Na szczęście ma talent i jest prawdziwym artystą, więc wbrew sobie namalował dobry portret.

Do takich to argumentów musiał uciekać się John Lennox, by zdławić świadectwo własnych zmysłów. Lecz wielbiciel, gdy raz zacznie wątpić, nie potrafi przestać na zawołanie. Mimo gorliwych wysiłków, by ufać Marian tak jak przedtem, akceptować ją bez zastrzeżeń i bez wahania, nie potrafił stłumić odruchu podejrzliwości i niechęci. Czar prysł, a czaru nie da się ponownie skleić. Lennox jakby z dystansu przyglądał się twarzy biednej dziewczyny, ważąc jej słowa, analizując myśli i odgadując pobudki.

Poddana tej próbie, Marian zachowała się wręcz heroicznie. Czuliła, że w sercu przyszłego męża zaszła jakaś subtelna zmiana, której przyczyn nie jest w stanie odgadnąć, lecz która najwyraźniej zagraża jej perspektywom. Coś między nimi pękło; utraciła połowę swej władzy. Wpadła w straszliwy popłoch, tym bardziej że niezwykła głębia osobowości, którą przez cały czas chętnie przypisywała Lennoxowi, teraz mogła

skrywać jakiś śmiały a złowieszczy zamysł. Czyżby po prostu rozważał zerwanie? Czyżby miał zamiar odjąć jej od ust słodki, wonny, korzenny puchar zamążpójścia, status żony dobrodusznego milionera? Obrzuciła swą przeszłość drżącym spojrzeniem, zastanawiając się, czy Lennox znalazł w niej jakąś ciemną plamę. Ale, w gruncie rzeczy, czyż nie powinna zażądać, by spróbował? Właściwie nie zrobiła nic nagannego. Jej historia nie miała żadnych wyraźnych skaz. Owszem, skutek moralnego niechlujstwa widniały na niej pewne odbarwienia, lecz w porównaniu z przeszłością innych dziewcząt prezentowała się całkiem nieźle. Marian dbała tylko o przyjemności, ale czyż nie do tego wychowywano młode panny? Więc w zasadzie chyba nie musiała się przejmować? Zapewniła się w duchu, że nie musi; niemniej wyczuwała, że gdyby John jednak zerwał zaręczyny, zrobiłby to z górnolotnych, ogólnych powodów, a nie dlatego, że popełniła jeden występki mniej lub więcej. Zrobiłby to po prostu dlatego, że przestał ją kochać. I nie na wiele by się wówczas zdało, gdyby go upewniła, że jest gotowa łaskawie przymknąć na to oko i odstąpić od wymagań serca. Ale mimo ohydneho niepokoju wciąż nie przestawała się uśmiechać.

Dni mijały, a John nadal zgadzał się być zaręczonym. Od stanu małżeńskiego dzielił ich już tylko tydzień – sześć dni, pięć dni, cztery dni. Uśmiech panny Everett stał się mniej mechaniczny. John najwidoczniej przechodził kryzys – moralny i intelektualny kryzys, nieuchronny u człowieka o jego usposobieniu, z którym ona nie miała nic wspólnego. Po prostu w wigilię ślubu wejrzał w swoje serce i odkrywszy, że jest już niemłode i nieskłonne do kaprysów namiętności, postanowił nazwać rzeczy po imieniu i przyznać sam przed sobą, że w małżeństwie nie zamierza kierować się miłością, ale przyjaźnią i w pewnym stopniu rozważą. Nie przedstawił Marian owej zdroworozsądkowej opinii tylko ze względu na jej przypuszczalnie bardziej podniosłe poglądy na tę sprawę. Takie były domniemania Marian.

Lennox wyznaczył dzień ślubu na ostatni czwartek października. W piątek poprzedzającego tygodnia, przechodząc Broadwayem, zajrzał do Goupila, aby sprawdzić, czy zamówiona do portretu rama jest gotowa. Obraz przewieziono już do galerii; na prośbę Baxtera i za zgodą Lennox po oprawie miał być na kilka dni umieszczony w sali wystawowej. Lennox wszedł na górę, aby go obejrzeć.

Obraz tkwił na sztalugach w głębi pomieszczenia, przed nim zaś stało troje widzów – dżentelmen oraz dwie damy. Poza tym galeria była pusta. Podchodząc bliżej, Lennox odkrył, że ów dżentelmen to Baxter, ten zaś niezwłocznie przedstawił przyjaciela swoim towarzyszkom. W młodszej Lennox rozpoznał narzeczoną artysty; starsza, jej siostra, była bladą nieładną kobietą o niezdrowym wyglądzie, która zajmowała podane jej krzesło, nie podejmując prób rozmowy. Baxter wyjaśnił, że panie dopiero w przeddzień przybyły z Europy, więc przede wszystkim chciał im pokazać swoje arcydzieło.

– Sarah – powiedział – bardzo chwali modelkę z wielkim uszczerbkiem dla kopii.

Sarah była wysoką, czarnowłosą dziewczyną lat około dwudziestu, o nieregularnych rysach i lśniących ciemnych oczach, błyskającą białymi zębami w promiennym uśmiechu – czyli osobą ze wszech miar wspaniałą. Zwracając się do Lennox ze szczerą sympatią, powiedziała głębokim, dźwięcznym głosem:

– Musi być bardzo piękna.

– Owszem, jest bardzo piękna – odrzekł Lennox, nie odrywając wzroku od jej miłej twarzy. – Musi pani ją poznać – ona musi poznać panią.
– Z pewnością bardzo chciałabym ją zobaczyć.
– To jest niemal równie dobre – oświadczył Lennox, wskazując obraz. – Baxter to istny geniusz.

– Wiem, że pan Baxter jest genialny. Ale, koniec końców, czymże jest obraz? Od dwóch lat oglądam wyłącznie obrazy, a nie widziałam ani jednej ładnej dziewczyny.

Młoda kobieta wpatrywała się w portret z wyraźnym zachwytem, póki więc Baxter zajęty był rozmową z drugą damą, Lennox obrzucił jego *fiancée* długim, ukradkowym spojrzeniem. Przybliżyła się do wizerunku Marian; dwie głowy, realna i wyobrażona, znalazły się tuż obok siebie i przez chwilę twarz dziewczyny, kwitnąca świeżością i silnym ożywieniem, jakby przyćmiła linie i barwy na płótnie. Lecz w następnej chwili, pod wzrokiem Lennox, różany krąg oblicza Marian rozjarzył się nieubłaganą ostrością, a jej beztroskie niebieskie źrenice z poufałym cynizmem spojrzały mu w oczy.

Raptownie pożegnał się z towarzystwem i ruszył ku wyjściu. Nagle przystanął. Tuż przy drzwiach wisiał na ścianie obraz Baxtera *Moja ostatnia księżna*. Lennox zastygł, zdumiony. To miała być ta twarz i postać, która jeszcze miesiąc temu przypomniała mu jego wybrankę? Gdzie się podziało podobieństwo? Zniknęło tak całkowicie, jakby nigdy nie istniało. Co więcej, obraz był znacznie słabszy od nowego portretu. Lennox obejrzał się na Baxtera, czując lekką pokusę, by zażądać wyjaśnienia albo przynajmniej dać wyraz konsternacji. Ale Baxter i jego ukochana, pochyleni rozkosznie skroń w skroń, oglądali jakiś drobny szkic, zawieszony tuż nad podłogą.

Trudno powiedzieć, jak minął ten tydzień. Były momenty, gdy Lennox miał uczucie, że wolałby śmierć od tego bezdusznego związku, który teraz wydawał się nieunikniony; że jedyne możliwe wyjście to przepisać na Marian cały majątek i skończyć ze sobą. Były też inne chwile, kiedy właściwie godził się z losem. Wystarczyło, by zebrał w wiązkę swoje dawne chęci i marzenia, złamał je na kolanie, a byłoby po wszystkim. Czyż nie mógł w ich miejsce uzbierać ślicznego pęku umiarkowanych, racjonalnych oczekiwań i związać go ślubną wstążką? Jego miłość umarła, jego młodość umarła – i tyle. Nie musiał przecież robić z tego tragedii. Uczucie, któremu uległ, miało widać niewielką witalność; a skoro nie było długowieczne, może lepiej, że oddało ducha jeszcze przed ślubem. Co się tyczy małżeństwa, musiało do niego dojść, gdyż niekoniecznie chodziło tu o miłość. Brutalna konsekwencja, która musiałaby, z konieczności, przekreślić przyszłość Marian, nie leżała w naturze Lennox. Jeśli pomylił się co do niej, jeśli ją przecenił, był sam sobie winien; postąpiłby bezwzględnie, każąc jej za to płacić. Jakiegokolwiek popełniała uchybienia, robiła to całkowicie mimowolnie, ponadto było jasne, że miała wobec niego jak najlepsze zamiary. Na towarzyszkę się nie nadawała, lecz przynajmniej zyskiwał wierną żonę.

Z pomocą tej ponurej logiki Lennox jakoś dotrwał do wigilii zaślubin. Przez cały poprzedzający tydzień jego zachowanie wobec panny Everett było niezłomnie życzliwe i czułe. Uważał, że tracąc jego miłość, utraciła wielki skarb, ofiarował jej więc w zamian swe niesłabnące oddanie. Pytany przez Marian o swoje znużenie odpowiadał, że niezbyt dobrze się czuje. W środę po południu dosiadł konia i pojechał na długą przejażdżkę.

Kiedy wrócił o zachodzie słońca, w holu powitała go stara gospodyni.

– Proszę pana – oznajmiła – właśnie przysłali portret panny Everett w przepięknej ramie. Nie wydał pan żadnych poleceń, więc pozwoliłam sobie kazać go zanieść do biblioteki. Wydaje mi się – starsza pani uśmiechnęła się z szacunkiem – że najbardziej chciałby pan go widzieć w swoim pokoju.

Lennox wszedł do biblioteki. Obraz stał na podłodze, za oparciem wysokiego fotela pod oknem, oświetlony ostatnimi, poziomymi promieniami słońca. Lennox patrzył nań przez chwilę z wymizerowaną twarzą.

– Trudno! – rzekł wreszcie. – Marian musi być taka, jaką ją Pan Bóg stworzył; ale c i e b i e , wstrętna kreaturo, nie mogę ani kochać, ani szanować!

Rozejrzał się wokół z rozpaczliwą złością, aż wreszcie jego wzrok padł na długi, cienki sztylet, dar przyjaciela, kupiony na Dalekim Wschodzie, leżący jako dekoracja na półce nad kominkiem. Porwał go, z barbarzyńską uciechą wbił ostrze prosto w śliczną twarz wizerunku i ciął w dół, robiąc długą szczelinę w żywym płótnie. Następnie kilkoma ciosami w zapamiętaniu rozdarł obraz w poprzek. Czyn ten przyniósł mu olbrzymią ulgę.

Nie muszę chyba dodawać, że nazajutrz Lennox się ożenił. Gdy poprzedniego wieczora wychodził z biblioteki, zamknął drzwi na klucz. Miał go w kieszonce kamizelki, stojąc przy ołtarzu. A ponieważ bezpośrednio po ceremonii wyjechał z miasta, los portretu poznano dopiero po jego powrocie, dwa tygodnie później. Nie ma tu potrzeby relacjonować, jak wyjaśnił Marian swój wyczyn i w jaki sposób ujawnił go Baxterowi. W każdym razie robił dobrą minę do złej gry. Krążą pogłoski, że zapłacił malarzowi ogromną sumę pieniędzy; kwota z pewnością jest przesadzona, ale nie ma wątpliwości, że musiała być bardzo duża. Jak mu się układa – lub będzie się układać – w małżeństwie, tego na razie nie da się określić. Jest żonaty zaledwie od trzech miesięcy.

Niezwykły przypadek

Późną wiosną 1865 roku, tuż po zakończeniu wojny, w obskurnej klitce na poddaszu jednego z wielkich nowojorskich hoteli leżał na łóżku młody schorowany oficer, pogrążony w niewesołych rozmyślaniach. Jego zadumę przerwał pokojowy, który wszedł, by wręczyć mu wizytówkę z nazwiskiem *Pani Samuelowa Mason* i słowami skreślonymi ołówkiem na odwrocie: „Drogi pułkownik Mason, dopiero teraz się dowiedziałam, że pan jest w mieście, samotny i niezdrów. To naprawdę okropne. Czy pan mnie pamięta? Czy zobaczy się pan ze mną? Bo jeśli tak, to z pewnością pan mnie sobie przypomni. Nalegam, aby wejść na górę. M.M.”.

Mason był nieubrany, nieogolony, słaby i lekko gorączkował; w pokoiku panował bałagan, który nie zalecał się nawet malowniczością. Wizytówka pani Mason stanowiła zagadkę, a zarazem niebiańską zapowiedź pociechy. Jednakże młody człowiek miał tak nadwątlony umysł, że nie od razu pojął, co właściwie oznacza ten liścik. Przez dobrą chwilę zbierał myśli.

- To jest dama, proszę pana – usłużnie odpowiedział pokojowy.
- Młoda czy stara?
- No, jedno i drugie po trochu, proszę pana.
- Przecież nie zaproszę damy tutaj, na górę – jęknął chory.
- Ależ proszę pana, wygląda pan pięknie, daję słowo – zapewnił pokojowy. – One lubią chorych mężczyzn. Poza tym widzę, że nosi pańskie nazwisko – ciągnął Michael, który przez lata służby osiągnął wielką szczerą wypowiedzi – więc tym większy wstyd dla niej, że nie przyszła wcześniej.

Pułkownik Mason uznał, że skoro pani Mason sama pragnie złożyć mu wizytę, należy ją przyjąć bez dalszych ceregieli.

- Jeżeli jej to nie przeszkadza, to mnie tym bardziej nie – oświadczył, zbyt słaby, aby silić się na przesadną skrupulatność, i niebawem odwiedzająca została doprowadzona do jego wezgłowa. Ujrzał przed sobą urodziwą korpulentną blondynkę w średnim wieku, ubraną wedle najnowszej mody i nieokazującą najmniejszego skrępowania, chyba że takie, jakie łatwo wytłumaczyć zadyszka na skutek długiej wspinaczki po schodach.

- Pamiętasz mnie? – zapytała owa dama, ujmując młodzieńca za rękę.
- Mason opadł na poduszki i spojrzał na nią. – Kiedyś była pani moją stryjenką... stryjenką Marią.
- Nadal jestem twoją stryjenką Marią – odparła. – To bardzo ładnie, że mnie nie zapomniałeś.

- To bardzo ładnie, że ty nie zapomniałaś o mnie – rzekł tonem zdradzającym uczucie głębsze niż zwykła chęć odwzajemnienia życzliwości.
- Mój drogi, mieliście tu wojnę i setki innych okropieństw! Wiesz, dłuższy czas

bawiłam w Europie. Od powrotu mieszkam na wsi, w starym domu twego stryja nad rzeką; umowa najmu wygasła, akurat kiedy wróciłam do kraju. Wczoraj wpadłam do miasta w interesach i zupełnym przypadkiem dowiedziałam się o twojej chorobie i miejscu pobytu. Wiedziałam, że wstąpiłeś do wojska; dziesiątki razy się zastanawiałam, co się z tobą dzieje i czy zjawisz się u nas, skoro wojna się skończyła. Oczywiście, przyszedłam do ciebie, nie tracąc ani chwili. Tak mi przykro. – Tu pani Mason rozejrzała się za czymś do siedzenia, lecz na fotelach poniewierały się części garderoby i ekwipunku młodzieńca oraz resztki jego ostatniego posiłku. Pocziwa dama spoglądała na ten bałagan z piękną, niemą, współczującą ironią.

Młody człowiek leżał bez ruchu, nie odrywając wzroku od jej ładnej twarzy, gotów z rozkoszą i pokorą przyjąć każdą formę, w jaką zechciałaby oblec swe uczucia. – Jesteś pierwszą kobietą godną tego miana, którą widzę od nie wiem ilu miesięcy – wyznał, świadom kontrastu między jej postacią i wyglądem pokoju, niemalże czytając w jej myślach.

– Domyślam się. Zamierzam zastąpić ci tuzin kobiet. – Opróżniła jeden z foteli i przysunęła go do łóżka, po czym usiadła, zdjęła rękawiczkę i miękko pogłaskała dłoń krewniaka. – Aleś ty wyrósł i zmężniał! – ciągnęła. – A teraz powiedz, bardzo jesteś chory?

– O to musisz zapytać lekarza – powiedział Mason. – Właściwie nie wiem. Bardzo źle się czuję, przypuszczam jednak, że to częściowo z powodu mego położenia.

– Nie wątpię, że twoje położenie ponosi co najmniej połowę winy. Już rozmawiałam z lekarzem. Pani Van Zandt to moja stara przyjaciółka i kiedy jestem w mieście, zawsze do niej zaglądam. To od niej dowiedziałam się dziś rano, w jakim jesteś stanie. Najpierw cieszyliśmy się z tego, że wreszcie będzie pokój; po czym, naturalnie, zaczęliśmy lamentować, ilu to młodych ludzi będzie teraz musiało żyć bez kończyn, ze zrujnowanym zdrowiem. No i pani Van Zandt przykładowo wymieniła kilku pacjentów swego męża, między innymi ciebie: oto wspaniały młody człowiek, powiedziała, chory i nieszczęśliwy, pozbawiony rodziny i przyjaciół, którego jedynym schronieniem jest duszna klitka w zgiełkliwym hotelu. Możesz sobie wyobrazić, że od razu zastrzygłam uchem i zapytałam, jakie imię dano ci na chrzcie. Doktor Van Zandt, który zajrzał do nas, zaraz mi odpowiedział. Na szczęście imię masz niepospolite: niepodobna, by na świecie żyło dwóch Ferdinandów Masonów. Krótko mówiąc, domyśliłam się, że jesteś synem brata mego męża i że nareszcie ja również zyskałam skromną szansę, by pielęgnować jakiegoś bohatera. Doktor Van Zandt wiedział niewiele o tobie, ale to, co wiedział, zgadzało się z tym, co wiem ja, chociaż było mi przykro, że nigdy mu nie mówiłeś o naszym pokrewieństwie. Jednak właściwie po co miałbyś mówić? Teraz i tak będziesz musiał się do mnie przyznać. Żałuję, że nie wspomniałeś o tym wcześniej, tylko z tego względu, że doktor mógł nas skontaktować miesiąc temu i wtedy pewnie już byłbyś zdrowy.

– Musi minąć więcej niż miesiąc, żebym wyzdrowiał – rzekł Mason, uznając, że skoro pani Mason usilnie zamierza coś dla niego zrobić, to powinna poznać prawdziwy stan rzeczy. – Nigdy o tobie nie wspominałem, bo całkiem straciłem cię z oczu. Sądziłem, że wciąż jesteś w Europie, co więcej – dodał po chwili wahania – doszły mnie słuchy, że

znów wyszłaś za mąż.

– Pewnie, że tak – rzekła pani Mason z niezmaconym spokojem. – Sama o tym słyszę co najmniej raz na miesiąc. A ja sądziłam, że ty się ożeniłeś, do czego miałam przecież większe podstawy. Jednak, dzięki Bogu, nic takiego nas nie dzieli. Oboje możemy robić, co chcemy. Obiecuję, że w miesiąc cię wyleczę, nawet wbrew twej woli.

– Jakie proponujesz lekarstwo? – zapytał młodzieniec z uśmiechem, nader uprzejmym, zważywszy na to, jak sceptycznie był nastawiony.

– Po pierwsze, zamierzam zabrać cię z tej okropnej nory. Omówiłam wszystko z doktorem Van Zandtem. Twierdzi, że musisz wyjechać na wieś. Drogi chłopcze, każdy by się tu wykończył – ruchliwy Broadway za oknem, druga taka ulica pod drzwiami! Posłuchaj. Mój dom stoi nad samą rzeką, o dwie godziny jazdy pociągiem. Wiesz, że nie mam dzieci, towarzyszy mi tylko siostrzenica, Caroline Hofmann. Przyjedziesz i zamieszkas z nami, dopóki nie nabierzesz sił, choćby miało to trwać i dziesięć lat. Zapewniam ci zdrowe, świeże powietrze, odpowiednie jedzenie, porządną opiekę oraz przywiązanie rozsądnej kobiety. Ani słowa sprzeciwu! Będziesz robił, co zechcesz: będziesz wstawał, kiedy zechcesz, jadł, kiedy zechcesz, chodził spać, kiedy zechcesz, i mówił, co zechcesz. Nie będę niczego od ciebie wymagać, oprócz tego, byś pozwolił troskliwie się tobą zajmować. Przypominasz sobie, jak będąc jeszcze w szkole, po śmierci ojca zapadłeś na odrę i stryj zabrał cię do nas? Osobiście pomagałam opiekować się tobą i pamiętam, że nawet w chorobie miałeś doskonałe maniery. Stryj bardzo cię lubił i gdyby miał jakiś znaczniejszy majątek, z pewnością wymieniłby cię w testamencie. Ale naturalnie nie mógł nikomu zapisać pieniędzy własnej żony. To, co chciałabym dla ciebie zrobić, to tylko niewielka część tego, co on sam by zrobił, gdyby żył i wiedział, jaki byłeś dzielny i jak teraz cierpisz. A więc ustalone. Dziś po południu wracam do domu. Jutro rano przyślę ci służącego z instrukcjami. To Anglik, który doskonale zna swoją robotę; spakuje twoje rzeczy i wszystko za ciebie załatwi. Musisz tylko dać się ubrać i zawieźć na pociąg. Oczywiście wyjadę po ciebie na stację. Tylko nie mów, że nie czujesz się na siłach.

– Taki silny jak w tej chwili nie czułem się od wielu tygodni – odrzekł Mason. – Pewnie nie ma sensu, żebym ci dziękował.

– Najmniejszego. I tak bym nie słuchała. Podejrzewam – dodała pani Mason, rozglądając się po gołych ścianach i skąpym umeblowaniu – że płacisz niezłą sumkę za to gniazdko rozkoszy. Potrzebujesz pieniędzy?

Młody człowiek pokręcił głową.

– A więc dobrze – oznajmiła pani Mason kategorycznie. – Od tej chwili jesteś w moich rękach.

Mason leżał przejęty do głębi, niezdolny wykrztusić słowa; próbował jednak zapewnić ją o swej wdzięczności lekkim uściskiem palców. Dama podniosła się i chwilę stała przy łóżku, wciągając rękawiczkę z nikłym uśmieszkiem niespełnionej filantropki, która w końcu znalazła nieskończenie wdzięczny obiekt zainteresowania. Jej uśmiech odbił się w znużonym obliczu biednego Ferdinanda; nareszcie, po tylu latach, także o niego ktoś się zatroszczył. Pozwolił, by głowa opadła mu na poduszkę, w milczeniu wdychał woń spokojnej elegancji i dobrodusznej serdeczności stryjenki. Pragnął pochwycić jej suknię

i prosić, by go nie opuszczała – teraz dopiero miał odczuć gorycz osamotnienia. Przypuszczam, że ta wzruszająca obawa – wzruszająca w dwójnasób u młodego, zniszczonego przez wojnę oficera – odmalowała się w jego oczach, gdyż przed odejściem pani Mason schyliła się i pocałowała go w czoło. Dosłyszał jeszcze szelest jej sukni na dywanie, cichy trzask zamykanych drzwi i oddalające się kroki, po czym zakrył twarz dłońmi, poddając się słabości, i wybuchnął szlochem niczym stęskniony uczeń. Przypomniano mu, jak piękne może być życie.

Sprawy potoczyły się tak, jak zamyśliła pani Mason. Nazajutrz o szóstej po południu Ferdinand znalazł się na małej stacyjce Hudson River Railroad, wyczerpany podróżą, niemniej podniecony perspektywą jej zakończenia. Pani Mason już na niego czekała w niskim faetonie ze stertą poduszek i pledów; Ferdinand usadowił się u jej boku i powóz ruszył pędem.

Pani Mason zajmowała obszerną rezydencję w wiejskim stylu, z podjazdem wijącym się wokół okrągłego trawnika i bujnej kępy krzewów. Gdy powóz zajechał przed ganek, w drzwiach pojawiła się młoda kobieta. Można wybaczyć Masonowi, że, niejako zaocznie, uznał się za przedstawionego; zanim się połapał – służący za jego plecami zmagając się z kufrem pod kierownictwem pani Mason – przyjął podane mu ramię i dał się poprowadzić przez hol do bawialni. Tam panna uprzejmie wskazała mu kanapę, którą dla jego użytku specjalnie kazała przysunąć do ognia, rozpalonego specjalnie dla jego wygody. Jednakże Mason nie zdołał skorzystać z tej uprzejmości; wiedziony nakazem rozsądku bezzwłocznie udał się do swego pokoju.

Następnego ranka wstał wcześniej i podjął próbę zejścia na śniadanie. Ale siły go zawiodły, z konieczności więc nieśpiesznie się ubrał i zadowolili przejściem z łóżka na fotel. Aby oszczędzić mu trudu chodzenia po schodach, celowo przeznaczono dla niego sypialnię na parterze – uroczy pokój z jasnym dywanem i jasno obitymi meblami, tchnący ową delikatną świeżością, która świadczy o niekwestionowanej władzy kobiet. Duże wysokie okno spowite w muślin i perkal wychodziło na zielony trawnik; przy oknie tym, owinięty w szlafrok, zatopiony w objęciach najmniejszego z foteli, Mason powoli spożył prosty posiłek. Niebawem na trawniku przed oknem pojawiła się gospodyni i młody człowiek, pojmując, że to skrzydło domu wystawione jest na ciepłe promienie słońca, odważył się otworzyć okno, by z nią porozmawiać. Pani Mason przystanąła na trawie, osłonięta parasolką.

– Pora pomyśleć o lekarzu – powiedziała. – Najważniejszy tutaj jest doktor Gregory, przedstawiciel starej szkoły. Ale był u nas tylko raz, bo obie z siostrzenicą mamy zdrowie jak dziewczki folwarczne. A i wtedy... cóż, wyszedł na durnia. Prowadzi praktykę głównie dla „starych rodzin”, bo tylko on wie, jak leczyć niektóre staromodne, przestarzałe dolegliwości. Wszystko, co może być skutkiem wojny, całkowicie go przerasta. Poza tym jest okropnie niezdecydowany i gada o własnych chorobach *à lui*. Prawdę mówiąc, trochęśmy się przemówili, co poniekąd utrudnia stosunki.

– W takim razie w ogóle się nie nadaje – zaśmiał się Mason. – Ale chyba to nie jest wasz jedyny lekarz?

– Nie; jest jeszcze młody człowiek, nowy nabytek, niejaki doktor Knight, którego nie znam osobiście, ale o którym słyszałam same dobre rzeczy. Przyznaję, że jestem

uprzedzona, na korzyść młodych ludzi. Doktor Knight musi dopiero wyrobić sobie pozycję, więc przypuszczalnie będzie szczególnie uważny i staranny. Poza tym wydaje mi się, że był felczerem wojskowym.

– Znałem kogoś o tym nazwisku – rzekł Mason. – Ciekawe, czy to on. Nazywał się Horace Knight, był jasnowłosy i krótkowzroczny.

– Nie wiem – rzekła pani Mason – może Caroline coś wie. – Cofnęła się o kilka kroków i zawołała do okna na piętrze: – Caroline, jak ma na imię doktor Knight?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – dobiegły Masona słowa panny Hofmann.

– Może Horace?

– Nie wiem.

– To blondyn czy brunet?

– Nie widziałam go na oczy.

– Czy ma krótki wzrok?

– Skąd, u licha, miałabym wiedzieć?

– Wydaje mi się, że wszyscy są siebie warci – zażartował Ferdinand. – Przy tobie, droga stryjenko, jakie znaczenie ma lekarz?

A zatem pani Mason posłała po doktora Knighta, który rzeczywiście okazał się dawnym znajomym jej bratanka. I chociaż młodych ludzi nie łączyła zbyt duża zażyłość, lecz jedynie powierzchowne koleżeństwo po zimie spędzonej na sąsiednich kwaterach, bardzo się ucieszyli z ponownego spotkania. Horace Knight, młodzieniec o dobrym pochodzeniu, dobrym wyglądzie, dobrych kwalifikacjach i dobrych intencjach, po trzech latach praktyki chirurgicznej w wojsku postanowił poszukać szczęścia w sąsiedztwie pani Mason. Jego matka, wdowa z niewielką rentą, ostatnio dla oszczędności przeniosiła się na wieś i syn nie chciał zostawiać jej samej. Okoliczne tereny dla człowieka obdarzonego energią stanowiły bardzo obiecujące łowiska, gęsto obsadzone dużymi rodzinami o sporych dochodach i owych konserwatywnych nawykach, które każą ludziom wysoko cenić opiekę medyczną. Co więcej, miejscowy lekarz dni świetności miał już za sobą i być może zarzuty pani Mason, jakoby nie nadążał za „rozwojem nowych schorzeń”, nie były całkiem bezpodstawne; w rzeczy samej, dla niego i jego starych pacjentów świat stał się aż nazbyt nowy. Zainwestowane na Południu pieniądze, cenne źródło dochodów, wojna połknęła jednym haustem; stary doktor zrobił się lękliwy, nerwowy i kwękający; w kilku ważnych sytuacjach utracił pewność siebie, a także okulary; wielokrotnie jaskrawo się pomylił; w sercach jego pacjentów zagościło długotrwałe niezadowolenie; nie miał konkurencji; słowem, fortuna sprzyjała doktorowi Knightowi. Mason, który pamiętał młodego chirurga jako pogodnego, bystrego towarzysza, wkrótce nabrał przekonania, że również jego talentom medycznym nie można nic zarzucić. Lekarz szybko się zorientował, co dolega Ferdinandowi, zadawał inteligentne pytania i udzielał prostych, dokładnych wskazówek. Choroba była zadawniona i zjadliwa, lecz nie istniał żaden wyraźny powód, by z pomocą starannej opieki i rozwagi nie dało się jej opanować.

– Znacznie opadłeś z sił – oznajmił Knight przed wyjściem, biorąc rękawiczki i kapelusz – ale chyba masz bardzo odporny organizm. Jednak wydaje mi się, wybaczone, że to mówię, że stoczyłeś się tak nisko po części z własnej winy. W ogóle nie stawiałeś

oporu; nie dbałeś o to, czy wyzdrowiejesz.

– Przyznaję, że nie... nieszczególnie. Ale nie rozumiem, skąd o tym wiesz.

– Przecież to się rzuca w oczy.

– Cóż, to chyba naturalne. Zanim odnalazła mnie pani Mason, byłem na świecie sam jak palec. Samotność sprawiła, że wszystkiego mi się odechciało. Niemal zapomniałem, czym się różni choroba od zdrowia. Nie miałem przed sobą niczego, co by mi przypomniało, w namacalnej formie, jak ogromna jest masa wspólnych ludzkich spraw, w imię których człowiek – bez względu na to, jak nazywa ów odruch – pragnie zachować zdrowie i odzyskać siły po chorobie. Zapomniałem, że kiedyś obchodziły mnie książki i idee, zapomniałem o wszystkim, chciałem tylko ratować swój nieszczęsny zewłok. Tymczasem ten zewłok stał się zbyt nieszczęsny, by warto było dla niego żyć. W zastraszającym tempie traciłem czas i pieniądze; pogarszało mi się, zamiast się polepszać; w końcu porzuciłem wszelki opór. Wydawało mi się, że lepiej umrzeć łatwo niż z trudnością. Wszystko to mówię w czasie przeszłym, gdyż przez kilka ostatnich dni stałem się zupełnie nowym człowiekiem.

– Serdecznie żałuję, że nic o tobie nie wiedziałem – rzekł Knight. – Zmusiłbym cię, byś choć wrócił ze mną do domu. Rzeczywiście, perspektywy nie były różowe, ale co powiesz teraz? – ciągnął, rozglądając się po pokoju. – Powiedziałbym, że w chwili obecnej kolor różowy przeważa.

Mason przytaknął z wymownym uśmiechem.

– Gratuluję ci z całego serca. Pani Mason, pozwól, że ją pochwalę, jest tak do gruntu (i, jak mniemam, nieuleczalnie) poczciwa, że jej niezwykły rozsądek stanowi nie lada niespodziankę.

– Owszem – potwierdził Ferdinand – a w lepszych chwilach przejawia taki rozsądek i stanowczość, że nie lada niespodzianką jest jej poczciwość. To wspaniała kobieta.

– A już twój służący to szczególny dar losu. Wygląda, jakby wyszedł z jakiejś angielskiej powieści.

– Szczególny dar losu? Czyli nie widziałeś jeszcze panny Hofmann?

– Owszem, spotkałem ją w holu. Ona wygląda, jakby wyszła z jakiejś amerykańskiej powieści, choć nie jestem pewien, czy to wielki komplement. Tak czy inaczej, zmusiłem ją, by z niej wyszła.

– A zatem honor nakazuje – zaśmiał się Mason – abyś umieścił ją w innej.

Doktor nie musiał umacniać Masona w przekonaniu o nowo nabytym szczęściu. Młody człowiek uznał, że będzie sam sobie winien, jeśli te dni nie staną się najrozkoszniejszym czasem w jego życiu; toteż postanowił bez reszty poddać się swym wrażeniom – i po prostu wegetować. Już sama choroba stanowiła wystarczający powód długotrwałej gnuśności umysłowej, ale Mason miał też inne motywy. Przez ostatnie trzy lata nieprzerwanie znosił męczarnie obowiązku. Wciąż brał udział w ciężkich walkach, jednak tak fortunnie, że nie odniósł żadnej poważnej rany; toteż dopóki nie podupadł na zdrowiu, brał urlop rzadziej niż jakikolwiek znany mu oficer. Obdarzony wielkim stoicyzmem i pewnym typem opanowania – zdolnością przystosowania się do faktów dokonanych, bez względu na ich kierunek – w głębi duszy był jednak człowiekiem osobliwie nerwowym i skrupulatnym. Przy tych nielicznych okazjach, gdy przebywał

z dala od teatru swych działań wojskowych, tak dotkliwie cierpiał z niepokoju, iż wydarzyło się lub zaraz wydarzy się coś, w czym on, ku swej wiecznej udręce, nie uczestniczy i na co nie ma wpływu, że właściwie nie potrafił cieszyć się wypoczynkiem. Co więcej, ciągłą zadrę stanowiło dlań poczucie traconego czasu – poczucie, że bezpowrotnie mijają cenne godziny, w czasie których, przykładając się do pracy, można by niemal wybudować pomnik trwalszy od spizu. Próbował w miarę możliwości rozbroić tę myśl, w przerwach między zajęciami zawodowymi wytrwale czytając i studiując. Przytaczam ten fakt po prostu jako dowód na to, jak nieprzerwanie surowe życie wiódł już na długo przed zachorowaniem; lecz w istocie mógłbym potroić ten okres, zerkając na lata jego studiów i kilka pracowitych miesięcy między schyłkiem młodości i wybuchem wojny. Mason zawsze pracował; po pierwsze, lubił pracować, po drugie, całkowity brak więzów rodzinnych pozwolił mu zaspokajać to upodobanie bez przeszkód i dystrakcji. Ta okoliczność stanowiła dlań zysk, a zarazem poważną stratę. W dwudziestym siódmym roku życia był już w swoim kręgu szanowanym uczonym, jednak pozostał zupełnym durniem w pewnych kwestiach towarzyskich. Nie miał pojęcia o tych wszystkich lżejszych, bardziej ulotnych formach obcowania z ludźmi, które są związane z byciem czyimś synem, bratem, kuzynem. I oto nareszcie, jak sam siebie napominał, miał odkryć, co to znaczy być bratankiem czyjegoś męża. Pani Mason zamierzała mu wyjaśnić sens przymiotnika „domowy” – i doprawdy, trudno byłoby to zrobić w przyjemniejszy sposób. Wydawało się, że Mason nauczy się czegoś, po prostu zachowując beczynność, i że opuści ten dom nie tylko lepszy, ale i mądrzejszy; a dzięki owemu wzmożeniu zdolności, które towarzyszy narodzinom szczerego i rozumnego przywiązania, stało się prawdopodobne, że pod tym przynajmniej względem się nie rozczaruje. Starczyło kilku dni, by ujawniły się przed nim wspaniałe zalety jego gospodyni – jej wielkie, ciepłe serce, rozumna rozważa, dobry humor, dobry gust, ogromny zasób wspomnień i doświadczeń, a przede wszystkim skłonność do swego rodzaju namiętnego oddania, któremu los bezdzietnej wdowy nie dał dotąd należytego ujścia. Tak więc wywiązała się między nimi przyjaźń, rokująca obojgu szczęście w takim stopniu, w jakim szczęściu sprzyja każdy przyjacielski związek. Jestem zmuszony poprzestać na tej prostej konstatacji, choć gdybym snuł tę opowieść z punktu widzenia pani Mason, stwierdzenie, że owa dama świadomie i solennie przelała swą sympatię na naszego bohatera, zapewne dałoby się znakomicie rozwinąć. Jako osoba wybitna i czarująca miała pełne prawo czerpać głęboką przyjemność z wyrozumiałej – lecz nie nazbyt wyrozumiałej – oceny swego gościa. Rozgryzła go – tym lepiej dla niej. A jeszcze lepiej dla niego, co oczywiście stanowi kluczowy fakt mojej opowieści: fakt ten Mason uświadomił sobie tak szybko i gruntownie, że wkrótce był w stanie wypchnąć go ze swych myśli do sfery mu należnej – do własnego życia.

I tak w niespełna dziesięć dni większość ulotnych, mgławicowych wrażeń związanych ze zmianą scenerii przybrała bardziej konkretne kształty; inne jednak pozostały mgławicowe, rozsiewając na drodze Ferdinanda łagodną poświatę, której głównym źródłem był delikatny blask ześrodkowany w osobie panny Hofmann. Przez trzy dni Mason, którego stan pogorszył się wskutek podróży, nie opuszczał swego pokoju, dopiero zatem czwartego dnia mógł wznowić znajomość rozpoczętą tak fortunnie. Lecz

kiedy wreszcie w porze kolacji zjawił się w jadalni, panna Hofmann powitała go niemal jak starego przyjaciela. Mason zdążył już odkryć, że jest młoda i uprzejma; teraz szybko doszedł do wniosku, że jest również niezwykle ładna; a zanim kolacja dobiegła końca, stanowczo uznał, że jest wręcz piękna. Pani Mason znalazła czas, by zdać mu pełną relację z jej życia. Po utracie matki w niemowlęctwie dziewczyna została zaadoptowana przez owdowiałą ciotkę. Ojciec panny Hofmann był człowiekiem o zgubnych nawykach – pijakiem, hazardzistą i rozpustnikiem, wyrzutkiem przyzwoitego społeczeństwa; jego kontakt z córką, która przejęła majątek po matce, sprowadzał się do proszalnego listu co miesiąc lub dwa. Pani Mason zabrała siostrzenicę do Europy i zapewniła jej wszelkie możliwości. Dziewczyna odebrała kosztowne wykształcenie; podróżowała; bywała w świecie; została przedstawiona, jak na dobrą republikankę przystało, nie mniej niż trzem europejskim władcom; była podziwiana; a także złożono jej, wedle wiedzy ciotki, pół tuzina propozycji małżeńskich – i być może wiele innych, o których ciotka nic nie wiedziała – z których wszystkie zostały odrzucone. Obecnie miała lat dwadzieścia sześć i była piękną, starannie wykształconą młodą damą *au mieux* ze swoim bankierem – wspaniałą dziewczyną, kierującą się tylko własną wolą.

– Bardzo ją lubię – oświadczyła pani Mason ze zwykłą szczerością – i przypuszczalnie ona również mnie lubi; jednak już dawno temu porzuciłyśmy pomysł, że będziemy grać matkę i córkę. Od czasu, gdy skończyła piętnaście lat, nigdy nie byłyśmy w niezgodzie, ale też nigdy nie byłyśmy w zgodzie. Caroline nie jest sentymentalistką; jest szczerą, pogodną i ma swój rozum. Przewidziała, że czeka nas wiele wspólnych lat, i bardzo mądrze od samego początku odmówiła udawania całej gamy uczuć, które nie wytrzymałyby próby czasu. Wiedziała, że byłaby z niej marna córka, więc zadowolili się byciem dobrą siostrzenicą. I siostrzenicą jest kapitalną – prawdę mówiąc, jesteśmy prawie jak siostry. Są chwile, kiedy wydaje mi się, że ma dziesięć lat więcej ode mnie i próby wtrącania się w jej życie byłyby czymś niedorzecznym. Nigdy tego nie robię. Jej życie pozostaje w jej własnych rękach. Mój stosunek do niej to właściwie życzliwa ciekawość, co ona z nim robi. Oczywiście, prędzej czy później wyjdzie za męża; jednak ciekawa jestem, kogo wybierze. Wiesz, w Europie dziewczęta miewają wyłącznie znajomych, których znają ich rodzice i opiekunowie; stąd poznałam prawie wszystkich panów, którzy próbowali zalecać się do mojej siostrzenicy. Było wśród nich wielu znakomitych młodych ludzi, ale nikogo – z wyjątkiem jednego – kto obchodziłby Caroline więcej niż przysłowiowy guzik. Tego kochała, ale pokłócili się i straciła go. Jest bardzo taktowna i zgodna; z pewnością dotąd żadna panna nie zdołała odprawić tak wielu konkurentów, dając tak mało powodów do uraz. Ach, to kochana, dobra dziewczyna! – ciągnęła pani Mason. – W swoim czasie oszczędziła mi całej masy kłopotów. A kiedy sobie pomyślę, kim mogłaby zostać ze swoją urodą! Z wszystkimi wielbicielami rozstała się w przyjaźni, dwóch wciąż do niej pisze. Nie odpowiada na ich listy, ale spotyka się z nimi od czasu do czasu, dziękuje im, że napisali, i to ich zadowala. Pozostali się ożenili, a Caroline wciąż jest sama, zakładam jednak, że ten stan nie będzie trwać wiecznie. Niemniej, choć nie jest sentymentalna, nie wyjdzie za kogoś, do kogo nic nie czuje, tylko dlatego, że się starzeje. W rzeczy samej, o ile mi wiadomo, jedynie sentymentalne panny tak robią. Pragną mężczyzny dla jego wyglądu

bądź dla pieniędzy i nadają swym uczuciom piękne nazwy. Ale, ale, panie Ferdinandzie – rzekła na koniec pani Mason – tylko bądź tak dobry i nie zakochaj się w mojej siostrzenicy! Ona z pewnością nie zakocha się w tobie, a daremna namiętność nie przyspieszy twego powrotu do zdrowia. Caroline to urocza dziewczyna. Możesz z nią świetnie żyć i bez tego. Jest dobra nawet w zwykłym świetle dnia, woskowe świece i uniesienia nie będą ci potrzebne.

– Nie obawiaj się – odparł Ferdinand ze śmiechem. – Na razie jestem zbyt skupiony na sobie, żeby myśleć o kimkolwiek innym. Poświęciłbym pannę Hofmann bez chwili wahania, nawet gdyby jej życie zależało od mojego spojrzenia. Jestem zaledwie połową człowieka, trzeba czegoś więcej, żeby się zakochać.

Po dziesięciu dniach lato nadeszło na dobre i Mason odkrył, że może, a nawet powinien z korzyścią dla zdrowia dużo przebywać na świeżym powietrzu. Nie mógł jednak ani spacerować, ani jeździć konno, toteż jedyną praktycznie dostępną formą ruchu okazały się sporadyczne przejażdżki faetonem, w których zazwyczaj towarzyszyła mu pani Mason. Okolica obfitowała w nieprzebraną liczbę pięknych tras i biedny Ferdinand naprawdę się nimi rozkoszował, wsparty na stercie poduszek, ciepło ubrany, milczący, z pustymi dłońmi, przemierzając wzrokiem szpalery wonnych zarośli, łąny młodych zbóż, ściany lasów i nadrzeczne pagórki, wśród których toczył się powóz. Znienawidzona wojna się skończyła, cała przyroda podpisała pokój. Mason wpatrywał się w bezchmurne niebo; oczy mu wilgotniały; przypuszczalnie nawet ronił sentymentalne łzy. Oprócz przyjemnych przejażdżek z gospodynią znalazł jeszcze jeden sposób, aby chłonać słońce, i często przesiadywał na przydomowej werandzie, osłonięty przed spojrzeniami gości. Wyposażony w fotel i podnóżek, cygaro i pół tuzina powieści, by nie wspomnieć o towarzystwie jednej, a czasem obu pań, pozwalał, by poranki mijały mu leniwie, niezmierzone i niepoliczone. Głównym urozmaiceniem stały się wizyty doktora Knighta, który, rzecz jasna, wnosił w jego życie spory składnik prozy – bardzo dobrej prozy, pozwolę sobie dodać, gdyż zacny doktor okazał się wspaniałym kompanem. Jednak, co się tyczy reszty dnia, to czas płynął przed nim niczym dźwięki łagodnej muzyki. Mason wiedział bardzo niewiele o *vie intime* wytwornych, inteligentnych kobiet, którego nigdy nie obserwował z bliska, toteż ich zwyczaje, maniery, domowe prace, zasady posiadały dlań urok spektaklu – spektaklu, któremu przyglądał się z lenistwem inwalidy, życzliwością człowieka o świetnym guście, a także odrobiną owej niezręczności, jaką kobiety chętnie widują lub wręcz prowokują u żołnierzy, aby móc ją następnie radośnie wybaczać. Dla panny Hofmann było rzeczą zwyczajną, że ubierała się w czyste, jasne muśliny, że miała białe dłonie i wdzięczne ruchy; wszystko to przyswoiła sobie już dawno temu. Ale dla Masona, który dotąd znał tylko mężczyzn i książki, były to obiekty nieustającej, na poły sennej medytacji. Potrafił spędzić pół godziny z książką na kolanach, nie przewróciwszy ani jednej strony, skrycie i sprytnie wpatrzony w masę barw i linii, składających się na fizyczność panny Hofmann. Niewątpliwie odznaczała się urodą, i to urodą ciepłą i serdeczną, a nie zimną perfekcją poezji. Trochę wyższego wzrostu aniżeli większość kobiet, nie była korpulentna, ale i nie szczupła. Jej lśniące, ciemnobrązowe, niemal czarne włosy łatwo skręcały się w tak wówczas modne, bujne, gęste loki. Czoło miała szerokie, otwarte,

pogodne; oczy barwy morskiej zieleni, w czystym, głębokim odcieniu, jaki widuje się w letnie popołudnia, gdy niskie słońce przeświała wzbierającą falę; barwa skóry świadczyła o doskonałym zdrowiu. Wszystkie te wdzięki, a także pełne, miękkie wargi, mocna, gibka figura i przepiękne ręce aż nadto przykuwały uwagę Masona, który rzadko pozwalał sobie skupić ją na czymś innym. Panią Mason często odwoływano do zadań domowych; ale czas panny Hofmann należał tylko do niej. Niemniej pewnego dnia przyszło Ferdinandowi do głowy, że dziewczyna dotrzymuje mu towarzystwa wyłącznie z poczucia obowiązku; kiedy więc, wedle swego zwyczaju, dopuścił, by ta myśl w nim dojrzała, odważył się ją zapewnić, że chociaż wysoko ceni sobie jej asystę, byłoby mu przykro, gdyby względy, którymi go obdarza, kolidowały z jakąś bardziej pożyteczną pracą. – Żaden ze mnie kompan – oznajmił. – Nawet nie stwarzam pozorów. Siedzę tutaj głuchy, niemy, ślepy i kulawy, cierpliwie czekając, aż wyzdrowieję, aż włóczęga Natura zawita w nasze strony i muśnie mnie rąbkiem swojej szaty.

– Uważam, że jest pan świetnym kompanem – odparła wówczas panna Hofmann. – Za kogo pan mnie bierze? Bohater setki bitew, młody człowiek, sprowadzony do cienia w służbie swemu krajowi... musiałabym być bardzo wybredna, gdybym chciała czegoś więcej.

– Och, skoro to teoria! – wykrzyknął Mason. I mimo protestów panny Hofmann nadal zakładał, że tylko w teorii nie jest uciążliwy. Ona jednak trwała na stanowisku, i to z niewzruszonym spokojem, który zdaniem młodego człowieka wydawał się świadczyć bądź o wielkiej obojętności, bądź o wielkim opanowaniu.

„Sądzi, że jestem głupi – mówił do siebie. – Oczywiście, że tak sądzi. Jakżeby mogła tak nie sądzić? Obgadały mnie z ciotką. Pani Mason wyliczyła moje zalety, a panna Hofmann zsumowała je i w wyniku wyszedł jej pocziwy nudziarz. Uzbroidła się zatem w cierpliwość, i muszę przyznać, że bardzo jej z nią do twarzy”.

Było rzeczą najzupełniej naturalną, że Mason będzie przesadnie oceniał ujemne skutki swego braku towarzyskiej ogłady. A przecież wypowiadał się zdawkowo, lecz dość często; nierzadko banalnie, lecz zwykle wesoło i swobodnie. W rzeczy samej, nawet chwile milczenia, które ożywiały jego rozmowy z panną Hofmann, z łatwością można uznać za naturalne, ufne przerwy w pogawędkach starych przyjaciół.

Od czasu do czasu panna Hofmann zasiadała do fortepianu i grała dla niego. Na werandę z małego saloniku wychodziło szerokie okno, którego jedno skrzydło było otwarte, toteż Mason zwykle przysuwał w to miejsce fotel, aby nie tylko słyszeć muzykę, lecz także ją widzieć. Siedząc przy instrumencie, widoczna z półprofilu w głębi ciemnego pokoju, gdzie jej twarz, ruchy i jasna suknia ledwo majaczyły w chłodnym cieniu, panna Hofmann snuła nieskończony muzyczny dyskurs. Wzrok Masona spoczywał na niewyraźnych białych fałdach jej stroju, na ciężkich splotach włosów, na lekkim ruchu głowy w harmonii z muzyką. Po czym rzut oka w drugą stronę ukazywał mu całkiem inny obraz – oślepiające południowe niebo, przystrzyżony – w tym świetle niemal czarny – trawnik i białe rękawy koszuli cierpliwie zgarbionego ogrodnika, tnącego żywopłot lub walczącego zwirową ścieżkę.

Pewnego ranka, rozleniwiony grą, blaskiem, upałem i wonią kwiatów – by tak rzec, pełną równowagą zmysłów – Mason mężnie usnął, a obudzony się, odkrył, że przespał

godzinę i słońce wtargnęło na werandę. Muzyka ucichła; ale spojrzawszy w głąb salonu, dostrzegł, że panna Hofmann wciąż siedzi przy fortepianie, a jakiś dżentelmen, wsparty o wieko, stoi zwrócony plecami do okna, zasłaniając przed wzrokiem Masona jej twarz. Przez kilka chwil Mason siedział bez ruchu, niezupełnie przytomny, i ospale usiłował odgadnąć tożsamość mężczyzny. Zaraz jednak jego zmysł obserwacji się przebudził, obrazu, jaki miał przed oczami, nie ożywiał bowiem żaden głos – panowało nienaturalne, wręcz przykre milczenie. Mason przesunął fotel, dżentelmen odwrócił głowę: był to Horace Knight. – Dzień dobry! – zawołał doktor, kończąc rozmowę z panną Hofmann, aby podejść do swego pacjenta. Odłonił instrument i Mason poznał powód milczenia obojga: kiedy im przerwano, panna Hofmann próbowała odczytać trudny fragment nut, a doktor chciał jej pomóc. „Ależ z niego zdolny gość! – pomyślał Mason. – Stoi sobie i klepie muzyczne terminy, jakby nigdy nic innego nie robił. A przecież kiedy wypowiada się o medycynie, nie sposób mówić bardziej rzeczowo”.

Mason miał powody do zadowolenia: doktor Knight prawidłowo rozpoznał chorobę i zastosował skuteczną kurację. Nasz bohater już od trzech tygodni przebywał na wsi i choć wahałby się przyznać, że stan jego zdrowia zasadniczo się poprawił, to z pewnością czuł się lepiej. Chwilami bał się zapytać, czy poprawa jest realna; gnębił go mdlący niepokój, że mógłby się dowiedzieć, iż pod takim czy innym względem nastąpiło pogorszenie. Z czasem jednak wyznał swoje obawy lekarzowi.

– Ale mogę się mylić – dodał – i powiem ci, dlaczego; przez ostatnie dwa tygodnie zdałem sobie sprawę ze swego stanu, i to znacznie lepiej niż w mieście. Wtedy przyjmowałem kolejne objawy jak rzecz nieuchronną; im gorzej, tym lepiej, tak sobie myślałem. A teraz oczekuję, że się jakoś wytłumaczą. Teraz naprawdę mam życzenie wyzdrowieć.

Doktor Knight spojrzał badawczo na swego pacjenta.

– Słusznie – powiedział – trochę niecierpliwości to dobra rzecz.

– O, ja nie jestem niecierpliwy. Jestem cierpliwy w absurdalnym wręcz stopniu. Daję sobie co najmniej pół roku.

– Z pewnością to brzmi rozsądnie – rzekł Knight. – Pozwolisz, że o coś zapytam? Czy zamierzasz spędzić to półrocze tutaj?

– Nie umiem na to odpowiedzieć. Pewnie poczekam, aż lato się skończy, chyba że ja skończę się wcześniej. Pani Mason nie chce słyszeć o niczym innym. Do września mam nadzieję wyzdrowieć choć w takim stopniu, by wrócić do miasta, nawet jeśli nie będę dość zdrów, by myśleć o podjęciu pracy. Co byś mi radził?

– Radziłbym ci porzucić wszelką myśl o pracy. To zakaz. Czy nie pracowałeś przez całe życie? Nie możesz poświęcić marnych dwunastu miesięcy dla zdrowia, przyjemności i nieróbstwa?

– Ach, te przyjemności... – mruknął Mason ironicznie.

– Tak jest, przyjemności – rzekł z naciskiem doktor. – Cóż ci takiego zrobiły, że mówisz o nich w taki sposób?

– Och, naprzykrzają mi się – odparł Mason.

– Aleś ty wybredny. Lepiej, żeby naprzykrzały ci się przyjemności niż ból.

– Nie przeczę. Ale są sposoby, by zobojętnieć na ból. Nie chcę przez to powiedzieć, że

je odkryłem, ale w czasie choroby czasem coś mi mignęło. Lecz zobojętnieć na przyjemność to rzecz ponad moje siły. Słowem, boję się, że umrę przez dobroć.

– Och, bzdura!

– Owszem, bzdura; ale nie całkiem. Nie miałyby to żadnego sensu, gdybym nie wyzdrowiał.

– Jeśli nie wyzdrowiejesz, to tylko z własnej winy. To będzie dowód, że przedkładasz chorobę nad zdrowie i że nie jesteś godzien towarzystwa rozsądnych śmiertelników. Wiesz, co ci powiem? – podjął doktor po chwili wahania. – Kiedy poznałem cię w wojsku, nigdy nie potrafiłem cię rozgryźć do końca. Zanadto się wszystkim przejmowałeś. W każdej sprawie miałeś skrupuły i wątpliwości. A na domiar złego zżerała cię mania, by sprawiać wrażenie beztroskiego i przejawiać całkowitą obojętność. Grałeś swoją rolę bardzo dobrze, ale musisz oddać mi sprawiedliwość i przyznać, że to b y ł a gra.

– Właściwie nie wiem, czy to komplement, czy bezczelność. Mam nadzieję, że przynajmniej teraz nie możesz mi zarzucić, że gram rolę.

– Wręcz przeciwnie. Jestem twoim lekarzem; jesteś szczery.

– Nie dlatego jestem szczery, że jesteś moim lekarzem – zaprzeczył Mason. – Nie powstałoby mi w głowie, że miałbyś w tym charakterze znosić moje żalosne kaprysy i urojenia. – Ferdinand urwał na chwilę. – Lecz jesteś mężczyzną! – wybuchnął, kładąc dłoń na ramieniu towarzysza. – A tu są same kobiety, niech im Bóg wynagrodzi! Mam aż nadto szeptów, perfum, uśmiechów i szelestu sukien. Trzeba mężczyzny, by zrozumieć mężczyznę.

– Mój drogi, żeby cię zrozumieć, trzeba być czymś więcej niż mężczyzną – odrzekł Knight z przyjaznym uśmiechem. – Niemniej ja słucham.

Mason milczał, pólżąc w fotelu, splótłszy dłonie luźno na kolanach, z wolna wodząc wzrokiem po kawałku nieba, widocznym przez szerokie okno. Doktor przyglądał mu się na poły rozbawiony, na poły zakłopotany. W końcu jednak spoważniał i zmarszczył czoło. Położył rękę na ramieniu Masona i lekko nim potrząsnął. Ferdinand spojrzał mu w oczy; doktor zachnął się, lecz wówczas usta kolegi rozciągnęły się w łagodnym uśmiechu. – Jeśli nie wyzdrowiejesz – rzekł Knight – jeśli nie wyzdrowiejesz... – urwał.

– Wyciągniesz konsekwencje? – zapytał Ferdinand, wciąż się uśmiechając.

– Znienawidzę cię – oświadczył Knight, również z półuśmiechem.

Mason roześmiał się w głos. – A co mnie to będzie obchodzić?

– Opowiem wszystkim, że był z ciebie smętny, niemrawy osobnik... że to żadna strata.

– Proszę cię bardzo – zgodził się Ferdinand.

Doktor wstał. – Nie lubię upartych pacjentów.

Ferdinand wybuchnął przeciągłym, głośnym śmiechem, który zakończył się atakiem kaszlu.

– Robi się zbyt zabawnie – rzekł Knight. – Muszę iść.

– Nie, zostań i śmieję się na zdrowie – zawołał Ferdinand. – Obiecuję, że wyzdrowieję.

Lecz przynajmniej tego wieczora okazało się, że chwilowa euforia wcale mu nie posłużyła. Przed udaniem się na spoczynek zaszedł do bawialni, by spędzić pół godziny z paniami. Pokój był pusty, ale lampa się paliła, usiadł więc w fotelu i przeczytał jeden

rozdział powieści. Czuł się pobudzony, beztroski, oszołomiony, kręciło mu się w głowie, jakby napił się mocnej kawy. Odłożył książkę, podszedł do wiszącego nad kominkiem lustro i rzucił okiem na swoje odbicie; chyba po raz pierwszy w życiu uważnie obejrzał swoją twarz, zastanawiając się, czy jest przystojny. Lecz potrafił tylko stwierdzić, że wygląda bardzo chudo i blado i że w ogóle nie nadaje się do życia. Wreszcie z góry dobiegł go odgłos otwieranych drzwi, a potem szelest obszernej spódnicy na schodach. Do pokoju weszła pani Mason, świeżo po zabiegach pokojówki, ubrana na przyjęcie.

– Panna Hofmann też idzie? – zapytał Mason. Serce mu biło; miał nadzieję, że pani Mason zaprzeczy. Chwilowe poczucie siły, ciepły blask lampy, otwarty fortepian i spodziewane wyjście stojącej przed nim wytwornej kobiety – według niego były to dobre powody, by panna Hofmann została w domu. Jednak dźwięk kroków młodej damy na schodach stanowił twierdzącą odpowiedź na jego pytanie. Niebawem stanęła w progu, ubrana w suknię z krepdeszynu mocnej fiołkowej barwy, przybraną pęczkami białych różyczek. Przez następnych dziesięć minut Mason miał przyjemność być świadkiem miłych dla oczu gestów i przygotowań, którymi kobiety skracają sobie czas, zanim powóz zajedzie; ostatnich spojrzeń w lustro, powolnego naciągania rękawiczek, wzajemnych poprawek i komplementów.

– Czyż nie jest śliczna? – zagadnęła panna Hofmann młodego człowieka, skłaniając głowę w stronę ciotki, kobiety eleganckiej w każdym calu.

– Śliczna, śliczna, śliczna! – przyznał Ferdinand z takim naciskiem, że panna Hofmann spojrzała nań uważnie; a gdy pani Mason z rozbawieniem odwróciła się plecami, Caroline dostrzegła, że Mason teraz z kolei jej się przygląda.

– Szkoda, że pan nie może iść z nami – uśmiechnęła się dyskretnie.

– Pójdę spać – oznajmił po prostu Ferdinand.

– I bardzo dobrze. My pójdziemy spać około drugiej. Zdążę sobie pobrykać po sali balowej przy wtórze pianina i skrzypek, a ciotka Maria zasiądzie pod ścianą i schowa stopy pod krzesło. Takie jest życie!

– Więc będzie pani tańczyć – rzekł Mason.

– Będę. Doktor Knight mnie zaprosił.

– On dobrze tańczy, Caroline? – zapytała pani Mason.

– To się dopiero zobaczy. Mocno podejrzewam, że nie.

– Dlaczego? – zdziwił się Mason.

– Bo robi dobrze mnóstwo innych rzeczy.

– To żaden powód – oceniła pani Mason. – A ty tańczysz, Ferdinandzie?

Ferdinand pokręcił głową.

– Lubię, kiedy mężczyzna tańczy – oznajmiła Caroline – ale lubię też, kiedy nie tańczy.

– To bardzo kobieca wypowiedź, moja droga – stwierdziła pani Mason.

– Owszem. To pewnie wpływ białych rękawiczek, sukni z dekoltem i białych róż. Pułkownikowi Mason, kiedy kobieta już włoży coś takiego na siebie, można się po niej spodziewać tylko bzdur. Ciociu Mario, zapniesz mi rękawiczkę?

– Pozwoli pani, że ja to zrobię – powiedział Ferdinand. – Pani ciotka sama włożyła już rękawiczki.

– Dziękuję. – I panna Hofmann wyciągnęła doń długie białe ramię, drugą ręką odsuwając z nadgarstka bransoletę. Rękawiczka zapinała się na trzy guziczki i Mason wykonał zadanie z wielkim skupieniem i starannością.

– A teraz – rzekł z powagą – słyszę już powóz. Pewnie chce pani, bym podał pani szal.

– Jeśli pan łaskaw – panna Hofmann wręczyła mu marszczoną białą narzutkę i obróciła ku niemu jasne ramiona. Mason okrył je uroczyście, a pokojówka, która zjawiła się tymczasem, podobnie obsłużyła starszą damę.

– Do widzenia – rzekła pani Mason, podając mu rękę. – Nie wolno ci wychodzić na dwór. – To powiedziawszy, z pomocą pokojówki ulokowała się w powozie, panna Hofmann zaś zebrała swe powaby, gotowa pójść jej śladem. Ferdinand przyglądał się jej, wsparty o drzwi bawialni; przeszła obok, szumiąc spódnicą, i z uśmiechem skinęła mu głową na pożegnanie. To uśmiech dla niej typowy, pomyślał Mason – uśmiech, w którym nie było ani nadziei na triumf, ani udawanego ociągania, lecz jedynie nikły cień doskonale pogodnej rezygnacji. Odprowadził wzrokiem odjeżdżający powóz i jego zapalone lampy, po czym długo stał przy oknie, wpatrując się w ciemność. Niebo było zachmurzone. Gdy się odwrócił, weszła służąca, by zabrać pozostawione na stoliku rękawiczki. – Mam nadzieję, że pan się lepiej czuje – zagadnęła uprzejmie.

– Dziękuję, chyba tak.

– Szkoda, że nie mógł pan pojechać z paniami.

– Nie jestem jeszcze dostatecznie zdrowy, by myśleć o takich rzeczach – odparł Mason, usiłując się uśmiechnąć. Ale na środku pokoju nagle zaatakowało go dziwne doznanie, które można jedynie opisać jako stan ogólnego omdlenia. Zakręciło mu się w głowie, poczuł słabość i mdłości. Świat wirował mu przed oczami, kolana drżały. – Jestem chory – wyszeptał, siadając na kanapie. – Musisz zawołać Williama.

William zjawił się natychmiast i zaprowadził młodego człowieka do pokoju. – Na Boga, co pan takiego robił, sir? – zapytał ów najbardziej nieskazitelny z pokojowych, pomagając mu się rozebrać.

Ferdinand milczał przez chwilę.

– Podałem szal panie Hofmann.

– To wszystko?

– I zapiąłem jej rękawiczkę.

– Cóż, sir, musi pan bardzo uważać.

– Najwyraźniej – odrzekł Ferdinand.

Jednak spał mocno i rano poczuł się lepiej. – Z pewnością jestem zdrowszy – mruknął do siebie, powoli przystępując do porannej toalety. – Miesiąc temu taki atak jak wczorajszy skutecznie przegoniłby wszelki sen. A więc odwagi. Diabeł nie umarł, ale już zdycha.

Po południu odwiedził go Horace Knight. – Podobno wczoraj tańczyłeś z panną Hofmann u pani Bradshaw – zwrócił się Mason do przyjaciela.

– A tak, tańczyłem. To niepoważne zajęcie dla człowieka z moją pozycją, ale pomyślałem, że nie ma w tym nic złego, jeśli zrobię to tylko raz, po prostu żeby im pokazać, że potrafię. Tym wymowniejsza będzie w przyszłości moja nieobecność. Twoje

panie też tam były, więc zatańczyłem z panną Hofmann. Miała fiołkową suknię i była najpiękniejszą kobietą na sali. Wszyscy o tym mówili.

– Widziałem ją – wtrącił Mason – przed odjazdem.

– Powinieneś był zobaczyć ją na miejscu. Muzyka, ożywienie, towarzystwo, wszystko to bardzo uwydatnia kobiecą urodę.

– Tak przypuszczam – powiedział Ferdinand.

– Uderza mnie zwłaszcza... jak by to nazwać?... jej witalność, jej cicha werwa. Pewnie jej nie widziałeś, kiedy wróciła? Gdybyś ją zobaczył, zauważyłbyś, że o drugiej w nocy była równie świeża i gibka jak o dziesiątej, chyba że bardzo się mylę. Gdy inne panny wyglądały na zmęczone, znużone i zużyte, ona jedna nie przejawiała żadnych oznak wyczerpania. Nie była blada ani niezdrowo zaczerwieniona, lecz zwinna, zaróżowiona i wyprostowana. Jest mocna. Rozumiesz, oceniam ją jako lekarz, nic na to nie poradzę. Przy tych biednych dziewczętach robi wrażenie, jakby miała w sobie moc jakiejś nietykalnej bogini. – Knight uśmiechnął się otwarcie, czując, że zapuszcza się w dziedzinę krasomówstwa. – Nosi te swoje sztuczne róże i śnieżyczki, jakby zebrała je na górskich szczytach, a nie kupiła na Broadwayu. Chodzi długim krokiem, jej suknia szeleści; dla człowieka z wyobraźnią to Diana wśród leśnych liści.

Ferdinand zaśmiał się.

– A więc jesteś człowiekiem z wyobraźnią.

– Pewnie, że tak – odparł doktor.

Ferdinand nie miał ochoty kwestionować sądów przyjaciela o pannie Hofmann ani ważyć jego słów. Potwierdziły one tylko wrażenie, które z dnia na dzień umacniało się w jego umyśle: „Mężczyzna musi być silny, żeby się do niej zbliżyć – powtarzał sobie. – Musi być równie energiczny i elastyczny jak ona, inaczej w trakcie zalotów zostanie za nią daleko w tyle. Musi umieć zapomnieć o swoich płucach, wątrobie i trawieniu. Nawet jeśli doznał uszczerbku w obronie kraju, nic mu to nie pomoże. Bo cóż to dla niej? Ona potrzebuje mężczyzny, który bronił swego kraju, nie ponosząc szkody – kompletnego, nietkniętego, zahartowanego, niezniszczalnego. Wtedy, dopiero wtedy – myślał Ferdinand – być może wzięłaby go pod uwagę. Choćby tylko po to, by mu odmówić. Możliwe, że jej przeznaczeniem jest żyć samotnie niczym Diana, do której Knight ją porównuje. Ale z pewnością może zaczekać. Mając czterdzieści pięć lat, wciąż będzie młoda. Kobiety, które są młode w wieku lat czterdziestu pięciu, zapewne nie należą do kobiet zbyt interesujących. Prawdopodobnie nic nie czuły do niczego i nikogo. Ale często wina nie leży po ich stronie, lecz po stronie mężczyzn i kobiet wokół nich. Ta przynajmniej p o t r a fi coś czuć; rzecz w tym, jak ją poruszyć. Jej dusza to instrument o tysiącu strun, z których ton wydobędzie tylko silna ręka. Lecz raz dotknięta, będzie dźwięczeć bez końca”.

Krótko mówiąc, Mason był zakochany. Zobaczymy, że jego uczucie nie miało w sobie żadnego tupetu ani bezwzględności, przeciwnie, było cierpliwe, dyskretne i skromne – wręcz nieśmiałe. Przez dziesięć długich dni, najbardziej pamiętnych dni swego życia – które, gdyby prowadził dziennik, zostawiłby bez wpisu – trzymał język za zębami. Zniósłby wszystko, byle nie ujawniać swych emocji albo pozwolić, by panna Hofmann dowiedziała się o nich przypadkowo. Zamierzał hołubić to uczucie w milczeniu, póki

w kościach nie poczuje, że przyszedł do siebie, i dopiero wówczas otworzyć przed nią serce. Tymczasem, powtarzał sobie, będzie wytrwały; będzie najbardziej nieskazitelnym, najbardziej ascetycznym, najbardziej niepozornym z rekonwalescentów. Na razie nie nadawał się do tego, by jej dotykać, patrzeć na nią, mówić do niej. Mężczyzna nie może się zalecać w szlafroku i kapciach.

Nadszedł jednak dzień, gdy Ferdinand, mimo swych postanowień, był bliski utraty równowagi. Po obiedzie pani Mason zaplanowała dlań przejażdżkę faetonem, jednak godzinę przed umówioną porą została wezwana do sąsiadki, która nagle się rozchorowała.

– Wykluczone, żeby przepadł panu spacer – oznajmiła panna Hofmann, przekazując przeprosiny ciotki. – Jeśli wciąż jest pan skłonny jechać, z przyjemnością chwycę za cugle. Będę gorszą towarzyszką niż ciotka Maria, ale może równie dobrą jak Tomasz. – Ustalono więc, że panna Hofmann zastąpi ciotkę i o piątej faeton ruszył spod drzwi. Połowa drogi minęła w milczeniu; właściwie pierwsze słowa wymienili, gdy powóz wjechał na polanę, za którą w oddali zamigotał wśród drzew zakręt rzeki. Panna Hofmann odruchowo ściągnęła wodze. Słońce stało już nisko i bezchmurne zachodnie niebo promieniało złotawym różem. Drzewa skrywające widok rzucały na trawę wielką zasłonę cienia, który sięgał aż na drogę; między ich rozproszonymi pniami lśnił rozlany, biały nurt rzeki Hudson. Oboje znali to miejsce. Mason widział je z łódki, gdy pewnego dnia pan z sąsiedztwa, chcąc zrobić mu uprzejmość, zaprosił go na krótką przejażdżkę; również panna Hofmann często tutaj bywała.

– Pięknie tu! – powiedziała, gdy faeton się zatrzymał.

– Tak, gdyby nie te drzewa – zauważył Ferdinand. – Zaslaniają najlepszą część widoku.

– Powiedziałabym, że raczej go wskazują – odparła jego towarzyszka. – Stąd rzeczywiście go zasłaniają; lecz zachęcają, by się w nich zanurzyć, zginąć za nimi i w samotności rozkoszować się panoramą.

– Ale nie da się tam wjechać powozem.

– Nie, jest tylko ścieżka, chociaż jeździłam tam konno. Któregoś dnia, gdy będzie pan silniejszy, musi pan tu wysiąść i zejść na brzeg na piechotę.

Mason milczał przez chwilę – chwilę, podczas której jego ciało przeszło dreszcz śmiałego postanowienia. – Zwróciłem na to miejsce uwagę, gdy byłem na wodzie z panem McCarthym. Od razu uznałem je za swoje. Brzeg jest dość wysoki, a na urwisku drzewa tworzą jakby amfiteatr. Chyba stoi tam ławka.

– Tak, są dwie ławki – potwierdziła Caroline.

– Więc może spróbujmy teraz – rzekł Mason z wysiłkiem.

– Ale pan nie przejdzie przez tę łąkę. Jak widać, teren jest nierówny. A poza tym nie mogę się zgodzić, by poszedł pan sam.

– Takiego głupstwa nigdy nie ośmieliłbym się pani zaproponować – powiedział Ferdinand, stając w faetonie. – Tam widać dom, w którym zapewne mieszkają jacyś ludzie. Chyba możemy podjechać i zostawić konia pod ich opieką?

– Nic łatwiejszego, skoro pan nalega. Dom zajmuje rodzina Niemców z dwojgiem dzieci, z którymi przyjaźnię się od dawna. Gdy przyjeżdżam tu konno, zawsze domagają

się „miedziaków”. Z ich ogródka droga jest krótsza.

Tak więc panna Hofmann skierowała powóz w stronę domku, który stał przy ścieżce kilka jardów od drogi. Na spotkanie wybiegło im dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, z gołymi głowami i nogami, przy czym te pierwsze były bardzo jasne, te drugie zaś – bardzo czarne. Caroline z pogodą powitała je po niemiecku. Dziewczynka, jako starsza, zgodziła się popilnować konia, chłopiec tymczasem zaofiarował się, że wskaże gościom najkrótszą drogę nad rzekę. Mason dotarł na miejsce bez większego zmęczenia i ujrzał tam widok, który byłby wart nawet znacznie większego zachodu. Sto stóp pod nimi rozciągał się w lewo i w prawo szeroki przestwór wód, płynących ku morzu. W oddali wznosiły się łagodne wzgórza Catskills; bliżej położone tereny majaczyły w zapadającym zmierzchu niewyraźne i bezbarwne. Od rzeki wzniosł się ku nim lekki powiew chłodu.

– Pan usiadzie, psze pana – powiedział chłopiec, czyniąc honory domu.

– Tak, pułkowniku, niech pan siada – rzekła Caroline. – Już za długo jest pan na nogach.

Ferdinand posłusznie opadł na ławkę, nie mogąc zaprzeczyć, że robi to chętnie. Panna Hofmann wypuściła z rąk spódnicę, którą zebrała i uniosła, wysiadając z powozu, po czym wolno podeszła do krawędzi urwiska; tam przystanęła, zagłębiona w rozmowie z małym przewodnikiem. Mason dosłyszał jedynie, że mówi po niemiecku. Po chwili odwróciła się, wciąż rozmawiając z chłopcem, a raczej go słuchając.

– Jest bardzo ładny – rzekła po francusku, zatrzymując się przed Ferdinandem.

Mason wybuchnął śmiechem.

– I pomyśleć – powiedział – że przez takiego brudnego urwisa nie możemy używać dwóch języków! Mówisz po francusku, moje dziecko?

– Nie – odparł mały stanowczo. – Mówię po niemiecku.

– Ach, tam za tobą nie pójdę!

Chłopiec wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym odpowiedział bez związku z tematem, co chyba można mu wybaczyć:

– Pokażę panu zejście do wody.

– Tam również nie mogę za tobą pójść. Mam nadzieję, że i pani tam nie pójdzie, panno Hofmann – dodał młody człowiek, widząc, że Caroline się poruszyła.

– To trudna droga? – zapytała chłopca.

– Nie, łatwa.

– Podrę sobie suknię?

Dzieciak pokręcił głową i Caroline ruszyła w dół pod jego przewodnictwem.

Kiedy przez jakiś czas nie wracała, Ferdinand odważył się podejść do krawędzi klifu i spojrzął w dół. Siedziała na kamieniu na wąskim pasie piasku, trzymając kapelusz na kolanach i mnąc w palcach pióro. Po chwili Ferdinandowi wydało się, że z dołu dobiegają delikatne tony, jakby cicho śpiewała. Wsłuchał się uważnie, aż wreszcie udało mu się odróżnić kilka słów po niemiecku. Do diabła z tym niemieckim! – pomyślał młody człowiek. Nagle panna Hofmann wstała z miejsca i niebawem pojawiła się na górze.

– No i co pani tam odkryła? – zapytał Ferdinand niemal wściekle.

– Nic, kawałek plaży i kupkę kamieni.

– Jednak podarła pani suknię.

Panna Hofmann spojrzała na swoje falbany. – A gdzie, jeśli pan łaskaw?

– Tu, z przodu. – Mason wyciągnął rękę i laską uniósł rozdarty fałd muślinu. Była w tym ruchu pewna gwałtowność, *brusquerie*, która zwróciła uwagę panny Hofmann. Spojrzała na towarzysza i widząc wzburzenie na jego twarzy, uznała, że się złości, bo musiał na nią czekać.

– Dziękuję – rzekła – zeszyję to bez trudu. A teraz już wracajmy.

– Nie, jeszcze nie – zaprotestował Ferdinand. – Mamy mnóstwo czasu.

– Mnóstwo czasu, by się przeziębic – skomentowała życzliwie panna Hofmann.

Mason wbił laskę w ziemię tam, gdzie opadła po zetknięciu się z suknią Caroline, i wstał, wsparty na niej, nie odrywając wzroku od twarzy dziewczyny. – A jeśli się przeziębę, to co? – zapytał raptownie.

– Proszę, niech pan nie gada bzdur.

– Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej. – Zawahał się i zrobił dwa kroki w jej stronę. Dziewczyna ciaśniej otuliła się szalem, w którym ginęły jej ramiona, i znieruchomiała, trzymając się za łokcie. – Oczywiście, nie należy tego rozumieć dosłownie – ciągnął Mason. – Ogólnie rzecz biorąc, chciałbym wyzdrowieć. Ale są chwile, gdy to ciągle cackanie się ze sobą wydaje mi się poniżej męskiej godności i kusi mnie, by kupić sobie choć godzinę szczęścia za cenę... niechby i za cenę życia, jeśli trzeba!

Była to, jak dotąd, najbardziej szczerą wypowiedź Ferdinanda; czytelnik sam oceni typową dlań powściągliwość. Panna Hofmann z pewnością poczuła się zaskoczona, a nawet odrobinę zdziwiona. Lecz było jasne, że on oczekuje odpowiedzi.

– Nie wiem, jakie pan miewał pokusy – rzekła więc z uśmiechem – ale przyznam, że w pańskiej obecnej sytuacji nie widzę niczego, co wymagałoby wielkiej ofiary, o której pan wspomniał. To, co pan mówi, pułkowniku Mason, graniczy...

– Graniczy z czym?

– Graniczy z niewdzięcznością. Ciocia Maria pochlebia sobie, że uczyniła pańską egzystencję tak łatwą i przyjemną, tak bezmyślną, jeśli pan chce, jak to tylko możliwe dla... dla człowieka zdolnego. A teraz, po tym wszystkim, pan jej zarzuca, że naraża pana na pokusy.

– Panno Hofmann, pani ciotka Maria to najzacniejsza z kobiet – powiedział Mason. – Ale ja nie jestem zdolny. Mam niewybaczalnie słaby charakter. Małe rzeczy wprawiają mnie w podniecenie. Małe przyjemności stanowią olbrzymie pokusy. Na przykład dałbym wiele, by spędzić tu z panią jeszcze pół godziny.

Jest kwestią nad wyraz delikatną, czy panna Hofmann przestała odczuwać zdziwienie; czy rozpoznała w tonie młodzieńca – w jego głosie, postawie, oczach, znacznie wymowniejszych niż słowa – zapowiedź owej podniosłej i prostej prawdy, w której obliczu mądra kobieta odrzuca kokieterię i pruderię i staje się najczystszy miłosierdziem. Miłosierdzie wszakże jest przede wszystkim taktowne; toteż panna Hofmann z łatwością mogła dokonać wspomnianego drobnego przeistoczenia, pozostając – tak jak pozostała – wdzięcznie otulona szalem, z tym samym poważnym

uśmiechem na ustach. Serce Ferdinanda pod kamizelką waliło jak młotem; słowa, w których mógł jej wyznać miłość, trzepotały mu w piersi niczym spłoszone ptaki w klatce. To, czy jego wargi dadzą im wyraz, zależało od jej następnych słów; przy najmniejszej oznace oporu lub zniecierpliwienia zamierzał naprawdę sprowokować ją do kokieterii. Powtarzam – nie podejmuję się nadażać za uczuciami panny Hofmann, wiem jedynie, że przemówiła jak kobieta obdarzona wielkim instynktem:

– Mój drogi pułkowniku Mason – powiedziała – chciałabym, abyśmy mogli tu zostać cały wieczór. Takie chwile są zbyt przyjemne, by z nich lekkomyślnie rezygnować. Po prostu odwołuję się do pańskiego rozumu. Jeśli pan sądzi, że to bezpieczne i że nie złapie pan przez to jakiegoś okropnego przeziębienia, to proszę bardzo, możemy tu spędzić trochę czasu. Jeśli pan sądzi inaczej, wracajmy do powozu. Nie widzę powodu, byśmy zachowywali się jak dzieci.

Jeżeli panna Hofmann obawiała się sceny – a nie twierdzę, że tak było – to została uratowana. Mason wyczytał z jej słów zapewnienie, że na razie może poczekać.

– Panno Hofmann, pani jest aniołem – rzekł na znak, że przyjął tę życzliwą rękojmię do wiadomości. – Istotnie, sądzę, że powinniśmy wracać.

Panna Hofmann ruszyła ścieżką przodem, a Ferdinand wolno poszedł w jej ślady. Mężczyzna, który ustąpił kobiecej mądrości, zazwyczaj uważa, że powinien przekonać sam siebie, iż posłuchał głosu rozsądku. Przypuszczam, że w tym właśnie duchu Mason, idąc, mruknął pod nosem: – No, to mam, czego chciałem.

Następnego ranka obudził się jako inwalida. Pojawiły się objawy, których dotychczas prawie wcale nie odczuwał; musiał więc przyjąć do wiadomości gorzką prawdę, że wypadek, choć niedługi, okazał się ponad jego siły. Przechadzka, wieczorne powietrze, nadrzeczna wilgoć – wszystko to przyczyniło się do gwałtownego ataku gorączki. Kiedy zaś odkrył, że, mówiąc wulgarnie, jest „załatwiony”, całkiem stracił serce i poddał się. Szczęśliwie wraz z ładunkiem odwleczonych nadziei i niespełnionych planów został zwolniony z opieki nad owym cennym narządem: jego stan bowiem stopniowo się pogarszał, skutkując dłuższymi okresami nieprzytomności.

Przez trzy tygodnie Mason był człowiekiem bardzo chorym. Przez kilka dni wątpiono, czy w ogóle przeżyje. Pani Mason czuwała przy nim niestrudzenie; jej cierpliwość wydawała się niewyczerpana, jej troskliwość – dyktowana prawdziwą serdecznością. Postanowiła, że nie pozwoli, aby przez jakikolwiek błąd z jej strony żarłoczna Śmierć wzięła w posiadanie karierę pełną tak olśniewających możliwości i owej aktywnej wdzięczności, miłej przecież dla dobrodusznej pani w średnim wieku, którą wyczuwała u swego *protégé*. Wreszcie jej troska została nagrodzona – pewnego pięknego poranka biedny Ferdinand, milczący od tak dawna, znalazł słowa, by jej powiedzieć, że lepiej się czuje. Jednakże zdrowie wracało doń bardzo powoli i zatrzymało się trochę poniżej poziomu, z którego nastąpił upadek. Nieszczęśnik po raz drugi stał się rekonwalescentem. Utrzymywał, że jest zaskoczony, iż wciąż znajduje się wśród żywych; był milczący i poważny, z nową zmarszczką na czole, jak ktoś, kto szczerze dziwi się kaprysom losu. – Najwidoczniej – mówił do pani Mason – zostałem oszczędzony do wyższych celów.

Ferdinand dowiedział się, że pragnąc zapewnić w domu bezwzględną ciszę, panna

Hofmann usunęła się do domu przyjaciółki, odległego o pięć mil. Pierwszego dnia, gdy młody człowiek poczuł się dość silny, by usiąść w fotelu, pani Mason powiedziała mu, że powrót siostrzenicy ustalono na następny dzień rano. – Na pewno bardzo chce się z tobą zobaczyć – oznajmiła. – Czy kiedy przyjedzie, mogę przyprowadzić ją do twego pokoju?

– Dobry Boże, nie! – krzyknął Ferdinand, któremu pomysł ten wydał się bardzo przykry. Zobaczyli się zatem dopiero trzy dni później, przy stole. W porze kolacji Mason opuścił swój pokój, aby odprowadzić do wyjścia doktora Knighta. W holu natknęli się na panią Mason, która zaprosiła doktora, by się do nich przyłączył z okazji powrotu jego pacjenta do towarzystwa. Knight wahał się jeszcze, gdy Ferdinanda dobiegł odgłos kroków panny Hofmann na schodach. Odwrócił się szybko i zdążył ujrzeć jej przelotne, porozumiewawcze spojrzenie. Musiało być przeznaczone dla Knighta, gdyż pani Mason stała plecami do schodów – i doktor, ku żalowi Masona, wymówił się wcześniejszym zobowiązaniem. Pani Mason zaproponowała inny termin w najbliższą niedzielę, na który Knight przystał od razu; i dopiero ponieważ zastanowiło Ferdinanda, dlaczego panna Hofmann zakazała lekarzowi zostać. Szybko dostrzegł, że podczas nieobecności młoda dama nie utraciła żadnej ze swych zalet, przeciwnie, wydawały się bardziej nieodparte niż kiedykolwiek. Co więcej, odniósł wrażenie, że przenika je i wiąże pewna łagodna zaduma, czuła uległość, której dotąd nie zauważył. O tym, że nie padł ofiarą złudzenia, upewniły go obserwacje pani Mason:

– Ciekawe, co się stało Caroline – rzekła zamyślona. – Gdyby nie to, iż sama podkreśla, że czuje się lepiej niż kiedykolwiek przedtem, byłabym uznała ją za chorą. Nigdy nie widziałam jej tak prostej i miłej. Wygląda jak osoba, która się czegoś przeraziła – czegoś wszakże, co nie było całkiem nieprzyjemne.

– Przebywała w domu pełnym ludzi – powiedział Mason. – Była podniecona, rozbawiona, zaabsorbowana; teraz wróciła do pani i do mnie (proszę wybaczyć zestawienie, lecz takie są fakty) i nastąpiła swego rodzaju reakcja. – Wyjaśnienie Ferdinanda było bardziej pomysłowe niż wiarygodne.

Pani Mason odpowiedziała lepsze.

– Mam wrażenie... George Stapleton, młodszy syn gospodarzy, to dawny adorator Caroline. Trudno uwierzyć, żeby przebywając z nią dwa tygodnie pod jednym dachem, w jakiejś formie znów nie uderzył w konkury.

Ferdinand nie poczuł niepokoju, gdyż widział pana George'a Stapletona, a nawet z nim rozmawiał; był to młody mężczyzna, bardzo przystojny, bardzo bystry, bardzo bogaty i – jak się wydawało – bardzo niegodny panny Hofmann.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że twoja siostrzenica go wysłuchiwała – odparł ze spokojem.

– Wysłuchiwała, a jakże. Starał się być miły i udało mu się zrobić pewne wrażenie, chwilowe wrażenie – dodała pani Mason rzeczowo.

– Nie wierzę.

– Dlaczego? To bardzo uprzejmy człowiek.

– Tak, tak, faktycznie, uprzejmy. A także bardzo bogaty. – Tu rozmowę przerwało im wejście Caroline.

W niedzielę obie panie udały się do kościoła. Ferdinand opuścił swój pokój dopiero po

ich odjeździe. Zaszedł do saloniku, wziął książkę i poczuł jakby drgnienie swego dawnego intelektualnego życia. Czy kiedykolwiek miał jeszcze zaznać pracy? Po niespełna godzinie panie wróciły, rozpromienione pod nabożnymi kapeluszymi, lecz pani Mason zaraz znów gdzieś wyszła, zostawiając naszą dwójkę razem. Panna Hofmann zapytała Ferdinanda, co czyta, a to skłoniło go do oświadczenia, iż doprawdy, sądzi, że powinien w końcu zacząć używać głowy. Słuchała go z całym szacunkiem, jakim inteligentna kobieta, prowadząca próżniacze życie, z konieczności darzy zdolnego mężczyznę, który w pewnym stopniu zgodził się uczynić ją powiernicą swoich intelektualnych zamysłów. Pobudzony jej rozkoszną sympatią, skupioną uwagą, mądrymi pytaniami, wreszcie otworzył przed nią serce, wyjawiając swe najgłębsze przekonania i projekty. Z tego punktu nietrudno było sprowadzić rozmowę na tematy wiary i nadziei w ogólności. Zanim się obejrzał, już tak się stało; miał zatem ogromną satysfakcję, mogąc z kobietą, od której nade wszystko zależało jego samolubne, prywatne szczęście, omawiać podniosłe sprawy – sprawy, w których pojemnym ogromie nikną i gasną ludzie, przyjemności i rozrywki, w których surowym blasku błędnie lśnienie najjaśniejszych bóstw ziemi. Poważne uczucie to świetny fundament rozważań o sprawach najwyższych. Chociaż więc Ferdinand w żadnym razie nie zalecał się do towarzyszki i w żadnym stopniu, przynajmniej świadomie, nie odwoływał się do emocji, jakie budziła w nim jej obecność, jedno jest pewne – formułował swe koncepcje tym jaśniej, że robił to jako człowiek zakochany. Co się zaś tyczy panny Hofmann, wszystko wskazuje na to, że jej uwaga nie byłaby żywsza ani rozumienie – subtelniejsze, gdyby atmosferę jej ducha istotnie oczyścił święty ogień wzajemnego uczucia.

Zgodnie z planem Knight zjawił się na obiedzie i po raz kolejny okazał się zajmującym kompanem, co nasz bohater nauczył się doceniać już dawno temu. Mason, świeżo po zmaganiach z metafizyką i moralnością, nagle dobitnie zdał sobie sprawę, że należy do ludzi, z którymi taki dziarski osobnik miewa więcej kłopotów niż pożytku; musiał wszakże przyznać, że choć Knight nie był człowiekiem głębokich zasad, to jednak był na wskroś człowiekiem honoru. Po obiedzie towarzystwo przeniosło się na werandę, gdzie po półgodzinie doktor zaproponował pannie Hofmann, by przeszła się z nim po ogrodzie. Wokół trawnika wiała się wąska ścieżka, osłonięta tu i ówdzie kępami krzewów. Ferdinand i jego gospodyni siedzieli, obserwując z dala postacie spacerujących powoli przemierzające zwirowe zakręty; od czasu do czasu wśród ciemnej zieleni migiała jasna suknia panny Hofmann i biała kamizelka doktora. Wrócili do domu po dwudziestu minutach, po czym doktor ukłonił się i pożegnał, panna Hofmann zaś po jego odejściu oddaliła się do swego pokoju. Następnego dnia rano dosiadła konia i pojechała odwiedzić przyjaciół, u których mieszkała w czasie gorączki Masona. Ferdinand zobaczył, jak przejeżdża za oknem, wyprostowana w siodle, a koń nerwowym kopytem rozpryskuje żwir. Niebawem do pokoju weszła pani Mason. Usiadła przy młodym człowieku, jak zwykle zapytała o stan jego zdrowia, po czym zawahała się w taki sposób, że Mason od razu pojął, iż ma mu coś do powiedzenia.

– Chcesz mi coś powiedzieć – zagadnął. – Co to takiego?

Pani Mason zaczerwieniła się nieco i roześmiała. – Początkowo próbowano mnie zmusić, bym dochowała sekretu – odrzekła. – Ale skoro nawet teraz, gdy wolno mi go

wyjawić, wszystko po mnie widać, to jak bym wyglądała, gdybym nie mogła? Zgadnij.

Ferdinand kategorycznie pokręcił głową. – Poddaję się.

– Caroline się zaręczyła.

– Z kim?

– Nie z panem Stapletonem; z doktorem Knightem.

Ferdinand milczał przez chwilę, lecz nie zmienił się na twarzy ani nie spuścił wzroku.

W końcu zapytał: – Nie życzyła sobie, byś mi powiedziała?

– Nie życzyła sobie, bym powiedziała komukolwiek. Ale nakłoniłam ją, by pozwoliła mi powiedzieć t o b i e .

– Dziękuję – rzekł Ferdinand z lekkim ukłonem i wielką ironią.

– To ogromna niespodzianka – ciągnęła pani Mason. – Niczego nie podejrzewałam.

A ja tu paplałam o panu Stapletonie! Nie mam pojęcia, jak to załatwili. Cóż, przypuszczam, że wszystko będzie dobrze. Jednak to dziwne, że Caroline odrzuciła tyle lepszych propozycji, żeby w końcu zgodzić się na doktora Knighta.

Ferdinand przez chwilę miał wrażenie, że traci mowę; lecz zaraz, niby młotem, przygwoździł je potężnym, stłumionym uderzeniem woli.

– Mogła trafić gorzej – bąknął mechanicznie.

Pani Mason zerknęła nań, zaskoczona brzmieniem jego głosu.

– Więc nie jesteś zdziwiony?

– Właściwie nie wiem. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że coś ich łączy, ale teraz, patrząc wstecz, widzę, że nic nie przemawiało przeciwko temu. Jedno nie mówiło o drugim ani za dużo, ani za mało. Do licha, ależ z nich zręczna para! – Wspominając niesłabnącą rezerwę i opanowanie swego przyjaciela, Ferdinand – choć to może dziwne – nie potrafił powściągnąć odruchu życzliwego podziwu. Jego rywal nie był wulgarny. – Tak – powtórzył poważnie – mogła trafić gorzej.

– Pewnie mogła. Jest biedny, ale zdolny; na Boga, i mam nadzieję, że ją kocha! – wykrzyknęła pani Mason.

Ferdinand milczał.

– Mogę zapytać – podjął wreszcie – czy zaręczyli się wczoraj, podczas tego spaceru wokół trawnika?

– Nie; a to byłoby piękne, gdyby zrobili to pod naszym nosem! Nie, wszystko zostało ustalone, kiedy Caroline była u Stapletonów. Wczoraj tylko uzgodnili, że powinna zaraz mi powiedzieć.

– A kiedy biorą ślub?

– We wrześniu, jeśli się da. Caroline prosiła ci przekazać, że liczy, iż zostaniesz do wesela.

– Gdzie zostanę? – zapytał Mason z nerwowym śmieszkiem.

– Tutaj, oczywiście; w naszym domu.

Ferdinand spojrzał gospodyni prosto w oczy, ujmując ją przy tym za rękę. – „Resztki pieczeni ze stypy podano gościom weselnym na zimno”⁹.

– Ach, przestań! – krzyknęła pani Mason, ściskając jego dłoń. – Jak możesz być taki okropny? Ferdinandzie, kiedy Caroline mnie opuści, zostanę całkiem sama. Jej

małżeństwo bardzo osłabi łączące nas więzy. A coś mi się zdaje, że nigdy nie były zbyt silne; uświadomiłam sobie, że najważniejszy krok w swoim życiu podjęła bez mojego udziału. Ja się nie skarżę, to pewnie dość naturalne. Może teraz jest taka moda, tak jak na halki w paski i marynarskie kurtki? Tyle że przez to czuję się stara. Jednym skokiem odeszły w przeszłość moje własne zaręczyny sprzed dwudziestu lat, a także dzień, gdy z płaczem rzuciłam się matce na szyję, bo twój stryj powiedział pewnej mojej koleżance, że mam piękne oczy. Przypuszczalnie w dzisiejszych czasach panowie osobiście mówią takie rzeczy młodym damom, pragnąc, by wyplakiwały się na ich własnej piersi. To oszczędza wiele czasu. Lecz mimo wszystko będę tęsknić za Caroline; a wtedy, drogi Ferdinandzie, dopiero zacznę cię rozpieszczać.

– Im bardziej, tym lepiej – rzekł Ferdinand z tym samym śmieszkiem co poprzednio, lecz w tym momencie pani Mason została odwołana.

Ferdinand nie na darmo był żołnierzem. Otrzymał silny cios i postanowił znieść go po męsku. Ani przez chwilę nie użalał się nad swoim losem; przeciwnie, nie szczędził sobie cierpkich wyzwisk, których wiele podpowiadało jego pełne namiętności słownictwo. Być może mógł sobie wybaczyć, że nie odgadł sekretu Caroline; wszystkie kobiety były nieprzeniknione, a ta w szczególności. Ale Knight, tak jak on, był mężczyzną – mężczyzną, którego wprawdzie cenił, lecz któremu niechętnie przyznawał prawo do uczuć płynących głębszym i bardziej bezgłośnym nurtem niż jego własne, miłość doktora bowiem nie była szmerzącym potoczkiem, zdradzającym swój bieg wśród zielonych liści. Knight kochał skromnie i przystojnie, niemniej szczerze i całym sercem, jak człowiek, który nie wstydzi się tego, co robi, więc jeśli on, Ferdinand, niczego się nie domyślił, to był sam sobie winien. Co mógł innego zrobić? Zachował się jak zadurzony marzyciel, podczas gdy przyjaciel był po prostu prawdziwym amantem. Zasłużył na cierpienie i zamierzał znosić je w milczeniu. Nie umiał wyzdrowieć, karmiąc się złudzeniem; teraz więc zamierzał dojść do zdrowia przy pomocy prawdy. Czytelnik przyzna, że to ostra kuracja, która mogła go wyleczyć, ale również zabić.

Nieobecność panny Hofmann trwała kilka godzin. Caroline nie wróciła w porze kolacji, więc pani Mason i młody człowiek sami zasiedli do stołu. Po obiedzie Mason przeszedł do saloniku, nie dbając o to, jak szybko się z nią spotka; czy ją widział, czy nie, czas dłużył mu się tak samo. Wkrótce panna Hofmann podjechała do wejścia, zeskoczyła z konia, po czym zmęczona i głodna podążyła prosto do jadalni, gdzie usiadła do posiłku w stroju do konnej jazdy. Po półgodzinie skończyła, lecz kiedy szła przez hol ku schodom, zauważyła w saloniku Masona. Odwróciła się i zbierając jedną ręką długą spódnicę, drugą zaś unosząc do ust ciasteczko, przystanęła w drzwiach, by się z nim przywitać. Wstał z fotela i zbliżył się do niej. Na jej twarzy widniał nieco znużony uśmiech.

– A więc wychodzi pani za mąż? – zaczął raptownie.

Panna Hofmann potwierdziła lekkim skinieniem głowy.

– Gratuluję pani. Przepraszam, że nie robię tego z większym wdziękiem. Czuję wszystko, co ośmielałam się czuć.

– Proszę się nie obawiać – odparła Caroline z uśmiechem, odgryzając kawałek ciastka.

– Nie jestem pewien, czy nie jest to bardziej zaskakujące, niż zazwyczaj bywa nawet w takich sprawach. Nie ma żadnych wątpliwości?

– Absolutnie żadnych.

– Cóż, Knight to przyzwoity gość. Jeszcze się z nim nie widziałem – ciągnął, widząc, że Caroline milczy. – Nie wiem, czy śpieszno mi do tego spotkania. Ale zamierzam z nim porozmawiać, zamierzam mu powiedzieć, że jeśli nie dopełni obowiązku wobec pani, to...

– Tak?

– To mu przypomnę.

– Och, sama to zrobię – rzekła panna Hofmann.

Ferdinand spojrzał na nią poważnie. – Wielkie nieba! Wie pani – zawołał z pasją – to musi być jedno albo drugie!

– Nie rozumiem pana.

– O, ale ja siebie rozumiem. Nie jest pani kobietą, którą wolno zmarnować, panno Hofmann.

– Nie rozumiem pana – powtórzyła Caroline z gestem zniecierpliwienia. – Pan wybaczy, jestem zmęczona. – I szybko weszła po schodach.

Następnego dnia Ferdinand miał okazję pogratulować doktorowi Knightowi. – Nie tyle gratuluję ci, że to zrobiłeś – powiedział – ile tego, jak to zrobiłeś.

– A co ty wiesz o tym, jak to zrobiłem? – zapytał Knight.

– Zupełnie nic. W tym właśnie rzecz. Postarałeś się o to. Więc pobieracie się jesienią?

– Mam nadzieję. Pewnie będzie bardzo skromnie. Pastor udzieli nam ślubu, a pani Mason, moja matka i ty dopilnujecie, by wszystko zostało zrobione jak należy. – I doktor położył Masonowi dłoń na ramieniu.

– Och, jestem ostatnią osobą, którą należy wybrać – rzekł Mason. – Gdyby coś zostało pominięte, na pewno bym nie protestował.

Często się mówi, że obok wielkiej radości najbardziej figlarnym stanem ducha jest tylko wielka rozpacz. Przypuszczalnie właśnie z tej racji Ferdinand potrafił zdobyć się na dowcip. Nie tracił ducha. Uśmiechał się, rozmawiał i leniuchował z tym samym układnym rozmarzeniem co przedtem. Narzeczeni uzgodnili, że panna Hofmann jeszcze przed ślubem powinna odwiedzić przyszłą teściową i spędzić z nią kilka dni; mogłaby wówczas cieszyć się towarzystwem wybranka z większą swobodą i prywatnością niż w domu. Nie było jej przez tydzień – i przez ten tydzień Ferdinand był całkowicie zdany na gospodynię w kwestii zabawy i rozrywki, dwóch rzeczy, które, jak czuł, były mu niezwykle potrzebne. Chwilami miał wrażenie, że utrzymuje się przy życiu jedynie siłą woli i że gdyby choć na moment poluzował śrubki, znów opadłby na łóżko, aby już nigdy się nie podnieść. Zakazał sobie wszelkiej myśli o Caroline i jako lek zalecił medytację o swojej drugiej kochance, z którą już dawno był po słowie, owej pani o tysiącu imion – pracy, literaturze, filozofii, sławie. Jednak po wyjeździe Caroline było mu nader trudno przestać o niej myśleć. Nawet jej nieobecność szalenie rzucała się w oczy. Ferdinand mógł co najwyżej szukać ucieczki w książkach – których czytał teraz ogromnie dużo, zaciekle, żarłocznie, namiętnie – w rozmowach z panią Mason oraz w przygodnie napotkanym towarzystwie. Pani Mason była wielką plotkarą – plotkarą

w skali tak nadzwyczajnej, że przekształciła wadę w cnotę, co więcej, plotkara z wyobraźnią, zajęta nie tylko teraźniejszością i przeszłością, ale także przyszłością, którą roztrząsała w obłokach rozkosznych półdomniemań oraz zwiertzałych hiperprawd. Z nią zatem Ferdinand rozmawiał także o własnej przyszłości, do czego podchodziła z niezwykłą sympatią, inteligentnie i szczerze. Nie można było trafić lepiej – uznał Ferdinand – a z pewnością można było trafić gorzej. Pani Mason, w stylu osoby, która dobrze wie, co robi, zaplanowała dla bratanka podróż i pobyt w Europie. Po ślubie Caroline ona również zamierzała wyjechać za granicę i osiąść w jednej z kilku stolic, w których owdowiała Amerykanka ze sporym dochodem jest w stanie prowadzić godziwą egzystencję. Ze swego domu pragnęła uczynić bazę wypadową – *pied à terre* – dla Ferdinanda, który powinien powoli, bez pośpiechu, zwiedzić wszystkie dostępne miejsca w Europie i na Wschodzie. Dałaby mu pełną swobodę, mógłby wyjeżdżać i wracać, kiedy zechce, żyć, jak mu się spodoba; a pozwolę sobie dodać, że zakres wolności dopuszczany przez panią Mason dzięki jej znajomości europejskich zwyczajów, całkowicie pokrywał się z wyobrażeniami biednego Ferdinanda, który nigdy dotąd nie opuszczał kraju. W zamian prosiła jedynie, aby – powiedzmy – dwa razy do roku zjawiał się w jej salonie i opowiedział o tym, co widział; salon ten już widziała okiem duszy – zgrabne niewielkie półpiętro z zawieszonymi w drzwiach kotarami i powozownią na przyległym dziedzińcu. Pani Mason nie była surową moralistką, miała wszakże zbyt wiele rozsądku, by osłabiać morale bratanka i namawiać go, by igrał z losem – zwłaszcza że wojna, na swój posępny sposób, już sobie z nim poigrała. Nie, kochała go, uważała za nader zdolnego, obiecującego młodego człowieka i wyczekiwała dnia, gdy jego imię znajdzie się na ustach wszystkich, a fakt, że mimochodem poślubiła jego stryja, okaże się dla niej wielce szczęśliwy. Jako wytrawna obserwatorka ludzi i ich zachowań pragnęła dać mu atuty, które w jej własnym przypadku okazały się jałowe.

W ramach życia towarzyskiego Ferdinand asystował gospodyni na wizytach, dwukrotnie był na proszonej kolacji, również sama pani Mason kilka razy urządzała dla niego przyjęcia. Przy tych okazjach chętnie czynił honory domu. Co więcej, tak się złożyło, że od kilku dni krążyły zaproszenia na przyjęcie u Stapletonów – przyjaciół panny Hofmann – a ponieważ miało nie być tańców, Ferdinand śmiało zadeklarował zamiar pójścia. – Kto wie? – oznajmił. – Może bardziej mi to pomoże niż zaszkodzi? Moglibyśmy zjawić się późno i wyjść wcześniej. – Pani Mason powątpiewała w rozwałę tego posunięcia, jednak w końcu uległa i podjęła odpowiednie kroki. Wyjechali z domu dość późno, a gdy przybyli na miejsce, w salach – nadzwyczaj rozległych – panował akurat największy tłok. Mason, po raz pierwszy w liczniejszym towarzystwie, został nader wylewnie powitany i już po chwili pieczę nad nim przejęła panna Edith Stapleton, najlepsza przyjaciółka Caroline. Ta młoda dama nie odgrywa roli w naszej historii, która z konieczności jest krótka i skazana na staranny dobór składowych; choć gdyby miała trochę większy zakres, już dawno temu moglibyśmy szepnąć czytelnikowi, że panna Stapleton – urocza młoda dama – stanowczo zaczęła przedkładać Ferdinanda nad jakichkolwiek innych panów. Usprawiedliwia nas wyłącznie fakt, że Ferdinand pozostał całkowicie nieświadomy tej okoliczności, toteż zatrzymujemy się na niej tylko po to, by wspomnieć, że dziewczyna w owej chwili musiała być bardzo szczęśliwa.

– Czy panna Hofmann tutaj jest? – zapytał Mason, towarzysząc jej do sąsiedniej sali.

– Tak by pan to określił? – odparła panna Stapleton, patrząc w głąb pokoju. Mason podążył za jej spojrzeniem.

Zobaczył pannę Hofmann w długiej białej sukni, otoczoną przez co najmniej pięciu dżentelmenów, jak jeden mąż świetnie się prezentujących. Jej głowa i szyja wynurzały się miękko z *bouillonnement* pięknej sukni; patrzyła i słuchała z miną na poły nieobecną, wybaczną u kobiety, którą oblega pół tuzina wielbicieli. Gdy jej wzrok padł na przyjaciela, przez chwilę wpatrywała się weń zaskoczona, po czym złożyła mu najwdzięczniejszy na świecie ukłon – tak wdzięczny, że mały krąg rozstał się, by ukłon ten przepuścić, i obejrzał, by zobaczyć, dla kogo, u licha, jest przeznaczony. Panna Hofmann zrobiła kilka kroków do przodu; Ferdinand zbliżył się do niej, po czym, na oczach setki panów i tyluż pań, Caroline podała mu dłoń i obdarzyła uśmiechem pełnym niezwyklej słodyczy. Razem wrócili do panny Stapleton i tam Caroline nakłoniła go, by usiadł między nią a jej przyjaciółką; przez pół godziny Ferdinand miał tedy zaszczyt angażować uwagę dwóch najbardziej czarujących panien wśród obecnych – a dzięki temu wyróżnieniu również uwagę całego towarzystwa. Następnie młode damy przedstawiły go kolejno wszystkim pannom i matronom, które choć trochę odznaczały się urodą albo dowcipem. Ferdinand stanął na wysokości zadania i zachowywał się z niespotykaną galanterią. Rzecz jasna, na innych robił doskonałe wrażenie – nawet dla samego siebie stał się niemal przedmiotem podziwu. Powiniennem jednak dodać, że był zmuszony wielokrotnie pokrępać się winem i pobudzony w ten sposób nie potrafił ukryć przed panią Mason i swoim lekarzem, że wygląda na zbyt chorego, aby przebywać na tej sali.

– Okropne są te dziewczęta i te ich zachcianki! Widział pan kiedyś coś podobnego? – zwróciła się do doktora pani Mason. – Wolą, żeby mężczyzna zemdlał u ich stóp, niżby miały skrócić jakieś zabawne *tête-à-tête*! Zaraz dopadną następnego. Proszę spojrzeć na tę małą McCarthy, o, tam; stoi z Ferdinandem i George'em Stapletonem, których napuściła na siebie, a sama gapi się jak rzymska kurtyzana na igrzyskach. Co ją to obchodzi, skoro ma udany wieczór? Lubią, kiedy mężczyzna wygląda, jakby miał umrzeć, to przecież takie interesujące.

Knight podszedł do przyjaciela i oznajmił stanowczo, że najwyższa pora, aby znalazł się we własnym łóżku. – Wyglądasz strasznie – dodał sprytnie, widząc opór tamtego.

– Wcale pan nie wygląda strasznie, pułkowniku Mason – wtrąciła na te słowa panna McCarthy, osóбка bardzo zuchwała.

– To nie jest kwestia smaku, proszę pani – rozgniewał się doktor. – To fakt. – I odprowadził pacjenta.

Ferdinand uparcie twierdził, że nie dzieje mu się krzywda, że czuje się nadzwyczaj dobrze, ale jego twarz zadawała temu kłam.

Jeszcze przez dwa lub trzy dni z dzielnością godną lepszej sprawy odgrywał „dobre samopoczucie”, w końcu jednak pozwolił, by choroba wzięła górę. Ułożył się na poduszkach, wziął do ręki zegarek i zaczął się zastanawiać, ile jeszcze obrotów tych misternych małych wskazówek będzie mu dane ujrzeć. Przyszedł doktor i porządnie go zrugął za, jak to określił, nieostrożność. Ferdinand wysłuchał go cierpliwie, po czym

zapewnił, że ostrożność albo nieostrożność nie ma tu nic do rzeczy; że śmierć już chwyciła go mocno w objęcia i teraz jego jedyną troską jest ustalenie z pogromczynią dogodnych warunków. Tego samego dnia posłał po adwokata i zmienił testament. O ile wiedział, nie miał żyjących krewnych; skromną ojcowiznę zapisał kiedyś znajomemu, który w gruncie rzeczy jej nie potrzebował. Teraz podzielił ją na dwie części, z których mniejszą przeznaczył dla Williama Bowlesa, lokaja pani Mason i swego pokojowego, większą zaś – była to znaczna suma – dla Horace’a Knighta. O swoich rozporządzeniach powiadomił panią Mason, a jej aprobatą sprawiła mu przyjemność.

Od tej chwili siły szybko zaczęły go opuszczać, aż w końcu ich strumień, mimo że coraz płytszy, poniósł strzaskane szczątki jego niepokornej woli w stronę nieuchronnego rozkładu. Rozmowy, umiłanie czasu, obserwacja objawów, odliczanie godzin – wszystko to było bezcelowe. Pani Mason zarządziła, by u jego wezgłowia bezustannie czuwał pokojowy, sama zaś pojawiała się rzadko; biedna kobieta miała wrażenie, że pęka jej serce, i płakała prawie bez przerwy. Naturalnie panna Hofmann została u pani Knight. – Według mojej oceny – stwierdził Horace – to kwestia tygodnia. Ale to najbardziej niezwykły przypadek, z jakim miałem do czynienia. Przecież ten człowiek zdrowiał w oczach!

Piątego dnia, pod wpływem panny Hofmann, która uznała, że przyzwoitość nakazuje dać przyjacielowi jakiś znak współczucia, doktor przywiózł narzeczoną do domu. Gdy zaszedł do Ferdinanda, znalazł biedaka w stanie półomdlenia, między jawą a snem, w którym ten trwał przez ostatnie dwie doby. – Pułkownik – zapytał doktor cicho – myślisz, że dałbyś radę zobaczyć się z Caroline?

W odpowiedzi Ferdinand tylko otworzył oczy. Knight wyszedł i przywołał towarzyszkę do zaciemnionego pokoju. Bezszelestnie podeszła do łóżka i przez chwilę przyglądała się choremu.

– Pomyślałam, że złożę panu małą wizytę – powiedziała, pochylając się nad nim. – To panu nie przeszkadza?

– W najmniejszym stopniu – rzekł Mason, spokojnie patrząc jej w oczy. – Nawet w połowie nie tak, jak by mi to przeszkadzało tydzień temu. Proszę usiąść.

– Dziękuję. Horace mi nie pozwala. Przyjdę jeszcze raz.

– Nie będzie drugiego razu – szepnął Ferdinand. – Wytrzymam jeszcze góra dwa dni. Niech pani im powie, żeby wyszli. Chcę z panią mówić na osobności. Nie wezwałbym pani, ale skoro pani już jest, chciałbym to wykorzystać.

– Masz coś szczególnego do powiedzenia? – zapytał Knight życzliwie.

– Daj spokój – powiedział Mason z uśmiechem, który miał być pogodny, ale był jedynie upiorny – chyba nie będziesz o mnie zazdrosny, nie teraz.

Knight zerknął, czy panna Hofmann wyraża zgodę, po czym wyszedł z pielęgniarką z sypialni. Lecz nie minęła minuta, gdy panna Hofmann, blada i wzburzona, wpadła do sąsiedniego pokoju.

– Idź do niego! – krzyknęła. – On umiera!

Gdy do niego wrócili, już nie żył.

Po kilku dniach otworzono testament i Knight dowiedział się o spadku. – To był dobry, wielkoduszny człowiek – oznajmił pannie Hofmann i pani Mason – i nigdy nie

przyjmę do wiadomości, że nie mógł wyzdrowieć. To naprawdę niezwykły przypadek. – Przez wzgląd na uczucia słuchaczek nie nadmieniał, że dałby wiele, by móc przeprowadzić sekcję. Rzecz jasna, ślub panny Hofmann nie został odłożony; wyszła za mąż we wrześniu, bardzo skromnie. Jej wybranek miał wrażenie, że jest nadzwyczaj milcząca i zamyślona. Ale w tych okolicznościach była to oczywiście rzecz naturalna.

Stałość Crawforda

Pozostawaliśmy w wielkiej przyjaźni, było więc rzeczą naturalną, że z całą żarliwością i zapałem pośpiesznie zawiadomił mnie, iż jego szczęście właśnie osiągnęło pełnię. Możliwe, że zapał jest tutaj słowem mylącym, gdyż namiętność Crawforda płonęła ogniem stałym, niemniej skrywanym, a jeśli pisywał sonety do brwi swej bogdanki, to nigdy nie deklamował ich publicznie. Był jednak do głębi zakochany, przepełniały go drżące nadzieje i lęki, a jego szczęście przez kilka tygodni wisiało na włosku – niezwykle cienka linia dzieliła „tak” rodziców młodej damy od ich „nie”. Wreszcie jednak, pod ważkim ciężarem ich zgody, szala przechyliła się na jego korzyść i Crawford mógł zanurzyć się w rozkosznej błogości. Zjawił się w moim gabinecie – moje nazwisko na mosiężnej tabliczce pod oknem, poprzedzone skrótem dr med., błyszczało świeżym złotem – zanim jeszcze moja niespożyta pogoda ducha, nauczona doświadczeniem, jak każdego poranka (zazwyczaj około południa), zaczynała ustępować myśli, że dzisiejszy dzień niczym się nie wyróżni; że dziś także nie zawita do mnie postać kobieca nawiedzająca moje sny, czyli ufna starsza pani z dużym kontem w banku i chroniczną chorobą, łagodną, ale kosztowną. Tego dnia jednak, pod wpływem zaraźliwej radości Crawforda, ubodzy pacjenci i próżne nadzieje całkiem wyszli mi z głowy. Gdybyśmy nie byli zaprzyjaźnieni, byłbym mu nawet pozazdrościł; ale czułem dla niego tak ogromny podziw i serdeczność, że przez pół godziny miałem wręcz wrażenie, iż to ja mam poślubić powabną Elizabeth. Dopiero po jego wyjściu uzmysłowiłem sobie, jak bardzo się cieszę, że to nieprawda; albowiem mimo wielu powabów panna Ingram zawsze wzbudzała we mnie pewną nieufność. Niewątpliwie nie miała złych zamiarów – ale nie miała również nic innego. Nie wiem, do czego dałoby się ją porównać – do czerwonej róży bez zapachu, do dojrzałej brzoskwini bez smaku. Natura wymagała od niej tylko, żeby była najładniejszą dziewczyną swoich czasów, i warunek ten spełniała co do joty. Lecz gdy o poranku otworzyła już swe cudne, szczere oczy, rozchyliła jasne, różowe usta i upięła bujne, złociste pukle, dzień pod względem osobistych możliwości dobiegał dla niej końca; oto doprowadziła swe sprawy do ładu i mogła zasiać z założonymi rękami. Co nieodmiennie czyniła – i w tej właśnie pozycji Crawford ujrzał ją i zakochał się na zabój. Gratulowałem mu z całego serca; fakt, że posąg w pełni rozkwitu nie nadawał się na żonę dla mnie, w niczym nie umniejszał jego wyboru. Byłem tylko człowiekiem, i to nieobliczalnym, miałem nierówne usposobienie i prozaiczną duszę. Chciałem dostawać tyle, ile dawałem – chciałem, krótko mówiąc, być planetą, a nie satelitą. Ale Crawford, ze swym żywym ogniem, inteligencją, oddaniem, miał cnót za dwoje i mógł sobie pozwolić na małżeństwo z nieożywioną pięknnością; posiadał dość mądrości, by dopełnić jej braki, i dość wielkoduszności, aby je wybaczyć.

Był to wysoki i niezbyt barczysty mężczyzna, wyróżniał się jednak tak zwaną nobliwą postawą oraz wspaniałą głową – głową bibliofila, badacza i filozofa, którym był

w istocie. Miał smagłą cerę, rzadkie czarne włosy, ciemnoszare, bardzo przejrzyste oczy i twarz o rysach miękkich i energicznych zarazem. Wyglądał, jakby ktoś zrobił odlew z dość surowej i nieregularnej formy, po czym tu i ówdzie dokonał retuszu delikatniejszą, bardziej kobiecą ręką. Lecz przede wszystkim rzucała się w oczy jego osobliwa mina, którą najlepiej określić jako niewinną inteligencję – mina, jaką mógłby nosić roztargniony serafin. Zgoda, Crawford znał zepsucie naszego nikczemnego świata, lecz zostawiony sam sobie nigdy o nim nie myślał. O czym myślał, właściwie nie umiem powiedzieć – z pewnością o wielu sprawach, w których często byłem mu zbędny; znając go tak długo i dobrze, miałem tego pełną świadomość. Nigdy, by tak rzec, go nie zgłębiłem, nigdy nie przeniknąłem do końca. Był powściągliwy – skłonny jestem sądzić, że to cecha wszystkich wartościowych ludzi – jednak nie w sposób kapryśny czy wyrachowany, ale mimo i w ramach skrajnej otwartości. Większość widziała w nim nienagannie grzecznego młodzieńca o jasnym obliczu, który zrezygnował nagle z interesów – co wymagało od otoczenia wiele wyrozumiałości – i po którym nie spodziewano się przeżyć bardziej osobistych aniżeli opinia o literaturze poparta nazwiskiem jakiegoś autorytetu i dotycząca tytułów i treści słabo znanych ogółowi, co przecież dało się wybaczyć. Co do mnie, sądziłem, że jego literackie sądy należały do najłagodniejszych z władających nim uczuć; jestem pewien, że również dobre maniery nic go nie kosztowały. Złe maniery są skutkiem drażliwości, a Crawford drażliwy nie był, toteż uprzejmość przychodziła mu bardzo łatwo. I choć ogłada nie pokonała w nim skłonności do zasepień, zapewniała przynajmniej stosowny wyraz jego nadzwyczaj miłemu usposobieniu. Mówił wiele, choć bez swady, lekko się zacinając i nerwowo szukając odpowiednich słów. Podpowiedzi zawsze przyjmował z wdzięcznością – aczkolwiek nieco później wtrącał niekiedy wyrażenie, którego wcześniej szukał i które tymczasem przyszło mu do głowy. Pełen wesołości, lubił żarty i bawił się nimi – śmiał się bez przerwy, śmiechem nie tyle słyszalnym, ile widocznym. Wobec starszych zachowywał się z szacunkiem; co się tyczy płci pięknej, być może największe podboje odnosił wśród pań w wieku sześćdziesięciu pięciu i siedemdziesięciu lat. Okazywał również wielką dobroć nędzaczom, jeśli tylko byli dostatecznie nędzni: pamiętam, jak pewnego letniego popołudnia ujrzałem go na tłoczonym odcinku Broadwayu, trzymającego na rękach dziecko, którego matka – ogłupiała żebraczka, świeżo przybyła z Europy – dreptała obok.

Crawford odziedziczył po ojcu spory majątek; jego dochód w ówczesnym Nowym Jorku uchodził za bardzo znaczny. Starszy pan Crawford, pośrednik w handlu bawełną, zatrudnił syna w swojej firmie, gdy ten ukończył college. Lecz krótko po śmierci ojca Crawford sprzedał swoje udziały – po cichu, nie radząc się nikogo, albowiem, jak mi wyznał, nienawidził kupować i sprzedawać. Oczywiście, istniały na świecie również inne rzeczy, których nienawidził, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek o nich wspominał. Zajmował samodzielnie duży dom (wcześnie stracił matkę, a bracia rozjechali się po świecie), wypełniony książkami i przyrządami naukowymi, gdzie spędzał większość czasu na lekturach i niezdarnych eksperymentach. Miał upodobania uczonego i pochłaniał ogromną liczbę foliów, lecz w zakresie nauk przyrodniczych jego ciekawość przekraczała umiejętności; zazwyczaj więc dworowałem sobie z jego

doświadczeń, z niechęcią, jako ubogi adept medycyny, traktując rozrzutność, z jaką używał cennych chemikaliów. Można więc uznać, że Crawford – niezależny, bez obciążeń, samowystarczalny posiadacz fortuny i najlepszego wykształcenia, na jakie stać ten kraj, człowiek przystojny, wytworny, grzeczny, ujmujący – w wieku lat dwudziestu siedmiu zdobył wszystko, co w życiu najcenniejsze. I rzeczywiście, wyjąwszy ogólne ubolewanie, że nie zajął się interesami, nikt nigdy nie słyszał, by ktokolwiek choć słowem kwestionował jego zalety czy jego szczęście w życiu. Z drugiej strony wszakże, nie wzbudzał zazdrości – a w każdym razie nie było w tej zazdrości ani kropli goryczy. Powiada się, że chociaż świat wielbi sukces, to nienawidzi ludzi sukcesu – ale z pewnością nie nienawidził Crawforda. Ale też, być może, nie myślano o nim w kategoriach sukcesu, lecz w kategoriach ornamentu, wdzięcznego daru dla społeczeństwa; świat lubi, gdy mu sprawiać przyjemność, a fizjonomia i cała aparycja Crawforda miały w sobie coś przyjemnego. Stanowił odpoczynek dla oczu; był miłą odmianą. Możliwe, że czuliśmy nawet lekką dumę, że jest wśród nas ktoś, kto tak harmonijnie ucieleśnia wszelkie uroki życia.

Pomimo zamiłowania do książek Crawford nie był odludkiem. Pamiętam, że kiedyś powiedział mi, iż pewne ofiary w imię nauki są usprawiedliwione tylko w wypadku człowieka genialnego, on zaś wie doskonale, że genialny nie jest. I nie był, dzięki Bogu; w przeciwnym razie byłby z niego znacznie trudniejszy przyjaciel. W rzeczy samej, nic nie wskazywało na to, by miał ze swoich nabytków uczynić jakiś wielki użytek. Oczywiście, wszyscy się spodziewali, że „coś napisze”, ale nigdy nie skreślił ani słowa. Lubił dla przyjemności na godzinę zagłębić się w książkach; nie nurtowała go żadna groźna *arrière pensée*, był po prostu najdoskonalszym przedstawicielem pewnej klasy, na szczęście zawsze bardzo licznej – klasy ludzi, którzy przyczyniają się do postępu wiedzy, gorliwie otwierając uszy i skrupulatnie zamykając usta. Lubił towarzystwo i często, jak to mówią, wychodził – a mamusie przyjmowały go szczególnie serdecznie. Co sądziły o nim córki, ogólnie biorąc, właściwie nie wiem; podejrzewam jednak, że młodsze spośród nich często wołały mężczyzn gorszych od niego. Zalety Crawforda raczej nie były doceniane przez dziewczynki. Wszelako znaczna liczba mądrych dziewcząt musiała darzyć go wielkim podziwem i gdyby poproszono dobrego obserwatora, by z całego miasta wybrał najbardziej obiecującą ofiarę na małżeński ołtarz, z pewnością wskazałby mojego przyjaciela. Nie można mu było nic zarzucić – obrazu nie mącił żaden cień. On sam udawał, że wcale nie śpieszy się do żeniaczki; więcej niż raz słyszałem z jego strony deklarację, że nie wie, co miałby robić z żoną, a żona z nim. Oczywiście, wielokrotnie omawialiśmy tę kwestię, przy czym ja – któremu bardzo ciążył kawalerski stan – twierdziłem zazwyczaj, że na jego miejscu, mając pieniądze na utrzymanie żony, ożeniłbym się choćby jutro. Crawford przytaczał wiele argumentów przeciwko małżeństwu, lecz naturalnie prawdziwe powody były inne: po pierwsze, i bez niego czuł się świetnie, po drugie, sądził, że nawet najrozważniej zawarty związek to rzecz ryzykowna.

– Mężczyzna powinien się żenić tylko w obronie własnej – powiadał – tak jak Luter został protestantem. Powinien poczekać, aż zostanie postawiony pod ścianą.

Czas mijał, a nasz Luter trwał przy swoim. Zacząłem wątpić, czy kiedykolwiek jakaś

śliczna pani Crawford poda mi białą rączkę przy kominku przyjaciela, musiałem więc pocieszać się refleksjami, że wielu najwspanialszych ludzi, o których wspomina historia, żyło w celibacie i że chęć życia w samotności niekoniecznie świadczy o posępnym usposobieniu.

– Och, poddaję się – rzekłem w końcu. – Miałem nadzieję, że nawet jeśli nie ożenisz się ze względu na siebie, to zrobisz to ze względu na mnie. Twój dom stałby się o wiele przyjemniejszy. Ale ty nie masz serca! Żeby się zemścić, sam przy pierwszej sposobności wezmę sobie żonę. Będzie śliczna jak obrazek, a ciebie nie wpuszczę za próg.

– Żadnego mężczyzny nie można przed śmiercią uznać za kawalera – stwierdził Crawford. – Czytałem ostatnio Stendhala i przyswoiłem sobie jego filozofię *coup de foudre*. Nie jest wykluczone, że jakiś *coup de foudre* czeka również mnie. Mogę tylko powiedzieć, że będzie to grom z jasnego nieba.

Grom, w rzeczy samej, uderzył kilka dni później. Crawford zobaczył pannę Ingram, zachwycił się, przyjrzał i zakochał. Wrażenie, jakie na nim zrobiła, stanowiło coś w rodzaju summy wrażeń, jakie w ogóle wywierała w towarzystwie. Nadzwyczajną oprawę jej urody stanowiły zwłaszcza warunki, w których została wychowana i po raz pierwszy ukazała się w świecie. Dorastając w odosobnieniu, z dala od sprzecznych opiekuńczych roszczeń, odebrała wykształcenie bardziej w stylu średniowiecznej włoskiej księżniczki aniżeli córki zwykłego amerykańskiego obywatela. Można rzec, że zanim ukończyła lat osiemnaście, nie oglądał jej prawie żaden śmiertelnik; żyła za wysokimi murami i potrójnymi zamkami, skąd przenikały na zewnątrz tylko sporadyczne plotki o jej wielkiej urodzie. Pani Ingram była daleką kuzynką mojej matki, która wszakże nie darzyła jej wielką sympatią i nigdy nie obnosiła się z pokrewieństwem; nie przekazano mi w spadku żadnych przesłanek do rodzinnej zażyłości, toteż Elizabeth była dla mnie kimś całkowicie obcym. Jej rodzice z oszczędności zamieszkali za miastem – w Orange – i tam, w starym ogrodzie otoczonym wysokim żywopłotem, ich córka spędziła dzieciństwo i młodość. Pierwszą konkretną wzmiankę o jej piękności usłyszałem z ust sędziwego doktora Beadle, który zajmował się nią podczas lekkiej choroby (Ingramowie byli biedni, lecz córkę traktowali jak kurę znoszącą złote jaja i zapewnienie jej najdroższej opieki lekarskiej stanowiło akt zwykłej roztropności). Doktor Beadle bardzo sobie cenił ładne pacjentki; oczywiście, podczas pracy trzymał się w ryzach, lecz później radośnie opowiadał o nich młodszemu koledze ze swobodą zawołanego anatoma. Według jego relacji Elizabeth Ingram, doskonała w każdym szczególe, była trzymana pod kloszem w oczekiwaniu na towarzyski debiut w Nowym Jorku; a swoją trwającą kwadrans przemowę zakończył wiele mówiącą szczyptą tabaki. Ja tymczasem przypomniałem sobie, że to moja daleka kuzynka i że ładne kuzynki są na tym okrutnym świecie źródłem szczęśliwości, którego żaden mężczyzna zlekceważyć nie może. Wziąłem zatem wolne, wskoczyłem w pociąg i pojechałem do Orange, gdzie w ładnym domku, w zacienionym salonie znalazłem niską, szczupłą kobietę o wysokim czole i spiczastym podbródku, w której od razu rozpoznałem Sabinę Ingram, obiekt sporadycznych aluzji mojej biednej matki, w ten sposób zużywającej ów niewielki zapas zgryźliwości, jaki powierzyła jej natura.

– Słyszałem, że moja kuzynka jest niezwykle piękna – zagaiłem. – Ogromnie

chciałbym ją zobaczyć.

Rozmowa nie trwała długo. Pani Ingram potraktowała mnie z lodowatą uprzejmością: oświadczyła, że moja ciekawość czyni jej zaszczyt, ale córka pojechała na cały dzień do znajomych dziesięć mil stąd. Kiedy jednak wychodząc, odwróciłem się, by zamknąć za sobą furtkę do ogrodu, w oknie na piętrze dostrzegłem niewyraźny zarys złocistej główki i dwoje wpatrzonych we mnie oczu. Przesłałem zjawie dłonią całusa i w duchu zgodziłem się z doktorem Beadle, że moja krewna jest piękną. Jednak, choć wspomnienie jej matki było nader wyraźne, obraz jej samej pozostał mglisty.

Z nastaniem zimy zjechali do Nowego Jorku, wynajęli dom, wydali wielkie przyjęcie i przedstawili pannę zdumionemu światu. Pokrewieństwo dało mi niewiele; pani Ingram, która mi nie sprzyjała, udzieliła Elizabeth stosownych instrukcji. Elizabeth zastosowała się do nich, podała mi końce palców i odpowiadała monosylabami. Nigdy nie napotkałem obojętności wyrażonej tak zręcznie, zacząłem się zatem zastanawiać, czy to skutek biernej uległości, czy też dziewczyna włożyła w to choćby krztynę własnej inteligencji. Pozornie miała jej nie więcej niż śnieżnobiałe jagnię, odniosłem jednak wrażenie, że instynktownie prowadzi dość przebiegłą politykę. Wybaczyłem jej wszakże, gdyż wzbudzała we mnie przede wszystkim współczucie. Mogła być delikatna jak łąbodzi puch, powtarzałem; lecz bycie córką takiej matki zapewne nie należało do przyjemności. Włosy pani Ingram, czarne wstęgi, bez jednej siwej nitki, zwinięte były nad uszami i sterczały po bokach, lśniąć niczym wypolerowane cynowe talerze. Oczy miała małe i bystre, wspomniane już wysokie białe czoło przypominało szczyt domu pod stromym dachem. Podbródek wyglądał jak odwrócone czoło, usta wykrzywiały wieczny fałszywy uśmiezek. Widziałem, jak niewiele kosztowało te panie wygłaszanie bezwzględnych kłamstw. Biedny pan Ingram, ogromny mężczyzna o małej pulchnej twarzy, potężnym karku i spadzistych ramionach, przypominał bezradnego kolosa. Rozmawiając, nieustannie zerkał na żonę i nietrudno było odgadnąć, że się jej śmiertelnie boi.

Nie bez powodu owa dama wahała się, czy oddać Crawfordowi rękę córki. Konkurent miał pieniądze, ale nie były to wielkie pieniądze. Stanowił partię dobrą, ale nie świetną, tymczasem pani Ingram, wystawiając dziewczynę na widok publiczny, uzbroiła się w największe nadzieje. Propozycja małżeństwa była tak dobra, że aż żal ogarniał, że nie jest odrobinę lepsza. Gdyby Crawford miał dwukrotnie wyższe dochody, pani Ingram pchnęłaby Elizabeth w jego ramiona; trochę zelżałby gorliwy zapał, z jakim lustrowała towarzyskie kręgi, być może nawet znalazłaby ukojenie w spokoju i prawdomówności. Ale na rynku matrymonialnym był to zły rok, lepszych propozycji padało niewiele. Elizabeth wzbudzała wielki podziw, lecz idealny konkurent jakoś się nie zjawiał; podejrzewam, że zalety pani Ingram jako przyszłej teściowej doczekały się precyzyjnej oceny. Tak więc Crawford, który z dyskretnym oddaniem zabiegał o względy panny, w końcu został ochoczo przyjęty. Jak mi się wydaje, pewne oburzenie wzbudził fakt, że kazano mu czekać, pani Ingram wręcz zarzucano tu i ówdzie, że nie poznała się na pierwszorzędnym kandydacie, mając go pod nosem. – Nigdy nie mówiłem, że jest uczciwa – miał powiedzieć pewien cięty krytyk – ale przypuszczałem, że przynajmniej jest sprytna. – Crawford się jej nie obawiał, zakomunikował mi to wyraźnie:

– Proszę bardzo, niech spróbuje się ze mną pokłócić – oznajmił – poza tym nie straciłem nadziei, że mnie polubi.

– Ciebie? – zdumiałem się. – To łatwe! Kłopot w tym, żebyś ty ją polubił!

– Och, ja posuwam się dalej; ja ją podziwiam – odrzekł. – Tak doskonale wie, czego chce. To rzadka cecha. Będę miał za teściową wspaniałą kobietę.

Preferencje samej Elizabeth, jak sądzę, trochę przechyliły szalę na korzyść Crawforda, ale w jakim stopniu, tego właściwie nie wiem. Lubiła go i choć matka niezbyt brała pod uwagę jej upodobania (dziewczyna była zbyt dobrze wychowana, aby tego oczekiwać), pani Ingram zapewne uznała, że białoróżowa twarz córki dłużej zachowa świeżość, jeśli ta poślubi mężczyznę, który się jej podoba. W każdym razie, jak już wspomniałem, wreszcie ogłoszono zaręczyny i Crawford zjawił się osobiście, by mi o tym powiedzieć. Nigdy nie widziałem szczęśliwszego człowieka; owego ranka, który miałem zapamiętać na wiele lat, wyglądał jak uosobienie młodzieńczej pewności siebie i głębokiego poczucia bezpieczeństwa. Stwierdził, że wiedzieć, czego się chce, to rzadko spotykana sztuka – i najwyraźniej ją opanował. Dostał to, czego chciał, i rozkoszował się samą świadomością posiadania. Wciąż mam przed oczami swój skromny gabinet, nędzne linoleum na podłodze, tapetę z siedmiuset czterdziestoma (kiedyś policzyłem) wizerunkami dziewczyny z dzbanem na głowie i stojącego pośrodku Crawforda, wyprostowanego, z kciukami wetkniętymi w pachy kamizelki, z odrzuconą w tył głową i oczyma promiennymi niczym dwie planety.

– Jesteś wprost obrzydliwie szczęśliwy – powiedziałem. – Mam ochotę zaaplikować ci coś na uspokojenie.

– Byłbym ci ogromnie wdzięczny – odparł – gdybyś mi dał jakiś środek nasenny. Jestem zaręczony, wszystko to bardzo pięknie, ale chcę być żonaty. Chciałbym przespać cały okres narzeczeństwa i obudzić się już jako mąż.

– Ustaliliście dzień ślubu? – zapytałem.

– Dwudziesty ósmy kwietnia, za trzy miesiące. Wczoraj wieczorem oświadczyłem, że nie wyjdę od nich, póki tego nie uzgodnimy. Proponowałem trzy tygodnie, ale Elizabeth mnie wyśmiała. Mówi, że samo uszycie sukni ślubnej potrwa miesiąc. Pani Ingram przedstawiła spis powodów długi jak twoje ramię, a wszystkie przekonujące; w tym cała obrzydliwość. Ma niezwykły talent do spraw praktycznych. Zamierzam ją wykorzystać; zamierzam zaprząć ją do kieratu. Ale tymczasem muszę czekać wieczność!

– Nie narzekaj, że dobre rzeczy długo trwają – zauważyłem. – Takie wieczności zawsze są zbyt krótkie. Słyszałem, że owe trzy miesiące przed ślubem to najszczęśliwszy okres w życiu. Radzę ci, byś się nim nacieszył.

– Och, jestem szczęśliwy, nie przeczę – zawołał Crawford. – Ale zamierzam być jeszcze szczęśliwszy! – I odmaszerował krokiem boga słońca, który rusza w swą codzienną trasę.

Istotnie, był coraz szczęśliwszy, w tym sensie, że z każdym tygodniem coraz bardziej przekonywał się do uroków panny Ingram i coraz lepiej dostrajał do harmonii przyszłego związku małżeńskiego. Oczywiście, mało go widywałem, gdyż nieustannie towarzyszył narzeczonej, ja zaś w domu jej rodziców bywałem rzadkim gościem. Jednakże przy każdym spotkaniu miałem wrażenie, że zapadł się w te mistyczne głębie o kolejne sześć cali. A gdy przypominałem mu dawne buńczuczne przemowy

o kawalerskim życiu, oficjalnie odwołał swoje słowa.

– Mogę tylko powiedzieć – oznajmił – że byłem niesłychanym osłem. Wszystkie argumenty, które poprzednio wysuwałem na niekorzyść małżeństwa, teraz wydają się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym. Wszystkie powody, aby się nie żenić, które wydawały mi się takie dobre, teraz są świetnymi powodami do ożenku. Ja, spośród wszystkich ludzi na świecie, miałbym się nie żenić? Ależ zostałem do tego stworzony i gdyby taka instytucja nie istniała, musiałbym ją wymyślić. Prawdę mówiąc, chyba nawet wymyśliłem pewne ulepszenia – bardzo skromne – a gdy wprowadzę je w życie, powiesz mi, co o nich sądzisz.

Trwało to przez jakiś czas. Następnego dnia po tym, jak Crawford powiedział mi o zaręczynach, poszedłem złożyć obu paniom uszanowanie, ale nie zastałem ich w domu, więc tylko skreśliłem kilka słów na wizytówce. Ponowiłem próbę, dopiero gdy zaręczyny przestały być nowiną – około trzech tygodni przed wyznaczoną datą ślubu – i już od kilku dni nie widziałem się z przyjacielem.

Zapadał wieczór, wprowadzono mnie do małego saloniku, który pani Ingram zarezerwowała dla bliższych znajomych, gdzie ujrzałem przyszłą teściową Crawforda, z podbródkiem jeszcze ostrzejszym niż zwykle, siedzącą w niskim fotelu, z dłońmi sztywno splecionymi na podołku. Peter Ingram stał przed kominkiem, założywszy ręce z tyłu, pod połami fraka; na mój widok wlepił wzrok w żonę. „Albo przed chwilą wygłosiła jakieś niesłychane kłamstwo, albo zaraz je wygłosi” – mruknąłem w duchu, po czym już głośno wyraziłem żal, że przy poprzedniej wizycie nie zastałem kuzynek w domu, oraz nadzieję, że nie jest za późno, by powinszować Elizabeth z okazji małżeństwa.

Państwo Ingram milczeli przez chwilę, po czym pani Ingram odchrząknęła i rzekła: – Niestety, za późno.

– Doprawdy? – zdziwiłem się. – Co się stało?

– Może lepiej mu powiemy, moja droga? – zwrócił się pan Ingram do żony.

– Nie zamierzałam nikogo przyjmować – powiedziała pani Ingram. – Wprowadzono pana przez pomyłkę.

– Nie proponuję, że odejdę – oznajmiłem – gdyż podejrzewam, że mają państwo jakieś zmartwienie. Nie powstałoby mi w głowie, aby was opuścić w takiej chwili.

Pan Ingram spojrział na mnie z niebotycznym zdumieniem. Nie sądzę, by wyczuł w mych słowach ironię, jednak podejrzewał niejasno, że postanowiłem skrzyżować ostrza dowcipu z jego żoną. Zachęcony jego namaszczonej uwagą ciągnąłem:

– Czyżby Crawford coś zbroił? A to dopiero łobuz!

– No nie, właściwie nic nie zbroił – zaprzeczył pan Ingram. – I właściwie nie łobuz.

Tego nie możemy powiedzieć, prawda, moja droga?

– Wypada, żeby świat się o tym dowiedział – rzekła pani Ingram, zwracając się do mnie – a z pana przypuszczalnie jest wielki plotkarz, więc najlepszy sposób, by upowszechnić wiadomość, to powierzyć ją panu.

– Proszę mówić, błagam – powiedziałem mężnie. – Świat o tym usłyszy, może pani na mnie liczyć. – Zdążyłem się już domyślić, o co chodzi. – Chyba nie musi pani nic mówić. Odgadłem nowinę; istotnie, jest wstrząsająca. Crawford zerwał zaręczyny!

Pani Ingram drgnęła, zaskoczona, i na moment odkryła karty. – Och, doprawdy? – zawołała, a w jej oczach dojrzałem przelotny błysk euforii. Lecz po chwili pojęła, że ją nabieram, i jej radość zgasła, zastąpiona przez głębokie niezadowolenie. Mimo to stawiała czoło sytuacji ze swoją zwykłą zawziętością. – To my zerwaliśmy zaręczyny – oznajmiła. – Elizabeth zerwała je za naszą zgodą.

– Odprawiliście Crawforda?

– Poprosiliśmy, by uznał sprawę za zamkniętą.

– Biedny Crawford! – zawołałem z przejęciem.

W tym momencie drzwi otwarły się szeroko i w progu stanął Crawford we własnej osobie. Znieruchomiał na chwilę jak czyhający jastrząb, po czym rzucił się ku panu Ingramowi.

– Na Boga – wykrzyknął – cóż ma znaczyć wasz list?

Pan Ingram zrobił przestraszoną minę i cofnął się majestatycznie. – Doprawdy, proszę pana – wykrztusił – muszę żądać, by zaniechał pan swych gróźb.

Crawford odwrócił się do pani Ingram; był bardzo blady i poruszony do głębi. – Proszę, powiedzcie mi. – Postąpił ku niej, składając błagalnie dłonie. – Nie rozumiem... nie pojmuję... to grom z jasnego nieba!

– Żywiliśmy nadzieję, że będzie pan łaskaw nie robić scen – odeła się pani Ingram. – To dla nas również bardzo bolesne, ale nie możemy o tym dyskutować. Obawiałam się, że pan przyjdzie.

– Obawiała się pani, że przyjdę? – zachnął się Crawford. – Jakże, pani zdaniem, mógłbym nie przyjść? Gdzie jest Elizabeth?

– Nie może pan się z nią widzieć!

– Nie mogę się z nią widzieć?

– To niemożliwe. Nie życzy sobie tego.

Szeroko rozwarte oczy Crawforda przepełniały żal, gniew i bezradne zdumienie. Nigdy nie widziałem człowieka tak dotkliwie poruszonego, ale nigdy również nie widziałem, aby człowiek z takim wysiłkiem nad sobą panował. Usiadł; a po chwili zapytał:

– Co ja takiego zrobiłem?

Pan Ingram zbliżył się do okna i jął uważnie studiować wzory na zaciągniętych zasłonach. – Nic pan nie zrobił, drogi panie Crawford – rzekła pani Ingram. – O nic pana nie oskarżamy. Jesteśmy bardzo rozsądni; cokolwiek pan powie, temu jednemu nie może pan zaprzeczyć. Pan Ingram wyjaśnił wszystko w swoim liście. Po prostu po namyśle zmieniliśmy zdanie. Uznaliśmy, że na razie nie możemy się rozstać z naszym dzieckiem. Jest dla nas wszystkim i jest taka młodziutka. W ogóle nie powinniśmy byli się zgadzać. Ale pan tak nalegał, a my jesteśmy wielkoduszni. Musimy ją zatrzymać przy sobie.

– To wszystko, co macie do powiedzenia? – zawołał Crawford.

– Wydaje mi się, że to zupełnie wystarczy – odparła pani Ingram.

Crawford zatopił głowę w dłoniach. – Musiałem czymś zawinić, nic o tym nie wiedząc – jęknął w końcu. – Na litość boską, powiedzcie, o co chodzi, a ja się pokajam i ze wszystkich sił postaram się o zadośćuczynienie.

Pan Ingram odwrócił się, przewracając pozbawionymi wyrazu oczami w poszukiwaniu godnego natchnienia. – Nie możemy powiedzieć, że pan czymś zawinił; posunęlibyśmy się za daleko. Lecz gdyby tak było, wybaczylibyśmy panu.

– Gdzie jest Elizabeth? – znów zawołał Crawford.

– W swoich pokojach – odrzekła pani Ingram wyniośle.

– Czy możecie ją poprosić?

– Doprawdy, proszę pana, musimy odmówić. Nie będziemy narażać dziecka na takie przykre sceny.

– Tę wrażliwość należało okazać znacznie wcześniej. Sądzicie, że odejdę, nie zobaczywszy się z nią?

– Prosimy, żeby pan to zrobił.

– Czy ktoś kiedykolwiek w ogóle prosił o coś takiego? – Crawford zwrócił się do mnie drżącym głosem.

– Dla własnego dobra – rzekła pani Ingram – niech pan odejdzie, nie widząc się z nią.

– Dla własnego dobra? Co pani chce powiedzieć?

Pani Ingram była bardzo blada, a jej cienkie wargi przypominały ostrza nożyczek. – Pani Ingram – zwróciła się do męża – ratuj mnie od tej przemocy. Powiedz coś... spełnij swój obowiązek.

Pan Ingram zbliżył się z miną inspicjenta, który wkracza na scenę, by powiadomić publiczność, że ulubiony aktor nie wystąpi. – Skoro pan tak naciska, jesteśmy zmuszeni powiedzieć panu bolesną prawdę, choć moje biedne dziecko wolałoby, żeby o tym nie wspominać. Prawda jest taka, że pomyliła się w ocenie uczuć, jakie żywi wobec pana. Darzy pana ogromnym szacunkiem, ale pana nie kocha.

Crawford milczał, tocząc strasznym wzrokiem od ojca do matki. – Nalegam, by zobaczyć się z Elizabeth – rzekł wreszcie.

Pani Ingram dumnie odrzuciła głowę. – Proszę pamiętać, że sam pan tego chciał! – zawołała i wyprostowana, z szelestem wyszła z pokoju.

Milczeliśmy; pan Ingram siedział i powolnymi ruchami pocierał kolana, Crawford, wzburzony, chodził tam i z powrotem, zerkając nań nieufnie spod zmarszczonych ponuro brwi, tak jak się patrzy na kogoś, kto właśnie okazał się podatny na szczególnie odrażającą postać obłędu. Po pięciu minutach pani Ingram wróciła, ciągnąc za ramię córkę, którą niemal wepchnęła do pokoju. Nastąpiła najbardziej niezwykła scena, jakiej kiedykolwiek byłem świadkiem.

Crawford podbiegł do dziewczyny i chwycił ją za rękę; pozwoliła mu na to, patrząc na niego nieruchomym wzrokiem. – Czy ta okropna wiadomość to prawda? – krzyknął. – Jaka piekielna machinacja za tym stoi?

Elizabeth Ingram nie robiła wrażenia bardziej bądź mniej opanowanej niż przy innych okazjach; białoróżowa cera jej policzków była nieskazitelna jak zwykle, złociste loki kunsztownie upięte, oczy nie nosiły śladu łez. Nigdy nie miała zbyt wyrazistej twarzy; teraz także nie przejawiała ani zażenowania, ani buntu. Wpatrywała się w wielbiciela prześlicznymi błękitnymi źrenicami i była piękna jak anioł. – Bardzo mi przykro, że musimy się rozstać – powiedziała. – Ale pomyliłam się w ocenie uczuć, jakie żywię wobec pana. Darzę pana ogromnym szacunkiem, ale pana nie Kocham.

Zafascynowany chłonałem te słowa oraz wysoki, lekko drżący dziecinny głos, którym je wygłosiła. Albo dziewczyna była skończoną aktorką, albo miała – dosłownie – wrażliwość nie większą niż kosztowna woskowa lalka! Nigdy nie zdołałem tego ustalić; po dziś dzień pozostała jedną z nierozwiązanych zagadek mego życia. Skłonny jestem sądzić, że w sensie moralnym była jedynie piszczałką, na której grała jej matka – tak jak przedtem nie była dobra, tak teraz nie zamierzała, w gruncie rzeczy, być okrutna. Niemniej jej cichy, do fletu podobny ton, oznajmiający Crawfordowi strącenie do piekieł, miał w sobie coś potwornego.

– Czy mówisz tak z serca, czy pouczono cię, byś tak mówiła? Używasz tych samych słów, których użył twój ojciec.

– A co ma biedne dziecko robić w kłopotcie, jak nie używać słów ojca? – zakrzyknęła pani Ingram.

– Elizabeth! – wybuchnął Crawford. – Nie kochasz mnie?

– Nie, panie Crawford.

– To po co tak mówiłaś?

– Nigdy tak nie mówiłam.

Wlepił w nią zdumiony wzrok. – Święta prawda! – zawołał w końcu. – Ty nigdy tak nie mówiłaś. To ja tak mówiłem.

– Żegnam! – rzekła Elizabeth, odwróciła się i wysliznęła z pokoju.

– Mam nadzieję, że jest pan zadowolony – powiedziała pani Ingram. – Biedne dziecko jest przede wszystkim szczere.

Określając tę scenę mianem najbardziej niezwykłej, jaką widziałem w życiu, mam na myśli zwłaszcza wyjątkowe zachowanie Crawforda w owej chwili. Niejako na oczach wroga dokonał zmiany pozycji – zstąpił do głębin i znów wzniósł się na powierzchnię. Przerażony, porażony, oburzony, śmiertelnie ugodzony w serce, zdołał mimo to w pełni ocenić swoją stratę, uznać ją za nieodwracalną i zanim doliczyłbym do pięćdziesięciu, nadzwyczajnym wysiłkiem woli powierzchownie zaakceptował sytuację.

– Niczego nie zrozumiałem! – oznajmił. – Dobranoc.

Wyszedł, a ja oczywiście wyszedłem razem z nim. Na zewnątrz przystanął w ciemności i obejrzał się na mnie.

– Co ty tam robiłeś? – zapytał.

– Poszedłem złożyć spóźnioną wizytę gratulacyjną. Jak widać, trochę poniewczasie.

– Ty to rozumiesz... ty sobie wyobrażasz? – Zdjął kapelusz i chwycił się za głowę.

– Po prostu się wycofali – skonstatowałem. – To małżeństwo nie zaspokajało ich ambicji, nie jesteście dostatecznie bogaty. Być może usłyszeli o czymś lepszym.

Patrzył w przestrzeń, zatopiony w myślach. Powiedziałem „oni”; on jednak, rzecz jasna, myślał tylko o n i e j ; myślał z nieopisaną goryczą. Lecz o niej nie wspomniał ani wtedy, ani już nigdy później. Ogromnie mu współczułem, nie wiedziałem wszakże, jak mu pomóc, właściwie nawet nie wiedziałem, co powiedzieć. Poczuję się lepiej, wygłaszając jakąś tyradę przeciwko pretensjonalnej lalczce, która została za drzwiami, ale takt mi na to nie pozwalał. Miałem wrażenie, że milczenie Crawforda skrywa bezdenne poczucie krzywdy; lecz była to krzywda straszliwie realna, a ja nie potrafiłem znaleźć uzdrawiających słów. Zranione zostały jego miłość i duma, jego nadzieja

i honor, jego zmysł sprawiedliwości i przyzwoitości.

– Potraktować w ten sposób mnie! – rzekł w końcu cichym głosem. – Mnie! Mnie!

Czy oni są ślepi? Czy to idioci? Nie widzieli, czym dla nich byłem... czym mógłbym być?

– Tak, to ślepe zwierzęta! – wykrzyknąłem. – Zapomnij o nich, już o nich nie myśl!

Nie są tego warci.

Odwrócił się, na ciemnej, pustej ulicy położył ramię na poręczy schodów i wsparł na nim czoło. Zostawiłem go samego na kilka chwil; jego szloch był ledwie słyszalny. Następnie wziąłem go pod rękę i odprowadziłem do domu. Zanim się z nim rozstałem, zdążył odzyskać panowanie nad sobą.

Sądząc z tego, co widziałem, zachował je nieprzerwanie również w późniejszym okresie. Spotkałem się z nim następnego dnia i jeszcze przez kilka kolejnych dni. Zachowywał się jak człowiek, który otrzymał dotkliwy cios, a mimo to nie do końca został ogłuszony. Nie pomstował, nie lamentował, nie rozwodził się nad swoją krzywdą. Wyraźnie próbował odsunąć ją od siebie, podjąć dawne zajęcia i zdać się na zbawienny wpływ owego arcylekarza, Czasu. Robił wrażenie bardzo chorego – blady, roztargniony, z podbitymi oczami – lecz był to nieuchronny skutek najgłębszego rozczarowania. Nie dawał mi szczególnej okazji do pocieszających przemów, ja zaś, nie będąc wymownym, nie zamierzałem nic narzucać. Umoralniające i sentymentalne banały zawsze brzmiały w moich ustach dość płasko, a skierowane do Crawforda byłyby całkiem nieznośne. Niemniej powiedziałem mu kiedyś z pewną dozą serdeczności, iż dobitnie udowodnił, że jest filozofem; pojął, że ludziom w końcu każda sprawa „przechodzi”, i okazał się zdolny do pokonania jednym krokiem wielkiej moralnej pustyni. Nie zareagował od razu, lecz gdy żegnaliśmy się godzinę później, oznajmił tonem dość oficjalnym, że nie może się zgodzić, by przypisywano mu cnoty, których nie posiada.

– Nie jestem filozofem – powiedział – wręcz przeciwnie. I nic mi nie przeszło.

Jego nieszczęście wzbudziło u wszystkich przyjaciół ogromne współczucie; wyobrażam sobie, że w niektórych przypadkach wyrażano ów sentyment aż nazbyt szczerze, choć bez złych intencji. Ingramów potępiono niemal powszechnie, a kiedy w tym okresie pojawiali się publicznie, spotykali się ze znamienną oziębłością. Nic lepiej nie świadczyło o przyjaźni, o prawdziwie czułym szacunku i podziwie, którymi cieszył się Crawford, niż gotowość, z jaką wszyscy opowiedzieli się po jego stronie. Wiedział o tym i niejednokrotnie słyszałem, jak wykrzykiwał z goryczą, że stał się ową żalosną istotą, „obiektem politowania”. Niektórzy pochlebiali sobie, że dzięki nim w mieście stało się zbyt gorąco, w sensie towarzyskim, dla panny Elizabeth i jej rodziców. Ingramowie przyspieszyli o kilka tygodni planowany wyjazd do Newport – już przedtem napomykali, że zamierzają spędzić tam lato – i wyjechali z Nowego Jorku, zostawiając, jak ów dżentelmen ze *Szkoły obmowy*, swoją reputację za sobą.

Nadal z ciekawością przyglądałem się Crawfordowi i chociaż w pełni doceniałem jego mądrość i opanowanie, z nadejściem lata zacząłem się o niego niepokoić. Prowadził dokładnie taki sam tryb życia jak przed zaręczynami, również w towarzystwie bywał nie rzadziej i nie częściej. Jeżeli nie lubił, by litościwie się nad nim pochylano lub przyciszano głosy z szacunku dla jego pecha, to nie starał się, przynajmniej w sposób widoczny, unikać takich demonstracji i w pełni płacił cenę bycia „interesującym”.

Z drugiej strony wszakże, nie okazywał skłonności, aby utopić smutek w burzliwych przyjemnościach i zagłuszyć w sobie jego echo. Nigdy nie wspominał o poniesionym zawodzie, wypełniał wszelkie obowiązki grzeczności i wypytywał o ludzkie zgryzoty i radości z takim szacunkiem, jakby nie leżał mu na sercu żaden ciężar. Niemniej wiedziałem, że rana się jątrzy – że doznał nieodwracalnej krzywdy. I od tego momentu poczawszy, przestałem pojmować jego postępowanie. Byłem jedynie świadkiem, relacjonuję więc, co widziałem – nie podejmuję się wyjaśniać jego pobudek.

Miałem w perspektywie wyjazd z miasta na kilka miesięcy – kolega po fachu, wiejski lekarz, wybierał się na urlop i zaproponował mi, bym na ten czas objął jego praktykę. Przedtem jednak jeszcze raz spróbowałem przekonać Crawforda, że powinien zmienić scenerię: wyjechać za granicę, podróżować, oderwać się.

– Oderwać się od czego? – spojrzał na mnie ze swym zwykłym jasnym uśmiechem.

– Od wspomnienia o paskudnej sztuczce, którą ci spłatanano.

– Czy wyglądam, jakbym ją pamiętał? Czy się tak zachowuję? – zapytał, poważniejąc nagle.

– Zachowujesz się bardzo dobrze, podejrzewam jednak, że dzieje się to kosztem wielkiego wysiłku i bez żadnej pomocy, a to może się odbić na twoim zdrowiu.

– Zostanę na miejscu – oznajmił Crawford – i będę się zachowywał tak jak dotąd, aż do końca. Uważam, że ten wysiłek, jeśli to jest wysiłek, bardzo mi służy.

– No, cóż – powiedziałem – będę bardzo zadowolony, słysząc, że znów się zakochałeś.

A gdy się dowiem o twoim udanym ożenku, będę wręcz zachwycony.

Milczał przez chwilę, po czym rzekł: – To nie jest niemożliwe. – Jednak zanim odszedłem, położył mi dłoń na ramieniu i spojrzawszy na mnie przeciągle z wielką powagą, oświadczył, że byłoby mu niezwykle miło, gdybym już nigdy nie wspominał o zerwanych zaręczynach.

Wieczorem w przeddzień opuszczenia miasta poszedłem, żeby spędzić z nim pół godziny. Był koniec czerwca, panował upał, zaproponowałem więc, abyśmy, zamiast siedzieć w domu, poszli na mały spacer. W owym czasie w centrum miasta istniał ogród muzyczny, dość prymitywnie urządzone, do którego – pod wpływem gorąca – zapuszczali się niekiedy co bardziej zuchwali przedstawiciele najlepszego towarzystwa. Były tam drzewa i altany, wodotryski oraz stoliki, gdzie podawano – po najdłuższym oczekiwaniu – lody i napoje miętowe. Atrakcje muzyczne nie osiągały współczesnego poziomu; dostarczało ich trio starych skrzypków, rzępolących niemodne walce, bądź wędrowny balladzista, śpiewający w bliżej nieznanym języku, któremu asystowała młoda kobieta, grająca na trianglu i zbierająca datki przy stolikach. Bywalcy tego przybytku na ogół lekce sobie ważyli elegancję lub też w ogóle nie posiadali elegancji godnej wzmianki; jednak tytułem rekompensaty (w tym drugim przypadku) zazwyczaj mieli do towarzystwa jakąś ukochaną o obfitych kształtach. Usiedliśmy zatem i sącąc przez słomki mrożone napoje, wsłuchaliśmy się w pieśń schrypniętego włoskiego tenora w aksamitnym surducie i kolczykach. Po upływie pół godziny Crawford zaproponował, byśmy wyszli, ja zająłem się więc regulowaniem należności. Szukanie drobnych przeciągało się i zacząłem błądzić myślami; zanim kelner wrócił, minęło dobre dziesięć minut. W końcu się jednak zjawił i wydał mi resztę, powiedziałem więc do Crawforda,

że możemy iść. Nie usłyszał; patrzył w inną stronę, a gdy powtórzyłem wezwanie, drgnął, odwrócił się i oświadczył, że chciałby jeszcze trochę zostać. Po chwili dostrzegłem przyczynę, dla której najwyraźniej zmienił zdanie; w ostatniej chwili powstrzymałem się od kpiny – a przecież równocześnie stwierdziłem w duchu, że czegoś takiego nie sposób traktować poważnie.

Dwie osoby zajęły miejsca przy pobliskim stoliku. Jedną z nich był krótkowzroczny młodzieniec w zawadiackim kapelusiku, ze sztuczną niedbałością nasadzonym na sztywno zaczesane i mocno wypomadowane włosy koloru słomy, wodzący wzrokiem po otoczeniu z zaczepnym, acz nieszkodliwym marsem ledwie widocznych brwi. Przyczyną tej butnej miny była zapewne świadomość powabów jego towarzyszkii – kobiety dość jeszcze młodej i przystojnej, której strój wskazywał, że bytność w muzycznym ogródku stanowi dla właścicielki sprawę doniosłą. Dorodna, o rumianych policzkach, miała śmiałe spojrzenie i duże czerwone dłonie, obciążone mitenkami z czarnej koronki. Oczy miała małe, ciemne i szczególnie przenikliwe, osadzone płasko jak dziurki do guzików w skrawku bawełnianej tkaniny; dolna warga była bardziej wydatna niż górna. Nosila głowę jak osoba, która udaje, że coś w niej ma, i od czasu do czasu z zadowoleniem spoglądała na sporych rozmiarów gors swej sukni, pewna, że tam również coś ma. Była dużą kobietą; gdyby wstała, z pewnością okazałaby się wyższa niż jej kompan. Zachowywała się z wystudiowaną godnością, jadła różowe lody, unosząc mały palec, i prawie nie odzywała się do młodego człowieka, którego wyraźnie uważała za przygodną znajomość, nie za ideał. Spożywała deser, tocząc wkoło twardym, płaskim, ospałym wzrokiem – bynajmniej nie jak awanturnica, lecz jak osoba pretensjonalnie i pospolicie szacowna. Zauważyłem, że Crawford bacznie się jej przygląda, lecz robił to tak dyskretnie, że nie zdawała sobie z tego sprawy, przynajmniej na początku. Niemniej zastanowiło mnie, dlaczego ją obserwuje. Nie miał zwyczaju gapić się na obce kobiety; również wdzięki pąsowej damulki raczej nie należały do tych, które mogłyby przemówić do kogoś o jego wybrednym guście.

– Widzę, że nasza uroczą sąsiadka wpadła ci w oko – zagadnąłem. – Już kiedyś ją widziałeś?

– Owszem! – odparł po chwili. – W wyobraźni!

– Wyobraźnia wydaje się ostatnim miejscem, gdzie człowiek szukałby takiej osoby. Ta dama należy do najobskurniejszej rzeczywistości.

– Na swój sposób jest świetna – rzekł Crawford. – Moje wyobrażenie było dość niewyraźne; ona wygląda znacznie lepiej. Najdoskonalsze uosobienie jakiegoś typu zawsze jest rzeczą interesującą, nieważne, czy ten typ podziwiamy, czy wręcz przeciwnie. W tym cała zaleta naszej sąsiadki. To kwintesencja pewnej cywilizacji; ostatnie słowo; kwiat.

– Ostatnie słowo, gdy chodzi o ordynarność; kwiat pospolitości – wtrąciłem. – Tak, z pewnością ma tę zaletę, że jest w swoim rodzaju niezrównana.

– To bardzo przekonujący okaz – ciągnął Crawford. – Jest doskonała.

– Jak sądzisz, kim ona może być?

Crawford nie odpowiadał przez dłuższą chwilę; podejrzewam, że nie zwracał na mnie uwagi. Lecz w końcu przemówił: – To córka kobiety, która prowadzi trzeciorzędny

pensjonat na Lexington Avenue. Siedzi na końcu stołu i nalewa gościom marną kawę. W pensjonacie uważają ją za piękność. Wystawia rachunki „za trzy tygodnie wikt”, przy czym zamiast „tygodnie” pisze „tegodnie”. Kilka razy była zaręczona. Ten młodzieniec to jeden z gości ze skłonnością do galanterii. Zaprosił ją tutaj na lody, a ona się zgodziła, chociaż nim gardzi. Na imię ma Matilda Jane. Szczytem jej ambicji jest być „modną”.

– Skąd, u diabła, wiesz to wszystko? – zapytałem. – Nie zdziwiłbym się, gdyby to była prawda.

– Możesz być pewny, że niewiele się z prawdą rozminąłem. Być może pensjonat leży przy Ósmej Alei, a ta pani ma na imię Araminta, ale w ogólnym zarysie wszystko, co powiedziałem, się zgadza.

Siedzieliśmy jeszcze przez chwilę. Araminta – czy Matilda Jane – dokończyła lody, odchyliła się na krześle i zaczęła wachlować się gazetą, którą jej towarzysz wyjął z kieszeni, a ona złożyła w specjalny sposób. Przypuszczalnie zdążyła już zauważyć szczególne zainteresowanie Crawforda swoją osobą, gdyż wyraźnie zamierzała ułatwić mu zaspokojenie ciekawości. Przybierała najróżniejsze pozy, kręciła głową, gładziła lśniące pukle, coraz to bardziej odginała swój okazały mały palec i z wytrwałą kokieterią zerknęła na dziwnego admiratora. Osobiście nie miałem ochoty jej adorować i w końcu znów zaproponowałem, żebyśmy wyszli; lecz ku memu zdumieniu Crawford po prostu podał mi rękę na pożegnanie i oznajmił, że zostaje. Spojrzałem nań uważnie i wydało mi się, że w jego oczach tli się iskra podniecenia, jakiej nie widziałem od wielu miesięcy. Pozwoliłem sobie na nieco ordynarny żart; przyjął go z całkowitą powagą i odprawił mnie zniecierpliwionym gestem. Zanim jednak doszedłem do najbliższej przecznicy, przypomniałem sobie, że chciałem mu coś jeszcze powiedzieć, nie pamiętam już, na jaki temat, jednak musiało to być coś ważnego, gdyż zawróciłem, by nadrobić niedopatrzenie. Wszedłem do ogródka i odnalazłem nasz stolik. Był pusty; Crawford przesunął krzesło i pogrążył się w rozmowie ze wspomnianą młodą kobietą. Siedział tyłem do mnie, pochylony do przodu, więc nie widziałem jego twarzy, sam również pozostałem niewidzialny. Dama spoglądała nań nieufnie; na jej szerokim rumianym obliczu malowała się mieszanka zaskoczenia, konsternacji i zadowolenia, ale także niepewność, czy z nakazu „modnych” manier powinna udawać zachwyconą, czy też raczej obrażoną zabiegami Crawforda. Jej kompan wyraźnie uznał, że godność nakazuje mu zawzięcie ignorować natręta; jeszcze raz podkreślił rondo kapelusza, wsparł łaskę na ramieniu niczym muszkiet i wlepił wzrok w grajków. Zatrzymałem się, objąłem całą grupę spojrzeniem, cicho się odwróciłem i odszedłem.

Jako lekarz – jako fizjolog – miałem wszelkie podstawy, by przyjmować tak zwany materialistyczny pogląd na ludzkie postępowanie; niemniej ten mały incydent skłonił mnie do pewnych refleksji, jeżeli nie całkiem melancholijnych, to przynajmniej zabarwionych moralizatorską ironią. – Wszyscy mężczyźni są tacy sami – mruknąłem – i najlepszy z nich w gruncie rzeczy jest niewiele wrażliwszy od najgorszego. Jeżeli istniał mężczyzna, którego mógłbym nazwać wrażliwym, to był nim Crawford; ale i on w subtelnym cierpieniu uciekł się do wulgarnej pociechy, zbyt słaby, żeby dochować wierności wspomnieniom. Jednak przyznaję, że poczułem rozbawienie i ulgę;

najwyraźniej jego wewnętrzny opór i niechęć miały swoje granice i mój przyjaciel zamierzał wziąć się do roboty swobodniej i bardziej naturalnie. Przez kilka następnych tygodni nie kontaktował się ze mną: owszem, byliśmy dobrymi znajomymi, ale słabymi korespondentami, a ponadto, wedle słów samego Crawforda, o czym, u licha, miałby pisać?

Wróciłem do miasta na początku września i nazajutrz po przyjeździe zajrzałem do przyjaciela. Otworzył mi służący, całkiem nowy człowiek, który powiadomił mnie, że pan Crawford wyszedł przed godziną. Lecz gdy odchodziłem, nagle przyszło mi do głowy – nie umiem powiedzieć dlaczego – że może znajdę go w ogródku muzycznym, gdzie zaszliśmy w przeddzień mojego wyjazdu. Wieczór był ciepły i piękny, choć więc nie przypuszczałem, aby pod moją nieobecność stał się regularnym bywalcem tego jarmarcznego przybytku, pod wpływem określonych skojarzeń tam właśnie skierowałem swoje kroki. Wejście do ogródka zdobił migotliwy łuk, utworzony z girlandy papierowych latarni; wszystkie stoliki były zajęte. Przystanąłem i obrzuciłem wzrokiem zgromadzonych, na próżno szukając wśród nich znajomej twarzy. Nagle dostrzegłem fizjonomię, która, choć mniej znajoma, dokładnie odcisnęła się w mojej pamięci; dama, tak pomysłowo scharakteryzowana przez Crawforda jako córka właścicielki trzeciorzędowego pensjonatu, wzięła w posiadanie jeden ze stolików, gdzie tronowała, bezwzględnie pewna swej pozycji. W kapeluszu-budce przybranym pękiem kwiatów i lazurowym szalu na ramionach, z dłońmi ślącymi błyski wspaniałych pierścieni, była niczym żywy dowód, że Ósma Aleja może czasem stanowić drogę do fortuny. Nagle napotkałem jej spojrzenie i ujrzałem w jej oczach blask ordynarnego, dobrodusznego szczęścia. Instynktownie poczułem, że Crawford musi mieć jakiś związek z tym przeobrażeniem, doszedłem wręcz do wniosku, że skutecznie przekonał się do światowych uciech. Niebawem zorientowałem się, że mnie rozpoznała; po krótkiej chwili poufale skinęła mi głową. Na ten widok zbliżyłem się do niej.

– Widział mnie pan już – powiedziała. – I nie zapomniał.

– Niepodobna zapomnieć o pani – odparłem z galanterią.

– Nie może być, to naprawdę nikt o mnie nie zapomina? Pewno nie powinnam z panem rozmawiać, skoro nie jesteśmy ze sobą zapoznani. Ale poczekaj pan chwilę; jest tu dżentelmen, który mnie przedstawi. Poszedł tylko po cygara. – Po czym wskazała barwnie przystrojony kram po drugiej stronie ogródka, od którego, po dokonaniu zakupu, właśnie odwracał się Crawford.

Po chwili był już przy nas – najwyraźniej dojrzał mnie z daleka. Dało mu to kilka minut; co jednak znaczyło kilka minut w tej sytuacji? Uśmiechnął się szczerze i ciepło, po czym serdecznie uściśnął mi dłoń. Jednakże pomimo uśmiechu dostrzegłem, że jest trochę blady. Zerknął na kobietę przy stole, a potem mocnym, spokojnym tonem zapytał:

– Zawarliście już znajomość?

– Och, ja jego znam – odrzekła dama – ale on nie zna chyba mnie? Przedstaw nas.

Crawford ceremonialnie wymienił moje nazwisko, jakby prezentował mnie jakiejś księżnej. Kobieta pochyliła się ku mnie i ujęła moją dłoń w mocno upierścienione palce. – Jak się masz, doktorze? – powiedziała.

Crawford zawahał się, wciąż na mnie patrząc. Spojrzałem mu w oczy, które przez chwilę wydały mi się dziwne i znieruchomiałe – zda się, prowokował mnie, bym spróbował dostrzec w nich coś, czego nie życzy sobie mi pokazać. – Pozwól, że cię przedstawię – rzekł w końcu tonem, którego nigdy nie zapomnę – pozwól, że cię przedstawię mojej żonie.

Zamarłem i wlepiłem w niego wzrok; kobieta nadal ścisnęła moją dłoń. Potrząsnęła nią gwałtownie i wybuchnęła głośnym śmiechem. – Patrzcie, on nie wierzy! O, tu jest obrączka! – I podsadziła mi pod nos masywną lewą pięść.

Setki myśli przelatywały mi przez głowę, dziesiątki okrzyków – tragicznych, ironicznych, szyderczych – cisnęły się na usta. Lecz szczęśliwie zdołałem stłumić je wszystkie; zdołałem zachować znamienne milczenie, machinalnie sadowiąc się na podstawionym przez Crawforda krześle. Twarz miał nieprzeniknioną, lecz w tym układnym braku wyrazu dojrzałem odbicie całej jaskrawej ohydy sytuacji. Popełnił potworne głupstwo. Siedząc przy stoliku przez pół godziny – wydawało mi się, że to cała wieczność – mogłem w pełni ogarnąć jego ogrom; ale zdobyłem się również na decyzję, że je zaakceptuję, uszanuję, że w miarę możliwości stanę po stronie Crawforda przeciwko konsekwencjom jego czynu. Niewiele pamiętam z tej półgodziny, wyjąwszy ogólne, szybko rosnące przerażenie. Kobieta zrobiła się rozmowna; byłem pierwszym z przyjaciół jej męża, który dostał się w jej szpony. Udzieliła mi wielu informacji: kiedy się pobrali (przed trzema tygodniami), co miała na sobie, co mąż (mówiła o nim „pan Crawford”) dał jej w prezencie, co zamierzała robić podczas nadchodzącej zimy. – Urządzimy wielki bal – oznajmiła – bal, jakiego Nowy Jork nie widział. To będzie otwarcie sezonu zimowego i poznam wszystkich jego znajomych. Okropnie będą chcieli mnie zobaczyć i na pewno zjawi się tłum. Nie wiem, czy przyjdą dwa razy, ale raz przyjdą na pewno, mogę się założyć.

Poskarżyła się, że mąż nie chciał jej zabrać w podróż poślubną – kto to widział, żeby tak wychodzić za mąż? – Nie jestem pewna, czy małżeństwo bez podróży poślubnej jest ważne – zasępiła się. – Zawsze myślałam, że prawdziwy mąż i żona muszą pojechać nad Niagarę, do Saratogi albo w jakieś takie miejsce. Ale on się uparł, żeby sterczeć w Nowym Jorku; mówi, że ma swoje powody. Dał mi to, żeby mnie zatrzymać. – Tu błysnęła pierścionkiem.

Crawford słuchał tego wszystkiego z uśmiechem, bez drżenia, bez mrugnięcia okiem. Przed rozstaniem, po prostu, żeby coś powiedzieć, zapytałem panią Crawford, czy lubi muzykę. Skrzypkowie rzępolili aż miło. Odwróciła szklankę do góry dnem i huknęła nią w stół. – Lubię, a jakże! – zakrzyknęła. To było straszne. Wstaliśmy od stołu i Crawford czule podał jej ramię; patrzyłem na niego z trwogą.

W ciągu następnych tygodni kilkakrotnie chodziłem go odwiedzić, ze wszystkich sił starając się zachowywać, jakby nic się nie zmieniło. On sam, istotnie, wcale się nie zmienił, a mistrzostwo, z jakim bez słów dawał do zrozumienia, że jeśli sytuacja się zmieniła, to tylko na lepsze, stanowiło wzór dla moich nieudolnych wysiłków. Nigdy dotąd śmiertelnie zraniona duma nie wyrzeźbiła dla siebie tak idealnie nieprzeniknionej maski; nigdy dotąd brawura tak triumfalnie nie imitowała szczerości. Pod nieobecność żony Crawford nigdy o niej nie wspominał; gdy się pojawiała, był uosobieniem

szacunku i troskliwej kurtuazji. Jego zwyczaje nie uległy wielkim zmianom; pozostał skrupulatnie wierny swym dawnym zajęciom. Studiował – a przynajmniej godzinami siedział w bibliotece. Co robił – kim był – w samotności, Bóg jeden wie; na szczęście nic nigdy nie zostało mi ujawnione. Ani razu nie zapytałem go o żonę; udawanie uprzejmego zainteresowania jej osobą zakrawałoby na straszną kpinę. Ona sama wszakże z nawiązką zaspokajała moją ciekawość, racząc mnie śmiałymi opisami swego życia i przygód. Crawford trafił w sedno; w samej rzeczy, kiedy ją poznał, mieszkała w pensjonacie i to nie w charakterze lokatorki. Wyjawiała mi nawet słowa, w jakich się oświadczył. Obyło się bez zalotów, banialuk i temu podobnych bzdur. „Mam siedem tysięcy dolarów rocznie – oznajmił zniecierpliwiona – czy zechce pani zostać moją żoną? Dostanie pani cztery tysiące do własnego użytku”. Nie mam najmniejszej ochoty malować biedaczki, która wyznała mi te fakty, w barwach czarniejszych, niż zasługuje; niewątpliwie zasługiwała na litość, gdyż została wyniesiona do pozycji, w której jej wady wręcz oślepiająco rzucały się w oczy. Nie zabiegała o Crawforda; to on przyszedł, wywłócił ją z przyjaznego niebytu i umieścił jej szkaradność na piedestale własnych nienaganych manier. Po prostu przyjęła to, co jej zaproponowano. Niemniej, mimo całej tej logiki, była straszną kreaturą. Próbowałem ją polubić, próbowałem znaleźć w niej jakieś zalety. Najbardziej przemawiał za nią fakt, że biżuteria i stroje – ubierała się w okropnym guście – przynajmniej na razie utrzymywały ją w hałaśliwym dobrym humorze. A co, kiedy ich zabraknie? Wzdrygałem się na myśl, z czym Crawford miałby wówczas do czynienia – z grubiaństwem, wulgarnością, ignorancją, próżnością, a pod tym wszystkim z czymś twardym i jałowym jak zakurzona cegła. Za każdym razem, gdy ich opuszczałem, ten związek wydawał mi się potworną baśnią, złym snem; za każdym razem, gdy ich widziałem, cud powtarzał się na nowo.

Większość towarzystwa przebywała jeszcze na wsi i choć zaczęły krążyć pogłoski, że Crawford ożenił się z bardzo dziwną osobą, to przez kilka tygodni owa dziwność nie została należycie doceniona. Nastąpiło to wszakże z nadejściem jesieni i owych przepięknych październikowych dni, kiedy cały świat wylega na ulice. Crawford także się pojawił: codziennie chadzał na długie spacery ze swoją koszmarną połowicą pod rękę i mężnie znosił zdumienie znajomych. W niedziele wkraczał z niedorzeczną małżonką do kościoła i przy wtórze pierwszych organowych akordów prowadził ją do ławki, w której lokował ją z całą powagą. Specyficzne cechy pani Crawford bynajmniej nie miały ukradkowego, tajemnego charakteru, przeciwnie, w opinii obserwujących ją z daleka współwyznawczyń świetnie wyrażały się w przybraniach jej kapeluszy.

Zapewne wielu z nas wyraźnie pamięta huczną fetę, na którą Crawford z początkiem zimy sprosił wszystkich swoich znajomych. Zaproszeni stawili się bez wyjątku, gdyż była to sytuacja, w której ciekawość i życzliwość, nader dogodnie, szły ręką w rękę. Wszyscy dobrze życzyli Crawfordowi i nie mogli się doczekać, by to okazać; niemniej gdy utrzymywali, że za żadne skarby nie chcą, by sądzono, iż odwrócili się do biedaka plecami, naprawdę chodziło im o to, że za żadne skarby nie chcieli przegapić, jak będzie się zachowywać pani Crawford. Przyjęcie było wspaniałe i zapoczątkowało nową epokę w nowojorskiej sztuce podejmowania gości. Pani Crawford zachowywała się bardzo dobrze i sędzę, że przybyli dość się rozczarowali, a nawet zgorszyli przyzwoitością jej

obejścia. Natomiast wyglądała paskudnie – panowała co do tego powszechna zgoda – jakby w osobliwej dekoracji jej nader wybujałej osoby znalazła wyraz przyrodzona wulgarność. Ponadto, zasiadając do kolacji, każdy miał już w zanadrzu anegdotę o jej marnej gramatyce i niskim poziomie konwersacji. Gdziekolwiek spojrzełam, ludzie szeptali ze sobą po troje i czworo, z chichotem dzieląc się świeżo zdobytymi historyjkami. Nic nie dorówna złym manierom w dobrym towarzystwie; pod koniec wieczoru, będąc szczególnie wyczulony na punkcie Crawforda, nie mogłem już znieść narastającego podniecenia zebranych. Towarzystwo wydało werdykt; istniały wulgarne osoby, które można od biedy zaakceptować, oraz takie, których zaakceptować się nie da, i panią Crawford zaliczono do tych ostatnich. Toteż na każdą uwagę odpowiadałem wściekle: – Owszem, jest beznadziejna, ale wy jesteście jeszcze gorsi!

Ale mogłem oszczędzić sobie oburzenia, gdyż Crawford pośród tego wszystkiego był wprost niezrównany. Stanowił uosobienie ducha gościnności; nigdy dotąd nie widziano go tak beztroskim, swobodnym, czarującym. Kiedy podszedłem, by życzyć mu dobrej nocy, ująłem go za rękę i powiedziałem: – Poradzisz sobie! – Spojrzał na mnie z roztargnionym uśmiechem, w najmniejszym stopniu nie okazując, że rozumie, o czym mówię. Wtedy pojąłem, jak głęboko jest przywiązany do roli, której się podjął; poświęcił dla niej naszą zażyłość. Nawet dla mnie, swego najstarszego przyjaciela, nie zamierzał uchylić choćby rąbka maski.

Naturalnie pani Ingram i Elizabeth nie były obecne na przyjęciu, ale wróciły już z Newport, przywożąc w swym orszaku gorącego wielbiciela. Wydarzenie to z nawiązką uzasadniało poprzednią powściągliwość pani Ingram; zdołała upolować młodego plantatora z Południa, którego bajeczne posiadłości podobno zajmowały trzy ósme stanu Alabama. Elizabeth wyglądała piękniej niż kiedykolwiek i zanosilo się na rychły ślub. O ile mi wiadomo, matka i córka kilkakrotnie publicznie stawały twarzą w twarz z Crawfordem i jego żoną. Co musiał czuć Crawford, porównując prześliczną istotę, którą utracił, z krzykliwą prostytutką, którą zdobył, na to lepiej spuścić zasłonę milczenia – tym bardziej że moja historia zmierza już do końca. Pewnego ranka w gabinecie udzielałem porady drobnemu starszemu panu, czerstwemu i rumianemu jak jabłuszko, który wszakże odwiedzał mnie co miesiąc, twierdząc, że ma włos na języku albo że śni mu się niebieski pies, i w związku z tym domagał się, bym zalecił mu „dieta”, której podstawą, jego zdaniem, miała być codzienna ćwiarteczka porto. Wycofał się z interesów, należał do jakiegoś klubu i trudnił się rozprowadzaniem plotek; ale jak większość domokrażców, miał w ofercie tylko tani towar, więc za jedną receptę zazwyczaj nabywałem cały asortyment. Tym razem na odchodnym napomknął, że chyba słyszałem nowiny o naszym przyjacielu Crawfordzie? Odparłem, że nic nie słyszałem. Jakie nowiny?

– Stracił całą fortunę, co do grosza – oznajmił mój pacjent. – Jest zupełnie spłukany. – Po czym, gdy krzyknąłem z przerażenia, powiadomił mnie, że New Amsterdam Bank zawiesił wypłaty i z pewnością nigdy ich nie wznowi. Cały świat wiedział, że Crawford złożył w tym banku swój majątek i że dwa lub trzy miesiące temu, gdy zanosilo się na burzę, nader wspaniałomyślnie go poratował. Burza jednak nadeszła, przeobraziła się w huragan, bank zatonął i pieniądze Crawforda poszły na dno. – To mnie wcale nie

dziwi – powiedział pan Niblett. – Już rok temu coś podejrzewałem. Co prawda, jestem bardzo bystry.

– Sądzi pan, że nikt oprócz pana nic nie podejrzewał?

– Nie przypuszczam; ludzie łatwo dają się nabrać. A poza tym, cóż mogłoby wyglądać lepiej, uczciwiej niż New Amsterdam?

– Niemniej tu i ówdzie jakaś wyjątkowo bystra osoba mogła zachować czujność.

– Niewątpliwie, chociaż mówiono mi, że dzisiaj w śródmieściu tak się przejęli, jakby nigdy przedtem nie upadł żaden bank.

– Zna pan panią Ingram? – zapytałem.

– Na wylot! Ona akurat jest wyjątkowo bystra, jeśli o to panu chodzi.

– Pana zdaniem to możliwe, że przewidziała tę aferę pół roku temu?

– Bardzo możliwe; zawsze miała nosa do Wall Street, a na akcjach zna się lepiej niż cała rada maklerów.

– Cóż – rzekłem po chwili – może jest bystra, ale mam nadzieję, że i ona kiedyś się natnie!

– Aa – mruknął mój stary przyjaciel – chodzi panu o sprawę Crawforda? Jednak nie powinien pan być bardziej papieski od papieża. On jej wybaczył i zaraz się pocieszył. Ale co pocieszy go teraz? Czy to prawda, że jego żona była praczką? Być może nie pożałuje, że ma fach w ręku.

Z całego serca miałem nadzieję, że pan Niblett przesadził w swej opowieści, toteż wieczorem udałem się do Crawforda, aby się zorientować, jaki jest prawdziwy zakres jego nieszczęścia. Gdy zobaczył, że wchodzę, wyszedł do holu i natychmiast zaciągnął mnie do biblioteki. Wyglądał jak zrzucony przez narowistego konia człowiek, który jednak się podniósł i postanowił pokonać resztę drogi na piechotę.

– Jest bardzo źle? – zapytałem.

– Zostało mi około tysiąca dolarów rocznie. Znajdę sobie jakąś pracę; oszczędzając na wydatkach, przeżyjemy.

W tym momencie usłyszałem głośny krzyk na szczycie schodów. – Ona ci pomoże? – zapytałem.

Zawahał się przez chwilę, po czym odparł krótko: – Nie! – Nagle, jakby w komentarzu, drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadła pani Crawford. Od razu dostrzegłem, że jej dobry humor doznał trwałego zaćmienia: czerwona, rozczochrana, rozjuszona, była idealnym wcieleniem wulgarnej furii. Rzuciła się na mnie ze zgoła potężnym ładunkiem gniewu.

– Tyś go na to napuścił? – wrzasnęła. – Tyś wbił mu do głowy, żeby się ze mną ożenił? Bo ja w żadnym razie o nim nie myślałam, przecież to nie jest mężczyzna, nawet w jednej dwudziestej! Wzięłam go dla pieniędzy: cztery tysiące rocznie, i wszystko jasne; nigdy nie udawałam, że chodzi o coś innego. A dzisiaj on mi mówi, że to pomyłka, że musimy jakoś sobie radzić za tysiąc dwieście! I on uważa się za dżentelmena, i ty pewnie też! W więzieniu stanowym jest pełno takich dżentelmenów, siedzą za znacznie mniej! Oszukano mnie, obrażono, zrujnowano; ale nie ze mną takie sztuczki! Pieniądze są moje, to, co z nich zostało; a on niech idzie na utrzymanie swoich wspaniałych przyjaciół! Nie istnieje na świecie nic, co umiałby robić: umie tylko kłamać i oszukiwać!

Crawford podczas tego okropnego wybuchu stał z oczyma utkwionymi w podłogę; czułem, że najohydniejszy w całej sytuacji był dlań fakt, iż jego żona w dosłownym sensie miała rację. Rzeczywiście, doznała gorzkiego zawodu – na dobrą sprawę została oszukana. Crawford zwrócił się do mnie i wyciągnął rękę. – Żegnaj – powiedział. – Niestety, muszę zrezygnować z przyjemności dalszego widywania cię w moim domu.

– Nie mogę tu przychodzić? – wykrzyknąłem.

– Wyświadczysz mi przysługę, jeśli się od tego powstrzymasz.

Oddaliłem się, trawiony nieznośnym uczuciem bezsilności. Crawford oczywiście zaraz przestał mieszkać w domu, który dotychczas zajmował; lecz przez dłuższy czas nie miałem pojęcia, dokąd się wyniósł. Zakazał mi się odwiedzać, a sam był zbyt zajęty godzeniem się z odmianą losu, żeby tracić czas na składanie wizyt. Wreszcie wykryłem go na jednej z ulic w gorszej części miasta, nad East River, gdzie zajmował zaledwie jedno piętro małego domku. Złamałem zakaz i jednak zaszedłem do niego, a że jego żona najwyraźniej była nieobecna, pozwolił mi zostać. Zatrzymał książki, a przynajmniej większość z nich, i urządził sobie coś w rodzaju biblioteki. Wyglądał dziesięć lat starzej, ale sam o tym nie wspomniał i nie dał mi uczynić żadnej uwagi na ten temat. Dostał posadę urzędnika w hurtowni chemicznej, z wynagrodzeniem pięćset dolarów rocznie. Potem widywałem go już dość często i nierzadko w niedziele chodziliśmy na długie spacery. Rozstawaliśmy się pod jego drzwiami; nigdy nie zapraszał mnie do środka. Rozmawiał o swych lekturach, pomysłach naukowych, sprawach publicznych, wspólnych znajomych – o wszystkim, z wyjątkiem własnych kłopotów. Oczywiście pozwolił, by większość jego czysto oficjalnych stosunków umarła śmiercią naturalną; lecz jeśli nie lgnął do przyjaciół, to również wcale ich nie unikał. Pamiętam inteligentną starszą panią, która napomykając, że kiedyś go znała, powiedziała mi wówczas: „Zawsze uważałam, że pan Crawford to najmilszy mężczyzna na świecie, ale mam wrażenie, że teraz jest jeszcze miłszy!”. Pewnego dnia – poszliśmy za miasto i przysiedliśmy na zwalonym pniu na skraju drogi (w owych czasach nowojorczyki mogli jeszcze chodzić na spacery na wieś) – oznajmiłem, że mam dla niego nowinę. Nie była przyjemna, ale za to ciekawa.

– Mówiłem ci półtora miesiąca temu, że panna Elizabeth Ingram zapadła na ospę wietrzną? Wyzdrowiała i kilka osób ją widziało. Jej promienna uroda przepadła. Powiadają, że wygląda odrażająco.

– Nie wierzę! – rzekł cicho.

– Młodzieniec, który miał się z nią żenić, uwierzył – odparłem. – Wycofał się. Zrezygnował. Pośpiesznie wyjechał do Alabamy.

Crawford spojrzał na mnie przeciągle i wybuchnął: – Idiota!

Co do mnie, współczułem gorzkiemu losowi Elizabeth. Pani Ingram istotnie „się nacięła”, jak ośmieliłem się to określić, i to w bardziej ponury sposób, niż mogłem przypuszczać. Kilka miesięcy później ujrzałem na ulicy dziewczynę spowitą gęstym czarnym welonem, pod którym ledwie rozpoznałem całkowicie zrujnowaną twarz. Szła między ojcem i matką, których oblicza były prawie tak samo zniszczone jak jej własne.

Jak wspominałem, przez pewien czas widywałem Crawforda dość regularnie, jednak coraz częściej zdarzały mu się długie okresy nieprzeniknionego smutku. Ogólnie rzecz

biorąc, domyślałem się, że humory jego żony były dlań bardzo absorbujące, lecz dopiero bolesny incydent – którego nie muszę przytaczać – uświadomił mi wreszcie, do jakiego stopnia. Jak się okazało, pani Crawford często zaglądała do kieliszka; zawiedziona w małżeństwie, szukała pocieszenia w alkoholu. Prowadziła hulawcze życie, a mąż musiał bez przerwy się nią zajmować, pilnując, by nie obnażała się publicznie. Mnie również się ukazała – odrażający widok – i wtedy właśnie poznałem przyczynę okresowych nieobecności Crawforda. Gdy jednak wyraziłem zdumienie, że nadal z nią mieszka, odpowiedział:

– To bardzo proste. Wyrządziłem jej wielką krzywdę i tym samym utraciłem prawo, by skarżyć się na cokolwiek, co może mi zrobić.

– Na litość boską – zawołałem – zrób majątek i wypłacaj jej pensję!

Pokręcił głową. – Nigdy nie zrobię majątku. Moje umiejętności nie są wiele warte.

Pewnego dnia, po kilku tygodniach niewidzenia, postanowiłem do niego zajrzeć.

Drzwi otworzyła mi jego żona w papilotach i brudnym szlafroku. Po czymś, co trudno nazwać wymianą uprzejmości – nie wysiłała się dla mnie – zapytałem o przyjaciela.

– Jest w szpitalu New York – odparła.

– Na Boga, co mu się stało?

– Złamał nogę i poszedł, żeby się nim zajęli! Jakby nie miał własnego wygodnego łóżka! Ale jego trudno rozgryźć; pewnie chciał mi dokuczyć!

Natychmiast zadeklarowałem, że jestem gotów go odwiedzić, lecz gdy się odwracałem, położyła mi rękę na ramieniu. – Jeśli ci powie – rzekła, wręcz złowrogo świdrując mnie wzrokiem – że złamał nogę przeze mnie... że zaszłam go od tyłu i zepchnęłam ze schodów na podwórko, na bruk, masz mu nie wierzyć. Mogłam to zrobić, jestem na to dość silna. – Tu huknęła w futrynę potężnym ramieniem. – Miałby nauczkę. Ale to kłamstwo!

– On tak nie powie – oświadczyłem. – Ale tak było!

Crawford leżał w wielkiej, ponurej szpitalnej sali, wyglądając tak, jak może wyglądać człowiek przykuty do łóżka przez trzy tygodnie wskutek wielokrotnego złamania nogi w kolanie. Widziałem niemało fizycznych cierpień, nigdy wszakże nie było mi dane oglądać nic równie żalospnego jak widok mego ongiś olśniewającego przyjaciela w takim miejscu, z takiego powodu. Oznajmiłem, że nie zapytam, jak doszło do nieszczęścia; ja to wiedziałem! Rozmawialiśmy przez jakiś czas, aż wreszcie stwierdziłem: – Oczywiście do niej nie wrócisz!

Odwrócił twarz; w tej chwili zjawiała się pielęgniarka i skarciła mnie, mówiąc, że już dość tych rozmów z biednym chorym dżentelmenem.

Oczywiście, wrócił do niej – po bardzo długiej rekonwalescencji. Kalectwo okazało się trwałe; był zmuszony poruszać się bardzo powoli, co bynajmniej nie zwiększyło jego tak zwanej zdolności do pracy. To oznaczało chroniczne ubóstwo, ze wszystkimi skutkami tego stanu. Trwało to przez dziesięć lat, do 185... roku, kiedy pani Crawford zmarła na *delirium tremens*. Nie mogę jednak powiedzieć, że dzięki temu wydarzeniu Crawford odzyskał równowagę ducha; a to z tego znakomitego powodu, że w oczach świata – i moich, nader przecież badawczych – nigdy jej wszak nie utracił.

Epizod międzynarodowy

I

Cztery lata temu, w 1874 roku, dwaj młodzi Anglicy mieli sposobność wybrać się do Stanów Zjednoczonych. Przepłynąwszy Atlantyk w środku lata, przybyli do Nowego Jorku pierwszego dnia sierpnia i od razu dotkliwie odczuli panujący w mieście żar. Zeszli ze statku na nabrzeżu, wsiedli do jednego z owych ogromnych dyliżansów o wysokim zawieszaniu, którymi pasażerowie rozwożeni są do hoteli, po czym mocno wstrząsani na wykrotach i wybojach ruszyli Broadwayem. Nowy Jork latem z pewnością nie przedstawia się z najkorzystniejszej strony, nie jest wszakże pozbawiony cech malowniczych, a nawet olśniewających. Nic nie mogło się bardziej różnić od typowej angielskiej ulicy niż bezkresna aleja, którą posuwali się nasi dwaj podróżni; rozglądając się na boki, widzieli przyjemne ożywienie na trotuarach, barwną, urozmaiconą architekturę, ogromne fasady z białego marmuru, zdobione złoconymi napisami, lśniące w ostrym świetle dnia, wszelkiego typu markizy, szyldy i wstęgi, nadzwyczajną liczbę omnibusów, tramwajów konnych i innych demokratycznych pojazdów, jak również sprzedawców napojów chłodzących, policjantów w białych spodniach i szerokoskrzydłych słomkowych kapeluszach, modne ósóbki, stąpające drobnym kroczkiem po chodnikach – powszechny blask, świeżość i młodzieńczość tak ludzi, jak rzeczy. Rozmawiali niewiele, jednak na Union Square, gdy przejeżdżali obok pomnika Waszyngtona – wręcz w cieniu owego *pater patriae* – jeden z nich powiedział do drugiego:

- To mi wygląda na jakieś szemrane miejsce.
- Faktycznie, dziwne, bardzo dziwne – rzekł drugi, bystrzejszy z natury.
- Szkoda, że jest tak paskudnie gorąco – zauważył po chwili pierwszy.
- Wiesz, że jesteśmy na niskiej szerokości geograficznej – odparł jego przyjaciel.
- Podobno – zgodził się pierwszy.
- Ciekawe – podjął niebawem drugi – czy da się tu wziąć kąpiel.
- Podobno nie – odpowiedział pierwszy.
- Coś podobnego! – zakrzyknął jego kolega.

Musieli przerwać tę ożywioną dyskusję, dyliżans bowiem zajechał pod hotel, wybrany dzięki rekomendacji pewnego Amerykanina, którego poznali na statku i z którym, w samej rzeczy, bardzo się zbliżyli. Ów dżentelmen zaofiarował się odprowadzić ich na miejsce i polecić właścicielowi, niestety, plan spalił na panewce, gdy ich znajomy wypatrzył na nabrzeżu swego „partnera”, który natychmiast zażądał, by wspólnik zajął się pilnymi depezbami, otrzymanymi właśnie z St. Louis. Niemniej młodzi Anglicy, choć uzbrojeni jedynie w prestiż narodowy i wdzięk osobisty, zostali bardzo dobrze przyjęci w hotelu, gdzie panował nastrój pojemnej gościnności. Odkryli, że kąpiel nie jest rzeczą

nieosiągalną; wręcz przeciwnie, uderzyła ich możliwość wielokrotnych, długotrwałych ablucji, dostępna w ich apartamencie. Wykąpali się zatem porządnie – prawdę mówiąc, gruntowniej, niż było im dane kiedykolwiek przedtem – po czym udali się do jadalni, która okazała się przestronną restauracją z szemrzącą pośrodku fontanną, licznymi roślinami w ozdobnych donicach i zastępem francuskich kelnerów. Po długiej morskiej podróży pierwszy obiad na łodzi w każdych okolicznościach jest rzeczą przyjemną, ale sytuacja, w której znaleźli się nasi młodzi Anglicy, miała w sobie coś szczególnie rozkosznego. Obaj, a zwłaszcza starszy z nich – obdarzony, jak wspomniałem, pewną bystrością – byli nadzwyczaj pogodni, bardziej spostrzegawczy, niż mogło się wydawać, i na swój niezbyt wymowny, zwodniczo przypadkowy sposób potrafiący docenić to, co widzą. Mały stolik, przy którym zasiedli, różnił się bardzo od wielkiego rozkołysanego blatu w jadalni na parowcu. Wielkie okna i drzwi restauracji, otwarte na oścież, wychodziły na szeroki trotuar, gdzie pod dużą markizą znajdowały się kolejne rośliny w donicach, dalej rzędy rozłożystych drzew, a za nimi spory cienisty skwer bez ogrodzenia, o wyłożonych marmurem ścieżkach. Ponad morzem bujnej zieloności wznosiły się fasady gmachów z białego marmuru i jasnoczekoladowego kamienia, jakby wyprężone na tle ciemnobłękitnego nieba. Tam, na zewnątrz, pośród słońca, cienia i upału, rozbrzmiewały głośne dzwonki niezliczonych tramwajów oraz nieustanny szelest i szmer tłumy przechodniów, przeważnie młodych kobiet w sukniach w stylu pompadour. Wewnątrz otaczał ich chłód i półmrok, plusk wody, woń kwiatów i kroki kelnerów – jak już wspomniałem, francuskich – bezszelestnie przemykających po dywanach.

– Wiesz, tu jest trochę jak w Paryżu – rzekł młodszy z wędrowców.

– Jak w Paryżu, tylko bardziej – przytaknął jego towarzysz.

– To chyba przez tych francuskich kelnerów – zadumał się pierwszy. – Dlaczego nie mają francuskich kelnerów w Londynie?

– Wyobraź sobie francuskiego kelnera w jakimś klubie – powiedział drugi.

Młodszy Anglik wytrzeszczył trochę oczy, jakby nie potrafił sobie tego wyobrazić. – W Paryżu ciągle trafiam do lokalu, gdzie jest angielski kelner. No wiesz, u tego, jak mu tam, blisko tego, no, jak to się nazywa. Zawsze nasyłają na mnie angielskiego kelnera. Chyba myślą, że nie umiem po francusku.

– Bo nie umiesz. – Starszy młodzieniec rozłożył serwetkę na kolanach.

Jego przyjaciel nie zwrócił na to oświadczenie najmniejszej uwagi. – Słuchaj – podjął po chwili – chyba musimy nauczyć się po amerykańsku. Chyba powinniśmy brać lekcje.

– Ja tam ich nie rozumiem – rzekł bystrzejszy.

– A ten co mówi, u licha? – zapytał jego towarzysz, z zaskoczeniem wskazując na francuskiego kelnera.

– Poleca kraby z miękką skorupą – odparł bystrzejszy.

I tak, wymieniając zdawkowe uwagi na temat osobliwości społeczeństwa, w którym się znaleźli, młodzi mężczyźni przystąpili do obiadu, przy czym zagustowali, jak to się mawia, głównie w napojach chłodzących, których bardzo długą listę wręczyła im obsługa. Po obiedzie wyszli, by przejść się nieśpiesznie po okolicznych ulicach. Zapadł wczesny zmrok późnego lata, lecz nadal było bardzo ciepło. Brytyjscy podróżni czuli, że

chodnik parzy ich nawet przez solidne podeszwy butów; rosące przy krawężniku drzewa wydzielały dziwną, egzotyczną woń. Najpierw zajrzeli na pobliski skwer, dziwny plac bez ogrodzenia, o ścieżkach ułożonych z białych i czarnych marmurowych rombów. Stały tu liczne ławki, na których spoczywali nędznie ubrani ludzie, toteż nasi wędrowcy uznali, całkiem słusznie, że miejsce to niezbyt przypomina Belgrave Square. Za skwerem wznosił się olbrzymi hotel, rozpościerając w upalnej ciemności wielki wachlarz otwartych, rześńście oświetlonych okien. U podstaw owej ludnej struktury rozbrzmiewał wieczny zgiełk powozów konnych; wokół górnych pięter, w wyższych rejonach zmierzchu, złowieszczo huczały komary. Z hotelowego parteru, podobnego do dużej przeźroczystej klatki, padał na ulicę szeroki snop gazowego światła, tworząc jakby ogólnie dostępny aneks dla przechodniów, łapczywie wchłanianych i wyrzucanych na zewnątrz. Wiedzeni ciekawością młodzi Anglicy weszli ze wszystkimi do środka i zobaczyli kilkuset ludzi, którzy, wyciągnawszy nogi, siedzieli na kanapach rozstawionych w rozległym marmurowym holu, podczas gdy kilkudziesięciu innych tłoczyło się w kolejce, jakby do kasy biletowej, przy niezmiernie długim, jaskrawo oświetlonym kontuarze. Ci drudzy, z walizkami w rękach, robili wrażenie przybitych i wyczerpanych; ich ubrania nie były zbyt świeże, oni sami zaś jakby składali tajemniczy hołd dostojnemu młodemu człowiekowi z wypomadowanym wąsikiem i gorsem zdobnym w diamentowe guzy, który od czasu do czasu obrzucał nieobecny spojrzeniem ich cierpliwe zgromadzenie. Byli to amerykańscy obywatele, oddający cześć recepcjoniście.

– Cieszę się, że nie polecił nam się tutaj zatrzymać – rzekł jeden z Anglików, mając na myśli znajomego ze statku, który tyle im naopowiadał. Ruszyli dalej Piątą Aleją, przy której, jak im powiedział, mieszkały najpierwsze rodziny w mieście. Lecz najpierwsze rodziny obecnie przebywały na wsi, więc nasi podróżni mieli tylko przyjemność ujrzeć kilkoro członków drugo-, a może nawet trzeciorzędnych rodzin, którzy zażywali wieczornego powietrza na balkonach i gankach domów przy ulicach odchodzących od okazałej arterii. Skręciwszy w jeden z zaułków, dostrzegli kilka panien w białych sukniach – czarujące osobki – siedzących we wdzięcznych pozach na stopniach koloru czekolady. Tu i ówdzie dziewczęta z jednej strony ulicy wołały coś do dziewcząt siedzących w podobnych pozach i sukienkach przed domami po stronie przeciwnej, i pośród ciepłej nocy gawędziarska tonacja tych okrzyków brzmiała osobiście w uszach młodych Anglików. Raz nawet jeden z nich – młodszy – dał do zrozumienia, że miałby ochotę przyłączyć się do tych łagodnych poufałości; jednakże jego towarzysz zauważył, dość zresztą trafnie, że powinni zachować ostrożność. – Nie możemy zaczynać od popełniania błędów – powiedział.

– Ale on przecież mówił... mówił... – upierał się młodszy, powołując się na znajomego ze statku.

– Nieważne, co on mówił! – warknął jego towarzysz, nie dość, że zdolniejszy, to jeszcze najwyraźniej większy moralista.

Gdy kładli się spać – pragnąc jak najprędzej znów zaznać snu na lądzie, nasi żeglarze wcześniej udali się na spoczynek – nadal panował nieznośny upał; słysząc brzęk komarów w otwartym oknie, można by wręcz uznać, że powietrze skwierczy. – Wiesz,

tego nie da się znieść – rzekli do siebie młodzi Anglicy, po czym przez całą noc rzucali się z boku na bok z większym jeszcze zapalem niż na wzburzonych falach Atlantyku. Rano ich pierwszą myślą było, aby od razu tego samego dnia wsiąść na powrotny statek do Anglii; zaraz jednak wpadli na pomysł, by szukać wytchnienia nieco bliżej. Jaskinia Eola wydała im się ideałem komfortu, zadali więc sobie pytanie, dokąd jeżdżą Amerykanie, gdy pragną ochłody. Nie mieli najmniejszego pojęcia, postanowili zatem zasięgnąć informacji u pana J.L. Westgate’a: takie bowiem nazwisko, skreślone śmiałym charakterem pisma, figurowało na odwrocie koperty, którą młodszy z naszych podróżników starannie przechowywał w swym portfelu. W dolnym lewym rogu, poniżej adresu, widniały słowa: „Polecam Pańskiej szanownej uwadze lorda Lambeth i czcigodnego Percy’ego Beaumonta”. List ów młodzieńcy dostali od dobrego znajomego z Anglii, który dwa lata wcześniej gościł w Ameryce i spośród wielu poznanych tu ludzi wybrał pana J.L. Westgate’a do roli, by tak rzec, odbiorcy swych rodaków. „To kapitalny facet – mówił w Londynie znajomy – i ma okropnie ładną żonę. Jest strasznie gościnnie – zrobi dla was wszystko w świecie; a ponieważ on tam wszystkich zna, nie ma potrzeby, bym was polecał komukolwiek innemu. On was zaprezentuje; gwarantuję, że wprowadzi was w obieg. Ma strasznie ładną żonę”. Nic więc dziwnego, że w godzinie zgryzoty lord Lambeth i pan Percy Beaumont przypomnieli sobie o dżentelmenie, którego atuty opisano im tak znakomicie; tym bardziej że mieszkał przy Piątej Alei, a Piąta Aleja, jak upewnili się wczoraj wieczorem, biegła tuż obok ich hotelu. – Dziesięć do jednego, że nie ma go w mieście – rzekł Percy Beaumont – ale możemy przynajmniej się dowiedzieć, dokąd wyjechał, i natychmiast udać się w ślad za nim. Wiesz, to niemożliwe, żeby tam, gdzie jest, było jeszcze goręcej.

– Istotnie, jest tylko jedno takie miejsce – odparł lord Lambeth – i mam nadzieję, że tam akurat nie pojechał.

Zacienioną stroną ulicy przespacerowali się pod adres wskazany na bezcennym liście. Był to imponujący gmach o fasadzie barwy czekolady, którą zdobiły stiuki, rzeźbione w kwiaty nadokienne gzymsy oraz różane krzewy, pnące się po balkonach i portyku. Do tego ostatniego prowadziły monumentalne stopnie.

– To trochę lepsze aniżeli dom w Londynie – orzekł lord Lambeth, pociągając za dzwonek i patrząc w dół z wysokości.

– Zależy, o czyj dom w Londynie ci chodzi – odciął się jego kompan. – Ty miałbyś szansę zmoknąć, nawet idąc z powozu do drzwi wejściowych!

– Cóż – westchnął lord Lambeth, zerkając w rozżarzone niebo. – Ale chyba tu nieczęsto pada!

Drzwi otworzył im wysoki Murzyn w białej marynarce, który wyszczerzył poufale zęby, kiedy lord Lambeth zapytał o pana Westgate’a:

– Nie ma go w domu, sir; jest w mieście, w swoim biurze.

– Och, w biurze? – powtórzyli goście. – A kiedy będzie w domu?

– Ano, sir, kiedy rano tędy wyjdzie, to pewnie nie pokaże się przez cały dzień.

To brzmiało zniechęcająco; jednak bystry czarny osobnik bez wahania podał im adres pana Westgate’a, który Percy Beaumont zapisał w notesie. Następnie obaj panowie leniwie wrócili do hotelu, posłali po dorożkę i tym pojemnym wehikułem wygodnie

potoczyli się do śródmieścia. Ponownie przemierzili całą długość Broadwayu, który był dla nich jak droga przez piekło; po czym, po skręceniu w lewo, zostali wysadzeni przed jasnym, lekkim, ozdobnym budynkiem wysokości dziesięciu pięter, na ulicy pełnej bystrookich i lekkonogich młodzieńców, którzy bardzo szybko biegali tam i sam, z zapalonymi zaczepiając się wzajemnie na rogach i w bramach. Po wejściu do olśniewającego gmachu jeden z owych młodzieńców – czarujący gość w cudnym kremowym ubraniu i kapeluszu z niebieską wstążką, który wyraźnie dostrzegł, że są bezradni i obcy – zaprowadził ich do niezwykle przytulnej windy hydraulicznej, w której zajęli miejsce wśród wielu innych osób; owa winda, pędząc do góry pionowym szybem, niebawem wyrzuciła ich na poziomie siódmej kondygnacji budynku. Tu, po krótkiej zwłóce, znaleźli się wreszcie twarzą w twarz ze znajomym znajomego z Londynu. Przekazali list i wizytówki, po czym zaczekali w milczeniu w jednym z kilku pomieszczeń, które składały się na jego biuro. List nie należał do tych, które się długo czyta, niemniej pan J.L. Westgate wyszedł do nich nawet szybciej, niż mogli się spodziewać – najwyraźniej z ulgą oderwał się od pracy. Był to wysoki, szczupły osobnik, wystrojony w świeżutką białą koszulę; miał chudą, wyrazistą, jakby skądś znaną twarz, minę przyjazną i rzeczową zarazem, wzrok bystry i badawczy, oraz bujne brązowe wąsy, które zakrywały mu usta i sprawiały, że podbródek pod nimi wydawał się mniejszy. Lord Lambeth uznał, że wygląda nadzwyczaj inteligentnie.

– Jak się pan ma, lordzie Lambeth, i pan, proszę pana? – zapytał pan Westgate z otwartym listem w dłoni. – Bardzo się cieszę, że panów widzę – mam nadzieję, że wszystko dobrze. Proszę wejść, tutaj chyba jest chłodniej. – I ruszył przodem do sąsiedniego pokoju, pełnego dokumentów i książek prawniczych, gdzie okna, osłonięte pasiastymi markizami, były otwarte na oścież. Naprzeciwko, dokładnie na linii wzroku, lord Lambeth dostrzegł wiatrowskaz na kościelnej wieży. W dole, nieskończenie daleko, rozbrzmiewał zgiełk ulicy i lord Lambeth odniósł wrażenie, że unosi się w powietrzu. – Mówię, że tu jest chłodniej – ciągnął gospodarz – ale wszystko jest względne. Jak panowie znoszą ten upał?

– Nie mogę powiedzieć, że się nam podoba – odparł lord Lambeth – ale Beaumont znosi go lepiej.

– Cóż, to nie potrwa długo – oznajmił pan Westgate wesoło. – Tu nic przykrego nie trwa długo. Kiedy kapitan Littledale u nas przebywał, również było gorąco; przez cały czas nic, tylko pił sherry z lodem. W liście wątpi, czy go sobie przypominam, jakbym mógł zapomnieć dzień, kiedy w ciągu dwudziestu minut nalałem mu sześć szklaneczek. Mam nadzieję, że zostawiliście go w dobrym zdrowiu; od tamtej pory minęły przecież dwa lata.

– O tak, czuje się dobrze – odrzekł lord Lambeth.

– Zawsze z wielką przyjemnością widzę waszych rodaków – mówił dalej pan Westgate. – Tak sobie myślałem, że już czas, by ktoś od was się zjawił. Nie dalej niż dwa dni temu pewien mój przyjaciel powiedział: „Przyszła pora na arbuzy i Anglików”.

– Anglicy i arbuzy to w tej chwili prawie jedno i to samo – zauważył Percy Beaumont, ocierając zroszone potem czoło.

– A więc dobrze, umieścimy was na lodzie, jak arbuzy. Musicie pojechać do Newport.

– Pojedziemy gdziekolwiek! – zakrzyknął lord Lambeth.

– Tak, musicie pojechać do Newport, tak właśnie musicie zrobić – potwierdził pan

Westgate. – Zaraz, zaraz, kiedy przybędziecie?

– Zaledwie wczoraj – odparł Percy Beaumont.

– A tak, „Rosją”. Gdzie mieszkać?

– W hotelu „Hannover”, tak się chyba nazywa.

– Dość wygodny?

– Wygląda na kapitalne miejsce, ale nie mogę powiedzieć, byśmy polubili komary – rzekł lord Lambeth.

Pan Westgate spojrział nań uważnie, po czym się roześmiał. – No tak, oczywiście, że nie lubicie komarów. Będziemy oczekiwać, że polubicie tu wiele rzeczy, ale przy komarach się nie upieramy; choć musicie przyznać, że jako komary są całkiem niezłe, co? Ale nie powinniście siedzieć w mieście.

– Też tak sądzimy – zgodził się lord Lambeth. – Więc gdyby pan był łaskaw coś nam podpowiedzieć...

– Coś wam podpowiedzieć, drogi panie? – pan Westgate popatrzył na niego spod zmrużonych powiek. – Proszę zamknąć oczy i otworzyć usta! Zostawcie to mnie, ja to załatwię. To dla mnie kwestia dumy narodowej, żeby wszyscy Anglicy dobrze się bawili; a ponieważ mam znaczną wprawę, nauczyłem się dbać o ich zachcianki. Zresztą na ogół ich zachcianki są słuszne. Więc proszę, zacznijcie się uważać za moją własność; a gdyby ktoś chciał was przejąć, powiedzcie mu, proszę: „Nie dotykać; za późno na targi”. A więc zobaczmy – ciągnął Amerykanin leniwym, rozbawionym tonem, z nienaganną wymową, którą jego goście uznali za element żartobliwej intencji, tonem dziwnie spokojnym i zamyślonym, jak na człowieka najwyraźniej zajętego, zawodowca, jak im się wydawało – a więc zobaczmy; lordzie Lambeth, czy zamierzał pan jakoś wykorzystać ten pobyt?

– Ojej, skąd – odrzekł młody Anglik. – Kuzyn wybierał się tu w interesach, więc ja też się zabrałem, w ostatniej chwili, dla hecy.

– To pańska pierwsza wizyta w Stanach Zjednoczonych?

– Ojej, tak.

– Musiałem tu przyjechać w pewnej sprawie – wtrącił Percy Beaumont – i wziąłem ze sobą Lambetha.

– A pan był tu kiedyś?

– Nigdy... nigdy.

– Sądziłem... skoro wspomniał pan o interesach... – zaciekawiał się pan Westgate.

– Bo widzi pan, jestem kimś w rodzaju prawnika – wyjaśnił Percy Beaumont. – Pewni moi znajomi zastanawiają się, czy nie pozwać waszych kolei do sądu, więc poprosili mnie, żebym tu przyjechał i podjął odpowiednie kroki.

Pan Westgate znów obrzucił ich przenikliwym, przeciągłym spojrzeniem. – A jakie to koleje? – zapytał.

– Tennessee Central.

Amerykanin odchylił się wraz z krzesłem i zamarł na chwilę w tej pozycji. – Cóż, przykro mi, że chcecie zaatakować jedną z naszych instytucji – powiedział

z uśmiechem. – Ale chyba powinniście najpierw się zabawić!

– Z pewnością trochę się obawiam, że w taką pogodę nie będę mógł pracować – wyznał prawnik.

– Zostawcie to tubylcom – oświadczył pan Westgate. – Niech pan zostawi Tennessee Central mnie, panie Beaumont. Któregoś dnia omówimy to sobie; chyba zdołam się z tym uporać. Ale nie sądziłem, że wy, Anglicy z klas wyższych, w ogóle wykonujecie jakąś pracę.

– Och, pracujemy dość dużo, prawda, Lambeth? – zapytał Percy Beaumont.

– Z pewnością muszę wrócić do domu przed dziewiętnastym listopada – oznajmił drugi Anglik, bez związku, lecz z całym spokojem.

– Żeby sobie postrzelać, co? A może zapolować albo powędkować? – dopytywał się wesoły rozmówca.

– Po prostu muszę być w Szkocji – odparł lord Lambeth, czerwieniąc się nieznacznie.

– Cóż – rzekł pan Westgate – w takim razie tym bardziej powinniście się najpierw rozerwać. Musicie pojechać i spotkać się z panią Westgate.

– Z najwyższą radością... gdyby pan był łaskaw wskazać nam pociąg – powiedział Percy Beaumont.

– To nie pociąg, ale statek.

– Ach, rozumiem. A jak się nazywa to... aa... to miasto?

– To nie jest miasto – zaśmiał się pan Westgate. – To... hmm, jak mam to nazwać? To kurort. Jednym słowem, Newport. Sami zobaczycie, co to jest. Jest tam chłodniej, to rzecz główna. Wyświadczyście mi wielką przysługę, jeśli pojedziecie i oddacie się w ręce pani Westgate. Może nie powinienem tego mówić, ale w lepsze ręce nie możecie trafić. Oraz w ręce jej siostry, która też tam przebywa. Bardzo lubi Anglików. Twierdzi, że nikt im nie dorównuje.

– Pani Westgate czy... aa... jej siostra? – zapytał Percy Beaumont niewinnie, niemniej tonem dociekliwego wędrowca.

– Och, mówię o żonie – rzekł pan Westgate. – Nie przypuszczam, by moja szwagierka wiele o was wiedziała. Dotąd wiodła spokojne życie; mieszkała w Bostonie.

Percy Beaumont słuchał z ciekawością. – Zdaje mi się – bąknął – że to bardzo... aa... intelektualne miasto?

– Mam wrażenie, że niezwykle intelektualne. Niezbyt często tam bywam – odparł gospodarz.

– Słuchaj, tam również powinniśmy pojechać – zwrócił się do towarzysza lord Lambeth.

– Ależ, lordzie Lambeth, proszę poczekać, aż skończy się upał! – zaprotestował pan Westgate. – Przy tej pogodzie Boston byłby bardzo męczący; to nie jest temperatura na wysiłek intelektualny. Wiecie, w Bostonie trzeba zdać egzamin na granicy miasta, a przy wyjeździe dają jakby stopień naukowy.

Lord Lambeth wgapił się w niego, lekko czerwieniejąc; Percy Beaumont także nieco wytrzeszczył oczy, choć jego skóra zachowała piękny, naturalny kolor; po chwili wszakże zerknął z ukosa, czy kolega nie dał się nabrać, gdyż wiele słyszał o amerykańskim poczuciu humoru. – Podobno jest tam bardzo ładnie – powiedział

młodszy dżentelmen.

– Podobno tak – potwierdził pan Westgate. – Jednak uświadamiam panom, że na razie, jutro we wczesnych godzinach rannych, będziecie oczekiwani w Newport. Mamy tam dom; połowa Nowego Jorku przenosi się tam na lato. Nie jestem pewien, czy w tej chwili żona zdoła was przyjąć; zaprosiła sporo ludzi; nie wiem, kim są; może nie mieć miejsca. Ale możecie zacząć od hotelu, a poza tym bywać u nas. W ten sposób, tylko śpiąc w hotelu, jakoś to zniesiecie. Resztę dnia będziecie spędzać w naszym domu. Nie powinniście się krępować; byłaby to wielka strata czasu, zważywszy na to, że macie tu być tylko miesiąc. Pani Westgate z pewnością was nie zaniedba, lepiej nie stawiać oporu, wiem coś o tym. Przypuszczam, że w domu znajdziecie też kilka ładnych dziewcząt. Napiszę do żony popołudniową pocztą; jutro będą was wypatrywać z panną Alden. Po prostu wejdźcie i rozgośćcie się. Wasz parowiec odchodzi z tej części miasta; zaraz poślę i zarezerwuję wam kabinę. Zajrzyjcie do mnie tutaj o wpół do piątej, a pójdę z wami i wsadzę was na pokład. To duży statek i moglibyście się zgubić. Za kilka dni, pod koniec tygodnia, przyjadę do Newport i zobaczę, jak sobie radzicie.

Młodzi Anglicy zapoczątkowali politykę niestawiania oporu pani Westgate, potulnie i z wielką wdzięcznością ulegając jej mężowi. Najwyraźniej był z niego przyzwoity gość i zrobił na przyjezdnych jak najlepsze wrażenie; jego gościnność zalecała się tym, że dość świadomie – jakby puszczając po przyjacielsku oko – dawał, z wyczuciem, do zrozumienia, że w żadnym razie nie mogli trafić lepiej. Lord Lambeth i jego kuzyn zostawili więc żartownisia własnym sprawom i wrócili do hotelu, gdzie każdy spędził trzy do czterech godzin w przypisanej mu wannie. Na sugestię Percy’ego Beaumonta, że mogliby obejrzeć trochę miasto, jego arystokratyczny krewniak parsknął tylko: – Och, do diabła z miastem! – Do pana Westgate’a wrócili powozem, z całym bagażem, bardzo punktualnie; należy jednak niechętnie odnotować, że tym razem kazał im czekać na siebie tak długo, iż czuli, że spóźnią się na parowiec i tylko nieśmiałość oraz pogoda ducha powstrzymały ich przed wyrzeczeniem się jego asysty i rzuceniem co sił ku nabrzeżu. Lecz gdy w końcu się zjawił, a powóz zanurzył się w okolice Broadwayu, pchali się i gnali z tak dobrym skutkiem, że gdy dotarli do wielkiego białego statku, jeszcze nie przebrzmiał dzwon pokładowy i trwało przyjmowanie pasażerów. Zgodnie z tym, co mówił pan Westgate, była to istotnie duża jednostka i lekko oszołomieni podróżnicy przyjęli z wdzięcznością jego przewodnictwo po niezliczonych niekończących się korytarzach i pomieszczeniach, które zdawał się znać doskonale i do których bez wyjątku najwyraźniej miał *entrée*. Zaprowadził ich do kabiny – przestronnego apartamentu zdobnego w lampy gazowe, lustra *en pied* i rzeźbione meble – po czym, gdy byli już do głębi przekonani, że parowiec od dawna jest w ruchu i wypłynął na nieznane wody, po których mieli żeglować, ciepło się z nimi pożegnał.

– Cóż, do widzenia, lordzie Lambeth – powiedział. – Do widzenia, panie Percy Beaumont. Mam nadzieję, że miło spędzicie czas. Po prostu dajcie im robić ze sobą, co zechcą. Przyjadę w swoim czasie i zajmę się wami.

Młodzi Anglicy wyszli z kabiny i zajęli się błędzeniem po bezkresnym labiryncie parowca, który wydał im się niezwykłym połączeniem statku i hotelu. Tłoczno tu było od pasażerów, w przeważającej większości dam i bardzo małych dzieci; w wielkich salonach zdobionych złotem i bielą, które pojawiały się jeden po drugim ze zdumiewającą częstością, pod rozkołysanymi gazowymi lampami, w bocznych korytarzykach, gdzie czarni służący płci obojga zbierali się w nastroju filozoficznego próżniactwa, trwał nieustanny ruch; ludzie przemieszczali się tam i z powrotem, głośno i swobodnie wymieniając pozdrowienia. Ostatecznie, za wskazaniem bystrego Murzyna, nasi młodzieńcy udali się na „posiłek”, podawany w cudownej sali, urządzonej jak teatr ze złoconą galerią, na którą wychodziły małe loże, gdzie spora orkiestra grała operowe kawałki, a poniżej ludzie patrzyli w jadłospisy jak w programy. Już samo to wydawało się dostatecznie ciekawe, lecz najprzyjemniej było zasiąść później na zewnątrz, w ciepłej, przewiewnej ciemności, na jednym z wielkich białych pokładów parowca, i w słabym świetle gwiazd wypatrywać płaskiej, tajemniczej linii lądu. Młodzi Anglicy spróbowali amerykańskich cygar – otrzymanych od pana Westgate’a – i wdali się w rozmowę taką jak zazwyczaj, urywaną, pełną przypadkowych przerw, nielogiczności i niedorzecznych wnioskowań; byli jak ludzie, którzy się wspólnie zestarzelili i nauczyli wzajemnie uzupełniać zdania; a zwłaszcza jak ludzie całkowicie świadomi wspólnoty poglądów i punktów widzenia, kiedy pozornie pozbawiona szlifów konwersacja wystarcza jako odwołanie do zasobu skojarzeń, w których świetle wszystko jest w porządku.

– Chyba naprawdę wypływamy w morze! – zauważył Percy Beaumont. – Słowo daję, wracamy do Anglii. Wyprawił nas z powrotem. Prawdziwie wredny typ!

– Przypuszczalnie wszystko jest w porządku – rzekł lord Lambeth. – Chcę zobaczyć te ładne panny w Newport. Pamiętasz, że mówił, iż miejscowość jest na wyspie; a czy wszystkie wyspy nie leżą na morzu?

– Wiesz – podjął po chwili starszy – jeśli jego dom jest równie dobry jak jego cygara, to będzie nam bardzo dobrze.

– Wygląda na przyzwoitego gościa – oznajmił lord Lambeth, jakby ta myśl właśnie przyszła mu do głowy.

– Słuchaj, chyba lepiej stanąć w zajeździe – odezwał się niebawem jego kompan. – Chyba nie podoba mi się to, co mówił o swoim domu. Nie podoba mi się, że mam mieszkać z taką straszną liczbą kobiet.

– Och, mnie to nie przeszkadza – odparł lord Lambeth. Przez chwilę palili w milczeniu. – Masz pojęcie, wyobrażał sobie, że w Anglii nie mamy żadnej pracy! – wykrzyknął wreszcie.

– Pewnie naprawdę wcale tak nie myślał – uspokoił go Percy Beaumont.

– No, pewnie tutaj nie wiedzą zbyt wiele o Anglii! – oświadczył z humorem lord Lambeth. I nastąpiła kolejna długa przerwa. – Był diabelnie grzeczny – podjął młody szlachcic.

– Z pewnością nie sposób być grzeczniejszym – przytaknął kolega.

– Littledale mówił, że z jego żoną jest mnóstwo zabawy – powiedział lord Lambeth.

– Z czyją żoną? Littledale’a?

– Tego Amerykanina, z panią Westgate. Jak on ma na imię? J.L.?

Beaumont milczał przez chwilę. – To, co jest zabawą dla Littledale’a – rzekł w końcu dość sentencjonalnie – dla nas może być śmiercią.

– O co ci chodzi? – zdziwił się jego krewniak. – Jestem tak samo dobry jak Littledale.

– Mój drogi chłopcze, mam nadzieję, że nie zaczniesz flirtować.

– Wszystko mi jedno. Pewnie nie zacznę.

– Z mężatką, jeśli ona ma ochotę, wszystko jest bardzo ładnie – wyłożył Beaumont. –

Ale nasz znajomy wspomniał o pannie, siostrze czy szwagierce. Na litość boską, tylko w nic się nie wikłaj.

– Jak to, nie wikłaj?

– Możesz być pewien, że spróbuje cię złowić.

– A niech to! – wykrzyknął lord Lambeth.

– Amerykańskie dziewczęta są bardzo sprytne – podkreślił jego kompan.

– Tym lepiej – uznał młody człowiek.

– Wydaje mi się, że zawsze knują coś w tym rodzaju – ciągnął Beaumont.

– Nie mogą być gorsze aniżeli w Anglii – rzekł rozsądnie lord Lambeth.

– Ach, ale w Anglii – odparł Beaumont – masz naturalnych obrońców. Masz matkę i siostry.

– Moja matka i siostry... – zaczął młody szlachcic z pewnym ożywieniem, lecz w porę się powstrzymał i zaciągnął cygarem.

– Twoja matka mówiła mi o tym ze łzami w oczach – powiedział Percy Beaumont. – Mówiła, że bardzo się tym denerwuje. Obiecałem, że dopilnuję, byś nie psocił.

– Lepiej sam siebie pilnuj – odciął się obiekt matczynej troski księżnej.

– Ale – rzekł młody prawnik – ja nie mam w perspektywie stu tysięcy rocznie, że nie wspomnę o innych atrakcjach.

– Cóż – oświadczył lord Lambeth – nie martw się na zapas!

Rzeczywiście, w Newport, gdzie naszym wędrowcom wskazano dwie maluteńkie klitki w najdalszym skrzydle wielkiego hotelu, było znacznie chłodniej. Gdy zeszli na ląd, zapadał wczesny letni zmierzch, toteż bezzwłocznie położyli się do łóżek; dzięki tej szczęśliwej okoliczności, a także dlatego, że kilka poprzednich godzin przespali w przestronnej kabinie zdrowym snem młodości, już około jedenastej rano poczuli się rześcy i żądni wrażeń. Za oknami, ponad rzędem zielonych poletek ujętych w ramy niskich grobli z surowego kamienia, rozciągał się pod ciemnoniebieskim niebem ciemnoniebieski ocean, upstrzony tu i ówdzie migotliwymi skrawkami piany. Przez nieosłonięte okienne skrzydło wpadał silny, świeży podmuch, co skłoniło młodych ludzi do spostrzeżenia, nader wielkodusznie, że klimat wygląda tu na całkiem niezły. Kolejnych spostrzeżeń dokonali po wyjściu z pokojów w poszukiwaniu śniadania, które następnie spożyli w ogromnej pustej sali, gdzie dreptała setka Murzynów w białych kurtkach, szurając po gołej podłodze; gdzie wskutek niezmiernej obfitości much stoły i potrawy były osłonięte dziwnymi, obszernymi płachtami szorstkiej błękitnej gazy i gdzie kilkoro zaspanych dziewczynek i chłopców siedziało w wykwintnej samotności

przy porannej uczcie. Te młode osoby zamiast porannych gazet zajęte były leniwym studiowaniem jadłospisu.

Dokument ów stanowił wielką zagadkę dla naszych przyjaciół, którzy stwierdziwszy, że jego zdumiewająca różnorodność odnosi się do samego tylko śniadania, zaczęli niejasno podejrzewać, że karta dań obiadowych ma wymiar zgoła encyklopedyczny. Bardzo zabawny okazał się również hotel – wielka drewniana konstrukcja, której budowa zapewne znacznie przetrzebiła dziewicze lasy Zachodu. Przecinały go na przestrzał ogromne korytarze, w których hulały silne przeciągi, unosząc czarowne postacie dam w obłokach białych porannych sukien i walansjeńskich koronek, zda się, płynących na rozdętych falbanach przez długie pasaże jak anioły z rozpostartymi skrzydłami. Od frontu znajdowała się gigantyczna weranda, gdzie mogłaby rozłożyć się obozem cała armia – rozległy drewniany taras, kryty dachem wysokim jak nawa katedry. Tu nasi młodzieńcy ucieszyli swe oczy widokiem, jak sądzili, amerykańskiego towarzystwa, rozsianego po niezmierzonej przestrzeni drewnianej podłogi w najrozmaitszych pozycjach, w skład którego wchodziły głównie młode panny, wystrojone jak na *fête champêtre*, kołyszące się w bujanych fotelach, wachlujące się dużymi wachlarzami ze słomki, najwyraźniej wolne od codziennych trosk, czego można im było tylko pozazdrościć. Lord Lambeth wymyślił nawet teorię – którą ciekawie byłoby prześledzić do źródeł – że nawiązanie kontaktu z jedną z młodych dam byłoby nie tylko przyjemne, lecz również zupełnie możliwe; jednak jego towarzysz uznał za stosowne powściągnąć gawędziarskie odruchy młodego arystokraty.

– Lepiej uważaj – rzekł Percy Beaumont – bo natkniesz się na urażonego ojca albo brata, który wyciągnie na ciebie traperski nóż.

– Możesz być pewny, że wszystko w porządku – odparł lord Lambeth. – Wiesz, że Amerykanki przyjeżdżają do wielkich hoteli, żeby zawierać znajomości.

– Nic o tym nie wiem i ty również nie – uciął jego krewny, który jako człowiek bystry zaczynał rozumieć, że obserwacja amerykańskiej socjety wymaga przystosowania niektórych standardów.

– Pal to diabli, więc się dowiedzmy! – zakrzyknął lord Lambeth zniecierpliwiony. – Bo wiesz, nie chciałbym niczego przegapić.

– Dowiemy się – uspokoił go Percy Beaumont rozsądnie. – Pójdziemy do pani Westgate i zasięgnemy stosownych informacji.

I tak obaj dociekliwi Anglicy, z adresem owej damy, skreślonym ręką jej męża na wizytówce, zeszli z werandy wielkiego hotelu i podążyli zgodnie ze wskazówkami szeroką prostą drogą wzdłuż rzędu dość nowych willi, wtulonych w gęstwą krzewów i kwiatów i otoczonych wielką różnorodnością pomysłowych drewnianych płotów. Poranek był słoneczny i rześki, wille zgrabne i zaciszne, toteż spacer sprawiał wędrowcom wielką przyjemność. Wszystko wyglądało tak, jakby poprzedniego dnia zostało pociągnięte warstwą świeżej farby – czerwone dachy, zielone okiennice, czyste, jasne frontony domów, brązowe i kremowe. Klomby na małych trawnikach wręcz płonęły w roziskrzonym powietrzu, żwir na krótkich podjazdach błyszczał i migotał. Drogą jechały setki faetonów, przeważnie zajętych przez dwie damy – damy z cugłami w dłoniach, w białych sukienkach i długich białych rękawiczkach, spoglądające na

naszych Anglików, których narodowość nietrudno było określić, przez gęste niebieskie woalki, ciasno owinięte wokół twarzy, jakby chroniły skórę właścicielek. Wreszcie młodzieńcy dotarli do miejsca, skąd widać było morze, i zasięgnąwszy rady ogrodnika za parkanem jednej z willi, skręcili w otwartą bramę. Przed sobą ujrzeli ocean oraz niezwykle malowniczą budowlę, jakby powiększony alpejski *chalet*, przycupnięty na zielonej nadbrzeżnej skarpie. Wokół domu ciągnęła się weranda nadzwyczajnej szerokości, na którą wychodziły liczne otwarte drzwi i okna. Były one bardzo rozmaite, wszystkie wszakże łączyła taka aura gościnnej dostępności, tak radosny furkot lekkich zasłon, tak szerokie progi, tak kojące wnętrza, że nasi przyjaciele, nie bardzo wiedząc, które wejście jest właściwe, po pewnym wahaniu podeszli do jednego z okien. Pokój wewnątrz pogrążony był w mroku, lecz po chwili w soczystym cieniu uformowała się niewyraźna zgrabna sylwetka i jakaś dama wyszła im na powitanie. Wówczas dostrzegli, że siedziała przy stole, zajęta pisaniem, i wstała, gdy usłyszała ich kroki. Podeszła do światła; na jej twarzy, gdy wyciągała rękę do Percy'ego Beaumonta, odmalował się szczery, czarujący uśmiech.

– Och, zapewne lord Lambeth i pan Beaumont! – zawołała. – Mąż mnie powiadomił, że panowie przyjadą. Ogromnie się cieszę, że panów widzę! – I uściśnęła dłonie obu gościom. Byli nieco onieśmieleni, lecz mieli bardzo dobre maniere; odpowiedzieli uśmiechami i okrzykami, przeprosili również za to, że nie rozpoznali drzwi wejściowych. Dama odparła z ożywieniem, że kiedy bardzo chce kogoś zobaczyć, nie upiera się przy takich rozróżnieniach, i że pan Westgate opisał swych angielskich przyjaciół w słowach, które wzbudziły jej prawdziwy niepokój. – Twierdzi, że byliście okropnie wyczerpani – rzekła pani Westgate.

– Och, chodzi pani o ten upał? – spytał Percy Beaumont. – Byliśmy dość wykończeni, ale bardzo nam się poprawiło. Podróż tutaj była taka... aa... przyjemna. To miło, że się pani przejmuje.

– Tak, to bardzo miło z pani strony – potwierdził lord Lambeth.

Pani Westgate wciąż się uśmiechała; wyglądała niezwykle ładnie. – Cóż, istotnie się przejęłam – powiedziała – myślałam nawet dziś rano, czyby nie posłać po panów do Ocean House. Cieszę się bardzo, że lepiej się czujecie, i jestem zachwycona waszym przybyciem. Proszę, może przejdziemy na drugą stronę werandy. – I ruszyła przodem, płynnym, lekkim krokiem, z uśmiechem oglądając się na młodych ludzi.

Druga strona werandy, jak zauważył po chwili lord Lambeth, była niczego sobie. Sporych rozmiarów, z licznymi markizami, wymyślnymi fotelami, poduszkami i pledami, a także z widokiem na ocean kipiący u stóp niskiego klifu, którego płaski grzbiet z gładkim trawnikiem rozciągał się przed domem, stanowiła urocze dopełnienie salonu. I tak była wykorzystywana w obecnej chwili; zajmowało ją siedzące kręgiem towarzystwo, kilka pań i dwóch czy trzech panów, którym pani Westgate zaczęła po kolei przedstawiać znamienitych przybyszów. Bardzo głośno i wyraźnie wymieniła wiele nazwisk; młodzi Anglicy, drepcząc i gnąc się w ukłonach, poczuli się trochę oszołomieni. Ale w końcu wskazano im miejsca – niskie wiklinowe fotele, połączone i przybrane mnóstwem wstążek – a jedna z pań (bardzo młoda osoba o zadartym nosku i dołeczkach na buzi) zaproponowała Percy'emu Beaumontowi wachlarz. Wachlarz także zdobiły

różowe kokardki, lecz Percy Beaumont odmówił, chociaż było mu bardzo gorąco. Niebawem jednak zrobiło się chłodniej; wiatr od morza był przyjemny, widok czarujący, a siedzący wokół ludzie wyglądali niezwykle świeżo i swobodnie. Wśród pań większość stanowiły młode dziewczęta, wśród panów – szczupli jasnowłosi młodzieńcy, jakich nasi przyjaciele oglądali poprzedniego dnia w Nowym Jorku. Panie zajęte były haftowaniem bordiury, a jeden z panów trzymał na kolanach otwartą książkę. Niebawem Beaumont dowiedział się od którejś z pań, że ów młody człowiek czytał im na głos, że pochodził z Bostonu i bardzo lubił czytać na głos. Beaumont odparł, że to wielka szkoda, iż mu przerwali; że bardzo chciałby (po wszystkim, czego się dowiedział) usłyszeć, jak czyta prawdziwy bostończyk. Czy młody człowiek nie dałby się nakłonić do dalszej lektury?

– Och, nie – odrzekła informatorka beztróska – teraz już nie zdołałby zwrócić na siebie uwagi młodych dam.

W nastawieniu wszystkich obecnych, zauważył Beaumont, było coś ogromnie przyjaznego; spoglądali na młodych Anglików z żywą sympatią i zainteresowaniem, uśmiechali się promiennie i jednomyślnie po wszystkich wypowiedziach gości. Lord Lambeth i jego towarzysz poczuli, że są tu bardzo mile widziani. Pani Westgate usiadła między nimi i wiele do nich mówiła, mieli więc sposobność zauważyć, że istotnie jest tak ładna, jak obiecywał ich kolega Littledale. Liczyła latokoło trzydziestu, lecz miała oczy i uśmiech siedemnastoletniej dziewczyny; była niezwykle jasna, zgrabna, wytworna, nieskazitelna. A także niezwykle spontaniczna. Szczera i wylewna, robiła wrażenie, jakby – wpatrując się z zachwytem w rozmówcę swymi młodzieńczymi oczami – wciąż czyniła nagłe wyznania i podejmowała wyzwania, przerywane krótkimi chwilami wahania.

– Spodziewam się, że będziemy często panów widywać – zwróciła się do lorda Lambeth ze swego rodzaju radosną żarliwością. – My bardzo tu lubimy Anglików; to znaczy, polubiliśmy bardzo wielu z nich. Za dzień lub dwa musicie z nami zamieszkać; mam nadzieję, że zostaniecie na długo. Newport to bardzo miłe miejsce, gdy się je naprawdę pozna, gdy się pozna więcej ludzi. Oczywiście, obaj panowie nie będą mieli z tym trudności. Anglicy są bardzo dobrze przyjmowani, prawie zawsze kręci się tu dwóch albo trzech. Wydaje mi się, że zawsze im się tu podoba, i muszę przyznać, że, moim zdaniem, tak być powinno; przecież są nieustannym ośrodkiem zainteresowania! Muszę przyznać, że, moim zdaniem, czasem ich psujemy; ale jestem pewna, że panowie są na to odporni. Mąż mi mówił, że jest pan znajomym kapitana Littledale’a; to taki uroczy człowiek. Był dla nas wszystkich tutaj niezwykle uprzejmy i naprawdę dziwi mnie, że z nami nie został. We własnym kraju nie byłoby mu przyjemniej. Chociaż przypuszczam, że Anglikom jest bardzo przyjemnie w Anglii. Ja sama nic o tym nie wiem; bardzo rzadko tam bywam. Dużo jeżdżę za granicę, ale zwykle na kontynent. Muszę przyznać, że bardzo lubię Paryż, wiedzą panowie, jak to my, Amerykanie; jedziemy do Paryża, kiedy umieramy – słyszał pan to kiedyś? to powiedział wielki kpiarz. To znaczy, oczywiście, dobrzy Amerykanie; ale wszyscy jesteśmy dobrzy, sam pan zobaczy. W Anglii znam tylko Londyn, a w Londynie znam tylko taki sklepik – no, wiecie, na tym rogu, gdzie się kupuje żakiety – no, te z tym prostym szamerunkiem i dużymi guzikami. W Londynie szyją bardzo dobre żakiety, szczerze muszę to przyznać.

Niektórym podobają się tamtejsze kapelusze, ale w kwestii kapeluszy zawsze byłam heretyczką; ja kapelusze zawsze kupuję w Paryżu. Nie można nosić angielskiego kapelusza – przynajmniej ja nie mogę – jeśli nie upnie się włosów *à l'Anglaise*; a muszę przyznać, że jest to talent, którego nigdy nie posiadałam. W Paryżu robią rzeczy dostosowane do szczególnych cech człowieka; a wy w Anglii, moim zdaniem, wolicie, jak by to powiedzieć? zrobić jedną rzecz dla wszystkich. To znaczy, co się tyczy strojów. Nie wiem, jak w innych sprawach, ale zawsze mi się wydawało, że w innych sprawach wszystko też jest inne. To znaczy, stosowne do ludzi – stosowne do klasy i tak dalej. Obawiam się, że panowie uznają, że mój sąd nie jest zbyt korzystny; ale trudno wyrobić sobie korzystną opinię na Dover Street w listopadzie. A taki zawsze był mój los. Znają panowie hotel Jonesa na Dover Street? To wszystko, co wiem o Anglii. Oczywiście, wszyscy są zgodni, że hotele to wasz słaby punkt. I zawsze była okropna mgła; nawet nie widziałam, co przymierzam. Po powrocie do Ameryki, do światła, ubrania zwykle okazywały się dwa razy za duże. Następnym razem zamierzam pojechać w sezonie; chyba pojedę w przyszłym roku. Chciałabym bardzo zabrać siostrę; nigdy nie była w Anglii. Nie wiem, czy panowie wiedzą, co mam na myśli, kiedy mówię, że czasem trochę psujemy przyjeżdżających tu Anglików. Chodzi mi o to, że oni wszystko przyjmują jak rzecz oczywistą – wszystko, co się dla nich robi. Cóż, naturalnie, to normalna kolej rzeczy, kiedy ci Anglicy są bardzo mili. A prawie zawsze są bardzo mili. Z pewnością nasz kraj nie jest tak ciekawy jak Anglia; nie ma tu tyle do oglądania; nie ma takiego życia na wsi jak u was. W ogóle nie znam waszego życia na wsi; gdy bywam w Europie, to zawsze na kontynencie. Ale mnóstwo o nim słyszałam; wiem, że gdy jesteście na wsi, we własnym gronie, to się bawicie wprost cudownie. Oczywiście, u nas tego nie ma, nie w takiej skali. Ja nie przeproszam, lordzie Lambeth; niektórzy Amerykanie zawsze przepraszają, z pewnością pan to zauważył. Mamy opinię ludzi, którzy bez przerwy się przechwalają i wymachują flagą amerykańską; ale ja widzę, że przede wszystkim nieustannie się tłumaczymy i próbujemy coś załagodzić. Amerykańska flaga całkiem wyszła z mody; została bardzo starannie złożona, jak stary obrus. Dlaczego mielibyśmy przeproszać? Anglicy nigdy nie przepraszają, prawda? Nie, przyznaję, że ja nigdy nie przeproszam. Musicie brać nas takich, jacy jesteśmy – ze wszystkimi niedoskonałościami, jakiegokolwiek by były. Oczywiście, u nas nie ma waszego życia na wsi ani waszych starych ruin, ani waszych wielkich posiadłości, ani waszej klasy próżniaczek i tak dalej. Ale ten brak może być dla was przyjemną odmianą, moim zdaniem, przyjemny jest każdy kraj, gdzie ludzie mają przyjemne maniery. Kapitan Littledale mówił, że nigdzie nie widział takich przyjemnych manier jak w Newport; a sporo bywał w europejskim towarzystwie. Czy on nie służył w dyplomacji? Powiedział mi, że marzeniem jego życia jest powołanie na placówkę dyplomatyczną w Waszyngtonie. Ale chyba mu się nie udało. Przypuszczam, że w Anglii awansuje się, i tak dalej, okropnie powoli. Bo u nas, wie pan, dzieje się to o wiele za szybko. Jak pan widzi, śmiało przyznaję się do naszych wad. Jednak muszę także wyznać, że, moim zdaniem, Newport to idealne miejsce. Kapitan Littledale mówił, że nigdzie nic podobnego nie widział. Jest całkiem inne od większości kurortów; życie tutaj jest pełne uroku. Muszę powiedzieć, że, moim zdaniem, kiedy się jedzie do obcego kraju, to należy

polubić różnice. Oczywiście, że różnice istnieją; inaczej po co w ogóle wyjeżdżać za granicę? Niech pan szuka przyjemności w różnicach, lordzie Lambeth; to właściwy sposób; jestem pewna, że wówczas uzna pan towarzystwo w Ameryce, a przynajmniej w Newport, za interesujące. Bardzo żałuję, że nie ma tu mojego męża, ale jest okropnie przykuty do Nowego Jorku. Przypuszczam, że uważa pan to za bardzo dziwne u dżentelmena. Tyle że, widzi pan, u nas nie ma żadnej klasy próżniaczej.

Wypowiedź pani Westgate, wygłaszana miłym, cichym głosem, płynęła niczym miniaturowy potok, przerywana setkami uśmiezków, spojrzeń, gestów, które stanowiły jakby zatory i przeszkody w nurcie strumienia. Lord Lambeth słuchał jej, trzeba przyznać, z pewnym roztargnieniem, choć pozwalał sobie na liczne ciche mruknięcia i okrzyki zgody lub przygany. Jego zdolność pojmowania uogólnień nie była wielka. W rzeczy samej, siłami własnej inteligencji udało mu się wymyślić trzy albo cztery, które w danej chwili wydawały się użyteczne; nie da się jednak powiedzieć, by nadażał za panią Westgate, wdzięcznie pomykającą tam i sam przez morze dywagacji. Na szczęście nieszczególnie oczekiwała replik, zerknęła bowiem z ukosa na resztę towarzystwa i uśmiechała się do Percy'ego Beaumonta po swojej drugiej stronie, jakby on również winien był się z nią zgadzać i dobrze ją rozumieć. Co wychodziło mu znacznie lepiej niż jego towarzyszowi, gdyż nie dość, że, jak wiemy, był z nich dwóch bystrzejszy, to jego uwagi nie rozpraszała bliskość niezwykle interesującej młodej damy o ciemnych włosach i niebieskich oczach. A tak właśnie rzecz się miała w przypadku lorda Lambeth, któremu po jakimś czasie przyszło do głowy, że owa ciemnowłosa, niebieskooka panna to właśnie owa ładna siostra, o której mówiła pani Westgate. Wkrótce dziewczyna zwróciła się do niego ze spostrzeżeniem, które potwierdziło jej tożsamość:

– Bardzo żałuję, że nie mogli panowie wziąć ze sobą mojego szwagra. To wielka szkoda, że musi teraz tkwić w Nowym Jorku.

– O tak, tam jest bardzo gorąco – odparł lord Lambeth.

– Musi być okropnie – rzekła dziewczyna.

– Przypuszczam, że jest bardzo zajęty – zauważył lord Lambeth.

– Dżentelmeni w Ameryce za dużo pracują – potwierdziła dziewczyna.

– Ach tak, czyżby? Przypuszczalnie to lubią.

– Ja tego nie lubię. W ogóle ich nie widuję.

– Ach tak, naprawdę? – zdziwił się lord Lambeth. – Nigdy bym nie przypuszczał.

– Przyjechał pan studiować amerykańskie obyczaje? – zapytała rozmówczyni.

– Ach, nie wiem. Przyjechałem po prostu dla hecy. I nie na długo. – Tu nastąpiła

pauza, po czym lord Lambeth podjął rozmowę: – Ale pan Westgate przyjedzie tutaj, prawda?

– Z pewnością, mam taką nadzieję. Musi nam pomóc zabawiać pana i pana Beaumonta.

Lord Lambeth przyjrzał się jej swymi ładnymi brązowymi oczami.

– Sądzi pani, że przyjechałby z nami, gdybyśmy go namówili?

Szwagierka pana Westgate'a milczała przez chwilę.

– Przypuszczalnie tak – odparła wreszcie.

– Doprawdy! – zawołał młody Anglik. – Był nadzwyczaj uprzejmy dla Beaumonta

i dla mnie.

– To kochany, dobry człowiek – przyznała młoda dama. – I doskonały mąż. Ale wszyscy Amerykanie są tacy – dodała z uśmiechem.

– Doprawdy! – ponownie zakrzyknął lord Lambeth i zadał sobie pytanie, czy wszystkie panie w Ameryce mają taką namiętność do uogólnień jak te dwie.

III

Siedział tam dosyć długo; wiele rozmawiano; wszyscy byli bardzo życzliwi, ożywieni i przyjemni. Każdy z obecnych wcześniej czy później odezwał się do niego, wyraźnie starając się zwracać doń po nazwisku. Przyszło dwoje czy troje kolejnych gości, nastąpiło przesuwanie foteli i zamiana miejsc; panowie wdali się z dwoma Anglikami w osobistą rozmowę, usilnie oferowali gościnę i wyrażali nadzieję, że będą mogli często wyświadczać im jakieś przysługi. Lękali się, że lordowi Lambeth i panu Beaumontowi nie jest w hotelu zbyt wygodnie – nie był on, wedle słów jednego z nich, „przytulny jak te wasze urocze angielskie zajazdy”. W dalszym ciągu dżentelmen ów oznajmił, że, niestety, być może na razie przytulność nie jest w Ameryce tak łatwo dostępna, jak by się chciało; niemniej, ciągnął, na ogół można ją osiągnąć, jeśli się za nią zapłaci; właściwie w Ameryce można obecnie osiągnąć wszystko, jeśli się zapłaci. Amerykańskie życie niewątpliwie staje się coraz bardziej przytulne; robi się coraz bardziej podobne do angielskiego. Na przykład wszystko w Newport jest na wskroś przytulne; lord Lambeth zapewne to zauważył. Ponadto przybysze dali się przekonać, że nie ma wielkiego znaczenia, czy hotel im się podoba, bo wszyscy zapraszają ich do siebie; przeważnie będą mieszkać gdzie indziej; w każdym razie większość czasu spędzą u pani Westgate. Na pewno uznają to za czarujące, bo to najprzyjemniejszy dom w Newport. Szkoda, że pana Westgate’a nigdy nie ma; to człowiek wielkich zdolności – zręczny, bardzo zręczny. Tyra jak koń i zostawia żonę – no, żeby robiła, co jej się podoba. On lubi, kiedy ona się dobrze bawi, a ona najwyraźniej wie, jak to robić. Jest nader błyskotliwa, świetna z niej rozmówczyni. Niektórzy wolą jej siostrę, ale panna Alden jest zupełnie inna; to osoba w zupełnie innym stylu. Niektórzy nawet sądzą, że jest ładniejsza i, niewątpliwie, nie taka bystra jak siostra. Bardziej w stylu bostońskim; długo mieszkała w Bostonie i została bardzo gruntownie wykształcona. Dziewczęta z Bostonu, dawano im do zrozumienia, bardziej przypominają angielskie panny.

Lord Lambeth niebawem miał okazję przekonać się o prawdziwości tego twierdzenia; kiedy bowiem, na wniosek gospodyni, towarzystwo się podniosło, by podejść na skały i popatrzeć na morze, młody Anglik, krocząc przez trawnik, znów znalazł się obok siostry pani Westgate. Choć miała zaledwie dwadzieścia lat, wyraźnie czuła się w obowiązku aktywnie przejawiać gościnność, co zapewne tym bardziej rzucało się w oczy, że z natury wyglądała na osobę spokojną i powściągliwą, pozbawioną towarzyskich talentów swojej siostry. Możliwe, że była trochę za szczupłą i nieco zbyt blada; lecz kiedy szła po trawie z opuszczonymi ramionami i poważnie patrzyła na

morze, a potem, pomimo powagi, bystro zerknęła na lorda Lambeth, ten uznał, że jest co najmniej równie ładna jak pani Westgate, i pomyślał, że jeśli to jest styl bostoński, to styl bostoński jest niezwykle czarujący. Wydała mu się bardzo mądra, wyobrażał sobie, że została starannie wykształcona; lecz jednocześnie robiła wrażenie wdzięcznej i łagodnej. Mimo jednakże owej mądrości, miał uczucie, że zawsze przez chwilę myśli, co powiedzieć; że nie mówi wszystkiego, co jej przyjdzie do głowy; że widząc w nim przybysza z innej części świata, z innego społeczeństwa, próbuje dostosować doń rozmowę. Pozostali goście rozeszli się po skałach; pani Westgate objęła pieczę nad Percym Beaumontem.

– Kapitalne miejsce, co? – zagadnął lord Lambeth. – Bardzo kapitalne, żeby sobie przysiąść.

– Urocze – odparła dziewczyna. – Często tu przesiaduję; są tu rozmaite zakątki, jakby zrobione specjalnie w tym celu.

– Ach! Niektóre, jak mniemam, kazaliście zrobić – rzekł młody człowiek.

Panna Alden popatrzyła nań przeciągle. – Och, nie, nikt tu nic nie robił. To czysta natura.

– Przydałoby się kilka miejsc do siedzenia, wiejskich ławek albo czegoś w tym stylu. Wie pani, naprawdę byłoby kapitalnie trochę tu posiedzieć – ciągnął lord Lambeth.

– Obawiam się, że u nas jest mniej tego niż u was – powiedziała panna po namyśle.

– Pewnie, jak pani wspomniała, odpowiada wam czysta natura. Wie pani, natura tutaj musi być potężna. – I lord Lambeth rozejrzał się wokół.

Pobliskie wybrzeże było bardzo ładne, ale bynajmniej nie potężne, i panna Alden najwyraźniej dojrzała do percepcji tego faktu. – Obawiam się, że uzna pan okolicę za bardzo dziką – zauważyła. – To nie to, co nadmorska sceneria w powieściach Kingsleya.

– Ach, powieści zawsze przesadzają, wie pani – odrzekł lord Lambeth. – Nie wolno kierować się powieściami.

Przeszli kawałek po skałach, po czym przystanęli i zajrzeli do wąskiej szczeliny, z której dochodził osobliwy ryk przyływu. Dźwięk był tak donośny, że nie byli w stanie słyszeć się nawzajem, stali więc przez kilka chwil w milczeniu. Dziewczyna zerkała na towarzysza, przyglądając mu się uważnie, lecz ukradkowo, jak to potrafią kobiety, nawet bardzo młode. A lord Lambeth był wdzięcznym obiektem obserwacji: wysoki, prosty, silny, przystojny, tak jak niektórzy młodzi Anglicy – i tylko młodzi Anglicy – bywają przystojni, o doskonale wykończonych rysach i wyglądzie znamionującym spokój intelektu i łagodny charakter – cechy, które jakby w pewien sposób wynikały ze śmiałego zarysu nosa i podbródka. Przy czym mówiąc, że mina lorda Lambeth wyrażała spokój intelektu, nie chcemy po prostu uprzejmie stwierdzić, że wyglądał głupio. Niewątpliwie nie był to młodzieniec o pobudliwej wyobraźni; nie był, jak sam by przyznał, strasznie bystry; niemniej, mimo swego rodzaju uroczej tępoty lśniącej w jego oku, robił wrażenie do głębi rozsądnego i sprawnego; jego prezencja oznajmiała, że być szlachcicem, sportowcem i w ogóle świetnym gościem to dostatecznie olśniewający zespół cech. Przyznajmy bez dalszej zwłoki – młoda dziewczyna u jego boku uznała go za najprzystojniejszego młodego człowieka, jakiego kiedykolwiek widziała; a wyobraźnia Bessie Alden, przeciwnie niż wyobraźnia jej towarzysza, należała do

pobudliwych. Chociaż on już także doszedł do wniosku, że ona jest niezwykle ładna.

– Przypuszczam, że jest tu bardzo wesoło, że urządzacie mnóstwo balów i przyjęć – powiedział, albowiem, choć nie był strasznie bystry, to chlubił się pewną umiejętnością zabawiania pań rozmową.

– O tak, sporo się tu dzieje – odparła Bessie Alden. – Balów nie jest zbyt wiele, ale za to dużo innych rzeczy. Sam pan zobaczy; żyjemy jakby w środku tego wszystkiego.

– To miło, że pani tak mówi. Ale sądziłem, że wy, Amerykanie, bez przerwy tańczycie.

– Pewnie tańczymy dość dużo; ale sama niewiele z tych tańców widziałam. W każdym razie niezbyt często tańczymy latem. I jestem pewna – dodała – że nie mamy tylu balów, co wy w Anglii.

– Doprawdy! – wykrzyknął lord Lambeth. – Ach, w Anglii to wszystko zależy, wie pani.

– Nasze rozrywki nie będą dla pana niczym wielkim – rzekła panna, obrzucając go spojrzeniem pytającym i stanowczym zarazem, bardzo dla niej charakterystycznym. Pytanie wydawało się szczere, a stanowczość figlarna; w każdym razie mieszanka była czarująca. – U nas te rzeczy nie są takie świetne jak w Anglii.

– Mam wrażenie, że nie mówi pani poważnie – odparł ze śmiechem lord Lambeth.

– Zapewniam pana, że wszystko mówię poważnie – oświadczyła dziewczyna. – Z pewnością, wnosząc z tego, co czytałam, angielskie społeczeństwo bardzo się różni od naszego.

– Ach, wie pani, te sprawy często opisują ludzie, którzy nic o nich nie wiedzą. Nie powinna się pani przejmować tym, co czyta.

– Och, ależ będę się przejmować! – zawołała Bessie Alden. – Kiedy czytam Thackeraya czy George Eliot, jakże mam się nie przejmować?

– No, tak... Thackeray... George Eliot... – zająknął się młody szlachcic. – Niewiele ich czytałem.

– Pana zdaniem, nie wiedzieli nic o społeczeństwie? – zapytała Bessie Alden.

– Och, przypuszczam, że wiedzieli; byli bardzo mądrzy. Ale te modne powieści – ciągnął lord Lambeth – to okropne brednie, wie pani.

Towarzyszka na chwilę zwróciła nań swe szafirowe oczy, po czym spojrzała w dół, w kipieli wodną. – Mówi pan o pani Gore, na przykład? – zapytała w końcu, podnosząc wzrok.

– Obawiam się, że jej też nie czytałem – brzmiała odpowiedź młodzieńca, który zaśmiał się i trochę zaczerwienił. – Obawiam się, że nieszczególny ze mnie intelektualista.

– Lektura pani Gore bynajmniej nie dowodzi intelektu. Ale lubię czytać wszystko, co dotyczy życia w Anglii, nawet marne książki. Jestem go bardzo ciekawa.

– Damy na ogół są ciekawe, prawda? – zażartował młody człowiek.

Ale Bessie Alden najwyraźniej chciała odpowiedzieć poważnie na jego pytanie. – Nie sądzę... sądzę, że jesteśmy nie dość ciekawe... że wiele rzeczy nas nie obchodzi. Więc tym bardziej jest to komplement – dodała – że tak bardzo chcę się dowiedzieć czegoś o Anglii.

Rozumowanie wydawało się nieco naciągane, lecz lordowi Lambeth, który wyczuł pochlebstwo, przysłała w sukurs naturalna skromność.

– Jestem pewien, że wie pani znacznie więcej niż ja.

– Chyba naprawdę dużo wiem, jak na osobę, która nigdy tam nie była.

– Naprawdę nigdy tam pani nie była? – zawołał lord Lambeth. – Coś takiego!

– Nigdy; tylko w wyobraźni.

– Coś takiego! – powtórzył młody człowiek. – Ale przypuszczalnie wkrótce się pani wybierze, prawda?

– To marzenie mego życia! – oświadczyła z uśmiechem Bessie Alden.

– Jednak pani siostra najwyraźniej wie strasznie dużo o Londynie – ciągnął lord Lambeth.

Dziewczyna milczała przez chwilę. – Moja siostra i ja to całkiem różne osoby – rzekła w końcu. – Ona sporo bywała w Europie. Kilka razy była w Anglii. Poznała bardzo wielu Anglików.

– Ale pani chyba też kilku poznała – zauważył lord Lambeth.

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek z nimi rozmawiała. O ile wiem, jest pan pierwszym Anglikiem, z którym mówię.

Bessie Alden wygłosiła to zdanie z pewną powagą – lordowi Lambeth wydało się, że wręcz z naciskiem. Przy próbach nacisku zawsze czuł się niezręcznie, toteż roześmiał się tylko i machnął laską. – Ach, z pewnością by pani o tym wiedziała! – zawołał. I natychmiast dodał: – Przykro mi, że ze mnie taki marny okaz.

Panna odwróciła wzrok, lecz uśmiechnęła się, odkładając nacisk na bok. – Musi pan pamiętać, że stanowi pan zaledwie początek – odparła. Po czym zawróciła na trawnik, gdzie ujrzeli zbliżającą się panią Westgate, nadal z Percym Beaumontem u boku. – Może w przyszłym roku pojedę do Anglii – podjęła panna Alden. – Naprawdę ogromnie bym chciała. Siostra wybiera się do Europy i zaprosiła mnie, bym się z nią wybrała. Jeżeli pojedziemy, zmuszę ją, abyśmy jak najdłużej zostały w Londynie.

– Ach, musicie przyjechać w lipcu – powiedział lord Lambeth. – Wtedy najwięcej się dzieje.

– Nie sądzę, bym mogła czekać do lipca – odparła dziewczyna. – Będę się niecierpliwić już od pierwszego maja. – Podeszli kilka kroków w stronę pani Westgate i jej towarzysza. – Kitty – oznajmiła panna Alden – podałam do wiadomości, że w przyszłym roku w maju jedziemy do Londynu. Więc proszę, zachowuj się odpowiednio.

Percy Beaumont wyglądał na poruszonego, a nawet nieco rozdrażnionego. W żadnym razie nie był tak przystojny jak jego kuzyn, choć pod nieobecność tego ostatniego mógł uchodzić za uderzający okaz wysokiego, muskularnego, brodatego, czystookiego Anglika. Akurat teraz w czystych oczach Beaumonta, skądinąd małych i jasnoszarych, migotał pewien niepokój; zerknął na mówiącą Bessie Alden, po czym zatrzymał spojrzenie na krewniaku. Tymczasem aż nadto śliczne oczy pani Westgate objęły wszystkich jednakowo.

– Lepiej poczekać, aż przyjdzie odpowiednia pora – zwróciła się do siostry. – Być może w maju nie będzie ci tak zależało na Londynie. Pan Beaumont i ja odbyliśmy

nadzwyczajną dyskusję. Nie zgadzamy się w żadnej sprawie. To absolutnie zachwycające.

– Percy, coś podobnego! – zakrzyknął lord Lambeth.

– Nie zgadzam się – rzekł Beaumont, przyglądając ciemne włosy – tak dalece, że wręcz nie uważam tego za zachwycające.

– Och, coś podobnego!

– Nie widzę nic zachwycającego w tym, że nie zgadzam się z panią Westgate – powtórzył Percy Beaumont.

– A ja tak! – oświadczyła pani Westgate i zwracając się do siostry, rzekła: – Wiesz, że musisz jechać do miasta? Faeton czeka. Powinnaś zabrać lorda Lambeth.

W tym momencie Percy Beaumont z całą pewnością spojrzał wprost na krewniaka, usiłując złowić jego wzrok. Lecz lord Lambeth nie patrzył na niego, gdyż oczy miał zajęte czym innym. – Z najwyższym zadowoleniem! – zawołała Bessie Alden. – Chcę tylko zajrzeć do kilku sklepów. Ale zawiozę pana i pokażę panu miasto.

– Szanująca się Amerykanka – zwróciła się pani Westgate do Beaumonta swoim pogodnym, wyjaśniającym tonem – póki żyje, każdego dnia musi coś kupić. Jeśli nie może tego zrobić osobiście, winna wysłać w tym celu jakiegoś członka rodziny. A zatem Bessie wyrusza, by wywiązać się z mojej misji.

Dziewczyna, z lordem Lambeth u boku, oddaliła się, wciąż zajęta rozmową; Percy Beaumont odprowadził ich wzrokiem w stronę domu. – Wywiązuje się z własnej misji – rzekł po chwili – jako bardzo pociągająca młoda dama.

– Nie wiem, czy nazwałabym ją pociągającą – odparła pani Westgate. – Nie tyle jest pociągająca, ile urocza, gdy się ją naprawdę pozna. Jest bardzo nieśmiała.

– Ach, doprawdy? – rzekł Percy Beaumont.

– Niezwykle nieśmiała – powtórzyła pani Westgate. – Ale to kochana, dobra dziewczyna; to wdzięczny gatunek dziewczyny. W żadnym razie nie jest flirciarą; to ani trochę nie jej styl; w tych sprawach nie zna nawet abecadła. Jest bardzo prosta, bardzo poważna. Długo mieszkała w Bostonie z inną moją siostrą – najstarszą – która wyszła za bostończyka. Jest bardzo wykształcona, całkiem inaczej niż ja; ja w ogóle nie jestem wykształcona. Mnóstwo się uczyła i wszystko czytała; jest, jak to mówią w Bostonie, „myśląca”.

Ze też Lambeth znalazł sobie taką dziwną dziewczynę! – zadumał się w duchu krewny jego lordowskiej mości.

– Naprawdę sędzę – ciągnęła pani Westgate – że najbardziej urocza dziewczyna na świecie to połączenie bostońskiej nadbudowy z nowojorską bazą; a może nowojorskiej nadbudowy z bostońską bazą. Taka mikstura, w każdym razie – oznajmiła pani Westgate, po czym udzieliła Percy’emu Beaumontowi jeszcze bardzo wielu informacji.

Lord Lambeth zasiadł wraz z Bessie Alden w małym koszowym faetonie, a następnie dziewczyna zawiozła go długą aleją – którą lord przemierzył pieszo kilka godzin temu – do starożytnego Newport, jak je nazywano w tej części świata. Starożytne miasto było tworem dość dziwacznym: składało się ze świeżo odnowionych drewnianych domków pomalowanych na biało, rozsianych na zboczu wzgórza, a także skupionych wzdłuż długiej, prostej ulicy, wybrukowanej ogromnymi kamieniami. Znajdowało się tu

mnóstwo sklepów, przeważnie, jak się zdawało, kramów z owocami, przed którymi piętrzyły się stosy melonów i dyń; niezliczone faetony stały przy wejściach do sklepów lub podskakiwały na bruku, każdy z ładunkiem pań, wystrojonych według najnowszej mody, które słały sobie pozdrowienia z powozu do powozu lub gawędziły na skraju trotuaru w sposób, który Lambethowi wydał się dość wylewny, z dużą liczbą zawołań „kochanie!” oraz drobnych okrzyków i pieszczot. Jego towarzyszka odwiedziła siedemnaście sklepów – policzył je dla zabawy – i zgromadziła na podłodze faetonu taki stos pakunków, że młody Anglik ledwie znalazł miejsce, by postawić nogi. Ponieważ nie miała stangreta ani lokaja, musiał tkwić w powozie i pilnować kuców; z tej pozycji wszakże, choć nie był szczególnie spostrzegawczy, dostrzegł wiele zajmujących rzeczy, a zwłaszcza wspomniane już damy, które z pewną bezcelową koncentracją wędrowały tam i z powrotem, jakby wypatrując, co by tu jeszcze kupić, i które wsiadały do powozów i znów z nich wysiadały, pokazując nader zgrabne stópki. Wszystko to lord Lambeth uznał za bardzo dziwne, barwne i wesołe. I oczywiście, przed powrotem do willi, wymienił z Bessie Alden wiele zdawkowych uwag.

Zarówno ten, jak i wiele kolejnych dni młodzi Anglicy spędzili, jak to mówią Francuzi, w *intimité* swych nowych przyjaciółek. Zgodzili się, że było wręcz kapitalnie – że nigdy nie zaznali nic przyjemniejszego. Nie zamierzam tu szczegółowo relacjonować ich pobytu na owym uroczym wybrzeżu, chociaż w razie potrzeby mógłbym przedstawić zapis wrażeń, wcale nie mniej rozkosznych przez to, że nie poddano ich wyczerpującej analizie. Wiele z nich wciąż trwa w myślach naszych młodych podróżnych wraz z szeregiem harmonijnych obrazów – słonecznych poranków na trawnikach i werandach z widokiem na morze; niezliczonych ładnych dziewcząt; niekończącego się lenistwa, śmiechów, rozmów, flirtów, obiadów i kolacji; powszechnej życzliwości i otwartości; spotkań, na których znali wszystkich i wszystko, co dawało im nadzwyczajne poczucie swobody; popołudniowych przejażdżek powozem i konno po lśniących plażach i długich nadmorskich traktach, pod niebem płonącym cudownym blaskiem zachodu; podwieczorków po powrocie, swobodnych, nieregularnych, przyjemnych; wieczorów przy otwartych oknach i na wszechobecnych werandach pod letnimi gwiazdami nad ciepłym Atlantykiem. Młodzi Anglicy byli wszystkim przedstawieni, przez wszystkich podejmowani, ze wszystkimi blisko. Po trzech dniach zabrali z hotelu bagaże i przenieśli się do pani Westgate – temu posunięciu Percy Beaumont z początku sumiennie się sprzeciwiał. Nazywam jego sprzeciw sumiennym, gdyż wynikał on z rozmowy, którą Percy odbył z Bessie Alden od razu drugiego dnia. W samej rzeczy, przeprowadził z nią wiele rozmów, nie zawsze bowiem – w sensie dosłownym – pogrążona była w konwersacji z lordem Lambeth. Dużo rozmyślał o tym, co pani Westgate powiedziała mu na temat siostry, również na własną rękę odkrył, że młoda dama jest bystra i najwyraźniej niezwykle czytana. Robiła wrażenie bardzo miłej, chociaż wbrew opinii pani Westgate nie dostrzegł w niej nieśmiałości. Jeżeli istotnie była nieśmiała, to radziła sobie bardzo dobrze.

– Panie Beaumont – zagadnęła Bessie – proszę mi opowiedzieć o rodzinie lorda Lambeth. Jak to mówicie w Anglii? O jego pozycji.

– Jego pozycji? – powtórzył Percy Beaumont.

– Randze, czy jak to nazywacie. Niestety, inaczej niż bohaterowie Thackeraya, nie mamy tutaj *Księgi parów*.

– To wielka szkoda – rzekł Beaumont. – Tam byłoby wszystko jasno wyłożone, znacznie lepiej, niż ja mógłbym to zrobić.

– A więc lord Lambeth to wielki pan?

– O tak, wielki pan.

– Par Anglii?

– Prawie.

– I oprócz tytułu lorda Lambeth ma jeszcze inne?

– Nosi tytuł markiza Lambeth – odparł Beaumont, po czym zamilkł; Bessie Alden wpatrywała się weń z ciekawością. – A także jest synem księcia Bayswater – dodał w końcu.

– Najstarszym?

– Jedynym.

– A jego rodzice żyją?

– O tak; gdyby jego ojciec nie żył, to on byłby księciem.

– Więc po śmierci ojca – ciągnęła Bessie Alden bardziej prostolinijnie, niż można by oczekiwać po tak bystrej osobie – zostanie księciem Bayswater?

– Oczywiście – odrzekł Percy Beaumont. – Ale jego ojciec cieszy się doskonałym zdrowiem.

– A jego matka?

Beaumont uśmiechnął się lekko. – Księżna jest niezwykle żwawa.

– Ma jakieś siostry?

– Owszem, dwie.

– Jak się nazywają?

– Jedna z nich jest zamężna. To hrabina Pimlico.

– A druga?

– Druga nie ma męża; to pospolita lady Julia.

Bessie Alden wpatrywała się weń przez chwilę. – Jest bardzo pospolita?

Beaumont znów zaczął się śmiać. – Zapewne uznałaby pani, że nie dorównuje urodą bratu – skwitował; lecz właśnie ta rozmowa sprawiła, że podjął próbę namówienia dziedzica księcia Bayswater, by nie przyjmował zaproszenia pani Westgate. – Możesz być pewny – ostrzegł – ta dziewczyna zagięła na ciebie parol.

– Wydaje mi się, że dokładasz starań, by zrobić ze mnie idiotę – odpowiedział skromnie młody szlachcic.

– Wypytywała mnie o twoich bliskich i o twój majątek.

– Z pewnością to bardzo miło z jej strony! – oznajmił lord Lambeth.

– No, cóż – westchnął jego przyjaciel – skoro się do nich udajesz, to przynajmniej zrób to z otwartymi oczami.

– Niech diabli porwą oczy! – wybuchnął lord Lambeth. – Jak już człowiek musi bywać w tym domu dziesięć razy dziennie, to znacznie wygodniej jest tam nocować! Mam dość wędrówek tam i z powrotem tą przekłętą aleją!

Skoro postanowił się przenieść, Percy'emu Beaumontowi oczywiście byłoby bardzo

przykro puścić go samego; jako człowiek sumienny pamiętał o przyrzeczeniu danym księżnej. Niewątpliwie wspomnienie owego przyrzeczenia skłoniło go kilka dni później, by oznajmić koledze, że jest trochę zdziwiony, iż ten tak polubił dziewczynę.

– Po pierwsze – zapytał lord Lambeth – skąd wiesz, jak bardzo ją lubię? A po drugie, dlaczego miałbym jej nie lubić?

– Nie wydawało mi się, że jest w twoim typie.

– Co nazywasz „moim typem”? Chyba nie sądzisz, że jest „zepsuta”?

– Otóż to. Pani Westgate mówi, że w Ameryce nie istnieje nic takiego jak „zepsuta dziewczyna”; że to angielski wymysł, określenie, które nie ma tu zastosowania.

– Tym lepiej. To zwierzę, którego nie znoszę.

– Wolisz sawantki?

– Tak nazywasz pannę Alden?

– Jej siostra mówi – rzekł Percy Beaumont – że nadzwyczajnie dużo czyta.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Z pewnością jest bardzo bystra.

– Cóż – rzucił Beaumont – byłbym przypuszczał, że uznasz coś takiego za okropną nudę.

– Tak się składa – uciął lord Lambeth – że uważam to za niezwykle pełne życia.

Po tej rozmowie Percy Beaumont postanowił trzymać język za zębami; ale dziesiątego sierpnia napisał do księżnej Bayswater. Był, jak już powiedziałem, człowiekiem sumiennym i miał silne, niezniszczalne wycucie życiowych konwenansów. Tymczasem jego krewniak prowadził niezliczone rozmowy z Bessie Alden: na czerwonych morskich skałach za trawnikiem; podczas długich przejażdżek po wyspie i powrotów o świetlistym zmierzchu; na szerokiej werandzie późnym wieczorem. Lord Lambeth bywał gościem w wielu dworach, ale nigdy przedtem nie mieszkał w domu, gdzie młody mężczyzna mógł tak często konwersować z młodą damą. A młoda dama nie prosiła już Percy’ego Beaumonta o informacje na temat jego lordowskiej mości. Zwracała się bezpośrednio do młodego szlachcica i zadawała mu mnóstwo pytań, które czasem nawet trochę go nudziły; nie znajdował bowiem przyjemności w mówieniu o sobie.

– Lordzie Lambeth – zapytała Bessie Alden – pan jest dziedzicznym prawodawcą?

– Och, słowo daję – zawołał lord Lambeth – proszę mnie nie zmuszać, bym się określał takimi wyrazami.

– Ale jest pan członkiem parlamentu – rzekła panna.

– Ta nazwa też mi się nie podoba.

– Czyż pański ojciec nie zasiada w Izbie Lordów? – ciągnęła nieubłaganie Bessie Alden.

– Bardzo rzadko.

– To ważne stanowisko?

– Mój Boże, nie.

– Wydaje mi się, że to nadzwyczajne – powiedziała Bessie Alden – urodzić się z możliwością stanowienia prawa dla wielkiego narodu po prostu zrządzeniem losu.

– Ach, ale nie stanowi się prawa. To wielka blaga.

– Ja w to nie wierzę – oświadczyła dziewczyna. – To musi być wielki zaszczyt i moim zdaniem, gdyby potraktować go we właściwy sposób, z wysokiej perspektywy, byłby

bardzo inspirujący.

– Im mniej się o nim myśli, tym lepiej – upierał się lord Lambeth.

– Myślę, że to niebywałe – rzekła Bessie Alden; a przy następnej okazji zapragnęła się dowiedzieć, czy ma jakichś dzierżawców. Wówczas, jak już wspomniałem, lord Lambeth poczuł się lekko znudzony.

– Chce pani wykupić ich dzierżawy? – zapytał.

– Tak... a ma pan jakieś prebendy? – dopytywała się.

– Och, słowo daję! – zakrzyknął. – Zna pani jakiegoś duchownego, który szuka posady? – Jednak zmusiła go, by jej powiedział, że posiada zamek; przyznał się tylko do jednego. Tam się urodził i wychował, z dawnych czasów miał do niego upodobanie, toteż dał się skołować i opisał to miejsce trochę, określając jako naprawdę bardzo świetne. Bessie Alden słuchała z wielką ciekawością, po czym oświadczyła, że dałaby wszystko, by zobaczyć coś takiego. Na co lord Lambeth odparł:

– Byłoby okropnie miło z pani strony, gdyby zechciała pani kiedyś tam pomieszkać. – Czerpał niejasne zadowolenie z faktu, że Percy Beaumont nie słyszał, jak wygłasza zdanie, które właśnie odnotowałem.

Przez cały ten czas pan Westgate, jak mawiano w Newport, „nie zjechał”. Jego żona nieraz zapowiadała, że spodziewa się go nazajutrz rano; ale rano zastawał ją krążącą po domu z depezą w upierścienionych palcach i narzekającą, jakie to dokuczliwe, że interesy zatrzymują go w mieście i że ma jedynie nadzieję, iż Anglicy dobrze się bawią. – Muszę powiedzieć – prychała – że jeśli nawet tak jest, to nie jego zasługa! – Następnie zaś, kontynuując powolny spacer, dzięki któremu jej świetnie ułożone spódnice mogły się zaprezentować jak najkorzystniej, wyjaśniała, że niestety, w Ameryce nie ma klasy próżniaczej. Lord Lambeth wysunął teorię, którą śmiało przedstawiał sam na sam z przyjacielem, że Percy Beaumont doskonale się bawi z panią Westgate i że spotykając się pod pretekstem ożywionych dyskusji, oboje pozwalają sobie na praktyki, które utyskiwaniom owej damy na nieobecność męża nadają lekki odcień obłudy.

– Zapewniam cię, że bez przerwy dyskutujemy i miewamy różne zdania – protestował Beaumont. – Ona ogromnie lubi się sprzeczać. Amerykańskim damom w żadnym razie nie przeszkadza, że ci się sprzeciwiają. Daję słowo, chyba dotąd żadna kobieta tak mnie nie traktowała. Jest tak diabelnie pewna swego.

Jednakże pewność pani Westgate wyraźnie miała swoje zalety, gdyż Beaumont nie odstępował jej na krok. Pewnego dnia co prawda oderwał się do tego stopnia, że pojechał do Nowego Jorku, by obgadać z panem Westgate'em sprawę Tennessee Central, lecz nie było go tylko czterdzieści osiem godzin, podczas których z pomocą pana Westgate'a zdołał całkowicie załatwić interes. – Rzeczywiście w Nowym Jorku załatwiają sprawy błyskawicznie – zwierzył się kuzynowi; i dodał, że pan Westgate chyba musiał się niepokoić, że jego żona zatekni za gościem, tak pośpiesznie odesłał go z powrotem. – Obawiam się, że nigdy nie dorównasz amerykańskim mężom, jeśli ich żony mają takie oczekiwania – rzekł do lorda Lambeth.

Lecz pani Westgate niedługo cieszyła się rozrywką, jaką pragnął jej zapewnić wyrozumiały mąż. Dwudziestego pierwszego sierpnia lord Lambeth otrzymał od matki

depeszę z prośbą, by natychmiast wracał do Anglii; jego ojciec zachorował i synowska powinność nakazywała stawić się u jego boku.

Młody Anglik wyraźnie się rozżłościł. – Co to znaczy, u licha? – indagował krewniaka. – Co ja mam teraz zrobić?

Percy Beaumont również był rozżłoszczony; jak już pisałem, uznał za swój obowiązek powiadomić księżną, nie spodziewał się jednak, że owa znamienita dama tak szybko zareaguje na doniesienie. – To znaczy – odpowiedział – że twój ojciec położył się do łóżka. Przypuszczalnie to nic poważnego; ale nie masz wyjścia. Wsiądź na pierwszy parowiec i się nie denerwuj.

Lord Lambeth pożegnał się ze wszystkimi, lecz tylko kilka ostatnich słów, jakie wymienił z Bessie Alden, znajdzie miejsce w naszej relacji. – Oczywiście, nie muszę zapewniać – powiedział – że jeśli pani przyjedzie do Anglii w przyszłym roku, spodziewam się, że będę pierwszą osobą, którą pani powiadomi.

Bessie Alden zerknęła nań z uśmiechem. – Och, jeżeli będziemy w Londynie – odparła – pan z pewnością o tym usłyszy.

Percy Beaumont wracał z kuzynem; wiedziony poczuciem lojalności pewnego bezwietrznego popołudnia na środku Atlantyku wyznał lordowi Lambeth, że podejrzewa, iż depesza księżnej była częściowo skutkiem czegoś, co do niej napisał. – Napisałem jej – a wyraźnie cię uprzedzałem, że przyrzekłem to zrobić – że jesteś niezmiernie zainteresowany pewną amerykańską dziewczyną.

Lord Lambeth wielce się rozgniewał i przez kilka chwil pozwalał sobie na prosty, niezyczliwy język. Lecz, jak już wspomniałem, był rozsądnym młodzieńcem, czego najlepszym dowodem niech będzie fakt, że po półgodzinie zwrócił się do krewniaka: – Koniec końców miałeś całkowitą rację. Jestem nią bardzo zainteresowany. Jednakże – dodał – gwoli uczciwości wypadało również napisać mojej matce, że ona mną, poważnie, zainteresowana nie jest.

– Nie ma nic bardziej uroczego – zaśmiał się Percy Beaumont – niż skromność u młodego człowieka w twoim położeniu. Ta przemowa to kapitalny dowód, że czujesz do niej miętę.

– Nie jest zainteresowana... nie jest! – powtórzył lord Lambeth z naciskiem.

– Mój drogi – rzekł jego towarzysz – naprawdę nieźle cię wzięło.

IV

W samej rzeczy, jak rzekłby Percy Beaumont, osiemnastego maja pani Westgate zesłała ze statku na brytyjski ląd. Towarzyszyła jej siostra, lecz poza tym nikt z rodziny. Do braku męża pani Westgate była jednakże przyzwyczajona; już pół tuzina razy podróżowała bez niego do Europy i dociekliwym znajomym z tej strony Atlantyku tłumaczyła jego nieobecność, przywołując pożałowania godny, niemniej rzucający się w oczy fakt, że w Ameryce nie ma klasy próżniaczej.

Obie damy dotarły do Londynu i zatrzymały się w hotelu Jonesa, gdzie pani

Westgate, która za poprzednich bytności zrobiła na personelu nader korzystne wrażenie, została powitana zgoła uniżenie. Bessie Alden była mocno podniecona przyjazdem do Anglii; spodziewała się, że „skojarzenia” będą urocze i że z przyjemnością zatrzyma wzrok na wszystkich tych rzeczach, o których czytała u historyków i poetów. Bardzo lubiła historyków i poetów, malowniczość, przeszłość, oddalenie w czasie, pamiątki i echa dawnej świetności; toteż wkraczając do wielkiego świata Anglii, w którym obcość i bliskość szły ręką w rękę, była gotowa na mnóstwo nowych doznań. I wkrótce się zaczęły – owe ciepłe, trzepotliwe uczucia, rozbudzone przez piękno angielskiego krajobrazu, którego ciemną bujność ożywiała i ubarwiała pora roku; gładkie pola i kwietne szpalery ujrzone z okna pociągu; wieże wiejskich kościółków wyzierające zza obsiadłych przez gawrony wierzchołków drzew; parki usiane dębami, stare domostwa, chmurne światło, mowa, maniery, tysiączne różnice. Pani Westgate, której wrażenia, rzecz jasna, nie miały już takiej świeżości i ostrości, przyjmowała wykrzykniki i zachwyty swojej siostry z pewnym roztargnieniem.

– Wiecie, radość, jaką sprawia mi Anglia, nie jest taka intelektualna jak u Bessie – zwierzała się kilkorgu przyjaciółom podczas pobytu w owym kraju. – A przecież, mimo że nie jest intelektualna, to nie mogę również nazwać jej fizyczną. Właściwie nie całkiem umiem powiedzieć, jaka jest ta moja radość z Anglii.

Gdy już raz zostało ustalone, że obie panie wybiorą się za granicę i w drodze na kontynent spędzą kilka tygodni w Anglii, naturalnie wymieniły sporo uwag o swoich znajomych z Londynu.

– Z pewnością przyjemniej, że mamy tam przyjaciół – rzekła pewnego dnia Bessie Alden na zalanym słońcem pokładzie parowca, siedząc u stóp siostry na dużym niebieskim dywanie.

– Kogo masz na myśli, mówiąc o przyjaciółach? – zapytała pani Westgate.

– Wszystkich tych angielskich dżentelmenów, których poznałaś i podejmowałaś. Na przykład kapitana Littledale’a. I lorda Lambeth, i pana Beaumonta.

– Oczekujesz, że urządują nam huczne przyjęcie?

Bessie myślała przez chwilę; jak wiemy, była uzależniona od myślenia. – No, tak.

– Moje biedne, słodkie dziecko! – szepnęła jej siostra.

– Co takiego głupiego powiedziałam? – zdziwiła się Bessie.

– Jesteś trochę zbyt prosta; tylko trochę. Bardzo ci z tym do twarzy, ale ludzie bawią się twoim kosztem.

– Z pewnością jestem zbyt prosta, by zrozumieć, co mówisz – odcięła się Bessie.

– Opowiedzieć ci pewną historię? – zapytała siostra.

– Skoro jesteś tak dobra. Tak się właśnie robi, żeby zabawić prosty lud.

Pani Westgate poszperała w pamięci, podczas gdy jej towarzyszka wpatrywała się w migotliwe morze. – Słyszałaś kiedyś o księciu Green-Erin?

– Chyba nie – odparła Bessie.

– Cóż, to bez znaczenia.

– To dowód mojej prostoty.

– Moja historia ma ilustrować raczej prostotę cudzą – rzekła pani Westgate. – Księżę Green-Erin to, jak mawiają w Anglii, wielki pan; jakieś pięć lat temu przyjechał do

Ameryki. Większość czasu spędził w Nowym Jorku, a będąc w Nowym Jorku, całymi dniami i nocami przesiadywał u Butterworthów. Słyszałaś przynajmniej o Butterworthach? *Bien*. Robili dla niego, co się dało – wychodzili ze skóry. Wydali dla niego tuzin przyjęć i balów; sprawili, że zaproszono go na pięćdziesiąt innych. Z początku miał zwyczaj zjawiać się w loży pani Butterworth w operze ubrany w tweedowy podróżny garnitur, ale ktoś położył temu kres. W każdym razie bawił się wspaniale; rozstali się w najlepszych stosunkach. Mijają dwa lata, Butterworthowie udają się za granicę i przyjeżdżają do Londynu. I od razu czytają we wszystkich gazetach – w Anglii takie rzeczy są na pierwszych stronach – że księżę Green-Erin zjechał do miasta na sezon. Odczekują jakiś czas, po czym pan Butterworth, jak zawsze uprzejmy, idzie do niego i zostawia wizytówkę. Znowu trochę czekają; rewizyty nie ma; czekają trzy tygodnie – *silence de mort* – księżę nie daje znaku życia. Butterworthowie widują mnóstwo ludzi, uznają księcia Green-Erin za niewdzięcznego gburę i puszczają go w niepamięć. Pewnego pięknego dnia udają się na wyścigi w Ascot i spotykają się z nim twarzą w twarz. On gapi się na nich przez chwilę, podchodzi do pana Butterwortha i wyjmując coś z portfela – okazuje się, że banknot. „Cieszę się, że pana widzę, panie Butterworth – powiada – bo mogę panu zwrócić dziesięć funtów, które przegrałem do pana w Nowym Jorku. Zauważyłem onegdaj, że pan pamięta o naszym zakładzie; tu jest dziesięć funtów, panie Butterworth. Żegnam, panie Butterworth”. Po czym odszedł i tyle widzieli księcia Green-Erin.

– I to jest twoja historia? – zapytała Bessie Alden.

– Ciekawa, nie sądzisz? – odparła siostra.

– Nie wierzę w nią – oświadczyła dziewczyna.

– Ach! – zawołała pani Westgate. – Jednak nie jesteś taka prosta! Wierz sobie albo nie, jak chcesz; ale nie ma dymu bez ognia.

– Spodziewasz się – zagadnęła Bessie po chwili – że twoi znajomi też potraktują cię w ten sposób?

– Niechby spróbowali źle mnie potraktować; nie dam im okazji! W takim przypadku nie mogą być zbyt nieuprzejmi, nawet przy najlepszych chęciach.

Bessie Alden milczała. – Nie pojmuję – rzekła w końcu – jaki masz powód, by tak mówić. Anglicy to wielki naród.

– Otóż to; i właśnie w ten sposób stali się wielcy, porzucają cię, gdy przestajesz być użyteczna. Ludzie mówią, że nie są zbyt mądrzy; ale ja sądzę, że są bardzo mądrzy.

– Sama wiesz, że ich polubiłaś... polubiłaś wszystkich Anglików, których poznałaś.

– Słuszniej byłoby powiedzieć, że oni mnie lubili – odcięła się jej siostra. – I oczywiście, człowiek to lubi.

Bessie Alden przez pewien czas studiowała morską zieleń. – Cóż – powiedziała wreszcie – zamierzam ich lubić bez względu na to, czy oni mnie polubią, czy nie. Na szczęście – dodała – lord Lambeth nie jest mi winien dziesięciu funtów.

Przez kilka dni po przyjeździe do hotelu Jonesa nasze urocze Amerykanki były ogromnie zajęte tym, co nazwałyby rozglądaniem się. Znalazły sposobność, by dokonać wielu zakupów, lecz okazje do rozmów miały jedynie takie, jakich dostarczali im pełni szacunku londyńscy sklepikarze. Bessie Alden już w drodze ze stacji nabrała

nadzwyczajnego upodobania do brytyjskiej metropolii; ryzykując, że wyjdzie na pannę o pospolitych gustach, musimy odnotować, że przez dłuższy czas nic nie sprawiało jej większej przyjemności aniżeli przejażdżka dorożką po zatłoczonych ulicach. Jej uważne oczy dopatrywały się na nich dziwnego, malowniczego życia – co najmniej poniżej godności naszej kronikarskiej muzy jest wyliczenie wszystkich drobnych przedmiotów i zdarzeń, które wydawały się zabawne prostej młodej damie z Bostonu. Można wszakże swobodnie wspomnieć, że kiedy odbywszy wizyty na Bond lub Regent Street, wracały z siostrą do hotelu Jonesa, zawsze gorąco prosiła, by dorożkarz wybrał drogę obok Westminster Abbey. Zaczęła od pytania, czy nie istnieje możliwość, by w drodze powrotnej do hotelu zwiedzić również Tower, lecz tak się złożyło, że pani Westgate kiedyś, na wcześniejszym etapie swego rozwoju kulturalnego, odwiedziła już ów czcigodny zabytek, który zawsze odtąd odruchowo opisywała jako okropne rozczarowanie; toteż wyrażała najżywszą dezaprobatę dla wszelkich prób łączenia historycznych eksploracji z zakupem szczotek do włosów i papieru listowego. W tym zakresie mogła się co najwyżej zgodzić na pół godziny u Madame Tussaud, gdzie obejrzała przykurzone woskowe figury członków rodziny królewskiej. Oznajmiła Bessie, że jeśli ta życzy sobie zwiedzić Tower, musi znaleźć kogoś innego, kto ją zabierze, co słysząc, Bessie wyraziła szczerzy zamiar udania się tam samodzielnie; jednak i na tę propozycję pani Westgate wylała kilka kropel zimnej wody.

– Pamiętaj – rzekła – że nie jesteś w swoim niewinnym Bostonku. To coś więcej niż przechadzka tam i z powrotem Beacon Street. – Po czym wyjaśniła, że w Europie istnieją dwie klasy amerykańskich dziewcząt: te, które chodzą same po mieście, i te, które tego nie robią. – A tak się składa, moja droga – oznajmiła siostrze – że ty należysz do klasy, która tego nie robi.

– Ale tylko dlatego – zaśmiała się Bessie – iż tak się składa, że ty mi zabraniasz. – I prywatnie poświęciła wiele czasu kwestii odwiedzenia londyńskiej Tower.

Nagle zaczęło się wydawać, że problem dałby się rozwiązać, wizytę w hotelu złożył bowiem obu paniom niejaki Willie Woodley. Takie nazwisko nosił młody Amerykanin, który wypłynął z Nowego Jorku kilka dni po nich i który, mając przyjemność obcowania z nimi w owym mieście, po przybyciu do Londynu bezzwłocznie przyszedł złożyć swoje uszanowanie. W samej rzeczy, odwiedził je zaraz po wizycie u swego krawca; trudno o większy przejaw skwapliwości u młodego Amerykanina, który przed chwilą zagościł w hotelu „Charing Cross”. Był to szczupły, bladej młodzińca o życzliwym usposobieniu, słynny ze sposobu, w jaki prowadził „niemieckiego” kotyliona w Nowym Jorku. Damy, które zazwyczaj brały udział w tej modnej rozrywce, uważały go za „najlepszego tancerza na świecie”; w takich słowach zawsze o nim mówiono, tak określano jego tożsamość. Trudno o łagodniejszego, delikatniejszego młodzieńca; przepięknie się ubierał – „w stylu angielskim” – i mnóstwo wiedział o Londynie. Zeszłego lata, kiedy nasi Anglicy bawili w Newport, on również tam był i czerpał najwyższą przyjemność z towarzystwa Bessie Alden, do której zawsze zwracał się „panno Bessie”. A zatem panna Bessie natychmiast, w obecności siostry, umówiła się z nim, że zaprowadzi ją na miejsce egzekucji lady Jane Grey.

– Możecie robić, co wam się podoba – oświadczyła pani Westgate. – Tyle że, dla

waszej informacji, tutaj nie jest przyjęte, żeby młode damy włóczyły się po Londynie w męskim towarzystwie.

– Panna Bessie tak często tańczyła ze mną walca – wtrącił Willie Woodley – że z pewnością może przejechać się ze mną fiakrem.

– Uważam, że walc to najniewinniejsza z rozrywek naszych czasów – rzekła pani Westgate.

– Cóż za komplement dla naszych czasów! – wykrzyknął młody człowiek z mimowolnym śmiechem.

– Nie rozumiem, dlaczego miałabym oglądać się na to, co tutaj wypada robić – zaprotestowała Bessie Alden. – Dlaczego miałabym ulegać ograniczeniom społeczeństwa, którego przywilejów nie jest mi dane zaznać?

– A to dobre... to bardzo dobre – mruknął Willie Woodley.

– Och, więc idźcie sobie do Tower i zakosztujcie topora, skoro tak bardzo chcecie! – zawołała pani Westgate. – Zgadzam się, żebyś poszła z panem Woodleyem; ale nie pozwoliłabym ci iść z żadnym Anglikiem.

– Panna Bessie nie miałaby ochoty iść z Anglikiem! – oświadczył pan Woodley z lekkim zacietrzewieniem, niezbyt chyba zaskakującym u młodzieńca, który ubierając się w stylu, jaki opisałem, i wiedząc, co również napisałem, mnóstwo o Londynie, nie widział powodu, by czynić tak ostre rozróżnienia. Po czym umówił się z panną Bessie na konkretny dzień, jeszcze w tym samym tygodniu.

Przebieglejszy umysł być może dopatrzyłby się związku między wzmianką dziewczyny o przywilejach społecznych i pytaniem, które nazajutrz zadała siostrze przy lunchu.

– Nie zamierzasz napisać do... do nikogo?

– Dziś rano napisałam do kapitana Littledale'a – odparła pani Westgate.

– Przecież pan Woodley mówił, że kapitan Littledale wyjechał do Indii.

– Mówił, że wydaje mu się, że o tym słyszał; ale nie wiedział nic pewnego.

Bessie Alden milczała przez jakiś czas, lecz w końcu znów zagadnęła:

– Więc nie zamierzasz napisać do... do pana Beaumonta?

– Chodzi ci o lorda Lambeth – stwierdziła siostra.

– Wspomniałam o panu Beaumoncie, bo byliście tacy zaprzyjaźnieni.

Pani Westgate utkwiała w Bessie szczerze siostrzane spojrzenie. – Pan Beaumont guzik mnie obchodzi.

– Bez wątpienia byłaś dla niego bardzo miła.

– Dla wszystkich jestem miła – odparła z prostotą pani Westgate.

– Dla wszystkich oprócz mnie – odcięła się z uśmiechem dziewczyna.

Siostra wpatrzyła się w nią badawczo: – Jesteś zakochana w lordzie Lambeth?

Dziewczyna spojrzała na nią w osłupieniu; najwyraźniej pytanie było zbyt niepoważne, by zaszczycić je choćby rumieńcem. – Nic mi o tym nie wiadomo – oznajmiła.

– Bo jeżeli tak – ciągnęła pani Westgate – to z pewnością po niego nie poślę.

– To dowodzi, że miałam rację – zaśmiała się Bessie. – Nie jesteś dla mnie miła.

– Wyświadczyłabym ci niedźwiedzią przysługę, moje dziecko – rzekła siostra.

– W jakim sensie? Nie słyszałam, by lordowi Lambeth coś zarzucano.

Pani Westgate milczała przez chwilę. – A więc j e s t e ś w nim zakochana?

Bessie znów wlepiła w nią wzrok, ale tym razem trochę się zaczerwieniła. – Ach, skoro nie chcesz być poważna, nie wspomnimy o nim więcej.

Przez jakiś czas nie wspominały zatem o lordzie Lambeth, dopiero pani Westgate wróciła do tego tematu. – Oczywiście zawiadomię go, że tu jesteśmy; wydaje mi się, że mógłby się poczuć urażony, i całkiem słusznie, gdybyśmy wyjechały, nie widząc się z nim. Przyzwoitość nakazuje dać mu szansę osobistego podziękowania za okazaną życzliwość. Ale nie chciałabym wyjść na zbyt natarczywą.

– Ani ja – zaśmiała się lekko Bessie.

– Chociaż przyznaję – dodała jej siostra – że jestem ciekawa, jak się zachowa.

– W Newport zachowywał się bardzo dobrze.

– Newport to nie Londyn. W Newport mógł robić, co chciał; tutaj to inna sprawa.

Musi brać pod uwagę konsekwencje.

– Jeżeli w Newport miał więcej swobody – zaprotestowała Bessie – to fakt, że się dobrze zachowywał, doskonale o nim świadczy; skoro więc tutaj musi być ostrożny, możliwe, że zachowa się jeszcze lepiej.

– Lepiej... lepiej – zamyśliła się siostra. – Drogie dziecko, właściwie jak ty się na to zapatrujesz?

– Jak to... zapatruję?

– Nie obchodzi cię lord Lambeth? Ani trochę?

Tym razem Bessie Alden naprawdę się rozgniewała; odwróciła twarz i powoli wstała od stołu. – Bądź tak uprzejma i nie mów w ten sposób.

Pani Westgate przez kilka chwil bez słowa przyglądała się dziewczynie, która wolno przemierzyła pokój i stanęła przy oknie. – Napiszę do niego dziś po południu – rzekła wreszcie.

– Rób, co chcesz! – wykrzyknęła Bessie, po czym odwróciła się raptownie. – Nie boję się przyznać, że lubię lorda Lambeth. Bardzo go lubię.

– Nie jest inteligentny – oświadczyła pani Westgate.

– Cóż, skoro istnieją ludzie inteligentni, których nie lubię, to chyba wolno mi polubić kogoś głupiego. A poza tym lord Lambeth wcale nie jest głupi.

– Nie taki głupi, na jakiego wygląda? – uśmiechnęła się jej siostra.

– Gdybym, jak twierdzisz, naprawdę była zakochana w lordzie Lambeth, to obrażając go, popełniłabyś spory błąd strategiczny.

– Nie ucz mnie strategii, drogie dziecko! – zawołała pani Westgate. – Moja strategia jest bardzo głęboka.

Dziewczyna znów okrążyła pokój i wreszcie zatrzymała się przed siostrą. – Jeszcze nigdy w ciągu pięciu minut nie słyszałam tylu aluzji i insynuacji. Chciałabym, żebyś prostą angielszczyzną wyraźnie powiedziała, o co ci chodzi.

– Chodzi mi o to, że bardzo się zdenerwujesz.

– To wciąż tylko aluzja.

Siostra spojrzała na nią i zawahała się. – Ludzie będą mówić – oznajmiła po chwili – że przyjechałaś tu za lordem Lambeth... że go ścigasz.

Bessie Alden potrząsnęła śliczną główką jak spłoszona łania i zmieniła się na twarzy

tak gwałtownie, że pani Westgate aż wstała z krzesła.

– Kto mógłby powiedzieć coś takiego?

– Tutejsze towarzystwo.

– Nie wierzę – oświadczyła Bessie.

– Bardzo wygodnie mieć taką umiejętność zaprzeczania. Ale jak już wspomniałam, moja strategia jest bardzo głęboka. Zamierzam pozwolić, byś odkryła wszystko samodzielnie.

Bessie zwróciła oczy na siostrę i pani Westgate odniosła chwilowe wrażenie, że dostrzega w nich łyzy. – Tak właśnie tutaj mówią? – zapytała dziewczyna.

– Zobaczysz. Zostawiam cię w spokoju.

– Nie zostawiaj mnie – szepnęła Bessie Alden. – Zabierz mnie stąd.

– Nie; chcę zobaczyć, jak sobie z tym poradzisz – ciągnęła jej siostra.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz po wizycie lorda Lambeth – rzekła pani Westgate z cichym śmieszkiem.

Panie umówiły się, że tego popołudnia Willie Woodley zabierze je do Hyde Parku; Bessie Alden oczekiwała, że siedząc na zielonym krzeselku pod wielkimi drzewami przy Rotten Row, rozerwie się wprost nadzwyczajnie. Dotychczas, wskutek braku stosownej męskiej eskorty, nie mogła dostąpić upragnionej przyjemności, a mało kto nadawał się do tego lepiej niż oddany młody rodak, o którym niemalże dałoby się powiedzieć, że jego życiowym powołaniem było znajdowanie damom krzeseł, i który zjawił się dokładnie o wpół do szóstej z białą kamelią w butonierce.

– Moja droga, napisałam do lorda Lambeth – oznajmiła pani Westgate po wejściu do pokoju, gdzie jej siostra, wciągając długie szare rękawiczki, zabawiała gościa.

Bessie milczała, lecz Willie Woodley zawołał, że jego lordowska mość jest w mieście; widział jego nazwisko w „Morning Post”.

– Czytuje pan „Morning Post”? – zapytała pani Westgate.

– O tak; to świetna zabawa – przyznał Willie Woodley.

– Chciałabym zobaczyć tę gazetę – rzekła Bessie. – Często pojawia się u Thackeraya.

– Będę ją pani przysyłać co rano – obiecał Willie Woodley.

Miejsca, które dla nich znalazł, Bessie Alden uznała za znakomite: pod starymi drzewami przy sławnej alei, której nastroje, dzięki ilustracjom w „Punchu”, poznała już w dzieciństwie. Dzień był słoneczny i ciepły, tłum jeźdźców i gapiów – stosownie gęsty, wielki orszak powozów – odpowiednio barwny. Scena miała wszelkie atrybuty londyńskiego sezonu w samym szczycie i Bessie Alden uznała ją za bardziej zajmującą, niż potrafiłaby to przekazać swym towarzyszom. Siedziała w milczeniu, osłonięta parasolką, pozwalając wyobraźni myszkować do woli w rojnym, zmiennym zbiorowisku uderzająco dziwacznych postaci. Ich widok wzniecił w jej głowie chmury dawnych wrażeń i osądów; zdała sobie sprawę, że dopasowuje pewną historię do jednej osoby, pewną teorię do innej, a następnie umieszcza je wszystkie w swoim małym prywatnym muzeum ludzkich typów. Choć jednak sama mówiła niewiele, jej siostra i Willie Woodley, między którymi siedziała, z najwyższym ożywieniem wymieniali opinie.

– Spójrzcie na tę zieloną suknię z niebieską falbaną – wykrzyknęła pani Westgate. – *Quelle toilette!*

– Widzę markiza Blackborough – rzekł młody człowiek – to ten w białym surducie. Słyszałem, jak któregoś wieczora przemawiał w Izbie Lordów; mówił coś o wyciorach, nazywał je „wycioły”. Straszny z niego elegant.

– Widzieliście kiedyś coś takiego, jak te upięte z tyłu suknie? – podjęła pani Westgate. – Nigdy nie wiedzą, gdzie się zatrzymać.

– Nic nie robią, tylko się zatrzymują – zakpił Willie Woodley. – Ten fason uniemożliwia chodzenie. A oto i wielka osobistość: lady Beatrice Bellevue. Strasznie jest prędką, patrzcie, jakie małe kroczyki stawia.

– I co, moja droga? – ciągnęła pani Westgate. – Spodziewam się, że masz jakieś pomysły dla swojej krawcowej.

– Mam mnóstwo pomysłów – odcięła się Bessie – ale wątpię, by moja krawcowa je doceniła.

Niebawem Willie Woodley zauważył jadącego konno znajomego, który zbliżył się do bariery przy ścieżce i skinął mu ręką. Młodzieniec ruszył ku niemu, wtopił się w tłum przechodniów i na dobre dziesięć minut zniknął paniom z oczu. Gdy znów się pojawił, wiódł ze sobą dżentelmena, którego Bessie z początku wzięła za owego znajomego, już bez konia. Lecz spojrzawszy ponownie, odkryła, że ma przed sobą lorda Lambeth, który właśnie witał się z jej siostrą.

– Znalazłem go tam – oznajmił Willie Woodley – i powiedziałem, że jesteście tutaj.

Lord Lambeth lekko dotknął kapelusza i uściśnął dłoń Bessie. – Coś podobnego, panie tutaj? – Był uśmiechnięty i zarumieniony, wyglądał niezwykle przystojnie, roztaczał pewien splendor, którego nie miał w Ameryce. Jak wiemy, Bessie Alden uruchomiła już wyobraźnię; młody Anglik, który stał i patrzył na nią z góry, odczuł jej dobroczynne skutki. Jest przystojniejszy i świetniejszy niż ktokolwiek, kogo dotąd widziałam – orzekła w duchu. Po czym przypomniała sobie, że on jest markizem, i pomyślała, że istotnie wygląda jak markiz.

– No coś takiego! – wykrzyknął. – Powinny panie dać człowiekowi znać!

– Godzinę temu napisałam do pana – wyjaśniła pani Westgate.

– Czyż cały świat o tym nie wie? – zapytała Bessie z uśmiechem.

– Zapewniam, że nie wiedziałem! – zawołał lord Lambeth. – Na honor, nic nie słyszałem. Proszę, zapytajcie Woodleya; nie słyszałem o tym, prawda?

– Cóż, sądzę, że jesteś niezły blagier – rzekł Willie Woodley.

– Pani w to nie wierzy, prawda, panno Alden? – zatroskał się jego lordowska mość. – Pani nie wierzy, że jestem blagier, co?

– Nie – odparła Bessie. – Nie wierzę.

– Pan jest za wysoki, żeby stać, lordzie Lambeth – oznajmiła pani Westgate. – Można pana znieść tylko wtedy, gdy pan siedzi. Niech pan będzie tak dobry i przyniesie sobie krzesło.

Lambeth znalazł krzesło i ustawił je bokiem, blisko obu pań. – Gdybym nie spotkał Woodleya, nigdy bym pań nie znalazł – podjął. – Prawda, Woodley?

– No, chyba nie – przyznał Amerykanin.

– Pomimo mojego listu? – zdziwiła się pani Westgate.

– Ach, no ale jeszcze nie dostałem pani listu; pewnie przyjdzie wieczorem. Strasznie miło z pani strony, że pani napisała.

– Tak właśnie powiedziałam Bessie – zauważyła pani Westgate.

– Naprawdę tak powiedziała, panno Alden? – zapytał lord Lambeth. – Pewnie jesteście tutaj już od miesiąca.

– Od trzech – rzekła pani Westgate.

– Jesteście tu od trzech miesięcy? – zwrócił się lord Lambeth do Bessie.

– Wydaje mi się, że bardzo długo – odparła dziewczyna.

– Słowo daję, po czymś takim lepiej nie nazywać mnie blagierem! – zakrzyknął lord Lambeth. – Jestem w mieście już trzy tygodnie, ale panie się gdzieś ukrywały. Nigdzie pań nie widziałem.

– A gdzie chciał pan nas widzieć? Gdzie powinniśmy były pójść? – zapytała pani Westgate.

– Trzeba było pojechać do Hurlingham – wtrącił Willie Woodley.

– Nie, niech lord Lambeth sam powie – upierała się pani Westgate.

– Jest wiele miejsc, do których można pojechać – rzekł lord Lambeth – jedno głupsze od drugiego. Mam na myśli domy różnych ludzi; wciąż przysyłają zaproszenia.

– Nam nikt nie przysyłał zaproszeń – powiedziała Bessie.

– Jesteśmy bardzo ciche – ogłosiła pani Westgate – jesteśmy tu jako podróżne.

– Byłyśmy w Muzeum Madame Tussaud – podjęła Bessie.

– Coś podobnego! – zawołał lord Lambeth.

– Sądziłyśmy, że znajdziemy pańską podobiznę – rzekła pani Westgate – pańską i pana Beaumonta.

– W komnacie okropności? – zaśmiał się młody człowiek.

– Bardzo udatnie zastępowała przyjęcie – ciągnęła pani Westgate. – Wszystkie damy miały dekolty, a wiele figur wyglądało, jakby mogły przemówić, gdyby się postarały.

– Słowo daję – westchnął lord Lambeth – na przyjęciach w Londynie widuje się ludzi, którzy nie przemówią, choćby nie wiem jak się starali!

– Sądzi pan, że pan Woodley mógłby dla nas odszukać pana Beaumonta? – zagadnęła

pani Westgate.

Lord Lambeth rozejrzał się wokół. – Przypuszczam, że tak. Beaumont często tu przychodzi. Nie uważasz, Woodley, że mógłbyś go znaleźć? Daj no nura w ten tłum.

– Dziękuję; mam dość nurkowania – odciął się Willie Woodley. – Poczekam, aż pan Beaumont sam wypłynie na powierzchnię.

– Przyprowadzę go paniom – obiecał lord Lambeth. – Gdzie panie mieszkają?

– W hotelu Jonesa; znajdzie pan adres w moim liście.

– Ach, w jednej z tych bud przy Piccadilly? Okropna nora, co? – zapytał lord Lambeth.

– Sądzę, że to najlepszy hotel w Londynie – zaproponowała pani Westgate.

– Ale dają do jedzenia straszne paskudztwa, prawda? – upierał się lord Lambeth.

– Tak – przyznała pani Westgate.

– Zawsze żał mi ludzi, którzy przyjeżdżają do miasta i zatrzymują się w takich miejscach – ciągnął młodzieniec. – Jedzą samą truciznę.

– Och, słowo daję! – zawołał Willie Woodley.

– A więc, panno Alden, jak się pani podoba w Londynie? – zapytał lord Lambeth, nie zwracając na ten okrzyk najmniejszej uwagi.

– Uważam, że jest wspaniały – zapewniła Bessie Alden.

– Mojej siostrze podoba się mimo trucizny! – zaśmiała się pani Westgate.

– Mam nadzieję, że długo pani tutaj zostanie.

– Tak długo, jak będę mogła – obiecała Bessie.

– A gdzie jest pan Westgate? – zapytał lord Lambeth żonę owego dżentelmena.

– Tam gdzie zawsze, w nieznośnym Nowym Jorku.

– Musi być okropnie mądry – rzekł młodzieniec.

– Chyba tak – przytaknęła pani Westgate.

Lord Lambeth siedział z amerykańskimi przyjaciółkami prawie godzinę; nie jest wszakże naszym celem relacjonowanie całej ich rozmowy. Wiele uwag kierował do Bessie Alden, aż wreszcie zaczął zwracać się wyłącznie do niej, Willie Woodley tymczasem zabawiał panią Westgate. Sama Bessie mówiła niewiele; miała się na baczności, pomna tego, co usłyszała od siostry przy lunchu. Jednakże, podobnie jak w Newport, stopniowo znów zainteresowała się lordem Lambeth, co więcej, zaczęła odnosić wrażenie, że mógłby zainteresować ją jeszcze bardziej. Nieświadomie stanowił składnik starożytności, dostojeństwa, malowniczości Anglii; a biedna Bessie Alden, jak niejedno jankeskie dziewczę, była strasznie uzależniona od malowniczości.

– Często miałem ochotę znów znaleźć się w Newport – rzekł młodzieniec. – Te dni u pani siostry były okropnie przyjemne.

– My też bawiłyśmy się świetnie; mam nadzieję, że pański ojciec lepiej się czuje.

– O Boże drogi, tak. Kiedy wróciłem do Anglii, właśnie pojechał polować na głuszce. Gigantyczny szwindel, jak mawiacie w Ameryce. Matka zrobiła się nerwowa. Wydaje mi się, że te trzy tygodnie w Newport to był szczęśliwy sen.

– Istotnie, Ameryka bardzo różni się od Anglii – zauważyła Bessie.

– Spodziewam się, że Anglia bardziej się pani podoba, co? – zagadnął lord Lambeth, niemal próbując ją przekonać.

– Żaden Anglik nie może poważnie pytać o to przybysza z innego kraju.

Towarzysz przyglądał się jej przez chwilę. – Chce pani powiedzieć, że to oczywiste?

– Gdybym była Angielką – oznajmiła Bessie Alden – byłoby dla mnie oczywiste, że każdy powinien być patriotą.

– O Boże, tak, patriotyzm to podstawa – przyznał lord Lambeth, który nie całkiem nadażał, niemniej był bardzo zadowolony. – A więc, co pani zamierza robić?

– W czwartek wybieram się do Tower.

– Do Tower?

– Do londyńskiej Tower. Nigdy pan o niej nie słyszał?

– O, tak, nawet tam byłem – oznajmił lord Lambeth. – Guwernantka mnie zaprowadziła, kiedy miałem sześć lat. Więc pani się tam wybiera? Cudaczny pomysł.

– Proszę, niech mi pan podda jakieś inne cudaczne pomysły! – zawołała Bessie Alden. – Chcę zobaczyć więcej takich miejsc. Jedziemy też do Hampton Court, do Windsoru i do Dulwich Gallery.

Lord Lambeth był wyraźnie rozbawiony. – Dziwię się, że nie pójdzie pani do Rosherville Gardens.

– Tam jest ciekawie? – zapytała Bessie.

– Ależ cudownie.

– To bardzo stare miejsce? Tylko to mnie obchodzi.

– Tak, okropnie stare; wręcz popada w ruinę.

– Uważam, że nie ma nic bardziej uroczonego niż stary, zapuszczony ogród – rzekła panna. – Musimy koniecznie się tam wybrać.

Lord Lambeth wybuchnął wesołością.

– Słuchaj no, Woodley! – zakrzyknął. – Wyobraź sobie, panna Alden chce iść do Rosherville Gardens!

Willie Woodley zrobił niewyraźną minę; właśnie został przyłapany na nieznajomości jakiejś wyjątkowej strony życia w Londynie. Ale po chwili się otrząsnął.

– Doskonale – oświadczył. – Wystąpię o pozwolenie.

Uciecha lorda Lambeth jeszcze wzrosła.

– Rany boskie! – zawołał. – Wy, Amerykanie, poszlibyście dosłownie wszędzie!

– Chcemy pójść do parlamentu – oświadczyła Bessie. – Przede wszystkim.

– Och, zanudzi się pani na śmierć! – wykrzyknął młody człowiek.

– Chcemy posłuchać, jak pan przemawia.

– Nigdy nie przemawiam... chyba że do młodych dam – odparł lord Lambeth z uśmiechem.

Bessie Alden spojrzała nań przeciągle, również się uśmiechając w cieniu parasolki. – Pan jest bardzo dziwny – szepnęła. – Chyba wcale pana nie pochwalam.

– Ależ panno Alden, niech pani nie będzie taka sroga – rzekł lord Lambeth, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Proszę, niech pani nie będzie sroga. Chciałbym, żeby mnie pani polubiła; okropnie.

– Żebym pana okropnie polubiła? W takim razie nie może się pan ze mnie śmiać, kiedy robię błędy. Jako wolna Amerykanka uważam, że mam przyrodzone prawo robić tyle błędów, ile mi się podoba.

– Na honor, ja się z pani nie śmiałem – zapewnił lord Lambeth.

– Mało tego – ciągnęła Bessie – żądam także, by wszystkie moje błędy były mi poczytane za zasługi. Ma pan lepiej o mnie myśleć z ich powodu.

– Nie mogę o pani myśleć lepiej niż w tej chwili – oznajmił młody człowiek.

Bessie Alden znów bacznie mu się przyjrzała. – Rzeczywiście, bardzo dobrze przemawia pan do młodych dam. Więc dlaczego nie zwraca się pan do Izby? Tak ją nazywają, czyż nie?

– Bo nie mam nic do powiedzenia – stwierdził lord Lambeth.

– Przecież zajmuje pan wysoką pozycję? – zdziwiła się Bessie.

Lord przez chwilę wpatrywał się w swoją rękawiczkę. – Uznam to – powiedział w końcu – za jeden z pani błędów, przemawiający na pani korzyść. – I zmienił temat, jakby nie mając już ochoty rozmawiać o pozycji. – Chciałbym, żeby pozwoliła mi pani pójść ze sobą do Tower i do Hampton Court, i w te wszystkie inne miejsca.

– Będziemy zachwycone – powiedziała Bessie.

– I oczywiście któregoś dnia, kiedy będzie to pani odpowiadało, z najwyższą przyjemnością pokażę pani Izbę Lordów. Jest wiele rzeczy, które chciałbym dla pani zrobić. Chciałbym, żeby pani się dobrze bawiła. I bardzo chciałbym przedstawić pani kilku moich przyjaciół, jeśli to pani nie znudzi. I byłoby okropnie miło, gdyby zechciała pani przyjechać do Branches.

– Jesteśmy panu wielce zobowiązane – odparła Bessie. – Co to jest Branches?

– To dom na wsi. Wydaje mi się, że mógłby się pani spodobać.

Willie Woodley i pani Westgate akurat zamilkli na chwilę i ostatnie słowa lorda Lambeth wpadły Amerykaninowi w ucho. – Zaprasza pannę Bessie do jednego ze swych zamków – szepnął do rozmówczyni.

Pani Westgate, przewidując coś, co w duchu określała jako „komplikacje”, natychmiast wstała z krzesła; obie panie pożegnały się z lordem Lambeth i w asyście pana Woodleya wróciły do hotelu.

V

Następnego dnia rano lord Lambeth złożył im wizytę, prowadząc ze sobą Percy'ego Beaumonta – przy czym ten drugi natychmiast zadeklarował, że nie zamierza zaniedbać żadnej ze zwykłych grzeczności. Niemniej w chwili, gdy krewniak powiadomił go o przybyciu Amerykanek, deklarację tę poprzedziła uwaga całkiem innej natury.

– A więc przyjechały i będziesz miał za swoje.

– Jak to, będę miał za swoje? – zirytował się lord Lambeth.

– Niech twoja matka znajdzie na to nazwę. Z całym szacunkiem dla niej – dodał Percy Beaumont – tym razem muszę odmówić wykonywania obowiązków nadzorcy. Jej księżęca wysokość musi sama cię pilnować.

– Dam jej po temu sposobność – rzekł syn jej księżęcej wysokości z pewną zaciętością. – Zmuszę ją, by poszła je odwiedzić.

– Mój mały, ona tego nie robi.

– Zobaczmy – odparł lord Lambeth.

Choć jednak Percy Beaumont dość posępnie zapatrywał się na pobyt obu pań w hotelu Jonesa, był w dostatecznym stopniu światowcem, by ukazać im uśmiechnięte oblicze. Podczas gdy jego towarzysz nadskakiwał młodszej damie, wdał się w ożywioną – przynajmniej z jej strony – rozmowę z panią Westgate. Ta natychmiast zaczęła zwierzać się i skarżyć, oświadczać i wyjaśniać.

– Muszę powiedzieć, że Londyn jest znacznie jaśniejszy i ładniejszy niż w listopadzie, kiedy tu byłam ostatnio. Wyraźnie bardzo dużo się dzieje i wygląda też na to, że macie mnóstwo kwiatów. Nie wątpię, że to uroczę dla was wszystkich i że cudownie się bawicie. Bardzo ładnie z waszej strony, że pozwalacie Bessie i mnie siedzieć i patrzeć na was. Zapewne uzna pan, że z was kpię, ale przyznam, że to właśnie odczuwam w Londynie.

– Obawiam się, że nie całkiem rozumiem, o jakim odczuciu pani mówi – rzekł Percy Beaumont.

– O odczuciu, że wszystko to bardzo ładnie dla was Anglików. Wszystko pięknie się wam układa.

– Wydaje mi się, że niektórym Amerykanom też układa się nieźle – odciął się Beaumont.

– Niektórym, owszem, jeżeli lubią być traktowani protekcjonalnie. Ale muszę przyznać, że ja tego nie znoszę. Być może jestem ekscentryczna, samowolna, nierozsądna, przyznam jednak, że nigdy nie przepadałam za protekcjonalnością. Lubię przestawać z ludźmi na tych samych warunkach, co we własnym kraju; takie mam osobliwe upodobania. Lecz tutaj ludzie wyraźnie oczekują czegoś innego, Bóg jeden wie czego! Obawiam się, że uzna pan mnie za okropną niewdzięcznicę, bo naprawdę poświęcono mi wiele uwagi. Ostatnim razem, kiedy tu byłam, pewna dama przysłała mi wiadomość, że wolno mi przyjść do niej z wizytą.

– Dobry Boże! Mam nadzieję, że pani nie poszła – powiedział Percy Beaumont.

– Muszę przyznać, że jest pan rozkosznie naiwny! – wykrzyknęła pani Westgate. – Tutaj, w Londynie, to musi być pana wielki atut. Przypuszczalnie gdybym ja sama miała trochę więcej naiwności, bawiłabym się o wiele lepiej. Byłabym ukontentowana, mogąc siedzieć w parku na krzeselku, patrzeć na ludzi i słuchać, jak mi mówią, że to jest księżna Suffolk, tamto lord kanclerz i że powinnam być wdzięczna za możliwość ich oglądania. Zapewne to bardzo brzydkie i krytyczne z mojej strony, że oczekuję czegoś innego. Ale zawsze byłam krytyczna i z własnej woli przyznaję się do grzechu wybredności. Mówiono mi, że cudzoziemcom zapewnia się tutaj znakomite drugorzędne towarzystwo. *Merci!* Nie chcę żadnego znakomitego drugorzędnego towarzystwa. Chcę towarzystwa, do jakiego jestem przyzwyczajona.

– Mam nadzieję, że Lambeth i ja nie jesteśmy dla pani drugorzędni – wtrącił Beaumont.

– Och, do panów się przyzwyczałam – zapewniła pani Westgate. – Wie pan, że wasze, Anglików, wypowiedzi bywają czasem wprost cudowne? Za swojej pierwszej bytności w Londynie byłam na prozanej kolacji; już panu mówiłam, że poświęcano mi

wiele uwagi. W bawialni, po kolacji, nawiązałam rozmowę z pewną starą damą, zapewniam pana, że tak było. Już nie pamiętam, o czym mówiłyśmy, jednak w pewnej chwili, odnosząc się do jakiegoś drobiazgu, owa dama powiedziała: „Och, wie pani, arystokracja robi tak i tak; ale w obrębie czyjejs własnej klasy jest całkiem inaczej”. W obrębie własnej klasy! Co ma biedna, bezbronna Amerykanka począć w kraju, gdzie ktoś może powiedzieć do niej coś takiego?

– Wyraźnie wynajduje pani jakieś dziwne staruszki; gratuluję znajomości! – wykrzyknął Percy Beaumont. – Jeśli chce mnie pani zmusić, żebym przyznał, że Londyn to wstrętne miasto, to się pani nie uda. Bardzo go lubię i uważam, że to najweselsze miejsce na świecie.

– *Pour vous autres*. Nie twierdziłam, że jest inaczej – odcięła się pani Westgate. Używam tego określenia, gdyż oboje rozmówców podniosło głosy: Percy Beaumont, co naturalne, bo nie lubił, gdy ktoś uwłaczał jego krajowi; i pani Westgate, co nie mniej naturalne, bo nie lubiła upartych dyskutantów.

– Halo! – zdziwił się lord Lambeth. – Co oni wyprawiają? – I odszedł od okna, przy którym stał z Bessie Alden.

– Całkowicie zgadzam się z pewną swoją mądrą rodaczką – ciągnęła pani Westgate z uroczym zapałem, choć niezbyt *à propos*. I uśmiechnęła się przeraźliwie do obu panów, jakby ciskała im pod nogi, do ich rodzimego ogródka, rękawicę niezgody. – Dla mnie istnieją tylko dwie pozycje godne wzmianki: amerykańskiej damy i cara Rosji.

– A co pani robi z amerykańskim dżentelmenem? – zapytał lord Lambeth.

– Zostawi go w Ameryce! – rzekł Percy Beaumont.

Po odejściu gości Bessie Alden oznajmiła siostrze, że lord Lambeth przyjdzie nazajutrz zabrać je do Tower i że uprzejmie zaofiarował się zawieźć je tam dwukółką. Pani Westgate wysłuchiwała tych wieści bez słowa i milczała jeszcze przez jakiś czas. – Gdybyś onegdaj nie prosiła, żeby o tym nie mówić – rzekła wreszcie – odważyłabym się o coś cię zapytać. – Bessie zmarszczyła nieco brwi; jej ciemnoniebieskie oczy stały się bardziej ciemne niż niebieskie. – Mimo wszystko zaryzykuję. Nie jesteś zakochana w lordzie Lambeth; doskonale, wierzę ci. Ale czy przypadkiem nie grozi ci, że tak się stanie? To bardzo proste pytanie; nie obrażaj się, mam konkretny powód, by je zadać – zakończyła pani Westgate.

Bessie Alden przez kilka chwil milczała z niezadowoloną miną. – Nie, nie ma takiego zagrożenia – odparła w końcu krótko.

– W takim razie chciałabym ich nastraszyć – rzekła pani Westgate, składając upierścienione dłonie.

– Nastraszyć kogo?

– Ich wszystkich: rodzinę i przyjaciół lorda Lambeth.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytała dziewczyna.

– Nie ja, tylko ty. Wystraszą się na myśl, że mogłabyś zaakceptować młodzieńcze uczucia jego lordowskiej mości.

– Dlaczego mieliby się wystraszyć? – nieustępliwie dopytywała się Bessie Alden, której czyste źrenice wciąż spoglądały chmurnie spod ciemnych brwi.

Przed udzieleniem odpowiedzi pani Westgate złagodziła ją uśmiechem. – Bo według

nich się nie nadajesz. Jesteś czarującą, piękną i miłą dziewczyną, jesteś inteligentna, bystra i wychowana najlepiej jak się da; ale nie jesteś stosowną partią dla lorda Lambeth.

Bessie Alden była ogromnie zniesmaczona. – Skąd ty bierzesz takie niesłychane pomysły? – zawołała. – Ostatnio mówisz bardzo dziwne rzeczy. Moja droga Kitty, gdzie ty je wynajdujesz?

Ale Kitty już wyraźnie zakochała się w swojej koncepcji. – Tak, będą się wiercić jak na szpilkach, a tobie to nie zaszkodzi. Pan Beaumont już teraz bardzo się niepokoi, od razu to zauważyłam.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę. – Chcesz powiedzieć, że go szpiegują... że wtrącają się w jego sprawy?

– Nie wiem, czy mają możliwość się wtrącać, ale wiem, że brytyjska mama potrafi zadreżyć synka na śmierć.

Dawałem już do zrozumienia, że co się tyczy pewnych przykrych spraw, Bessie Alden posiadała spory zasób sceptycyzmu. Tym razem powstrzymała się od wyrazów niedowierzania, nie chciała bowiem drażnić siostry, jednak w duchu uznała, że Kitty została wprowadzona w błąd, że to bajki opowiadane przez przyjezdnych. Choć została obdarzona żywą wyobraźnią, pomyśl, że ktoś mógłby ją zaliczyć do pospółstwa, nie miał, w jej pojęciu, żadnych podstaw w rzeczywistości. Niemniej głośno powiedziała tylko: – Muszę powiedzieć, że w takim razie jest mi bardzo żal lorda Lambeth.

Pani Westgate, coraz bardziej zachwycona swoim planem, znów się uśmiechnęła. – Gdybym tylko miała pewność, że nic ci nie grozi! – zakrzyknęła. – Lecz kiedy zaczynasz go żałować, to ja, ze swej strony, zaczynam się bać.

– Czego?

– Że będzie ci go żal aż za bardzo.

Bessie Alden zachnęła się zniecierpliwiona, jednak po chwili zwróciła się do siostry: – A gdybym go za bardzo żałowała, co wtedy?

Na to z kolei pani Westgate się zachnęła, lecz po krótkim zastanowieniu również spojrzała Bessie w twarz: – W końcu i tak wyszłoby na to samo.

Nazajutrz lord Lambeth zjawił się dwukólką, po czym obie panie w asyście Williego Woodleya oddały się pod jego opiekę i zostały przewiezione na wschód przez mroczniejsze regiony metropolii do wielkiej wieży fortecznej, która strzeże londyńskiej żeglugi. Wsiedli z powozu i weszli na słynny dziedziniec; tam zapewnili sobie usługi leciwego strażnika, który nie zważając na zakusy wielu innych osób, żadnych legendarnych opowieści, utworzył z nich ekskluzywną grupkę i poprowadził przez podwórce i korytarze, lochy i zbrojownie. Równocześnie, jak zwykle, wygłaszał perypatetyczną tyradę, oni zaś, stosownie do oficjalnych wskazówek, stawali i spoglądali, gapili się i garbili. Bessie Alden zadawała człowiekowi w pąsowej kurcie wiele pytań; jej zdaniem było to fascynujące miejsce. Lord Lambeth był w wyśmienitym humorze; bez przerwy się śmiał; bawił się, jak sam by to nazwał, całą tą hecą. Willie Woodley wciąż patrzył w sufit i opukiwał ściany pięścią w perłowoszarej rękawiczce; a pani Westgate, która nader często prosiła, by pozwolono jej usiąść i zaczekać, aż wrócą pozostali, była równie często informowana, że nie wrócą już nigdy. Naturalnie

sędziwy strażnik nie umiał odpowiedzieć na wiele dodatkowych pytań Bessie, zwłaszcza dotyczących historii Anglii, i wówczas dziewczyna zawsze zwracała się do lorda Lambeth. Jednak jego lordowska mość był całkowitym ignorantem. Oświadczył, że nic nie wie o takich rzeczach, i wyglądał na wielce rozbawionego faktem, że ktoś upatruje w nim autorytet.

– Nie może pani oczekiwać, żeby wszyscy wiedzieli tyle, co pani.

– Oczekiwałam, że pan będzie wiedział znacznie więcej – oznajmiła Bessie Alden.

– Kobiety zawsze lepiej od mężczyzn znają daty, nazwiska i takie tam sprawy – zaprotestował lord Lambeth. – Ta lady Jane Grey, o której właśnie słyszymy, też gustowała w łacinie, grece i całej wiedzy swej epoki.

– W każdym razie p a n nie ma prawa nie wiedzieć – rzekła Bessie.

– Dlaczego mam mieć mniejsze prawa niż inni?

– Bo pan się wychował wśród tych rzeczy.

– Jakich rzeczy? Toporów, szafotów i narzędzi tortur?

– Wszystkich rzeczy historycznych. Pan należy do historycznej rodziny.

– Doprawdy, Bessie przesadza z historią – wtrąciła pani Westgate, dosłyszawszy ostatnie słowa.

– Tak, pani przesadza z historią! – zawołał lord Lambeth ze śmiechem, wdzięczny wszakże za formułkę. – Na Boga, pani przesadza z historią!

Kilka dni później pojechał z paniami do Hampton Court, Willie Woodley również się przyłączył. Popołudnie było prześliczne, kwitły słynne kasztanowce, a lord Lambeth, który całkiem wszedł w rolę londyńskiego urwisa na wycieczce, oznajmił, że to bycza stara rudera. Bessie Alden nie posiadała się z zachwytu i krążyła po posiadłości, mruczając i wznosząc okrzyki: – To wprost zbyt piękne! Wprost urzekające! Dokładnie takie, jakie być powinno!

Małym stadkom gości w Hampton Court nie zapewnia się oficjalnego przewodnika, lecz pozwala im się samodzielnie oglądać miejscowe zabytki. Dlatego też, z braku innego informatora, Bessie Alden, która w wątpliwych kwestiach była w stanie podsunąć mnóstwo alternatywnych rozwiązań, znów zaczęła się zwracać do lorda Lambeth o wsparcie intelektualne. Ten zaś znów ją zapewnił, że jest w tych sprawach całkowicie bezradny – że niestety bardzo zaniedbał swoją edukację.

– Przykro mi, że to panią martwi – dodał po chwili.

– Jestem panem bardzo rozczarowana, lordzie Lambeth.

– Ach, proszę tak nie mówić! – zawołał. – To najgorsza rzecz, jaką pani mogła powiedzieć.

– Nie – odparła – byłoby znacznie gorzej, gdybym powiedziała, że niczego się po panu nie spodziewałam.

– No, nie wiem. A czego właściwie się pani spodziewała? Proszę mi dać jakieś pojęcie.

– Cóż – rzekła Bessie Alden – że pan będzie bardziej taki, jaką ja byłabym, jaką starałabym się być, na pana miejscu.

– Ach, na moim miejscu! – wykrzyknął lord Lambeth. – Pani bez przerwy mówi o moim miejscu!

Panna spojrzała na niego; wydało mu się, że spłonęła lekkim rumieńcem; przez

chwilę nie odpowiadała.

– Pan odniósł wrażenie, że wciąż mówię o pana miejscu? – zapytała w końcu.

– Z pewnością czyni mi pani wielki zaszczyt – odparł, bojąc się, że był nieuprzejmy.

– Często o tym myślałam – powiedziała. – Często myślałam o tym, że pan jest dziedzicznym prawodawcą. Dziedziczny prawodawca powinien dużo wiedzieć.

– Nie, jeśli nie stanowi prawa.

– Ależ pan stanowi prawo; to niedorzeczność mówić, że nie. Bardzo tu pana podziwiają, jestem tego pewna.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek to zauważyłem.

– To dlatego, że pan się przyzwyczał. Powinien pan należycie wypełnić swoje miejsce.

– Jak to, wypełnić? – wykrzyknął lord Lambeth.

– Powinien pan być mądry i błyskotliwy, powinien pan wiedzieć prawie wszystko.

Lord Lambeth spojrział na nią uważnie. – Powiedzieć pani coś? – zapytał po chwili. – Otóż młody człowiek w moim, jak to pani określa, położeniu...

– Nie wymyśliłam tego określenia – wtrąciła Bessie. – Ale widywałam je w wielu książkach.

– Do licha! Pani wciąż tkwi w swoich książkach. A więc gość w moim położeniu wszystko robi bardzo dobrze, cokolwiek to jest. Tyle mniej więcej chciałem powiedzieć.

– Cóż, skoro otoczenie jest z pana zadowolone – roześmiała się Bessie Alden – ja nie mogę narzekać. Ale zawsze będę zdania, że pan powinien być wielkim umysłem, wielką postacią.

– Ach, to bardzo teoretyczne podejście – oświadczył lord Lambeth. – Właściwie to z pewnością jankeski przesąd.

– Szczęśliwy kraj – zawołała Bessie Alden – gdzie nawet ludzkie przesady są tak wzniosłe!

– Cóż, tak czy inaczej – zauważył lord Lambeth – nie wiem, czy jestem aż takim durniem, za jakiego mnie pani bierze.

– Nic takiego nie powiedziałam, to byłaby niegrzeczność; lecz muszę powtórzyć, że się na panu zawiodłam.

– Moja droga panno Alden – wykrzyknął młodzieniec – jestem najlepszym człowiekiem na świecie!

– Ach – rzekła Bessie z uśmiechem – ale gdyby nie to!

Pani Westgate miała w Londynie więcej znajomych, niż sugerowała, i niebawem odnowiła stosunki z większością z nich. Odznaczali się skrajną gościnnością, toteż, od zaproszenia do zaproszenia, zaczęła, jak to mówią, wychodzić. Dzięki temu Bessie Alden poznała to, co miała przyjemność nazywać angielskim towarzystwem. Chodziła na bale i tańczyła, chodziła na kolacje i rozmawiała, chodziła na koncerty i słuchała (na koncertach Bessie zawsze słuchała), chodziła na wystawy i podziwiała. Jej radość była głęboka, jej ciekawość – nienasycona, jednak choć czuła ogólną wdzięczność za wszystkie stwarzane jej możliwości, szczególnie ceniła sobie zaszczyt spotkania pewnych znanych osobistości – pisarzy i artystów, filozofów i mężów stanu – których splendoru była dotąd pokornym i odległym świadkiem, a które teraz, jako część

zwykłego umeblowania londyńskich salonów, robiły na niej wrażenie gwiazd spadłych z firmamentu i całkiem namacalnych – a także niekiedy, przy bliższym poznaniu, ujawniających cechy u ciał niebieskich nieoczekiwane. Znając wielu swych współczesnych wyłącznie z renomy, Bessie doświadczyła wielu osobistych rozczarowań; ale z drugiej strony, doznała też niezliczonych satysfakcji i uniesień, przy czym oba te rodzaje uczuć szczegółowo relacjonowała bliskiej przyjaciółce w Bostonie, z którą prowadziła obfitą korespondencję. W istocie, niektórymi przemyśleniami próbowała nawet dzielić się z lordem Lambeth, który niemal codziennie zaglądał do hotelu Jonesa i, zdaniem pani Westgate, był im naprawdę oddany. Kapitan Littledale, jak się okazało, rzeczywiście wyjechał do Indii; o innych byłych gościach pani Westgate – którzy to dżentelmeni, jak twierdziła, uczynili klub z jej bawialni w Nowym Jorku – nie udało się uzyskać żadnych wieści; lecz troskliwość lorda Lambeth z pewnością wynagradzała zawiązką przypadkową absencją, krótką pamięć oraz inne niedociągnięcia pozostałych. Młody człowiek zabierał je na przejażdżki po parku, wprowadzał do prywatnych zbiorów malarstwa i jako posiadacz własnego domu zapraszał na obiad. W końcu pani Westgate, wzorem wielu swych rodaków, wystarała się dla siebie i siostry o prezentację na dworze, której miał dokonać przedstawiciel dyplomatyczny – tak właśnie bowiem określała amerykańskiego ambasadora w Anglii, pytając, po cóż on jest, u licha, jeśli nie po to, by odpowiednio przygotować komuś wizytę w Bawialni.

Lord Lambeth oświadczył, że nienawidzi Bawialni, jednak owego dnia, gdy panie udały się z hotelu Jonesa do pałacu Buckingham nadzwyczajnym powozem, przysłanym przez jego lordowską mość, również wziął udział w ceremonii. Miał na sobie wspaniałe uniform i jego wygląd wywarł na Bessie Alden szczególne wrażenie – zwłaszcza że na jej pytanie, dość, jak uznała, niemądre, czy jest lojalnym poddanym, odparł, że jest lojalny wobec n i e j . Deklaracja ta zyskała jeszcze na znaczeniu dzięki temu, że tańczył z nią na królewskim balu, na który udały się później obie damy, i w niczym nie umniejszył jej fakt, że zdaniem Bessie tańczył bardzo źle. Uważała, że jest bardzo dobry, i z rosnącym ożywieniem zadawała sobie pytanie, dlaczego jest taki dobry. Takie miał usposobienie – wydawało się, że to naturalna odpowiedź. Powiedziała siostrze, że bardzo go lubi, a teraz, gdy polubiła go jeszcze bardziej, zaczęła się zastanawiać dlaczego. Lubiła go za jego usposobienie – jak się wydawało, była to naturalna odpowiedź również na to pytanie. W natłoku wrażeń, których coraz więcej dostarczało jej życie w Londynie, ostrzeżenie siostry w kwestii cynizmu opinii publicznej całkowicie wyleciało jej z głowy. Wtedy te słowa dotknęły ją bardzo boleśnie, lecz nie istniał żaden szczególny powód, żeby je pamiętała; miały zbyt mały związek z namacalną rzeczywistością; a poza tym myślenie o rzeczach przykrych sprawiało Bessie przykrość. Nie dręczyła jej świadomość prostackiej insynuacji. Nie była zakochana w lordzie Lambeth – zapewniała się o tym z całą mocą. Natychmiast da się zauważyć, że kiedy takie zapewnienia stają się konieczne, stan uczuć młodej damy jest już co najmniej dwuznaczny; zaiste, Bessie Alden nie próbowała udawać – przed samą sobą, rzecz jasna – że nie darzy młodego szlachcica pewną czułością. Powtarzała sobie, że podoba jej się typ, który reprezentował – jego prosty, szczery, męski, zdrowy angielski temperament. W duchu mówiła o nim tak, jak młode damy zwykły mawiać o mężczyznach, którzy im się podobają – odwoływała się

do jego odwagi (której ani razu nie miała najmniejszej okazji sprawdzić), uczciwości i dżentelmeńskiego zachowania, nie milczała też na temat urody. Co więcej, była całkowicie świadoma, że lubi rozmyślać o jego niespodziewanych zaletach; że jej wyobraźnia rozpala się i raduje na widok przystojnego młodzieńca, wyposażonego w tak ogromne możliwości – jakie możliwości, tego właściwie nie wiedziała, lecz chodziło, jak przypuszczała, o rzeczy wielkie: dawanie przykładu, wywieranie wpływu, obdarzanie szczęściem, wspieranie wszelkich sztuk. Miała pewien ideał odnośnie do postępowania młodego człowieka w tak świetnym położeniu, który próbowała zastosować do zachowania lorda Lambeth, trochę jak ktoś, kto usiłuje dopasować sylwetkę z papieru do cienia na ścianie. Ale wymyślona przez Bessie Alden sylwetka jakoś nie chciała się zmieścić w wizerunku jego lordowskiej mości i ten brak harmonii niekiedy gnębił ją bardziej, niż pozwalał rozsądek. Dysonans ów, rzecz jasna, mniej rzucał się w oczy, gdy młody człowiek był nieobecny; wówczas widziała w nim dość wdzięczne połączenie wzniosłych obowiązków z miłym charakterem. Lecz gdy był w zasięgu jej wzroku, gdy rozmawiał i śmiał się ze swą zwykłą prostotą i pogodą ducha, brała z niego miarę z większą dokładnością, dojmująco świadoma, że chociaż lord Lambeth zajmuje w społeczeństwie pozycję heroiczną, to jako człowiek niezbyt przypomina herosa. W takich chwilach wędrowała wyobraźnią daleko – bardzo daleko, albowiem nie dało się zaprzeczyć, że wydawał jej się wówczas niezwykle nudny. Obawiam się, że gdy myśli Bessie błędziły tak niegodnie, ona sama nie była zbyt zajmującą towarzyszką; możliwe jednak, że owe sporadyczne napady obojętności lord Lambeth uważał za część osobistego wdzięku dziewczyny. Dla niego jej wdzięk od początku na tym polegał – odnosił wrażenie, iż ona traktuje go i osądza bez skrepowania i pośpiechu, swobodniej, by tak rzec, i bardziej beztrąsko niż inne panny, z którymi, najogólniej mówiąc, pozostawał w podobnie zażyłych stosunkach. To wrażenie w połączeniu z uczuciem, że ona mimo to go lubi, sprawiało lordowi Lambeth wielką przyjemność. Wydawało mu się, że spotkało go szczęście, o którym marzą wszyscy młodzi posiadacze tytułu i majątku – był lubiany ze względu na siebie samego. Wprawdzie cyniczny doradca szepnąłby mu do ucha: „Lubi cię ze względu na ciebie samego? Tak; ale nie bardzo!”. Niemniej wciąż miał nadzieję, że będzie lubiany bardziej.

Może wydawać się nieco dziwne – choć to prawda – że kiedy, według Bessie Alden, lord Lambeth był nudny, ona z nakazu sumienia tym więcej czasu poświęcała staraniom, by go polubić. Piszę „z nakazu sumienia”, uważała bowiem, że jest niezwykle „miły” dla jej siostry, a także dlatego, iż, jej zdaniem, wypadało, gwoli sprawiedliwości, aby myślała o nim równie dobrze jak on o niej. Być może te wysiłki nie zawsze były do końca skuteczne, gdyż niekiedy wywoływały w niej lekką irytację, która znajdowała wyraz we wrogiej krytyce rozmaitych brytyjskich instytucji. Bessie Alden brała udział w zabawach, na których widywała lorda Lambeth; ale bywała także na spotkaniach, gdzie jego lordowska mość nie był obecny ani ciałem, ani duchem, i zazwyczaj właśnie wówczas natrafiała na wzmiankowane wcześniej sławy literackie i artystyczne. Po pewnym czasie uznała to wręcz za zasadę: jeśli lord Lambeth gdziekolwiek się pojawiał, był to znak, że nie będzie tam poetów ani filozofów; w rezultacie – a był to rezultat nieuchronny – miała zwyczaj wyliczać młodemu człowiekowi obiekty swego podziwu.

– Najwyraźniej ma pani straszną słabość do tego typu ludzi – rzekł lord Lambeth pewnego dnia, jakby ta myśl właśnie przyszła mu do głowy.

– Są to ludzie, których w Anglii jestem najbardziej ciekawa – odparła Bessie Alden.

– Zapewne dlatego, że tyle pani czytała – zauważył lord Lambeth z galanterią.

– Wcale nie czytałam tak dużo. To dlatego, że u siebie cenimy takich ludzi bardzo wysoko.

– Ach, rozumiem – mruknął młody szlachcic. – W Bostonie.

– Nie tylko w Bostonie; wszędzie – oznajmiła Bessie. – Otaczamy ich wielką estymą; chodzą na najlepsze przyjęcia.

– Przypuszczalnie ma pani rację. Nie mogę powiedzieć, żebym znał wielu z nich.

– A szkoda – orzekła Bessie. – Dobrze by to panu zrobiło.

– Przypuszczam, że tak – przyznał pokornie lord Lambeth. – Ale muszę powiedzieć, że tak na oko kilku mi się nie podoba.

– Ani mnie; kilku. Ale są bardzo różni, niektórzy czarujący.

– Rozmawiałem z dwoma lub trzema – ciągnął młody człowiek – i odniosłem wrażenie, że zachowują się jakby przymilnie.

– Po co mieliby się przymilać? – zapytała Bessie Alden.

– Nie mam pojęcia. Rzeczywiście po co?

– Może tylko się panu wydawało.

– Cóż, oczywiście – zgodził się młodzieniec. – Czegoś takiego nie sposób udowodnić.

– W Ameryce nikt się nie przymila – powiedziała Bessie.

– Ach, no cóż, to z pewnością lepsze towarzystwo.

Bessie milczała przez chwilę. – To kolejna rzecz, która mi się w Anglii nie podoba. Trzymacie wybitnych ludzi na dystans.

– Jak to, na dystans?

– No, pozwalacie im bywać tylko w niektórych miejscach. Nigdy się z nimi nie spotykacie.

Lord Lambeth popatrzył na nią przeciągle. – O jakich ludziach pani mówi?

– O ludziach uzdolnionych, pisarzach i artystach, o ludziach mądrych.

– Och, oprócz tego są jeszcze inni wybitni ludzie! – zaprotestował lord Lambeth.

– Niemniej z pewnością trzymacie ich na dystans – powtórzyła dziewczyna.

– I są inni ludzie mądrzy – dodał z prostotą lord Lambeth.

Bessie Alden zerknęła na niego i zaśmiała się.

– Niezbyt wielu.

Przy innej okazji, tuż po jakimś przyjęciu, powiedziała mu, że jest jeszcze coś, czego w Anglii nie lubi.

– No, słowo daję! – zakrzyknął młody człowiek. – Już nie dość nam pani naubliżała?

– W ogóle wam nie ubliżałam – zaprzeczyła Bessie – ale nie znoszę waszej zasady pierwszeństwa.

– Nie mam z nią nic wspólnego! – oświadczył ze śmiechem lord Lambeth.

– Owszem, ma pan. Właśnie pan; i moim zdaniem, jest wstrętna – rzekła Bessie.

– Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby młoda dama tak się o wszystko spierała! Czyżby ktoś miał czelność panią wyprzedzić? – zapytał jego lordowska mość.

- Nie przeszkadza mi, że ktoś mnie wyprzedza – rzekła Bessie – tylko że sądzi, że ma do tego prawo; prawo, którego nie uznaję!
- Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby młoda dama tak wszystkiego nie uznawała! Nie wątpię, że pierwszeństwo to paskudny wymysł, ale oszczędza wielu kłopotów.
- Powoduje wiele kłopotów. To ohyda.
- Więc jak, pani zdaniem, mają wchodzić pierwsze osoby? – zapytał lord Lambeth. – Przecież nie jako ostatnie.
- Pierwsze, czyli które, według pana?
- Ach, skoro zamierza pani kwestionować pierwsze zasady! – zawołał lord Lambeth.
- Jeśli takie są wasze pierwsze zasady, to nic dziwnego, że niektóre wasze zwyczaje są takie ohydne! – stwierdziła Bessie Alden ślicznie zaciętrzewiona. – Jestem młodą dziewczyną, więc to oczywiste, że wszędzie wchodzę ostatnia; ale wyobrażam sobie uczucia Kitty, kiedy ktoś ją powiadamia, że nie wolno jej się ruszyć, zanim wyjdą jakieś inne panie.
- Och, słowo daję, nikt jej nie „powiadamia”! – wykrzyknął lord Lambeth. – Nikt by nie zrobił czegoś takiego.
- Dają jej to odczuć – upierała się dziewczyna – jakby się bali, że rzuci się do drzwi. Nie, wasz kraj jest piękny – zakończyła – ale pierwszeństwo to coś okropnego.
- Z pewnością nie sędzę, że podoba się pani siostrze – oznajmił lord Lambeth z nieco przesadną powagą. Jednak Bessie Alden nie zdołała go nakłonić, by oficjalnie zakwestionował ów odrażający zwyczaj, który najwyraźniej uważał za wysoce wygodny.

VI

Przez cały ten czas Percy Beaumont bywał w hotelu Jonesa znacznie rzadszym gościem niż jego krewny; tak naprawdę odwiedził Amerykanki tylko dwa razy. Lord Lambeth, który często się z nim widywał, zarzucił mu lekceważenie i oświadczył, że choć pani Westgate nic o tym nie wspomina, jest pewien, że w duchu czuje się bardzo urażona. – Zbyt cierpi, żeby mówić – rzekł lord Lambeth.

– To paradne! – zaśmiał się Percy Beaumont. – Są chyba jakieś granice ludzkiego cierpienia! – I choć nie widział powodu, by przeproszać, to spróbował jakoś usprawiedliwić swoją nieobecność. – Ty wciąż tam jesteś – powiedział – i to jest powód, abym ja tam nie chodził.

– Nie widzę dlaczego. Wystarczy dla nas obu.

– Nie mam ochoty być świadkiem twej... lekkomyślnej namiętności – wyjaśnił Percy Beaumont.

Lord Lambeth popatrzył nań lodowato i przez chwilę się nie odzywał. – Rzuca się w oczy mniej, niż przypuszczasz – odciął się sucho – zważywszy na to, jaki wylewny ze mnie gość.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć, absolutnie – oświadczył Beaumont. – Za każdym

razem, gdy widzę twoją matkę, ona mnie pyta, czy uważam, że jesteś zgubiony, tak samo lady Pimlico. Wolę móc odpowiedzieć, że nic o tym nie wiem, że nigdy tam nie chodzę. Chcę być konsekwentny i trzymam się z dala. Jak już mówiłem, niech same cię pilnują.

– Piekielnie jesteś taktowny – rzekł lord Lambeth. – Mnie o nic nie pytają.

– Boją się ciebie. Boją się, że cię rozdrażnią i jeszcze ci się pogorszy. Więc biorą się do rzeczy bardzo ostrożnie i jakoś, to tu, to tam, zdobywają informacje. Wiedzą o tobie bardzo wiele. Wiedzą, że byłeś z tymi paniami pod kopułą świętego Pawła i, gdzie to było? w tunelu pod Tamizą.

– Jeśli cała ich wiedza jest równie dokładna, musi być bardzo cenna – zauważył lord Lambeth.

– No, w każdym razie wiedzą, że „zwiedzałeś metropolię”. I doszły do wniosku, naturalnego, jak mi się wydaje, że kiedy zaczniesz zwiedzać metropolię w towarzystwie małej Amerykaneczki, istnieją poważne podstawy do niepokoju. – Na tę sugestię lord Lambeth zareagował wzgardliwym śmiechem, lecz rozmówca nie ustępował: – Powiedziałem przed chwilą, że nie chcę nic wiedzieć o całej sprawie, ale przyznaję, że jestem ciekaw, czy zamierzasz poślubić pannę Bessie Alden.

W tej kwestii lord Lambeth nie dał krewnemu natychmiastowej satysfakcji, zmarszczył jedynie czoło i pogrążył się w zadumie. – Na Jowisza – rzekł w końcu – posuwają się za daleko. Jeszcze zobaczą, jaki jestem groźny, to im obiecuję!

Percy Beaumont wybuchnął śmiechem. – Przecież nie dotrzymujesz obietnic. Przedtem mówiłeś, że zmusisz matkę do złożenia im wizyty.

Lord Lambeth wciąż się zastanawiał. – Prosiłem, by je odwiedziła – powiedział po prostu.

– A ona odmówiła?

– Owszem; ale jeszcze to robi.

– Wielkie nieba – zawołał Percy Beaumont – jeżeli przestraszy się bardziej, to wierzę, że tak! – I widząc, że lord Lambeth na niego patrzy, dodał: – Sama pójdzie do dziewczyny.

– Jak to, pójdzie?

– Albo ją zniechęci, albo przekupi. Podejmie stanowcze kroki.

Lord Lambeth odwrócił się w milczeniu i pod baczny wzrok towarzysza odszedł dwadzieścia kroków, po czym powoli wrócił. – Zaprosiłem panią Westgate i pannę Alden do Branches – powiedział – i dziś wieczorem wyznaczę termin.

– I zaprosisz matkę i siostry, żeby mogły je poznać?

– Właśnie!

– To księżnę poruszy – zgodził się Percy Beaumont. – Podejrzewam, że przyjedzie.

– Może robić, co jej się żywnie podoba.

Beaumont spojrzał na lorda Lambeth. – Powiedz, naprawdę zamierzasz poślubić tę małą?

– Jak ty się ładnie wyrażasz! – wykrzyknął młody człowiek. – Nie bój się, przecież mnie nie poźre.

– Nie zostawi cię na kolanach – mruknął Percy Beaumont. – Powiedz, co cię w niej

tak pociąga?

– Gadasz o oświadczeniach; poczekaj, aż się oświadczę.

– Słusznie, mój stary, jeszcze się zastanów.

– To urocza dziewczyna – podjął jego lordowska mość.

– Oczywiście, że urocza. Nie znam dziewczyny bardziej uroczej, z natury rzeczy. Ale istnieją urocze dziewczęta bliżej domu.

– Podoba mi się, że ma charakter – oświadczył lord Lambeth, prawie jakby chciał podręczyć kuzyna.

– Co w nim takiego szczególnego?

– Nie boi się, mówi wprost i uważa się za równą wszystkim. To jedyna dziewczyna, jaką znam, która nie marzy, by wyjść za mnie za mąż.

– Skąd wiesz, skoro jej nie pytałeś?

– Nie wiem, skąd wiem, ale wiem.

– Niemniej wypytywała mnie o twoje tytuły i majątek – rzekł Beaumont.

– Mnie też wciąż pyta, nie ma temu końca – przyznał lord Lambeth. – Ale wiesz, ona pyta, żeby uzyskać informację.

– Informację? O tak, owszem, żąda informacji, za to ręczę. Możesz być pewien, że pragnie cię poślubić równie mocno, albo słabo, jak cała reszta.

– Nie chciałbym, by dała mi kosza... bardzo bym nie chciał.

– Skoro to byłaby taka przykrość dla was obojga, dla ciebie i dla niej, to na litość boską, daj temu spokój – sarknął Beaumont.

Pani Westgate ze swej strony miała siostrze mnóstwo do powiedzenia na temat rzadkich wizyt pana Beaumonta i niepojawiania się księżnej Bayswater. Twierdziła jednak, że ta druga okoliczność dostarcza jej więcej satysfakcji, niż mogłaby czerpać z najhojniejszych choćby względów tej wielkiej damy. – To znaczące – powtarzała – bardzo znaczące. To rozkoszny dowód, że one są przez nas nieszczęśliwe. Tego dnia na kolacji u lorda Lambeth naprawdę było mi żal biedaka. – Czytelnik zapewne już wywnioskował, że zatroskana matka lorda Lambeth nie zaszczyciła swoją obecnością przyjęcia, które wydał dla swych amerykańskich znajomych. Zaprosił kilka pokrewnych dusz, by je poznały; lecz absencja dam z najbliższej rodziny rzucała się w oczy, zwłaszcza tak spostrzegawcze – być może wręcz niezdrowo wyczulone – jak oczy pani Westgate.

– Nie chcę się wyrażać w sposób, którego nie lubisz – zauważyła Bessie Alden – ale nie rozumiem, skąd bierzesz tyle teorii na temat biednej matki lorda Lambeth. W Nowym Jorku znasz wielu młodych ludzi, nie znając ich matek.

Pani Westgate spojrzała na siostrę i odwróciła wzrok. – Droga Bessie, jesteś znakomita!

– Jedno jest pewne – ciągnęła dziewczyna. – Gdybym sądziła, że, jakkolwiek nieświadomie, stałam się dla rodziny lorda Lambeth powodem rozdrażnienia, nalegałabym...

– Nalegałabyś, byśmy wyjechały z Anglii – wpadła jej w słowo pani Westgate.

– Nie, bynajmniej. Chcę znów pójść do National Gallery, chcę zobaczyć Stratford nad Avonem i katedrę w Canterbury. Lecz nalegałabym, by do nas więcej nie przychodził.

– To byłoby bardzo skromne i ładne z twojej strony; ale teraz byś tego nie zrobiła.

– Jak to, „teraz”? Czyżbym przestała być skromna?

– Za bardzo ci na nim zależy. Kiedy miesiąc temu mówiłaś, że jest inaczej, sądzę, że to była całkowita prawda. Ale obecnie, drogie dziecko – westchnęła pani Westgate – niewidywanie się z lordem Lambeth nie przyszłoby ci tak łatwo. Wiedziałam, że do tego dojdzie.

– Mylisz się – zaprotestowała Bessie. – Nic nie rozumiesz.

– Drogie dziecko, nie bądź przekorna – rzekła jej siostra.

– Oczywiście, lepiej go poznałam, jeśli o to ci chodzi. I bardzo go lubię. Ale nie do tego stopnia, żeby go narażać na kłopoty rodzinne. Jednakże nie wierzę, że je ma.

– Podoba mi się, kiedy mówisz „jednakże”! – zawołała pani Westgate. – No powiedz, nie wyszłabyś za niego?

– O, nie!

Pani Westgate spieszyła się na chwilę. – Ależ dlaczego?

– Bo nie mam ochoty – ucięła dziewczyna.

Nazajutrz po przytoczonej przed chwilą wymianie poglądów między lordem Lambeth a Percym Beaumontem panie, zgodnie z planem, odebrały w hotelu Jonesa zaproszenie od jego lordowskiej mości do zamku Branches na następny wtorek. „Chyba udało mi się dobrać miłe towarzystwo – pisał młody lord. – Kilka osób, które panie już znają, oraz moja matka i siostry, którym okoliczności, niestety, nie pozwoliły dotychczas was poznać”. Bessie Alden niezwłocznie zwróciła uwagę siostry na jej niesprawiedliwość wobec księżnej Bayswater, której niechęć okazała się teraz pustym złudzeniem.

– Poczekaj, zobaczymy, czy przyjdzie – rzekła pani Westgate. – Jeśli chce się z nami spotkać w domu swego syna, tym bardziej ma obowiązek złożyć nam wizytę tutaj.

Bessie nie musiała czekać długo; nazajutrz wczesnym przedpołudniem przyniesiono do apartamentu Amerykanek dwie wizytówki, jedną z nazwiskiem księżnej Bayswater, drugą zaś hrabiny Pimlico. Pani Westgate zerknęła na zegar. – Dochodzi czwarta – powiedziała – przyszły wcześniej; chcą się z nami widzieć. Przyjmiemy je. – I poleciła wprowadzić przybyłe.

Kilka chwil później panie się przedstawiły i nastąpiła uroczysta wymiana uprzejmości. Księżna była dużą damą o pięknej, rumianej cerze; hrabina Pimlico wyglądała ładnie i elegancko.

Księżna usiadła i spojrzała wokół, niespecjalnie przyglądając się pani Westgate. – Przypuszczalnie mój syn powiedział pani, że chciałam przyjść i panią poznać – zauważyła.

– Pani jest bardzo uprzejma – odrzekła wymijająco pani Westgate. Uczciwość nie pozwalała jej potwierdzić powyższego zdania ani wyrazić własnego stanowiska z najmniej choćby wyczuwalną stanowczością.

– Mówi, że w Ameryce była pani dla niego bardzo dobra – powiedziała księżna.

– Bardzo nam miło – odparła pani Westgate – że mogliśmy sprawić, iż poczuł się trochę bardziej... trochę mniej... trochę swobodniej.

– Wydaje mi się, że mieszkał w pani domu – ciągnęła księżna, wpatrując się w Bessie Alden.

– Bardzo krótko.

– Och! – wykrzyknęła księżna, wciąż patrząc na Bessie, która zajęta była rozmową z jej córką.

– Podoba się pani Londyn? – zwróciła się lady Pimlico do Bessie, najpierw przyjrawszy się dokładnie jej twarzy, dłoniom, sukni i włosom.

– Ależ tak, bardzo – odparła Bessie.

– A podoba się pani ten hotel?

– Jest bardzo wygodny.

– Lubi pani zatrzymywać się w hotelach? – zapytała lady Pimlico po krótkiej przerwie.

– Ogromnie lubię podróżować – rzekła Bessie – i przypuszczam, że hotele są tego niezbędną częścią. Ale nie jest to część, którą lubiłabym najbardziej.

– Och, ja nienawidzę podróżować – powiedziała hrabina Pimlico i przeniosła uwagę na panią Westgate.

– Mój syn mówi, że jadą panie do Branches – podjęła księżna.

– Lord Lambeth był tak miły, że nas zaprosił – odparła pani Westgate, która dostrzegła, że nowo przybyła zaczęła na nią patrzeć, i jak zwykle miała rozkoszną świadomość własnego dystyngowanego wyglądu. Jej szczęście w tej kwestii mącił jedynie fakt, że obejrzawszy strój rozmówczyni, rzekła do siebie: „Ona nie zauważy, jak dobrze jestem ubrana!”.

– Prosił, bym też przyjechała, ale nie wiem, czy będę w stanie – bąknęła księżna.

– Chciał nam dać m... możliwość poznania pani – powiedziała pani Westgate.

– Nie znoszę wsi o tej porze roku – wzdrygnęła się księżna.

Pani Westgate lekko wzruszyła ramionami. – Moim zdaniem jest tam przyjemniej niż w Londynie.

Lecz księżna znów odwróciła wzrok i nieruchomo wpatrywała się w Bessie. Po chwili wstała, podeszła do wolnego krzesła po prawej ręce dziewczyny i bez słowa usiadła. Była damą majestatyczną i potężną, toteż ten mały manewr nieuchronnie zrobił wrażenie imponującego zamysłu. Niemniej odznaczał się pewną sztywnością, której lady Pimlico, jako życzliwa córka, zapewne chciała zaradzić, zwracając się do pani Westgate:

– Zapewne często panie wychodzą.

– Nie, bardzo rzadko. Jesteśmy tu obce i nie przyjechałyśmy ze względu na towarzystwo.

– Rozumiem – rzekła lady Pimlico. – Akurat teraz w mieście jest całkiem miło.

– Uroczo – przytaknęła pani Westgate. – Ale spotykamy niewielu ludzi: tych, których lubimy.

– Oczywiście, nie można lubić wszystkich.

– To zależy od kręgów, w jakich się człowiek obraca – oświadczyła pani Westgate.

Tymczasem księżna zajęła się Bessie.

– Syn mi opowiadał, jakie mądre są młode damy w Ameryce.

– Cieszę się, że zrobiły na nim dobre wrażenie – uśmiechnęła się Bessie.

Księżna się nie uśmiechała; jej duża rumiana twarz była bardzo spokojna. – Jest bardzo podatny na wpływy – powiedziała. – Wszystkich uważa za mądrych i niektórzy

istotnie tacy są.

– Czasami – przyznała Bessie, nadal z uśmiechem.

Księżna patrzyła na nią przez chwilę. – Lambeth jest podatny – podjęła – lecz także nieobliczalny.

– Nieobliczalny? – zdziwiła się Bessie.

– Bardzo niestały. Nie należy na nim polegać.

– Ach! – zawołała Bessie. – Nie poznaję tego opisu. Ogromnie na nim polegamy, moja siostra i ja, i nigdy dotąd nas nie zawiódł.

– Ale jeszcze was zawiedzie – oświadczyła księżna.

Bessie zaśmiała się lekko, jakby rozbawił ją upór rozmówczyni. – Przypuszczalnie to zależy od tego, czego będziemy się po nim spodziewać.

– Im mniej się panie spodziewają, tym lepiej – rzekła matka lorda Lambeth.

– Ależ – odparła Bessie – nie spodziewamy się niczego nierozsądnego.

Księżna zamilkła na moment, choć najwyraźniej miała jeszcze wiele do powiedzenia. – Lambeth twierdzi, że bardzo często się z paniami widuje – podjęła w końcu.

– Bardzo często do nas przychodzi, jest dla nas bardzo dobry – przyznała Bessie Alden.

– Przypuszczalnie są panie do tego przyzwyczajone. Mówiono mi, że to się często zdarza w Ameryce.

– Dobroć? – zapytała Bessie z uśmiechem.

– Tak to nazywacie? Wiem, że macie różne określenia.

– Tak, rzeczywiście, nie zawsze się rozumiemy – wtrąciła pani Westgate, która zakończywszy rozmowę z lady Pimlico, mogła poświęcić więcej uwagi starszej pani.

– Chodzi mi o młodzieńców, którzy tak często składają wizyty młodym damom – wyjaśniła księżna.

– Ale chyba w Anglii – spytała pani Westgate – młode damy nie odwiedzają młodych ludzi?

– Niektóre z nich to robią, prawie! – prychnęła lady Pimlico. – Kiedy młodzi ludzie stanowią świetną *parti*.

– Bessie, musisz to zanotować – rzekła pani Westgate. – Moja siostra – dodała – to wzorcowa podróżniczka. Wszystkie zasłyszane ciekawostki zapisuje w małym zeszyciku, który prowadzi specjalnie w tym celu.

Księżna dostała lekkich wypieków; rozglądała się po pokoju, podczas gdy jej córka zwróciła się do Bessie. – Brat mówił, że jest pani nadzwyczaj mądra – powiedziała.

– Musiał mieć na myśli moją siostrę – odparła Bessie – zwłaszcza kiedy mówił takie rzeczy.

– Długo zostaną panie w Branches? – wtrąciła raptownie księżna.

– Lord Lambeth zaprosił nas na trzy dni – powiedziała Bessie.

– Wybiorę się zatem – oznajmiła księżna – i moja córka też.

– Będzie uroczo! – zawołała Bessie.

– Cudownie! – szepnęła pani Westgate.

– Spodziewam się wiele z paniami przebywać – ciągnęła księżna. – Gdy jestem w Branches, monopolizuję gości syna.

– Z pewnością bardzo się cieszą – rzekła pani Westgate niezwykle uprzejmie.

– Ogromnie chcę go zobaczyć... zobaczyć zamek – zwróciła się Bessie do księżnej. – Nigdy nie widziałam żadnego zamku, przynajmniej nie w Anglii; pani wie, że w Ameryce ich nie ma.

– Ach! Pani lubi zamki? – zapytała jej książęca wysokość.

– Ogromnie! – odparła dziewczyna. – Zamieszkać w zamku to marzenie mego życia!

Księżna przyjrzała się jej uważnie, nie bardzo wiedząc, jak potraktować to oświadczenie, które z jej punktu widzenia było albo bardzo bezczelne, albo bardzo naiwne. – Cóż – rzekła, wstając – pokażę paniom Branches osobiście. – Po czym obie wielkie damy pożegnały się i wyszły.

– O co im chodziło? – zapytała pani Westgate po odejściu gości.

– Chodziło im o to, by okazać uprzejmość – odparła Bessie – bo mamy się spotkać.

– Za późno na uprzejmości – oświadczyła pani Westgate niemal ponuro. – Chciały nas onieśmielić świetnymi manierami i wspaniałością, zmusić cię do *lâcher prise*.

– *Lâcher prise*? Jak ty się dziwnie wyrażasz! – mruknęła Bessie Alden.

– Chciały nam zrobić afront, żebyśmy nie odważyły się pojechać do Branches – ciągnęła pani Westgate.

– Nic podobnego – rzekła Bessie. – Księżna zaproponowała, że osobiście pokaże mi dom.

– Tak, możesz być pewna, że oka z ciebie nie spuści. Będzie cię oprowadzać od rana do nocy.

– Na wszystko masz teorię – sarknęła Bessie.

– Za to ty najwyraźniej nie masz żadnej.

– Nie dostrzegłam żadnej próby, aby nas „onieśmielić” – oznajmiła dziewczyna. – A ich maniery wcale nie były świetne.

– Nie były nawet dobre! – wykrzyknęła pani Westgate.

Bessie zamilkła, lecz po chwili odkryła, że jednak ma teorię, i to całkiem niezłą. – Przyszły, żeby mi się przyjrzeć! – obwieściła, jakby ta hipoteza była czymś odkrywczym. Lecz pani Westgate należycie ją doceniła; uśmiechnęła się promiennie i orzekła, że to genialna myśl, choć w gruncie rzeczy sądziła, że sceptycyzm dziewczyny bądź jej wyrozumiałość, albo, jak czasem mawiała, idealizm, czynił ją odporną na ironię. Jednakże Bessie pozostała zamyślona aż do wieczora, a nawet do następnego ranka.

Rano przed lunchem pani Westgate musiała wyjść na godzinę, porzucając siostrę przy pisaniu listu. Kiedy wracała, w drzwiach hotelu natknęła się na lorda Lambeth, który właśnie wychodził. Odniosła wrażenie, że jest zakłopotany, a z pewnością bardzo chmurny. – Przykro mi, że mnie pan nie zastał. Może pan zawrócić? – zaproponowała.

– Nie – odparł młodzieniec. – Nie mogę. Widziałem się z pani siostrą. Nie mogę już nigdy tu wrócić. – Popatrzył na nią i wziął ją za rękę. – Do widzenia, pani Westgate. Była pani dla mnie bardzo dobra. – I z dziwnie, jak uznała, smutnym wyrazem młodej, przystojnej twarzy odwrócił się i odszedł.

Gdy weszła do pokoju, Bessie nadal pisała swój list; to znaczy, pani Westgate zobaczyła, że siostra siedzi nieruchomo przy stole z piórem w ręku. – Był tu lord Lambeth – zauważyła po chwili.

Wówczas Bessie wstała, ukazując bladą, poważną twarz – twarz, którą zwróciła teraz ku siostrze, trochę błagalnie, jakby bezgłośnie coś wyznając. – Powiedziałam mu – rzekła cicho – że nie możemy pojechać do Branches.

Pani Westgate okazała tylko isierkę rozdrażnienia. – Mógł poczekać – uśmiechnęła się – aż obejrzymy zamek. – Po jakiejś godzinie powiedziała: – Droga Bessie, szkoda, że nie mogłaś przyjąć jego oświadczyn.

– Nie mogłam – odparła łagodnie Bessie.

– To dobry, miły człowiek – powiedziała pani Westgate.

– Nie mogłam – powtórzyła Bessie.

– Choćby dlatego – dodała siostra – że teraz te kobiety pomyślą, że im się udało, że nas sparaliżowały!

Bessie Alden odwróciła się plecami, lecz zaraz szepnęła: – To interesujące osoby; z przyjemnością byłabym znów się z nimi spotkała.

– Ja też! – zawołała znacząco pani Westgate.

– I z przyjemnością obejrzałabym zamek – ciągnęła Bessie. – A teraz musimy wyjechać z Anglii.

Siostra spojrzała na nią. – Nie zaczekasz chociaż, żeby pójść do National Gallery?

– Nie teraz.

– Ani do katedry w Canterbury?

Bessie zastanowiła się chwilę. – Możemy się tam zatrzymać w drodze do Paryża.

Lord Lambeth nie przyznał się Percy'emu Beaumontowi, że właśnie zdarzyło się to, co mogło, jak uprzedzał, wcale mu się nie spodobać; niemniej Percy Beaumont na wieść, że Amerykanki opuściły Londyn, zaczął dość intensywnie zastanawiać się, co zaszło; to znaczy, zastanawiał się, aż księżna Bayswater w pewnym stopniu przysłała mu z pomocą. Obie nasze panie udały się do Paryża; pani Westgate, skracając sobie podróż do tego miasta, powtarzała raz po raz: – Tego jednego żałuję; będą myślały, że nas przeraziły. – Ale Bessie Alden chyba niczego nie żałowała.

Plac Waszyngtona

I

Przez część obecnego stulecia, a ściślej, pod koniec jego pierwszej połowy, kwitnącą praktykę w śródmieściu Nowego Jorku prowadził lekarz, któremu być może przypadła w udziale znaczna część owego uznania, jakim w Stanach Zjednoczonych zawsze obdarza się wybitnych przedstawicieli medycznej profesji. Profesja ta w Ameryce budzi niezmienny szacunek i z większym powodzeniem niż gdzie indziej rości sobie prawo do określenia „wolny zawód”. W kraju, gdzie aby odegrać jakąś rolę społeczną, trzeba zarabiać na siebie lub przynajmniej stwarzać takie pozory, sztuka uzdrawiania wydaje się w znacznej mierze łączyć dwa uznane tytuły do chwały: należy do sfery praktycznej, co w Stanach Zjednoczonych stanowi wielką rekomendację, a także spływa na nią blask nauki – cecha doceniana w społeczeństwie, gdzie umiłowanie wiedzy nie zawsze idzie w parze z możliwościami i wolnym czasem. Nieodzowną składową reputacji doktora Slopera była doskonała równowaga między jego wiedzą i umiejętnościami; był, by tak rzec, uczonym doktorem, a przecież jego kuracje nie miały w sobie nic z abstrakcji – zawsze kazał pacjentom coś zażywać. Choć cieszył się opinią niezwykle rzetelnego, nie był nieznośnie przywiązany do teorii, a jeśli nawet czasem wyjaśniał coś bardziej drobiazgowo, niżby pacjent uważał za potrzebne, to nigdy (inaczej niż inni medycy, o których się słyszy) nie posuwał się do tego, by zaufać samym wyjaśnieniom, lecz zawsze zostawiał po sobie zagadkową receptę. Istnieli lekarze, którzy zostawiali receptę, nie udzielając żadnych wyjaśnień; ale on nie zaliczał się i do tej kategorii, w końcu najbardziej pospolitej. Przekonamy się wkrótce, że opisuję tu człowieka bystrego; i właściwie z tego właśnie powodu doktor Sloper stał się miejscową sławą.

W okresie, który głównie nas obchodzi, miał około pięćdziesięciu lat i znajdował się u szczytu popularności. Jako człowiek dowcipny, w najlepszym nowojorskim towarzystwie uchodził za światowca – którym istotnie był w należyтым stopniu. Uprzedzając jakiegokolwiek nieporozumienia, śpieszę też dodać, że nie miał w sobie nic z szarlatana. Był na wskroś uczciwy – uczciwy tak dalece, że być może nie znajdował okazji, by wykazać to w pełnej mierze; i niezależnie od wielkiej życzliwości kręgów objętych jego praktyką, w których bardzo lubiano się chełpić posiadaniem „najbystrzejszego” lekarza w kraju, co dzień potwierdzał talenty przypisywane mu przez głos ogółu. Był obserwatorem, ba, filozofem, toteż bystrość przychodziła mu tak naturalnie i (zdaniem głosu ogółu) łatwo, że nigdy nie silił się na pusty efekt – obce mu były sztuczki i pretensje osób drugorzędnych. Trzeba przyznać, że los mu sprzyjał i że ścieżka do fortuny słała się gładko pod jego stopami. Mając lat dwadzieścia siedem, poślubił uroczą dziewczynę, pannę Catherine Harrington z Nowego Jorku: ożenił się z miłości, ale panna, oprócz licznych wdzięków, wniosła mu bardzo pokaźny posag.

Pani Sloper była miła, wdzięczna, wykształcona i elegancka; w 1820 roku uchodziła za piękność w skupionym wokół Battery, małym, lecz obiecującym kwartale miasta nad zatoką, którego górną granicę wyznaczały trawiaste pobocza Canal Street. Austin Sloper, mimo że miał tylko lat dwadzieścia siedem, zdążył już sobie wyrobić dostatecznie mocną markę, by uczynić zadość dziwnej anomalii, że młoda modna kobieta, posiadająca dziesięć tysięcy rocznego dochodu i najśliczniejsze oczy na wyspie Manhattan, spośród tuzina konkurentów wybrała właśnie jego. Oczy te i niektóre towarzyszące im cechy stanowiły przez blisko pięć lat źródło najwyższej przyjemności dla młodego lekarza, który był bardzo oddanym i niezwykle szczęśliwym małżonkiem.

Ożenek z bogatą panną nie miał zresztą żadnego wpływu na drogę, jaką sobie wytyczył; uprawiał swój zawód tak samo nieustępliwie jak wówczas, gdy nie miał innych środków utrzymania prócz części skromnej ojcowizny, którą po śmierci ojca podzielił się z siostrami i braćmi. Nie chodziło mu bynajmniej o to, by dobrze zarabiać – raczej, by czegoś się nauczyć i czegoś dokonać. Nauczyć się czegoś ciekawego i robić coś pożytecznego: taki, z grubsza biorąc, program sobie naszkicował – program, którego słuszności, jego zdaniem, nie podważał fakt, że jego żona przypadkiem miała własne dochody. Lubił swoją praktykę, lubił korzystać z umiejętności, których miłą świadomość posiadał; było tak oczywiste, że mógł być tylko lekarzem, nikim innym, iż uparcie starał się być lekarzem najlepiej, jak potrafił. Bezsprzecznie, dostatnie położenie oszczędziło mu zbędnego trudu, a koligacje żony z „najlepszym towarzystwem” przysporzyły owych pacjentów, których choroby, same w sobie, być może nie są bardziej interesujące niż schorzenia klas niższych, ale przynajmniej bardziej konsekwentnie się ujawniają. Pragnął doświadczenia i w trakcie dwudziestu lat zyskał go bardzo wiele. Należy jednak dodać, że niekiedy doświadczenie to przybierało formy, których, bez względu na ich rzeczywistą wartość, nie można było powitać z radością. Pierwsze dziecko, niezwykle obiecujący chłopczyk – doktor, nieskłonny do łatwych uniesień, był o tym niezłomnie przekonany – zmarło w wieku trzech lat mimo wszystkiego, co czułość matki i wiedza ojca były w stanie uczynić, aby je ocalić. Dwa lata później pani Sloper powiła kolejne dziecko; jednak płęć maleństwa od razu skazała je w oczach doktora na rolę marnej namiastki nieodżałowanego pierworodnego syna, którego obiecywał sobie wychować na wybitnego mężczyznę. Dziewczynka stanowiła rozczarowanie; ale nie dość na tym: tydzień po rozwiązaniu młoda matka, która, jak to się mówi, dochodziła już do siebie, nagle zaczęła zdradzać zatrważające objawy i przed upływem tygodnia Austin Sloper został wdowcem.

Jak na człowieka, którego celem jest utrzymywanie ludzi przy życiu, niewątpliwie we własnym domu spisał się marnie; poza tym młody lekarz, który w ciągu trzech lat traci żonę i synka, musi być przygotowany na to, że ktoś zakwestionuje jego uczucia lub umiejętności. Nasz przyjaciel wszakże uniknął krytyki; a raczej, uniknął wszelkiej krytyki poza własną, najbardziej przecież miarodajną i znaczącą. Brzemie osobistego potępienia dźwigał do końca swoich dni; i już zawsze nosił ślady chłosty, którą w noc śmierci żony wymierzyła mu najsilniejsza ręka, jaką znał. Świat, który, jak już wspomniałem, wysoko go cenił, zbyttno się nad nim litował, by ironizować; nieszczęście uczyniło go bardziej interesującym, a nawet pomogło mu stać się modnym. Zwracano

jedynie uwagę, że najpodstępniejsze formy chorób nie omijają nawet rodzin lekarzy i że w końcu doktor Sloper stracił również innych pacjentów oprócz wspomnianych dwojga, co stanowiło honorowy precedens. Została mu córeczka i choć nie była wszystkim, czego by sobie życzył, postanowił, że zrobi, co się da. Posiadał spory zapas niewydatkowanego autorytetu, z czego dziewczynka we wczesnym dzieciństwie odniosła dużą korzyść. Imię, ma się rozumieć, dostała po biednej matce – doktor nie nazywał jej inaczej niż Catherine, nawet gdy była jeszcze niemowlęciem. Wyrosła na krzepkie i zdrowe dziecko i ojciec, patrząc na nią, często powtarzał sobie, że jaka by była, przynajmniej nie musi się obawiać, że ją straci. Powiadam „jaka by była”, albowiem, prawdę mówiąc... Ale z tą prawdą jeszcze się trochę wstrzymam.

II

Kiedy córka miała jakieś dziesięć lat, doktor poprosił siostrę, panią Penniman, by przyjechała i zamieszkała w jego domu. Były tylko dwie panny Sloper i obie wcześniej wyszły za mąż. Młodsza została żoną zamożnego kupca nazwiskiem Almond oraz matką kwitnącej rodziny. Sama również wyglądała kwitnąco; była urodziwą, przyjemną, rozsądną kobietą, ulubienicą swego bystrego brata, który w kwestii kobiet, nawet blisko spokrewnionych, miał bardzo wyraźne preferencje. Wolał panią Almond od swej drugiej siostry, Lavinii, która poślubiła ubogiego duchownego o słabym zdrowiu i kwiecistym stylu, po czym w wieku lat trzydziestu trzech została wdową bez dzieci i majątku – została z niczym, wyjąwszy wspomnienie kwiatów wymowy pana Pennimana, których nieuchwytna woń unosiła się wokół jej własnych rozmów. Niemniej doktor zaprosił ją pod swój dach, co Lavinia przyjęła ze skwapliwością osoby, która dziesięć lat małżeńskiego życia spędziła w mieście Poughkeepsie. Doktor nie proponował pani Penniman, by została u niego przez czas nieokreślony; sugerował jedynie, by przebywając w jego domu, rozejrzała się za jakimś nieumeblowanym pokojem gdzie indziej. Nie wiadomo, czy pani Penniman kiedykolwiek zaczęła szukać takiego mieszkania, lecz nie ulega dyskusji, że go nie znalazła. Osiadła u brata, aby go już nigdy nie opuścić, i gdy Catherine skończyła dwadzieścia lat, ciotka Lavinia wciąż była jednym z najbardziej uderzających elementów jej bezpośredniego *entourage*. Według relacji samej pani Penniman, została, aby zająć się wykształceniem bratanicy – taką wersją w każdym razie raczyła wszystkich oprócz doktora, ten bowiem nigdy nie prosił o wyjaśnienia, które sam dla zabawy mógł wymyślić w każdej chwili. Ponadto pani Penniman, choć wyposażona w sporą dozę swoistej, sztucznej pewności siebie, z nieokreślonych powodów cofała się przed przedstawianiem się bratu jako krynica mądrości. Jej poczucie humoru nie było zbyt duże, dostatecznie jednak rozwinięte, by ją uchronić przed tym konkretnym błędem; jej brat zaś ze swej strony miał go dosyć, by wybaczyć siostrze, że nałożyła nań kontrybucję właściwie dożywotnią. Dlatego też milcząco zgodził się na propozycję, którą pani Penniman równie milcząco wysunęła, że biedna, pozbawiona matki dziewczyna powinna mieć przy sobie jakąś błyskotliwą

kobietę. Jego zgoda musiała być milcząca, albowiem błysk siostrzanego intelektu jakoś nigdy go szczególnie nie olśnił. W istocie, nigdy nie czuł się olśniony żadną kobiecą cechą, chyba że wtedy gdy zakochał się w Catherine Harrington; i choć w pewnej mierze był tak zwanym damskim lekarzem, nie żywił zbyt wygórowanej opinii o tej bardziej skomplikowanej płci. Uważał owe komplikacje za ciekawe raczej niż pouczające, miał także pewne wyobrażenie o pięknie rozumu, na ogół miernie zaspokajane przez to, z czym miewał do czynienia u swoich pacjentek. Jego żona była kobietą rozumną, ale stanowiła jaskrawy wyjątek; wśród kilku rzeczy, których był pewien, ta należała do zasadniczych. Takie przekonanie, oczywiście, nie przyczyniało się do złagodzenia lub skrócenia jego wdowieństwa; wyznaczało także granice jego uznaniu – w najlepszym razie – dla możliwości Catherine oraz starań pani Penniman. Niemniej po pół roku uznał stałą obecność siostry za fakt dokonany, z czasem zaś pojął, że ostatecznie istnieją słuszne racje, by dorastająca Catherine miała towarzyszkę własnej, niedoskonałej płci. Okazywał Lavinii niezwykłą uprzejmość, skrupulatną i oficjalną; siostra raz tylko widziała go rozgniewanego, gdy stracił cierpliwość podczas teologicznej dysputy z jej zmarłym mężem. Z nią wszakże nigdy nie dyskutował o teologii, właściwie nie dyskutował z nią o niczym; zadowalał się powiadamianiem jej, bardzo wyraźnie, w formie klarownego ultimatum, jakie są jego życzenia w kwestii Catherine.

Pewnego razu, gdy dziewczynka miała około dwunastu lat, powiedział:

– Lavinio, spróbuj z niej zrobić mądrą kobietę; chciałbym, żeby była mądra.

Na te słowa pani Penniman zamyśliła się trochę.

– Austinie, mój drogi – zapytała – sądzisz, że lepiej być mądrą niż dobrą?

– Dobrą do czego? – odparł doktor. – Żeby być do czegoś dobrą, trzeba być mądrą.

Pani Penniman nie widziała powodu, by kwestionować to zdanie; być może nawet doszła do wniosku, że własną użyteczność w świecie zawdzięcza swym wielorakim zdolnościom.

– Oczywiście, że chcę, aby Catherine była dobra – podjął doktor następnego dnia – ale nie ubędzie jej cnoty przez to, że nie będzie głupia. Podłość jej nie grozi; w jej charakterze nie ma i nie będzie ani szczypty złośliwości. Jest dobra jak chleb, jak powiadają Francuzi; ale nie chciałbym za sześć lat porównać jej do dobrego chleba z masłem.

– Boisz się, że będzie mdła? Drogi bracie, to ja dostarczam masła, więc nie musisz się obawiać! – odrzekła pani Penniman, która zajęła się doskonaleniem dziewczynki, pilnując jej przy pianinie, do czego Catherine przejawiała pewien talent, oraz towarzysząc na lekcje tańca, gdzie, trzeba przyznać, nieszczęśliwie się wyróżniała.

Pani Penniman była kobietą wysoką, chudą, jasnowłosą i dość wyblakłą, obdarzoną pogodnym usposobieniem, wysokim poziomem afektacji, upodobaniem do lekkiej literatury oraz pewną niemądrą skrytością i pokrętnością charakteru. Była romantyczna, była sentymentalna, żywiła namiętność do małych tajemnic i sekretów, zresztą namiętność bardzo niewinną, gdyż z tych sekretów, jak dotychczas, miała tyle pożytku, co ze zgniłych jaj. Nie była bezwzględnie prawdomówna; lecz defekt ten nie miał większych konsekwencji, gdyż nigdy nie miała nic do ukrycia. Pragnęła mieć

adoratora i korespondować z nim pod przybranym nazwiskiem, zostawiając mu liściki w jakimś sklepiku; powinienem tu dodać, że na tym kończyły się jej wyobrażenia o intymności. Nigdy adoratora nie miała, lecz jej brat, człowiek bardzo przenikliwy, rozumiał, o co jej chodzi. „Kiedy Catherine będzie miała jakieś siedemnaście lat – mawiał do siebie – Lavinia spróbuje ją przekonać, że jakiś młodzieniec z wąsikiem jest w niej zakochany. Będzie to całkowita nieprawda, bo żaden młodzieniec, z wąsikiem czy bez, nigdy nie zakocha się w Catherine. Ale Lavinia nie ustąpi i spróbuje jej to wmówić; być może nawet, jeśli nie przeważą w niej skłonność do potajemnych działań, spróbuje to wmówić mnie. Catherine tego nie zauważy i nie da temu wiary, szczęśliwie zachowując spokój ducha; gdyż Catherine, biedactwo, nie jest romantyczna”.

Catherine była zdrową, wyrosniętą dziewczyną bez śladu urody swej matki. Nie była brzydka; po prostu miała zwyczajną, poczciwą, łagodną twarz. Co najwyżej mówiono o niej, że ma „miłą” buzię, i chociaż dziedziczyła po swej matce, nikomu nigdy nie przyszło do głowy, by uznać ją za piękność. Opinia ojca o jej moralnej czystości w pełni się potwierdzała; dziewczyna była doskonale, niewzruszenie dobra; kochająca, potulna, uległa i wielce przywiązana do mówienia prawdy. W młodszym wieku uchodziła za bardzo rozhasaną i choć niezręcznie mi wyznać to o swojej heroinie, muszę dodać, że była dosyć żarłoczna. Co prawda nigdy, o ile mi wiadomo, nie wykradała rodzynków ze spiżarni, lecz całe kieszonkowe wydawała na ciastka z kremem; tu jednak żaden biograf, chcący bez popadania w sprzeczność wejrzeć w annały własnego dzieciństwa, nie powinien zajmować zbyt krytycznego stanowiska.

Catherine stanowczo nie była mądra; nie przejawiała bystrości w nauce ani właściwie w żadnej innej dziedzinie. Trudno ją nazwać upośledzoną, posiadała też wystarczającą wiedzę, by jako tako sobie radzić w rozmowie z rówieśnikami, wśród których wszakże, należy to wyraźnie stwierdzić, zajmowała zwykle drugorzędne miejsce – a w Nowym Jorku, jak wiadomo, nawet bardzo młoda panna może się wybić na plan pierwszy. Jednak Catherine była niezwykle skromna i nie lubiła błyszczeć w towarzystwie; na zabawach, jak się je określa, zazwyczaj dostrzegało się ją w cieniu, na drugim planie. Ogromnie lubiła swego ojca i bardzo się go bała: był dla niej najprzystojniejszym, najmądrzejszym i najsłynniejszym z ludzi. Biedaczka tak dalece spełniała się w uwielbieniu, że lekki dreszcz bojaźni nie dość, że nie stępiał jej córczynej miłości, to jeszcze ją zaostrzał. Jej najgłębszym pragnieniem było sprawianie ojcu przyjemności; miarą szczęścia – świadomość, że udało jej się tego dokonać. Nigdy jednak nie zdołała przekroczyć pewnych granic; i choć, ogólnie rzecz biorąc, okazywał jej wielką dobroć, wiedziała o tym doskonale, toteż osiągnięcie owego punktu wydawało się jej czymś, dla czego warto żyć. Nie mogła natomiast wiedzieć, że stanowiła dlań rozczarowanie, aczkolwiek doktor trzy lub cztery razy niemal otwarcie się z tym zdradził. Dorastała w spokoju i dostatku, niemniej w wieku lat osiemnastu nadal nie była tą rozumną panną, jaką miała z niej zrobić pani Penniman. Doktor Sloper chciał chlubić się córką, tymczasem biedna Catherine nie miała w sobie nic, co mogło być powodem do chluby. Oczywiście, nie dawała też powodu do wstydu, ale to nie wystarczało doktorowi, który sam był człowiekiem dumnym i cieszyłby się, mogąc uznać córkę za wyjątkową dziewczynę. Jakże stosowne byłoby, gdyby okazała się ładna i zgrabna, inteligentna

i dystygowana – przecież jej matka za swego krótkiego życia była nader czarującą kobietą, co się zaś tyczy ojca, to znał swoją wartość. Chwilami więc doktor czuł rozdrażnienie na myśl, że spłodził pospolite dziecko; ba, czasem nawet posuwał się do tego, że czerpał pewną satysfakcję z faktu, iż jego żona dożyła tego odkrycia. Rzecz naturalna, dochodził do tego wniosku dość powoli, toteż uznał sprawę za przesadzoną dopiero wtedy, gdy Catherine stała się dorosłą panną. Wiele razy tłumaczył wątpliwości na jej korzyść i nie śpieszył się z konkluzją. Pani Penniman często go zapewniała, że jego córka ma uroczy charakter, wiedział jednak, jak traktować te zapewnienia. Wedle jego rozeznania oznaczały po prostu, że Catherine nie ma dość rozumu, by dostrzec, że jej ciotka to gęś – ułomność umysłu, która niechybnie musiała być miłą pani Penniman. Jednak oboje, brat i siostra, przesadzali w ocenie ograniczeń dziewczyny; Catherine bowiem, choć bardzo do ciotki przywiązana i świadoma należnej wdzięczności, postrzegając ją bez krztyny owej łagodnej grozy, która cechowała jej podziw dla ojca. Pani Penniman nie miała w sobie nic nieskończonego; Catherine widziała ją, by tak rzec, w całej okazałości i nie była tą wizją olśniona; gdy tymczasem wielkie zdolności ojca, zda się, ginęły gdzieś daleko przed nią w mglistej poświacie, co dowodziło nie tyle, że się tam kończą, ile że umysł Catherine nie jest w stanie za nimi nadążyć.

Nie należy sądzić, że doktor Sloper dał biedaczce odczuć swoje rozczarowanie bądź że kiedykolwiek pozwolił jej podejrzewać, że spłatała mu figla. Przeciwnie, bał się, że jest dla niej niesprawiedliwy, więc gorliwie spełniał swoje powinności, doceniając oddanie i serdeczność córki. Poza tym był filozofem: okraślił swe rozczarowanie sporą liczbą cygar i w końcu się do niego przyzwyczaił. Powtarzał sobie, że się niczego nie spodziewa, choć, prawdę mówiąc, rozumował przy tym dość osobliwie: „Niczego się nie spodziewam – mawiał – więc jeśli sprawi mi jakąś niespodziankę, to będzie czysty zysk. A jeśli nie, to żadna strata”. Mniej więcej wtedy Catherine ukończyła osiemnaście lat, widzimy więc, że ojciec nie sądził jej zbyt pochopnie. Bodaj nie tylko nie umiałyby wówczas sprawić niespodzianki, taka była bierna i spokojna – pytanie, czy w ogóle potrafiłyby niespodziankę dostrzec. Ludzie, którzy wyrażali się dosadnie, mówili o niej, że jest flegmatyczna – lecz jej bierność była po prostu skutkiem nieśmiałości, niezręcznej, bolesnej nieśmiałości. Nie zawsze to rozumiano; czasem uważano ją za niewrażliwą; lecz w rzeczywistości była to najdelikatniejsza istota pod słońcem.

III

Jako dziecko zapowiadała się na wysoką, lecz w wieku lat szesnastu przestała rosnać, toteż jej wzrost, podobnie jak inne cechy fizyczne, nie zaliczał się do wyjątkowych. Była jednak silna i dobrze zbudowana i na szczęście odznaczała się doskonałym zdrowiem. Odnotowaliśmy już, że doktor był filozofem, lecz nie ręczyłbym za jego filozoficzność, gdyby biedaczka okazała się dzieckiem chorowitym i cierpiącym. Jej główny tytuł do urody stanowił zdrowy wygląd; przyjemnie było patrzeć na jej świeżą, czystą cerę, w której równomiernie rozkładały się czerwień i biel. Miała nieduże spokojne oczy,

grube rysy, włosy brązowe i gładkie. Nudna, nieładna dziewczyna, mówili ludzie bardziej wymagający – cicha, dobrze ułożona panna, odpowiadali ci obdarzeni większą wyobraźnią; lecz ani jedni, ani drudzy nie rozmawiali o niej bardziej drobiazgowo. Kiedy jej należycie uświadomiono, że jest młodą damą – długo trwało, zanim w to uwierzyła – nagle nabrała żywego upodobania do strojów; „żywe” to stosowne określenie. Czuję zresztą, że powinienem to zapisać drobnym maczkiem, gdyż jej gust w tej kwestii bynajmniej nie był nieomylny, często stając się przyczyną konsternacji i konfuzji. Owa słabość była właściwie pragnieniem natury niezbyt wyrazistej, aby się zmanifestować; za pomocą garderoby chciała przejawiać elokwencję, zrekompensować nieśmiałość wypowiedzi piękną szczerością kostiumu – skoro jednak wypowiadała się przez ubiór, to z pewnością trudno mieć za złe, że nie brano jej za osobę dowcipną. Trzeba dodać, że chociaż spodziewała się majątku – doktor Sloper przez dłuższy czas zarabiał w swoim zawodzie dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie, z czego połowę odkładał – miała do dyspozycji kwotę nie większą niż kieszonkowe wielu uboższych dziewcząt. W Nowym Jorku ówczesnej doby na ołtarzach republikańskiej prostoty wciąż jeszcze gdzieniegdzie tliły się świątynne ognie i doktor Sloper byłby rad, widząc córkę występującą z klasyczną gracją w roli kapłanki tej niegroźnej wiary. Na osobności aż krzywił się na myśl, że jego dziecko jest tyleż brzydkie, co przesadnie wystrojone. Osobiście lubił dobre rzeczy w życiu i czynił z nich spory użytek; czuł jednak lęk przed pospolitością i miał nawet teorię, że otaczające go społeczeństwo przejawia ją w coraz większym stopniu. Ponadto, poziom luksusu w Stanach Zjednoczonych przed trzydziestu laty w żadnym razie nie dorównywał obecnemu, tymczasem mądry ojciec Catherine żywił staroświecki pogląd na wychowanie młodzieży. Nie miał na ten temat żadnej szczególnej teorii: na razie nie istniała konieczność, by kolekcjonował teorie w obronie własnej. Po prostu nie wydawało mu się słuszne czy rozsądne, by dobrze wychowana panna nosiła na grzbiecie połowę swej fortuny. Grzbiet Catherine należał do szerokich i uniósłby bardzo wiele, jednak nasza bohaterka nigdy nie odważyła się wziąć na siebie ciężaru ojcowskiego niezadowolenia; toteż mimo że od wielu lat w cichości ducha pragnęła wieczorowej sukni z czerwonego atłasu, zdobionej złotą frędzlą, pozwoliła sobie na nią dopiero w wieku lat dwudziestu. Wyglądała w niej na kobietę trzydziestoletnią, ale dziwna rzecz: mimo skłonności do pięknych toalet nie miała w sobie ani odrobiny kokieterii i przywdziewając je, martwiła się o ich korzystny wygląd, a nie własny. I chociaż w kwestii tej historia nie wypowiada się jasno, usprawiedliwione jest następujące założenie: w tym właśnie królewskim ubiorze Catherine zaprezentowała się na małym przyjęciu wydanym przez jej ciotkę, panią Almond. Dla dziewczyny wówczas niespełna dwudziestoletniej przyjęcie u pani Almond stało się początkiem czegoś bardzo ważnego.

Trzy lub cztery lata wcześniej doktor Sloper przeniósł swe lary i penaty do lepszej dzielnicy, *up town*, jak to mówią w Nowym Jorku. Tuż po ślubie zamieszkał w budynku z czerwonej cegły, z granitowym zwieńczeniem i ogromnym świetlikiem nad drzwiami, przy ulicy odległej od ratusza o pięć minut spacerem, której najlepsze czasy (z towarzyskiego punktu widzenia) przypadły około 1820 roku. Potem jednak nurt mody stopniowo przesunął się na północ – w samej rzeczy, to nieuniknione w Nowym

Jorku, gdzie płynie on bardzo wąskim korytem – i rozgwar ulicznego ruchu rozlał się na lewo i prawo od Broadwayu. W chwili gdy doktor zmieniał miejsce zamieszkania, pomruk handlu zamienił się już w potężny ryk, brzmiały niczym muzyka w uszach poczciwych mieszczan zainteresowanych handlowym rozwojem, jak z lubością mawiali, swej szczęśliwej wyspy. Doktor Sloper interesował się tym zjawiskiem tylko pośrednio – choć mógłby nieco żywiej, zważywszy na to, że z biegiem lat połowę jego pacjentów zaczęli stanowić przepracowani ludzie interesu – kiedy więc większość sąsiednich domów (również mających granitowe zwieńczenia i duże świetliki) zamieniono w biura, hurtownie i agencje przewozowe oraz w inny sposób wykorzystano do niskich komercyjnych potrzeb, postanowił się rozejrzeć za czymś spokojniejszym. Ideał cichej i nobliwej siedziby osiągnięty został w roku 1835 na placu Waszyngtona, gdzie doktor postawił sobie ładny, nowoczesny, przestronny dom, w którym okna salonu wychodziły na duży balkon, a białe marmurowe schody wiodły na ganek, również licowany białym marmurem. Budynek ten, jak wiele sąsiednich, które dokładnie przypominał, czterdzieści lat temu miał ucieleśniać najnowsze dokonania wiedzy o architekturze i po dziś dzień pozostaje nader solidnym i czcigodnym domostwem. Rozciągający się przed nim plac porośnięty był niedrogą roślinnością i otoczony drewnianym ogrodzeniem, co nadawało mu wygląd wiejski i dostępny; natomiast zaraz za rogiem zaczynał się dostojniejszy dystrykt Piątej Alei, która w tym miejscu brała swój początek pewnie i z rozmachem, już teraz typującym ją do wyższych celów. Nie wiem, czy to skutek pierwotnych, czułych skojarzeń, ale ten kwartał Nowego Jorku wielu ludziom wydaje się najrozkoszniejszy. Panuje tu coś w rodzaju zasiedziałego spokoju, rzecz niezbyt częsta w innych dzielnicach rozległego, rozkrzyczanego miasta; tutejsza okolica wygląda dojrzałej, zamożniej, szlachetniej niż którakolwiek z górnych narośli wielkiej przecinającej ją arterii – wygląda, jakby miała jakąś historię społeczną. Tu właśnie, jak mogłeś się dowiedzieć z wiarygodnych źródeł, wchodziłeś w świat, który zdawał się oferować ciekawe możliwości; tutaj, w czcigodnym odosobnieniu, mieszkała twoja babka, której szczodra gościnność przemawiała zarówno do dziecięcej wyobraźni, jak i do dziecięcego podniebienia; stąd wyruszałeś na pierwsze wyprawy w świat, drepcząc za niańką niepewnymi kroczkami, tu wdychałeś dziwny zapach bożodrzewów – w owych czasach głównego źródła cienia na placu – nie byłeś bowiem jeszcze dość krytyczny, by zniechęcić tę woń, tak jak na to zasługiwała; tu wreszcie mieściła się twoja pierwsza szkoła, gdzie piersiasta, biodrzasta jejmość z liniałem w dłoni, pijąca herbatę w niebieskiej filiżance z niedobranym spodkiem, poszerzała zakres twoich obserwacji i doznań. Tu w każdym razie moja bohaterka spędziła wiele lat życia; co być może uzasadnia mój

topograficzny wtęret.

Pani Almond mieszkała znacznie dalej od śródmieścia, na ledwie zarysowanej ulicy o wysokim numerze – w rejonie, gdzie rozszerzenie miasta zaczynało być czystą teorią, gdzie obok bruku (jeśli takowy istniał) rosły topole, których cień wtapiał się w mrok stromych dachów nielicznych domostw w holenderskim stylu, i gdzie w rynsztokach taplały się świny i kurczaki. Takie wiejskie, malownicze obrazki już całkiem zniknęły z ulicznej scenerii Nowego Jorku; przetrwały wszakże w pamięci osób w średnim wieku,

w kwartałach, które dziś spłonęłyby rumieńcem na samo wspomnienie takiej przeszłości. Catherine miała wielu kuzynów, a z dziećmi ciotki Almond, obecnie dziewięciorgiem, łączyła ją spora zażyłość. Gdy była młodsza, trochę się jej bały; uważały ją, jak to się mówi, za wielce wykształconą, ponadto ktoś, kto był tak blisko z ciotką Penniman, musiał lśnić pewnym odbitym splendorem. W małych Almondach pani Penniman wzbudzała bardziej podziw niż sympatię; zachowywała się dziwnie i onieśmielająco, a jej żałobny strój – przez dwadzieścia lat po śmierci męża nosiła się całkiem na czarno, by nagle, pewnego ranka, pojawić się z różyczkami przy kapturku – komplikował się niespodziewanie na skutek spinek, dżetów i klamerek, co zniechęcało do poufałości. Dzieci traktowała zbyt surowo, czy były dobre czy złe, ponadto rozsiewała w krąg męczącą aurę oczekiwania rzeczy subtelnych, toteż idąc do niej z wizytą, czuły się trochę tak, jakby zabrano je do kościoła i zmuszono do siedzenia w pierwszej ławce. Po pewnym czasie wyszło jednak na jaw, że ciotka Penniman to zaledwie epizod w życiu Catherine, nie zaś część jej istoty, i że kiedy dziewczynka przyjeżdża w sobotę, da się z nią bawić w Ojca Wirgiliusza, a nawet grać w „żabki”. Na tej podstawie łatwo osiągnięto porozumienie i przez kilka lat Catherine bratała się z młodymi krewniakami. Powiadam „bratała”, gdyż wśród młodych Almondów było siedmiu chłopców, a Catherine miała upodobanie do zabaw, które najwygodniej uprawiać w spodniach. Stopniowo jednak krótkie spodenki Almondów zaczęły się wydłużać, a ich właściciele rozproszyli się, by znaleźć sobie inne miejsca w życiu. Starszych chłopców wysłano do college’ów lub umieszczono w biurach rachunkowych, jedna z dziewcząt nader punktualnie wyszła za mąż, inne równie punktualnie się zaręczyły. Z tej to właśnie okazji pani Almond postanowiła wydać wzmiankowane małe przyjęcie – jej córka miała wyjść za krzepkiego młodego maklera, chłopca w wieku lat dwudziestu; uznano, że to bardzo dobra partia.

IV

Pani Penniman, przyozdobiona większą niż kiedykolwiek liczbą sprzączek i klamerek, oczywiście przybyła na zabawę, prowadząc ze sobą bratanicę; doktor również obiecał zajrzeć trochę później. Zanosiło się na mnóstwo tańców, lecz ledwie się zaczęły, do Catherine podeszła Marian Almond w asyście wysokiego młodzieńca. Przedstawiła go jako kogoś, kto ma wielką ochotę poznać naszą bohaterkę, a ponadto jest kuzynem jej narzeczonego, Arthura Townsenda.

Marian Almond była ładną siedemnastoletnią osobką z drobną figurą i wielką szarfą, o wytwornych manierach, których małżeństwo nie mogło w niczym poprawić. Już teraz miała obejście gospodyni: witała gości, strzepywała wachlarz, twierdziła, że skoro musi się zająć tyloma ludźmi, pewnie nie będzie miała czasu tańczyć. Przedstawiła kuzyna pana Townsenda w długiej przemowie, po czym lekko uderzyła go wachlarzem i odeszła do innych obowiązków. Catherine z tej wypowiedzi zrozumiała niewiele; całą jej uwagę pochłaniała przyjemność, jaką dawała towarzyska swoboda Marian i potok jej myśli

oraz widok na kawalera, który był wyjątkowo przystojny. Zdołała wszakże – co nie zawsze jej się udawało, gdy ktoś był jej przedstawiany – pochwycić jego nazwisko, wyraźnie takie samo jak młodego maklera kuzynki. Prezentacje zawsze peszyły Catherine; były to dla niej trudne momenty, dziwiła się nawet, że niektórzy ludzie – na przykład, w tej chwili, jej nowy znajomy – tak mało się nimi przejmują. Zastanawiała się, co powiedzieć i co się stanie, jeśli nie powie nic – i na razie skutki były bardzo miłe: pan Townsend bowiem, nie dając jej czasu na skrępowanie, wszczął rozmowę z pogodnym uśmiechem, jakby znali się od roku.

– Jakie cudowne przyjęcie! Jaki uroczy dom! Jaka ciekawa rodzina! Jaką ładną dziewczyną jest pani kuzynka!

Uwagi te, same w sobie niezbyt głębokie, pan Townsend zdawał się wygłaszać w dobrej wierze, jako swój wkład w znajomość. Patrzył Catherine prosto w oczy. Nie odpowiadała; słuchała tylko i przyglądała mu się; on zaś, jakby nie spodziewając się konkretnej odpowiedzi, mówił dalej z wielką swobodą, w ten sam przyjazny i naturalny sposób. Catherine, choć nie mogła wykrztusić słowa, nie odczuwała żadnego skrępowania; uznała za właściwe, że on mówi, a ona po prostu na niego patrzy. Wydawało się to naturalne – był taki przystojny, a raczej, jak to ujęła w duchu, taki piękny. Muzyka, która na pewien czas ucichła, nagle zaczęła grać; wówczas, uśmiechając się jeszcze żywiej i wymowniej, zapytał ją, czy uczyni mu ten zaszczyt i z nim zatańczy. Nawet na tę prośbę nie udzieliła głośnej zgody; po prostu pozwoliła, by objął ją w talii – co czyniąc, uświadomiła sobie wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, że to szczególne miejsce dla męskiego ramienia – i po chwili już prowadził ją wokół sali do harmonijnych obrotów polki. Gdy przystanęli, poczuła, że jest zaczerwieniona; przez moment przestała na niego patrzeć. Zaczęła się wachlować, przyglądając się malowanym kwiatom na wachlarzu. Zapytał, czy chce znów zatańczyć, ona zaś zawahała się, wciąż wpatrzona w kwiaty.

– Kręci się pani w głowie? – zapytał bardzo życzliwym tonem.

Wówczas Catherine podniosła na niego oczy; naprawdę był piękny i wcale nie poczerwieniał. – Tak – odparła, właściwie nie wiedząc dlaczego, gdyż od tańca nigdy nie kręciło jej się w głowie.

– Ach, cóż, w takim razie – rzekł pan Townsend – siądźmy spokojnie i porozmawiajmy. Znajdę odpowiednie miejsce.

Znalazł miejsce bardzo odpowiednie, wręcz urocze – maleńką kanapę, jakby przeznaczoną dla dwóch osób. W salach balowych robiło się tłoczno; tancerzy przybywało i goście stali zwrócenii plecami do Catherine i jej towarzysza, którzy znaleźli się jakby na osobności, niezauważani przez nikogo. „Porozmawiamy”, zapowiedział młody człowiek, ale nadal mówił tylko on; Catherine odchyliła się do tyłu i spoglądała na niego z uśmiechem. Jest bardzo mądry, myślała. Twarz miał jak młodzieńcy na obrazach; takich rysów – delikatnych, rzeźbionych, wykończonych – Catherine nie widziała u żadnego z młodych nowojorczyków, których mijała na ulicy lub spotykała na przyjęciach. Był wysoki i szczupły, lecz wyglądał na niezwykle silnego; Catherine uznała, że przypomina posąg. Ale żaden posąg tak nie mówił i nie miał oczu tak rzadkiej barwy. Pan Townsend nigdy przedtem nie był u pani Almond; czuje się tu

zupełnie obco; to bardzo miło ze strony Catherine, że się nad nim ulitowała. Arthur Townsend to jego kuzyn – niezbyt bliski, właściwie daleki – który wziął go ze sobą, by przedstawić rodzinie. Prawdę mówiąc, w ogóle nie zna Nowego Jorku. Stąd pochodzi; ale od wielu lat tu nie był. Obijał się po świecie i mieszkał w dalekich krajach; wrócił dopiero przed kilkoma miesiącami. Nowy Jork jest bardzo przyjemny; ale on czuje się samotny.

– Widzi pani, ludzie zapominają o człowieku – wyznał, patrząc na Catherine z uśmiechem w swych prześlicznych oczach, pochylając się ku niej z łokciami opartymi na kolanach.

Catherine wydawało się, że kto raz go ujrzał, nie mógłby go zapomnieć; jednak zatrzymała tę refleksję dla siebie, niemal tak, jak zatrzymuje się coś cennego.

Siedzieli tak przez dłuższy czas. Pan Townsend był bardzo dowcipny. Pytał ją o ludzi znajdujących się w pobliżu; próbował odgadywać, kim są, i robił zabawne pomyłki. Krytykował ich swobodnie, zdecydowanie, bezceremonialnie. Catherine nigdy nie słyszała, by ktokolwiek – zwłaszcza młody człowiek – mówił w ten sposób. Tak mógłby przemawiać ktoś w powieści, a jeszcze lepiej w teatrze, na scenie, przy światłach rampy, wpatrzony w widzów, z których każdy patrzyłby na niego; trzeba było podziwiać jego przytomność umysłu. A przecież pan Townsend nie przypominał aktora, wydawał się taki szczerzy, taki naturalny. To było bardzo ciekawe; lecz tymczasem przez tłum przepchnęła się Marian Almond i widząc, że wciąż są razem, wydała lekki drwiący okrzyk, po którym wszyscy się obejrzeli, a Catherine poczuła, że się rumieni. Marian przerwała im rozmowę, nakazując panu Townsendowi – jakby już wyszła za mąż, a on stał się jej kuzynem – pobiec do jej matki, która od pół godziny życzy sobie przedstawić go panu Almondowi.

– Jeszcze się spotkamy! – rzucił pan Townsend do Catherine na odchodnym, co Catherine uznała za wielce oryginalne.

Cioteczna siostra wzięła ją pod ramię i nakłoniła, by się przeszły. – Nie muszę chyba pytać, co sądzisz o Morrisie! – wykrzyknęła.

– Tak ma na imię?

– Nie pytam, co sądzisz o jego imieniu, ale o nim samym – powtórzyła Marian.

– Och, nic szczególnego! – odparła Catherine, po raz pierwszy w życiu niezbyt szczerze.

– Właściwie, chyba mu to powtórzę! – zawołała Marian. – Dobrze mu to robi. Jest okropnie zarozumiały.

– Zarozumiały? – zdumiała się Catherine.

– Tak mówi Arthur, a Arthur wie o nim wszystko.

– Och, nie mów mu! – szepnęła błagalnie Catherine.

– Nie mówić, że jest zarozumiały? Powtarzałam mu to tuzin razy.

Słyszając tę zuchwałą deklarację, Catherine w osłupieniu spojrzała na swoją małą towarzyszkę. „Przypuszczalnie – pomyślała – Marian bierze na siebie tak wiele, bo spodziewa się wyjść za mąż”, zadała sobie jednak pytanie, czy gdyby ona, Catherine, się zaręczyła, również oczekiwano by po niej takich śmiałych czynów.

Pół godziny później ujrzała ciotkę Penniman, która siedząc we wnęce okiennej,

błądziła wzrokiem po sali z głową lekko przekrzywioną na bok i uniesionym do oczu monoklem. Przed nią, lekko zgięty w pasie, stał jakiś młodzieniec, zwrócony plecami do Catherine. Natychmiast poznała te plecy, chociaż nigdy ich nie widziała, bowiem gdy ją opuszczał za namową Marian, uczynił to w najlepszym stylu, nie odwracając się tyłem. Morris Townsend – nazwisko to stało się tak znajome, jakby od pół godziny ktoś szeptał je Catherine do ucha – Morris Townsend, jak przedtem przy niej, teraz przekazywał swoje opinie o zebranych towarzystwie ciotce Penniman; mówił dowcipnie, a ona się uśmiechała jakby z aprobatą. Na ten widok Catherine od razu się oddaliła; nie chciała, by pan Townsend się odwrócił i ją zobaczył. Jednak całe zdarzenie sprawiło jej przyjemność. Rozmawiał z panią Penniman – którą ona również codziennie widywała, mieszkała z nią i rozmawiała – dzięki czemu czuła, że jest jej bliższy, że nawet łatwiej go podziwiać, niż gdyby sama stała się obiektem jego uprzejmości; a to, że najwyraźniej spodobał się ciotce Lavinii, bynajmniej nie zgorszonej ani zdziwionej tym, co mówił, dziewczyna również uznała za osobistą korzyść; albowiem ciotka Lavinia miała bardzo wysokie wymagania, zakorzenione, by tak rzec, w grobie jej zmarłego męża, gdzie, jak zapewniała, leżał pochowany sam duch konwersacji. Któryś chłopiec Almondów, jak nazywała ich Catherine, poprosił naszą bohaterkę do kadryla i przez kolejny kwadrans przynajmniej jej stopy były zajęte. Tym razem nie kręciło jej się w głowie, przeciwnie, jej umysł pozostał bardzo jasny. Kiedy taniec się skończył, znalazła się w tłumie twarzą w twarz z własnym ojcem. Doktor Sloper zazwyczaj miał na ustach uśmiezek, nigdy szeroki uśmiech; teraz również spojrzął na szkarłatną suknię córki z uśmiechem, igrającym w czystych oczach i na gładko wygolonej twarzy.

– Czy to możliwe, że ta olśniewająca osoba to moje dziecko? – zapytał.

Byłby zdziwiony, gdyby mu to powiedziano, niemniej jest faktem, że prawie zawsze zwracał się do córki w formie drwiny. Cieszyła się, gdy się do niej odzywał, lecz musiała, by tak rzec, wyrywać tę przyjemność z większej całości. Zawsze zostawały jakieś resztki, drobne kawałki i skrawki ironii, z którymi Catherine nie wiedziała, co robić, jakby zbyt subtelne na jej własny użytek; a przecież, ubolewając nad ubóstwem swego pojmowania, czuła, że są zbyt cenne, by miały się zmarnować, i wierzyła głęboko, że jeśli nawet ją przerastają, to jednak przyczyniają się do ogólnej ludzkiej mądrości.

– Nie jestem olśniewająca – szepnęła łagodnie, żałując, że nie włożyła innej sukni.

– Jesteś przepyszna, wspaniała, kosztowna – powtórzył ojciec. – Wyglądasz, jakbyś miała osiemdziesiąt tysięcy rocznie.

– No, ale skoro nie mam... – rzekła Catherine nielogicznie. Jak dotąd jej wyobrażenie o przyszłym bogactwie było dość nieokreślone.

– Skoro nie masz, nie powinnaś wyglądać, jakbyś miała. Dobrze się bawisz?

Catherine zawahała się i odwróciła wzrok. – Jestem dość zmęczona – mruknęła. Już wspominałem, że ta zabawa stanowiła dla niej początek czegoś ważnego. Po raz drugi w życiu udzieliła wymijającej odpowiedzi, a dzień, kiedy człowiek zaczyna udawać, to niewątpliwie ważna data. Catherine bowiem nie męczyła się aż tak łatwo.

Niemniej kiedy wracali do domu powozem, zachowywała się tak cicho, jakby istotnie ogarnęło ją zmęczenie. Doktor Sloper natomiast zwrócił się do swej siostry Lavinii

tonem bardzo podobnym do tego, jaki przyjmował wobec Catherine.

– Kim jest ten młodzieniec, który się do ciebie zalecał? – zapytał.

– Ależ, braciszku! – szepnęła pani Penniman z wyrzutem.

– Wydał mi się niezwykle serdeczny. Ilekroć na was zerkiałem przez te pół godziny, robił wrażenie nader oddanego.

– Oddany jest nie mnie, tylko Catherine – odparła pani Penniman. – Właśnie o niej ze mną rozmawiał.

Catherine, która słuchała co sił w uszach, zaprotestowała cicho: – Och, ciociu Penniman!

– Jest bardzo przystojny; bardzo bystry; wypowiada się z dużą... z dużą trafnością – kontynuowała ciotka.

– A więc zakochał się w tej królewskiej istocie? – zapytał doktor z humorem.

– Och, ojcie – westchnęła dziewczyna jeszcze ciszej, głęboko wdzięczna, że w powozie panuje ciemność.

– Tego nie wiem; ale podziwiał jej suknię.

Catherine w ciemnościach nie zadała sobie pytania: „Tylko moją suknię?”. Obwieszczenie pani Penniman uderzyło ją swoim bogactwem, nie miałością.

– Sama widzisz – zwrócił się do niej ojciec – on uważa, że masz osiemdziesiąt tysięcy rocznie.

– Nie wierzę, żeby w ogóle o tym myślał – zawołała pani Penniman – jest na to zbyt wytworny.

– Musiałby być ogromnie wytworny, żeby o tym nie myśleć!

– No bo i jest! – wybuchnęła Catherine wbrew sobie.

– Sądziłem, że już śpisz – odparł jej ojciec. „Godzina wybiła! – dodał w duchu. – Lavinia urządzi Catherine romantyczny epizod. Wstyd płatać takie figle biednej dziewczynie”. – Jakie nazwisko nosi ów dżentelmen? – zapytał głośno.

– Nie dosłyszałam, a nie chciałam się dopytywać. Poprosił, by go mi przedstawiono – oznajmiła pani Penniman z pewną wyniosłością – ale wiesz, jak niewyraźnie mówi Jefferson. – Jefferson to był pan Almond. – Catherine, jak się nazywał ten pan?

Na chwilę, ponad turkotem pojazdu, zapanowała cisza jak makiem zasiał.

– Nie wiem, ciociu Lavinio – odrzekła Catherine bardzo cicho. I mimo całej swej ironii ojciec w to uwierzył.

Odpowiedź na swe pytanie otrzymał jakieś trzy, cztery dni później, kiedy Morris Townsend i jego kuzyn przybyli na plac Waszyngtona. Wracając z przyjęcia do domu, pani Penniman nie wspomniała bratu, że dała miłemu młodzieńcowi – którego nazwiska nie знаła – do zrozumienia, iż ona i jej bratanica będą bardzo rade zobaczyć ich u siebie; ale była ogromnie zadowolona i nawet trochę jej to schlebiało, gdy obydwaj panowie zjawili się w niedzielę późnym popołudniem. Dzięki obecności Arthura Townsenda

spotkanie było łatwiejsze i bardziej naturalne; ten bowiem miał niebawem związać się z rodziną i pani Penniman napomknęła Catherine, że skoro Arthur zamierza poślubić Marian, powinien przez grzeczność złożyć im wizytę. Zapadał późnojesienny zmierzch, toteż Catherine z ciotką siedziały przy kominku w wysokim salonie na tyłach domu.

Arthur Townsend przypadł w udziale Catherine; jego towarzysz usadowił się na kanapie przy pani Penniman. Jak dotąd Catherine nie sądziła ludzi zbyt surowo; łatwo było ją zadowolić – lubiła rozmawiać z młodymi mężczyznami. Jednak tego wieczora poczuła się nieco wybredna, wybranek Marian bowiem siedział wpatrzony w ogień i w milczeniu pocierał dłońmi kolana. Sama Catherine nawet nie udawała, że podtrzymuje rozmowę: całą uwagę skupiła na drugiej stronie salonu, nasłuchując, o czym drugi pan Townsend rozmawia z jej ciotką. Morris co jakiś czas z uśmiechem zerkał w jej stronę, jakby chcąc pokazać, że to, co mówi, skierowane jest również do niej; Catherine miała ochotę przesiaść się bliżej, gdzie mogłaby lepiej widzieć go i słyszeć. Ale przelękła się takiej śmiałości – bała się wydać zbyt chętna, a poza tym byłaby to niegrzeczność wobec małego adoratora Marian. Zastanawiała się, czemu t a m t e n wybrał jej ciotkę – dlaczego ma tyle do powiedzenia pani Penniman, która zazwyczaj nie cieszyła się szczególną atencją młodych ludzi. Nie czuła najmniejszej zawiści wobec ciotki Lavinii, ale trochę jej zazdrościła, a przede wszystkim była ciekawa; albowiem Morris Townsend stanowił obiekt, na którym mogła bez końca ćwiczyć wyobraźnię. Jego kuzyn tymczasem opowiadał o domu, który nabył, mając w perspektywie związek z Marian, i o udogodnieniach, jakie zamierzał tam wprowadzić; o tym, że Marian chciała coś większego, pani Almond zalecała coś mniejszego, on sam zaś był przekonany, że ma najzgrabniejszą posiadłość w Nowym Jorku:

– To nie ma znaczenia – perorował – to tylko na trzy lub cztery lata. Po trzech lub czterech latach się przeprowadzimy. Tak trzeba żyć w Nowym Jorku: przeprowadzać się co trzy lub cztery lata. Wtedy zawsze ma się wszystkie nowinki. To dlatego, że miasto tak szybko się rozrasta, musimy za nim nadążyć. Dalej od centrum, *up town*, tam zmierza Nowy Jork. Gdybym się nie bał, że Marian będzie się przykrzyło, od razu bym zamieszkał jak najdalej i zaczekał na resztę. To tylko dziesięć lat, potem wszyscy do nas dołączą. Ale Marian powiada, że chce mieć sąsiadów, nie zamierza zostać samotną pionierką. Mówi, że jeśli ma być pierwszą osadniczką, to lepiej wyjechać do Minnesoty. Pewnie będziemy przenosić się stopniowo; kiedy ulica nam się znudzi, przesuniemy się wyżej. Tak więc, widzicie, zawsze będziemy mieszkać w nowym domu; nowy dom to czysty zysk, dostaje się najnowsze ulepszenia. Wynajdują wszystko od nowa mniej więcej co pięć lat, a nadążać za nowinkami to świetna rzecz. Zawsze próbuję śledzić wszelkie nowości. Nie sądzisz, że to dobre motto dla młodej pary: „piąć się wyżej”? Tak jak w tym wierszu... jak on się nazywa?... *Excelsior!*

Catherine poświęcała młodemu gościowi tylko tyle uwagi, aby pojąć, że Morris Townsend jakoś inaczej mówił tamtego wieczoru, a także i teraz, gdy rozmawiał z jej szczęsną ciotką. Jednak nagle jej przyszły powinowaty bardziej ją zainteresował: najwyraźniej uświadomił sobie, że poruszyła ją obecność jego towarzysza, i uznał za stosowne wytłumaczyć:

– Kuzynek prosił, żeby go przyprowadzić, inaczej nigdy bym sobie na to nie pozwolił.

Zdaje się, że bardzo chciał tu przyjść; wiesz, że jest strasznie towarzyski. Mówiłem mu, że powinienem cię najpierw zapytać, na co oświadczył, że pani Penniman go zaprosiła. Powie cokolwiek, żeby się gdzieś wybrać! Ale pani Penniman chyba uważa, że wszystko w porządku.

– To miło, że przyszedł – odrzekła Catherine. Pragnęła jeszcze o nim porozmawiać, ale nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. – Nigdy go przedtem nie widziałam – oznajmiła wreszcie.

Arthur Townsend wlepił w nią zdumiony wzrok.

– Jak to, mówił, że onegdaj rozmawiał z tobą przez pół godziny!

– To znaczy, wcześniej. To był pierwszy raz.

– Och, nie było go w Nowym Jorku; podróżował po całym świecie. Nie ma tu zbyt wielu znajomych, ale jest bardzo towarzyski i chce wszystkich poznać.

– Wszystkich? – zdziwiła się Catherine.

– No, to znaczy wszystkich z lepszego towarzystwa. Wszystkie ładne młode damy... jak na przykład pani Penniman! – Tu Arthur Townsend zaśmiał się pod wąsem.

– Moja ciotka bardzo go lubi – rzekła Catherine.

– Większość ludzi go lubi, jest taki inteligentny.

– Bardziej przypomina cudzoziemca – podsunęła Catherine.

– Cóż, ja nigdy nie znałem żadnego cudzoziemca! – oświadczył młody Townsend tonem, który zdawał się wskazywać, że ta ignorancja jest skutkiem świadomego wyboru.

– Ani ja – wyznała Catherine z większą pokorą. – Powiadają, że oni w ogóle są inteligentni – dodała ogólnikowo.

– Cóż, mieszkańcy tego miasta są dla mnie dostatecznie sprytni. Znam nawet takich, którzy sądzą, że są sprytniejsi ode mnie; ale to nieprawda!

– Pewnie nie można być za sprytnym – rzekła Catherine, wciąż pokornie.

– No, nie wiem. Wiem, że zdaniem niektórych mój kuzyn jest za sprytny.

Catherine słuchała tego z żywą ciekawością, czując, że jeśli Morris Townsend musiał mieć jakąś wadę, to naturalnie właśnie taką. Lecz nie chciała zabierać głosu w tej sprawie, więc tylko zapytała po chwili: – A czy teraz, skoro wrócił, zostanie tu na zawsze?

– Ach – odparł Arthur – jeśli znajdzie coś do roboty.

– Coś do roboty?

– Jakąś posadę albo co; jakiś interes.

– A nie ma nic takiego? – zaciekawiała się Catherine, która nigdy nie słyszała, by młody człowiek z wyższych sfer znalazł się w takim położeniu.

– Nie; rozgląda się. Ale niczego nie może znaleźć.

– Bardzo mi przykro – pozwoliła sobie zauważyć Catherine.

– Och, jemu to nie przeszkadza – odrzekł młody Townsend. – On się nie przejmuje. Nie śpieszy mu się. Jest bardzo wybredny.

Catherine pomyślała, że naturalnie musi taki być, i przez chwilę rozważała tę ideę w jej rozmaitych aspektach.

– Czemu ojciec nie weźmie go do interesu... do biura? – zapytała w końcu.

– On nie ma ojca, ma tylko siostrę. Siostra niewiele może człowiekowi pomóc.

Catherine wydało się, że gdyby była siostrą, obaliłaby ten pewnik. – Czy... czy ona jest miła? – zagadnęła po chwili.

– Nie wiem... podobno jest bardzo szanowana – odparł młody Townsend. Po czym spojrzał na kuzyna i zaczął się śmiać. – Słuchaj, mówimy o tobie! – zawołał.

Morris Townsend przerwał rozmowę z panią Penniman i spojrzał na nich, lekko się uśmiechając. Następnie wstał, jakby zbierając się do wyjścia.

– Jeśli chodzi o ciebie, nie mogę odwzajemnić komplementu – rzekł do towarzysza Catherine. – Co innego, jeśli chodzi o pannę Sloper.

Zdaniem Catherine była to cudownie zręczna riposta; lecz poczuła się skrępowana, więc również podniosła się z miejsca. Morris Townsend stał i patrzył na nią z uśmiechem; wyciągał dłoń na pożegnanie. Odchodził, nie zamieniwszy z nią ani słowa; ale nawet w tych okolicznościach cieszyła się, że mogła go zobaczyć.

– Powiem jej, co pan mówił, kiedy wyjdziecie! – wykrzyknęła pani Penniman, śmiejąc się znacząco.

Catherine spłonęła rumieńcem; miała wrażenie, że bawią się jej kosztem. Cóż, u licha, mógł ten piękny młodzieniec o niej mówić? Czerwieniła się, a mimo to wciąż na nią patrzył, jednak z wielką życzliwością i szacunkiem.

– Nie rozmawiałem z panią – powiedział – a właśnie po to przyszedłem. Ale to dobry powód, by przyjść jeszcze raz, mały pretekst, jeśli muszę go mieć. Nie boję się tego, co pani ciotka powie, kiedy wyjdę.

Z tymi słowy obaj młodzieńcy się oddalili; po czym Catherine, wciąż jeszcze zarumieniona, skierowała ku pani Penniman poważne, pytające spojrzenie. Nie była zdolna do wymyślnych sztuczek, do żadnych żartobliwych wybiegów – udawania, że wierzy, iż ją oszkalowano – by się dowiedzieć tego, czego chciała.

– Co takiego miałaś mi powtórzyć? – zapytała wprost.

Pani Penniman zbliżyła się z uśmiechem, lekko kiwając głową, obrzuciła ją wzrokiem i poprawiła jej wstążkę zawiązaną na szyi. – To wielka tajemnica, drogie dziecko: ale on przychodzi tutaj w konkury!

– Tak powiedział? – zapytała Catherine, wciąż bardzo poważnie.

– Niezupełnie. Ale pozwolił, bym się domyśliła. A ja jestem domyślna.

– To znaczy w konkury do mnie?

– Na pewno nie do mnie, moja panno; chociaż muszę stwierdzić, że wobec osoby, która już nie zaleca się skrajną młodością, jest po stokroć bardziej uprzejmy niż większość młodych ludzi. Nie, on myśli o kimś zupełnie innym. – Tu pani Penniman obdarzyła bratanicę delikatnym całusem. – Musisz być dla niego bardzo łaskawa.

Catherine gapiała się na nią w oszołomieniu. – Nie rozumiem, co mówisz; przecież on mnie wcale nie zna!

– Ależ tak, lepiej niż myślisz. Wszystko mu o tobie opowiedziałam.

– Och, ciociu Penniman! – wykrzyknęła Catherine, jakby nadużyto jej zaufania. – To całkiem obcy człowiek; my nic o nim nie wiemy. – Owo „my” biednej dziewczyny miało w sobie nieskończoną skromność.

Jednak pani Penniman nie przyjęła tego do wiadomości; jej słowa zabrzmiały nawet

trochę uszczypliwie: – Catherine, moja droga, przecież sama wiesz, że się nim zachwycasz!

Catherine zdołała tylko wyszeptać ponownie: – Och, ciociu Penniman! – Bardzo możliwe, że była zachwycona, choć nie sądziła, że jest to coś, o czym należy mówić. Ale pomyśl, że ten olśniewający człowiek – to nagłe zjawisko, ten obcy, który dopiero co usłyszał dźwięk jej głosu – okazał jej zainteresowanie znajdujące wyraz w romantycznym określeniu właśnie użytym przez panią Penniman – to mógł być tylko wytwór niespokojnego umysłu ciotki Lavinii, kobiety, o czym wszyscy wiedzieli, o potężnej wyobraźni.

VI

Pani Penniman niekiedy była wręcz pewna, że inni mają tyle samo wyobraźni co ona; kiedy zatem po półgodzinie zjawił się jej brat, zwróciła się do niego, powodowana tym właśnie przekonaniem:

– On przed chwilą tu był, Austinie; szkoda, że się z nim rozminąłeś.

– Z kim, u licha, się rozminąłem? – zdumiał się doktor.

– Z panem Morrisem Townsendem; złożył nam rozkoszną wizytę.

– Ciocia Penniman ma na myśli tego pana... tego pana, którego nazwiska nie mogłam sobie przypomnieć – wtrąciła Catherine.

– Ten pan z przyjęcia u Elizabeth, na którym Catherine zrobiła takie wrażenie – wyjaśniła pani Penniman.

– Ach, więc on się nazywa Morris Townsend? I przyszedł, żeby ci cię oświadczyć?

– Och, ojciec – szepnęła dziewczyna w odpowiedzi, odwracając się do okna, za którym zmierzch przechodził już w ciemność.

– Spodziewam się, że nie zrobi tego bez twojej zgody – rzekła łaskawie pani Penniman.

– Moja droga, twoją najwyraźniej już dostał – odciął się jej brat.

Lavinia uśmiechnęła się filuternie, jakby liczyła na coś więcej; Catherine, z czołem wspartym o szybę, z rezerwą słuchała tej wymiany epigramów, choć każdy był niczym ukłucie szpilki wbitej w jej los.

– Kiedy przyjdzie następnym razem – dodał doktor – lepiej mnie zawezwij. Może zechce się ze mną widzieć.

Morris Townsend przyszedł znowu jakieś pięć dni później; lecz doktor Sloper nie został zawezwany, gdyż o tej porze był poza domem. Kiedy zapowiedziano gościa, Catherine siedziała z ciotką, jednak pani Penniman, krygując się i nalegając, uparła się, aby bratanica sama przyjęła go w salonie.

– Tym razem przyszedł do ciebie i tylko do ciebie – oznajmiła. – Przedtem, kiedy rozmawiał ze mną, to był tylko wstęp, żeby zyskać moje zaufanie. Słowo daję, moja droga, dzisiaj nie miałabym odwagi się pokazać.

I była to absolutna prawda. Pani Penniman nie należała do kobiet odważnych, a Morris Townsend zrobił na niej wrażenie młodzieńca o niezwykle silnym charakterze i ogromnym zmyśle satyrycznym; człowieka żywego, bystrego i błyskotliwego, z którym obcowanie wymaga wiele taktu. W duchu orzekła, że jest „władczy”, i spodobało jej się i słowo, i samo pojęcie. W najmniejszym stopniu nie zazdrościła bratanicy, z panem Pennimanem była doskonale szczęśliwa, niemniej w głębi serca pozwoliła sobie na obserwację: „Takiego właśnie męża powinnam była mieć!”. Z pewnością był bardziej władczy – w końcu zaczęła mówić „władający” – niż pan Penniman.

A zatem Catherine przyjęła pana Townsenda sama, a ciotka nie zjawiała się nawet, by go pożegnać. Wizyta była długa; gość przeszło godzinę siedział w największym fotelu w salonie od frontu. Tym razem wydawał się bardziej zadomowiony, bardziej poufały; nieco się rozsiadł, poklepywał laską poduszkę i wodził wzrokiem po pokoju, swobodnie zerkając na rozmaite przedmioty, jak również na Catherine, której przypatrywał się bez skrępowania. Pełen szacunku i podziwu uśmiech malował się w jego ładnych oczach, które Catherine wydały się niemal uroczyście piękne, przywodząc jej na myśl młodego rycerza z jakiegoś poematu. Jednak jego uwagi nie były szczególnie rycerskie; lekkie, śmiałe i przyjazne, przyjęły praktyczny obrót; zadał kilka pytań o nią samą – jakie są jej gusty, czy podoba się jej to czy tamto, jakie ma przyzwyczajenia. Z czarującym uśmiechem poprosił: – Proszę mi opowiedzieć o sobie, sporządzić mały szkic. – Catherine nie miała wiele do powiedzenia i żadnych zdolności do szkiców; lecz zanim odszedł, zwierzyła mu się z tajemnej namietności do teatru, której niestety prawie nie zaspokaja, oraz upodobania do muzyki operowej – zwłaszcza Belliniego i Donizettiego (na usprawiedliwienie prostodusznej panny należy wspomnieć, że opinie te głosiła w epoce powszechnej ciemnoty) – którą rzadko ma sposobność usłyszeć wykonywaną inaczej niż na katarynce. Przyznała, że nieszczególnie lubi literaturę, na co Morris Townsend zgodził się, że książki są nużące; ale zanim się to odkryje, oświadczył, trzeba bardzo wiele przeczytać. Bywał w miejscach opisywanych w książkach, które ani trochę nie przypominały swoich opisów. Zobaczyć na własne oczy – to najważniejsze; zawsze próbował wszystko zobaczyć na własne oczy. Widział wszystkich najlepszych aktorów – bywał w największych teatrach w Londynie i Paryżu. Ale aktorzy są jak autorzy – zawsze przesadzają. On lubi, żeby wszystko było naturalne. Nagle urwał i spojrzał na Catherine z tym swoim uśmiechem.

– Dlatego lubię panią; pani jest taka naturalna. Proszę wybaczyć – dodał – widzi pani, ja też jestem naturalny.

I zanim zdążyła się zastanowić, czy istotnie mu wybacza – później, w spokoju ducha, uświadomiła sobie, że tak – zaczął mówić o muzyce i o tym, że to największa przyjemność w jego życiu. Słyszał wszystkich wielkich śpiewaków w Paryżu i Londynie – Pastę, Rubiniego, Lablache’a – a tylko ktoś, kto ich słyszał, może powiedzieć, że wie, co to jest śpiew.

– Sam trochę śpiewam – powiedział – pewnego dnia pani pokażę. Nie dzisiaj, innym razem.

Po czym wstał, szykując się do wyjścia; ale przypadkowo zapomniał powiedzieć, że zaśpiewa dla niej, jeśli ona mu zagra. Przyszło mu to do głowy dopiero na ulicy, mógł

sobie wszakże oszczędzić wyrzutów, gdyż Catherine nie zauważyła potknięcia. Myślała jedynie o tym, że słowa „innym razem” zabrzmiały cudownie, jakby zagarniały całą przyszłość.

Tym bardziej jednak, pomimo wstydu i skrępowania, należało powiadomić ojca, że pan Morris Townsend znów złożył jej wizytę. Powiedziała mu o tym obcesowo, niemal gwałtownie, od razu kiedy wszedł do domu; co uczyniwszy – był to jej obowiązek – usiłowała wyjść z pokoju. Lecz nie zdążyła i doktor zatrzymał ją przy drzwiach.

– I cóż, moja droga, poprosił cię dzisiaj o rękę?

Obawiała się, że ojciec właśnie tak zareaguje; a jednak nie przygotowała odpowiedzi. Oczywiście wolałaby potraktować to z humorem – o to zapewne chodziło – a przecież wolałaby również umieć zaprzeczyć trochę dobitniej, trochę ostrzej; stała więc tylko z dłonią na klamce, spoglądając na swego kpiarskiego rodzica z niepewnym uśmiechem na ustach.

„Stanowczo – rzekł doktor w duchu – moja córka nie jest zbyt błyskotliwa!”

Ledwie jednak ta myśl przyszła mu do głowy, gdy Catherine wpadła na pewien pomysł; postanowiła w zasadzie uznać całą rzecz za żart.

– Może zrobi to następnym razem! – zawołała. I szybko opuściła pokój.

Doktor oniemiał; czyżby córka mówiła poważnie? Catherine podążyła prosto do siebie, lecz na miejscu zreflektowała się, że mogła powiedzieć coś innego – coś lepszego. Niemal pragnęła, by ojciec zadał jej ponownie to pytanie, gdyż wówczas mogłaby się odciąć: – Owszem, pan Morris Townsend poprosił mnie o rękę, ale odmówiłam!

Doktor jednakże zaczął rozpytywać gdzie indziej; naturalnie bowiem przyszło mu do głowy, że powinien się porządnie wywiedzieć o przystojnego kawalera, który nabrał zwyczaju wpadania od niechcienia do jego domu. Postanowił zatem zwrócić się do młodszej z sióstr, pani Almond, do której wszakże na razie nie poszedł – nie było aż takiego pośpiechu – niemniej odnotował sobie, by poruszyć tę sprawę przy pierwszej sposobności. Doktor nigdy się nie śpieszył, nie niecierpliwił, nie denerwował, ale skrzętnie robił notatki i systematycznie się do nich odwoływał. Informacja, jaką uzyskał od pani Almond na temat Morrisa Townsenda, zajęła wśród nich należne miejsce.

– Lavinia już mnie o to pytała – oznajmiła owa dama. – Jest nadzwyczaj podniecona. Nie rozumiem tego; jeśli ten młody człowiek ma jakieś zamiary, to w końcu chyba nie wobec Lavinii. Dziwaczna z niej osoba.

– Ach, moja droga – odrzekł doktor – przecież to zauważyłem, w końcu mieszka u mnie od dwunastu lat!

– Jest taka sztuczna – ciągnęła pani Almond, która cieszyła się z każdej sposobności, by poplotkować ze swym bratem o dziwactwach Lavinii. – Nie chciała, bym ci mówiła, że pytała mnie o pana Townsenda, ale powiedziałam jej, że i tak ci powtórzę. Zawsze chce wszystko ukrywać.

– A jednak czasem wali kawę na ławę prostacko jak nikt. Jest jak obrotowa latarnia morska: raz smolista ciemność, raz jaskrawy blask! I co jej powiedziałaś?

– To, co tobie: że bardzo mało o nim wiem.

– Musiała być bardzo zawiedziona – rzekł doktor. – Wolałaby, żeby miał na sumieniu jakieś romantyczne przestępstwo. Trzeba wszakże myśleć o ludziach jak najlepiej.

Mówiono mi, że nasz dżentelmen jest spokrewniony z tym chłopcem, któremu zamierzasz powierzyć przyszłość swej dziewczynki.

– Arthur nie jest chłopcem; to bardzo stary człowiek; ani ty, ani ja nigdy nie będziemy tacy starzy. Protegowany Lavinii jest jego bardzo dalekim krewnym. Nazwisko to samo, ale, jak to się mówi, są Townsendowie i Townsendowie. Tak twierdzi matka Arthura; wciąż opowiada o „gałęziach” – młodszych gałęziach, starszych gałęziach, gorszych gałęziach – jakby to był królewski ród. Arthur najwyraźniej pochodzi z linii panującej, inaczej niż młodzieniec biednej Lavinii. Poza tym matka Arthura niewiele o nim słyszała, tylko jakąś niejasną historię, że był „szalony”. Ale znam trochę jego siostrę, bardzo miła kobieta. Nazywa się pani Montgomery; jest wdową z niewielkim majątkiem i pięciorgiem dzieci. Mieszka przy Drugiej Alei.

– I co pani Montgomery o nim mówi?

– Że ma talenty, dzięki którym mógłby się wybić.

– Ale jest leniwy, co?

– Tak nie powiedziała.

– To ze względu na honor rodzinny – orzekł doktor. – Ma jakiś zawód?

– Nie ma zawodu; rozgląda się za czymś. Wydaje mi się, że służył kiedyś w marynarce.

– Kiedyś? A ile on ma lat?

– Przypuszczam, że ponad trzydzieści. Musiał wstąpić do marynarki bardzo młodo. Chyba Arthur mi mówił, że odziedziczył niewielki majątek – zapewne z tego powodu odszedł z marynarki – ale przez parę lat go przepuścił. Jeździł po całym świecie, mieszkał za granicą, bawił się. Mam wrażenie, że to był rodzaj filozofii, taką miał teorię. A teraz wrócił do Ameryki z zamiarem, jak mówił Arthurowi, rozpoczęcia życia na poważnie.

– A więc on poważnie myśli o Catherine?

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś takim niedowiarkiem – odparła pani Almond. – Wydaje mi się, że nigdy nie doceniałeś Catherine. Musisz pamiętać, że ona ma w perspektywie trzydzieści tysięcy rocznie.

Doktor popatrzył na siostrę przeciągle, po czym rzekł z tchnieniem goryczy: – Przynajmniej ty ją doceniasz.

Pani Almond spłonęła rumieńcem.

– Nie chcę powiedzieć, że to jej jedyna zaleta. Ale myślę, że to sporo. Bardzo wielu młodych mężczyzn tak uważa; a ty, moim zdaniem, nigdy sobie tego porządnie nie uświadomiłeś. Zawsze jakbyś trochę sugerował, że Catherine nie nadaje się do małżeństwa.

– Moje sugestie są równie życzliwe jak twoje, Elizabeth – rzekł doktor otwarcie. – Iluż to wielbicieli miała Catherine mimo swoich perspektyw? Jak wiele uwagi jej poświęcano? Catherine nie tyle jest niezdatna do małżeństwa, ile całkowicie nieatrakcyjna. Czy istnieje jakiś inny powód, dla którego Lavinie tak urzekła idea zalotnika w jej własnym domu? Nigdy dotąd nikt taki się nie pojawił, więc Lavinia, ze swoim wrażliwym, życzliwym usposobieniem, nie może się do tego przyzwyczaić. To pobudza jej wyobraźnię. Muszę oddać sprawiedliwość nowojorskim młodzieńcom: robią

na mnie wrażenie gruntownie bezinteresownych. Wolą dziewczęta ładne i wesołe, takie jak twoja córka. Catherine nie jest ani ładna, ani wesoła.

– Catherine radzi sobie bardzo dobrze, ma swój styl, czyli więcej niż moja biedna Marian, która w ogóle nie ma stylu – odparła pani Almond. – Do Catherine nikt się nie zaleca, bo wszystkim młodym ludziom się wydaje, że jest od nich starsza. Jest taka duża i ubiera się tak... bogato. Myślę, że trochę się jej boją; wygląda, jakby była już zamężna, a oni nie lubią mężatek. Jeśli nasi chłopcy robią wrażenie bezinteresownych – ciągnęła mądrzejsza z sióstr doktora – to dlatego, że na ogół żenią się bardzo wcześnie, przed dwudziestym piątym rokiem życia, w wieku niewinności i szczerości, zanim wejdą w wiek wyrachowania. Gdyby się tak nie śpieszyli, Catherine miałyby większe szanse.

– Wskutek wyrachowania? Dziękuję ci bardzo – sarknął doktor.

– Poczekaj, aż zjawi się jakiś inteligentny czterdziestolatek, taki będzie Catherine zachwycony – upierała się pani Almond.

– Pan Townsend zatem nie jest dostatecznie stary; jego intencje mogą być czyste.

– Bardzo możliwe, że ma czyste intencje; byłoby mi przykro zakładać, że tak nie jest. Lavinia w każdym razie jest tego pewna, co więcej, to bardzo ujmujący młody człowiek, więc ty, mimo wątpliwości, również mógłbyś uwierzyć mu na słowo.

Doktor Sloper zastanawiał się przez chwilę.

– Z czego on się teraz utrzymuje?

– Nie mam pojęcia. Jak mówiłam, mieszka u siostry.

– U tej wdowy z pięciorgiem dzieci? Chcesz powiedzieć, że żyje na jej koszt?

Pani Almond podniosła się zniecierpliwiona. – Może powinieneś zapytać panią Montgomery osobiście? – zapytała.

– Być może i do tego dojdzie – odparł doktor. – Druga Aleja, mówiłaś? – Odnotował Drugą Aleję.

VII

W żadnym razie nie był wszakże tak gorliwy, jak można by sądzić po tej rozmowie; właściwie cała rzecz przede wszystkim go bawiła. W związku z przyszłością Catherine nie odczuwał najmniejszego napięcia ani niepokoju; wręcz chciał się ustrzec śmieszności, jaką budzi widok rodziny wtrąconej w stan wzburzenia przez hołdy składane córce i dziedzicze, niemające precedensu w annałach rodu. Więcej, posuwał się do tego, że obiecywał sobie trochę rozrywki po małym dramacie – jeśli był to dramat – w którym pani Penniman pragnęła powierzyć pojętnemu panu Townsendowi rolę głównego bohatera. Jak na razie nie miał zamiaru reżyserować *denouement*; z największą chęcią, idąc za wskazówką Elizabeth, byłby gotów rozstrzygać wszelkie wątpliwości na korzyść młodzieńca. Nie widział wielkiego zagrożenia; w końcu Catherine w wieku lat dwudziestu dwóch była kwiatkiem dość rozwiniętym, z tych, które da się zerwać tylko silnym szarpnięciem. Fakt, że Morris Townsend był ubogi, niekoniecznie musiał świadczyć przeciwko niemu; doktor nigdy nie wyrobił sobie

poglądu, jakoby jego córka powinna wyjść za człowieka bogatego. Uważał, że fortuna, którą miała odziedziczyć, stanowi nader wystarczające zabezpieczenie dla dwóch rozsądnych osób, gdyby więc w szranki stanął zalotnik bez grosza przy duszy, który wszakże dobrze się zapowiadał, zostałby oceniony wedle swych osobistych zalet. W grę wchodziły też inne względy. Doktor sądził, że pochopne oskarżanie ludzi o pobudki materialne jest czymś bardzo prostackim, tym bardziej że jak dotąd łowcy posagów w żadnym razie nie szturmowali jego drzwi; wreszcie zaś był bardzo ciekawy, czy istotnie da się pokochać Catherine dla jej walorów moralnych. Uśmiechnął się na myśl o tym, że biedny pan Townsend odwiedził ich dom zaledwie dwa razy, i polecił pani Penniman zaprosić go na kolację, gdyby znowu się pojawił.

Przyszedł, i to wkrótce; i oczywiście pani Penniman z ogromną przyjemnością spełniła polecenie. Morris Townsend przyjął jej zaproszenie z równym wdziękiem, i kolacja odbyła się kilka dni później. Doktor powiedział sobie, nie bez racji, że młody człowiek nie może być jedynym gościem, co miałyby charakter zbytnej zachęty. Zaproszono więc jeszcze kilka osób; niemniej ucztę naprawdę wydano dla Morrisa Townsenda, choć w żadnej mierze mu tego nie okazywano. Istnieją wszelkie powody, by sądzić, że młodzieniec pragnął zrobić dobre wrażenie, a jeśli nie całkiem osiągnął swój cel, to nie wskutek braku inteligentnych starań. Doktor przy kolacji niewiele z nim rozmawiał, przypatrywał mu się jednak uważnie, a po wyjściu pań podsunął mu wino i zadał kilka pytań. Morris nie należał do ludzi, których trzeba naciskać; dostatecznej zachęty dostarczyło mu najwyższej jakości bordeaux, możemy nawet powiadomić czytelnika, że sącząc przednie wino doktora, doszedł do wniosku, że piwniczka pełna dobrych trunków – a najwyraźniej istniała jakaś piwniczka – byłaby u przyszłego teścia dziwactwem nader atrakcyjnym. Na doktorze pełen podziwu gość również zrobił pewne wrażenie; widać było, że to niepospolity młody człowiek. „Zdolny jest – orzekł w duchu ojciec Catherine – stanowczo jest zdolny; ma głowę na karku, jeśli tylko zechce jej użyć. I jest wielce przyjemny dla oka; to postać, która podoba się damom. Ale chyba go nie lubię”. Jednak zatrzymał swe refleksje dla siebie i rozmawiał z młodzieńcem o dalekich krajach, na których temat Morris udzielił mu więcej informacji, niż doktor, jak określił to w duchu, gotów był przełknąć. Doktor Sloper podróżował bardzo niewiele, ale pozwolił sobie nie dawać wiary wszystkiemu, co opowiadał ten gadatliwy próżniak. Szczycił się, że jest w pewnym stopniu fizjonomistą, kiedy więc młody człowiek, pykając cygaro i dolewając sobie do kieliszka, perorował ze swadą i pewnością siebie, doktor nie spuszczał spokojnego wzroku z jego ożywionej, wyrazistej twarzy. „Ma tupet jak sam diabeł – orzekł w końcu. – Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem taki tupet. I niezwykłą inwencję; za moich czasów nie byli tacy zdolni. I mocną głowę, nie ma co. No, ja myślę – po butelce madery i półtorej butelki bordeaux!”.

Po obiedzie Morris Townsend podszedł do Catherine, która stała przed kominkiem, ubrana w swoją czerwoną atłasową suknię.

- Nie podobam mu się! Wcale mu się nie podobam! – oświadczył.
- Komu? – zapytała Catherine.
- Pani ojcu; nadzwyczajny człowiek!
- Nie rozumiem, skąd pan o tym wie – odrzekła Catherine, rumieniąc się.

– Czuję to; szybko wszystko wyczuwam.

– Może pan się myli.

– Ach, cóż; proszę go zapytać, przekona się pani.

– Wolałabym nie pytać, jeśli jest jakieś ryzyko, że powie to, co pan myśli.

Morris spojrział na nią z melancholijną drwiną.

– Nie byłoby pani przyjemnie mu zaprzeczyć?

– Nigdy mu nie zaprzeczam.

– I nie zabierając głosu w mojej obronie, słuchałaby pani, jak mnie obraża?

– Ojciec nie będzie pana obrażał. Nie zna pana aż tak dobrze.

Morris Townsend głośno się roześmiał, a Catherine znów spłonęła rumieńcem.

– Nie wspomnę mu o panu – rzekła, ratując się przed zmieszaniem.

– To bardzo ładnie; ale nie całkiem to chciałem usłyszeć. Chciałem, by powiedziała pani: „Nawet jeśli mój ojciec nie myśli o panu zbyt dobrze, jakie to ma znaczenie?”.

– Och, ale to ma znaczenie; nie mogłabym tak powiedzieć! – wykrzyknęła dziewczyna.

Przyglądał się jej przez chwilę z lekkim uśmiechem; a doktor, gdyby właśnie na niego patrzył, dostrzegłby drobny błysk zniecierpliwienia w jego przyjaźnie łagodnym oku. Niemniej jego odpowiedź nie nosiła śladów zniecierpliwienia – przynajmniej z wyjątkiem tego, które zdołał wyrazić w cichym, błagalnym westchnieniu: – Ach, cóż, zatem nie wolno mi tracić nadziei, że go do siebie przekonam!

Nieco później, rozmawiając z panią Penniman, wyraził się z większą szczerością. Najpierw jednak na nieśmiałą prośbę Catherine zaśpiewał jej dwie lub trzy pieśni, aczkolwiek nie pochlebiał sobie, że w ten sposób przekona do siebie jej ojca. Miał miły, lekki tenorek; kiedy skończył, wszyscy wydali jakiś okrzyk – to znaczy wszyscy z wyjątkiem Catherine, która zachowała znamienne milczenie. Pani Penniman oświadczyła, że śpiewał w „nader artystyczny” sposób, doktor Sloper zaś oznajmił, że to „bardzo ujmujące – w samej rzeczy, bardzo ujmujące”, przemawiając głośno i wyraźnie, choć z pewną oschłością.

– Nie podobam mu się, wcale mu się nie podobam – Morris Townsend zwrócił się do ciotki w tym samym duchu co do bratanicy. – Uważa, że jestem całkiem do niczego.

Pani Penniman wszakże w przeciwieństwie do bratanicy nie poprosiła o wyjaśnienia. Uśmiechnęła się tylko słodko, jakby wszystko rozumiała, i również w przeciwieństwie do Catherine nie próbowała zaprzeczać. – Na Boga, jakie to ma znaczenie? – wyszeptwała.

– Ach, przynajmniej pani mówi to, co trzeba! – zawołał Morris Townsend ku wielkiej satysfakcji pani Penniman, która szczyliła się tym, że zawsze mówi to, co trzeba.

Przy następnym spotkaniu doktor powiadomił swoją siostrę Elizabeth, że zawarł znajomość z protegowanym Lavinii.

– Fizycznie – oznajmił – jest niezwykle dobrze zbudowany. Jako anatom z przyjemnością patrzę na taką piękną konstrukcję, chociaż gdyby wszyscy ludzie wyglądali tak jak on, to przypuszczalnie lekarze nie byłiby już potrzebni.

– Nie widzisz w ludziach oprócz kości? – obruszyła się pani Almond. – Co o nim sądzisz jako ojciec?

– Jako ojciec? Chwała Bogu, nie jestem jego ojcem!

– Nie, ale jesteś ojcem Catherine. Lavinia twierdzi, że ona jest zakochana.

– Niech wybije to sobie z głowy. To nie jest dżentelmen.

– Ach, uważaj! Pamiętaj, że to gałąź Townsendów.

– Ja nie nazwałbym go dżentelmenem. Nie ma duszy dżentelmena. Jest niezwykle przymilny; ale to prostacka natura. Przejrzałem go w jednej chwili. Stanowczo zbyt się spoufała; a ja nie znoszę poufałości. To przekonujący fircyk.

– No, cóż – westchnęła pani Almond – to z pewnością bardzo pożyteczne, że tak łatwo wyrabiasz sobie zdanie.

– Nie wyrabiam sobie łatwo zdania. To, co mówię, jest wynikiem trzydziestu lat obserwacji; żeby móc sformułować ocenę w jeden wieczór, musiałem poświęcić całe życie na studia.

– Bardzo możliwe, że masz rację. Rzecz jednak w tym, żeby Catherine to dostrzegła.

– Dam jej w prezencie okulary – rzekł doktor.

VIII

Jeżeli naprawdę była zakochana, to z pewnością nic na ten temat nie mówiła; niemniej doktor oczywiście gotów był przyznać, że jej milczenie może znaczyć więcej niż całe tomy słów. Obiecała Morrisowi Townsendowi, że nie powie o nim ojcu, i nie widziała powodu, by nie zachować dyskrecji. Oczywiście, zwykła grzeczność wymagała, by po kolacji na placu Waszyngtona Morris znów ich odwiedził; i było również rzeczą naturalną, że spotkawszy się przy tej okazji z życzliwym przyjęciem, pojawiał się nadal. Miał mnóstwo wolnego czasu, a trzydzieści lat temu w Nowym Jorku młody człowiek bez zajęcia miał powody być wdzięcznym za wszystko, co pozwalało mu się zapomnieć. Catherine nie mówiła ojcu o tych wizytach, choć szybko stały się najważniejszą, najbardziej absorbującą sprawą w jej życiu. Była bardzo szczęśliwa. Nie wiedziała jeszcze, co z tego wyniknie, lecz terażniejszość stała się bogata i odświętna. Gdyby powiedziano jej, że jest zakochana, wielce by ją to zaskoczyło: miłość wyobrażała sobie jako namiętność żarliwą i wymagającą wysiłku, a w owe dni jej serce przepęniały odruchy poświęcenia i skromności. Za każdym razem, gdy Morris Townsend opuszczał dom, jej wyobraźnia rzucała się z całą mocą na myśl, że niebawem powróci; lecz gdyby w takiej chwili powiadomiono ją, że nie wróci przez rok, lub wręcz nigdy, nie skarżyłaby się ani nie buntowała, lecz przyjęłaby wyrok z pokorą i szukała pociechy w rozmyślaniu o czasach, gdy go widywała, i słowach, które wypowiadał, o dźwięku jego głosu, odgłosie kroków, wyrazie twarzy. Miłość ma prawo do pewnych wymagań; jednak Catherine nie rościła sobie żadnych praw, miała jedynie świadomość ogromnych i niespodziewanych względów. Uciszyła w sobie nawet wdzięczność za te łaski, czuła bowiem, że byłoby zuchwalstwem, gdyby zrobiła spektakl ze swej tajemnicy. Ojciec podejrzewał, że Morris Townsend ją odwiedza, i odnotował jej powściągliwość. Zdawała się prosić go o wybaczenie; wciąż zerkała nań w milczeniu, jakby przyznając, że nic nie

mówi, gdyż obawia się go rozdrażnić. Niestety, niema retoryka biednej dziewczyny drażniła doktora najbardziej i nieraz przyłapywał się na mamrotaniu, że to wielka szkoda, iż jego jedyne dziecko jest głuptaską. Jego pomruki wszakże były bezgłośnie i przez pewien czas nic nikomu nie wspominał. Miał wprawdzie ochotę dokładnie się dowiedzieć, jak często młody Townsend się pojawia, postanowił jednak nie zadawać dziewczynie żadnych pytań – nie mówić nic, co by zdradzało, że się jej przygląda. Miał wysokie mniemanie o swym poczuciu sprawiedliwości, pragnął więc zostawić córce swobodę i wtrącić się tylko wtedy, gdy niebezpieczeństwo będzie czymś pewnym, nie zwykł też zdobywać informacji okreśną drogą; nie przyszłoby mu do głowy, by wypytywać służbę. Co się tyczy Lavinii, to nienawidził rozmawiać z nią o tej sprawie, złościła go jej sztuczna romantyczność. W końcu jednak musiał się do tego uciec.

Poglądy pani Penniman na temat stosunków łączących bratanicę z bystrym młodzieńcem, który dla pozorów udawał, że przychodzi do obu pań – poglądy pani Penniman tymczasem przeszły w dojrzałą, bogatszą fazę. Nie mogła dopuścić, by w jej podejściu pojawił się choćby cień prostactwa, toteż stała się równie małomówna jak Catherine. Zakosztowała słodyczy zatajania; przyswoiła sobie tajemniczość jako metodę. „Będzie zachwycona, mogąc sobie udowodnić, że jest prześladowana” – orzekł doktor; więc gdy wreszcie zaczął ją wypytywać, miał pewność, że siostra znajdzie sposób, by uznać jego słowa za pretekst do umocnienia się w tym przekonaniu.

– Bądź tak dobra i oświeć mnie, co właściwie dzieje się w tym domu – zwrócił się do niej tonem, który w tych okolicznościach uznał za dobroduszny.

– Co się dzieje, Austinie? – wykrzyknęła pani Penniman. – Ależ doprawdy, skąd mam wiedzieć! Chyba nasza stara bura kotka okociła się zeszłej nocy?

– W tym wieku? – zdziwił się doktor. – A to dopiero niespodzianka! Wręcz szok! Bądź tak dobra i dopilnuj, by małe potopiono. I co jeszcze się zdarzyło?

– Ach, kochane kociątko! – zawołała pani Penniman. – Za nic w świecie nie dam ich utopić!

Jej brat przez kilka chwil w milczeniu pykał fajkę. – Lavinio, twoje współczucie dla kociąt wypływa z kociego aspektu twojej natury.

– Koty są czyste i mają wdzięk. – Pani Penniman się uśmiechnęła.

– Są także bardzo podstępne. Jesteś ucieleśnieniem wdzięku i schludności; ale nie jesteś specjalnie szczera.

– Za to ty z pewnością jesteś szczery, drogi bracie.

– Nie pretenduję do wdzięku, choć staram się być schludny. Czemu mnie nie powiadomiłaś, że pan Morris Townsend bywa w naszym domu cztery razy w tygodniu?

Pani Penniman uniosła brwi. – Cztery razy w tygodniu?

– Pięć razy, jeśli wolisz. Przez cały dzień jestem poza domem, więc nic nie widzę. Kiedy dzieje się coś takiego, powinnaś mnie zawiadomić.

Pani Penniman mocno się zamyśliła, wciąż unosząc brwi. – Drogi Austinie – rzekła w końcu – nie mogłabym zawieść czyjegoś zaufania. Żebym cierpiała nie wiadomo jakie męki.

– Nie ma obawy, nie będziesz cierpiała. O którym zaufaniu wspominasz? Czy Catherine kazała ci dochować wiecznej tajemnicy?

– Nic podobnego. Catherine nie mówi mi tyle, ile by mogła. Nie jest zbyt ufna.

– A więc ten młodzian uczynił z ciebie powiernicę? Pozwól, że ci powiem, iż to bardzo nierozważne z twojej strony wchodzić w tajemne aliansy z młodymi mężczyznami. Nie wiesz, dokąd mogą cię zaprowadzić.

– Nie wiem, o jakich aliansach mówisz – obruszyła się pani Penniman. – Bardzo się interesuję panem Townsendem, nie ukrywam. Ale to wszystko.

– W tych okolicznościach to zupełnie wystarczy. A skąd się bierze twoje zainteresowanie panem Townsendem?

– Z tego... – zadumała się pani Penniman, po czym nagle się rozjaśniła – z tego, że jest interesujący!

Doktor poczuł, że cierpliwość będzie mu niezbędna. – A co w nim takiego interesującego? Jego uroda?

– Jego nieszczęścia, Austinie.

– Ach, spotkały go jakieś nieszczęścia? To, rzecz jasna, zawsze jest interesujące. Czy wolno ci mówić o nieszczęściach pana Townsenda?

– Nie wiem, czyby sobie tego życzył – odrzekła pani Penniman. – Opowiadał mi wiele o sobie; właściwie opisał mi całe swoje życie. Sądzę jednak, że nie powinnam tego powtarzać. Jestem pewna, że opowiedziałby je również tobie, gdyby wierzył, że wysłuchasz go życzliwie. Życzliwością da się u niego zdziałać wszystko.

– A więc – zaśmiał się doktor – bardzo życzliwie go poproszę, żeby zostawił Catherine w spokoju.

– Ach! – zachnęła się pani Penniman, grożąc bratu palcem wskazującym i równocześnie odchylając mały palec. – Catherine zapewne powiedziała mu coś bardziej życzliwego!

– Powiedziała, że go kocha? O to ci chodzi?

Pani Penniman wbiła wzrok w podłogę. – Już ci mówiłam, Austinie; ona mi się nie zwierza.

– Niemniej na pewno masz jakieś zdanie. Właśnie o nie cię pytam; choć nie ukrywam, że nie będzie dla mnie ostateczne.

Wzrok pani Penniman nadal skupiał się na dywanie; w końcu jednak spojrzała na brata, który uznał wyraz jej oczu za bardzo wymowny. – Sądzę, że Catherine jest szczęśliwa; to wszystko, co mogę powiedzieć.

– Townsend stara się o jej rękę: o to ci chodzi?

– Jest nią bardzo zainteresowany.

– Uważa, że jest taka atrakcyjna?

– Catherine ma cudowny charakter, Austinie – powiedziała pani Penniman – a pan Townsend jest dość inteligentny, aby to odkryć.

– Z odrobiną pomocy z twojej strony, jak mniemam. Droga Lavinio – zakrzyknął doktor – jesteś ciotką godną podziwu!

– Pan Townsend też tak sądzi – odparła z uśmiechem Lavinia.

– Myślisz, że jest szczerzy?

– Kiedy tak mówi?

– Nie; to się rozumie samo przez się. A kiedy adoruje Catherine?

– Głęboko szczerzy. Mówił mi o niej rzeczy niezwykle pochlebne, niezwykle urocze.

Powiedziałby je tobie, gdyby miał pewność, że wysłuchasz go... łagodnie.

– Wątpię, czy się tego podejmę. Najwyraźniej wymaga znacznej łagodności.

– To życzliwa, wrażliwa natura – rzekła pani Penniman.

Jej brat pykał cygaro w milczeniu. – I co, jakoś nie utracił tych subtelnych przymiotów mimo przeciwności losu? Wciąż nic nie mówisz o jego nieszczęściach.

– To długa historia – westchnęła pani Penniman – i jego tajemnica jest dla mnie świętością. Jednak chyba nie ma przeszkód, bym powiedziała, że był hulaką, co przyznaje otwarcie. Ale zapłacił za to.

– I z tego powodu zubożał, czy tak?

– Nie mówię wyłącznie o pieniądzach. Jest całkiem sam na świecie.

– Chcesz powiedzieć, iż zachowywał się tak źle, że opuścili go przyjaciele?

– Fałszywi przyjaciele, którzy go oszukali i zdradzili.

– Zdaje się, że ma również kilku dobrych przyjaciół; oddaną siostrę oraz pół tuzina siostrzeńców i siostrzenic.

– Siostrzenice i siostrzeńcy to dzieci – rzekła pani Penniman po chwili milczenia – a siostra jest osobą niezbyt pociągającą.

– Mam nadzieję, że jej przy tobie nie obraża – rzekł doktor – bo mówiono mi, że żyje na jej koszt.

– Żyje na jej koszt?

– Mieszka u niej, a sam nic nie robi; co prawie na jedno wychodzi.

– Szuka posady, szuka bardzo rzetelnie – zapewniła pani Penniman. – Codziennie spodziewa się coś znaleźć.

– Właśnie. Szuka posady u nas, w salonie od frontu. Posada męża nierozgarniętej dziewczyny z dużym majątkiem dogadzałaby mu doskonale!

Pani Penniman, zazwyczaj pogodna, teraz jednak naprawdę się rozzłościła. – Mój drogi Austinie – oświadczyła, zrywając się raptownie i mierząc brata wzrokiem – jeśli uważasz Catherine za nierozgarniętą, to doprawdy ogromnie się mylisz! – I z tymi słowy oddaliła się majestatycznie.

IX

Stałym zwyczajem mieszkańcy domu przy placu Waszyngtona spędzali niedzielne wieczory u pani Almond. Nie zaniechano tego zwyczaju również w niedzielę po przytoczonej wyżej rozmowie; tym razem jednak w połowie przyjęcia doktor Sloper znalazł powód, by zamknąć się ze szwagrem w bibliotece i pomówić z nim o interesach. Nie było go około dwudziestu minut, a gdy wrócił do towarzystwa, ożywionego dzięki obecności kilkorga przyjaciół rodziny, dostrzegł Morrisa Townsenda, który właśnie przyszedł i nie tracąc czasu, usadowił się na małej kanapie przy Catherine. W przestronnym salonie, gdzie ludzie łączyli się w grupki, wśród głośniego rozgwaru i śmiechu, dwoje młodych mogło sobie gruchać, jak określił to doktor, nie zwracając

niczyjej uwagi. Po chwili jednak zauważył, że córka jest boleśnie świadoma jego wzroku. Siedziała bez ruchu, spuściwszy oczy na otwarty wachlarz, oblana głębokim rumieńcem, skulona, jakby chciała pomniejszyć uchybienie, którego czuła się winną.

Doktorowi niemal zrobiło się jej żal. Biedna Catherine nie była zuchwałą; nie miała w sobie cienia brawury; a ponieważ czuła, że ojciec nieprzychylnym okiem spogląda na zaloty jej towarzysza, ogromną przykrość sprawiała jej myśl, iż jakby niechcący rzuca mu wyzwanie. W samej rzeczy, doktor był dość wrażliwy, by się odwrócić i oszczędzić jej wrażeń, że jest obserwowana; i dość inteligentny, by dostrzec w jej położeniu coś w rodzaju aktu sprawiedliwości.

„Takiej nieładnej, nieruchawej dziewczynie – zreflektował się – musi być diabelnie miło, kiedy siada przy niej młody piękniś i szepcze, że jest jej niewolnikiem... jeśli to właśnie szepcze ten osobnik. Nic dziwnego, że jej się to podoba, a mnie ma za okrutnego tyrana, bo oczywiście nim jestem, chociaż ona boi się to przyznać, brak jej do tego niezbędnej werwy. Biedna Catherine! – rozmyślał doktor. – Doprawdy, jestem przekonany, że jest skłonna mnie bronić, kiedy Townsend mi urąga!”

I tak dobitnie pojął w owej chwili naturalną sprzeczność między swoim punktem widzenia a perspektywą zadurzonej dziewczyny, że przyznał w duchu, iż chyba w końcu podchodzi do sprawy zbyt poważnie i martwi się na zapas. Nie powinien potępiać Morrisa Townsenda, póki go nie wysłucha. Bardzo niechętnie podchodził do życia poważnie; stąd, jego zdaniem, brała się połowa życiowych przykrości i wiele rozczarowań; toteż przez moment zadawał sobie pytanie, czy nie wydaje się śmieszny temu inteligentnemu młodzieńcowi o nader – jak podejrzewał doktor – wyostrzonym poczuciu niedorzeczności. Po kwadransie Catherine odprawiła Townsenda, który podszedł do kominka i pograżył się w rozmowie z panią Almond.

– Cóż, spróbujmy jeszcze raz – mruknął doktor, przechodząc przez pokój, by dołączyć do siostry i jej towarzysza. Dał znak pani Almond, by ich opuściła, co też uczyniła niebawem; tymczasem młody człowiek spoglądał nań z uśmiechem, bez śladu nieszczerości w życzliwych oczach.

„Ależ on jest zarozumiały!” – pomyślał doktor, głośno zaś rzekł: – Mówiono mi, że rozgląda się pan za posadą.

– Och, nie poważyłbym się nazwać tego posadą – odparł Morris Townsend. – To brzmi zbyt pięknie. Chciałbym mieć jakieś ciche zajęcie, żeby uczciwie zarobić parę groszy.

– A co by pan chciał robić?

– Chodzi panu o to, do czego się nadaję? Do bardzo niewielu rzeczy, obawiam się. Nie mam nic prócz dwojga rąk, jak powiadają w melodramatach.

– Jest pan nazbyt skromny – rzekł doktor. – Ma pan nie tylko dwoje rąk, ale i subtelny umysł. Nie wiem o panu nic prócz tego, co widzę; lecz z pańskiej fizjonomii wnoszę, że jest pan niezwykle inteligentny.

– Ach – mruknął Townsend. – Nie wiem, co odpowiedzieć, kiedy pan tak mówi! Radzi mi pan zatem, bym nie popadał w rozpacz?

I zerknął narozmówcę, jakby pytanie to miało podwójny sens. Doktor pochwycił jego

spojrzenie i ważył je przez chwilę, po czym odparł: – Przykro byłoby mi przyznać, że krzepki i ochoczy młody człowiek ma powody do rozpacz. Jeśli nie wyjdzie mu jedno, może zawsze spróbować drugiego. Tyle że, chciałbym dodać, musi rozważnie wybierać kierunek.

– A tak, rozważnie – powtórzył Morris Townsend ze zrozumieniem. – Cóż, w przeszłości bywałem nierozważny, ale sądzę, że mam to już za sobą. Teraz jestem bardzo odpowiedzialny. – I przez chwilę wpatrywał się w swe nadzwyczaj schludne buty. – Czy zamierzał pan łaskawie zaproponować mi coś korzystnego? – zapytał wreszcie, podnosząc z uśmiechem wzrok.

„Co za bezczelność!” – wykrzyknął w duchu doktor. Lecz po chwili uświadomił sobie, że przecież pierwszy poruszył tę drażliwą kwestię i że jego słowa mogły być uznane za propozycję pomocy. – Nie mam żadnej konkretnej oferty – powiedział zatem – ale przyszło mi na myśl, by panu powiedzieć, że będę o panu pamiętał. Czasem słyszy się o różnych możliwościach. Na przykład, czy miałby pan coś przeciwko temu, żeby opuścić Nowy Jork? Wyjechać gdzieś dalej?

– Obawiam się, że to nie da się zrobić. Muszę szukać szczęścia tutaj albo nigdzie. Widzi pan – ciągnął Morris Townsend – mam tu więzy, zobowiązania. Mieszka tu moja siostra, wdowa, z którą bardzo długo byłem w rozłące i dla której jestem prawie wszystkim. Nie chciałbym jej teraz mówić, że muszę znów ją opuścić. Widzi pan, ona trochę na mnie liczy.

– Ach, to bardzo właściwe; uczucia rodzinne są bardzo właściwe – rzekł doktor Sloper. – Często myślę, że w naszym mieście jest ich za mało. Wydaje mi się, że słyszałem o pańskiej siostrze.

– To możliwe, ale raczej wątpię; ona żyje bardzo spokojnie.

– Chce pan powiedzieć, tak spokojnie, jak może żyć dama z kilkorgiem małych dzieci.

– Ach, ci moi siostrzeńcy i siostrzeniczki! O to właśnie chodzi! Pomagam przy ich wychowaniu – powiedział Morris Townsend. – Jestem czymś w rodzaju guwernera amatora; daję im lekcje.

– Jak powiedziałem, to bardzo stosowne; ale to nie jest zawód.

– Nie zbiję na tym majątku – przyznał młody człowiek.

– Nie powinien pan zbyt zawzięcie dążyć do majątku – rzekł doktor. – Ale zapewniam pana, że będę o panu myślał; nie stracę pana z oczu!

– Jeśli moje położenie stanie się rozpaczliwe, być może pozwolę sobie panu o tym przypomnieć! – odparł Morris, lekko podnosząc głos i szerzej się uśmiechając na pożegnanie.

Przed wyjściem doktor zamienił jeszcze kilka słów z panią Almond.

– Chciałbym poznać jego siostrę – powiedział. – Jakże ona się nazywa? Pani Montgomery? Chciałbym się z nią zobaczyć i trochę z nią porozmawiać.

– Spróbuję to załatwić – odrzekła pani Almond. – Skorzystam z pierwszej okazji, by ją zaprosić, a wtedy przyjdiesz i ją poznasz. Chyba – dodała – że najpierw wmówi sobie chorobę i sama po ciebie pośle.

– Ach, byle nie to; i bez tego pewnie ma dość kłopotów. Ale miałyby to swoje zalety, bo wówczas zobaczyłbym dzieci. Chciałbym zobaczyć te dzieci.

– Bardzo jesteś sumienny. Czy chcesz je wypytać o wuja?

– Właśnie. Wuj mówi, że zajmuje się ich wykształceniem i oszczędza matce wydatków na szkołę. Chciałbym zadać im kilka pytań na bardziej przyziemne tematy.

„Z pewnością nie jest skrojony na nauczyciela!” – rzekła do siebie pani Almond nieco później; widząc Morrisa Townsenda, który pochylał się nad jej bratanicą siedzącą w rogu pokoju.

I rzeczywiście, w owej chwili słowa młodego człowieka nie miały w sobie nic, co traciłoby pedagogiką.

– Spotka się pani gdzieś ze mną jutro lub pojutrze? – zagadnął cicho Catherine.

– Spotkać się z panem? – zdziwiła się, wznosząc ku niemu wystraszone oczy.

– Mam pani do powiedzenia coś wyjątkowego... bardzo wyjątkowego.

– Nie może pan przyjść do nas? Nie może pan powiedzieć tego tutaj?

Townsend ponuro pokręcił głową. – Nie mogę więcej przekroczyć progu tego domu!

– Och, panie Townsend! – szepnęła Catherine. Zadrżała na myśl, co też mogło się stać; czyżby ojciec mu zabronił?

– Nie pozwala mi na to szacunek do samego siebie – rzekł młodzieniec. – Pani ojciec zrobił mi afront.

– Afront?

– Drwił z mojego ubóstwa.

– Och, pan się myli! Źle go pan zrozumiał! – wykrzyknęła Catherine, podrywając się z krzesła.

– Być może jestem zbyt dumny, zbyt wrażliwy. Ale czy chciałaby pani, bym był inny? – zapytał czule.

– Gdy chodzi o mojego ojca, nie powinien pan się uprzedzać. To sama dobroć – przekonywała Catherine.

– Wyśmiał mnie, bo nie mam posady! Przyjąłem to spokojnie, ale tylko dlatego, że jest związany z panią.

– Nie wiem – rzekła Catherine. – Nie wiem, co on myśli. Jestem pewna, że chce dobrze. Nie powinien pan być zbyt dumny.

– Będę dumny tylko z pani – odparł Morris. – Czy spotka się pani ze mną na placu dziś po południu?

Jedyną odpowiedzią na powyższą propozycję był głęboki rumieniec na twarzy Catherine. Odwróciła się, nie bacząc na pytanie.

– Spotka się pani ze mną? – powtórzył. – Tam jest bardzo ustronnie; o zmierzchu nikt nas nie zobaczy!

– Pan jest niedobry, pan się ze mnie wyśmiewa, mówiąc takie rzeczy.

– Kochana! – szepnął młodzieniec.

– Pan wie, jak niewiele mam cech, z których mogę być dumna. Jestem głupia i brzydka.

Morris skwitował tę uwagę żarliwym szeptem, z którego zrozumiała tylko zapewnienie, że jest jego najukochańszą. Ciągnęła jednak: – Nie jestem nawet... nie jestem nawet... – Urwała.

– Nie jest pani...?

– Nie jestem nawet odważna.

– Ach, w takim razie co zrobimy, skoro pani się boi?

Zawahała się, ale wreszcie rzekła: – Musi pan przyjść do domu. Tego się nie boję.

– Wolałbym, żeby to było na placu – nie ustępował młodzieniec. – Wie pani, jaki jest zazwyczaj pusty. Nikt nas nie będzie widział.

– Nie dbam o to, kto nas będzie widział! Niech mnie pan teraz zostawi.

Opuścił ją, zrezygnowany; dostał za swoje. Na szczęście pozostał nieświadomy faktu, że pół godziny później, wracając do domu z ojcem i czując go przy sobie, biedna dziewczyna, mimo nagłego przypływu odwagi, znów zaczęła dygotać. Ojciec milczał, miała jednak wrażenie, że w ciemności się jej przygląda. Pani Penniman również się nie odzywała; Morris Townsend zdążył już jej powiedzieć, że bratanica, całkiem nieromantycznie, woli rozmowę w obitym perkalem salonie aniżeli sentymentalną schadzki przy fontannie pokrytej zwiedłymi liśćmi, toteż w obliczu tak dziwnego, niemal przewrotnego wyboru nie posiadała się ze zdumienia.

X

Catherine przyjęła młodego człowieka nazajutrz na wybranym przez siebie gruncie – pośród prostych obić nowojorskiego salonu, urządzonego według mody sprzed pięćdziesięciu lat. Morris schował dumę do kieszeni i podjął wysiłek konieczny, by przekroczyć próg domostwa jej szyderczego rodzica – akt wielkoduszności, który niezawodnie czynił go podwójnie interesującym.

– Musimy coś ustalić; musimy zająć stanowisko – oświadczył, rozczesując dłonią włosy i zerkając w wysokie wąskie lustro zdobiące przestrzeń między dwoma oknami, wsparte o połączoną konsolkę, przykrytą cienkim blatem białego marmuru, na którym z kolei spoczywała plansza do tryktraka złożona w kształt dwóch tomów – dwóch błyszczących foliów opatrzonych zielonkawozłotym tytułem *Historia Anglii*. Jeśli Morrisowi spodobało się opisać gospodarza jako szydercę bez serca, to dlatego że, mając go za zbyt czujnego, w ten prosty sposób wyraził swoje niezadowolenie – niezadowolenie, które szczególnie starał się ukryć przed doktorem. Czytelnik jednakże z pewnością dostrzeże, że czujność doktora bynajmniej nie była nadmierna i młodzi ludzie mieli dużo swobody. Łączyła ich coraz większa zażyłość; może się wręcz wydawać, że jak na osobę lękliwą i nieśmiałą nasza bohaterka okazywała swoje względy dość otwarcie. W przeciągu kilku dni pod wpływem młodego człowieka zaczęła słuchać rzeczy, na które, jak przedtem sądziła, nie była gotowa; kawaler zaś, wiedziony żywym przeczuciem powikłań w przyszłości, postanowił zdobyć jak najwięcej w czasie teraźniejszym. Pamiętał, że odważnym szczęście sprzyja, a gdyby nawet o tym zapomniał, pani Penniman by mu przypomniała. Pani Penniman żywiła uwielbienie dla wszystkiego, co teatralne, i pochlebiała sobie, że teraz rozegra się przed nią przedstawienie. A że gorliwość suflera łączyła się u niej z niecierpliwością widza, już od dawna dokładała starań, aby kurtyna jak najszybciej poszła w górę. Ona również miała nadzieję odegrać w tym spektaklu

jakaś rolę – być powiernicą, chórem, wygłosić epilog. Można wręcz stwierdzić, że niekiedy – bez reszty zatracona w kontemplacji wielkich scen, które w sposób naturalny miały rozegrać się między głównym bohaterem a nią samą – całkiem traciła z oczu skromną bohaterkę sztuki.

Morris w końcu powiedział Catherine po prostu, że ją kocha, a raczej, że wielbi. W zasadzie dawał to do zrozumienia już przedtem – jego wizyty były ciągiem wymownych tego przejawów. Lecz teraz potwierdził uczucie, składając śluby miłosne, a dla upamiętnienia objął dziewczynę w pól i złożył na jej ustach pocałunek. Tę radosną pewność Catherine osiągnęła wcześniej, niż mogła się spodziewać, nic więc dziwnego, że uznała ją za bezcenny skarb. Wątpliwe nawet, czy w ogóle się jej spodziewała; nie czekała na nią i nie wmawiała sobie, że zyska ją w jakiejś konkretnej chwili. Jak próbowałem wyjaśnić, nie była zachłanna ani wymagająca; z dnia na dzień brała to, co jej dawano; a gdyby rozkoszny rytuał odwiedzin amanta, który napawał ją szczęściem będącym dziwną mieszanką ufności i uległości, nagle dobiegł końca, nie tylko nie twierdziłaby, że jest porzucona, lecz nawet nie zaliczyłaby się do zawiedzionych. Po tym jak Morris, podczas ostatniej bytności, pocałował ją, dając soczysty dowód swego oddania, ubłagała go, aby odszedł, zostawił ją samą, pozwolił jej zebrać myśli – i Morris oddalił się, skradłszy kolejny pocałunek. Niemniej rozważania Catherine cechował pewien brak konsekwencji. Jego pocałunki, które długo czuła na ustach i policzkach, utrudniały jej namysł, zamiast mu sprzyjać. Wolałaby trzeźwo przyjrzeć się swemu położeniu – zdecydować, co powinna zrobić, gdyby, jak się obawiała, ojciec powiedział jej, że Morris Townsend nie zyskał jego aprobaty. Tymczasem jako tako wyraźnie widziała tylko jedno: że to strasznie dziwne, iż ktokolwiek go nie aprobeje; że w tym wypadku musiała zajść jakaś pomyłka, że tkwi w tym jakaś tajemnica, która lada moment się wyjaśni. Odkładała decyzję i wybór; w obliczu konfliktu z ojcem spuszczała wzrok i czekała bez ruchu, wstrzymując oddech. Przyprawiało ją to o bicie serca, przejmowało bólem. Kiedy Morris ją całował i mówił te wszystkie rzeczy – wtedy również jej serce biło, lecz to było gorsze, bardzo się tego bała. Gdy jednak dzisiaj młodzieniec oznajmił, że trzeba coś ustalić, przyjąć jakiś plan, uznała jego rację i odpowiedziała wprost i bez wahania.

– Spełnimy nasz obowiązek – rzekła – i porozmawiamy z ojcem. Ja zrobię to dziś wieczorem; ty musisz to zrobić jutro.

– Bardzo ładnie, że zrobisz to pierwsza – odparł Morris. – Zwyczajnie robi to mężczyzna, szczęśliwy adorator. Ale jak sobie życzysz!

Catherine spodobała się myśl, że zdobędzie się na odwagę dla niego, i z satysfakcji nawet lekko się uśmiechnęła. – Kobiety mają więcej taktu – powiedziała – powinny przemawiać pierwsze. Są bardziej ugodowe; skuteczniej przekonują.

– Będziesz potrzebować całej siły perswazji. Zresztą – dodał Morris – nie można ci się oprzeć!

– Proszę, nie mów w ten sposób i obiecaj mi jedno. Jutro, gdy będziesz rozmawiał z ojcem, bądź grzeczny i pełen szacunku.

– O ile to będzie możliwe – obiecał Morris. – Niewiele to da, ale spróbuję. Z pewnością wolałbym dostać cię bezboleśnie niż musieć o ciebie walczyć.

– Proszę, nie mów o walce; nie będziemy walczyć.

– Ach, ale musimy być przygotowani – odparł Morris – a zwłaszcza ty, gdyż tobie przyjdzie to trudniej. Wiesz, jaka jest pierwsza rzecz, którą ojciec ci powie?

– Nie, Morris; powiedz mi, proszę.

– Powie ci, że jestem interesowny.

– Interesowny?

– To duże słowo, ale oznacza coś niskiego. Oznacza, że dybię na twoje pieniądze.

– Och! – szepnęła cicho Catherine.

Jej okrzyk był tak wzgardliwy i wzruszający zarazem, że Morris pozwolił sobie jeszcze raz zademonstrować uczucie. – Ale to pewne, że tak powie – dodał.

– Łatwo się na to przygotować – rzekła Catherine. – Po prostu zapewnię go, że się myli; że być może inni są tacy, ale ty nie.

– Musisz przy tym obstawać, bo i on będzie obstawał przy swoim.

Catherine spoglądała przez chwilę na amanta, po czym oznajmiła: – Przekonam go. Ale cieszę się, że będziemy bogaci.

Morris odwrócił głowę i wpatrzył się w denko kapelusza. – Nie, to nieszczęście – powiedział w końcu. – Będziemy przez to mieli kłopoty.

– Cóż, jeśli to ma być najgorsze nieszczęście, to nie będziemy tacy nieszczęśliwi. Wiele osób uznałoby, że jest całkiem nieźle. Przekonam go, a potem będziemy zadowoleni, że mamy pieniądze.

Morris Townsend w milczeniu wysłuchał tego nader logicznego wyводу. – Zostawiam swoją obronę w twoich rękach – powiedział w końcu. – To upokarzające dla mężczyzny, bronić się przed takim oskarżeniem.

Catherine ze swej strony również zamilkła; wpatrzyła się w niego, podczas gdy on uporczywie wpatrywał się w okno. – Morris – rzekła raptownie – naprawdę jesteś pewien, że mnie kochasz?

Odwrócił się i po chwili już pochylał się nad dziewczyną. – Najdroższa, jak możesz w to wątpić?

– Wiem o tym dopiero od pięciu dni – powiedziała – ale teraz wydaje mi się, że nie mogłabym bez tego żyć.

– Nie będziesz nawet musiała próbować! – I zaśmiał się uspokajająco i czule. – Ale jest coś, co ty również musisz mi powiedzieć – dodał po chwili. Catherine, skończywszy mówić, zacisnęła powieki; teraz więc skinęła głową, ale wciąż nie otwierała oczu. – Musisz obiecać mi jedno – ciągnął Morris. – Jeśli twój ojciec zaweźmie się na mnie, jeśli bezwzględnie zakaże ci małżeństwa, ty pozostaniesz mi wierna.

Catherine rozwarła powieki i wpatrzyła się w niego; nie było lepszej obietnicy ponad to, co wyczytał w jej oczach.

– Wytrwasz przy mnie? – zapytał Morris. – Wiesz, że jesteś panią samej siebie; że jesteś pełnoletnia.

– Ach, Morris! – wyszeptała za całą odpowiedź. A raczej nie za całą; gdyż ufnie ujęła go za rękę. Przytrzymał jej dłoń i niebawem znów ją pocałował. Nie ma potrzeby dalej notować ich rozmowy; lecz pani Penniman, gdyby była obecna, zapewne przyznałaby,

że chyba dobrze się stało, iż nie spotkali się przy fontannie na placu Waszyngtona.

Tego wieczoru Catherine nasłuchiwała nadejścia ojca, aż wreszcie usłyszała, że wchodzi do domu i idzie do gabinetu. Przez pół godziny siedziała cicho, choć serce waliło jej jak młotem; potem podeszła do jego drzwi i zapukała – ceremoniał, bez którego nigdy nie przekraczała progu jego pokoju. Zastała go przy kominku, siedzącego w fotelu z cygarem i wieczorną gazetą.

– Mam ci coś do powiedzenia – zaczęła miękko; po czym usiadła na pierwszym z brzegu miejscu.

– Z radością cię wysłucham, moja droga – odrzekł ojciec. I czekał – czekał, patrząc na nią, podczas gdy ona długo wpatrywała się w ogień. Odczuwał ciekawość i zniecierpliwienie, gdyż był pewien, że będzie mówiła o Morrisie Townsendzie; dał jej wszakże czas, gdyż postanowił być bardzo wyrozumiały.

– Zaręczyłam się! – oznajmiła w końcu Catherine, wciąż patrząc w ogień.

Doktor zdumiał się; nie spodziewał się faktów dokonanych, nie zdradził jednak zaskoczenia. – Robisz słusznie, mówiąc mi o tym – rzekł po prostu. – Kimże jest ten szczęśliwiec, którego zaszczyciłaś swoim wyborem?

– To pan Morris Townsend. – Wymawiając imię ukochanego, Catherine zerknęła na ojca. Ujrzała jego niezmacone szare oczy i wyrazisty, stanowczy uśmiech. Patrzyła na nie przez chwilę, a potem znów spojrzała w ogień; był znacznie cieplejszy.

– Kiedyście to ustalili? – zapytał doktor.

– Dziś po południu, dwie godziny temu.

– Pan Townsend był tutaj?

– Tak, ojcze; w salonie od frontu. – Bardzo się cieszyła, że nie jest zmuszona mu powiedzieć, iż ceremonia zaręczyn odbyła się na dworze, pod nagimi bożodrzewami.

– To poważne? – zapytał doktor.

– Bardzo poważne, ojcze.

Ojciec milczał przez chwilę. – Powinien był mi to powiedzieć pan Townsend.

– Zamierza powiedzieć ci jutro.

– Kiedy już o wszystkim dowiem się od ciebie? Powinien był powiedzieć mi pierwszy. Czy on myśli, że o to nie dbam? Bo zostawiłem ci tyle swobody?

– Och, nie – zachnęła się Catherine – on wie, że bardzo o to dbasz. Jesteśmy ci bardzo zobowiązani za... za tę swobodę.

Doktor zaśmiał się krótko. – Mogłaś ją lepiej wykorzystać, Catherine.

– Proszę cię, ojcze, nie mów tak – szepnęła dziewczyna, wlepiając w niego matowe, łagodne oczy.

Doktor przez chwilę w zamyśleniu pykał cygaro. – Bardzo szybko wam poszło – powiedział w końcu.

– Tak – odrzekła Catherine z prostotą. – Chyba tak.

Ojciec zerknął na nią przelotnie, odrywając wzrok od ognia. – Nic dziwnego, że pan Townsend cię lubi. Jesteś taka prosta i dobra.

– Nie wiem dlaczego... ale n a p r a w d ę mnie lubi. Jestem tego pewna.

– A ty lubisz pana Townsenda?

– Bardzo go lubię, oczywiście... inaczej nie zgodziłabym się za niego wyjść.

– Ale znasz go bardzo krótko, moja droga.

– Och – rzekła Catherine z pewnym zapałem – polubienie kogoś nie trwa długo...

kiedy już raz się zacznie.

– Musiałaś zacząć bardzo szybko. Czy to stało się wtedy, na przyjęciu u ciotki, kiedy widziałaś go po raz pierwszy?

– Nie wiem, ojciec – odparła dziewczyna. – Nie mogę ci odpowiedzieć.

– Oczywiście; to twoja sprawa. Zauważyłaś pewnie, że stosowałem się do tej zasady.

Nie wtrącałem się. Zostawiłem ci swobodę. Pamiętałem, że nie jesteś już małą dziewczynką; że osiągnęłaś wiek rozważli.

– Czuję się bardzo stara i bardzo mądra – powiedziała Catherine, lekko się uśmiechając.

– Obawiam się, że niebawem poczujesz się jeszcze starsza i jeszcze mądrzejsza. Nie podobają mi się twoje zaręczyny.

– Ach! – Catherine z cichym okrzykiem poderwała się z krzesła.

– Nie, moja droga. Przykro mi, że sprawiam ci ból, ale nie podoba mi się to.

Powinnaś była się mnie poradzić, zanim coś ustaliłaś. Byłem dla ciebie zbyt pobłażliwy i mam wrażenie, że wykorzystałaś moją wielkoduszność. Stanowczo powinnaś była najpierw ze mną pomówić.

Catherine zawahała się. – Bałam się, że to ci się nie spodoba! – wyznała w końcu.

– No i proszę! Masz nieczyste sumienie!

– Nie, ojciec, nie mam nieczystego sumienia! – wykrzyknęła żywo dziewczyna. –

Proszę, nie zrzucaj mi takich okropnych rzeczy. – Istotnie, słowa ojca wywołały w jej wyobraźni obraz czegoś prawdziwie strasznego, czegoś podłego i okrutnego, co kojarzyło się z więźniami i złoczyńcami. – To dlatego, że się bałam... bałam... – ciągnęła bezradnie.

– Jeśli się bałaś, to dlatego, że byłaś niemądra!

– Bałam się, że pan Townsend ci się nie spodoba.

– Miałaś zupełną rację. Nie podoba mi się.

– Drogi ojciec, przecież go nie znasz – sprzeciwiła się Catherine tonem tak lęklwym, że doktor powinien był się wzruszyć.

– To prawda; nie znam go bliżej. Ale znam go dostatecznie; wyrobiłem sobie opinię.

Ty również go nie znasz.

Stała przed kominkiem, splótłszy lekko dłonie przed sobą; ojciec, który pólżąc w fotelu, spoglądał na nią w górę, uczynił tę uwagę ze spokojem wręcz irytującym. Wątpię, czy Catherine także poczuła irytację, niemniej wybuchnęła gwałtownym protestem: – Ja go nie znam? – krzyknęła. – Jak to, znam go... znam go lepiej, niż znałam kogokolwiek!

– Znasz go częściowo; tę część, którą zechciał ci pokazać. Ale nie znasz całej reszty.

– Reszty? Jakiej reszty?

– Jakiegokolwiek. Z pewnością jest tego mnóstwo.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – rzekła, pomna, przed czym uprzedzał ją Morris. –

Chcesz powiedzieć, że jest interesowny.

Ojciec wciąż patrzył na nią swym zimnym, spokojnym, rozumnym okiem. – Moja droga, gdybym chciał to powiedzieć, tobym powiedział! Zwłaszcza tego błędu wolałbym uniknąć; nie chcę mówić o panu Townsencie przykrych rzeczy, aby przez to nie stał się w twoich oczach jeszcze bardziej interesujący.

– Nie uznam ich za przykre, jeśli będą prawdziwe.

– Jeśli tak, będziesz nader rozsądną młodą damą.

– W każdym razie masz swoje racje i chcesz, bym ich wysłuchała.

Doktor uśmiechnął się lekko. – Co prawda, to prawda. A ty masz całkowite prawo o nie pytać. – Przez kilka chwil pykał cygaro. – A więc dobrze; nie oskarżając pana Townsenda o to, że kocha tylko twój majątek, a także majątek, którego słusznie się spodziewasz, powiem tylko, że mam wszelkie powody podejrzewać, iż w swoich rachubach uwzględnia te korzyści w większym stopniu, niżby wymagała jedynie czuła troska o twoje szczęście. Oczywiście, nie jest całkiem niemożliwe, by jakiś inteligentny młodzieniec obdarzał cię bezinteresownym uczuciem. Jesteś uczciwą, miłą dziewczyną i inteligentny młodzieniec odkryje to z łatwością. Jednak to, co wiemy o tym konkretnym inteligentnym młodzieńcu – a on istotnie jest bardzo inteligentny – każe nam przypuszczać, że jakkolwiek wysoko ceni twoje zalety osobiste, twoje pieniądze ceni jeszcze wyżej. Wiemy o nim głównie, że prowadził hulaszczyste życie, na co przepuścił swój majątek. To mi wystarczy, moja droga. Chciałbym, abyś wyszła za kogoś o innej przeszłości, za kogoś, kto da ci jakąś gwarancję. Skoro Morris Townsend przepuścił własną fortunę na zabawę, są wszelkie powody, by przypuszczać, że przepuści także twoją.

Doktor wygłaszał te uwagi powoli i dobitnie, tu i ówdzie robiąc przerwy lub kładąc akcenty, jakby nie brał pod uwagę napięcia, z jakim biedna Catherine czekała na konkluzję. Dziewczyna znów usiadła z pochyloną głową, nie odrywając od niego wzroku; ale, rzecz dziwna – właściwie nie wiem, jak to opisać – chociaż czuła, że jego słowa straszliwie w nią godzą, była pełna podziwu dla zwięzłości i szlachetności jego wypowiedzi. Konieczność spierania się z ojcem miała w sobie coś beznadziejnego i przytłaczającego; niemniej wypadało, by ona, ze swej strony, również postarała się mówić jasno. Był taki spokojny; wcale się nie gniewał; zatem ona także musiała być spokojna. Lecz sam wysiłek, by zachować spokój, wprawił ją w dygot.

– To nie jest główna rzecz, jaką o nim wiemy – rzekła z najłżejszym drzeniem w głosie. – Są inne rzeczy... wiele innych rzeczy. Jest niezwykle zdolny... tak bardzo chce coś robić. Jest dobry, wielkoduszny i szczery – mówiła biedna Catherine, która dotychczas nie podejrzewała, że ma takie zasoby elokwencji. – A majątek... majątek, który przepuścił... był bardzo niewielki!

– Tym bardziej nie powinien być go stracić! – zaśmiał się doktor, podnosząc się z fotela. I ujrawszy, że Catherine, która również wstała, czeka, kanciasta i solenna, pragnąc tak wiele, a tak mało wyrażając, przyciągnął ją do siebie i pocałował. – Nie

uznasz mnie za okrutnika? – zapytał, trzymając ją w objęciach.

Pytanie nie było pocieszające; przeciwnie, zdawało się podsuwać wnioski, od których Catherine robiło się niedobrze. Odpowiedziała wszakże dość przytomnie: – Nie, ojciec; bo gdybyś wiedział, co czuję... a musisz wiedzieć, bo ty wiesz wszystko... byłbyś niezwykle dobry i łagodny.

– Tak, wydaje mi się, że wiem, co czujesz – odrzekł doktor. – I będę bardzo dobry, możesz być tego pewna. Jutro zobaczę się z panem Townsendem. Tymczasem bądź tak dobra i nie mów nikomu, że się zaręczyłaś.

XII

Następnego dnia po południu został w domu, by poczekać na pana Townsenda – gest, który, jak mu się zdawało (być może słusznie, gdyż był człowiekiem bardzo zajęтым), stanowił dla zalotnika Catherine wielki zaszczyt, a zarazem sprawiał, że młodzi ludzie zyskiwali trochę mniej powodów do narzekań. Morris stawiał się z pogodną miną – najwyraźniej zapomniał już o „afroncie”, przez który dwa dni wcześniej domagał się od Catherine współczucia – a doktor Sloper bezzwłocznie mu oznajmił, że przygotował się na jego wizytę.

– Catherine powiedziała mi wczoraj, co zaszło między wami – powiedział. – Pozwoli pan, że zauważę, iż byłoby właściwiej, gdyby dał mi pan znać o swoich zamiarach, zanim posunęły się tak daleko.

– Zrobiłbym to – odparł Morris – gdybym nie odniósł przemożnego wrażenia, że zostawił pan córce pełną swobodę. Wydawało mi się, że jest panią samej siebie.

– W sensie dosłownym tak jest. Ale ufam, że nie wyemancypowała się moralnie do tego stopnia, by wybierać sobie męża, nie spytawszy mnie o zdanie. Zostawiłem jej swobodę, ale w żadnym razie nie jest mi obojętna. Prawda jest taka, że wasz mały romans dojrzał w tempie, które mnie zdumiewa. Przecież Catherine poznała pana zaledwie kilka dni temu.

– Rzeczywiście, niedawno – przytaknął Morris z wielką powagą. – Przyznaję, że nie ociągał się z... z dojściem do porozumienia. Lecz kiedy nabraliśmy pewności co do siebie... co do siebie nawzajem, wszystko potoczyło się w sposób naturalny. Zainteresowałem się panną Sloper od razu, gdy ją zobaczyłem.

– Czy to aby nie nastąpiło, zanim spotkał ją pan po raz pierwszy? – zapytał doktor. Morris zerknął nań przelotnie. – Oczywiście już wcześniej słyszałem, że to urocza dziewczyna.

– Urocza dziewczyna – tak pan o niej myśli?

– Z całą pewnością. Inaczej bym tu nie siedział.

Doktor zastanawiał się przez chwilę. – Drogi młodzieńcze – rzekł w końcu – musi pan być bardzo podatny na wpływy. Jako ojciec Catherine potrafię, jak sądzę, trafnie i czule docenić jej liczne zalety; nie będę jednak ukrywać, iż nigdy nie uważałem jej za urocą i nie spodziewałem się, że kto inny może tak uważać.

Morris Townsend przyjął tę wypowiedź z uśmiechem, nie całkiem wolnym od użoności. – Nie wiem, co bym o niej sądził, gdybym był jej ojcem. Nie umiem postawić się na pańskim miejscu. Przedstawiam własny punkt widzenia.

– Bardzo dobrze pan przemawia – odparł doktor – ale to nie wystarczy. Wczoraj powiedziałem Catherine, że nie apróbuję jej zaręczyn.

– Tyle mi przekazała i było mi bardzo przykro to usłyszeć. Jestem bardzo rozczarowany. – Morris zamilkł na pewien czas i wlepił wzrok w podłogę.

– Czy naprawdę sądził pan, że powiem, iż jestem zachwycony, i pchnę panu córkę w ramiona?

– Och, nie; podejrzewałem, że pan mnie nie lubi.

– Skąd to podejrzenie?

– Stąd, że jestem biedny.

– To brzmi dość okrutnie – powiedział doktor – ale to mniej więcej prawda... gdyby traktować pana ściśle jako zięcia. Pański brak środków do życia, zawodu, widocznych zasobów i perspektyw lokuje pana w kategorii ludzi, wśród których nierozważnie byłoby szukać męża dla mojej córki, słabej młodej kobiety ze sporym majątkiem. W każdym innym charakterze jestem całkiem gotów pana polubić; jako zięć napełnia mnie pan obrzydzeniem!

Morris Townsend słuchał z szacunkiem. – Nie uważam panny Sloper za słabą kobietę – oznajmił wreszcie.

– Oczywiście musi pan jej bronić; przynajmniej tyle może pan zrobić. Ale znam moje dziecko od dwudziestu lat, a pan zna ją sześć tygodni. Zresztą, nawet jeśli nie jest słaba, to pan i tak jest bez grosza.

– Ach tak! To jest m o j a słabość! I dlatego, pańskim zdaniem, jestem interesowny i chcę tylko pieniędzy pańskiej córki!

– Tego nie mówię; nie muszę tego mówić; to w złym guście, powiedzieć coś takiego inaczej niż pod naciskiem lub przymusem. Mówię jedynie, że należy pan do niewłaściwej kategorii.

– Ależ pańska córka nie poślubia kategorii – nalegał Townsend ze swym pięknym uśmiechem. – Poślubia człowieka... człowieka, którego, jak twierdzi w swej dobroci, kocha.

– Człowieka, który tak niewiele proponuje w zamian!

– Czy można zaproponować coś ponad najczulszą miłość i dożywotnie oddanie? – zapytał młodzieniec.

– Zależy, jak na to spojrzemy. Można zaproponować jeszcze kilka innych rzeczy, co więcej, nie tylko można, ale na ogół tak się robi. Dożywotnie oddanie mierzy się po fakcie; tymczasem zaś w takich sytuacjach zwyczajowo daje się jakieś gwarancje materialne. A pan co ma? Bardzo przystojną twarz i świetną figurę oraz bardzo dobre maniery. Są znakomite i można na nich daleko zajechać, ale jednak nie dość daleko.

– Jest coś, co powinien pan do nich dodać – zawołał Morris. – Słowo dżentelmena!

– Słowo dżentelmena, że będzie pan zawsze kochał Catherine? Musi pan być niezłym dżentelmenem, żeby mieć taką pewność.

– Słowo dżentelmena, że nie jestem wyrachowany; że moja miłość do panny Sloper to

najczystsze, najbardziej bezinteresowne uczucie, jakie kiedykolwiek gościło w ludzkim sercu! O jej majątek dbam tyle, co o popiół w kominku!

– Biorę to pod uwagę... biorę... – rzekł doktor. – Ale zrobiwszy to, wracam do naszej kategorii. Należy pan do niej nawet z tą uroczystą przysięgą na ustach. Dobrze, niech będzie; nic nie świadczy przeciwko panu z wyjątkiem zrządzenia losu; ale przez trzydzieści lat praktyki medycznej widziałem, że zrządzenia losu miewają dalekosiężne skutki.

Morris pogładził kapelusz – już i tak wyjątkowo błyszczący – nadal doskonale nad sobą panując, co, jak doktor był zmuszony przyznać, niezwykle dobrze o nim świadczyło. Niemniej rzucało się w oczy, jak dotkliwie jest rozczarowany.

– Czy istnieje coś, co mógłbym zrobić, by pan we mnie uwierzył?

– Nawet gdyby istniało, wspomniałbym o tym z przykrością, albowiem... nie widzi pan?... ja nie chcę w pana wierzyć! – oświadczył doktor z uśmiechem.

– Pójdę robić w polu.

– To byłoby niemądre.

– Podejmę pierwszą pracę, jaka się nawinie, od jutra.

– Proszę bardzo, ale ze względu na siebie, nie na mnie.

– Rozumiem: pan sądzi, że jestem nierobem! – wykrzyknął Morris nieco przesadnym tonem człowieka, który właśnie dokonał odkrycia. Ale natychmiast się spostrzegł i oblał rumieńcem.

– Nie ma znaczenia, co ja myślę, skoro raz już panu powiedziałem, że nie widzę w panu zięcia.

Lecz Morris nie ustępował. – Pan sądzi, że roztrwonię jej pieniądze.

– Jak mówiłem, to nie ma znaczenia – doktor uśmiechnął się – chociaż przyznaję się do winy.

– Pewnie dlatego, że roztrwoniłem własne – ciągnął Morris. – Szczerze to wyznaję. Byłem hulaką. Byłem głupi. Jeśli pan chce, opowiem panu o wszystkich szaleństwach, jakie popełniłem. Były wśród nich ogromne głupstwa, nigdy tego nie ukrywałem. Ale wyszumiałem się. Czyż nie istnieje przysłowie o nawróconym grzeszniku? Nie byłem grzesznikiem, ale zapewniam pana, że się nawróciłem. Lepiej bawić się przez jakiś czas i mieć to za sobą. Pańska córka nie zainteresowałaby się niedorajdą; pozwolę sobie zauważyć, że panu też ktoś taki by się nie spodobał. Poza tym jej pieniądze a moje to duża różnica. Wydałem swoje; i wydałem je, bo były moje. Nie zaciągałem długów; kiedy pieniądze się skończyły, przestałem. Nikomu nie jestem winien ani grosza.

– Pozwoli pan, że zapytam, z czego pan teraz żyje? Chociaż przyznaję, że to niekonsekwencja z mojej strony.

– Żyję z resztek majątku – odparł Morris Townsend.

– Dziękuję! – powiedział doktor z powagą.

Tak, opanowanie Morrisa istotnie było godne uznania. – A nawet gdyby się zgodzić – podjął – iż przywiązuje zbytnią wagę do majątku panny Sloper, czy to samo w sobie nie gwarantuje, że się dobrze o niego zatroszczy?

– Nadmierna troska byłaby równie zła, jak troska zbyt mała. Catherine mogłaby tak samo ucierpieć wskutek pańskiej oszczędności, jak wskutek pańskiej ekstrawagancji.

– Uważam, że jest pan bardzo niesprawiedliwy! – Młody człowiek wygłosił to oświadczenie godnie, grzecznie, bez gniewu.

– Ma pan prawo tak myśleć; powierzam panu swoją reputację! Z pewnością nie pochlebiam sobie, że sprawiam panu przyjemność.

– Nie chciałby pan sprawić choć trochę przyjemności córce? Cieszy się pan na myśl, że przez pana będzie nieszczęśliwa?

– Całkowicie pogodziłem się z tym, że przez rok będzie mnie uważać za tyrana.

– Przez rok? – zaśmiał się Morris.

– A więc przez całe życie! Skoro ma być nieszczęśliwa, to wszystko jedno z jakiego powodu.

Tutaj wreszcie Morris stracił cierpliwość. – Ach, pan jest niegrzeczny, proszę pana! – wykrzyknął.

– Pan mnie do tego zmusza; pan za bardzo się spiera.

– Mam wiele do stracenia.

– Cóż, cokolwiek to jest – rzekł doktor – już pan to stracił!

– Jest pan tego pewien? – zapytał Morris. – Jest pan pewien, że pańska córka się mnie wyrzeknie?

– Chcę oczywiście powiedzieć, że pan przegrał, jeśli chodzi o mnie. A czy Catherine się pana wyrzeknie? Nie, tego nie jestem pewien. Ale ponieważ będę usilnie na to nalegał, ponieważ córka darzy mnie szacunkiem i afektem, na które mogę liczyć, i ponieważ ma w najwyższym stopniu rozwinięte poczucie obowiązku, uważam, że to bardzo możliwe.

Morris Townsend znów zaczął gładzić kapelusz. – Ja także mogę liczyć na jej afekt! – zauważył wreszcie.

W tym momencie także doktor po raz pierwszy zdradził pewne rozdrażnienie. – Czy pan zamierza mi się przeciwstawić?

– Niech pan to sobie nazywa, jak chce! Nie zamierzam rezygnować z pańskiej córki!

Doktor pokręcił głową. – Bez obawy, nie sędzę, żeby pan usychał z tęsknoty przez całe życie. Został pan stworzony, by się nim cieszyć.

– A więc – zaśmiał się Morris – tym okrutniejszy jest pański sprzeciw wobec mojego małżeństwa! Czy zamierza pan zabronić Catherine widywania się ze mną?

– W jej wieku już trudno czeokolwiek zabronić, a ja nie jestem ojcem ze staroświeckiej powieści. Ale będę ją usilnie nakłaniał, żeby z panem zerwała.

– Nie sędzę, by to zrobiła – rzekł Morris Townsend.

– Może i nie. Ale zrobię, co będę mógł.

– Posunęła się za daleko.

– By się cofnąć? To niech się zatrzyma tam, gdzie jest.

– To znaczy, za daleko, żeby się zatrzymać.

Doktor przyglądał mu się przez dłuższą chwilę; Morris położył już dłoń na klamce. – To duża zuchwałość, że pan mi to mówi.

– A więc nie powiem już nic więcej, sir! – odparł Morris i ukłoniwszy się, opuścił pokój.

Ktoś mógłby uznać, że doktor jest zbyt pewny swego, co pani Almond zresztą dała mu do zrozumienia. Ale, jak powiedział, wyrobił sobie zdanie, wydało mu się ono wystarczające i nie miał ochoty go zmieniać. Spędził życie, oceniając ludzi (to część zawodu lekarza), i w dziewiętnastu przypadkach na dwadzieścia miał rację.

– Być może pan Townsend to właśnie ten dwudziesty przypadek – podsunęła pani Almond.

– Być może, choć wcale mi na to nie wygląda. Na razie jednak spróbuję uwierzyć mu na słowo; upewnię się i pójdę porozmawiać z panią Montgomery. Prawie na pewno usłyszę, że mam rację; istnieje wszakże pewna szansa, że udowodni mi, iż popełniam największy błąd w życiu. Jeśli tak, będę błagał pana Townsenda o przebaczenie. Nie musisz jej do nas zapraszać, co uprzejmie zaproponowałaś; napiszę do niej otwarcie, jak się sprawy mają, i poproszę, by zgodziła się przyjąć mnie u siebie.

– Obawiam się, że otwartość będzie wyłącznie po twojej stronie; biedna kobietka ujmie się za bratem, jakikolwiek jest.

– Jakikolwiek jest? Wątpię. Ludzie nie zawsze tak lubią swoich braci.

– Ach – rzekła pani Almond – ale kiedy chodzi o trzydzieści tysięcy rocznego dochodu dla rodziny...

– Jeśli ujmie się za nim ze względu na pieniądze, będzie naciągaczką. Jeśli będzie naciągaczką, ja to zauważę. Jeśli to zauważę, nie będę tracił na nią czasu.

– Nie jest naciągaczką; to wzór cnót. Ale nie zechce spłatać bratu figla tylko dlatego, że jest samolubny.

– Jeśli w ogóle warto z nią rozmawiać, to prędzej spłata figla bratu, niż pozwoli, by on spłatał figla Catherine. Swoją drogą, czy ona widziała Catherine... czy ją poznała?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Pewnie pan Townsend nie miał zbytnio interesu w tym, by się spotkały.

– Jeśli jego siostra to wzór cnót, to nie. Ale zobaczymy, do jakiego stopnia twój opis jest trafny.

– Ciekawa jestem, co ona powie o tobie! – zaśmiała się pani Almond. – A tymczasem, jak przyjmuje to Catherine?

– Tak jak wszystko; po prostu i zwyczajnie.

– Nie robi hałasu? Żadnych scen?

– Nie jest skłonna do scen.

– Sądziłam, że usychająca z miłości panna zawsze ma skłonność do scen.

– Jeszcze większą ma fantazjująca wdowa. Lavinia wygłosiła mi kazanie; uważa, że jestem bardzo despotyczny.

– Ma talent do błędnych ocen – rzekła pani Almond. – Niemniej bardzo mi szkoda Catherine.

– Mnie również. Ale przejdzie jej.

– Wierzysz, że z niego zrezygnuje?

– Liczę na to. Darzy swego ojca wielkim podziwem.

– Och, to wiadomo! Lecz tym bardziej mi jej szkoda. Tym bardziej bolesny staje się jej

dylemat; wysiłek wyboru między tobą i ukochanym jest niemal ponad jej siły.

– Jeśli nie zdoła wybrać, tym lepiej.

– Tak, ale on nie ruszy się z miejsca i będzie ją nakłaniał, by wybrała; Lavinia również będzie ciągnąć w tamtą stronę.

– Jedyna pociecha, że nie jest po mojej stronie; zepsuje wszystko, czego się dotknie. W dniu, kiedy Lavinia wsiądzie do twojej łodzi, pójdziesz na dno. Ale niech się strzeże! – ostrzegł doktor. – Nie zniosę zdrady w swoim domu!

– Podejrzewam, że będzie ostrożna; w głębi duszy bardzo się ciebie boi.

– One obie się mnie boją, choć jestem nieszkodliwy! – odparł doktor. – I na tym buduję; że wzbudzam w nich zbawienną trwogę!

XIV

Napisał swój szczerzy list do pani Montgomery, która bezzwłocznie odpowiedziała, wyznaczając godzinę, o której doktor mógł się stawić na Drugiej Alei. Mieszkała w schludnym domku z czerwonej cegły, który świeżo odmalowano, a krawędzie cegieł obwiedziono jaskrawą bielą. Dzisiaj ten dom już zniknął, tak jak inne mu podobne; zostały usunięte, by zrobić miejsce dla rzędu bardziej majestatycznych budowli. Zielone okiennice nie składały się z listewek, lecz miały przebite na wylot maleńkie dziurki, zgrupowane we wzory; od frontu znajdował się niewielki ogródek z ozdobnym, nieco tajemniczym krzewem, otoczony niskim drewnianym płotkiem tej samej zielonej barwy co okiennice. Budynek przypominał domek dla lalek w powiększeniu; wyglądał, jakby przed chwilą zdjęto go z półki w sklepie z zabawkami. Doktor Sloper, idąc z wizytą, obejrzał z bliska powyższe obiekty i stwierdził w duchu, że pani Montgomery to najwyraźniej gospodarna i szanująca się osóbką – skromne rozmiary domostwa zdawały się wskazywać, że jest niedużego wzrostu – która czerpie satysfakcję z cnotliwej schludności i która uznawszy, że nie może być świetna, postanowiła przynajmniej być nieskazitelna. Wprowadzono go do małego saloniku, takiego właśnie, jak się spodziewał: maleńkiego gniazdka bez skazy, tu i ówdzie przystrojonego kwieciami z bibułki i pękami szklanych łezek, gdzie – by dopełnić analogii – temperaturę pory kwitnienia podtrzymywał żeliwny piecyk, płonący suchym błękitnym płomieniem i mocno pachnący lakierem. Ściany ozdobiono rycinami spowitymi różowym tiulem, stoły – tomikami wypisów z poezji, zazwyczaj w czarnym płótnie, tłoczonym w kwiatowy złożony wzór koloru wątrobianej żółci. Doktor miał czas zapoznać się z tym wszystkim; pani Montgomery bowiem, której zachowanie w tych okolicznościach uznał za niewybaczalne, kazała mu czekać dobre dziesięć minut. Wreszcie rozległ się szelest i gospodyni weszła, przyglądając sztywną popelinową suknię, z lekkim rumieńcem obawy na wdzięcznie zaokrąglonych policzkach.

Była to niska, pulchna, jasnowłosa kobieta o jasnych, przejrzystych oczach, promieniująca niezwykłą wprost rzeźkością i czystością. Jednak cechy te najwyraźniej łączyły się u niej z pozbawioną afektacji pokorą, toteż doktor od pierwszego rzutu oka

obdarzył ją uznaniem. Dzielna osóbka o bystrym rozumie, pełna wszakże niewiary w swój talent w sprawach towarzyskich, w odróżnieniu od praktycznych – takie było jego błyskawiczne *resumé* pani Montgomery, której, jak dostrzegł, pochlebił zaszczyt, za jaki uznała jego odwiedzin. W oczach pani Montgomery z małego czerwonego domku na Drugiej Alei doktor Sloper uchodził za wielkiego człowieka, jednego z nowojorskich dżentelmenów; wpatrując się w niego niespokojnym wzrokiem, splatając urękawiczone dłonie na popelinie gładkiego podołka, wciąż, zda się, powtarzała sobie, że jest właśnie taki, jaki według jej wyobrażenia dystyngowany gość z natury rzeczy być powinien. Przeprosiła za spóźnienie, lecz nie dał jej dokończyć.

– To bez znaczenia – oznajmił – gdyż siedząc tutaj, miałem czas przemyśleć, co chcę pani powiedzieć, i postanowić, od czego zacznę.

– Och, niech pan zaczyna! – szepnęła pani Montgomery.

– To nie takie łatwe – uśmiechnął się doktor. – Z mojego listu pojęła pani zapewne, że chciałbym zadać pani kilka pytań, ale może niezręcznie będzie pani na nie odpowiedzieć.

– Tak; zastanawiałam się, co powiem. To niełatwe.

– Musi pani jednak zrozumieć moje położenie – stan mego umysłu. Pani brat chce poślubić moją córkę, a ja chcę się dowiedzieć, co to za człowiek. Wydawało mi się, że dobrze będzie przyjść i panią zapytać; tak też uczyniłem.

Pani Montgomery, która najwyraźniej traktowała sytuację bardzo poważnie, popadła w stan najwyższego moralnego skupienia. Ładne oczy, rozświetlone jakby promienną skromnością, utkwiała w twarzy doktora; każdego jego słowa słuchała z wyteżoną uwagą. Jej mina wskazywała, że uważa pomysł przyjścia do niej za pierwszorzędny, lecz w gruncie rzeczy obawia się wypowiadać na tak osobliwy temat.

– Bardzo mi przyjemnie pana widzieć – odparła takim tonem, jakby jednocześnie przyznawała, że jej odpowiedź nie ma nic do rzeczy.

Doktor wykorzystał jej wahanie. – Nie przyszedłem tu dla pani przyjemności; przyszedłem, pragnąc, by mówiła mi pani o przykrych sprawach, a to nie może się pani podobać. Jakim człowiekiem jest pani brat?

Promienne spojrzenie pani Montgomery zmatowiało; zaczęła błądzić wzrokiem po pokoju. Uśmiechała się lekko i milczała przez dłuższy czas, aż doktor zaczął się niecierpliwić. Także odpowiedź, gdy jej w końcu udzieliła, nie była zadowalająca. – Trudno mówić o własnym bracie.

– Nie wtedy, kiedy się go lubi i ma się o nim wiele dobrego do powiedzenia.

– Ależ tak, nawet wtedy, bo dużo od tego zależy – odparła pani Montgomery.

– Nic od tego nie zależy, jeśli chodzi o panią.

– Chodzi o... o... – zawahała się.

– O pani brata osobiście. Rozumiem!

– Chodzi mi o pannę Sloper – wyznała pani Montgomery.

Doktorowi się to spodobało; brzmiała w tym nuta szczeroci. – Właśnie; w tym rzecz. Jeśli moja biedna córka wyjdzie za pani brata, wszystko, co dotyczy jej szczęścia, zależeć będzie od tego, czy to dobry człowiek. Ona jest najlepszym stworzeniem pod słońcem i nigdy nie zrobi mu najmniejszej krzywdy. Z drugiej jednak strony, gdybyśmy się na nim zawiedli, mógłby uczynić ją bardzo nieszczęśliwą. Dlatego proszę, by zechciała pani rzucić trochę światła na jego charakter, pojmuję pani? Oczywiście, nie ma pani obowiązku tego robić; moja córka, której pani nigdy nie widziała, nic dla pani nie znaczy, a ja być może jestem tylko nietaktownym i bezczelnym starcem. Może pani całkiem otwarcie mi powiedzieć, że moja wizyta jest w bardzo złym guście i że lepiej, bym pilnował własnego nosa. Ale nie sądzę, by pani to zrobiła; a to dlatego, że myślę, iż moja biedna córka i ja możemy panią zainteresować. Jestem pewien, że Catherine, gdyby ją pani zobaczyła, zainteresowałaby panią ogromnie. Nie chodzi o to, że jest interesująca w potocznym sensie tego słowa, ale o to, że byłoby pani jej żal. Jest taka

łagodna, taka prostoduszna, tak łatwo stałaby się ofiarą! Zły mąż bez trudu mógłby ją unieszczęśliwić; zabrakłoby jej inteligencji i stanowczości, by zdobyć nad nim przewagę, a jednocześnie cierpiałyby aż do przesady. Widzę – dodał doktor z najbardziej znaczącym, zawodowym śmiechem – że pani już jest zainteresowana!

– Byłam zainteresowana od chwili, gdy mi powiedział, że się zaręczył – rzekła pani Montgomery.

– Ach! Tak powiedział! Nazwał to zaręczynami!

– Och, mówił mi, że to się panu nie podoba.

– Powiedział pani, że to o n mi się nie podoba?

– Tak, to także mi powiedział. Odparłam, że nic na to nie poradzę!

– Oczywiście, że nie. Lecz może pani zrobić co innego; może pani przyznać, że mam rację; dać mi, by tak rzec, zaświadczenie. – I doktor wzmocnił tę uwagę kolejnym zawodowym uśmiechem.

Ale pani Montgomery nie uśmiechała się wcale; wyraźnie nie potrafiła dostrzec w jego prośbie nic śmiesznego. – Prosi pan o bardzo wiele – rzekła w końcu.

– Bez wątpienia; sumienie nakazuje mi również wspomnieć o korzyściach, jakie odniesie młody człowiek, który poślubi moją córkę. Po matce ma ona dochód w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów rocznie; a jeśli jej przyszły mąż mi się spodoba, po mojej śmierci dostanie prawie dwa razy tyle.

Pani Montgomery z wielkim przejęciem wysłuchiwała tej wspaniałej deklaracji finansowej; nigdy dotąd nie słyszała, by ktoś tak poufale mówił o wielu tysiącach dolarów. – Pana córka będzie ogromnie bogata – powiedziała cicho, lekko zarumieniona z podniecenia.

– Właśnie; w tym cały szkopał.

– Więc gdyby Morris się z nią ożenił, stałby się... – zawahała się nieśmiało.

– Stałby się panem wszystkich tych pieniędzy? W żadnym razie. Byłby panem dziesięciu tysięcy dolarów, które zostawiła jej matka; ale ja cały swój majątek, zgromadzony przez lata żmudnej pracy w moim zawodzie, zapiszę co do grosza instytucjom publicznym.

Na te słowa pani Montgomery spuściła oczy i przez jakiś czas siedziała wpatrzona w słomianą matę na podłodze.

– Zapewne sądzi pani – zaśmiał się doktor – że tym samym wyciąłbym pani bratu paskudną sztuczkę.

– Wcale nie. To zbyt duża suma, by zawładnąć nią tak łatwo, tylko dzięki małżeństwu. Nie sądzę, by to było właściwe.

– Właściwe jest brać, ile się da. Lecz w tym wypadku pani brat nic nie wskóra. Jeśli Catherine wyjdzie za mąż bez mojej zgody, z mojej kieszeni nie dostanie ani grosza.

– Czy to pewne? – zapytała pani Montgomery, podnosząc wzrok.

– Tak pewne jak to, że tu siedzę!

– Nawet gdyby zmarniała z tęsknoty?

– Nawet gdyby zmarniała jak cień, co jej raczej nie grozi.

– Czy Morris o tym wie?

– Z najwyższą radością go powiadomię! – wykrzyknął doktor.

Pani Montgomery znów zagłębiła się w rozmyślaniach, aż gość, który był gotów dać jej trochę czasu, zaczął się zastanawiać, czy mimo cnotliwej minki nie chce się przysłużyć swemu bratu. Jednocześnie nieomal się wstydził, że naraża ją na taką udrękę, wzruszała go również łagodność, z jaką ją znosiła. „Gdyby była naciągaczką – zauważył w duchu – wpadłaby w złość; chyba że istotnie jest bardzo przebiegła. Ale to mało prawdopodobne”.

– Dlaczego pan tak nie lubi Morrisa? – zapytała wreszcie, ocknąwszy się z zadumy.

– Nie mam nic przeciwko niemu jako znajomemu czy towarzyszowi. Wydaje mi się, że to uroczy człowiek, i sędzę, że byłby świetnym kompanem. Nie podoba mi się wyłącznie jako zięć. Gdyby jedynym obowiązkiem zięcia było zasiadanie przy ojcowskim stole, cenilibym pani brata bardzo wysoko. Kapitalnie się z nim biesiaduje. Ale to tylko niewielka część zadań, które w ogólności polegają na tym, by chronić moją córkę i troszczyć się o nią, jest bowiem gruntownie niezdolna do tego, by zatroszczyć się o siebie sama. Pod tym względem on mnie nie zadowala. Przyznaję, że podpieram się wyłącznie wrażeniem; ale zwykłem polegać na swoich wrażeniach. Oczywiście, wolno pani bez ogródek mi zaprzeczyć. Lecz mnie wydaje się samolubny i płytki.

Oczy pani Montgomery otworzyły się szerzej; doktor odniósł wrażenie, że dostrzega w nich błysk podziwu. – Ciekawe, że pan odkrył jego samolubstwo! – zawołała.

– Sądzi pani, że tak dobrze je ukrywa?

– Istotnie, bardzo dobrze – rzekła pani Montgomery. – Ale myślę, że wszyscy jesteśmy trochę samolubni – dodała pośpiesznie.

– Też tak myślę; jednak widziałem ludzi, którzy skrywali to lepiej niż on. Widzi pani, mam zwyczaj dzielić ludzi na klasy i typy, to bardzo pomocne. Z łatwością mogę się mylić co do pani brata indywidualnie, ale typ ma wypisany na całej osobie.

– Jest bardzo przystojny – zauważyła pani Montgomery.

Doktor zmierzył ją wzrokiem. – Wy, kobiety, wszystkie jesteście takie same! Pani brat jest typem mężczyzny, który został stworzony na waszą zgubę, wy zaś na jego służebnice i ofiary. Cechą takich mężczyzn jest świadomy zamysł – niekiedy straszliwy w swym cichym nateżeniu – by czerpać z życia same przyjemności, a przyjemności te zapewniać sobie głównie przy pomocy waszej opiekuńczej płci. Młodzieńcy z tej klasy nigdy nie zrobią nic, co mogą uzyskać przy pomocy innych; prosperują dzięki cudzemu oddaniu, cudzemu zadurzeniu, cudzym przesądom. I w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto ci inni to kobiety. Nasi młodzi przyjaciele pragną przede wszystkim, by kto inny za nich cierpiał; a kobiety, jak pani musi wiedzieć, świetnie się do tego nadają. – Doktor urwał na chwilę, po czym dodał raptownie: – Pani ogromnie cierpiała za swojego brata!

Okrzyk ten, jako się rzekło, był raptowny, ale również świetnie wykalkulowany. Doktor trochę się rozczarował, nie dostrzegając, by jego pulchna i pogodna gospodyni była szczególnie wyniszczona skutkami nieprawości Morrisa Townsenda; jednakże orzekł w duchu, że to nie dlatego, iż młody człowiek ją oszczędził, ale dlatego, że zdołała jakoś zamaskować rany. Bolały bowiem wszędzie: za lakierowanym piecykiem, w przybranych tiulem sztychach, pod jej schludnym, małym popelinowym gorsem; i gdyby tylko potrafił dotknąć ją w czułe miejsce, zdradziłaby się jednym nagłym

ruchem. Słowa, które przytoczyłem, były taką właśnie próbą nagłego dotknięcia; i w pewnym stopniu osiągnęły cel. W oczach pani Montgomery nagle rozbłysły łzy i pozwoliła sobie dumnie szarpnąć głową.

– Nie wiem, jak pan to odkrył! – zawołała.

– Za pomocą filozoficznej sztuczki, którą nazywają indukcją. Pani wie, że zawsze może mi zaprzeczyć. Ale proszę uprzejmie udzielić mi odpowiedzi na jedno pytanie. Czy nie daje pani bratu pieniędzy? Uważam, że powinna pani odpowiedzieć.

– Tak, bywa, że daję mu pieniądze – odparła pani Montgomery.

– Chociaż sama nie ma pani zbyt wiele?

Milczała przez chwilę. – Jeśli chce pan usłyszeć wyznanie, że jestem biedna, to nic łatwiejszego. Jestem bardzo biedna.

– Nikt by się tego nie domyślił, sądząc po... pani uroczym domu – rzekł doktor. – Dowiedziałem się od siostry, że ma pani umiarkowane dochody i liczną rodzinę.

– Mam pięcioro dzieci – powiedziała pani Montgomery – ale z radością stwierdzam, że mogę je wychować przyzwoicie.

– Oczywiście, że pani może, jest pani wykształcona i pełna poświęcenia! Pani brat przypuszczalnie je porachował?

– Porachował?

– To znaczy, wie, że jest ich pięcioro. Twierdzi, że je wychowuje.

Pani Montgomery popatrzyła na niego zaskoczona, po czym rzekła spłoszona: – O tak; uczy je... hiszpańskiego.

Doktor wybuchnął śmiechem. – To musi być dla pani wielka wyręka! Oczywiście, pani brat wie również, że pani ma bardzo mało pieniędzy.

– Często mu to powtarzam! – wykrzyknęła pani Montgomery z większą szczerością niż dotychczas. Najwyraźniej czerpała pewną otuchę z jasnowidztwa doktora.

– Co znaczy, że często ma pani po temu sposobność, a on często panią naciąga. Proszę wybaczyć grubiaństwo tych słów; po prostu stwierdzam fakt. Nie pytam, ile od pani dostał, to nie moja sprawa. Ustaliłem tylko to, co podejrzewałem... co pragnąłem ustalić. – I doktor wstał, delikatnie gładząc kapelusz. – Brat żyje na pani koszt – rzekł, stając przed nią.

Pani Montgomery również pośpiesznie podniosła się z fotela, z fascynacją śledząc poruszenia gościa. Następnie, trochę wbrew logice, zawołała: – Nigdy się na niego nie skarżyłam!

– Nie musi się pani zastrzegać, nie zdradziła go pani. Ale radziłbym pani nie dawać mu więcej pieniędzy.

– Nie widzi pan, że jest w moim interesie, by się bogato ożenił? – zapytała. – Skoro, jak pan twierdzi, on żyje na mój koszt, to mogę tylko pragnąć się go pozbyć; utrudnianie mu ożenku powiększyłoby moje trudności.

– Bardzo bym chciał, aby pani przyszła do mnie ze swymi trudnościami – oświadczył doktor. – Jeśli przeze mnie będzie pani musiała znów go znosić, to przynajmniej pomogę pani dźwigać to brzemie. A więc, jeśli pani pozwoli, tymczasem przekażę na pani ręce pewne fundusze na utrzymanie brata.

Pani Montgomery oniemiała; początkowo najwyraźniej sądziła, że to żart, lecz

niebawem spostrzegła, że jednak nie, i jej uczucia boleśnie się skomplikowały. – Wydaje mi się, że powinnam bardzo się obrazić – wyszeptwała.

– Bo zaproponowałem pieniądze? To przesąd – stwierdził doktor. – Proszę mi pozwolić, bym znów panią odwiedził; porozmawiamy o tych sprawach. Przypuszczam, że ma pani jakieś dziewczynki?

– Mam dwie córeczki – odrzekła pani Montgomery.

– No właśnie; kiedy dorosną i zaczną myśleć o zamążpójściu, sama pani zobaczy, jak zacznie się przejmować moralną postawą ich wybranków. Wtedy zrozumie pani moją dzisiejszą wizytę!

– Ach, nie wolno panu sądzić, że w postawie Morrisa jest coś naganego!

Doktor założył ręce i spojrzał na nią uważnie. – Jest coś, co chciałbym od pani uzyskać jako satysfakcję moralną. Chciałbym usłyszeć, jak pani mówi: „Jest odrażająco samolubny”!

Słowa te wypowiedział wyraźnie, swoim poważnym głosem; przez chwilę wydawało się, że pod zatroskanym wzrokiem pani Montgomery niemal się materializują. Zapatrzyła się w ten obraz, po czym odwróciła głowę: – Pan mnie zasmuca, proszę pana! – zawołała. – W końcu to mój brat, a jego zdolności, zdolności... – Tu jej głos się załamał i nim doktor się spostrzegł, wybuchnęła płaczem.

– Jego zdolności są pierwszorzędne! – powiedział doktor. – Musimy znaleźć dla nich stosowną dziedzinę. – I z najwyższym szacunkiem zapewnił ją, że mu przykro, iż wprowadził ją w taką rozterkę. – To wszystko dla mojej biednej Catherine – ciągnął. – Musi ją pani poznać, a sama pani zobaczy.

Pani Montgomery otarła łzy i spłonęła rumieńcem wstydu. – Chciałabym poznać pańską córkę – odparła i natychmiast wykrzyknęła: – Niech pan jej nie da wyjść za niego!

Doktor Sloper odszedł, mając w uszach łagodny szmer tych słów: „Niech pan jej nie da wyjść za niego!”. Dostarczyły mu moralnej satysfakcji, o której właśnie wspomniał, ich wartość zaś była tym większa, że najwyraźniej kosztowały biedną panią Montgomery bolesny cios w rodzinną dumę.

Bardzo zaskoczyła go postawa Catherine; jej podejście do kryzysu uczuciowego zdawało mu się nienaturalnie bierne. Od sceny w bibliotece w przeddzień rozmowy z Morrisem już z nim nie rozmawiała; minął tydzień, a w jej zachowaniu nie zaszła żadna zmiana. Żadnym gestem nie prosiła o litość; doktor czuł się nawet trochę zawiedziony, że nie daje mu szansy, by mógł wynagrodzić jej swą poprzednią surowość jakimś przejawem wielkoduszności. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zabrać by jej w podróż do Europy, lecz w końcu postanowił to zrobić dopiero wtedy, gdyby zaczęła mu czynić nieme wyrzuty. Wymyślił sobie, że Catherine okaże pewien talent do milczących wyrzutów, i był zdumiony, że jednak nie stał się celem ich bezgłośnego ataku. Nie

mówiła nic, ani cicho, ani głośno, a ponieważ nigdy nie była zbyt gadatliwa, również jej obecna powściągliwość nie odznaczała się szczególną elokwencją. Biedna Catherine się nie dąsała – miała na to zbyt mało aktorskiego talentu – po prostu była bardzo cierpliwa. Rzecz jasna, zastanawiała się nad swoim położeniem, lecz najwyraźniej robiła to w sposób staranny i beznamiętny, zamierzając radzić sobie najlepiej, jak potrafi.

„Zrobi to, co jej kazałem” – uznał doktor, po czym pomyślał jeszcze, że jego córka nie jest kobietą z wielkim temperamentem. Nie wiem, czy licząc na odrobinę rozrywki, spodziewał się napotkać większy opór; niemniej powtórzył sobie w duchu, jak wielokrotnie przedtem, że ojcostwo, choć chwilami pełne trwogi, w gruncie rzeczy nie jest zajęciem zbyt ekscytującym.

Tymczasem Catherine dokonała odkrycia całkiem innego typu; stało się dla niej doskonale jasne, że próby zostania dobrą córką mogą dostarczyć jej ogromnych podnieć. Ogarnęło ją zupełnie nowe uczucie, które można opisać jako stan wyczekującego napięcia w stosunku do własnych działań. Patrzyła na siebie tak, jak patrzyłaby na obcą osobę, nie wiedząc, co dalej robi – zupełnie jakby ta obca osoba, ona i zarazem nie ona, nagle zaczęła istnieć, budząc jej naturalną ciekawość, jak też będą wykonane pewne czynności, których dotychczas nie dane jej było sprawdzić.

– Cieszę się, że mam taką dobrą córkę – rzekł jej ojciec, całując ją po upływie kilku dni.

– Próbuję być dobra – odpowiedziała, odwracając głowę z niezupełnie czystym sumieniem.

– Jeśli jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć, to wiesz, że nie musisz się krępować. Nie masz obowiązku być taka milcząca. Nie chciałbym, aby pan Townsend stał się częstym tematem naszych rozmów, ale kiedy będziesz miała o nim coś konkretnego do powiedzenia, bardzo chętnie cię wysłucham.

– Dziękuję – odparła Catherine – na razie nie mam nic szczególnego do powiedzenia.

Nie zapytał jej, czy ponownie widziała się z Morrisem, był bowiem pewny, że w takim wypadku powiedziała mu o tym. W samej rzeczy, nie widziała się z ukochanym, napisała tylko do niego długi list. Przynajmniej dla niej był on długi; a należy dodać, że był długi i dla Morrisa, gdyż składał się z pięciu nadzwyczaj schludnie i ładnie napisanych stron. Catherine miała przepiękny charakter pisma, z którego nawet była trochę dumna; niezmiernie lubiła przepisywać i posiadała całe tomy wypisków, świadczących o jej zdolnościach; tomy te pewnego dnia pokazała nawet Morrisowi, przepelniona błogim poczuciem, że w jego oczach jest kimś wyjątkowo ważnym. W liście oznajmiła Morrisowi, że jej ojciec nie życzy sobie, aby się z nim spotykała, i prosiła, by nie przychodził do nich, póki ona czegoś nie „postanowi”. Morris odpowiedział namiętną epistołą, w której zapytywał, co takiego, na litość boską, pragnie postanowić? Czyż nie „postanowiła” już dwa tygodnie temu? Czy to możliwe, że rozważyła pomysł, by go odepchnąć? Czy zamierza się załamać na samym początku ciężkiej próby, po tych wszystkich przysięgach wierności, które złożyła i które na nim wymogła? Po czym zdał relację ze swej rozmowy z jej ojcem – relację, która nie we wszystkich szczegółach zgadzała się z przytoczoną na tych stronicach. „Okropnie się

wściekał – pisał Morris – ale wiesz, jak panuję nad sobą. Potrzebuję całego swego opanowania, kiedy wspomnę, że jest w mojej mocy wyrwanie Cię z tej okrutnej niewoli”. W odpowiedzi Catherine wysłała mu liścik składający się z trzech linijek: „Jestem bardzo skłopotana; nie możesz wątpić w moje uczucie, ale pozwól mi poczekać i pomyśleć”. Pomysł, że miałyby stoczyć z ojcem walkę, przeciwstawić swoją wolę jego woli, bardzo jej ciążył, zmuszając do oficjalnej uległości, podobnie jak unieruchamia nas wielki ciężar fizyczny. Ani na chwilę nie przyszło jej do głowy, że mogłaby odprawić zalotnika; od początku próbowała się pocieszać, że znajdzie się pokojowe wyjście z trudności. Pociecha ta była nader mętna, gdyż Catherine nie czuła ani odrobiny przekonania, że ojciec zmieni zdanie. Wyobrażała sobie po prostu, że jeśli będzie posłuszna, sytuacja w tajemniczy sposób się poprawi. Chcąc być posłuszną, myślała, powinna być cierpliwa i pełna szacunku; nie wolno jej oceniać ojca zbyt surowo czy uciekać się do jawnego sprzeciwu. Zresztą być może miał rację, sądząc to, co sądził? Catherine w żadnym razie nie chciała przez to powiedzieć, że ojciec trafnie ocenia pobudki, dla których Morris pragnął ją poślubić; ale zapewne to rzecz właściwa i stosowna, że sumienny rodzic jest podejrzliwy lub wręcz niesprawiedliwy. Zapewne byli na świecie źli ludzie i Morris, zdaniem ojca, się do nich zaliczał; jeśli więc istniała choć najmniejsza groźba, że Morris jest jednym z owych nikczemników, to doktor słusznie brał to pod uwagę. Oczywiście nie wiedział tego, co ona – że z oczu młodzieńca wyziera najczystsza miłość i prawda; ale w swoim czasie z woli niebios znajdzie się sposób, by mu tę wiedzę przybliżyć. Catherine wiele się spodziewała po niebiosach i to im, jak mówią Francuzi, oddała inicjatywę rozwiązania swego dylematu. Nie wyobrażała sobie, że sama mogłaby przekazać ojcu jakąkolwiek wiedzę; nawet jego upór miał w sobie pewną wyższość, błędy zaś – pewną doskonałość. Ale mogła przynajmniej być posłuszna, a jeśli będzie dostatecznie posłuszna, niebiosy znajdą sposób, aby pogodzić wszystko ze wszystkim – szlachetne błędy ojca, jej własną słodką ufność, ściśle wypełnianie obowiązków córki i radość z afektu Morrisa Townsenda. Biedna Catherine chętnie ujrzałaby źródło oświecenia w pani Penniman – lecz w rzeczy samej, do tej roli owa dama nie była zbyt dobrze przygotowana. Ciotka Lavinia czerpała zbyt wielką uciechę z sentymentalnych mroków tego dramaciku, aby, przynajmniej na razie, zbyt się przykładać do ich rozproszenia. Życzyła sobie pogmatwania akcji, a zatem rady, jakich udzielała bratanicy, miały, przynajmniej w zamyśle, wywołać ten właśnie skutek. Były to rady dosyć chaotyczne, popadające w sprzeczności z dnia na dzień; przenikało je wszakże gorące pragnienie, by Catherine zrobiła coś znaczącego. – Musisz działać, moja droga; w twoim położeniu najważniejsza rzecz to działać – mówiła pani Penniman, której zdaniem bratanica absolutnie nie dorosła do danej jej szansy. W gruncie rzeczy pani Penniman miała nadzieję, że dziewczyna potajemnie weźmie ślub i że ona, ciotka Lavinia, wystąpi w nim jako druhna bądź *dueña*. Hołubiła wizję ceremonii w jakiejś podziemnej kaplicy – podziemne kaplice w Nowym Jorku nie występowały często, lecz wyobraźnia pani Penniman nie dawała się ostudzić błahostkom – oraz pary winowajców – lubiła widzieć w Catherine i jej adoratorze parę winowajców – wywożonych jakimś chryżym wehikułem do anonimowych pokojów na przedmieściu. Tam odwiedzałyby ich w sekrecie (spowita

gęstą woalką), tam przetrwaliby okres romantycznego ubóstwa, tam wreszcie – z nią w roli ziemskiej opatrzości, orędowniczki i pośredniczki w kontaktach ze światem – pojednaliby się z jej bratem w artystycznym *tableau*, w którym ona pojawiłaby się jako coś w rodzaju centralnej figury. Na razie wahała się, czy zalecić Catherine ten sposób postępowania, próbowała jednak jak najatrakcyjniej odmalować jego obraz przed Morrisem Townsendem. Z młodym człowiekiem komunikowała się bowiem codziennie, powiadamiając go listownie o stanie rzeczy na placu Waszyngtona. Skoro został wygnany z domu, powiadała, nie może się z nim widywać; zakończyła jednak wyznaniem, że tęskni za rozmową. Rozmowa ta mogła się odbyć tylko na neutralnym gruncie, toteż długo się zastanawiała nad wyborem miejsca spotkania. Miała ochotę na cmentarz Greenwood, lecz porzuciła ten pomysł ze względu na odległość; nie mogła wyjść na tak długo, pisała, nie wzbudzając podejrzeń. W rachubę wchodził również park Battery, ale tam było zbyt zimno i wietrznie, poza tym człowiek narażał się na zaczepki irlandzkich imigrantów, którzy w tym miejscu, z wielkimi apetytami, schodzą na ląd w Nowym Świecie; aż wreszcie zdecydowała się na szynk ostrygowy przy Siódmej Alei, prowadzony przez Murzyna – lokal, o którym nic nie wiedziała i który tylko zauważyła, przechodząc. Tam umówiła się z Morrisem Townsendem i o zmierzchu wyruszyła na schadzkę, szczelnie otulona nieprzejrzystą woalką.

Morris kazał jej czekać na siebie pół godziny – musiał przemierzyć niemal całe miasto – ale lubiła czekać, to jakby przydawało sytuacji uroku. Zamówiła herbatę, która okazała się wyjątkowo niesmaczna, dała jednak pani Penniman poczucie, że cierpi za jakąś romantyczną sprawę. Wreszcie młody człowiek się zjawił, i zasiedli na pół godziny w najmroczniejszym kącie na zapleczu. Z pewnością nie będzie przesadnym stwierdzenie, że było to najszcześniejsze pół godziny, jakie pani Penniman przeżyła od lat; sytuacja była naprawdę emocjonująca – zgrzytu nie wprowadził nawet fakt, że jej towarzysz zamówił potrawkę z ostryg, którą następnie skonsumował na jej oczach. Prawdę mówiąc, Morris potrzebował całej przyjemności, jakiej mogły mu dostarczyć duszone ostrygi, należy bowiem uprzedzić czytelnika, że uważał panią Penniman za piątą koła u swojego wozu. Był w stanie irytacji, dość naturalnym u wytwornego dżentelmena, którego wielkoduszne wysiłki, by obdarzyć względami młodą pannę o miernych zaletach, spotkały się z lekceważeniem, toteż natrętne współczucie przywiedłej matrony najwyraźniej nie przyniosło mu konkretnej ulgi. Miał ją za blagierkę, a blagę rozpoznawał nieomylnie. Początkowo, chcąc zyskać prawo wstępu na plac Waszyngtona, słuchał jej uważnie i był dla niej grzeczny; teraz jednak musiał nieźle panować nad sobą, by zachowywać się wobec niej uprzejmie. Byłby zachwycony, mogąc jej oznajmić, że jest dziwaczną starą babą i że najchętniej wsadziłby ją do omnibusu i wyprawił do domu. Wiemy jednakże, iż Morris posiadał cnotę opanowania, a ponadto zazwyczaj starał się być miły; tak więc, choć zachowanie pani Penniman tylko drażniło jego stargane nerwy, słuchał jej z chmurną powagą, która wzbudziła w niej ogromny podziw.

Oczywiście natychmiast zaczęli mówić o Catherine. – Czy przysłała mi wiadomość albo... albo cokolwiek? – zapytał Morris. Najwyraźniej sądził, że mogła mu przekazać jakąś błyskotkę albo pukiel włosów.

Pani Penniman stropiła się nieco, gdyż nie powiedziała bratanicy o planowanej wyprawie. – Nie całkiem – rzekła. – Nie prosiłam jej o wiadomość, bo obawiałam się... że to ją podnieci.

– Obawiam się, że ona niełatwo się podnieca! – Tu Morris uśmiechnął się z niejaką goryczą.

– Jest lepsza, niż pan sądzi. Jest niezłomna... jest wierna!

– Sądzi więc pani, że się nie podda?

– Choćby miała umrzeć!

– Och, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – rzekł Morris.

– Musimy być przygotowani na najgorsze, o tym właśnie chcę z panem pomówić.

– Co według pani jest najgorsze?

– Jak to – odrzekła pani Penniman – oschły, intelektualny charakter mego brata.

– Och, do diabła!

– Jest niezdolny do odczuwania litości – dodała pani Penniman tytułem wyjaśnienia.

– Chce pani powiedzieć, że nie zmieni zdania?

– Nigdy nie da się zwyciężyć argumentom. Przyglądałam mu się. Zwycięży go tylko fakt dokonany.

– Fakt dokonany?

– Zmieni zdanie później – rzekła pani Penniman niezwykle znacząco. – Tylko fakty go obchodzą; więc trzeba go postawić przed faktami!

– Cóż – odparł Morris – fakt jest taki, że chcę się ożenić z jego córką. I onegdaj postawiłem go przed tym faktem, ale jakoś nie dał się pokonać.

Pani Penniman zamilkła na pewien czas, a jej uśmiech w cieniu obszernego czepka, do którego, niczym kurtyna, podpięta była czarna woalka, przywarł do twarzy Morrisa z jeszcze tkliwszym blaskiem. – Najpierw niech się pan ożeni z Catherine, a potem się z nim spotka! – wykrzyknęła.

– Pani to zaleca? – zapytał młodzieniec, krzywiąc się mocno.

Trochę się przestraszyła, jednak ciągnęła śmiało: – Tak to widzę: prywatne małżeństwo... tak, tak, prywatne małżeństwo – z lubością powtórzyła tę formułkę.

– Chce pani powiedzieć, że powinienem porwać Catherine? Jak to mówią: uciec z nią?

– To nie zbrodnia, jeśli ktoś jest do tego zmuszony – oświadczyła pani Penniman. – Mój mąż, jak już panu mówiłam, był wybitnym duchownym, jednym z najwymowniejszych ludzi swej epoki. Kiedyś udzielił ślubu młodej parze, która uciekła z domu ojca dziewczyny. Bardzo zaciekał ją historia tych dwojga. Nie wahał się ani chwili i wszystko wspaniale się udało. Ojciec później dał się udobruchać i świata nie widział poza młodym zięciem. Pan Penniman dał im ślub wieczorem, około siódmej. W kościele było tak ciemno, że ledwie coś widziałam; a pan Penniman był ogromnie

podenerwowany, tak się przejął. Nie sędzę, by zdołał zrobić coś takiego po raz drugi.

– Niestety, Catherine i ja nie mamy pana Pennimana, który udzieliłby nam ślubu.

– Nie, ale macie mnie! – zakrzyknęła pani Penniman z naciskiem. – Nie mogę odprawić ceremonii, ale mogę wam pomóc. Mogę się przyglądać.

„Ta baba to idiotka” – pomyślał Morris, choć naturalnie musiał powiedzieć co innego. Nie było to wszakże znacząco bardziej uprzejme. – I chciała pani, bym się z nią tu spotkał, po to tylko, by mi to oznajmić?

Pani Penniman miała świadomość, że jej misja jest dość mglista i że w nagrodę za długą wędrówkę nie potrafi mu zaoferować nic konkretnego. – Sądziłam, że może chciałby pan zobaczyć się z kimś, kto jest bliski Catherine – zauważyła z pewną godnością. – I również – dodała – że doceni pan możliwość, by jej coś wysłać.

Morris z melancholijnym uśmiechem wyciągnął puste ręce. – Jestem pani wielce zobowiązany, ale nie mam co wysłać.

– Nawet s ł o w a ? – zapytała towarzysząca, na której wargi wrócił znaczący uśmiech.

Morris znów się skrzywił. – Proszę jej powiedzieć, by się nie poddawała – powiedział dość oschle.

– To dobre słowa... to szlachetne słowa. Uszczęśliwią ją na wiele dni. Jest bardzo ufna, bardzo dzielna – ciągnęła pani Penniman, poprawiając pelerynkę i szykując się do odejścia. Wtem doznała olśnienia; znalazła sformułowanie, które mogła śmiało zaproponować na usprawiedliwienie podjętego kroku. – Jeśli poślubi pan Catherine mimo wszystko – powiedziała – udowodni pan mojemu bratu, że jest pan człowiekiem, w którego istnienie on rzekomo wątpi.

– W którego istnienie on rzekomo wątpi?

– Nie wie pan, jaki to człowiek? – zapytała pani Penniman niemal figlarnie.

– Nie chcę wiedzieć, to mnie nie dotyczy! – oznajmił Morris wyniośle.

– Oczywiście, że to pana złości.

– Ja tym gardzę – oświadczył Morris.

– Ach, więc pan wie, o co chodzi? – rzekła pani Penniman, grożąc mu palcem. – On udaje, że sądzi, że pan lubi... że pan lubi pieniądze!

Morris zawahał się, po czym, jakby z rozmysłem, powiedział: – Bo ja lubię pieniądze!

– Ach, ale nie tak... nie tak, jak on sądzi. Chyba nie bardziej niż Catherine?

Wsparł łokcie na stole i chwycił się za głowę. – Pani mnie torturuje! – szepnął. I rzeczywiście, niemal taki skutek wywarła natrętna dociekliwość nieszczęsnej kobiety.

Ta jednak natarczywie zmierzała do sedna. – Jeśli pan poślubi ją wbrew jego woli, on przyjmie do wiadomości, że niczego pan od niego nie chce i jest pan gotów obejść się bez tego. Przekona się, że jest pan bezinteresowny.

Morris uniósł nieco głowę, śledząc jej wywód. – I co miałbym na tym zyskać?

– Jak to, zobaczy, że nie miał racji, myśląc, że chce się pan dobrać do jego majątku.

– A kiedy zobaczy, że mu życzę, by zabrał go do diabła, zapisze go jakiemuś szpitalowi. O to pani chodzi?

– Nie, nie o to; choć to byłoby bardzo wspaniałomyślne! – rzekła pani Penniman, lecz szybko dodała: – Chodzi mi o to, że uprzytomniwszy sobie, jak był wobec pana niesprawiedliwy, w końcu uzna za swój obowiązek to panu wynagrodzić.

Morris pokręcił głową, chociaż trzeba przyznać, że ta myśl zrobiła na nim pewne wrażenie. – Pani zdaniem jest sentymentalny?

– Nie jest sentymentalny – powiedziała pani Penniman – ale jeśli mam być wobec niego całkiem uczciwa, muszę przyznać, że posiada, na swój ciasny sposób, pewne poczucie obowiązku.

Przez głowę Morrisa Townsenda przemknęło zdumione pytanie, na co właściwie mógłby liczyć, gdyby – co nader mało prawdopodobne – w piersi doktora Slopera uaktywniła się powyższa zasada, lecz pytanie to wyczerpało się i zgasło, tak bardzo było niedorzeczne. – Pani brat nie ma wobec mnie żadnych obowiązków – rzekł w końcu – ani ja wobec niego.

– Ach, ale ma obowiązki wobec Catherine.

– Owszem, ale wedle tej zasady Catherine ma także obowiązki wobec niego.

Pani Penniman wstała, wzdychając boleśnie, jakby uznała go za pozbawionego wyobraźni. – Zawsze wiernie je wypełniała; sądzi pan, że teraz nie ma ich wobec p a n a ? – Pani Penniman zawsze, nawet w rozmowie, zwracała się do adresata rozstrzelonym drukiem.

– Byłoby grubiaństwem tak mówić! Jestem bardzo wdzięczny za jej miłość! – zawołał Morris.

– Powtórzę jej, że pan tak powiedział! A teraz proszę pamiętać, że gdyby mnie pan potrzebował, jestem tam. – I pani Penniman, nie wiedząc, co jeszcze dodać, odruchowo skinęła głową w stronę placu Waszyngtona.

Morris spoglądał przez chwilę na wysypaną piaskiem podłogę lokalu; najwyraźniej był skłonny zostać jeszcze chwilę. Wreszcie raptownie uniósł głowę i zapytał: – Czy jest pani przekonana, że jeśli ona za mnie wyjdzie, on ją wydziedziczy?

Pani Penniman zdumiała się nieco i odparła z uśmiechem: – Jak to, przecież wyjaśniłam panu, co, moim zdaniem, się zdarzy; że ostatecznie najlepiej tak postąpić.

– Chce pani powiedzieć, że cokolwiek ona zrobi, koniec końców dostanie pieniądze?

– To zależy nie od niej, lecz od pana. Odwagi, niech pan pokaże, że jest bezinteresowny, taki, jaki jest pan w istocie! – rzekła pani Penniman sprytnie. Morris znów wbił wzrok w wypiaszkowaną podłogę i się zamyślił, ona zaś ciągnęła: – My z panem Pennimanem nie mieliśmy niczego, a byliśmy bardzo szczęśliwi. Ponadto Catherine ma pieniądze swojej matki, sumę, która w chwili, gdy moja bratowa wychodziła za mąż, uchodziła za bardzo pokaźną.

– Och, proszę o tym nie mówić! – wykrzyknął Morris i, w samej rzeczy, było to całkiem zbędne, gdyż ten fakt zdążył już rozważyć w każdym świetle.

– Austin wziął sobie żonę z pieniędzmi, dlaczego pan nie może?

– Ach! Ale pani brat był lekarzem – zaprotestował Morris.

– Cóż, nie każdy młody człowiek może być lekarzem!

– Uważam ten zawód za niezwykle odrażający – oznajmił Morris z wyrazem niezależności intelektualnej, po czym zaraz zagadnął trochę bez związku: – Przypuszcza pani, że sporządził już testament na korzyść Catherine?

– Tak przypuszczam; nawet lekarz musi kiedyś umrzeć. Może i mnie coś przypadnie – dodała szczerze pani Penniman.

– I pani zdaniem on na pewno go zmieni, jeśli chodzi o Catherine?

– Tak, a potem zmieni go z powrotem.

– Ach, ale na to nie można liczyć! – zawołał Morris.

– Chce pan na to l i c z y ć ?

Morris lekko się zaczerwienił: – No, z pewnością się boję, że przeze mnie Catherine mogłaby doznać krzywdy.

– Ach, niech się pan nie boi! Niech się pan niczego nie boi, a wszystko pójdzie dobrze!

Po czym pani Penniman zapłaciła za swoją herbatę, Morris zaś za potrawkę z ostryg i wyszli na skąpo oświetlone pustkowie Siódmej Alei. Zapadał już zmierzch; między latarniami rozciągały się długie brukowane odcinki, których niewspółmiernie dużą część zajmowały pęknięcia i dziury. Malowany w dziwne obrazki omnibus przetoczył się z turkotem po luźnych kocich łbach.

– Jak pani się dostanie do domu? – zapytał Morris, odprowadzając pojazd zaciekawionym wzrokiem. Pani Penniman wzięła go pod rękę.

– Wydaje mi się, że w ten sposób będzie miło – odparła po chwili wahania, pozwalając mu odczuć, jak cenne jest jego wsparcie.

Powędrowali więc krętymi drogami zachodniej części miasta, zmierzając przez przedwieczorny zgiełk ludnych ulic ku cichej okolicy placu Waszyngtona. Tu przystanęli na chwilę u stóp białych marmurowych schodów; nieskazitelne białe drzwi na ich szczycie, ozdobione lśniąca srebrzystą tabliczką doktora Slopera, wydały się Morrisowi symbolem zamkniętych wrót do szczęścia; następnie zaś jego melancholijny wzrok spoczął na oświetlonym oknie na górnym piętrze.

– To mój pokój; mój kochany pokój! – zauważyła pani Penniman.

Morris wzdrygnął się. – A więc nie muszę obchodzić placu, aby go zobaczyć.

– To już jak pan chce. Ale pokój Catherine znajduje się z tyłu; dwa wspaniałe okna na pierwszym piętrze. Chyba widać je z tamtej ulicy.

– Nie chcę ich oglądać, droga pani! – I Morris odwrócił się tyłem do budynku.

– W każdym razie powiem jej, że pan był t u t a j – rzekła pani Penniman, wskazując miejsce, w którym stali – i przekażę jej wiadomość od pana: że ma się nie poddawać!

– Och, tak! Naturalnie. Pani wie, że o wszystkim jej piszę.

– Wypowiedziane to jakby więcej znaczy! I proszę pamiętać; gdybym była potrzebna, jestem tam. – I pani Penniman zerknęła na drugie piętro.

Z tym się rozstali i Morris, zostawiony sam sobie, jeszcze przez chwilę wpatrywał się w dom; po czym odwrócił się i ponuro okrążył plac po przeciwnej stronie, blisko drewnianego płotu. Następnie zawrócił i znów przystanął pod domostwem doktora Slopera. Objął budynek wzrokiem, zatrzymując go nawet na promieniejących ciepłem oknach pani Penniman. Pomyślał, że to piekielnie wygodny dom.

na tyłach domu – że odbyła rozmowę z Morrisem Townsendem; co usłyszawszy, dziewczyna wzdrygnęła się jak ugodzona. Przez chwilę czuła gniew; chyba w ogóle po raz pierwszy w życiu się rozgniewała. Wydało jej się, że ciotka zanadto się wtrąca; a z tego zrodził się niejasny niepokój, że mogłaby coś zepsuć.

– Nie rozumiem, dlaczego musiałaś się z nim zobaczyć. Nie uważam tego za właściwe.

– Tak mi go było szkoda... Uznałam, że ktoś powinien się z nim spotkać.

– Tylko ja, nikt inny – rzekła Catherine, czując, że wygłasza najbardziej butne zdanie w swoim życiu, a jednak instynktownie wiedząc, że robi słusznie.

– Ale nie chciałaś, moja droga – odcięła się ciotka Lavinia – a ja nie wiedziałam, co się z nim dzieje.

– Nie widywałam się z nim, bo ojciec mi tego zabronił – odparła Catherine z najwyższą prostotą.

W samej rzeczy była to prostota, która wręcz rozsierdziła panią Penniman. – Gdyby ojciec zabronił ci iść do łóżka, przypuszczalnie w ogóle byś nie spała! – sarknęła.

Catherine spojrzała na nią. – Nie rozumiem cię. Jesteś jakaś dziwna.

– Cóż, moja droga, pewnego dnia mnie zrozumiesz! – I pani Penniman, która była zajęta czytaniem wieczornej gazety – studiowała ją codziennie od deski do deski – wróciła do lektury. Pograżyła się w milczeniu; postanowiła, że to Catherine poprosi ją o relację z rozmowy z Morrisem. Jednak Catherine milczała tak długo, że ciotka niemal straciła cierpliwość. Już miała zauważyć, że bratanica jest zupełnie bez serca, kiedy ta przemówiła.

– Co powiedział? – zapytała.

– Powiedział, że gotów jest cię poślubić w każdej chwili, wbrew wszystkiemu.

Catherine nie odpowiedziała i pani Penniman znów niemal straciła cierpliwość; wskutek czego sama pośpieszyła z informacją, że Morris wygląda bardzo przystojnie, lecz jest straszliwie mizerny.

– Wyglądał na smutnego? – zapytała bratanica.

– Miał podkrążone oczy – rzekła pani Penniman. – Zupełnie inaczej, niż kiedy widziałam go po raz pierwszy; choć nie jestem pewna, czy gdybym wtedy zobaczyła go w takim stanie, nie zrobiłby na mnie jeszcze większego wrażenia. Nawet w jego nieszczęściu jest coś olśniewającego.

To w odczuciu Catherine był wyrazisty obraz i choć pełna dezaprobaty, odkryła, że się mu przygląda. – Gdzie się z nim spotkałaś? – zapytała po chwili.

– W... w Bowery; w cukierni – powiedziała pani Penniman, która na ogół sądziła, że powinna trochę zmyślać.

– W którym miejscu? – zapytała Catherine po pewnym czasie.

– Moja droga, chcesz tam iść?

– Och, nie! – Catherine wstała i podeszła do ognia, gdzie przystanęła, wpatrując się w rozżarzone węgle.

– Catherine, dlaczego jesteś taka oschła? – zapytała wreszcie pani Penniman.

– Oschła?

– Taka zimna; taka nieczuła.

Dziewczyna obróciła się raptownie. – On tak powiedział?

Pani Penniman wahała się przez chwilę. – Powiem ci, co powiedział. Powiedział, że obawia się tylko jednego: że będziesz się bała.

– Czego?

– Że będziesz się bała ojca.

Catherine znów odwróciła się do ognia, po czym powiedziała: – Bo ja się b o j ę ojca.

Pani Penniman szybko wstała z fotela i podeszła do bratanicy. – A zatem zamierzasz się go wyrzec?

Catherine przez pewien czas trwała nieruchomo, nie odrywając oczu od węgla.

W końcu podniosła głowę i spojrzała na ciotkę. – Dlaczego tak mnie naciskasz?

– Nie naciskam. Czy kiedyś o tym z tobą rozmawiałam?

– Wydaje mi się, że kilka razy.

– Obawiam się więc, Catherine, że to konieczne – powiedziała pani Penniman ze sporą dozą powagi. – Obawiam się, że nie rozumiesz, jakie to ważne... – Urwała; Catherine patrzyła na nią badawczo. – Jakie to ważne, by nie zawieść tego męznego młodego serca! – I pani Penniman wróciła na fotel pod lampą i gwałtownym ruchem podjęła wieczorną gazetę.

Catherine stała przed kominkiem, splótłszy ręce za plecami, i przyglądała się ciotce, której zdawało się, że nigdy jeszcze wzrok dziewczyny nie był tak mroczny i znieruchomiły. – Myślę, że mnie nie rozumiesz... ani mnie nie znasz.

– Jeśli nie, to nic dziwnego; tak mało mi ufasz!

Catherine nie próbowała odeprzeć zarzutu i przez chwilę panowało milczenie. Lecz nieposkromiona wyobraźnia pani Penniman tym razem nie dała się uspokoić za pomocą gazety.

– Jeśli ustąpisz w obawie przed gniewem ojca – rzekła – to nie wiem, co się z nami stanie.

– O n kazał ci powiedzieć mi to wszystko?

– Powiedział, żebym użyła swego wpływu.

– Z pewnością się mylisz – oświadczyła Catherine. – On mi ufa.

– Oby nigdy tego nie żałował! – I pani Penniman trzepnęła dłonią w gazetę. Nie wiedziała, co myśleć o bratanicy, która nagle stała się bezwzględna i krnąbrna.

Niebawem przemiana Catherine stała się jeszcze bardziej wyraźna. – Lepiej, żebyś już nie umawiała się z panem Townsendem – powiedziała. – Uważam, że to niewłaściwe.

Pani Penniman podniosła się majestatycznie. – Drogie dziecko, jesteś o mnie zazdrosna?

– Och, ciotko Lavinio! – szepnęła Catherine, oblewając się pąsem.

– Nie sądzę, by do ciebie należało uczyć mnie, co jest właściwe.

W tym punkcie jednak Catherine nie poszła na ustępstwa. – Oszukiwanie nie może być właściwe.

– C i e b i e z całą pewnością nie oszukuję!

– Tak; ale obiecałam ojcu...

– Nie wątpię, że obiecałaś ojcu. Ale ja nic mu nie obiecywałam!

Catherine musiała się z tym zgodzić, co uczyniła w milczeniu. – Nie wierzę, że panu Townsendsowi się to podoba.

- Nie podoba mu się, że się ze mną spotyka?
- Nie potajemnie.
- Nie spotkałam się z nim potajemnie; było tam pełno ludzi.
- Ale miejsce było tajemne; daleko w Bowery.

Pani Penniman wzdrygnęła się trochę. – Panów bawią takie miejsca – zauważyła po pewnym czasie. – Wiem, co się im podoba.

- Ojcu by się nie spodobało, gdyby o tym wiedział.
- Coś takiego? A ty zamierzasz go powiadomić?
- Nie, ciotko Lavinio. Ale proszę cię, nie rób tego więcej.

– Bo jeśli zrobię, to mu powiesz; o to ci chodzi? Nie podzielałam twojej obawy przed moim bratem; zawsze umiałam bronić swego stanowiska. Jednak na pewno nie podejmę już żadnych kroków w twoim imieniu; jesteś na to zbyt niewdzięczna. Wiedziałam, że z natury nie jesteś żywiołowa, lecz wierzyłam, że jesteś stała, nawet powiedziałam twemu ojcu, że jeszcze mu pokażesz. Rozczarowałam się; za to twój ojciec się nie rozczaruje! – Po czym pani Penniman rzuciła bratanicy krótkie „dobranoc” i oddaliła się do swych pokojów.

XVIII

Catherine siedziała sama przy kominku w salonie – siedziała ponad godzinę, pogrążona w rozmyślaniach. Ciotka wydała się jej napastliwa i głupia, a fakt, że ona tak jasno to dostrzegła – tak stanowczo oceniła panią Penniman – sprawił, że poczuła się stara i poważna. Pomówienie o słabość jej nie dotknęło; nie zrobiło na niej wrażenia, bo nie poczuwała się do słabości, nie uraziło jej również, że ciotka jej nie docenia. Żywiła dla ojca bezmierny szacunek i czuła, że jeśli go zdenerwuje, popełni przewinienie podobne do aktu bluźnierstwa w wielkiej świątyni; jednak jej zamysł z wolna dojrzewał i sądziła, że modlitwy oczyściły go z wszelkiej gwałtowności. Robiło się coraz później, lampa przygasła, ale Catherine tego nie zauważyła; całą uwagę skupiła na swym straszliwym planie. Wiedziała, że ojciec jest w gabinecie – że był tam przez cały wieczór; od czasu do czasu spodziewała się usłyszeć jego poruszenia. Myślała, że może zajrzy do salonu, co niekiedy robił. Wreszcie zegar wybił jedenastą i dom pogrążył się w ciszy; służący poszli spać. Catherine wstała i powoli podeszła do drzwi biblioteki, gdzie przystanąła bez ruchu. Potem zapukała i znów zaczęła. Dobiegła ją odpowiedź ojca, lecz nie miała odwagi obrócić klamki. To, co powiedziała ciotce, było prawdą – bała się go, a mówiąc, że nie poczuwa się do słabości, miała tylko na myśli, że nie boi się siebie. W pokoju rozległ się jakiś ruch i po chwili doktor otworzył jej drzwi.

- Co się stało? – zapytał. – Stoisz tu jak duch.

Weszła do środka, lecz dopiero po dobrej chwili zdołała wykrztusić, o co jej chodzi. Ojciec w szlafroku i rannych pantoflach właśnie pisał coś przy biurku, toteż spojrzawszy na nią przeciągle, zaczął chwilę, po czym znów usiadł nad papierami. Był do niej odwrócony tyłem – niebawem dobiegł ją zgrzyt jego pióra. Wciąż stała przy drzwiach;

jej serce pod gorsem sukni waliło jak młotem; cieszyła się, że widzi tylko plecy ojca, gdyż wydało jej się, że łatwiej mówić do tej części jego osoby niż twarzą w twarz. W końcu więc, wciąż patrząc na jego plecy, zaczęła:

– Wspomniałeś, że gdybym miała coś więcej do powiedzenia o panu Townsendzie, chętnie tego wysłuchasz.

– Owszem, moja droga – przytaknął doktor, nie odwracając się, lecz tylko unosząc głowę i pióro.

Catherine wolałaby, żeby pisał dalej, ciągnęła jednak: – Pomyślałam, że ci powiem, iż się z nim nie widuję, chociaż bardzo bym tego chciała.

– Żeby się z nim pożegnać? – zapytał doktor.

Dziewczyna zawahała się. – On nie wyjeżdża.

Doktor obrócił się z wolna na krześle, uśmiechając się, jakby podejrzewał ją o żart; lecz przeciwieństwa się spotykają, a Catherine wcale nie było do żartów. – A więc nie po to, żeby się z nim pożegnać? – zapytał ojciec.

– Nie, ojcze, nie po to; przynajmniej nie na zawsze. Nie widziałam się z nim, ale bardzo bym chciała – powtórzyła Catherine.

Doktor powoli potarł podbródek końcówką gęsiego pióra.

– Pisałaś do niego?

– Tak, czterokrotnie.

– Zatem go nie odprawiałaś. Do tego wystarczyłby jeden list.

– Nie – odrzekła Catherine – prosiłam go... prosiłam go, by zaczekał.

Ojciec siedział i patrzył na nią; obawiała się, że wybuchnie gniewem, takie jasne i zimne miał oczy.

– Jesteś kochanym, oddanym dzieckiem – rzekł w końcu. – Chodź do ojca. – I wstał, wyciągając do niej ramiona.

Te słowa ją zaskoczyły i niezmiernie uradowały. Podeszła do niego, on zaś przytulił ją czule i kojąco; po czym ją pocałował.

– Chciałabyś mi sprawić wielką radość? – zapytał.

– Chciałabym... ale nie mogę – odparła Catherine.

– Możesz, jeśli zechcesz. Wszystko zależy od twojej woli.

– To znaczy, mam się go wyrzec?

– Tak, masz się go wyrzec.

I przytrzymał ją z tą samą czułością, zaglądając jej w twarz, zatrzymując wzrok na jej odwróconym spojrzeniu. Zapadło długie milczenie; pragnęła, by ją puścił.

– Ojcze, jesteś szczęśliwszy niż ja.

– Nie wątpię, że w tej chwili jesteś nieszczęśliwa. Ale lepiej być nieszczęśliwą przez trzy miesiące i to przeboleć, niż przez wiele lat i nie przeboleć tego nigdy.

– Owszem, gdyby tak miało być – rzekła Catherine.

– Tak by było, jestem tego pewny. – Nie odpowiadała, ciągnął więc: – Nie dowierzasz mojej mądrości, czułości, trosce o twoją przyszłość?

– Och, ojcze! – szepnęła dziewczyna.

– Nie zakładasz, że coś wiem o ludziach, o ich występkach, szaleństwach, fałszu?

Odsunęła się i natarła na niego: – On nie jest występny! Nie jest fałszywy!

Ojciec wciąż patrzył na nią bystrym, czystym okiem: – A więc za nic masz mój osąd?

– Nie wierzę w to!

– Nie proszę, byś w to wierzyła, lecz byś przyjęła to na słowo.

Catherine za nic nie przyznałaby przed sobą, że to zręczna sofistyka, niemniej odważnie stawiała czoło wyzwaniu. – Co takiego zrobił... co o nim wiesz?

– Nigdy nic nie zrobił; to samolubny próżniak.

– Och, ojcie, nie obrażaj go! – krzyknęła błagalnie.

– Nie zamierzam go obrażać; to byłby wielki błąd. Ach, rób, co chcesz – dodał, odwracając się.

– Mogę go znów zobaczyć?

– Jak sobie chcesz.

– Wybaczysz mi?

– W żadnym razie.

– Tylko ten jeden raz.

– Jeden raz? Nie wiem, co to ma znaczyć. Albo się go wyrzekniesz, albo będziesz ciągnąć tę znajomość.

– Chciałabym wyjaśnić... poprosić go, by zaczekał.

– Zaczekał na co?

– Aż lepiej go poznasz; aż się zgodzisz.

– Nie mów mu takich bzdur. Znam go dosyć dobrze i nigdy się nie zgodzę.

– Ale my możemy długo czekać – powiedziała biedna Catherine tonem, który miał wyrażać najbardziej pojednawczą pokorę, lecz który na nerwy jej ojca podziałał jak natrętne naleganie, nieświadczące o zbytym takcie.

Jednakże odpowiedział dość spokojnie: – Oczywiście, jeśli chcecie, możecie poczekać, aż umrę.

Catherine wydała okrzyk dzikiego przerażenia.

– Zaręczyny będą miały dla ciebie jeden rozkoszny skutek; z prawdziwą niecierpliwością będziesz czekać na mój koniec.

Catherine patrzyła na niego osłupiała, a doktor z uciechą stwierdził, że trafił celnie. Jego uwaga ugodziła Catherine z siłą – a raczej ogólną skutecznością – aksjomatu logicznego, którego obalenie przekraczało jej zdolności; i którego, choć był naukową prawdą, zupełnie nie potrafiła przyjąć.

– Gdyby to miała być prawda, wolałabym nigdy nie wyjść za mąż – powiedziała.

– Daj mi zatem dowód; albowiem nie ulega kwestii, że zaręczając się z Morrisem Townsendem, po prostu będziesz czekać na moją śmierć.

Odwróciła się z uczuciem mdłości; doktor zaś kontynuował: – A jeśli ty będziesz się niecierpliwić, oceń łaskawie, jak on będzie tego pragnął!

Catherine się zastanowiła – słowa ojca miały nad nią taką władzę, że nawet jej myśli były mu posłuszne. W tym, co mówił, czaiła się okropna szpetota, która oślepiła ją mimo zasłony jej własnego, słabszego rozumu. Wtem jednak doznała olśnienia – niemal zrozumiała, że to olśnienie.

– Jeśli nie wyjdę za mąż przed twoją śmiercią, to po niej też nie – oznajmiła.

Trzeba przyznać, że dla jej ojca zabrzmiało to jak kolejny żart, a ponieważ

w niewprawnych umysłach upór zazwyczaj nie obiera takiego środka wyrazu, tym bardziej się zdziwił kapryśną grą jej uporczywej myśli.

– Czy to ma być impertynencja? – zapytał; ale już stawiając to pytanie, dostrzegł jego ewidentne grubiaństwo.

– Impertynencja? Och, ojcze, jakie ty okropne rzeczy mówisz!

– Jeśli nie czekasz na moją śmierć, możesz równie dobrze wyjść za mąż natychmiast; gdyż poza tym nie ma na co czekać.

Przez jakiś czas Catherine nie odpowiadała, w końcu jednak rzekła: – Myślę, że Morris... po trochu... mógłby cię przekonać.

– Nie pozwolę mu nigdy więcej ze sobą mówić. Zbyt go nie lubię.

Z ust Catherine wyrwało się długie ciche westchnienie, które próbowała stłumić, uznała bowiem, że to niegodne obnosić się z kłopotem i próbować oddziaływać na ojca przy złudnej pomocy emocji. Uznała, że w samej rzeczy, niewłaściwe – to znaczy, niedelikatne – są w ogóle wszelkie próby oddziaływania na jego uczucia; powinna wywołać w nim jakąś łagodną, stopniową zmianę, aby jego intelekt zaczął inaczej postrzegać charakter biednego Morrisa. Jednak sposób doprowadzenia do tej zmiany obecnie tonął jeszcze w mrokach tajemnicy i Catherine czuła się beznadziejnie bezbronna i nieszczęśliwa. Wyczerpała wszystkie argumenty, wszystkie odpowiedzi. Ojciec zapewne się nad nią litował, istotnie tak było; ale był pewien, że ma rację.

– Jedno możesz powiedzieć panu Townsendowi, kiedy go znów zobaczysz – oznajmił. – Jeśli pobierzecie się bez mojej zgody, nie zostawię ci ani grosza ze swoich pieniędzy. To zainteresuje go bardziej niż cokolwiek innego.

– Bardzo słusznie – zgodziła się Catherine. – W takim wypadku nie powinnam dostać od ciebie ani grosza.

– Moje drogie dziecko – zauważył ze śmiechem doktor – twoja prostota jest wzruszająca. Wygłoś tę kwestię, takim tonem, z taką miną, do pana Townsenda, i zwróć uwagę na jego odpowiedź. Nie będzie uprzejmy; wyrazi rozdrażnienie, a ja będę z tego rad, gdyż tym samym udowodni, że mam rację; chyba że istotnie, co jest całkiem możliwe, spodoba ci się, iż jest dla ciebie niegrzeczny.

– Nigdy nie będzie dla mnie niegrzeczny – rzekła łagodnie Catherine.

– Tym niemniej powtórz mu, co powiedziałem.

Spojrzała na ojca i jej spokojne oczy wypełniły się łzami.

– Sądzę więc, że się z nim zobaczę – szepnęła swym nieśmiałym głosem.

– Jak sobie życzysz! – Podeszedł do drzwi i otworzył je przed córką. Widząc ten gest, doznała straszliwego poczucia, że ją odprawia.

– Tylko ten jeden raz, tymczasem – poprosiła, jeszcze się ociągając.

– Jak sobie życzysz – powtórzyl, z dłonią na klamce. – Powiedziałem ci, co myślę. Jeśli się z nim zobaczysz, będziesz niewdzięcznym i okrutnym dzieckiem; zadasz staremu ojcu największy ból w jego życiu.

Tego już biedna dziewczyna znieść nie mogła – jej oczy wezbrały łzami i z żalnym okrzykiem ruszyła ku swemu zawziętemu rodzicowi. Ten jednak srogo uchylił się przed jej błagalnie wzniesionymi rękami; zamiast dać jej się wypłakać na swej piersi, po prostu ujął ją za ramię i wyprowadził za próg, po czym zamknął drzwi, delikatnie, ale

stanowczo. Co uczyniwszy, zaczął nasłuchiwać. Przez dłuższy czas nie dobiegł go żaden dźwięk; wiedział, że ona stoi na zewnątrz. Jak już pisałem, było mu jej żal; ale był taki pewny, że ma rację! W końcu usłyszał, że odchodzi, i po chwili schody skrzypnęły cicho pod jej krokami.

Doktor kilkakrotnie okrążył gabinet z rękami w kieszeniach oraz iskrą w oku – możliwe, że złości, lecz również po trosze jakby rozbawienia. „Na Jowisza – rzekł w duchu – wierzę, że ona postawi na swoim! Doprawdy, postawi na swoim!”. Ów obraz Catherine „stawiającej na swoim” wydał mu się niezwykle zabawny i rokujący sporo rozrywki. Postanowił, jak to ujął w myślach, doprowadzić sprawę do końca.

XIX

Zgodnie z tym postanowieniem rano postarał się zamienić z panią Penniman kilka słów na osobności. Wezwał ją do biblioteki, gdzie oznajmił, że ma wielką nadzieję, iż w sprawie Catherine siostra będzie przestrzegać abc obyczajności.

– Nie wiem, co ma znaczyć to określenie – obruszyła się jego siostra. – Mówisz, jakbym uczyła się alfabetu.

– Alfabet zdrowego rozsądku to coś, czego nigdy się nie nauczysz – pozwolił sobie na ripostę doktor.

– Wezwałeś mnie, żeby mnie obrazić? – zapytała pani Penniman.

– Nic podobnego. Po prostu chcę ci doradzić. Zajęłaś się młodym Townsendem; twoja sprawa. Nie mam nic wspólnego z twoimi sentymentami, zachciankami, uczuciami, rojeniami; ale proszę cię, byś zachowała te rzeczy dla siebie. Wyjaśniłem Catherine, co myślę; doskonale to rozumie; cokolwiek zrobi, by zachęcić pana Townsenda do dalszych zalotów, będzie to świadomy sprzeciw wobec moich życzeń. Ale wszystko, co ty zrobisz, aby udzielić jej pomocy i otuchy, będzie – pozwól, że użyję tego określenia – jawną zdradą. Wiesz, że zdradę stanu karze się śmiercią; uważaj więc, żeby nie ściągnąć na siebie kary.

Pani Penniman rzuciła głową i szerzej otworzyła oczy, co niekiedy lubiła robić. – Coś mi się zdaje, że mówisz jak wielki autokrata.

– Mówię jak ojciec swojej córki.

– Lecz nie jak brat swojej siostry! – wykrzyknęła Lavinia.

– Moja droga Lavinio – rzekł doktor. – Czasem się zastanawiam, czy w ogóle jestem twoim bratem, tak niezwykle się różnimy. Jednak pomimo różnic potrafimy w razie potrzeby zrozumieć się nawzajem; a to jest w tej chwili najistotniejsze. Zachowuj się uczciwie w sprawie pana Townsenda; tylko o to cię proszę. Bardzo prawdopodobne, że przez ostatnie trzy tygodnie z nim korespondowałaś, być może nawet się z nim widywałaś. Nie pytam o nic, nie musisz mi mówić. – Miał moralne przekonanie, że w tej sprawie siostra potrafi wymyślić jakieś kłamstwo, którego wysłuchanie wywoła w nim niesmak. – Cokolwiek robiłaś, nie rób tego więcej. To wszystko, czego sobie życzę.

– Nie życzysz sobie przypadkiem również zamordować swego dziecka? – zapytała

pani Penniman.

– Przeciwnie, pragnę, żeby żyła długo i szczęśliwie.

– Zabijesz ją; miała okropną noc.

– Nie umrze od jednej okropnej nocy ani od tuzina. Pamiętaj, że jestem wybitnym lekarzem.

Pani Penniman wahała się przez chwilę, po czym zaryzykowała ripostę: – To, że jesteś wybitnym lekarzem, nie uchroniło cię od utraty już d w o j g a członków rodziny!

To było dość odważne, lecz brat przeszył ją spojrzeniem tak okrutnym – jakże podobnym do lancetu chirurga – że przestraszyła się swojej odwagi. Słowa jego odpowiedzi były takie jak spojrzenie: – Może mnie to również nie uchronić od utraty towarzystwa kolejnej krewnej.

Pani Penniman przybrała minę urażonej cnoty – na jaką jeszcze było ją stać – i zabrała się jak niepyszna do pokoju Catherine, w którym biedna dziewczyna się zamknęła. Ciotka wiedziała wszystko o tej okropnej nocy; spotkały się poprzedniego wieczoru, gdyż kiedy Catherine wyszła od ojca, pani Penniman czekała na nią na podeście pierwszego piętra. Nie ma nic niezwykłego w tym, że osoba obdarzona taką subtelnością odkryła, iż Catherine rozmawia z doktorem sam na sam. Jeszcze mniej niezwykły jest fakt, że poczuła ogromną ciekawość, by poznać wyniki tej rozmowy, i że uczucie to, wraz z jej wielką dobrocią i wielkodusznością, kazało jej zapomnieć o ostrych słowach, które niedawno padły między nimi. Widząc nieszczęsną dziewczynę w półmroku korytarza, natychmiast żywo okazała jej współczucie. Wezbrane serce Catherine było równie skłonne zapomnieć urazy; poczuła tylko, że ciotka przytula ją do siebie. Pani Penniman wciągnęła dziewczynę do jej pokoju, po czym obie siedziały razem długo w noc – młodsza z głową na kolanach starszej, na początku zanosząc się bezgłośnym, stłumionym łkaniem, potem zaś całkowicie nieruchomo. Było wielką ulgą dla pani Penniman, że po takiej scenie zakaz, jaki Catherine nałożyła na jej dalsze kontakty z Morrisem Townsendem, mogła z czystym sumieniem uznać za nieważny. Bynajmniej jednak nie ulgę poczuła, kiedy zajrząwszy do pokoju bratanicy przed śniadaniem, odkryła, że Catherine wstała i przygotowuje się do posiłku.

– Nie powinnaś schodzić na śniadanie – oznajmiła – nie czujesz się dość dobrze po tej okropnej nocy.

– Owszem, czuję się bardzo dobrze, tylko boję się spóźnić.

– Nie rozumiem cię! – wykrzyknęła pani Penniman. – Powinnaś leżeć w łóżku przez trzy dni.

– Och, tego nie mogłabym zrobić! – rzekła Catherine, którą niezbyt taki pomysł pociągał.

Panią Penniman ogarnęła rozpacz, ponadto z ogromną złością odnotowała, że z oczu Catherine zupełnie znikły ślady nocnych łez. Doprawdy, jej powierzchowność była wysoce niepraktyczna! – Spodziewasz się wyrzec na ojca jakiś wpływ – zapytała kąśliwie – tak dziarsko schodząc na dół? Bez żadnych oznak uczucia, jakby nic w świecie się nie stało?

– Nie chciałby, żebym leżała w łóżku – odparła po prostu Catherine.

– Tym bardziej należy to zrobić. Jakże inaczej chcesz go wzruszyć?

Catherine myślała przez chwilę. – Nie wiem, ale nie tym sposobem. Chcę być taka jak zwykle. – Skończyła się ubierać, po czym, wedle określenia ciotki, zeszła dziarsko na dół, by znaleźć się w obecności ojca. Była naprawdę zbyt skromna, by konsekwentnie okazywać żal.

A przecież istotnie miała za sobą naprawdę straszną noc. Nawet po odejściu pani Penniman nie zmrużyła oka. Leżała wpatrzona w niedający pociechy mrok, wciąż widząc gest, którym ojciec wyprowadził ją z pokoju, i słysząc jego słowa, że jest córką bez serca. Serce jej pękało; do tego miała go wystarczająco dużo. Chwilami wydawało jej się, że mu wierzy: że tylko naprawdę niedobra dziewczyna mogłaby postępować tak jak ona. A zatem była niedobra; ale nic nie mogła na to poradzić. Może spróbuje udawać posłuszną, nawet wbrew własnemu wyrodnemu sercu; chwilami bowiem wyobrażała sobie, że coś osiągnie, jeśli zrecznie zastosuje się do konwenansu, nadal trwając w uczuciu do Morrisa. Pomysły Catherine miały charakter dość nieokreślony i nie jesteśmy tutaj powołani do obnażania ich jałowości. Być może najlepszym z nich okazała się owa świeżość wyglądu, która tak zniechęciła panią Penniman; brak śladów wyczerpania, zdumiewający u młodej kobiety, która spędziła całą noc, drżąc pod brzemieniem ojcowskiej klątwy. Biedna Catherine uświadamiała sobie tę świeżość; przewidywała, jaką przyszłość jej rokuje; i czuła na sercu jeszcze większy ciężar. Świeżość ta była dowodem, że Catherine jest silna, mocna i twarda, toteż będzie żyć bardzo długo – dłużej, niż na ogół bywa dogodne; myśl, która przygnębiała ją, tym bardziej że zdawała się narzucać jej dalsze pretensje, akurat teraz, gdy jakiegokolwiek pretensje stałyby w sprzeczności z właściwym postępowaniem. Tego dnia napisała do Morrisa Townsenda, prosząc, by nazajutrz przyszedł się z nią zobaczyć; użyła niewiele słów i niczego nie wyjaśniała. Zamierzała wyjaśnić wszystko twarzą w twarz.

XX

Następnego dnia po południu usłyszała jego głos przy drzwiach i jego kroki w holu. Przyjęła go w dużym, jasnym salonie od frontu, uprzedziła też służbę, że gdyby ktoś przyszedł, to jest bardzo zajęta. Nie bała się, że nadejdzie ojciec; o tej porze zawsze jeździł po mieście. Widząc przed sobą Morrisa, zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy: że po pierwsze, wygląda on jeszcze piękniej niż wizerunek w jej czułej pamięci; po drugie zaś, że właśnie tuli ją w ramionach. Gdy się uwolniła, miała wrażenie, że teraz już naprawdę runęła w otchłań buntu, a nawet, przez chwilę, że została już poślubiona.

Oświadczył, że jest okrutna i że był przez nią bardzo nieszczęśliwy; a Catherine dotkliwie poczuła, jak trudny los ją spotyka, każąc zadawać ból tak różnym osobom. Nie chciała jednak słuchać wymówek, choćby najczulszych; pragnęła, by udzielił jej pomocy. Z pewnością był dość mądry i sprytny, by wymyślić jakieś wyjście z kłopotów. Podzieliła się z nim swoją wiarą, co Morris przyjął jak coś naturalnego, ale zamiast zając się ustalaniem kursu, najpierw – co również naturalne – zaczął ją wypytywać.

– Nie powinnaś była mnie zmuszać, bym czekał tak długo – powiedział. – Sam nie

wiem, jak udało mi się przeżyć; każda godzina trwała całe lata. Powinnaś była wcześniej podjąć decyzję.

– Decyzję? – zapytała Catherine.

– Decyzję, czy przy mnie zostaniesz, czy się mnie wyrzekniesz.

– Och, Morris! – westchnęła przeciągle i tkliwie. – Nie przyszło mi do głowy, by się ciebie wyrzec!

– Na co więc czekałaś? – dopytywał się młodzieniec z żarliwą logiką.

– Myślałam, że może ojciec... może... – urwała niepewnie.

– Może zobaczy, jaka jesteś nieszczęśliwa?

– Och, nie! Ale może spojrz na to inaczej.

– A teraz posłałaś po mnie, by mi powiedzieć, że w końcu do tego doszło, czy tak?

Ta optymistyczna hipoteza przyprawiła biedaczkę o ukłucie bólu. – Nie, Morris – rzekła poważnie – ojciec nadal widzi to w ten sam sposób.

– To po co po mnie posłałaś?

– Bo chciałam cię zobaczyć! – wykrzyknęła Catherine żałośnie.

– To z pewnością doskonały powód. I chciałaś tylko na mnie popatrzeć? Nie masz mi nic do powiedzenia?

Utkwił w jej twarzy swe piękne wymowne oczy, aż zaczęła się zastanawiać, jaka odpowiedź będzie dość szlachetna, by sprostać takiemu spojrzeniu. Przez chwilę nie odrywała odeń wzroku, po czym powiedziała cicho: – Ależ ja naprawdę chciałam na ciebie popatrzeć! – Po czym, nader nielogicznie, odwróciła twarz.

Morris przez chwilę przyglądał się jej z uwagą.

– Wyjdiesz za mnie jutro? – zapytał raptownie.

– Jutro?

– No to w przyszłym tygodniu. Kiedykolwiek w przyszłym miesiącu.

– Czy nie lepiej poczekać?

– Zaczekać na co?

Niezupełnie wiedziała na co; ale przeraził ją ten ogromny skok. – Aż lepiej to sobie przemyślimy.

Pokręcił głową ze smutkiem i wyrzutem. – Sądziłem, że myślałaś o tym przez te trzy tygodnie. Chcesz się nad tym zastanawiać przez pięć lat? Dałaś mi czasu aż nadto. Moja biedna dziewczynko – dodał po chwili – nie jesteś ze mną szczerą!

Catherine oblała się rumieńcem i łzy stanęły jej w oczach. – Och, jak możesz tak mówić? – wyszeptała.

– Cóż, musisz mnie przyjąć lub odprawić – rzekł bardzo rozsądnie Morris. – Nie zadowolisz nas obu naraz, twego ojca i mnie; musisz wybrać między nami.

– Wybrałam ciebie! – odrzekła z pasją.

– Więc wyjdź za mnie w przyszłym tygodniu.

Wpatrzyła się w niego. – Nie ma żadnego innego sposobu?

– Nie znam żadnego, który dałby ten sam skutek. Jeśli taki istnieje, chętnie o nim usłyszę.

Catherine nie była w stanie wymyślić nic innego; Morris lśnił niemal bezlitosnym blaskiem. Przychodziła jej do głowy jedynie myśl, że ojciec może w końcu zmienić

zdanie, toteż – aczkolwiek z niezręcznym poczuciem bezradności – wyraziła pragnienie, by taki cud nastąpił.

– Uważasz, że to w ogóle możliwe? – zapytał Morris.

– Byłoby możliwe, gdyby cię poznał!

– Mógłby mnie poznać, gdyby tylko zechciał. Co stoi na przeszkodzie?

– Jego myśli, jego racje – odrzekła Catherine – są takie... takie strasznie mocne! –

Wciąż jeszcze drżała na ich wspomnienie.

– Mocne? – zawołał Morris. – Wolałbym, żebyś sądziła, że są słabe.

– Och, w moim ojcu nie ma nic słabego! – wykrzyknęła dziewczyna.

Morris podszedł do okna, przystanął i wyjrzał na zewnątrz. – Okropnie się go boisz! – zauważył w końcu.

Nie miała odruchu, by zaprzeczyć, nie czuła bowiem wstydu z tego powodu; nawet jeśli strach nie przynosił jej chluby, to przynajmniej przynosił chlubę ojcu. – Pewnie tak – przyznała z prostotą.

– A więc mnie nie kochasz, nie tak, jak ja kocham ciebie. Jeśli twój lęk przed ojcem jest większy niż miłość do mnie, to nie jest to uczucie, na jakie miałem nadzieję.

– Ach, przyjacielu! – krzyknęła, podbiegając do niego.

– Czy j a się czegoś boję? – zapytał, zwracając się ku niej gwałtownie. – Czy jest coś, czego nie byłbym gotów znieść dla ciebie?

– Jesteś szlachetny! Jesteś dzielny! – odpowiedziała, zatrzymując się w odległości świadczącej wręcz o szacunku.

– Niewielki mam z tego pożytek, skoro jesteś taka bojaźliwa.

– Nie sądzę, żebym taka była... n a p r a w d ę .

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „naprawdę”. To naprawdę wystarczy, by nas unieszczęśliwić.

– Jestem dość silna, aby czekać... czekać bardzo długo.

– A co będzie, jeśli się naczekamy, a twój ojciec znienawidzi mnie jeszcze bardziej?

– Nie zechce! Nie może!

– Wzruszy go moja wierność? O to ci chodzi? Jeżeli tak łatwo się wzrusza, to czemu tak się go boisz?

Trafił w sedno, co zrobiło na Catherine wielkie wrażenie. – Spróbuję się nie bać – powiedziała. I stała posłusznie niczym obrazek przyszłej żony, oddanej i odpowiedzialnej. Obrazek taki nie mógł się nie spodobać Morrisowi Townsendowi, toteż młodzieniec nie ustawał w składaniu dowodów wielkiej estymy dla Catherine. Zapewne więc takie właśnie uczucie spowodowało, że niebawem wspomniał, iż pani Penniman zaleca natychmiastowy ślub, bez względu na konsekwencje.

– Tak, to by się spodobało ciotce Penniman – powiedziała Catherine z prostotą, ale przecież z pewną przenikliwością. Wszakże już tylko czysta prostota i nieskażone sarkazmem pobudki przywiodły ją kilka chwil później do oznajmienia Morrisowi, że ma dla niego wiadomość od ojca. Obowiązek przekazania tej wiadomości bardzo ciążył jej na sumieniu, toteż byłaby skrupulatnie wypełniła zadanie, nawet gdyby było dziesięćkroć trudniejsze. – Kazał ci powtórzyć... powtórzyć bardzo wyraźnie, prosto z mostu, że jeśli cię poślubię bez jego zgody, nie odziedziczę z jego fortuny ani grosza.

Bardzo to podkreślał. Wyraźnie myślał... wyraźnie myślał...

Morris pokraśniał, jak przystało na młodzieńca z charakterem, którego podejrzewa się o niskie motywy.

– Wyraźnie myślał, że co?

– Że to coś zmieni.

– Bo zmieni... pod wieloma względami. Będziemy ubożsi o kilka tysięcy dolarów; to wiele zmienia. Ale w żaden sposób nie zmienia moich uczuć.

– Nie będziemy potrzebować tych pieniędzy – rzekła Catherine. – Wiesz, że sama mam spory majątek.

– Tak, kochanie, wiem, że coś tam masz. I on nie może tego tknąć!

– Nigdy by tego nie zrobił – powiedziała Catherine. – To spadek po matce.

Morris milczał przez chwilę. – Był w tej kwestii bardzo stanowczy, prawda? – zapytał w końcu. – Pomyślał, że ta wiadomość okropnie mnie rozzłości i zmusi do zdjęcia maski, tak?

– Nie wiem, co pomyślał – odparła znużonym głosem.

– Więc przekaż mu, proszę, że tyle dbam o jego wiadomość! – I Morris dźwięcznie strzelił palcami.

– Nie sądzę, żebym mogła mu to powiedzieć.

– Wiesz, że czasem sprawiasz mi zawód?

– Myślę, że może tak być. Sprawiam zawód wszystkim: ojcu i ciotce Penniman.

– Cóż, dla mnie to bez znaczenia, bo ja lubię cię bardziej niż oni.

– Tak, Morris – rzekła dziewczyna, której wyobraźnia – jakakolwiek była – rozplynęła się w tej szczęśliwej świadomości, w końcu przecież zupełnie nieszkodliwej.

– Jesteś przekonana, że on będzie przy tym obstawał; że już zawsze będzie obstawał przy pomyśle, żeby cię wydziedziczyć? Że twoja dobroć i cierpliwość nigdy nie pokonają jego okrucieństwa?

– Kłopot w tym, że jeśli za ciebie wyjdę, on uzna, że nie jestem dobra. Uzna, że to dowód.

– Ach, zatem on ci nigdy nie wybaczy!

Myśl ta, tak brutalnie wyrażona przez piękne wargi Morrisa, na moment ponownie, z całą straszliwą jaskrawością rozgorzała w chwilowo uspokojonym sumieniu dziewczyny. – Och, powinieneś bardzo mnie kochać! – zawołała.

– Moja droga, co do tego nie ma żadnych wątpliwości! – odparł adorator. – Nie podoba ci się to słowo: wydziedziczyć – dodał po chwili.

– Nie chodzi o pieniądze; chodzi o to, że on... że on tak czuje.

– Pewnie wydaje ci się, że to jakaś klątwa – powiedział Morris. – To musi być bardzo przynębiające. Ale czy nie sądzisz – podjął po chwili – że gdybyś okazała trochę sprytu i dobrze się do tego zabrała, mogłabyś w końcu wyzwolić się spod tej klątwy? Nie sądzisz – ciągnął współczującym tonem przypuszczenia – że kobieta naprawdę sprytna na twoim miejscu mogłaby go w końcu udobruchać? Nie sądzisz...

Tu Morris musiał przerwać; zmyślne pytania nie docierały do uszu Catherine. Wciąż dźwięczało w nich straszliwe słowo „wydziedziczyć”; całe związane z nim potężne potępienie moralne, w samej rzeczy, stopniowo jakby nabierało mocy. Śmiertelny chłód

sytuacji wdarł się głębiej w jej dziecinne serce i ogarnęło ją poczucie samotności i zagrożenia. Jednak ratunek był tuż przy niej, obok, wyciągnęła więc ręce, by się go uchwycić. – Ach, Morris! – szepnęła z drżeniem. – Wyjdę za ciebie, kiedy tylko zechcesz. – I położyła mu głowę na ramieniu, poddając się całkowicie.

– Moja kochana, dobra dziewczynka! – wykrzyknął, patrząc w dół na swą zdobycz. Po czym znów z pewnym roztargnieniem rozejrzał się wokół z rozchyłonymi ustami i uniesionymi brwiami.

XXI

Doktor Sloper bezzwłocznie powiadomił panią Almond o swym przeświadczeniu w tych samych słowach, w jakich obwieścił je sam sobie. – Na Jowisza, wierzę, że ona postawi na swoim! Wierzę, że postawi na swoim!

– Chcesz powiedzieć, że za niego wyjdzie? – zapytała pani Almond.

– Tego nie wiem; ale się nie złamie. Będzie przeciągać okres zaręczyn w nadziei, że zmusi mnie, bym ustąpił.

– A ty nie ustąpisz?

– Czy twierdzenie geometryczne może ustąpić? Nie jestem taki powierzchowny.

– Czyż geometria nie traktuje o powierzchniach? – rzekła z uśmiechem pani Almond, która, jak wiemy, była kobietą bystrą.

– Tak, ale czyni to bardzo gruntownie. Moje powierzchnie to Catherine i jej kawaler; zdjąłem z nich miarę.

– Mówisz, jakby wynik cię zaskoczył.

– Jest ogromny; będzie co obserwować.

– Jesteś szokująco zimnokrwisty! – zawołała pani Almond.

– Muszę taki być, skoro krew tak kipi wokół mnie. Młody Townsend istotnie zachowuje chłód; przyznaję, że to zaleta.

– Jego nie mogę oceniać – odparła pani Almond – ale wcale się nie dziwię Catherine.

– A ja tak, przyznaję szczerze; musi być piekielnie rozdarta i przejęta.

– Powiedz wprost, że cię to bawi! Nie rozumiem, co w tym śmiesznego, że twoja córka cię wielbi.

– Ciekawe będzie właśnie ustalenie punktu, w którym jej uwielbienie się kończy.

– Kończy się tam, gdzie zaczyna się to drugie uczucie.

– Wcale nie, to byłoby za proste. Te dwie rzeczy niesłychanie mieszają się ze sobą i ta mieszanka jest niesłychanie dziwna. Wyniknie z tego jakiś trzeci element i na to właśnie czekam. Czekam z napięciem, wręcz z podnieceniem; a nigdy nie przypuszczałem, że Catherine może mi dostarczyć tego rodzaju emocji. Doprawdy, jestem jej wielce zobowiązany.

– Będzie się go trzymać – rzekła pani Almond – na pewno będzie się go trzymać.

– Owszem; jak powiadam, postawi na swoim.

– Trzymać brzmi ładniej. Tak właśnie zawsze postępują natury bardzo proste, a nie

ma nic prostszego niż Catherine. Niewiele wrażeń do niej dociera; lecz kiedy już coś dotrze, to na stałe. Jest jak miedziany czajnik, który został wgnieciony; można go wypolerować, lecz śladu się nie usunie.

– Spróbujemy wypolerować Catherine – powiedział doktor. – Zabiorę ją do Europy.

– W Europie o nim nie zapomni.

– Ale on zapomni o niej.

Pani Almond spoważniała. – Naprawdę chciałbyś tego?

– Nadzwyczajnie! – odparł doktor.

Tymczasem pani Penniman nie traciła czasu i ponownie nawiązała kontakt z Morrisem Townsendem. Poprosiła, by zaszczycił ją jeszcze jedną rozmową, lecz tym razem jednak wybrała inne miejsce, nie szynk ostrygowy. Zaproponowała, by młody człowiek spotkał się z nią przy wyjściu z kościoła w niedzielę po południowym nabożeństwie, przy czym zadbała, by nie był to kościół, do którego chodziła zazwyczaj, gdyż, jak sądziła, zebrani mogliby ją tam wyśledzić. Wyznaczyła zatem świątynię mniej wytworną i wynurzywszy się z jej portalu o ustalonej godzinie, ujrzała młodzieńca czekającego nieopodal. Nie zdradziła, że go rozpoznaje; przeszła przez ulicę i oddaliła się trochę, on zaś ruszył w ślad za nią. Dopiero wtedy się odwróciła i rzekła z uśmiechem: – Proszę wybaczyć moją pozorną nieuprzejmość. Wie pan, co o tym sądzić. Roztropność przede wszystkim. – A gdy zapytał, w jakim kierunku pójdą, mruknęła: – Tam, gdzie będziemy zwracać jak najmniej uwagi.

Morris był nie w humorze, toteż jego odpowiedź nie odznaczała się szczególną galanterią: – Nie pochlebiam sobie, że gdziekolwiek nas zauważą. – Po czym zuchwale zawrócił ku centrum miasta. – Spodziewam się, że przyszła mi pani oznajmić, iż dał za wygraną – dodał.

– Boję się, że wieści, które przynoszę, nie są zbyt dobre, poniekąd jestem jednak posłańcem pokoju. Dużo myślałam, panie Townsend – rzekła pani Penniman.

– Pani za dużo myśli.

– Pewnie tak; ale nic na to nie poradzę, mój mózg jest okropnie aktywny. Kiedy się poświęcam, to się poświęcam. Płaczę za to bólem głowy. Ten mój słynny ból głowy... istna obręcz cierpienia! Ale noszę ją niczym królowa koronę. Da pan wiarę, że teraz też ją czuję? Jednak za nic w świecie nie opuściłabym naszego spotkania. Mam panu do powiedzenia coś bardzo ważnego.

– No słucham – rzucił Morris.

– Być może onegdaj trochę bez zastanowienia doradziłam panu natychmiastowy ślub. Przemyślałam to sobie i teraz widzę to odrobinę inaczej.

– Najwyraźniej widzi pani ten sam obiekt na mnóstwo różnych sposobów.

– Ich liczba jest nieskończona! – oznajmiła pani Penniman tonem, który zdawał się sugerować, iż ta dogodna umiejętność jest jedną z jej najwspanialszych cech.

– Zalecam, by wybrała pani jeden sposób i się go trzymała – odparł Morris.

– Ach, ale wybór nie jest łatwy. Moja wyobraźnia jest zawsze niespokojna, zawsze niezadowolona. Przez nią, być może, jestem złym doradcą, lecz kapitalną przyjaciółką!

– Kapitalną przyjaciółką, która daje złe rady! – rzekł Morris.

– Nie rozmyślnie; i która śpieszy, mimo ryzyka, by najpokorniej się wytłumaczyć!

– Więc cóż pani mi teraz radzi?

– Niech pan będzie cierpliwy; niech pan patrzy i czeka.

– To jest dobra rada czy zła?

– Nie mnie to oceniać – odcięła się pani Penniman z pewną godnością. – Staram się tylko, żeby była szczerą.

– A za tydzień przyjdzie pani do mnie i równie szczerze zaleci coś innego?

– Za tydzień mogę przyjść do pana i powiedzieć, że wylądowałam na ulicy!

– Na ulicy?

– Miałam okropną scenę z moim bratem, który zagroził, że jeśli coś się stanie, to wyrzuci mnie z domu. Pan wie, że jestem biedna.

Morris miał podejrzenie, że rozmówczyni posiada jakiś majątek, ale rzecz jasna nie naciskał.

– Byłoby mi bardzo przykro widzieć, że przeze mnie jest pani skazana na męczeństwo – zauważył. – Ale przedstawia pani brata jako istnego Turka okrutnika.

Pani Penniman wahała się przez chwilę.

– Z pewnością nie sędzę, by Austin był dobrym chrześcijaninem.

– A ja mam czekać, aż się nawróci?

– W każdym razie aż złagodnieje. Niech pan czeka na właściwy moment; proszę pamiętać, że nagroda jest wielka!

Morris przez jakiś czas szedł w milczeniu, mocno stukając laską w furtki i balustrady.

– Pani rzeczywiście jest diabelnie niekonsekwentna! – wybuchnął wreszcie. – Już namówiłem Catherine, żeby się zgodziła na prywatny ślub.

Pani Penniman istotnie była niekonsekwentna, gdyż na tę wieść aż podskoczyła z zadowolenia.

– Och! Gdzie i kiedy? – zawołała. Po czym stanęła jak wryta.

– To nie jest ustalone – odpowiedział Morris ogólnikowo – ale ona się zgadza. Byłoby diabelnie niezręcznie wycofać się teraz.

Pani Penniman, jak wspomniałem, stanęła jak wryta; i stała nadal, wpatrując się w towarzysza roziskrzonym wzrokiem.

– Panie Townsend – oznajmiła – powiedzieć panu coś? Catherine kocha pana tak bardzo, że może pan zrobić cokolwiek.

To oświadczenie było dość dwuznaczne i Morris szeroko otworzył oczy.

– Miło mi to słyszeć! Ale co znaczy „cokolwiek”?

– Może pan zwlekać, może pan zmieniać plany; niczego nie będzie panu miała za złe.

Morris znieruchomiał, unosząc brwi, po czym powiedział prosto i dość sucho: – Ach! – Następnie pouczył panią Penniman, że idąc tak wolno, zwraca na siebie uwagę, po czym dość pośpiesznie wyprawił ją do domu – w domowe pielesze, gdzie jej dalszy pobyt stał się tak niepewny.

Trochę mijał się z prawdą, mówiąc, że Catherine zgodziła się na ów doniosły krok. Gdy ją przed chwilą opuściliśmy, gotowa była spalić za sobą mosty; lecz uzyskawszy od niej zapewnienie, Morris uprzytomnił sobie, że z wielu powodów nie może z niego skorzystać. Z pewnym wdziękiem wykręcił się zatem od ustalenia dnia ślubu, choć zostawił dziewczynę z wrażeniem, że ma coś na oku. Owszem, Catherine miała trudności; niemniej kłopoty jej przezornego amanta również zasługują na uwagę. Nagroda z pewnością była wielka; jednak zdobyć ją dało się jedynie, znajdując złoty środek między pochopnością a rozważą. Oczywiście można było rzucić się głową naprzód i zaufać Opatrzności; ale Opatrzność szczególnie sprzyja ludziom bystrym, a bystrzy ludzie znani są z niechęci do wystawiania swych kości na szwank. Ostateczna korzyść ze związku z panną tyleż nieładną, co zubożałą musiała w bardzo namacalny sposób wiązać się z jakąś bezpośrednią stratą. Wybór między obawą, że całkiem utraci Catherine i jej spodziewaną fortunę, a obawą, że weźmie ją zbyt pośpiesznie, po czym owa fortuna okaże się równie pozbawiona treści, co zbiór opróżnionych butelek, nie był dla Morrisa Townsenda zbyt wygodny; fakt godzien przypomnienia czytelnikom skłonny zbytnie surowo osądzać młodzieńca, który według nich robił dość mierny użytek ze swoich świetnych przyrodzonych talentów. Morris bynajmniej nie zapomniał, że w najgorszym razie Catherine ma dziesięć własnych tysięcy rocznie; poświęcił tej okoliczności mnóstwo uwagi. Ale właśnie ze względu na przyrodzone talenty bardzo wysoko się cenił i nader konkretnie szacował swoją wartość, za którą wspomniana suma wydała mu się kompensatą niewystarczającą. Równocześnie napominał się jednak, że suma jest znaczna, że wszystko jest względne i że choć skromne dochody są mniej pożądane aniżeli duże, to zupełny brak wpływów w żadnym razie nie uchodzi za korzystny. Te refleksje dostarczały mu wiele zajęcia i unaoczniały, że należy zmienić kurs. W równaniu, które miał rozwiązać, niewiadomą stanowił sprzeciw doktora Slopera. Aby ją znaleźć w sposób naturalny, należało ożenić się z Catherine; lecz w matematyce istnieje wiele dróg na skróty, a Morris nie porzucił jeszcze nadziei, że odkryje wśród nich tę właściwą. Kiedy Catherine przyjęła poważnie jego słowa i postanowiła zaniechać prób zjednania ojca, wycofał się, jako się rzekło, dosyć zręcznie, kwestię dnia zaślubin pozostawiając otwartą. Dziewczyna tak bezgranicznie wierzyła w jego szczerość, że nie potrafiła podejrzewać, iż ją zwodzi; zresztą nękał ją problem zupełnie innego rodzaju. Miała niezwykle poczucie honoru i odkąd doszła do wniosku, że gotowa jest pogwałcić wolę ojca, uznała, że nie ma już prawa korzystać z jego opieki. Sumienie podpowiadało, że wolno jej mieszkać pod jego dachem, tylko dopóki stosuje się do jego mądrości – i pogląd ten przynosił jej niemałą chlubę, jednak biedna Catherine sądziła, że już nic się jej nie należy. Skoro związała swój los z młodym człowiekiem, przed którym ojciec stanowczo ją ostrzegał, to złamała umowę, na mocy której zapewniał jej szczęśliwy dom. Młodzieńca nie mogła się wyrzec, a więc dom musiała opuścić – im prędzej zatem jej wybranek wystąpiłby z propozycją, tym prędzej wyjaśniłoby się jej niezręczne położenie. Rozumowanie to, aczkolwiek ścisłe, tonęło w bezbrzeżnym oceanie czysto instynktownej skruchy; toteż w tym okresie dni Catherine upływały ponuro, a ciężar niektórych godzin był niemal ponad jej siły. Ojciec nie patrzył na nią ani z nią nie rozmawiał. Miał to w planie, wiedział bowiem

doskonale, do czego zmierza. Ona patrzyła na niego, kiedy miała odwagę (bała się zrobić wrażenie, że mu się narzuca), było jej również przykro, że przez nią jest smutny. Głowę wszakże trzymała wysoko, znajdowała zajęcie dla rąk i krzątała się jak zwykle; a gdy stan rzeczy na placu Waszyngtona wydawał się nie do zniesienia, mrużyła oczy i pozwalała sobie przywołać wizję człowieka, dla którego złamała najświętsze zasady.

Z trojga mieszkańców domu na placu Waszyngtona pani Penniman w tym wielkim kryzysie zachowywała się najbardziej stosownie. Jeśli Catherine była spokojna, to była, że tak powiem, spokojnie spokojna, a jej żalosne starania, których nie miał kto zauważyć, wydawały się całkowicie niewymuszone i niezamierzone. Jeśli doktor był sztywny, oschły i całkowicie obojętny wobec towarzyszek, to robił to tak lekko, zręcznie, od niechcienia, że tylko ktoś, kto dobrze go znał, dostrzegłby, że ogólnie rzecz biorąc, podoba mu się udawać niemiłego. Natomiast pani Penniman była ostentacyjnie oziębła i znacząco milcząca; jej rozważnym ruchom – do takich się ograniczała – akompaniował nader wymowny szelest, a gdy się czasem odzywała w związku z jakimś banalnym wydarzeniem, miała minę, jakby chciała oznajmić coś głębszego, niż mówiła w istocie. Catherine nie zamieniła z ojcem ani słowa od tamtej wieczornej rozmowy w jego gabinecie. Owszem, miała mu coś do powiedzenia – uważała, że powinna to powiedzieć – lecz powstrzymywała się w obawie, że go rozdrażni. On również chciał jej coś powiedzieć, ale postanowił, że nie przemówi pierwszy: jak wiemy, ciekaw był, w jaki sposób, zostawiona sama sobie, „postawi na swoim”. W końcu jednak powiadomiła go, że znów widziała się z Morrisem Townsendem i że ich stosunki się nie zmieniły.

– Myślę, że się pobierzemy... niedługo. I zapewne tymczasem będę się z nim widywać dość często; mniej więcej raz w tygodniu, nie częściej.

Doktor zmierzył ją lodowatym wzrokiem od stóp do głów jak obcą osobę. Jego oczy spoczęły na niej pierwszy raz od tygodnia – i całe szczęście, jeśli taki odtąd miał być ich wyraz. – A dlaczego nie trzy razy dziennie? – zapytał. – Cóż wam przeszkadza widywać się tak często, jak chcecie?

Odwróciła się na chwilę; łzy stanęły jej w oczach. – Lepiej raz w tygodniu – szepnęła.

– Nie wiem, dlaczego lepiej. Już gorzej być nie może. Jeśli pochlebiasz sobie, że ja dbam o jakieś drobne poprawki, to bardzo się mylisz. Widując się z nim raz w tygodniu, robisz tak samo źle, jakbyś przebywała z nim przez cały dzień. Ale mało mnie to obchodzi.

Catherine usiłowała nadażyć za jego słowami, jednak wydawały się zmierzać do jakiejś niejasnej okropności, przed którą się wzdrygała. – Myślę, że się niedługo pobierzemy – powtórzyła wreszcie.

Ojciec znów obrzucił ją swoim strasznym spojrzeniem. – Po co mi to mówisz? To nie moja sprawa.

– Och, ojcze! – wybuchnęła. – Nawet jeśli tak uważasz, to czy ja cię nic nie obchodzę?

– Ani trochę. Skoro masz wyjść za mąż, jest mi wszystko jedno, kiedy, gdzie i jak to zrobisz; a jeśli sądzisz, że tym przedstawieniem odkupisz swoje szaleństwo, to możesz oszczędzić sobie trudu.

Z tymi słowy się oddalił. Następnego dnia jednak zwrócił się do niej z własnej woli

już nieco innym tonem: – Czy zamierzasz wyjść za mąż w ciągu najbliższych czterech lub pięciu miesięcy?

– Nie wiem, ojczy – odparła Catherine. – Niełatwo nam podjąć decyzję.

– A więc odłóż ślub o pół roku, a tymczasem zabiorę cię do Europy. Byłbym bardzo rad, gdybyś pojechała.

Po tym, co powiedział poprzedniego dnia, słowa, że „byłby rad”, gdyby coś zrobiła, myśl, że wciąż ma do niej w sercu jakąś czułą skłonność, wzbudziły w Catherine taki zachwyty, że cicho krzyknęła z radości. Potem jednak uświadomiła sobie, że Morris nie został objęty propozycją wyjazdu i że znacznie bardziej wolałaby zostać z nim w kraju. Niemniej oblała się rumieńcem o wiele radośniejszym niż ostatnio. – Byłoby cudownie pojechać do Europy – bąknęła, czując, że nie jest to myśl oryginalna i że nie mówi takim tonem, jak powinna.

– Bardzo dobrze, zatem pojedziemy. Spakuj ubrania.

– Lepiej powiem panu Townsendowi – rzekła Catherine.

Ojciec utkwiał w niej lodowaty wzrok. – Jeśli chcesz powiedzieć, że lepiej spytać go o zgodę, to pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że jej udzieli.

Dziewczynę boleśnie poruszyło żałosne brzmienie tych słów; była to najbardziej wyrachowana, najbardziej dramatyczna mówka, jaką doktor wygłosił w swoim życiu. Uważała za rzecz wspaniałą, że w tych okolicznościach dostała szansę, by okazać szacunek ojcu, a przecież uważała coś jeszcze, co niezwłocznie mu oznajmiła: – Czasem myślę, że jeśli to, co robię, tak bardzo ci się nie podoba, to nie powinnam z tobą mieszkać.

– Mieszkać ze mną?

– Skoro tu mieszkam, to powinnam być ci posłuszna.

– Jeśli ty tak twierdzisz, to ja tym bardziej – zaśmiał się sucho doktor.

– Więc skoro nie jestem ci posłuszna, to nie powinnam z tobą mieszkać... korzystać z twojej dobroci i opieki.

Doktor nagle uświadomił sobie, że nie docenił swojej córki; ten zaskakujący wywód zabrzmiał nader stosownie w ustach młodej kobiety, która ujawniła zdolność do łagodnego sprzeciwu. Ale doktor był także niezadowolony – głęboko niezadowolony, czemu dał wyraz. – Co za niesmaczny pomysł – sarknęła. – Pan Townsend ci go podsunął?

– Och, nie, skądże; to ja sama! – zaprzeczyła skwapliwie Catherine.

– A zatem zachowaj go dla siebie – odparł jej ojciec, bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że powinien zabrać ją do Europy.

Istotnie, Morris Townsend nie został uwzględniony w planach wyjazdu; co więcej, nie wzięto również pod uwagę pani Penniman, która byłaby wdzięczna za zaproszenie, ale (by oddać jej sprawiedliwość) zniosła rozczarowanie z godnością prawdziwej damy. –

Z przyjemnością obejrzałabym dzieła Rafaela i ruiny... ruiny Panteonu – zwierzyła się pani Almond – ale z drugiej strony nie żałuję, że zostanę sama na placu Waszyngtona i przez jakiś czas będę miała spokój. Chcę odpocząć; tyle przeszłam przez ostatnie cztery miesiące. – Pani Almond uznała, że doktor postępuje okrutnie, nie zabierając biednej Lavinii za granicę, niemniej pojęła bez trudu, że skoro chodzi o to, by Catherine zapomniała o adoratorze, brat nie jest zainteresowany dostarczaniem dziewczynie towarzyski w osobie najlepszej przyjaciółki tego pana. „Gdyby Lavinia nie była taka niemądra, mogłaby zwiedzić ruiny Panteonu” – powtarzała sobie, wciąż ubolewając nad głupotą siostry, mimo zapewnień tej ostatniej, że pan Penniman opisał jej wzmiankowane zabytki w sposób nader zadowolający. Pani Penniman natomiast w pełni świadoma, że brat wymyślił zagraniczną podróż wiedziony chęcią zastawienia sideł na wierność Catherine, bez ogródek objawiła to przekonanie bratanicy.

– Sądzi, że dzięki temu zapomnisz o Morrisie – powiedziała (teraz już zawsze mówiła o nim „Morris”) – no wiesz, co z oczu, to z serca. Sądzi, że kiedy zobaczysz te zamorskie wspaniałości, przestanieś zaprzętać sobie nim głowę.

Catherine bardzo się przeraziła. – Jeśli tak sądzi, powinnam go uprzedzić.

Pani Penniman pokręciła głową. – Potem mu powiesz, kochanie! Kiedy już poniesie te wszystkie trudy i koszty! Niech ma, na co zasłużył! – I już łagodniejszym tonem dodała, że to musi być rozkoszne: rozmyślać wśród ruin Panteonu o tych, którzy nas kochają.

Jak wiemy, niezadowolenie ojca napawało dziewczynę ogromnym i bezdennym smutkiem – smutkiem najczystszy, najbardziej wielkoduszy, bez cienia urazy czy niechęci; lecz kiedy ojciec tak lakonicznie i wzgardliwie skwitował jej przeprosiny za to, że jest dlań obciążeniem, po raz pierwszy w jej żalu rozbłysła iskra gniewu. Poczula jego pogardę; zapiekła ją do żywego; wzmianka o niesmaku sprawiła, że trzy dni płonęły jej uszy. Stała się tedy mniej układna; w jej głowie pojawiła się myśl – dość mglista, lecz miła jej poczuciu krzywdy – że teraz uwolniono ją od pokuty i może robić, co się jej podoba. A spodobało jej się napisać do Morrisa Townsenda, by spotkał się z nią na placu i zabrał na spacer po mieście. Skoro z szacunku dla ojca miała jechać do Europy, mogła przynajmniej sprawić sobie tę przyjemność. Czuła się bardziej wolna i śmiała pod każdym względem; popychała ją jakaś siła. Teraz wreszcie, całkowicie i bez zastrzeżeń, zawładnęła nią namiętność.

Morris w końcu się z nią spotkał i poszli na długą przechadzkę. Natychmiast opowiedziała mu, co zaszło – że ojciec chce ją stąd wywieźć. Do Europy, zapewne na pół roku; ona jednak bezwzględnie robi to, co Morris uzna za najwłaściwsze. Miała cichą nadzieję, że Morris uzna za najwłaściwsze, by została w domu. Ten jednak powiedział, co sądzi, dopiero po pewnym czasie; najpierw, podczas spaceru, zadawał jej niezliczone pytania. Jedno zwłaszcza ją zaskoczyło, wydało się takie niedorzeczne.

– Chciałabyś zobaczyć te wszystkie słynne zabytki?

– Och, nie, Morris, skądże! – zawołała Catherine dość niechętnie.

„Wielkie nieba, co za tępa dziewczucha!” – wykrzyknął w duchu Morris.

– On myśli, że ja o tobie zapomnę – rzekła Catherine. – Że przez te wszystkie rzeczy przestanę o tobie myśleć.

– Cóż, kochanie, może przestanieś.

– Proszę, nie mów tak – odparła czule Catherine, idąc obok niego. – Biedny ojciec się rozczaruje.

Morris zaśmiał się: – Tak, zaiste, wierzę, że twój biedny ojciec się rozczaruje! Za to ty zobaczysz Europę – dodał z humorem. – Ależ podstęp!

– Nie zależy mi, by zobaczyć Europę.

– Powinno ci zależeć, moja droga. I może to udobrucha twego ojca.

Catherine, świadoma swego uporu, nie miała wielkich nadziei, nie mogła również opędzić się od myśli, że jadąc za granicę, a jednocześnie trwając w swym zamiarze, płata ojcu figla. – Nie sądzisz, że to będzie coś w rodzaju oszustwa? – zapytała.

– A czy on nie chce cię oszukać? – zakrzyknął Morris. – Dobrze mu tak! Naprawdę myślę, że powinnaś pojechać.

– I odłożyć ślub na tak długo?

– Weźmiemy ślub, kiedy wrócisz. Kupisz sobie suknię ślubną w Paryżu. – Po czym Morris bardzo serdecznym tonem wyjaśnił swój punkt widzenia. Catherine dobrze zrobi, jeżeli pojedzie; racja będzie wówczas całkowicie po ich stronie. Udowodnią, że są rozsądni i gotowi poczekać. Przecież są tak pewni swoich uczuć, że mogą pozwolić sobie na czekanie; czego się mają obawiać? Jeśli istnieje choć cień szansy, że Catherine, jadąc, lepiej ojca usposobi, to rzecz jest rozstrzygnięta; w końcu on, Morris, bardzo by nie chciał stać się sprawcą jej wydziedziczenia. Nie myśli o sobie, myśli o niej i jej dzieciach. Chętnie na nią zaczeka – będzie ciężko, ale da radę. A tam, wśród pięknej scenerii i dostojnych zabytków, być może starszemu panu zmięknie serce; podobno takie rzeczy wpływają uszlachetniająco. Być może wzruszy go łagodność córki, jej cierpliwość, gotowość do każdej ofiary prócz t e j j e d n e j; gdyby więc pewnego dnia odwołała się do jego dobroci w jakimś słynnym miejscu – powiedzmy, we Włoszech, w weneckiej gondoli, przy świetle księżycy – gdyby wykazała odrobinę sprytu, uderzyła we właściwą strunę, być może ojciec wzięłby ją w ramiona i oświadczył, że jej przebacza. Ta koncepcja zrobiła na Catherine ogromne wrażenie; wydawała się wybitnie godna olśniewającego intelektu młodzieńca, choć sama patrzyła na nią dość nieufnie, efekt zależał bowiem od tego, czy będzie zdolna wprowadzić ją w życie. Pomysł, by wykazała się „sprytem” w gondoli przy księżycu, wiązał się w jej mniemaniu z pewnymi posunięciami, nad którymi nie umiałaby zapanować. Ustalili wszakże, iż powie ojcu, że gotowa jest posłusznie wszędzie z nim pojechać, z tym jednak mentalnym zastrzeżeniem, że kocha Morrisa Townsenda bardziej niż kiedykolwiek.

Powiadomiła zatem doktora, że jest gotowa wyruszyć, on zaś niezwłocznie poczynił stosowne przygotowania. Catherine odbyła wiele pożegnalnych rozmów, nas wszakże żywiej obchodzą tylko dwie. Pani Penniman ze znanstwem oceniła wyjazd bratanicy; sądziła, że to nader stosowne, iż przyszła oblubienica pana Townsenda życzy sobie upiększyć umysł w podróży zagranicznej.

– Zostawiasz go w dobrych rękach – oznajmiła, przyciskając wargi do czoła Catherine (miała wielkie upodobanie do całowania ludzi w czoło; był to mimowolny wyraz jej sympatii do narządu intelektu). – Będę się z nim często widywać; poczuję się jak starożytna westalka, strzegąca świętego ognia.

– Cudownie znosisz fakt, że nie jedziesz z nami – powiedziała Catherine, nie

ośmielając się wnikać w powyższą analogię.

– Duma mnie podtrzymuje – odrzekła pani Penniman, klepiąc się po gorsie sukni, który jak zawsze wydał nieco metaliczny dźwięk.

Rozstanie Catherine z adoratorem było krótkie, zamienili niewiele słów.

– Czy będziesz taki sam, kiedy wrócę? – zapytała, choć jej pytanie nie było owocem sceptycyzmu.

– Taki sam... tylko bardziej! – odparł Morris z uśmiechem.

Drobiazgowy opis poczynań doktora Slopera na wschodniej półkuli nie wchodzi w zakres naszych planów. Odbył *grand tour* po Europie, podróżował ze sporym przepychem i (jak się należało spodziewać po człowieku o wysokiej kulturze) znalazł w sztuce i starożytności tak wiele interesujących rzeczy, że pozostał za granicą nie przez sześć miesięcy, lecz dwanaście. Pani Penniman na placu Waszyngtona przyzwyczaiła się do jego nieobecności. Cieszyło ją niekwestionowane panowanie nad opustoszałym domostwem; pochlebiała sobie, że dzięki niej stało się bardziej atrakcyjne dla przyjaciół, niż kiedy bawił tu jej brat. Przynajmniej dla Morrisa Townsenda miejsce to było szczególnie pociągające i często je odwiedzał; pani Penniman z przyjemnością zapraszała go na herbatę. Miał tu swój fotel – niezwykle wygodny – przy kominku w saloniku na tyłach (powstającym przez zamknięcie wielkich mahoniowych rozsuwanych drzwi ze srebrnymi klamkami i zawiasami, oddzielających pomieszczenie od bardziej oficjalnego sąsiada), polubił też palić cygara w gabinecie doktora, gdzie nieraz spędzał godzinkę lub dwie, na oglądaniu kolekcji osobliwości gospodarza. Jak wiemy, uważał panią Penniman za głupią gęś; sam wszakże nie był głupim gąsiorem, a jako młodzieniec gustujący w luksusie, lecz pozbawiony środków, uznał ten dom za idealne siedlisko gnuśności, traktując go jak klub, którego on był jedynym członkiem. Ze swoją siostrą pani Penniman widywała się znacznie rzadziej niż w obecności doktora, pani Almond bowiem w końcu poczuła się zmuszona wyrazić swoją dezaprobatę wobec tak bliskich stosunków z panem Townsendem. Z jakiej racji, pytała, siostra okazuje tyle przyjaźni młodemu człowiekowi, o którym jej brat ma tak niskie mniemanie? Okazała też zdziwienie, że Lavinia tak niefrasobliwie popycha Catherine do tego żalosnego narzeczeństwa.

– Żalosnego? – zakrzyknęła Lavinia. – Będzie z niego uroczy mąż!

– Nie wierzę w uroczych mężów – oświadczyła pani Almond. – Wierzę tylko w mężów dobrych. Jeśli on ją poślubi, a ona dostanie pieniądze Austina, to może im się jakoś ułoży. On będzie małżonkiem leniwym, miłym, samolubnym i niewątpliwie w miarę przyjemnym. Lecz jeśli ona nie odziedziczy tych pieniędzy, on zaś się z nią zwiąże, niech Bóg ma nad nią litość! Bo Townsend litości mieć nie będzie. Znienawidzi ją za swoje rozczarowanie i weźmie odwet, okrutny i bezlitosny. Biada Catherine; o nieszczęsna! Radzę ci porozmawiać z jego siostrą; wielka szkoda, że Catherine nie może jej poślubić!

Pani Penniman nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z panią Montgomery, bo i nie chciało się jej podtrzymywać tej znajomości; natomiast zatrważająca wizja losu, który rzekomo czekał jej bratanicę, wywołała jedynie skutek w postaci żalu, że szkoda, po tysiącokroć szkoda, iż wielkoduszny charakter młodzieńca zostanie zmacony goryczą.

Radość życia była jego naturalnym żywiołem; a jakże miałby się cieszyć, gdyby się okazało, że nie ma z czego? Myśl, że Morris powinien jednak cieszyć się fortuną jej brata, stała się dla pani Penniman *idée fixe* – miała bowiem akurat dość rozumu, by pojąć, iż sama ma do niej niewielkie prawa.

– Jeśli Austin nie zapisze tych pieniędzy Catherine, to z pewnością nie dlatego, by je zostawić mnie.

XXIV

Przez pierwsze pół roku pobytu za granicą doktor w ogóle nie rozmawiał z córką o ich małym nieporozumieniu; częściowo z rozmysłem, częściowo dlatego, że miał do przemyślenia wiele innych spraw. Aby ustalić stan jej uczuć, musiałby zapytać ją o to wprost; jej zachowanie, tak pozbawione wyrazu nawet w swojskim otoczeniu, wśród gór Szwajcarii czy zabytków Włoch tym bardziej nie nabierało życia. Dla ojca była nieodmiennie potulną i rozsądną towarzyszką – oglądała krajobrazy w skupionym milczeniu, nigdy nie narzekała na zmęczenie, zawsze stawiała się o godzinie, którą wyznaczył w przeddzień, unikała głupiej krytyki i wyrafinowanych pochwał. „Jest mniej więcej tak samo inteligentna jak toból z pledami” – mówił doktor; jej przewaga polegała jedynie na tym, że toból z pledami czasem gdzieś się gubił bądź wypadał z powozu, Catherine zaś, mając siedzenie spore i krzepkie, zawsze tkwiła na posterunku. Ojciec jednak tego właśnie się spodziewał, toteż nie czuł przymusu, by kłaść ograniczenia intelektu podróżującej córki na karb depresji uczuciowej; zwłaszcza że całkiem wyzbyła się cech ofiary i przez cały wyjazd ani razu nawet nie westchnęła głośno. Przypuszczał, że koresponduje z Morrisem Townsendem; powstrzymywał się wszakże od uwag na ten temat, gdyż listów młodzieńca nigdy nie widywał, a Catherine swoje przesyłki zawsze polecała wysyłać umyślnemu. Wieści od adoratora dostawała dość regularnie, lecz listy od niego przychodziły z korespondencją pani Penniman – kiedy więc doktor wręczał córce pakiet adresowany ręką siostry, nieświadomie stawał się narzędziem tak przez siebie potępianej namiętności. Catherine zdawała sobie z tego sprawę i pół roku wcześniej czułaby się w obowiązku go uprzedzić; teraz wszakże uważała się za rozgrzeszoną. Na myśl o słowach, jakie usłyszała, gdy zwróciła się doń za podszeptem, jak sądziła, poczucia honoru, nadal ścisnęło się jej serce, próbowała więc spełniać jego życzenia, jak najlepiej umiała, lecz nie zamierzała już nigdy rozmawiać z nim w ten sposób. Listy od ukochanego czytała w tajemnicy.

Pewnego dnia pod koniec lata dwoje naszych podróżników znalazło się w samotnej alpejskiej dolinie. Jechali przez jedną z przełęczy, podjazd się dłużył, wysiedli więc z powozu i poszli pieszo, znacznie go wyprzedzając. Niebawem doktor wypatrzył ścieżkę wiodącą poprzecznym parowem, która, jak słusznie podejrzewał, mogła wyprowadzić ich znacznie wyżej. Ruszyli więc krętą dróżką, ta jednak wkrótce zanikła; parów okazał się dziki i skalisty, a spacer zamienił się niemal we wspinaczkę. Byli z nich wszakże

dobrzy piechurzy i potraktowali tę przygodę ze spokojem. Co jakiś czas przystawali na odpoczynek; Catherine przysiadła wtedy na jakimś kamieniu i spoglądała na skalne urwiska i rozjarzone niebo. Był koniec sierpnia, zapadał wieczór; wskutek dużej wysokości powietrze zrobiło się chłodne i przenikliwe, zbocza doliny w zimnej czerwonej poświacie zachodu wyglądały na coraz ciemniejsze i bardziej niedostępne. Podczas jednego z takich przystanków ojciec opuścił dziewczynę i poszedł trochę wyżej, by się rozejrzeć. Zniknął jej z oczu; siedziała samotnie w nieruchomej ciszy, zmaconej jedynie, gdzieś w oddali, najcichszym poszumem górskiego strumienia. Rozmyślała o Morrisie Townsendzie, który w tym pępym pustym miejscu wydawał się jej niezwykle odległy. Ojca długo nie było, zaczęła się nawet martwić, co się z nim stało. W końcu jednak go dostrzegła; zmierzał ku niej w przejrzystym zmierzchu, podniosła się więc, gotowa do marszu. Jednak ojciec nie zamierzał iść dalej – przeciwnie, podszedł do niej, jakby miał coś do powiedzenia. Staął, wpatrując się w nią oczyma, w których jaśniał jeszcze blask widzianych przed chwilą pałających ośnieżonych szczytów, po czym, raptownie, cichym głosem, zapytał z nagła:

– Wyrzekłaś się go?

Pytanie padło niespodziewanie, lecz Catherine wbrew pozorom była na nie przygotowana.

– Nie, ojcze! – odparła.

Znów spojrział na nią przeciągle, bez słowa.

– Pisuje do ciebie? – zapytał.

– Tak... mniej więcej dwa razy w miesiącu.

Doktor obrzucił spojrzeniem dolinę, wymachując laską; następnie, wciąż cicho, oznajmił:

– Bardzo się gniewam.

Zastanowiło ją, o co mu chodzi – czy chciał ją zastraszyć? Jeśli tak, miejsce wybrał dobrze: w tej skalistej, posępnej dolince, z której odeszło już światło lata, Catherine poczuła się dojmująco samotna. Spojrzała wokół i chłód ściał jej serce; nagle przeszył ją wielki strach. Nie wiedziała jednak, co powiedzieć, więc szepnęła kornie: – Przepraszam.

– Nadużywasz mojej cierpliwości – ciągnął ojciec – powinnaś zatem wiedzieć, jaki jestem. Nie jestem zbyt dobry. Na pozór gładki, w głębi duszy jestem bardzo porywczy; i zapewniam cię, że potrafię być bezwzględny.

Nie mogła odgadnąć, po co mówi jej to wszystko. Czy przywiódł ją tutaj celowo; czy to było częścią planu? I jaki to plan? – pytała siebie Catherine. Chciał ją zmusić, by z przestachu wszystko odwołała – chciał wykorzystać jej obawę? Obawę przed czym? Miejsce było brzydkie i puste, ale miejsce przecież nie mogło jej skrzywdzić. Jej ojciec miał w sobie jakąś cichą moc, która czyniła go niebezpiecznym, ale dziewczynie nie przyszło nawet na myśl, że w ramach jakiegoś planu mógłby zacisnąć dłoń – zręczną, zgrabną, giętką dłoń wziętego lekarza – na jej gardle. Mimo to cofnęła się o krok. – Jestem pewna, że możesz być taki, jaki zechcesz – powiedziała. Po prostu w to wierzyła.

– Bardzo się gniewam – oznajmił ostrzejszym tonem.

– Dlaczego rozgniewałeś się tak nagle?

– Wcale nie nagle. Od pół roku wściekam się w duchu. Uznałem, że to dobre miejsce, by wybuchnąć. Jest tak cicho i jesteśmy tu sami.

– Tak, bardzo tu cicho – rzekła Catherine niepewnie, rozglądając się. – Nie chcesz wracać do powozu?

– Za moment. Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas nie ustąpiłaś ani o cal?

– Zrobiłabym to, ojcze, gdybym mogła; ale nie mogę.

Doktor także się rozejrzał. – Chciałabyś, żeby zostawiono cię w takim miejscu, żebyś zmarła z głodu?

– Jak to? – krzyknęła dziewczyna.

– Taki będzie twój los; on cię tak zostawi.

Nie zdołał jej dotknąć, ale dotknął Morrisa. Znów poczuła żar w sercu. – To nieprawda, ojcze! – zawołała. – Nie powinienesz tak mówić! To niegodne, to nieprawda!

Wolno pokręcił głową. – Tak, to niegodne, bo nie chcesz w to uwierzyć. Ale to j e s t prawda. Wracajmy do powozu.

Zawrócił, a ona ruszyła w ślad za nim; przyśpieszył i niebawem znacznie ją wyprzedził. Nie odwracając się, od czasu do czasu przystawał, by mogła dotrzymać mu kroku; jednak z trudem nadążała, a serce mocno biło jej z podniecenia – oto po raz pierwszy zwróciła się do ojca z oburzeniem. Zaczęło się ściemniać, więc w końcu straciła

go z oczu, nie zboczyła jednak ze szlaku i wkrótce nagły zakręt doliny wyprowadził ją na drogę, gdzie czekał powóz. Ojciec już w nim siedział, sztywny i milczący; Catherine, również w milczeniu, zajęła miejsce obok niego.

Dużo później, patrząc wstecz na tę chwilę, miała wrażenie, że przez wiele dni po tym wydarzeniu nie zamienili ze sobą ani słowa. Scena ta, aczkolwiek osobliwa, nie wpłynęła znacząco na jej uczucia do ojca; w końcu to rzecz naturalna, że od czasu do czasu robił jej jakąś scenę, a przecież przez pół roku dawał jej spokój. Najdziwniejsze wszakże było to, co powiedział: że nie jest dobrym człowiekiem; i Catherine zachodziła w głowę, co właściwie miał na myśli. Jakoś nie mogła uwierzyć w tę deklarację, która nie budziła w niej najmniejszej niechęci. Nawet w przypływie największej goryczy myśli, że ojciec nie jest całkiem doskonały, nie dałaby Catherine żadnej satysfakcji. Takie słowa musiały zatem stanowić część jego wielkiej inteligencji – ludzie tak subtelni mogli mówić cokolwiek i cokolwiek mieć na myśli. Co się zaś tyczy bezwzględności, u mężczyzny z pewnością była to zaleta.

Dał jej spokój na kolejne pół roku – pół roku, w którym to czasie bez sprzeciwu przyjmowała fakt, że podróż się przedłuża. Lecz pod koniec znów przemówił; a było to w hotelu w Liverpoolu, ostatniego wieczoru przed wypłynięciem do Nowego Jorku. Zjedli kolację w wielkim, mrocznym, zatechłym salonie, a gdy uprzątnięto ze stołu, doktor jął przechadzać się tam i z powrotem. Wreszcie Catherine wzięła świecę, aby pójść do swego pokoju, ojciec jednak gestem polecił jej zostać.

– Co zamierzasz zrobić po powrocie do domu? – zapytał, gdy przystanęła z lichtarzem w ręce.

– Masz na myśli... z panem Townsendem?

– Z panem Townsendem.

– Prawdopodobnie się pobierzemy.

Czekała; doktor znów kilkakrotnie okrążył pokój. – Pisuje do ciebie tak często jak dotychczas?

– Tak; dwa razy w miesiącu – odparła Catherine bezzwłocznie.

– I cały czas wspomina o małżeństwie?

– O, tak! To znaczy, wspomina również o innych rzeczach, ale zawsze pisze też coś o tym.

– Miło mi słyszeć, że porusza rozmaite tematy; inaczej jego listy mogłyby być monotonne.

– Pisze piękne listy – rzekła Catherine, którą bardzo ucieszyło, że może to powiedzieć.

– Oni zawsze pięknie piszą. Jednakże w tym konkretnym wypadku to niczego nie zmienia. A więc zaraz po przyjeździe zamierzasz z nim odejść?

Catherine uznała, że to dość grubiańskie, i poczuła się dotknięta w tej resztkę godności, jaka jej jeszcze została. – Nie mogę ci nic powiedzieć, póki nie dopłyniemy na miejsce – oznajmiła.

– To brzmi rozsądnie – odparł ojciec. – Proszę cię tylko o jedno: żebyś mi powiedziała, żebyś mnie wyraźnie uprzedziła. Kiedy biedak ma utracić jedyne dziecko, chce o tym wiedzieć trochę wcześniej.

– Och, ojczy, przecież mnie nie stracisz! – zawołała Catherine, rozlewając wosk

z lichtarza.

– Trzy dni wyprzedzenia mi wystarczą – ciągnął ojciec – kiedy będziesz już miała pewność. Wiesz, on powinien być mi bardzo wdzięczny. Wyświadczyłem mu potężną przysługę, zabierając cię za granicę; twoja wartość wzrosła w dwójnasób, tyle zyskałaś wiedzy i dobrego smaku. Rok temu byłaś może ciut ograniczona, ciut nieokrzesa; ale teraz, kiedy widziałaś już wszystko i doceniłaś wszystko, będziesz nader zajmującą towarzyszką. Utuczylimy mu owieczkę na ofiarę!

Catherine odwróciła się i bez ruchu patrzyła w ciemne drzwi. – Idź do łóżka – rzekł ojciec. – Skoro wypływamy dopiero w południe, możesz pospać dłużej. Zapewne czeka nas bardzo nieprzyjemna podróż.

XXV

Podróż istotnie była nieprzyjemna, a Catherine po przyjeździe do Nowego Jorku nie mogła jej sobie nawet wynagrodzić, „odchodząc”, wedle określenia ojca, z Morrisem Townsendem. Z ukochanym zobaczyła się nazajutrz po przybyciu; tymczasem zaś, co naturalne, stał się on tematem rozmowy naszej bohaterki z ciotką Lavinią, z którą wieczorem po zejściu na ląd zamknęła się na osobności, i długo trwało, nim którakolwiek z dam wreszcie udała się na spoczynek.

– Bardzo często się z nim widywałam – oznajmiła pani Penniman. – Niełatwo go poznać. Wydaje ci się, że go znasz; ale to nieprawda, moja droga. Ty go poznasz pewnego dnia, ale dopiero, gdy z nim zamieszkasz. Ja natomiast mogę stwierdzić, że nieomal z nim mieszkałam – opowiadała pani Penniman osłupiałej Catherine. – I sędzę, że go poznałam; miałam po temu nadzwyczajną sposobność. Ty również dostaniesz taką szansę... co ja mówię, lepszą! – Tu ciotka Lavinia się uśmiechnęła. – Wtedy zobaczysz, o co mi chodzi. To wspaniała natura, pełna energii i pasji, i jakże szczerą!

Catherine słuchała z zaciekawieniem pomieszany z obawą. Ciotka Lavinia była jej głęboko życzliwa, a dziewczyna, przemierzając przez okrągły rok zagraniczne galerie i kościoły, pokonując dylizansem gładkie gościńce, hołubiąc myśli, które nigdy nie przeszłyby jej przez usta, często marzyła o towarzystwie rozumnej osoby własnej płci. Opowiedzieć swoją historię jakiejś dobrej kobiecie – chwilami sądziła, że to przyniosłoby jej ulgę, i nieraz była niemal gotowa zwierzyć się swojej gospodyni lub tej miłej panience od krawcowej. Bywało, że gdyby miała przy sobie kobietę, uraczyłaby ją atakiem płaczu; z obawą myślała o tym, że po powrocie taka właśnie będzie jej reakcja na pierwsze uściski ciotki Lavinii. W rzeczywistości jednak powitanie obu pań na placu Waszyngtona obyło się bez łez, a gdy znalazły się sam na sam, na uczucia dziewczyny spłynęła pewna oschłość. Uświadomiła sobie z całą mocą, że pani Penniman przez okrągły rok cieszyła się towarzystwem jej ukochanego, toteż słuchanie opinii i wyjaśnień ciotki, która rozprawiała, jakby posiadała o nim najgłębszą wiedzę, nie sprawiało jej przyjemności. Nie chodzi o to, że Catherine była zazdrosna; ale znów nawiedziło ją poczucie, przejściowo uśpione, niewinnej perfidii pani Penniman, toteż

cieszyła się, że jest bezpiecznie w domu. Niemniej jednak błogostawieństwem była sama możliwość rozmowy o Morrisie, wymawianie jego imienia, przebywanie z kimś, kto nie osądzał go niesprawiedliwie.

– Byłaś dla niego bardzo dobra – powiedziała Catherine. – Pisał mi o tym. Nigdy ci tego nie zapomnę, ciociu Lavinio.

– Zrobiłam, co mogłam; to bardzo niewiele. Pozwalałam mu przychodzić i mówić do mnie, połam go herbatą, to wszystko. Twoja ciotka Almond twierdziła, że to i tak zbyt wiele, i strasznie mnie łąjała; ale przynajmniej przyrzekła, że mnie nie zdradzi.

– Że cię nie zdradzi?

– Że nic nie powie twojemu ojcu. Pan Townsend przesiadywał w jego gabinecie! – zachichotała pani Penniman.

Catherine zamilkła na moment. Ta myśl sprawiła jej przykrość; znów przypomniała sobie, dość boleśnie, skłonność ciotki do tajemnic. Morris – wypada powiadomić czytelnika – miał dość taktu, by nie pisać Catherine, że bywa w pokojach jej ojca. Znał ją zaledwie kilka miesięcy, ciotka zaś – piętnaście lat; a jednak on nie popełniłby tego błędu i nie uznałby, że Catherine przyjmie rzecz za dobry żart. – Przykro mi, że kazałaś mu wchodzić do pokoju ojca – powiedziała w końcu.

– Nic mu nie kazałam; sam wchodził. Lubił oglądać książki i te przedmioty w szklanych gablotach. Wszystko o nich wie; on wie wszystko o wszystkim.

Catherine znów zamilkła, po czym westchnęła: – Chciałabym, żeby znalazł jakieś zajęcie!

– Ależ znalazł zajęcie! To cudowna nowina; prosił, by ci ją powtórzyć zaraz po przyjeździe. Wszedł w spółkę z agentem handlowym. Wszystko zostało ustalone całkiem nagle tydzień temu.

Catherine nowina istotnie wydała się cudowna; była w niej zapowiedź pomyślności. – Och, tak się cieszę! – zawołała i przez chwilę miała ochotę rzucić się ciotce na szyję.

– To znacznie lepiej niż komuś podlegać; on do tego nie przywykł – ciągnęła pani Penniman. – Tu jest tak samo ważny jak jego wspólnik, są sobie całkowicie równi! Sama widzisz, miał rację, że zaczekał. Chciałabym wiedzieć, co teraz powie twój ojciec! Mają kantor na ulicy Duane i drukowane wizytówki; przyniósł, żeby mi pokazać. Mam jedną w swoim pokoju, obejrzysz jutro rano. Tak właśnie powiedział, kiedy był tu ostatnim razem: „Widzi pani, miałem rację, że zaczekałem!”. Teraz, zamiast być podwładnym, sam ma podwładnych. On nie może być od nikogo zależny; wciąż mu powtarzałam, że nie wyobrażam go sobie w tej roli.

Catherine zgodziła się z tym zdaniem, ucieszona, że Morris jest sam sobie panem; jednak nie mogła czerpać satysfakcji z myśli, że triumfalnie zakomunikuje tę wieść ojcu. Czy Morris zaczął robić interesy, czy został skazany na dożywotnie zesłanie – ojcu było to równie obojętne. Tymczasem przyniesiono jej kufry, więc na razie zaniechała dalszej rozmowy o ukochanym i zaczęła otwierać bagaże, pokazując ciotce trofea z podróży. Były one zbyt liczne i liczne, gdyż Catherine miała podarunek dla każdego – to znaczy z wyjątkiem Morrisa, któremu przywiozła po prostu swoje niezmiennie uczucie. Dla pani Penniman okazała się nadzwyczaj szczodra, i ciotka Lavinia spędziła pół godziny na rozwijaniu i zawijaniu prezentów, wydając ciche okrzyki podziwu i wdzięczności. Przez

dłuższą chwilę paradowała po pokoju w przepysznym kaszmirowym szalu – Catherine ubłagała ją, by zechciała go przyjąć – układając go sobie na ramionach i wykręcając szyję, by spojrzeć, dokąd sięga z tyłu jego skraj.

– Potraktuję go wyłącznie jako pożyczkę – rzekła. – Zostawię ci go, kiedy będę umierać – dodała, raz po raz całując bratanicę. – A raczej, zostawię go twojej pierworodnej córeczce! – Stała owinięta w szal z uśmiechem na ustach.

– Lepiej poczekać, aż się urodzi – zauważyła cierpko Catherine.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki o tym mówisz! – rzuciła ciotka. – Catherine, czy ty się zmieniłaś?

– Nie; jestem taka sama.

– Ani na jotę?

– Jestem dokładnie taka sama – powtórzyła Catherine, która wolałaby, żeby ciotka mniej się nią zajmowała.

– No to się ciesz! – I pani Penniman znów ją podziwiała swój kaszmir w lustrze. – Jak się ma twój ojciec? – zapytała po chwili, spoglądając na bratanicę. – Twoje listy były takie skąpe... Niczego nie mogłam się domyślić!

– Ojciec ma się bardzo dobrze.

– Ach, przecież wiesz, o co mi chodzi – rzekła pani Penniman z godnością, której kaszmir przydawał jeszcze mocy. – Wciąż jest taki nieprzejednany?

– O, tak!

– Nic się nie zmieniło?

– Jest jeszcze bardziej stanowczy, jeśli to w ogóle możliwe.

Pani Penniman zdjęła swój wielki szal i zaczęła powoli go składać. – To bardzo niedobrze. Twój mały plan się nie powiódł?

– Jaki mały plan?

– Morris wszystko mi opowiedział. O pomyśle, żeby w Europie odwrócić sytuację; żeby mu się przyglądać, a kiedy będzie pod wrażeniem jakiegoś słynnego widoku – wiesz, jak udaje wrażliwego na sztukę – ubłagać go, żeby dał się przekonać.

– Nawet nie próbowałam. To był pomysł Morrisa; ale gdyby był z nami w Europie, sam by zrozumiał, że na ojcu niepodobna w ten sposób zrobić wrażenia. On naprawdę jest wrażliwy na sztukę, ogromnie wrażliwy; ale im słynniejsze odwiedzaliśmy miejsca, im bardziej je podziwiał, tym mniej pożytku miałabym ze swych błagań. Jakby pod ich wpływem robił się jeszcze bardziej uparty... jeszcze straszniejszy – mówiła biedna Catherine. – Nigdy go nie przekonam i niczego się już nie spodziewam.

– Cóż – zasepiła się pani Penniman – muszę powiedzieć, iż nigdy nie przypuszczałam, że dasz za wygraną.

– Dałam za wygraną. Wszystko mi jedno.

– Zrobiłaś się bardzo odważna – zaśmiała się pani Penniman. – Ja ci nie doradzałam, żebyś wyrzekła się majątku.

– Tak, jestem odważniejsza niż kiedyś. Pytałaś, czy się zmieniłam; owszem, zmieniłam się pod tym względem. Och – ciągnęła dziewczyna – zmieniłam się bardzo. Poza tym, to nie jest mój majątek. Jeśli j e m u na tym nie zależy, to czemu miałoby zależeć mnie?

Pani Penniman zawahała się. – Może mu jednak zależy.

– Zależy mu ze względu na mnie, bo nie chce mnie skrzywdzić. Ale dowie się... już wie... jak dalece nie musi się tego obawiać. Poza tym – rzekła Catherine – mam mnóstwo własnych pieniędzy. Będziemy żyli dostatnio; a teraz jeszcze ma własny interes! Jestem tym zachwycona.

Rozprawiała z coraz większym ożywieniem. Ciotka nigdy nie widziała jej w takim nastroju; przyjrząwszy się, przypisała tę zmianę zamorskiej podróży, dzięki której dziewczyna stała się dojrzalsza i bardziej zdecydowana. Stwierdziła, że również wygląd Catherine uległ poprawie – wyglądała wręcz ładnie. „Ciekawe – pomyślała pani Penniman – czy Morris Townsend też zwróci na to uwagę?” Pogrzyżyła się w tych rozważaniach, gdy nagle Catherine wybuchnęła z pewną surowością: – Ciociu Penniman, dlaczego sama sobie przeczysz? Raz mówisz jedno, drugi raz co innego. Rok temu, przed moim wyjazdem, radziłaś mi nie przejmować się niezadowolaniem ojca; teraz proponujesz całkiem odmienne podejście. Bez przerwy zmieniasz zdanie.

Pani Penniman nie spodziewała się ataku – nie przywykła oglądać, w żadnej dyskusji, jak wojna przenosi się na jej własny teren, być może dlatego, że przeciwnik na ogół wątpił, czy zdoła się tam utrzymać. O ile wiedziała, kwitnące łany jej rozumu rzadko padały pastwą wrogich sił. Może więc dlatego, gdy stanęła w ich obronie, zrobiła to z większym dostojeństwem niż zręcznością.

– Nie wiem, co masz mi do zarzucenia, chyba tylko to, że za bardzo interesuję się twoim szczęściem. Po raz pierwszy ktoś mi zarzuca, że jestem kapryśna. Nie jest to wada, o którą zwykle się mnie oskarża.

– W zeszłym roku gniewałaś się, że nie chcę natychmiast wyjść za mąż, teraz mówisz, żebym najpierw przekonała ojca. Mówiłaś, że dobrze mu tak, jeśli na próżno zabierze mnie do Europy. No więc zabrał mnie na próżno i powinnaś być zadowolona. Nic się nie zmieniło; nic oprócz moich uczuć do ojca. Już znacznie mniej się nim przejmuję. Byłam tak dobra, jak umiałam, ale jemu jest wszystko jedno. Mnie też już jest wszystko jedno. Nie wiem, czy stałam się niedobra; może i tak. Ale już mi nie zależy. Wiem tylko tyle: przyjechałam do domu wziąć ślub. To powinno cię ucieszyć, chyba że wpadłaś na jakiś nowy pomysł; jesteś taka dziwna. Rób, co chcesz; ale nie mów mi więcej o prześlągnięciu ojca. Nigdy więcej nie będę go o nic błagać; to skończone. Odepchnął mnie. Przyjechałam do domu wziąć ślub.

Podobnie stanowczej przemowy pani Penniman nie słyszała dotąd z ust bratanicy, toteż była odpowiednio zdumiona. W samej rzeczy, nawet trochę oniemiała, gdyż zawziętość i żarliwość uczuć dziewczyny nie zostawiły jej wiele miejsca na odpowiedź. Łatwo wpadała w przestרח, a zmieszanie zawsze tuszowała, idąc na ustępstwo – ustępstwo, któremu tak jak teraz towarzyszył nerwowy śmieszek.

Jeżeli zepsuła nastrój bratanicy – a od tej chwili zaczęła mówić o nastrojach Catherine, zjawisku, o którym dotychczas nie wspomniano w związku z naszą bohaterką – to następnego dnia Catherine miała szansę odzyskać spokój. Pani Penniman przekazała jej wiadomość od Morrisa Townsenda, który zapowiadał, że przyjdzie ją powitać po przyjeździe. Pojawił się po południu; jednak tym razem, jak łatwo sobie wyobrazić, nie udostępniono mu gabinetu doktora Slopera. Od roku przychodził i wychodził z taką bez troską i nonszalancją, że teraz, gdy usłyszał, iż odtąd jego horyzont będzie wyznaczał frontowy salon, udzielne królestwo Catherine, to poczuł się poniekąd skrzywdzony.

– Bardzo się cieszę, że wróciłaś – oznajmił. – Cieszę się, że znowu cię widzę. – I z uśmiechem obejrzał ją od stóp do głów; chociaż, co wyszło na jaw później, najwyraźniej nie podzielił zdania pani Penniman (która, kobiecym zwyczajem, bardziej wnikała w szczegóły), że Catherine uległa upiększeniu.

Catherine wydał się olśniewający; dopiero po pewnym czasie zdołała ponownie uwierzyć, że ten śliczny młodzieniec jest jej wyłączną własnością. Nastąpiła długa rozmowa – cicha wymiana pytań i zapewnień, typowa dla zakochanych. Morris odznaczał się w tych sprawach nadzwyczajnym polotem, który przydawał malowniczości nawet relacji z jego debiutu jako agenta handlowego, o co jego towarzyszka gruntownie go wypytała. Od czasu do czasu wstawał z kanapy, na której siedzieli, i krążył po pokoju, po czym wracał uśmiechnięty, mierzwiąc dłonią włosy. Był niespokojny – rzecz naturalna u młodzieńca, który właśnie połączył się z dawno niewidzianą narzeczoną, Catherine pomyślała sobie nawet, że nigdy nie widziała go tak podnieconego, i ten fakt z jakiegoś powodu sprawił jej przyjemność. Wypytywał ją o podróż, lecz nie na wszystko potrafiła odpowiedzieć, zapomniała bowiem, jak nazywały się poszczególne miejscowości i jaką trasę wędrówki wybrał ojciec. Ale na razie była tak szczęśliwa – wiara, że jej kłopoty się skończyły, tak podniosła ją na duchu, że zapomniała, iż powinna się wstydzić swych skąpych odpowiedzi. Wydawało jej się, że teraz mogłaby wyjść za niego bez skrupułów i bez drżenia, czując wyłącznie dreszcz radości. Uprzedziła go również, choć nie pytał o to, że ojciec wrócił nastawiony dokładnie tak samo jak przedtem i nie ustąpił ani o cal.

– Nie możemy już tego oczekiwać – powiedziała – musimy poradzić sobie bez tego.

Morris przyglądał się jej z uśmiechem. – Moja biedna dziewczynka! – wykrzyknął.

– Proszę, nie lituj się nade mną – rzekła Catherine. – Już wszystko mi jedno; przyzwyczaiłam się.

Morris wciąż się uśmiechał. Nagle wstał i znów zaczął krążyć po pokoju. – Pozwól, że ja spróbuję, dobrze?

– Chcesz go przekonać? To tylko pogorszy sprawę – odparła stanowczo Catherine.

– Mówisz tak, bo poprzednio źle się spisałem. Ale teraz załatwię to inaczej. Zmądrzałem; miałem rok na przemyślenia; mam więcej taktu.

– I o tym właśnie myślałeś przez cały rok?

– Przez większość czasu. Widzisz, ta sprawa mnie dręczy. Nie lubię przegrywać.

– Jak to przegrywać, skoro się pobierzemy?

– Oczywiście, nie przegrałem w zasadniczej sprawie; ale w pozostałych tak, nie sądzisz? Chodzi o moją reputację, stosunki z twoim ojcem, związki z naszymi dziećmi,

jeśli będziemy je mieli.

– Wystarczy nam na dzieci... wystarczy nam na wszystko. Przecież spodziewasz się powodzenia w interesach?

– Powiodą się doskonale i z pewnością będziemy żyć dostatnio. Ale nie mówię wyłącznie o komforcie materialnym, lecz także moralnym – rzekł Morris – o satysfakcji intelektualnej!

– Komfort moralny mam już teraz – oznajmiła Catherine z prostotą.

– Oczywiście, że tak. Ale ze mną jest inaczej. Przekonanie twego ojca, że się myli, to dla mnie sprawa honoru; a teraz, gdy stanąłem na czele kwitnącej firmy, mogę pertraktować z nim jak równy z równym. Mam świetny plan! Pozwól mi spróbować!

Stał przed nią z jasną twarzą, z buńczuczną miną, z rękami w kieszeniach; wstała więc i spojrzała mu w oczy. – Nie, Morris, proszę cię, nie – szepnęła, a w jej głosie zabrzmiała łagodna, smutna nuta stanowczości, którą słyszał po raz pierwszy. – Nie wolno nam prosić go o żadne względy, o nic więcej. On się nie ugnie i nic dobrego z tego nie wyniknie. Jestem pewna; mam po temu powody.

– A cóż to za powody, jeśli łaska?

Zawahała się, czy to powiedzieć, lecz w końcu oznajmiła: – On nie bardzo mnie lubi.

– A niech to licho! – wykrzyknął gniewnie Morris.

– Nie mówiłabym o tym, gdybym nie była pewna. Dostrzegłam to i zrozumiałam w Anglii, tuż przed wypłynięciem. Rozmawiał ze mną pewnego wieczoru – ostatniego wieczoru – i wtedy to pojęłam. Takie rzeczy się wyczuwa. Nie oskarżałabym go, gdyby nie dał mi tego do zrozumienia. Nie mam do niego żalu; po prostu ci mówię, że tak jest. On nie jest w stanie nic na to poradzić; nie mamy władzy nad swoimi uczuciami. Czy ja mam władzę nad moimi? Czy nie mógłby mnie zapytać o to samo? To dlatego, że tak kochał moją matkę, którą utraciłam dawno temu. Była piękna i bardzo, bardzo mądra; on wciąż o niej myśli. Ja zupełnie jej nie przypominam, tak mówi ciotka Penniman. Oczywiście, to nie moja wina; ale i nie jego. Chcę tylko powiedzieć, że taka jest prawda; i to z tego powodu on nigdy nie ustąpi, a nie dlatego, że zwyczajnie mu się nie podobasz.

– Zwyczajnie? – zaśmiał się gorzko Morris. – Piękne dzięki!

– Nie dbam już o to, że on cię nie lubi; w ogóle już mniej dbam o wszystko. Czuję się odmieniona; czuję się oddzielona od ojca.

– Słowo daję – zawołał Morris – dziwaczna z was rodzinka!

– Nie mów tak; nie mów nic przykrego! – zawołała dziewczyna błagalnie. – Musisz być teraz dla mnie bardzo dobry, Morris, bo... bo... – zawahała się – bo zrobiłam dla ciebie bardzo wiele.

– Och, kochanie, wiem o tym!

Do tej chwili nie przejawiała wzburzenia ani większego uczucia – mówiła miękko, rzeczowo, próbując jedynie wyjaśniać. Jednak bezskutecznie tłumiała emocje, które w końcu zdradził jej drżący głos: – To duża rzecz, rozdzielić się z ojcem, którego się przedtem uwielbiało. Jestem przez to bardzo nieszczęśliwa; albo raczej byłabym, gdybym nie kochała ciebie. Można poznać, kiedy mówi do nas ktoś, kto jakby... jakby...

– Jakby co?

– Jakby nami gardził! – wybuchnęła z pasją Catherine. – Tak do mnie mówił tamtego wieczoru przed wyjazdem. Nie było tego wiele, ale wystarczy; myślałam o tym przez całą drogę powrotną. I podjęłam decyzję. Nigdy więcej o nic go nie poproszę ani niczego nie będę się spodziewać. Teraz to byłoby nienaturalne. Będziemy razem bardzo szczęśliwi; by się nie wydawało, że liczymy na to, iż nam wybaczy! I Morris, Morris, nigdy mną nie pogardzaj!

Taką obietnicę łatwo złożyć, co Morris uczynił ze świetnym skutkiem. Ale na razie nie podjął żadnych bardziej uciążliwych kroków.

XXVII

Rzecz jasna, doktor po powrocie miał siostrom wiele do powiedzenia. Nie zadał sobie szczególnego trudu, by opowiedzieć pani Penniman o swoich podróżach lub podzielić się z nią wrażeniami z dalekich krajów; zadowolił się wręczeniem jej *memento* swych pozazdroszczenia godnych przygód w postaci aksamitnej sukni. Jednak przez dłuższy czas rozmawiał z nią o sprawach bliższych domu, niezwłocznie powiadamiając ją przy tej okazji, że jako ojciec pozostał nieugięty.

– Nie wątpię, że często widywałeś się z panem Townsendem – powiedział – i robiłaś, co mogłaś, aby go pocieszyć pod nieobecność Catherine. Nie pytam o to, więc nie musisz zaprzeczać. Za nic w świecie nie zadałbym ci takiego pytania; miałbym cię narażać na niewygodną konieczność, hmm... koncyptowania odpowiedzi? Nikt cię nie wydał, żaden szpieg nie doniósł o twoich postępkach. Elizabeth nie rozgłaszała żadnych plotek; w ogóle o tobie nie wspominała, chyba żeby pochwalić twój doskonały wygląd i samopoczucie. To jest mój własny wniosek – indukcja, jak mawiali filozofowie greccy. Wydawało mi się prawdopodobne, że udzielisz schronienia zajmującemu cierpiętnikowi. Pan Townsend sporo u nas bywał; coś w naszym domu mówi mi o tym. Wiesz, my, lekarze, często pod koniec zyskujemy pewną subtelność zmysłową, a moje *sensorium* odnosi wrażenie, że on siadywał w tym fotelu w wielce swobodnej pozie oraz grzał się przy tamtym kominku. Nie żałuję mu komfortu; to jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek będzie się cieszył na mój koszt. W istocie, niewykluczone, że będę w stanie coś na nim zaoszczędzić. Nie wiem, co mu mówiłaś ani co mu jeszcze powiesz; ale chciałbym, żebyś wiedziała, że jeśli umacniałaś go w przekonaniu, iż przez upór cokolwiek zyska lub że ja choćby o włos ustąpię z pozycji, którą zajmowałem rok temu, to wycięłaś mu sztuczkę, za którą mógłby zażądać odszkodowania. Oczywiście zrobiłaś to w dobrej wierze; przekonałaś sama siebie, że dam się zmęczyć. To najbardziej bezpodstawne przywidzenie, jakie kiedykolwiek zrodziło się w mózgu dobrotliwej optymistki. Nie jestem w najmniejszym stopniu zmęczony; jestem tak rześki jak na początku; wytrzymam jeszcze pięćdziesiąt lat. Catherine najwyraźniej też nie ustąpiła ani o cal; jest równie rześka; więc znajdujemy się mniej więcej w punkcie wyjścia. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Chciałem po prostu cię uprzedzić o stanie mojego umysłu. Weź to sobie do serca, droga Lavinio! Strzeż się słusznego gniewu zawiedzionego łowcy

posagów!

– Nie powiem, że się tego spodziewałam – rzekła pani Penniman. – Miałam nawet głupią nadzieję, że wyzbyłeś się tego paskudnego ironicznego tonu, jakim rozprawiasz o najświętszych sprawach.

– Nie doceniasz ironii, a ta bywa użyteczna. Jednakże nie zawsze jest konieczna i pokażę ci, jak zgrabnie mogę odłożyć ją na bok. Chciałbym wiedzieć, czy sądzisz, że Morris Townsend będzie się upierał.

– Odpłacę ci pięknym za nadobne – odcięła się pani Penniman. – Poczekaj, a zobaczysz!

– Nazywasz tę formułkę piękną? Nigdy nie powiedziałem czegoś tak prostackiego.

– A zatem będzie się upierał tak długo, że poczujesz się nieswojo.

– Droga Lavinio! – zakrzyknął doktor. – I ty to nazywasz ironią? Toż to walka na pięści!

Mimo pięściarskich zapędów pani Penniman jednak nieźle się wystraszyła i posłuchała rady, jakiej udzielił jej strach. Tymczasem jej brat, mimo wielu zastrzeżeń, postanowił udać się po radę do pani Almond, wobec której okazał się nie mniej hojny, ale znacznie bardziej rozmowny.

– Pewnie przez cały czas u niej siedział – sarknął. – Muszę sprawdzić, jak się mają moje wina! Bez obawy, możesz już o tym mówić; na ten temat powiedziałem jej wszystko, co miałem do powiedzenia.

– Wydaje mi się, że często u was bywał – odrzekła pani Almond. – Ale musisz przyznać, że dla Lavinii fakt, iż została sama, był wielką odmianą; to naturalne, że pragnęła jakiegoś towarzystwa.

– Przyznaję i dlatego nie zrobię awantury o wino; uznam je za wynagrodzenie dla Lavinii. Gotowa oświadczyć, że sama wszystko wypija! Pomyśl, jakie to niewyobrażalnie niesmaczne, że w takich okolicznościach ten człowiek panoszył się w moim domu – że w ogóle tam przychodził! Jeśli to go nie opisuje, to on w ogóle jest nie do opisanania.

– Jego plan to brać, co się da. Lavinia utrzymywała go przez rok – powiedziała pani Almond. – Czysty zysk.

– Będzie więc musiała go utrzymywać do końca życia! – zawołał doktor. – Ale bez wina, jak mówią przy *tables d'hôte*.

– Catherine mówi, że założył interes i zarabia mnóstwo pieniędzy.

Doktor spojrział na nią zdumiony. – Nie wspomniała mi o tym, a Lavinia nie raczyła. Ach! – wykrzyknął. – Catherine machnęła na mnie ręką. Chociaż to nie ma znaczenia, zważywszy na to, ile wart jest ten cały interes.

– Nie machnęła ręką na pana Townsenda. Dostrzegłam to w pół minuty. Wróciła dokładnie taka sama jak przedtem.

– Dokładnie taka sama; ani krzty rozumu więcej. Przez całą podróż nic a nic nie widziała – ani obrazu, ani widoku, ani posągu, ani katedry.

– Jakże miała widzieć? Była zajęta czym innym; i nie przestaje o tym myśleć ani przez chwilę. Bardzo mnie wzrusza.

– Ja też bym się wzruszał, gdyby mnie nie drażniła. Tak właśnie teraz na mnie działa.

Próbowałem z nią wszystkiego: doprawdy, byłem całkiem bezlitosny. Ale bez najmniejszego skutku; jest całkowicie p r z y k l e j o n a . Skutek jest taki, że przeszedłem do stadium zniecierpliwienia. Z początku czułem spore rozbawienie i ciekawość; chciałem zobaczyć, czy naprawdę wytrzyma. Ale, dobry Boże, moja ciekawość została zaspokojona! Widzę, na co ją stać, więc teraz może się od niego odcepi.

– Nigdy się nie odcepi.

– Uważaj, bo teraz ty mnie rozdrażnisz! Jeśli się nie odcepi, zostanie odepchnięta, porzucona w przydrożnym kurzu. Ładne miejsce dla mojej córki! Nie widzi, że lepiej skoczyć niż dać się odepchnąć. A potem będzie narzekać na sińce.

– Nigdy nie będzie narzekać – rzekła pani Almond.

– Tego tym bardziej nie zniosę. Niech to licho, nie mogę niczemu zapobiec!

– Jeśli musi upaść – zaśmiała się łagodnie pani Almond – to musimy rozesłać jak najwięcej dywanów. – I wcieliła ten pomysł w życie, okazując dziewczynie mnóstwo macierzyńskiej troski.

Pani Penniman natychmiast napisała do Morrisa Townsenda. Zażyłość między tą dwójką osiągnęła już całkowitą pełnię, muszę się jednak zadowolić opisaniem zaledwie kilku jej aspektów. Ze strony pani Penniman był to osobliwy sentyment, który łatwo zrozumieć opacznie, jednak nie przynosił on biednej damie żadnej ujmy. Istotnie, pielęgnowała romantyczne zainteresowanie przystojnym i nieszczęśliwym młodzieńcem, a przecież nie było to zainteresowanie, o które Catherine mogłaby być zazdrosna. Pani Penniman nie zazdrościła Catherine ani trochę. Czuła się poniekąd jak matka lub siostra Morrisa – bardzo uczuciowa matka lub siostra – ogarnięta pragnieniem, by umilić i ułatwić mu życie. Do tego dążyła przez ten rok, gdy brat zostawił jej wolną rękę, i jej wysiłki zostały zwieńczone wspomnianym już wyżej sukcesem. Nie miała własnych dzieci, a Catherine, której w miarę możliwości poświęcała tyle uwagi, ile z natury rzeczy należałoby się potomkowi Pennimanów, tylko częściowo wynagradzała jej zapał. Catherine jako przedmiot serdeczności i troski nie miała owego malowniczego wdzięku, który (tak się ciotce wydawało) byłby przyrodzoną cechą jej własnej progenitury. W wydaniu pani Penniman nawet miłość macierzyńska musiała być romantyczna i afektowana, a Catherine nie została stworzona, aby budzić romantyczne namiętności. Ciotka jak zawsze darzyła ją serdecznością, ale zaczęła mieć wrażenie, że przy Catherine trudno się wykazać. A zatem, mówiąc sentymentalnie, zaadoptowała Morrisa Townsenda (nie wydziedziczając wszakże bratanicy), który dostarczył jej po temu aż nadto możliwości. Byłaby szczęśliwa, mając przystojnego syna tyrana i mogąc brać najżywszy udział w jego romansach, w takim więc świetle zaczęła postrzegać Morrisa, który najpierw ją zjednał, a następnie oczarował delikatną, wyrachowaną układnością – spektaklem, na jaki pani Penniman była szczególnie wrażliwa. Później w dużej mierze układność ograniczył, oszczędzał bowiem swe naturalne zasoby, lecz wrażenie pozostało; i nawet brutalność młodzieńca nabrała poniekąd synowskiego waloru. Gdyby pani Penniman miała syna, zapewne by się go bała, a na tym etapie naszej opowieści niewątpliwie bała się Morrisa; był to jeden ze skutków jego zadomowienia się przy placu Waszyngtona. Lekceważył ją – nawiasem mówiąc,

zapewne tak samo lekceważyłyby własną matkę.

List zawierał słowa ostrzeżenia; pani Penniman powiadamiała, że doktor wrócił do domu bardziej nieprzystępny niż kiedykolwiek. Powinna była się domyślić, że Catherine dostarczy Morrisowi wszelkich niezbędnych informacji w tej kwestii, ale wiemy, iż domysły pani Penniman rzadko bywały trafne; ponadto zaś uznała, że nie może polegać na tym, co robi Catherine i, całkiem niezależnie, musi spełnić swój obowiązek. Lecz, jak już wspomniałem, jej młody przyjaciel ją lekceważył, czego dowodem niech będzie fakt, że nie odpowiedział na list. Owszem, wziął go sumiennie pod uwagę; ale potem przypalił nim cygaro i czekał z błogim przeświadczeniem, że niebawem dostanie następny. „Stan jego umysłu doprawdy mrozi mi krew w żyłach” – pisała pani Penniman o swoim bracie; i wydawałoby się, że nie zdoła już udoskonalić tej wypowiedzi. Niemniej napisała znowu, używając innej figury retorycznej: „Jego nienawiść do Pana płonie krwawym blaskiem; płomień ten, który nigdy nie zgaśnie – donosiła – nie rozświetli mroków Twej przyszłości. Gdyby to od mojej życzliwości zależało, wszystkie lata Twego życia byłyby skąpane w wiecznym świetle słońca. Od C. nic nie mogę wydobyć; jest okropnie skryta, podobnie jak jej ojciec. Najwyraźniej spodziewa się wkrótce wyjść za mąż, gdyż dokonała w Europie pewnych przygotowań – liczne stroje, dziesięć par butów itp. Drogi przyjacielu, wszak nie może Pan zacząć życia małżeńskiego, wyposażony zaledwie w kilka par butów, prawda? Proszę, niech Pan da znać, co Pan o tym myśli. Nie mogę się doczekać, by się z Panem zobaczyć, mam Panu tyle do powiedzenia. Strasznie za Panem tęsknię; dom bez Ciebie jest taki pusty. Jakie wieści z miasta? Czy interes się rozwija? Kochany interesik – i jaki Pan dzielny! Może wpadłabym do pańskiego biura bodaj na trzy minutki? Udawałabym klienta – czy tak ich nazywacie? Przyszłabym coś kupić, jakieś udziały lub coś na kolei. C o P a n p o w i e n a t e n p l a n ? Wzięłabym maleńką torebeczkę jak kobieta z gminu”.

Mimo pomysłu z torebeczką Morris najwyraźniej kiepsko ocenił plan pani Penniman, gdyż nie udzielił jej najmniejszej zachęty do odwiedzin w biurze, które zdążył już przedstawić jako miejsce osobliwie, wręcz niespotykane trudne do znalezienia. Ponieważ jednak nalegała na konwersację – do samego końca, po miesiącach pogwarek od serca, nazywała te spotkania „konwersacjami” – zgodził się na wspólny spacer i był nawet łaskaw wyjść w tym celu z biura w godzinach, gdy rzekomo w interesie panował największy ruch. Nie zdziwił się też wcale – gdy się spotkali na rogu ulicy w dystrykcie pustych placów i szczątkowych bruków (pani Penniman, w miarę możliwości, ubrała się jak „kobieta z gminu”) – że mimo swej niecierpliwości ona chce mu przekazać głównie wyrazy sympatii i współczucia. Takich zapewnień zebrał już pokaźną kolekcję i nie opłacałoby mu się rzucać zyskownego zajęcia, aby tysięczny raz usłyszeć od pani Penniman, że broni jego spraw jak swoich własnych. Ale tym razem Morris sam miał coś do powiedzenia. Niełatwo było mu się na to zdobyć, sporo nad tym rozmyślał i przez

tę trudność zrobił się zjadliwy.

– O tak, wiem doskonale, że doktor jest niczym sopel lodu i rozżarzony węgiel naraz – zauważył. – Catherine gruntownie mi to wyjaśniła, a pani mówi o tym do znudzenia. Nie musi mi pani tego powtarzać; jestem całkowicie usatysfakcjonowany. On nie da nam nigdy ani centa; sądzę, że to matematycznie dowiedzione.

W tym momencie pani Penniman doznała natchnienia.

– Nie mógłby pan podać go do sądu? – Dziwiła się, że tak proste rozwiązanie dotąd nie przyszło jej do głowy.

– Podam do sądu p a n i ą – sarknął Morris – jeśli będzie pani zadawać tak nieznośne pytania. Mężczyzna powinien wiedzieć, kiedy przegrał – dodał po chwili. – Muszę się jej wyrzec!

Pani Penniman w milczeniu przyjęła jego oświadczenie, choć serce zabiło jej mocniej. Właściwie jej to nie zaskoczyło; przyzwyczała się już do myśli, że gdyby Morris istotnie nie mógł dostać pieniędzy jej brata, ślub z Catherine nie byłby stosowny. „Nie byłby stosowny” to sformułowanie dość niejasne; lecz wrodzona życzliwość pani Penniman dopełniła tej myśli, która, choć niewyrażona dotąd tak brutalnie, jak właśnie ujął ją Morris, po tylekroć unosiła się między nimi w niewymuszonych przerwach rozmów, kiedy siadywał rozparty w miękkich fotelach doktora, że najpierw podeszła do niej – jak sobie pochlebiała – filozoficznie, potem zaś nawet z tajoną czułością. To, że tała swą czułość, dowodziło, rzecz jasna, iż się jej wstydziła; ale jakoś przymykała oczy na ten wstyd, napominając się, że w końcu jest oficjalną strażniczką małżeństwa bratanicy. Była to logika, którą doktor z pewnością by odrzucił. Z jednej strony, Morris m u s i ą dostać pieniądze, ona zaś zamierzała mu w tym pomóc. Z drugiej strony, stało się jasne, że nigdy ich nie otrzyma, a wielka szkoda, gdyby ożenił się bez pieniędzy – taki kawaler z łatwością mógł znaleźć sobie coś lepszego. Kiedy więc jej brat po powrocie z Europy wygłosił przytoczoną tu ciętą mowę, sytuacja Morrisa zaczęła wyglądać tak beznadziejnie, że pani Penniman skupiła się wyłącznie na drugiej połowie swego rozumowania. Gdyby Morris był jej synem, z pewnością złożyłaby Catherine w ofierze jego świetlanej przyszłości; gotowość, by tak postąpić w obecnej sytuacji, świadczyła zatem o jeszcze wyższym stopniu oddania. Niemniej gdy, by tak rzec, nagle poczuła w dłoni nóż ofiarny, trochę zaparło jej dech.

Morris przez chwilę szedł bez słowa, po czym powtórzył szorstko:

– Muszę się jej wyrzec!

– Chyba pana rozumiem – powiedziała miękko pani Penniman.

– Chyba wyrażam się dostatecznie jasno... dostatecznie brutalnie i wulgarnie.

Było mu wstyd i ten wstyd go uwierał; a ponieważ nadzwyczaj nie znosił niewygody, stał się bezwzględny i okrutny. Pragnął się nad kimś poznać, zaczął więc ostrożnie – zawsze był bowiem ostrożny – od siebie.

– Nie mogłaby pani trochę ostudzić jej zapędów?

– Ostudzić zapędów?

– Przygotować... spróbować mi ułatwić.

Pani Penniman przystanęła, patrząc na niego z powagą.

– Biedny Morrisie, czy pan wie, jak ona pana kocha?

– Nie, nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Zawsze próbowałem się nie dowiadywać. To byłoby zbyt bolesne.

– Będzie bardzo cierpiała – rzekła pani Penniman.

– Musi ją pani pocieszyć. Jeśli jest pani dla mnie przyjaciółką tak dobrą, jak pani udaje, to pani sobie poradzi.

Pani Penniman smutno pokręciła głową.

– „Udaję” przyjaźń, powiada pan; ale nie potrafię udawać, że pana nienawidzę. Mogę tylko powiedzieć Catherine, że wysoko sobie pana cenię; a jakże to ją pocieszy, kiedy pana utraci?

– Doktor pani pomoże. Będzie zachwycony naszym zerwaniem, a że to człowiek uczony, wymyśli coś, żeby ją podnieść na duchu.

– Wymyśli jakąś nową torturę! – krzyknęła pani Penniman. – Niech ją Bóg broni od ojcowskich pocieszeń! Będzie jej stał nad głową i piał: „A nie mówiłem!”.

Morris oblał się kłopotliwym rumieńcem.

– Jeśli będzie ją pani pocieszać tak słabo jak mnie, to faktycznie żaden z pani pożytek! To piekielnie przykra konieczność; ogromnie ją przeżywam i powinna mi to pani ułatwić!

– Do końca życia będę pana przyjaciółką! – oświadczyła pani Penniman.

– Niech pani będzie moją przyjaciółką teraz! – I Morris ruszył dalej.

Pobiegła za nim; niemal drżała.

– Chce pan, żebym jej powiedziała?

– Niech jej pani nie mówi; niech pani... niech pani... – Tu urwał, zastanawiając się, co też mogłaby uczynić pani Penniman. – Niech jej pani wyjaśni, dlaczego to konieczne. Nie mogę zdobyć się na to, żeby wkroczyć między nią i jej ojca... dać mu pretekst, z którego tak skwapliwie korzysta (to odrażające), by pozbawić ją tego, co jej się należy.

Pani Penniman bezzwłocznie pojęła cały urok tego sformułowania.

– To do pana podobne – pochwaliła. – Jaka delikatność uczuć!

Morris gniewnie machnął laską.

– Och, diabła tam! – zakrzyknął na przekór.

Pani Penniman wszakże nie dała się zniechęcić.

– Może skończy się to lepiej, niż pan sądzi. Catherine w końcu jest bardzo dziwna. – Tu uznała, że chyba może go zapewnić, iż cokolwiek się zdarzy, dziewczyna zachowa się spokojnie, nie będzie robić hałasu. W miarę jak spacer się przedłużał, pani Penniman podejmowała się również innych rzeczy, aż w końcu brzemię okazało się dość spore; Morris bowiem, co zrozumiałe, gotów był wszystko przerzucić na jej barki. Jednakże jej niezdarna skwapliwość ani przez chwilę go nie zwiodła; wiedział, że jest w stanie załatwić tylko niewielką część tego, co przyrzekała, a im goręcej wyrażała chęć, by mu służyć, za tym większą miał ją idiotkę.

– Co pan zrobi, jeśli pan jej nie poślubi? – odważyła się wreszcie zapytać.

– Coś genialnego! – zawołał Morris. – Nie chciałyby pani, abym zrobił coś genialnego?

Myśl ta sprawiła pani Penniman niezwykłą przyjemność.

– Poczuję się żałośnie nabrana, jeśli będzie inaczej.

– Muszę coś zrobić, żeby załagodzić tę sprawę; bo ona ani trochę nie jest genialna, wie pani.

Pani Penniman zadumała się odrobinę, jakby szukając pretekstu, by zaprzeczyć; jednak wkrótce musiała się poddać, a pragnąc zatuszować niezręczność porażki, poważyła się na nowe pytanie.

– Myśli pan... myśli pan o małżeństwie z kim innym?

Morris powitał to pytanie refleksją, której zuchwałości w niczym nie umniejszał fakt, że nikt jej nie słyszał: „Doprawdy, kobiety są bardziej prostackie od mężczyzn!”. Głośno jednak oznajmił:

– Za nic w świecie!

Pani Penniman, która poczuła się zawiedziona i ofuknięta, ulżyła sobie trochę, wydając lekki, nieco sarkastyczny okrzyk. Ależ ten człowiek był przewrotny!

– Wyrzekam się jej nie dla innej kobiety, lecz dla szerszej sprawy! – oświadczył Morris.

To brzmiało bardzo szlachetnie; niemniej pani Penniman, która poczuła, że zanadto się odsłoniła, wciąż była trochę urażona.

– Czy to znaczy, że już nigdy pan jej nie odwiedzi? – zapytała dość ostro.

– Och, nie, przyjdę jeszcze; ale w jakim celu to przedłużać? Odkąd wróciła, byłem cztery razy, a to strasznie uciążliwa robota. Nie mogę tego ciągnąć w nieskończoność; nie powinna tego oczekiwać, wie pani. Kobieta nie może trzymać mężczyzny w zawieszeniu! – dodał subtelnie.

– Ach, ależ pan musi przyjść, żeby się z nią ostatecznie rozstać! – zachęciła go towarzyszka, w której wyobraźni idea ostatecznych rozstań ustępowała dostojeństwem jedynie idei pierwszych spotkań.

XXIX

Przyszedł znowu, ale do ostatecznego rozstania nie doszło; przyszedł jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, nie odniósł jednak wrażeń, że pani Penniman zrobiła wiele, by usłać mu różami drogę odwrotu. Wszystko to, jak orzekł, było diabelnie uciążliwe, toteż zapalał żywą niechęcią do ciotki Lavinii, która, jak nabrał zwyczaju powtarzać sobie w duchu, wciągnęła go w to bagno, więc ze zwykłego współczucia powinna go teraz zeń wyciągnąć. Pani Penniman w zaciszu swego pokoju – a dodam, że również w wymownej atmosferze pokoju Catherine, który w owe dni przybrał wygląd buduaru panny szykującej wyprawę ślubną – wzięła miarę swoich zobowiązań i przeraziła się ich ogromem. Zadanie przygotowania Catherine i ostrożnego wywikłania Morrisa nastęrczało trudności, które jakby rosły w miarę realizacji, a nawet kazały porywczej ciotce zadać sobie pytanie, czy aby zmiana pierwotnego planu kawalera poczęta została w najszcześniejszej chwili. Świetna przyszłość, lepsza kariera, sumienie wolne od wyrzutu, że się stało między młodą damą a jej przyrodzonym prawem – wszystkie te

wspaniałości mogły być okupione zbyt drogo. Od samej Catherine pani Penniman nie otrzymała żadnej pomocy; biedaczka nie miała najmniejszych podejrzeń, co jej grozi. Spoglądała na ukochanego wzrokiem pełnym niezmaconej ufności i choć mniej wierzyła ciotce niżli młodzieńcowi, z którym wymieniła tyle czułych zaklęć, nie dawała jej sposobności do żadnych wyjaśnień czy wyznań. Pani Penniman kręciła i kluczyła, oświadczyła, że Catherine jest bardzo głupia, wielką scenę, jak by ją nazwała, odkładała z dnia na dzień i zmieszana błąkała się po domu, aż do przesytu naładowana przeprosinami, których nie potrafiła z siebie wydobyć. Sceny, w których Morris grał akurat teraz, były dość niewielkie, lecz nawet one przekraczały jego możliwości. Skracał wizyty, jak umiał, a kiedy już siedział z narzeczoną, miał okropnie mało do powiedzenia. Prostacko rzecz ujmując, ona czekała, by on wyznaczył dzień; a skoro nie mógł postawić sprawy jasno, pozorowanie rozmowy o sprawach bardziej abstrakcyjnych zakrawało na kpinę. Catherine była wolna od póż i podstępów; nie kryła, czego się spodziewa. Czekala na jego skinienie i zamierzała czekać cierpliwie i skromnie; dziwne, że ociągał się w tej najwznioślejszej chwili, ale z pewnością miał po temu doskonałe racje. Catherine byłaby żoną według łagodnych, staroświeckich wzorów – przedstawienie owych racji uznałaby za dar i czystą korzyść, ale równie mało się go spodziewała, co bukietu kamelii na co dzień. Jednakże w okresie narzeczeństwa młoda dama o najskromniejszych nawet wymaganiach bardziej niż kiedy indziej liczy na bukiety; w powietrzu zaś do tego stopnia brakowało wonności, że w końcu wzbudziło to niepokój dziewczyny.

– Czy jesteś chory? – zapytała. – Wydajesz się niespokojny i jesteś taki blady.

– Nie najlepiej się czuję – odparł Morris, który wpadł na pomysł, że gdyby tylko zdołał wzbudzić jej litość, mógłby jakoś się wykręcić.

– Boję się, że jesteś przepracowany; nie powinieneś tyle pracować.

– Ale muszę. – Po czym dodał z wyrachowaną brutalnością: – Nie chcę wszystkiego zawdzięczać tobie!

– Ach, jak możesz tak mówić!

– Jestem zbyt dumny.

– Tak, jesteś zbyt dumny!

– Cóż, musisz mnie brać takiego, jakim jestem – ciągnął młody człowiek. – Nigdy nie zdołasz mnie zmienić.

– Nie chcę cię zmieniać – powiedziała miękko. – I wezmę cię takiego, jakim jesteś! – Stała i patrzyła na niego.

– Wiesz, że ludzie okropnie gadają, kiedy człowiek żeni się z bogatą panną – zauważył Morris. – To strasznie niemile.

– Ależ ja nie jestem bogata! – zaprotestowała Catherine.

– Dostatecznie bogata, by o mnie gadano!

– Oczywiście, że mówią o tobie. To zaszczyt!

– Zaszczyt, bez którego z łatwością bym się obył.

Już chciała go zapytać, czy przykrości tej nie wyrównuje fakt, że biedaczka, która pechowo go na nią naraziła, tak bardzo go kocha i szczerze weń wierzy; lecz zawahała się, myśląc, że może się wydać natarczywa, on zaś wykorzystał tę zwłokę i raptownie

wyszedł.

Następnym razem wszakże wróciła do tematu i znów mu zarzuciła, że jest zbyt dumny. Powtórzył, że nie może się zmienić, ona zaś pod wpływem odruchu odparła, że przy odrobinie wysiłku umiałaby tego dokonać.

Czasem zdawało mu się, że byłoby łatwiej, gdyby tylko zdołał wszcząć z nią kłótnię; pytanie jednak, jak pokłócić się z panną, która ma taką skarbnicę ustępstw? W końcu więc ograniczył się do okrzyku: – Pewnie sądzisz, że cały wysiłek jest po twojej stronie? Ja też muszę podejmować wysiłki, nie uważasz?

– Teraz wszystko w twoich rękach – powiedziała. – Mój wysiłek skończył się raz na zawsze!

– Cóż, mój nie.

– Musimy razem dźwigać ten ciężar. Tak powinno być.

Morris postarał się o naturalny uśmiech. – Pewnych rzeczy nie możemy dźwigać razem... na przykład rozstania.

– Dlaczego mówisz o rozstaniu?

– Ach! Nie podoba ci się to! Wiedziałem, że ci się nie spodoba!

– Morris, dokąd ty jedziesz? – zapytała nagle Catherine.

Na chwilę zatrzymał na niej wzrok i przez fragment tej chwili poczuła lęk. – Obiecujesz, że nie zrobisz sceny?

– Sceny? Czy ja robię sceny?

– Wszystkie kobiety je robią! – oświadczył Morris tonem człowieka doświadczonego.

– Ja nie. Dokąd jedziesz?

– Uznałabyś to za dziwne, gdybym powiedział, że wyjeżdżam w interesach?

Zastanowiła się, patrząc na niego. – Tak... nie. Nie, jeśli weźmiesz mnie ze sobą.

– Zabrać cię ze sobą... w interesach?

– Jaki to interes? Twój interes to być tutaj, ze mną.

– Przy tobie nie zarabiam na życie – rzucił Morris. – A raczej – krzyknął w nagłym olśnieniu – tak właśnie robię; przynajmniej ludzie tak sądzą!

Zapewne miało to być wspaniałe posunięcie, ale chybiło. – Dokąd jedziesz? – zapytała po prostu Catherine.

– Do Nowego Orleanu. W sprawie zakupu bawełny.

– Jestem w pełni gotowa pojechać do Nowego Orleanu.

– Sądzisz, że zabrałbym cię do tego siedliska żółtej febry? – zakrzyknął Morris. –

Uważasz, że narażałbym cię o takiej porze?

– A po co ty jedziesz, skoro panuje tam żółta febra? Morris, nie wolno ci jechać!

– Po to, by zarobić sześć tysięcy dolarów – odrzekł Morris. – Żałujesz mi tej satysfakcji?

– Nie potrzebujemy sześciu tysięcy dolarów. Za dużo myślisz o pieniądzach!

– Ciebie stać na to, żeby tak powiedzieć! To wielka szansa; wiadomość przyszła wczoraj wieczorem. – I wyjaśnił jej, na czym polega owa szansa; rozwlekł, raz po raz zagłębiając się w szczegóły, opowiedział o niezwyklej transakcji, którą zaplanowali razem ze współnikiem.

Jednak wyobraźnia Catherine, z przyczyn znanych tylko jej samej, za nic nie chciała

się rozpalić. – Skoro ty możesz jechać do Nowego Orleanu, ja również mogę – orzekła. – Dlaczego miałabym zarazić się żółtą febrą, a ty nie? Jestem równie odporna i wcale nie boję się febry. W Europie bywaliśmy w bardzo niezdrowych miejscach i ojciec kazał mi brać pigułki. Nigdy się niczym nie zaraziłam i nigdy o to nie dbałam. Co nam przyjdzie z sześciu tysięcy, jeśli umrzesz na febrę? Kiedy ludzie mają się pobrać, nie powinni tyle myśleć o interesach! Nie powinieneś myśleć o bawelnie, powinieneś myśleć o mnie. Do Nowego Orleanu możesz pojechać kiedy indziej, bawelny zawsze będzie pod dostatkiem. To nie jest dobry moment; i tak czekaliśmy zbyt długo. – Mówiła z większą mocą i swadą niż kiedykolwiek przedtem, trzymając go oburącz za ramię.

– Powiedziałaś, że nie zrobisz sceny! – zawołał Morris. – Ja nazywam to sceną!

– To ty robisz scenę! Nigdy przedtem o nic cię nie prosiłam. Ale i tak już za długo czekamy. – Było dla niej pewną pociechą, że dotąd prosiła o tak niewiele; wydawało jej się, że dzięki temu ma prawo teraz bardziej nalegać.

Morris trochę się zreflektował. – A więc dobrze; nie będziemy więcej o tym mówić. Załatwię tę sprawę listownie. – I jął gładzić kapelusz, jakby zbierając się do odejścia.

– Nie wyjedziesz? – Uniosła ku niemu oczy.

Wciąż nie mógł zrezygnować z zamiaru wywołania kłótni; to był stanowczo najprostszy sposób! Spojrzał w jej uniesioną twarz z najposepniejszą miną, na jaką było go stać. – Jesteś nietaktowna. Nic na mnie nie wymuszaj!

Lecz ona jak zwykle ustąpiła od razu. – Nie, nie jestem taktowna; wiem, że bywam natarczywa. Ale to chyba naturalne? To tylko na chwilę.

– W jednej chwili można wyrządzić wiele złego. Spróbuj być spokojniejsza, kiedy znów tu przyjdę.

– A kiedy przyjdiesz?

– Chcesz mi stawiać warunki? – zapytał Morris. – Przyjdę w sobotę.

– Przyjdź jutro – poprosiła Catherine. – Chcę, żebyś przyszedł jutro. Będę spokojna – dodała; lecz jej pobudzenie wzrosło do tego stopnia, że ta obietnica nie wypadła dobrze. Ogarnął ją nagły lęk; miała wrażenie, że tuzin odcieleśnionych wątpliwości nagle zlał się w jeden konkret, a wyobraźnia jednym susem pokonała ogromny dystans. W tej chwili całym swym jestestwem skupiła się na zatrzymaniu Morrisa w pokoju.

Młodzieniec schylił się i pocałował ją w czoło. – Kiedy jesteś spokojna, jesteś doskonała – rzekł – ale gwałtowność ci nie przystoi.

Catherine pragnęła nie przejawiać żadnej gwałtowności, może wyjąwszy bicie serca, na które nic nie mogła poradzić; toteż jak najłagodniej zapytała: – Obiecujesz przyjść jutro?

– Powiedziałem, w sobotę! – odrzekł z uśmiechem Morris. Na przemian to się uśmiechał, to marszczył czoło; odchodził od zmysłów.

– Tak, w sobotę również – odparła, także usiłując się uśmiechnąć. – Ale najpierw jutro. – Ruszył ku wyjściu, więc pośpiesznie podążyła za nim i zagroziła drzwi ramieniem. Miała wrażenie, że robi wszystko, by go zatrzymać.

– Jeżeli jutro coś stanie mi na przeszkodzie, powiesz, że cię oszukałem! – zachnął się młodzieniec.

– Co ci może przeszkodzić? Przyjdiesz, jeżeli zechcesz.

– Jestem człowiekiem zajęтым, nie żadnym pieczeniarem! – zawołał srogo Morris.

Jego głos zabrzmiał tak twardo i nienaturalnie, że spojrzała na niego bezradnie i odwróciła się, on zaś szybko chwycił za klamkę. Zdawało mu się, że ostatecznie od niej ucieka. Lecz po chwili znów była przy nim i tyleż miękko, co przenikliwie wyszeptwała: – Morris, ty chcesz mnie opuścić.

– Tak, na jakiś czas.

– Na jak długo?

– Aż nabierzesz rozumu.

– Nigdy nie nabiorę takiego rozumu! – Znów spróbowała go powstrzymać; niemal się szarpali. – Pomyśl, co zrobiłam! – wybuchnęła. – Morris, wyrzekłam się wszystkiego!

– I wszystko odzyskasz!

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś nie miał czegoś na myśli. Co to takiego? Co się stało? Co ja zrobiłam? Co cię odmieniło?

– Napiszę do ciebie; tak będzie lepiej – wymamrotał Morris.

– Ach, ty nie wrócisz! – krzyknęła, zalewając się łzami.

– Catherine, moja droga, nie myśl tak! Obiecuję, że mnie znów zobaczysz! – Z tymi słowy jakoś się wyrwał i zatrzasnął za sobą drzwi.

XXX

Był to bodaj ostatni wybuch jej biernego żalu; przynajmniej nikt już nigdy nie widział, by pozwoliła sobie na kolejny. Ten wszakże był długi i straszliwy; rzuciła się na kanapę i całkowicie pogrzyła w bólu. Nie bardzo rozumiała, co się stało; na pozór tylko posprzeczała się z ukochanym jak wiele dziewcząt przed nią, co przecież w ogóle nie było zerwaniem, a nawet nie należało dopatrywać się takiej groźby. Niemniej czuła się zraniona, chociaż nie on był sprawcą; zdawało jej się, że nagle maska opadła mu z twarzy. Chciał od niej uciec, był zły i okrutny; dziwne rzeczy mówił, dziwnie na nią patrzył. Przytłoczona i ośmieszona, zatopiła twarz w poduszkach; łkała i mówiła do siebie. W końcu jednak usiadła w obawie, że zjawi się ojciec lub pani Penniman, i długo trwała nieruchomo, wpatrzona w ciemniejący pokój. Perswadowała sobie, że on zaraz wróci, by jej powiedzieć, iż nie mówił serio; nasłuchiwała dzwonka u drzwi, pragnąc uwierzyć, że to jest możliwe. Jednak czas mijał, a Morris się nie zjawiał; cienie gęstniały; wieczór przyćmił skromną elegancję jasnych i czystych barw salonu; kominek zgasł. Gdy ściemniło się zupełnie, Catherine podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz; tkwiła tak przez pół godziny, licząc, że może on wejdzie po schodach. W końcu cofnęła się, dostrzegła bowiem, że nadchodzi ojciec. Zauważył ją w oknie, przystanął na chwilę u stóp białych schodów i poważnie, z przesadnym ugrzecznieniem uchylił kapelusza. Ten gest tak dalece nie licował z jej sytuacją, ten uroczysty przejaw szacunku dla wzgardzonej, porzuconej dziewczyny był tak niedorzeczny, że przeszył ją dreszcz zgrozy i pośpiesznie oddaliła się do swego pokoju. Miała wrażenie, że wyrzekła się Morrisa na zawsze.

Pół godziny później jednak musiała się pokazać, chociaż sił przy stole dodawało jej tylko bezbrzeżne pragnienie, by ojciec nie domyślił się, że cokolwiek zaszło. Później okazało się ono dla niej bardzo pomocne, zresztą służyło jej (choć nie w takim stopniu, jak sądziła) od samego początku. Tym razem doktor Sloper był bardzo rozmowny. Sypał niezliczonymi historyjkami o cudownym pudełku widzianym w domu pewnej starszej pani, którą odwiedzał zawodowo; Catherine nie dość, że usiłowała ich słuchać, to nawet próbowała się nimi zainteresować, aby tylko nie myśleć o scenie z Morrisem. Może wszystko sobie uroiła; on się pomylił, ona była zazdrosna; ludzie nie zmieniają się tak z dnia na dzień. Następnie jednak przypomniała sobie, że już wcześniej miała wątpliwości – dziwne podejrzenia, niejasne i dojmujące zarazem – i że odkąd wróciła z Europy, Morris wydawał się jakiś inny; po czym znów próbowała słuchać ojca, który był znakomitym gawędziarzem. Zaraz potem poszła do swojego pokoju – spędzenie wieczoru w towarzystwie ciotki było ponad jej siły – i do późnej nocy w samotności zadawała sobie pytania. Miała straszliwe zmartwienie; ale czy był to wytwór wyobraźni, zrodzony z wybujałej wrażliwości, czy też przejaw jednoznacznej rzeczywistości – a więc czy stała się ta rzecz najgorsza z możliwych?

Pani Penniman z tyleż niezwykłym, co chwalebny taktem postanowiła zostawić ją w spokoju. Prawdę rzekłszy, wiedzona coraz silniejszym podejrzeniem, uległa naturalnemu u bojaźliwych osób pragnieniu, aby ograniczyć zasięg wybuchu, i póki powietrze wibrowało, wolała trzymać się z daleka. W trakcie wieczoru po wielokroć przechodziła tam i z powrotem pod drzwiami Catherine, jakby oczekiwała, że usłyszy za nimi żałosny jęk. Ale w pokoju panowała głucha cisza, więc tuż przed udaniem się na spoczynek poprosiła, by ją wpuszczono. Catherine jeszcze się nie położyła; siedziała, udając, że czyta książkę. Nie chciało jej się iść do łóżka, gdyż nie spodziewała się, że zaśnie. Miała tak siedzieć pół nocy również po wyjściu pani Penniman; nie namawiała jej, by została dłużej. Ciotka po cichu wśliznęła się do pokoju i z wielkim namaszczeniem przemówiła:

- Obawiam się, moja droga, że masz jakiś kłopot. Czy mogę ci w czymś pomóc?
- Nie mam żadnych kłopotów i nie potrzebuję pomocy – odparła Catherine, kłamiąc jak najęta i tym samym dowodząc, że nie tylko wady, lecz także niezawinione nieszczęścia mogą nas zdemoralizować.
- Nic ci nie jest?
- Absolutnie nic.
- Jesteś pewna, kochanie?
- Całkiem pewna.
- I naprawdę nie mogę nic dla ciebie zrobić?
- Nic, ciociu, tylko bądź tak dobra i zostaw mnie samą – rzekła Catherine.

Tak jak przedtem pani Penniman obawiała się przyjęcia zbyt gorącego, tak teraz poczuła zawód, że było zbyt chłodne; toteż relacjonując później historię zerwanych zaręczyn bratanicy – którą opowiadała wielu ludziom w najrozmaitszych wersjach – zazwyczaj starannie podkreślała, że owa młoda dama kiedyś „wygoniła” ją z pokoju. Było rzeczą typową dla pani Penniman, że fakt ten przytaczała nie ze złości wobec Catherine, lecz po prostu z wrodzonej skłonności do ubarwiania każdego tematu, jaki

poruszała.

Catherine, jak wspomniałem, nie kładła się przez pół nocy, jakby wciąż oczekując, że Morris Townsend zadzwoni do drzwi. Rankiem oczekiwanie to wyglądało na mniej nierozsądne, nie zostało jednak zaspokojone, gdyż młody człowiek nie pojawił się ponownie. Również nie napisał – ani słowa wyjaśnienia czy otuchy. Na szczęście dla Catherine ratunkiem w tym niepokoju, który stał się bardzo dotkliwy, okazała się jej determinacja, by ojciec niczego nie zauważył. Jak dalece zdołała go zwieść, jeszcze się okaże; jej niewinne sztuczki wszakże na niewiele się zdały w przypadku osoby o tak rzadkiej przenikliwości jak pani Penniman. Dama ta bez trudu dostrzegła wzburzenie dziewczyny, a nie była to osoba, która widząc narastające wzburzenie, łatwo wyrzekłaby się w nim udziału. Pod wieczór wróciła zatem do swej podopiecznej i zażądała, by ta jej zawierzyła – aby zrzuciła ciężar z serca. Być może, powiedziała, zdoła wyjaśnić pewne rzeczy, które teraz wydają się niejasne i o których ona, ciotka Penniman, wie więcej, niż Catherine przypuszcza. Lecz Catherine, wczoraj wieczorem oziębła, dzisiaj była wprost wyniosła.

– Całkowicie się mylisz; nie mam najmniejszego pojęcia, o co ci chodzi. Nie wiem, co usiłujesz mi wmówić; nigdy w życiu niczyje wyjaśnienia nie były mi mniej potrzebne.

W ten sposób dziewczyna szukała wybawienia i z godziny na godzinę trzymała ciotkę na coraz większy dystans. A ciekawość ciotki z godziny na godzinę rosła. Dałaby się pokroić, by się dowiedzieć, co zrobił i co powiedział Morris, jaki przybrał ton, jaki pretekst znalazł. Rzecz jasna, napisała do niego i poprosiła o rozmowę; ale, rzecz jasna, na swoją petycję nie otrzymała odpowiedzi. Morris nie miał nastroju do pisania; Catherine wysłała mu już dwa krótkie liściki, które nie doczekały się odzewu. Przesyłki te były tak krótkie, że mogę przytoczyć je w całości. Pierwszy brzmiał: „Czy nie dasz mi żadnego znaku, że we wtorek nie zamierzałeś być tak okrutny?“, drugi zaś był nieco dłuższy: „Jeśli we wtorek byłam nierozsądna lub podejrzliwa, jeśli w jakikolwiek sposób sprawiłam Ci przykrość lub kłopot, błagam o wybaczenie i obiecuję, że już nigdy nie będę taka niemądra. Zostałam już dostatecznie ukarana i nic nie pojmuję. Morris, Ty mnie zabijasz!“. Listy zostały wysłane w piątek i w sobotę, lecz sobota i niedziela minęły, nie przynosząc biedaczce upragnionej ulgi. Wzbierało w niej coraz większe cierpienie, jednak wciąż znosiła je ze sporą dozą powierzchownego hartu ducha.

W sobotę rano doktor, który przyglądał się jej w milczeniu, zwrócił się do swej siostry Lavinii:

- Rzecz się dokonała; łotr się wycofał!
- Nigdy! – krzyknęła pani Penniman; wymyśliła, co ma powiedzieć Catherine, lecz przeciwko bratu nie przygotowała żadnej linii obrony, toteż sięgnęła po jedyną broń, jaką miała pod ręką: pełne oburzenia zaprzeczenie.
- A więc poprosił o zwłokę, jeśli to ci się bardziej podoba!
- Najwyraźniej bardzo się cieszysz, że ktoś igra z uczuciami twojej córki!
- A i owszem – rzekł doktor – bo to przepowiedziałem! To wielka przyjemność mieć rację.
- Od twoich przyjemności dreszcz mnie przenika! – zawołała jego siostra.

Catherine kurczowo trzymała się zwykłych zajęć, w niedzielę rano poszła nawet

z ciotką do kościoła. Zazwyczaj chodziła też na popołudniowe nabożeństwo, lecz tym razem nie starczyło jej odwagi i poprosiła panią Penniman, aby poszła sama.

– Jestem pewna, że masz jakąś tajemnicę – rzekła pani Penniman znacząco, spoglądając na nią z ponurą miną.

– Jeśli tak, to zachowam ją dla siebie! – odcięła się Catherine, odwracając się na pięcie.

Pani Penniman wyruszyła do kościoła, w drodze jednak zatrzymała się i zawróciła. Po niespełna dwudziestu minutach dotarła do domu, zajrzała do pustych salonów, po czym weszła na górę i zapukała do drzwi Catherine. Nikt nie odpowiadał; Catherine nie było w pokoju, a pani Penniman wkrótce stwierdziła, że nie ma jej również w budynku. – Pobiegła do niego, uciekła! – zakrzyknęła Lavinia, składając dłonie z podziwu i zazdrości. Szybko jednak spostrzegła, że Catherine nic ze sobą nie wzięła – osobiste rzeczy w jej pokoju leżały nietknięte – pośpiesznie więc doszła do wniosku, że dziewczyną kierowała nie czułość, lecz pretensja. „Poszła pod jego drzwi, wtargnęła do jego mieszkania!” – w takich słowach pani Penniman przedstawiała sobie eskapadę bratanicy; eskapadę, która widziana w tym świetle zaspokajała jej głód malowniczości tylko trochę mniej aniżeli myśl o potajemnym ślubie. Odwiedzić ukochanego we łzach, czynić mu wyrzuty w jego własnym domu – ten obraz był tak miły wyobraźni pani Penniman, że brak stosownej burzy z piorunami odebrała nieledwie jako estetyczne rozczarowanie. Ciche niedzielne popołudnie nie wydawało się stosownym tłem dla tej sceny; w samej rzeczy, pani Penniman wręcz czuła rozdźwięk z czasem, który włókł się niemiłosiernie, podczas gdy ona, ubrana w kapelusz i kaszmirowy szal, siedziała w salonie od frontu, czekając na powrót Catherine.

Doczekała się wreszcie. Ujrzawszy przez okno, że dziewczyna wchodzi na schody, zaczęła się na nią w holu, i ledwie Catherine przestąpiła próg, rzuciła się na nią i zaciągnęła do salonu, uroczyście zamykając za sobą drzwi. Catherine była zaróżowiona, oczy jej błyszczały. Pani Penniman nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Wolno zapytać, gdzie byłeś? – zapytała stanowczo.

– Byłam na spacerze – odparła Catherine. – Myślałam, że poszłeś do kościoła.

– Byłam w kościele, ale nabożeństwo trwało krócej niż zwykle. A dokąd chodziłeś, jeśli łaska?

– Nie wiem! – powiedziała Catherine.

– Twoja niewiedza jest wprost nadzwyczajna! Droga Catherine, mnie możesz zaufać.

– W czym mogę ci zaufać?

– Możesz mi powierzyć swoją tajemnicę; swoje zmartwienie.

– Nie mam żadnych zmartwień! – oświadczyła Catherine zawzięcie.

– Moje biedne dziecko – nalegała pani Penniman – mnie nie oszukasz. Wiem wszystko. Poproszono mnie, bym... bym z tobą porozmawiała.

– Nie chcę rozmawiać!

– To ci ulży. Nie znasz słów Szekspira: „Niema żałość umęczone serce tak długo drąży!”¹⁰? Moja droga, tak jest lepiej.

– Jak jest lepiej? – zapytała Catherine.

Doprawdy, co za przekora! Młoda dama, którą właśnie rzucił ukochany, może sobie pozwolić na pewną przekorę; ale jednak nie na tyle, by wprawić jego popleczników w zakłopotanie! – Lepiej być rozsądną – rzekła pani Penniman z niejaką surowością. – Lepiej posłuchać głosu światowej roztropności i wziąć pod uwagę względy praktyczne. Lepiej zgodzić się na... na rozłąkę.

Catherine, która do tej pory zachowywała lodowaty spokój, słysząc to słowo, zapłonęła gniewem. – Rozłąkę? Co ci wiadomo o naszej rozłące?

Pani Penniman pokręciła głową ze smutkiem, w którym był niemal cień urazy. – Twoja duma jest moją dumą, twoją wrażliwość uważam za swoją. Świetnie rozumiem twój punkt widzenia, ale – tu uśmiechnęła się znacząco i melancholijnie – widzę także sytuację jako całość!

Catherine wszakże nie zwróciła uwagi na jej wymowne miny, tylko z furią powtórzyła pytanie: – Dlaczego mówisz o rozłące; co o tym wiesz?

– Musimy się uczyć, jak się godzić – oświadczyła pani Penniman z wahaniem, ośmielając się jednak moralizować.

– Godzić się? Na co?

– Na zmianę... zmianę planów.

– Moje plany się nie zmieniły! – zaśmiała się Catherine.

– Ach, ale plany pana Townsenda i owszem – odrzekła łagodnie pani Penniman.

– Co masz na myśli?

Catherine zadała to pytanie tonem władczym i obcesowym, przeciwko czemu pani Penniman poczuła się zmuszona zaprotestować; koniec końców robiła bratanicy przysługę, podejmując się przekazać jej informację. Próbowwała chytryści, próbowała srogości, wszystko na nic; upór dziewczyny był zaskakujący. – Ach, cóż – wycedziła – skoro ci nie powiedział!... – I odwróciła się.

Catherine przez chwilę śledziła ją w milczeniu, zaraz jednak podbiegła i zatrzymała ją przy drzwiach. – Czego mi nie powiedział? Do czego zmierzasz? Co sugerujesz i czym grozisz?

– Nie doszło do zerwania? – zapytała pani Penniman.

– Moich zaręczyn? W żadnym razie!

– W takim razie proszę o wybaczenie. Przemówiłam przedwcześnie.

– Przedwcześnie? Wcześniej czy później – wyrwało się Catherine – mówisz głupio i okrutnie!

– A zatem, co zaszło między wami? – zapytała ciotka wstrząśnięta szczerością okrzyku. – Bo coś z pewnością zaszło.

– Nic nie zaszło, tylko kocham go coraz bardziej!

Pani Penniman zamilkła na moment. – Pewnie dlatego poszłaś się z nim zobaczyć dziś po południu.

Catherine spąsowiała, jakby ktoś ją spoliczkował. – Tak, poszłam się z nim zobaczyć! Ale to moja sprawa.

– Bardzo dobrze, więc nie będziemy o tym mówić. – I pani Penniman znów ruszyła ku drzwiom, jednak powstrzymał ją nagły, błagalny krzyk dziewczyny.

– Ciociu Lavinio, gdzie on jest?

– Ach, przyznajesz zatem, że wyjechał? U niego w domu nie wiedzieli?

– Powiedzieli, że wyjechał z miasta. Nie zadawałam więcej pytań; było mi wstyd – odparła Catherine z prostotą.

– Nie musiałybyś podejmować tak upokarzających kroków, gdybyś miała do mnie trochę więcej zaufania – rzekła pani Penniman z wielkim dostojeństwem.

– Do Nowego Orleanu? – zapytała Catherine trochę nielogicznie.

Pani Penniman po raz pierwszy usłyszała o Nowym Orleanie w związku z tą sprawą, lecz nie miała ochoty uświadamiać Catherine, że porusza się po omacku. Próbowwała zatem poszukać oświecenia w instrukcji, którą otrzymała od Morrisa. – Catherine, moja droga – oznajmiła – jeśli zapadła decyzja o rozłące, to im dalej on odjedzie, tym lepiej.

– Decyzja? Z kim on ją podjął, czy z tobą? – Od pięciu minut w duszy Catherine narastała przemożna świadomość głupiego wścibstwa jej ciotki; mdło się jej robiło na myśl, że pani Penniman, by tak rzec, bezkarnie grasowała po jej szczęściu.

– Z pewnością czasem się mnie radził – powiedziała pani Penniman.

– A więc to ty go odmieniłaś, przez ciebie jest taki nieludzki? – krzyknęła Catherine. – To ty go urabiałaś, ty mi go odebrałaś? On nie należy do ciebie; nie rozumiem, co masz wspólnego z tym, co jest między nami? To ty uknułaś ten spisek i kazałaś mu mnie porzucić? Jak mogłaś być tak okrutna i tak niegodziwa? Co ja ci zrobiłam; dlaczego nie dasz mi spokoju? Bałam się, że wszystko zepsujesz; bo ty psujesz wszystko, czego się dotkniesz! Bałam się ciebie przez cały pobyt za granicą; nie dawała mi spokoju myśl, że ty wciąż do niego mówisz! – ciągnęła Catherine z rosnącą zaciekłością, gorzko, w namiętym jasnowidzeniu (które nagle, z pominięciem wszelkich etapów pośrednich, pozwoliło jej osądzić ciotkę ostatecznie i nieodwołalnie), dając upust całej udreće, która przez tyle miesięcy ciążyła jej na sercu.

Pani Penniman przestraszyła się i speszyła; zrozumiała, że jej wykładnia czystości pobudek Morrisa nie ma najmniejszych perspektyw. – Jesteś czarną niewdzięcznicą! – zawołała. – Karcisz mnie, bo z nim rozmawiałam? Możesz być pewna, że zawsze rozmawialiśmy wyłącznie o tobie!

– Tak; i w ten sposób go nękałaś; przez ciebie znudziło go nawet moje imię! Szkoda, że w ogóle mu o mnie wspomniałaś; nie prosiłam cię o pomoc!

– Przecież gdyby nie ja, on nigdy by do nas nie przyszedł, a ty byś się nie dowiedziała, co on o tobie myśli – odcięła się pani Penniman z dużą dozą słuszności.

– Wolałabym, żeby nigdy do nas nie przyszedł i żeby nigdy się tego nie dowiedziała! Byłoby lepiej niż teraz! – krzyknęła biedna Catherine.

– Jesteś bardzo niewdzięczna – powtórzyła ciotka.

Wybuch gniewu Catherine i jej poczucie krzywdy dawały jej, póki trwały, ową satysfakcję, która wynika z demonstracji własnej siły; wprawiały ją w ruch, a rwać do przodu to zawsze pewna przyjemność. Lecz w głębi duszy dziewczyna nie znosiła gwałtowności i miała świadomość, że nie potrafi konsekwentnie okazywać niechęci. Toteż bardzo szybko – choć z dużym wysiłkiem – zapanowała nad sobą i tylko przez chwilę krążyła po pokoju, powtarzając sobie, że ciotka przecież chciała jak najlepiej. Nie była wprawdzie w stanie mówić z przekonaniem, jednak po pewnym czasie

wykrztusiła cicho:

– Nie jestem niewdzięczna, tylko bardzo nieszczęśliwa. Trudno być za to wdzięczną.

Proszę, czy możesz mi powiedzieć, gdzie on jest?

– Nie mam najmniejszego pojęcia; nie prowadzę z nim korespondencji! – I w samej rzeczy pani Penniman bardzo tego pożałowała, bo byłaby mu doniosła, jak Catherine ją obraziła po tym wszystkim, co ona, pani Penniman, zrobiła dla nich obojga.

– A więc planował zerwanie...? – I Catherine zupełnie ucichła.

Pani Penniman znów błysnęła szansa wyjaśnienia. – Wzdragał się... wzdragał – rzekła. – Zabrakło mu odwagi... odwagi, żeby cię zranić! Nie mógł znieść, że ściągnie na ciebie klątwę ojca.

Catherine słuchała wpatrzona w ciotkę i nie spuszczała z niej oczu jeszcze przez jakiś czas. – On ci kazał to powiedzieć?

– Kazał mi powiedzieć wiele rzeczy... przejawiał tyle delikatności i zrozumienia! Prosił też, by ci powtórzyć, iż ma nadzieję, że nie będziesz nim gardzić.

– Nie gardzę nim – oznajmiła Catherine. – Wyjechał na zawsze?

– Och, na zawsze to bardzo długo. Zapewne twój ojciec nie będzie żył zawsze.

– Zapewne nie.

– Z pewnością doceniasz... rozumiesz... choć serce ci krwawi – ciągnęła pani Penniman. – Niewątpliwie uważasz, że ma za wiele skrupułów. Ja również, ale szanuję jego skrupuły. On prosi cię tylko, byś zrobiła to samo.

Catherine wciąż patrzyła na ciotkę, lecz gdy wreszcie odpowiedziała, zdawało się, że nic nie słyszy ani nie rozumie. – A więc to było ukartowane. Rozmyślnie ze mną zerwał; wyrzekł się mnie.

– Na razie, droga Catherine. Tylko to odłożył.

– Zostawił mnie samą – powiedziała Catherine.

– Masz przecież m n i e – oświadczyła z naciskiem pani Penniman.

Catherine wolno pokręciła głową. – Nie do wiary! – I wyszła z pokoju.

XXXI

Choć narzuciła sobie spokój, wołała ćwiczyć się w tej cnotce na osobności i powstrzymała się od zejścia na podwieczorek – posiłek, który o godzinie szóstej w niedzielne popołudnia zastępował kolację. Doktor Sloper i jego siostra siedzieli naprzeciwko siebie, ale pani Penniman ani razu nie spojrzała bratu w oczy. Wieczorem, bez Catherine, poszli odwiedzić siostrę, panią Almond, gdzie obie damy dość szczerze – aczkolwiek w granicach narzuconych przez zagadkową powściągliwość pani Penniman – omówiły niefortunne położenie Catherine.

– Jestem zachwycona, że on się z nią nie ożeni – oświadczyła pani Almond – niemniej powinno się go wychłostać.

Pani Penniman, dotknięta grubiaństwem siostry, odparła, że powodowały nim najszlachetniejsze pobudki – pragnienie, by nie wpędzić Catherine w ubóstwo.

– Bardzo się cieszę, że Catherine nie zostanie zubożona, ale mam szczerą nadzieję, że on nigdy nie zazna dobrobytu! A co biedaczka mówi t o b i e ? – zapytała pani Almond.

– Mówi, że mam talent do pocieszania – oznajmiła pani Penniman.

Tak przedstawiła rzecz swojej siostrze i być może świadomość owego talentu kazała jej po powrocie na plac Waszyngtona zapukać do drzwi pokoju Catherine. Catherine podeszła i otworzyła; wyglądała na bardzo spokojną.

– Chciałabym udzielić ci tylko słowa porady – powiedziała pani Penniman. – Jeśli ojciec cię zapyta, powiedz, że nic się nie zmieniło.

Catherine, z ręką na klamce, patrzyła na ciotkę, lecz nie zaprosiła jej do środka. – Sądysz, że mnie zapyta?

– Jestem tego pewna. Zapytał mnie teraz, w drodze od ciotki Elizabeth. Bo twojej ciotce Elizabeth wszystko wyjaśniłam. Lecz twemu ojcu powiedziałam, że o niczym nie wiem.

– Myślisz, że mnie zapyta, kiedy dostrzeże... kiedy dostrzeże...? – Tu Catherine urwała.

– Im więcej dostrzeże, tym bardziej będzie nieprzyjemny – rzekła ciotka.

– A więc nie dostrzeże zbyt wiele! – oświadczyła Catherine.

– Powiedz mu, że wychodzisz za męża.

– Bo wychodzę – odparła cicho Catherine i zamknęła ciotce drzwi przed nosem.

Nie mogłaby tego powiedzieć po dwóch dniach – na przykład we wtorek, kiedy wreszcie dostała przesyłkę od Morrisa Townsenda. Była to epistoła znacznej długości, licząca pięć bitych stron, nadana w Filadelfii. Dokument ten miał stanowić wyjaśnienie – i wyjaśniał mnóstwo rzeczy, a zwłaszcza z jakich względów piszący skorzystał z pilnego wyjazdu „w interesach”, aby zatrzeć w swej pamięci obraz tej, której stanął na drodze tylko po to, by drogę tę obrócić w ruinę. Nie śmiał wiele się spodziewać w tej mierze, przyrzekał jednak, że mimo wszelkich potknięć już nigdy więcej nie wędruje się między szczodre serce Catherine a jej olśniewające widoki i córczyną powinność. Zakończył wzmianką, że sprawy zawodowe zmuszają go do wyjazdu na wiele miesięcy, oraz wyraził nadzieję, że kiedy oboje – choćby miało to trwać całe lata – już się przystosują do srogich rygorów swoich pozycji, to będą mogli spotkać się jak przyjaciele, towarzysze niedoli, niewinne, lecz stoickie ofiary wielkiej zasady społecznej. Niechaj żyje spokojnie i szczęśliwie – takie było najdroższe życzenie tego, który wciąż ośmielał się kreślić jako jej najpokorniejszy sługa. List był przepięknie napisany i Catherine, która przechowywała go przez wiele lat, zdołała, gdy świadomość gorzkiej treści i pustej formy stała się mniej dotkliwa, zachwycić się zręcznością wypowiedzi. Tymczasem jednak, i jeszcze długo później, jedynym jej ratunkiem było postanowienie, z dnia na dzień coraz bardziej nieugięte, by w żadnym razie nie szukać współczucia u ojca.

Doktor odczekał tydzień i pewnego dnia rano, w porze, gdy rzadko go widywała, wkroczył nieśpiesznie do salonu na tyłach. Godzinę wybrał starannie – była sama. Siedziała nad robótką, podszedł więc i stanął tuż przed nią. Wychodził; miał na głowie kapelusz i naciągał rękawiczki.

– Mam wrażenie, że ostatnio nie traktujesz mnie z całym należnym szacunkiem –

powiedział po chwili.

– Nie wiem, co takiego zrobiłam – odparła Catherine, nie odrywając oczu od robótki.

– Najwyraźniej całkiem wyparłaś z myśli to, o co prosiłem cię w Liverpoolu przed wypłynięciem do Ameryki; żebyś mnie uprzedziła, zanim zechcesz opuścić mój dom.

– Nie opuściłam twego domu! – zaprotestowała Catherine.

– Ale masz taki zamiar i wnosząc z tego, co dajesz mi do zrozumienia, nastąpi to niebawem. Prawdę mówiąc, choć jesteś jeszcze obecna ciałem, duchem bujasz już całkiem gdzie indziej. Twój duch przebywa z twoim przyszłym mężem; zważywszy na to, jak niewielka jest korzyść z twojego towarzystwa, w zasadzie mogłabyś już mieszkać pod małżeńskim dachem!

– Spróbuję być weselsza! – powiedziała Catherine.

– Istotnie powinnaś być weselsza; jeśli taka nie jesteś, to musisz mieć wysokie wymagania! Nie dość, że masz przyjemność poślubić świetnego kawalera, to jeszcze postępujesz, jak ci się podoba; wygląda na to, że masz wielkie szczęście, moja panno!

Catherine wstała; dusiła się. Powoli i starannie złożyła robótkę, pochylając nad nią rozognioną twarz. Ojciec stał jak wrośnięty; miała nadzieję, że sobie pójdzie, on jednak naciągnął i zapiął rękawiczki, po czym wziął się pod boki.

– Dogodnie byłoby mi wiedzieć, kiedy mogę się spodziewać, że dom będzie pusty – ciągnął. – Kiedy ty odejdziesz, twoja ciotka również pójdzie precz.

Wreszcie popatrzyła na niego, długo i bez słowa, a spojrzenie to, mimo dumy i stanowczości, wyrażało jakby błagalną prośbę, której przecież nie chciała ujawniać. Ojciec przeszył ją zimnym wzrokiem i powtórzył uparcie:

– Czy to jutro? Czy w przyszłym tygodniu, a może w jeszcze następnym?

– Nie odchodzę! – rzekła Catherine.

Doktor uniósł brwi. – Wycofał się?

– Zerwałam zaręczyny.

– Zerwałaś zaręczyny?

– Poprosiłam, by opuścił Nowy Jork, więc wyjechał na długo.

Doktor był zaskoczony i rozczarowany, opanował jednak konsternację, tłumacząc sobie, że córka – co zrozumiałe – po prostu przeinacza fakty, zaś rozczarowanie właściwe człowiekowi, któremu właśnie wymknął się mały, niemal już pewny triumf, złagodził kilkoma słowami:

– Jak przyjął odprawę?

– Nie wiem! – krzyknęła Catherine mniej pomysłowo niż dotychczas.

– Chcesz powiedzieć, że to cię nie obchodzi? To trochę okrutne, zważywszy na to, jak długo zachęcałaś go i się nim bawiłaś!

Doktor w końcu jednak wziął odwet.

musi wydłużyć krok. Z upływem czasu doktor istotnie mógł powziąć mniemanie, że słowa córki o zerwaniu z Morrisem Townsendem, które uznał za zwykłą brawurę, zostały w pewnym stopniu uzasadnione przez dalszy bieg zdarzeń. Morris był nieobecny na placu Waszyngtona tak stanowczo i niezmiennie, jakby z żalu pękło mu serce, Catherine zaś pogrzebała wspomnienie tego bezowocnego epizodu tak głęboko, jakby zakończył się z jej wyboru. My wiemy, że zraniono ją głęboko i nieuleczalnie, ale doktor nie miał skąd zyskać tej wiedzy. Z pewnością był jej bardzo ciekaw i dałby wiele, żeby poznać prawdę; atoli nigdy jej nie poznał, co było karą – karą za przykry sarkazm w stosunkach z własną córką. Utrzymywanie go w stanie niewiedzy było ze strony Catherine sarkazmem dość skutecznym i w tej mierze reszta świata zawiązała z nią nader sarkastyczny spisek. Pani Penniman nic mu nie mówiła, po części dlatego, że nigdy jej nie pytał – zbyt ją lekceważył – po części zaś, gdyż pochlebiała sobie, że zachowując dręczącą – jej zdaniem – rezerwę i spokojnie twierdząc, że nic nie wie, mści się na nim za domysł, iż maczała palce w całej sprawie. Dwu- albo i trzykrotnie odwiedził panią Montgomery, lecz ta również nie miała mu nic do powiedzenia. Wiedziała tylko, że zaręczyny zostały zerwane, i teraz, gdy nic już pannie Sloper nie groziło, wołała w żaden sposób nie świadczyć na niekorzyść brata. Uczyniła tak przedtem – jakkolwiek niechętnie – gdyż było jej żal panny Sloper, ale teraz już jej nie żałowała, nic a nic. Morris nie mówił jej o stosunkach z ową panną ani wtedy, ani teraz. Rzadko bywał w domu, rzadko też pisywał; wyjechał, zdaje się, do Kalifornii. Pani Almond, wedle określenia siostry, po katastrofie gorąco „przygarnęła” Catherine; choć wszakże dziewczyna była jej bardzo za tę dobroć wdzięczna, nie wyjawiała jej żadnych tajemnic, więc życzliwa ta dama również nie mogła dać bratu satysfakcji. Jednakże nawet gdyby mogła mu opowiedzieć prywatne dzieje nieszczęśliwej miłości jego córki, to czerpałaby pewną uciechę z jego ignorancji, albowiem pani Almond w owym czasie nie całkiem popierała stanowisko brata. Sama, bez udziału pani Penniman, odgadła, że Catherine została okrutnie porzucona – pani Penniman bowiem, choć uznała, że dla Catherine sławetne wyjaśnienie pobudek Morrisa jest wystarczające, nigdy nie odważyła się przedłożyć go siostrze – i orzekła, iż obojętność brata na przeszłe i obecne cierpienia biednej dziewczyny jest doprawdy zbyt nieustępliwa. Doktor Sloper wszakże miał swoją teorię, a rzadko wprowadzał w swe teorie zmiany. Małżeństwo Catherine byłoby czymś odrażającym i dziewczyna cudem go uniknęła. Nie był to powód, żeby jej żałować; udawanie współczucia byłoby ustępstwem na rzecz idei, że w ogóle miała jakiegokolwiek prawo myśleć o Morrisie.

– Od razu sprzeciwiłem się temu pomysłowi i nadal się sprzeciwiam – oznajmił doktor. – Nie widzę w tym nic okrutnego; w takich sprawach nigdy dość stanowczości. – Na co pani Almond odrzekła, jak wielokrotnie przedtem, że skoro Catherine pozbyła się niedorzecznego konkurenta, to należy jej się za to pochwała; dorosła do świątłych poglądów ojca, podjąwszy wysiłek, który on powinien docenić.

– Wcale nie jestem pewny, że się go pozbyła – rzekł doktor. – To absolutnie nieprawdopodobne, że po dwóch latach oślego uporu nagle usłyszała głos rozsądku. On z nią zerwał; to nieskończenie bardziej prawdopodobne.

– Tym bardziej powinieneś być dla niej wyrozumiały.

– Jestem wyrozumiała. Ale nie potrafię okazywać żalu; nie umiem wylewać łez miłosierdzia z powodu najszcześniejszej rzeczy, jaka ją w życiu spotkała.

– Nie masz współczucia – powiedziała pani Almond – to nigdy nie była twoja mocna strona. Wystarczy na nią spojrzeć, by zobaczyć, że czy to stało się słusznie, czy niesłusznie, czy zerwała ona, czy też on, jej biedne serduszko jest mocno posiniaczone.

– Sińców nie leczy się głaskaniem ani wylewaniem łez! Moją sprawą jest pilnować, by nikt jej więcej nie zranił, i tego będę skrupulatnie przestrzegał. Ale w ogóle nie poznaję Catherine, którą opisujesz. Nie robi na mnie wrażenia panny, która szuka kompresu na psychikę. W samej rzeczy, wygląda znacznie lepiej, niż kiedy kręcił się tutaj ten fircyk. Jest całkowicie zadowolona, tryska zdrowiem; je, śpi i zażywa ruchu, i jak zwykle przesadnie się stroi. Wciąż dzierga saszetki lub haftuje chustki i wydaje mi się, że wytwarza te przedmioty tak szybko jak zawsze. Niewiele ma do powiedzenia, ale czy kiedykolwiek miała? Potańczyła sobie, a teraz odpoczywa. Podejrzewam, że ogólnie biorąc, to ją bawi.

– Bawi ją jak człowieka, który pozbył się zmiażdżonej nogi. Stan ducha po amputacji to niewątpliwie stan względnego spokoju.

– Jeśli ta noga ma przedstawiać młodego Townsenda, to cię zapewniam, że nigdy nie został zmiażdżony. Zmiażdżony? On? Żyje i nic mu nie dolega, i dlatego nie jestem zadowolony.

– Wolałbyś go zabić? – zapytała pani Almond.

– O tak, stanowczo. Całkiem możliwe, że to zasłona dymna.

– Zasłona dymna?

– Że się umówili. *Il fait le mort*, jak to mówią we Francji; ale on zerka kątem oka. Możesz być pewna, że nie spalił za sobą wszystkich mostów; jeden zostawił, żeby po nim wrócić. Kiedy umrę, znów tu przybędzie i wtedy ona go poślubi.

– To interesujące patrzeć, jak oskarżasz jedyną córkę o najnikczemniejszą obłudę – rzekła pani Almond.

– Nie wiem, co to za różnica, że ona jest jedynaczką. Lepiej oskarżać jedną córkę niż tuzin. Ale ja nikogo nie oskarżam. W Catherine nie ma ani śladu obłudy i nie przyjmuję do wiadomości, że choćby udaje nieszczęśliwą.

Wrażenie doktora, że to wszystko „zasłona dymna”, miało swoje wzloty i upadki; jednak, ogólnie rzecz biorąc, im doktor był starszy, tym bardziej się w nim umacniał, towarzyszyło mu też przekonanie o zadowoleniu i kwitnącej kondycji Catherine. Skoro przez pierwszy rok czy dwa po nieszczęściu nie znalazł podstaw, by uznać, że córka usycha z miłości, tym bardziej nie zdołał ich znaleźć, kiedy już całkowicie odzyskała panowanie nad sobą. Musiał również przyznać, że jeśli tych dwoje czekało, aż on usunie się z drogi, to przynajmniej czekali bardzo cierpliwie. Niekiedy docierały doń słuchy, że Morris przebywa w Nowym Jorku, ale nigdy nie bawił w mieście zbyt długo i – o ile doktor wiedział – nie kontaktował się z Catherine. Doktor był pewien, że się nigdy nie spotkali, i miał powody sądzić, że Morris do niej nie pisze. Po przytoczonym liście młodzieniec jeszcze dwukrotnie dawał znać o sobie, ona wszakże nie napisała do niego ani razu. Z drugiej strony, doktor zwrócił uwagę, że stanowczo opierała się wszelkim myślom o zamążpójściu. Nie miała wielu okazji, by wyjść za mąż, były wszakże

wystarczająco częste, by poddać próbie jej stanowisko. Odrzuciła jowialnego, majątnego wdowca z trójką córeczek (który na wieść, że Catherine lubi dzieci, z pewnym zadufaniem pokazał jej swoje); pozostała też głucha na zaloty młodego bystrego prawnika z szansą na świetną praktykę i z opinią człowieka miłego, który był dość przenikliwy, by rozglądając się za żoną, zauważyć, że Catherine bardziej się nadaje do tej roli niż tuzin młodszych i ładniejszych panien. Wdowiec, pan Macalister, pragnął zawrzeć małżeństwo z rozsądku i wybrał Catherine dla jej domniemanych zalet statecznej matrony; ale John Ludlow, o rok od niej młodszy i uważany za młodzieńca, który mógł „przebierać”, poważnie się w niej zakochał. Catherine wszakże nie chciała na niego patrzeć i dała mu wyraźnie do zrozumienia, że jej zdaniem zbyt często ją odwiedza. Pocieszył się, biorąc za żonę osobę całkiem odmienną, małą pannę Sturtevant, której powaby były oczywiste nawet dla najtępszych umysłów. Kiedy działo się to wszystko, Catherine była już dobrze po trzydziestce i zajmowała poczesne miejsce pośród starych panien. Ojciec, który wolałby, żeby wyszła za mąż, kiedyś nawet zwrócił jej uwagę, że nie powinna zbyt wybrzydzać: – Zanim umrę, chciałbym cię ujrzeć jako żonę jakiegoś porządnego człowieka. – Było to już po odprawieniu Johna Ludlowa, który dał za wygraną, mimo że doktor radził mu, by się nie poddawał. Nie wywierał wszakże dalszej presji na córkę, i trzeba przyznać, że nie okazywał po sobie, że „się zamartwia” jej samotnym stanem. W rzeczywistości jednak martwił się bardziej, niż się wydawało, i przez długie okresy był przekonany, że za jakimiś drzwiami czai się Morris Townsend. „Jeśli nie, to czemu ona nie wychodzi za mąż? – pytał się w duchu. – Może i jest trochę ograniczona, ale chyba doskonale rozumie, że powinna zrobić to, co się zwykle robi”. Catherine jednakże została znakomitą starą panną. Nabrała stałych przyzwyczajęń, dzień układała według własnego systemu, zajmowała się instytucjami dobroczynnymi, schronieniami dla obłąkanych, szpitalami i towarzystwami pomocy; krokiem na ogół równym i bezszelestnym krzątała się wokół niezmiennych spraw swego życia. Ale to życie oprócz historii publicznej – jeśli można mówić o publicznej historii dojrzałej, nieśmiałej starej panny, dla której rozgłos zawsze oznaczał zlepek różnych lęków – miało również wątek tajemny. Z jej punktu widzenia w życiu spotkały ją dwie ważne rzeczy: Morris Townsend zabawił się jej uczuciem, a ojciec zniszczył jego siłę napędową. Nic nie mogło odmienić tych faktów, były zawsze obecne, jak jej imię, wiek i nieładna twarz. Nic nie mogło cofnąć krzywdy i uleczyć bólu, który zadał jej Morris; nic nie mogło sprawić, aby darzyła ojca takim uczuciem jak w młodości. W jej życiu coś umarło, jej obowiązkiem było zatem próbować zapełnić tę lukę. I Catherine robiła, co w jej mocy, by spełnić tę powinność; rozpamiętywanie i rozczulanie się nad sobą traktowała z najwyższą dezaprobatą. Oczywiście nie umiała tłumić wspomnień w rozpuście; lecz swobodnie włączała się w zwykłe rozrywki miasta, aż wreszcie została nieuchronną bywalczynią wszystkich przyzwoitych zabaw. Była ogromnie lubiana, a z biegiem czasu zaczęła uchodzić za dobrotliwą niezameżną ciotkę młodszej części towarzystwa. Dziewczeta chętnie zwierzały się jej ze swych miłostek (których nigdy nie zdradzały ciotce Penniman), młodzieńcy lubili ją, nie całkiem wiedząc dlaczego. Nabrała kilku ekscentrycznych nawyków; zwyczajów raz ukształtowanych przestrzegała sztywno; miała nader zachowawcze opinie na wszelkie tematy moralne i społeczne;

i jeszcze przed czterdziestką zyskała miano osoby staroświeckiej, autorytetu w sprawach minionych obyczajów. W porównaniu z nią pani Penniman była wręcz dziewczęca; a im bardziej posuwała się w latach, tym robiła się młodsza. Nie utraciła nic ze swego apetytu na piękno i tajemniczość, lecz rzadko już miewała okazję go zaspokoić. Z późniejszymi fatygantami Catherine jej ciotka nie zdołała nawiązać więzi równie intymnej jak ta, dzięki której spędziła tyle ciekawych godzin z Morrisem Townsendem. Panowie ci z jakiegoś powodu do jej przysług odnosili się nieufnie i nigdy nie rozmawiali z nią o powabach Catherine. Z roku na rok jej loczki, sprzączki i obrączki błyszczały coraz bardziej; wciąż była tą samą nadgorliwą i nadpobudliwą panią Penniman, osobliwą miksturą impulsywności i ostrożności, jaką znaleźliśmy dotychczas. Jednakże w jednym punkcie ostrożność przeważała, za co należy ją pochwalić: przez ponad siedemnaście lat nie wspomniała przy swej bratanicy nazwiska Morrisa Townsenda. Catherine była jej za to wdzięczna, niemniej to uporczywe milczenie, tak niezgodne z usposobieniem ciotki, budziło w niej lekki przestach, gdyż nie umiała oprzeć się wrażeniu, że pani Penniman miewa czasem od niego wiadomości.

XXXIII

Doktor Sloper stopniowo wycofywał się z zawodu; odwiedzał tylko tych pacjentów, u których dostrzegał pewną oryginalność objawów. Znów pojechał do Europy, gdzie pozostał przez dwa lata; towarzyszyła mu Catherine i tym razem do wycieczki dołączyła pani Penniman. Dla tej ostatniej Europa najwyraźniej nie kryła wielu niespodzianek, gdyż często powtarzała w najromantyczniejszych zakątkach: – Wiecie, właściwie ja to wszystko dobrze znam. – Należy dodać, że swych uwag nie kierowała zazwyczaj do brata ani bratanicy, lecz do współpodróżnych znajdujących się pod ręką, a nawet do przewodnika albo pastucha kóz na pierwszym planie.

Pewnego dnia po powrocie z Europy doktor powiedział do córki coś, od czego aż się wzdrygnęła – co pochodziło, zda się, z bardzo dalekiej przeszłości.

– Chciałbym, żebyś coś mi obiecała, zanim umrę.

– Dlaczego mówisz o umieraniu? – zapytała.

– Bo mam sześćdziesiąt osiem lat.

– Mam nadzieję, że będziesz jeszcze długo żył.

– Ja też mam taką nadzieję! Ale któregoś dnia poważnie się przeziębę, po czym nasze nadzieje nie będą już miały znaczenia. Tak właśnie odejdę, a kiedy to się stanie, wspomnij, że mówiłem ci o tym. Obiecuj, że nie wyjdiesz za Morrisa Townsenda, kiedy mnie już nie będzie.

Słowa te, jak powiedziałem, zaskoczyły Catherine; jednak tylko wzdrygnęła się bezgłośnie i zamilkła na kilka chwil. – Dlaczego o nim wspominasz? – zapytała wreszcie.

– Kwestionujesz wszystko, co ci powiem. Mówię o nim, bo to temat jak każdy inny. Widuje się go, jak każdego; wciąż rozgląda się za żoną; miał już jedną, ale się jej pozbył,

nie wiem w jaki sposób. Ostatnio bywał w Nowym Jorku i u twojej kuzynki Marian; widziała go tam ciotka Elizabeth.

– Nie mówiły mi o tym – powiedziała Catherine.

– To ich zasługa, nie twoja. Utył i wyłysiał, nie zrobił też majątku. Ale nie jestem pewny, czy te fakty wystarczą, by zniechęcić do niego twoje serce, dlatego proszę, byś dała mi słowo.

„Utył i wyłysiał” – słysząc te określenia Catherine, która zachowała w pamięci wspomnienie najpiękniejszego młodzieńca na świecie, ujrzała w myślach dziwny obraz. – Ty chyba nie rozumiesz – rzekła. – Bardzo rzadko myślę o panu Townsendzie.

– A więc tym łatwiej ci to przyjdzie. Obiecuj, że po mojej śmierci to się nie zmieni.

I znów Catherine na dłuższą chwilę zamilkła; prośba ojca głęboko ją zdumiała; stara rana otworzyła się boleśnie. – Nie sądzę, abym mogła to obiecać – odparła w końcu.

– Byłbym ogromnie zadowolony – nalegał ojciec.

– Nie rozumiesz. Nie mogę tego obiecać.

Doktor przez chwilę się zastanawiał. – Pytam z konkretnego powodu. Zamierzam zmienić testament.

Powód ten nie zrobił na Catherine wrażenia; właściwie ledwie go pojęła. Wszystkie jej uczucia zlały się w jedno doznanie: próbował znów potraktować ją tak, jak potraktował przed laty. Wówczas bardzo przez to cierpiała; teraz więc całe jej doświadczenie, z trudem osiągnięty spokój i rygor zbuntowały się przeciwko temu. W młodości była tak pokorna, że teraz mogła sobie pozwolić na odrobinę godności, a w żądaniu ojca, w jego przekonaniu, że wolno mu żądać czegoś takiego, było coś, co tej godności uchybiało. Godność biednej Catherine nie była agresywna, nigdy się nie pyszniła, lecz posunąwszy się dostatecznie daleko, dawało się ją dostrzec. A jej ojciec posunął się bardzo daleko.

– Nie mogę obiecać – powtórzyła po prostu.

– Jesteś bardzo uparta – rzekł doktor.

– Wydaje mi się, że nie rozumiesz.

– Więc mi wyjaśnij.

– Nie mogę wyjaśnić – odparła Catherine – i nie mogę obiecać.

– Słowo daję – wyrwało się ojcu – nie miałem pojęcia, żeś taka uparta!

Sama wiedziała, że jest uparta, i czerpała z tego pewną radość. Była przecież kobietą w średnim wieku.

Jakiś rok później zdarzyło się to, co przewidział doktor; paskudnie się przeziębił. Pewnego kwietniowego dnia, kiedy wybrał się do prywatnego zakładu dla obłąkanych w Bloomingdale, by odwiedzić umysłowo chorego pacjenta, którego rodzina chciała zasięgnąć opinii wybitnego lekarza, złapała go wiosenna ulewa, a że jechał amerykańcem bez budy, w końcu przemókł do nitki. Wrócił do domu wstrząsany dreszczami, które nie wróżyły nic dobrego, a rano był już poważnie chory. – To zapalenie płuc – rzekł do Catherine. – Będzie mi potrzebna znakomita opieka. Nic to nie zmieni, bo nie wrócę do zdrowia; ale chciałbym, żeby wszystko, w najmniejszym szczególe, robiono tak, jakbym miał wyzdrowieć. Nienawidzę, kiedy w pokoju chorego jest bałagan, bądź więc tak dobra i dbaj o mnie, jakbyś zakładała, że wszystko będzie

dobrze. – Powiedział jej, po których kolegów lekarzy ma posłać, i udzielił mnóstwa drobiazgowych wskazówek; zajmowała się nim tedy, przyjmując założenie najbardziej optymistyczne. Ale nie pomylił się nigdy w życiu i teraz także miał rację. Dobiegał siedemdziesiątki i mimo że był zahartowany, jego żywotność osłabła. Zmarł po trzytygodniowej chorobie, podczas której pani Penniman i jego córka niezmordowanie czuwały przy jego łożu.

Kiedy po stosownym czasie otwarto testament, okazało się, że zawiera dwa zapisy. Pierwszy, datowany dziesięć lat wstecz, zawierał szereg dyspozycji, na mocy których główna część majątku przypadała córce, przyzwoite zaś legaty obydwu siostrom doktora. Drugim był niedawno sporządzony kodycył, który zachował roczne pensje dla pani Almond i pani Penniman, jednak zmniejszył zapis na rzecz Catherine do jednej piątej poprzedniej kwoty. „Została sownie wyposażona przez matkę – głosił dokument – a wydaje zaledwie ułamek dochodu z tego źródła; jej fortuna jest zatem aż nadto wystarczająca, by przyciągnąć owych niegodziwców bez skrupułów, których, jak uparcie pozwalała mi przypuszczać, uważa za ludzi interesujących”. Większą część majątku doktor Sloper rozdzielił zatem na siedem nierównych części, które przekazał tyluż różnym szpitalom i szkołom medycznym w rozmaitych miastach Stanów Zjednoczonych.

Pani Penniman uznała za potworność, że ktoś tak sobie poczyną z cudzymi pieniędzmi; albowiem, powiadała, po jego śmierci były to już cudze pieniądze. – Oczywiście podważysz testament – zwróciła się głupekowato do Catherine.

– O nie! – odrzekła dziewczyna. – Bardzo mi się podoba. Żałuję tylko, że ojciec nie sformułował go inaczej!

XXXIV

Zazwyczaj zostawała w mieście do późnego lata; przedkładała plac Waszyngtona nad jakiegokolwiek inne domostwo, nad morze w sierpniu wyjeżdżała wbrew własnej woli, a miesiąc takich wakacji na ogół spędzała w hotelu. W roku śmierci ojca zaniechała tego zwyczaju, uznając go za sprzeczny z ciężką żałobą; a rok później tak bardzo zwlekała z wyjazdem, że połowa sierpnia zastała ją jeszcze w upalnej samotni placu Waszyngtona. Pani Penniman, która lubiła zmiany, zwykle z ochotą wyjeżdżała na wieś, ale w tym roku ona również wyglądała na całkiem zadowoloną ze skromnych doznań wiejskości, jakich dostarczał jej widok z okna salonu na bożodrzewy za drewnianymi sztachetami ogrodu. Osobliwa woń tych drzew rozchodziła się w wieczornym powietrzu i pani Penniman w ciepłe lipcowe noce siadywała przy oknie, by nią oddychać. Były to dla niej szczęśliwe chwile; po śmierci brata mogła swobodniej ulegać swym naturalnym odruchom. Z jej życia zniknęło nieokreślone wrażenie ucisku; radowała ją wolność, jakiej nie odczuwała od owych pamiętnych czasów, dawno temu, kiedy doktor wyjechał z Catherine za granicę, zostawiając ją w domu, by zabawiała

Morrissa Townsenda. Rok, który upłynął od śmierci brata, przypominał jej ten szczęśliwy okres, choć bowiem Catherine z wiekiem stała się osobą domagającą się respektu, to jej towarzystwo, jak zwykła mawiać pani Penniman, to było coś zupełnie innego niż kubeł zimnej wody. Starsza pani nie bardzo wiedziała, co robić z takim marginesem życiowej wolności; siadywała tedy z igłą w ręce przed ramką hafciarską, zupełnie jak za dawnych lat. Miała wszakże ufną nadzieję, że bogactwo jej ducha i talent do haftu znajdą jeszcze zastosowanie, i nie minęło wiele miesięcy, a ufność ta się potwierdziła.

Catherine wciąż mieszkała w domu ojca, mimo że nie raz ją przekonywano, iż dla niezamężnej damy spokojnych obyczajów wygodniejsze byłoby mieszkanie w mniejszym domu – jednym z licowanych piaskowcem budynków, które w owym czasie zaczęły zdobić przecznice w górnej części miasta. Lubiła ten stary dom – zaczęto już o nim mówić „stary” – i zamierzała dożyć w nim swoich dni. Jeśli nawet był za duży dla dwóch skromnych pań z wyższych sfer, to wada odwrotna byłaby znacznie gorsza; Catherine bowiem nie miała ochoty przebywać w zbyt bliskim kontakcie z ciotką. Spodziewała się spędzić resztę życia na placu Waszyngtona i przez cały ten czas cieszyć się towarzystwem pani Penniman, nie miała bowiem wątpliwości, że jakkolwiek długo by żyła, ciotka będzie żyła jeszcze dłużej i do końca zachowa polot i ruchliwość. Pani Penniman kojarzyła jej się zawsze z ideą bujnej żywotności.

Jednego z owych wspomnianych upalnych lipcowych wieczorów obie damy siedziały przy otwartym balkonie, wpatrzona w cichy plac. Było zbyt gorąco, aby zapalić lampy, czytać lub pracować; można by pomyśleć, że za gorąco jest nawet na rozmowę, gdyż pani Penniman nie odzywała się przez dłuższy czas. Siedziała w drzwiach, częściowo na balkonie, nucąc jakąś piosenkę; Catherine, cała w bieli, na pół leżała w niskim bujaku w głębi pokoju, z wolna wznosząc duży wachlarz z liści *palmetto*. O tej porze roku po herbacie ciotka i bratanica tak właśnie spędzały wieczory.

- Catherine – odezwała się w końcu ciotka – powiem coś, co może cię zaskoczyć.
- Bardzo proszę – odparła Catherine – lubię zaskoczenia. A teraz jest tu tak spokojnie.
- No więc widziałam się z Morrisem Townsendem.

Jeśli Catherine była zaskoczona, to nie dała tego w żaden sposób po sobie poznać. Nie drgnęła, nie krzyknęła; w samej rzeczy, na chwilę znieruchomiła tak dalece, że mogło to oznaczać głębokie przejęcie. – Mam nadzieję, że się dobrze czuje – rzekła wreszcie.

- Nie wiem; bardzo się zmienił. Bardzo chciałby się z tobą spotkać.
- Wolałabym się z nim nie spotykać.
- Bałam się, że tak powiesz. Ale nie wyglądasz na zaskoczoną!
- Ależ jestem... Bardzo.

– Spotkałam go u Marian – podjęła pani Penniman. – On tam bywa, a oni trzęsą się ze strachu, że się tam na niego natkniesz. Jestem przekonana, że on po to tam chodzi. Tak bardzo chce cię zobaczyć. – Widząc, że Catherine nie odpowiada, pani Penniman ciągnęła: – Z początku go nie poznałam; niezwykle się zmienił. Ale on rozpoznał mnie od razu. Mówi, że ja nie zmieniłam się wcale; wiesz, jaki był zawsze uprzejmy. Kiedy przyszłam, właśnie wychodził, więc odprowadziłam go kawałek. Wciąż jest bardzo przystojny, tyle że oczywiście wygląda starzej i nie jest taki... taki dziarski jak kiedyś.

Jest w nim jakiś smutek; ale przedtem też był w nim smutek, zwłaszcza tuż przed wyjazdem. Obawiam się, że niezbyt mu się wiodło... że nigdy się do końca nie urządził. Przypuszczalnie ma w sobie za mało z wyrobnika, a to w końcu jest podstawa sukcesu na tym świecie. – Pani Penniman przez ćwierć wieku nie wspominała bratanicy o ukochanym, teraz jednak, kiedy przerwała zakłęty krąg, najwyraźniej pragnęła nadrobić stracony czas, jakby słysząc siebie samą, rozprawiającą o Morrisie, wpadała w jakiś rodzaj uniesienia. Niemniej mówiła z wielką ostrożnością i przerywała od czasu do czasu, czekając na jakiś znak od Catherine. Catherine wszakże nie dawała żadnych znaków, zmarł jedynie ruch fotela i wachlarza; siedziała bez drgnienia i bez słowa. – Było to w zeszły wtorek – mówiła pani Penniman – i od tamtej pory waham się, czy ci powiedzieć. Nie wiedziałam, czy to ci się spodoba. W końcu pomyślałam, że wszystko działo się tak dawno temu, iż pewnie już nic szczególnego nie czujesz. Po spotkaniu u Marian widziałam się z nim jeszcze raz. Spotkałam go na ulicy i przeszliśmy się trochę. Przede wszystkim zapytał o ciebie: zadawał strasznie dużo pytań. Marian nie chciała, bym ci o tym mówiła; nie chce, byś wiedziała, że go przyjmują u siebie. Powiedziałam mu, że jestem pewna, iż po tych wszystkich latach już ci wszystko jedno; nie będziesz przecież miała mu za złe, że korzysta z gościnności własnego krewnego. Powiedziałam, że byłby to nadmiar goryczy z twojej strony. Marian ma przedziwne wyobrażenie o tym, co się między wami stało; najwyraźniej sądzi, że on zachował się jakoś niestosownie. Pozwoliłam sobie przypomnieć jej prawdziwe fakty i naświetlić całą historię z właściwej strony. W n i m nie ma żadnej goryczy, Catherine, zapewniam cię, choć można by mu ją wybaczyć, bo nie układało mu się w życiu. Tułał się po świecie i wszędzie próbował się urządzić, ale miał przeciwko sobie złą gwiazdę. To bardzo ciekawe, co on mówi o swojej złej gwiazdzie. Wszystko zawiodło; wszystko z wyjątkiem... przecież wiesz, pamiętasz... jego dumnego, wzniosłego ducha. Chyba w Europie ożenił się z jakąś panią. Wiesz, w Europie pobierają się tak rzeczowo; nazywają to małżeństwem z rozsądku. Wkrótce potem jego żona zmarła; powiedział, że tylko przemknęła przez jego życie. Od dziesięciu lat nie był w Nowym Jorku; wrócił kilka dni temu. Od razu zapytał mnie o ciebie. Słyszał, że nie wyszłaś za mąż; był tym ogromnie zainteresowany. Mówi, że byłaś prawdziwą miłością jego życia.

Catherine cierpliwie znosiła opowieść towarzyszki, która brnęła od kropki do kropki i od pauzy do pauzy; nie przerywała jej, tylko słuchała ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Lecz gdy po ostatnim zdaniu nastąpiła szczególnie znacząca pauza, Catherine wreszcie przemówiła – choć należy odnotować, że przedtem zdążyła usłyszeć wiele informacji o Morrisie Townsendzie. – Proszę, przestań już; proszę, nie mów już na ten temat.

– Czyżby cię nie ciekawił? – zapytała pani Penniman łobuzersko, choć trochę bojaźliwie.

– Jest dla mnie bolesny.

– Bałam się, że tak powiesz. Ale nie sądzisz, że mogłabyś przywyknąć? On tak bardzo chce się z tobą zobaczyć.

– Proszę, ciociu Lavinio, przestań – powtórzyła Catherine, podnosząc się z fotela. Szybko podeszła do drugich drzwi wychodzących na balkon, i tu, we wnęce, skryta

przed ciotką za białą firanką, pozostała przez dłuższy czas, wpatrzona w ciepłą ciemność. Przeżyła wielki wstrząs; było tak, jakby nagle otworzyła się przed nią otchłań przeszłości, z której wynurzyła się widmowa postać. Wydawało się jej, że przeboleła pewne sprawy, że pewne uczucia w niej umarły, ale najwyraźniej jeszcze tliło się w nich życie, rozpalone przez słowa pani Penniman. „To tylko chwilowe podniecenie – powtarzała sobie Catherine – to zaraz przejdzie”. Drżała; serce biło jej tak mocno, że czuła jego uderzenia, ale wiedziała, że ono również wkrótce się uspokoi. Czekwała, aż wróci jej spokój – i wybuchnęła płaczem. Jej łzy płynęły bezgłośnie i pani Penniman ich nie zauważyła. Być może jednak domyślała się ich, bo tego wieczoru nie mówiła już więcej o Morrisie Townsendzie.

XXXV

Nawrót zainteresowania ciotki owym panem nie mieścił się w granicach, których Catherine miała ochotę być osobiście świadoma; w każdym razie trwało ono dość długo, gdyż pani Penniman odczekała tydzień, zanim znów o nim wspomniała. Zabrała się do dzieła w podobnych okolicznościach co poprzednio. Znów siedziała wieczorem z bratanicą, tyle że noc nie była już tak ciepła, zapalono lampę, a Catherine usadowiła się przy niej z misterną robótką. Pani Penniman wyszła na balkon, gdzie spędziła pół godziny, po czym wróciła i pokręciła się niepewnie po pokoju. Wreszcie opadła na fotel obok Catherine, składając dłonie z wyrazem lekkiego podniecenia.

– Czy się pogniewasz, jeśli znów ci o n i m coś powiem?

Catherine spojrzała na nią spokojnie. – Kto to jest o n ?

– Ten, którego kiedyś kochałaś.

– Nie pogniewam się, ale nie będzie to przyjemne.

– Przysłała ci wiadomość – szepnęła pani Penniman. – Obiecałam mu, że ją przekażę, i muszę dotrzymać słowa.

Przez te wszystkie lata Catherine zdążyła zapomnieć, jak mało miała do zawdzięczenia ciotce w tamtych dniach swego nieszczęścia; już dawno wybaczyła pani Penniman, że wzięła na siebie zbyt wiele. Przez chwilę jednak ta postawa bezinteresownego wścibstwa, to przenoszenie wiadomości i spełnianie obietnic przypomniały jej, że ciotka jest osobą niebezpieczną. Obiecała, że się nie pogniewa, ale przez moment poczuła złość. – Nie obchodzi mnie, co zrobisz ze swoim słowem! – odparła.

Jednakże pani Penniman, wiedzona szczytnym wyobrażeniem o świętości przysięg, przystąpiła do ataku: – Posunęłam się za daleko, by się wycofać – rzekła, choć nie zadała sobie trudu, by wyjaśnić, co to właściwie znaczy. – Catherine, pan Townsend bardzo, ale to bardzo chciałby cię zobaczyć; uważa, że gdybyś wiedziała, jak bardzo tego pragnie i dlaczego, to wyraziłabyś zgodę.

– Nie ma żadnego powodu – odparła Catherine. – Żadnego dobrego powodu.

– Od tego zależy jego szczęście. Czy to nie jest dobry powód?

– Nie dla mnie. Moje szczęście od tego nie zależy.

– Sądzę, że będziesz szczęśliwsza, jeśli się z nim zobaczysz. Znow wyjeżdża... znow jedzie na tułaczkę. To życie samotne, niespokojne, bezradosne. Przed wyjazdem pragnie porozmawiać z tobą; to u niego *idée fixe*, nie przestaje o tym myśleć. Ma ci coś ważnego do powiedzenia. Jest przekonany, że nigdy go nie rozumiałaś, że nigdy nie oceniałaś go właściwie, i to przekonanie straszliwie mu ciąży. Chciałby się usprawiedliwić; uważa, że zdoła to zrobić w kilku słowach. Chce się z tobą spotkać jak przyjaciel.

Catherine wysłuchiwała tej cudownej przemowy, nie przerywając pracy nad robótką; już od kilku dni przyzwyczajała się do myśli, że Morris Townsend znow stał się kimś rzeczywistym. Poczekała, aż pani Penniman skończy, i odpowiedziała z prostotą: – Proszę, powiedz panu Townsendarowi, że wolałabym, aby dał mi spokój.

Ledwie skończyła, gdy w ciszy letniego wieczoru zawibrował ostry, stanowczy dźwięk dzwonka. Catherine zerknęła w górę na zegar; wskazywał kwadrans po dziewiątej, porę bardzo późną na wizyty, zwłaszcza w opustoszałym mieście. W tym samym momencie pani Penniman lekko podskoczyła i Catherine szybko zwróciła spojrzenie ku ciotce. Napotkała jej oczy i przez chwilę patrzyła w nie badawczo. Pani Penniman stała w pąsach; wyglądała na zmieszaną, jakby chciała coś wyznać. Catherine domyśliła się, co to znaczy, i raptownie wstała z fotela.

– Ciociu Penniman – zapytała tonem, który przeraził jej towarzyszkę – czyżbyś p o z w o l i ł a sobie...

– Catherine, najdroższa – wyjąkała pani Penniman – tylko poczekaj, aż go zobaczysz!

Catherine przestraszyła ciotkę, ale sama również się przestraszyła; miała ochotę pobiec i uprzedzić służącą, by nikogo nie wpuszczała, powstrzymała ją jednak obawa, że po drodze napotka swojego gościa.

– Pan Morris Townsend.

Jeszcze się wahała, gdy dobiegły ją te słowa pokojówki, niewyraźne, ale zrozumiałe. Stała zwrócona plecami do drzwi i przez chwilę zamarła w tej pozycji, wyczuwając, że on wszedł do salonu. Nie odzywał się, więc obróciła się wreszcie. Na środku pokoju, z którego ciotka dyskretnie się wymknęła, zobaczyła jakiegoś dżentelmena.

Nigdy by go nie poznała. Miał czterdzieści pięć lat, a jego sylwetka w niczym nie przypominała obrazu wysmukłego, zgrabnego młodzieńca, który zachowała w pamięci. Nadal jednak robił świetne wrażenie, głównie za sprawą jasnej lśniącej brody, rozpostartej na godnie wypiętej piersi. Po chwili Catherine rozpoznała górną część jego twarzy, która mimo rzadziejających pukli wciąż była niezwykle urodziwa. Stał w postawie pełnej szacunku, nie spuszczał oka z jej twarzy. – Ośmielam się... ośmielam się – zaczął i urwał, rozglądając się wokół, jakby oczekiwał, że ona poprosi go, by usiadł. Był to dawny głos – lecz nie miał dawnego uroku; i Catherine przez moment wyraźnie poczuła, że stanowczo nie chce go prosić, by zajął miejsce. Po co przyszedł? Nie powinien był tego robić. Był skępowany, lecz nie pospieszyła mu z pomocą. Nie dlatego, że cieszyło ją jego skępowanie; przeciwnie, wręcz sprawiało jej ból i tym dotkliwiej odczuwała wszystkie własne słabości w tej materii. Jakże jednak miała powitać go serdecznie, skoro tak wyraźnie czuła, że nie powinien był

przychodzić? – Tak bardzo chciałem... Byłem zdecydowany – ciągnął Morris. Ale znów urwał; nie było to łatwe. Catherine wciąż się nie odzywała; pewnie z obawą przypomniał sobie jej dawną umiejętność milczenia. Wciąż jednak patrzyła na niego, czyniąc przy tym osobliwe spostrzeżenie: to był on, a przecież nie on. Ten mężczyzna kiedyś był dla niej wszystkim, a przecież ten człowiek był nikim. Jakże dawno temu to się działo – jak się zestarzała – ile przeżyła! Żyła czymś, co było związane z n i m , ale żyjąc, z czasem wyczerpała te rezerwy. Ten człowiek nie wyglądał na nieszczęśliwego. Był przystojny, dobrze utrzymany, doskonale ubrany, dojrzały i spełniony. Patrząc nań, Catherine wyczytała mu z oczu dzieje jego życia: wygodnie się urządził i nigdy nie został przyłapany. Ale nawet otwierając się na to wrażenie, nie miała ochoty go przyłapywać, jego obecność była dla niej bolesna i pragnęła jedynie, by sobie poszedł.

– Nie usiądziesz? – zapytał.

– Lepiej nie siadajmy – odrzekła.

– Obraziłem cię, przychodząc tutaj? – Mówił z wielką powagą, tonem najżywszego szacunku.

– Sądzę, że nie powinieneś być przychodzić.

– Pani Penniman ci nie mówiła... nie przekazała ci mojej wiadomości?

– Coś mi powiedziała, lecz nie zrozumiałam tego.

– Wolałbym, żebyś pozwoliła, bym sam to powiedział... żebym mówił za siebie.

– Nie sądzą, że to konieczne – rzekła Catherine.

– Dla ciebie może nie, ale dla mnie tak. Miałbym z tego wielką satysfakcję, a nie mam ich wiele. – Wyraźnie zbliżał się do niej; Catherine odwróciła się. – Nie możemy znów być przyjaciółmi? – zapytał.

– Nie jesteśmy wrogami – odparła. – Żywię do ciebie wyłącznie przyjazne uczucia.

– Ach, gdybyś wiedziała, jaki szczęśliwy jestem, że to mówisz! – Catherine ani słowem nie zdradziła, że właściwie docenia wpływ swoich słów, ciągnął zatem: – Nie zmieniłaś się; lata były dla ciebie łaskawe.

– Minęły bardzo spokojnie – odrzekła Catherine.

– Nie zostawiły żadnych śladów; wyglądasz niezwykle młodo. – Tym razem udało mu się podejść bliżej; stał tuż obok; widziała jego lśniąca i wyperfumowaną brodę, a ponad nią oczy o dziwnym, twardym wyrazie. Jego stara – jego młoda – twarz wyglądała zupełnie inaczej. Gdyby pierwszy raz zobaczyła go takim, nie spodobałby się jej nic a nic. Miała wrażenie, że się uśmiecha albo próbuje się uśmiechać. – Catherine – rzekł, ścisząc głos. – Nigdy nie przestałem o tobie myśleć.

– Proszę, nie mów takich rzeczy – powiedziała.

– Nienawidzisz mnie?

– Ależ nie.

Coś w jej głosie go zniechęciło, lecz po chwili odzyskał tupet. – A więc czujesz do mnie jakąś życzliwość?

– Nie wiem, po co przychodzisz i pytasz mnie o takie rzeczy! – wykrzyknęła Catherine.

– Bo przez wiele lat nade wszystko pragnąłem, żebyśmy znów zostali przyjaciółmi.

– To niemożliwe.

– Dlaczego nie? Jeśli na to pozwolisz...

– Nie pozwolę! – zawołała Catherine.

Popatrzył na nią w milczeniu. – Rozumiem; moja obecność cię niepokoi i sprawia ci ból. Odejdę; ale musisz się zgodzić, żebym przyszedł znowu.

– Proszę, żebyś więcej nie przychodził – powiedziała.

– Nigdy? Nigdy?

Podjęła wielki wysiłek; pragnęła powiedzieć coś, po czym stałoby się niemożliwe, żeby kiedykolwiek jeszcze przekroczył jej próg. – Nie powinieneś tego robić. Nie ma w tym przyzwoitości; nie ma żadnego powodu.

– Ach, miła pani, jesteś niesprawiedliwa! – wykrzyknął Morris Townsend. – Tylko czekaliśmy, a teraz jesteśmy wolni.

– Źle wobec mnie postąpiłeś.

– Nie, jeśli spojrzysz na to z właściwej strony. Prowadziłaś spokojne życie u boku ojca; i tego właśnie nie umiałem cię pozbawić.

– Tak; miałam spokojne życie.

Morris ubolewał, że ze znaczną szkodą dla sprawy nie może dodać, iż miała znacznie więcej; nie trzeba bowiem wspominać, że znał treść testamentu doktora Slopera. Niemniej nie tracił rezonu. – Istnieje gorszy los! – zawołał z uczuciem; przypuszczalnie miał na myśli własne niepewne położenie. Po czym dodał z większą czułością: – Catherine, czy nigdy mi nie wybaczyłaś?

– Wybaczyłam ci przed wielu laty, ale próby zostania przyjaciółmi na nic się nie zdadzą.

– Ależ tak, jeśli zapomnimy o przeszłości. Bo wciąż jeszcze mamy przyszłość, dzięki Bogu!

– Nie mogę zapomnieć; nie zapomnę – oświadczyła Catherine. – Zbyt okrutnie wobec mnie postąpiłeś. Bardzo to przeżyłam; przeżywałam to przez całe lata. – I ciągnęła dalej, wiedzona pragnieniem udowodnienia mu, że nie wolno mu więcej przychodzić. – Nie mogę znów zaczynać; nie podejmę się tego. Już po wszystkim. To było zbyt poważne; to całkiem odmieniło moje życie. Nie spodziewałam się, że jeszcze cię zobaczę.

– Ach, ty się gniewasz! – wykrzyknął Morris, który ogromnie pragnął wykrzesać z jej umiaru jakąś iskrę namiętności. Wówczas mógłby mieć odrobinę nadziei.

– Nie, nie gniewam się. Gniew nie trwa latami, nie w tej postaci. Są jednak inne rzeczy. Wrażenia pozostają, zwłaszcza gdy były silne... Ale nie mogę mówić.

Morris stał, gładząc brodę, i patrzył na nią chmurnie. – Dlaczego nie wyszłaś za mąż? – zapytał nagle. – Miałaś kilka możliwości.

– Nie miałam ochoty.

– No tak; jesteś bogata, jesteś wolna; nic byś na tym nie zyskała.

– Nic bym nie zyskała – powtórzyła Catherine.

Morris rozejrzał się z roztargnieniem i westchnął głęboko. – Cóż, miałem nadzieję, że możemy wciąż być przyjaciółmi.

– W odpowiedzi na twój list chciałam... gdybyś zaczekał na odpowiedź... przekazać ci za pośrednictwem ciotki, że nie powinieneś przychodzić z taką nadzieją.

– A więc do widzenia – rzekł Morris. – Przepraszam za nietakt.

Uklonił się, a ona się cofnęła – i pozostała odwrócona, ze wzrokiem wbitym w ziemię, jeszcze przez dobrą chwilę po tym, jak usłyszała, że zamyka za sobą drzwi.

W holu natknął się na panią Penniman, roztrzepotaną i niecierpliwą; najwyraźniej kręciła się tutaj szarpana sprzecznymi podszeptami ciekawości i dumy.

– Ależ cudnie to pani obmyśliła! – sarknął Morris, z rozmachem nakładając kapelusz.

– Nie dała się wzruszyć? – zapytała pani Penniman.

– Figę ją obchodzę; i ta jej przekłeta oschła maniera!

– Bardzo oschła? – dopytywała się pani Penniman troskliwie.

Morris nie zwracał uwagi na te pytania; stał i rozmyślał w kapeluszu na głowie. – Ale w takim razie dlaczego, u licha, nigdy nie wyszła za męża?

– No właśnie, dlaczego... – westchnęła pani Penniman. I jakby czując, że ta reakcja jest niewystarczająca, dodała: – Ale pan nie porzuci nadziei; przyjdzie pan znowu?

– Przyjść znowu? Do diabła, jeszcze czego! – I Morris Townsend oddalił się wielkimi krokami, porzucając osłupiałą panią Penniman.

Tymczasem Catherine w salonie podniosła swoją misterną robótkę i znów nad nią zasiadła – niejako na resztę życia.

Impresje kuzynki

I

Nowy Jork, 5 kwietnia 1873. Są chwile, kiedy mam wrażenie, że ona za wiele ode mnie wymaga – zwłaszcza odkąd przyjechałyśmy do tego kraju. Przez ostatnie trzy miesiące bynajmniej nie czułam się tutaj szczęśliwa. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie – albo raczej wiem, a mówię w ten sposób tylko dlatego, żeby oszczędzić sobie trudu. Natomiast zupełnie bez trudu piszę, że Nowy Jork podoba mi się mniej niż Rzym; i, ostatecznie, to ma znaczenie. W dodatku nie ma tu co malować! Maluję już od dziesięciu lat i sądzę, że robię to naprawdę bardzo dobrze. Ale jak mam malować Pięćdziesiątą Trzecią Ulicę? Czasami wręcz zadaję sobie pytanie, jak mam choćby mieszkać przy Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy! Kiedy skręcam za róg z Piątej Alei, widok jest wprost szkaradny; wąskie bezduszne budynki z brunatnej cegły o oschłym, twardym odcieniu i fakturze nieciekawej jak papier ścierny; skostniała stromizna schodków, po których trzeba piąć się do drzwi; niezgrabne balustrady, portyki i gzymsy, powtórzone w setkach egzemplarzy, zdobne w ciężkie narośle – co za erupcja ornamentu, co za ubóstwo efektu! Zapewne komuś, kto by przeczytał ten bezwstydną zapis osobistych uczuć, mój ton wyższości wydałby się pretensjonalny; i padłoby pytanie, w czym kosztowna śródmiejska rezydencja jest gorsza od oślizłego włoskiego palazzo. Odpowiedź brzmi, oczywiście, że palazzo da się malować, a ze śródmiejską rezydencją nie zrobię nic. Rzecz jasna, mogę w niej mieszkać i być wdzięczna za dach nad głową, ale to się nie liczy. Zresztą, pomijając okropną modę na „bawialnię” zaraz za progiem – żadnej przestrzeni, żadnego korytarza – domy te są cudownie wygodne. Ten, który zajmuje Eunice, jest doskonale urządony; mamy tyle miejsca, że dostałam własny salonik – ogromny luksus. Jej dobroć, jej serdeczność to najbardziej urocze i delikatne cechy, jakie kiedykolwiek widziałam. Nie wiem, co jej strzeliło do głowy, że tak bardzo mnie polubiła; właściwie powinnam powiedzieć „do serca”, tyle że nie lubię pisać o sercu Eunice, owym narzędzie czułym, lęklwym, ceniolubnym, lecz przede wszystkim świeżym i młodzieńczym. Być może jestem zbyt zadufana w sobie, zakładając, że jej szczodrość wynika tylko z serdeczności; ma bowiem sumienie rozwinięte do tego stopnia, że wszystko wiąże się dla niej z ideą obowiązku – nawet stosunki z biedną, nieładną, niekochaną i niedającą się kochać daleką kuzynką. Nieważne, czy naprawdę mnie lubi – uważa, że słuszne jest, by mnie lubiła, a zadaniem jej życia jest czynienie tego, co słuszne. W sprawach obowiązku, krótko mówiąc, jest prawdziwą małą artystką; jej arcydziełem zaś (pod tym względem) jest powrót na stałe do tego kraju. Niemożliwe, by się jej tu podobało; jej gusty leżą gdzie indziej. Gdyby jej się podobało, nigdy, jestem tego pewna, nie przyszyłoby jej na myśl sformułowanie, które wygłosiła onegdaj: „Moim zdaniem we własnym kraju żyje się z większą godnością”. To zdanie wymyślone post

factum; nikt jeszcze nie zrezygnował z życia w Europie wskutek braku godności. Biedna Eunice mówi o „własnym kraju”, jakby trzymała Stany Zjednoczone w domowym saloniku. Na razie jakoś nie dostrzegam, jaką godność ma mieszkanie przy Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Zapewne zakrawa to na zdradę stanu, twierdzą jednak, że kobieta niekoniecznie musi być patriotyczna. Może byłabym dobrą patriotką, gdybym mogła malować rodzinne miasto; ale nie umiem stworzyć obrazu z ceglanych ganków na Piątej Alei ani z peronu kolejki nadziemnej na Szóstej. Eunice podpowiedziała, że mogłabym znaleźć jakieś tematy w Central Parku, poszłam więc ich poszukać. Jednak spękane asfaltowe *sentiers*, sztuczne kamienne jaskinie, olbrzymie stalowe mosty, rozpięte nad mętnymi bajorkami, całe to tłoczne, przasne miejsce, robiące tyle min, żeby ładnie wyglądać, jakoś do mnie nie przemawia – nie ma tu, od końca do końca, ani jednego zajmującego „kąska”. Poza tym jest za zimno, by siedzieć na przenośnym krzeselku pod czystym wietrznym niebem, którego błękitne głębie bez wątpienia nadają się na posadzkę niebios, lecz jako sklepienie ziemi są raczej zbyt odległe. Tutejsze niebo wydaje się częścią świata jako takiego; w Europie jest ono częścią konkretnego miejsca. Przypuszczalnie latem się poprawi; lecz będzie mi ciężko, jeśli nie znajdę gdzieś ścieżki wśród bujnej zieleni czy starej chaty, czegoś choć w pewnym stopniu muśniętego mchem i patyną. Przyroda tutaj, naturalnie, jest wspaniała, choć obawiam się, że tylko w dużych kawałkach; ja ze swą krótką miarką (sprawdzała się w Kampanii Romańskiej!) już sama nie wiem, co zdołam zrobić. Postaram się sprostać sytuacji.

Rzeka Hudson jest piękna; to akurat dobrze pamiętam; Eunice powiada, że na wilegiaturze będziemy w pobliżu najładniejszego odcinka. Jej domek, willa czy jak to tu zwą (notabene, pani Ermine zawsze używa określenia „wiejskie gniazdo”), leży prawie dokładnie naprzeciwko West Point, gdzie rzeka rozlewa się dostojnym łukiem. Niestety, przez trzy lata jej pobytu za granicą dom był wynajmowany i zwolni się dopiero pierwszego czerwca. Pan Caliph, powiernik, wziął tę sprawę na siebie, nader impertynencko, moim zdaniem, bo gdybym ja miała fortunę Eunice, to z pewnością nie wynajmowałabym swoich domów – oczywiście, mam na myśli prywatne siedziby. A już na pewno nie wynajęłabym „wiejskiego gniazda”. Nie dość, że ludzie zawłaszczają cudze stoły i kanapy, to jeszcze przejmują czyjeś kwiaty, drzewa, a nawet widoki. Nie istnieje nic bardziej osobistego niż własny horyzont – jakikolwiek horyzont, który widzi się ze swego okna. Nikt inny takiego nie ma. Notabene, pan Caliph zalicza się najwyraźniej do osób nieobliczalnych i nieodpowiedzialnych. Byłoby rzeczą naturalną przypuszczać, że mając w swej pieczy większą część majątku mojej kuzynki, zjawi się w Nowym Jorku, by ją powitać po długiej nieobecności i burzliwej podróży. Powinna mu to podpowiedzieć zwykła uprzejmość, zwłaszcza że był starym – a raczej młodym – przyjacielem obojga jej rodziców. To dziwne, że mianowano go jedynym powiernikiem, lecz to sprawka kuzynki Letitii: „myślała, że Eunice będzie o wiele łatwiej spotykać się z jedną tylko osobą”. Jestem przekonana, że ten wysiłek to wszystko, na co było stać ją samą; lecz powinna była wiedzieć, że Eunice z jednakową uwagą słuchałaby i dwudziestu ludzi interesu, codziennie, gdyby postawiono ją wobec takiego obowiązku. Sądzę, że biedna kuzynka Letitia w ogóle niewiele wiedziała; Eunice mówi o niej znacznie rzadziej niż o swoim ojcu, którego śmierć opłakiwałaby z najwyższym

smutkiem, gdyby odważyła się przyznać sama przed sobą, że przedkładała jedno z rodziców nad drugie. Do iluż to rzeczy biedaczka nie śmie się przed sobą przyznać! Z pewnością jedną z nich jest fakt, że pan Caliph postępuje niewłaściwie, jadąc na trzy miesiące do Waszyngtonu właśnie wtedy, gdy jej byłoby na rękę się z nim zobaczyć. Podobno ma tam pilne sprawy do załatwienia (polityk z niego całkiem, całkiem – nie, żebym wiedziała, co się robi w Waszyngtonie) i pisuje do Eunice co tydzień lub dwa, że jeszcze dziesięć dni, a „wszystko zwinie” i będzie już całkowicie do jej usług; ale wciąż nie zwija – i się nie zjawia. Od trzech lat go nie widziała; moim zdaniem, niewątpliwie powinien był przyjechać do niej do Europy. Ona o tym nie wie, a ja nie mam ochoty jej mówić, pragnie bowiem (co bardzo naturalne) uważać go za perłę pośród plenipotentów. Na szczęście przysłała jej tyle pieniędzy, ile trzeba; onegdaj zaś przysłał swego brata, dość pobudzonego (lecz bynajmniej nie pobudzającego!) młodzieńca, który pojawił się w porze lunchu, gdyż pan Caliph (jak wyjaśnił później) powiedział mu, że to najlepsza pora na wizytę. Co pan Caliph w ogóle może o tym wiedzieć? Sam przecież ani razu się nie pofatygował! Pan Adrian Frank, rzecz jasna, o interesach nie miał nic do powiedzenia; przyszedł tylko przez grzeczność, a także by nam powiedzieć, że właśnie widział się ze swoim bratem w Waszyngtonie – ładna mi pociecha! Są braćmi tylko w tym sensie, że pochodzą od jednej matki; pani Caliph, owdowiawszy, dała się pocieszyć i wydała na świat tego spłonionego chłopca, o dziesięć lat młodszego niż wykształcony Caliph. (Piszę „wykształcony Caliph” dla samego sformułowania. Nie mam najmniejszego pojęcia o jego umiejętnościach; nie wiem dlaczego, lecz wydaje mi się, że człowiek o takim nazwisku powinien mieć ich sporo). Pan Frank, drugi mąż pani Caliph, nie żyje, podobnie jak ona sama, a młody człowiek posiada bardzo znaczny majątek. Jest nieśmiały, skromny, straszliwie się czerwieni, a własne milczenie wprawia go w popłoch; ale jest także wysoki, smukły, jasnooki oraz przypuszczalnie pełen wszelkich zalet. Eunice twierdzi, że wprost niemożliwie różni się od przyrodniego brata; a zatem, być może, choć pewnie nie o to jej szło, jego brat tylu zalet nie posiada. Ocenę to sama, jeśli kiedykolwiek zyskam szansę.

Tak czy inaczej, młody Frank to dżentelmen i mimo rumieńców widział kawał świata. Może właśnie dlatego się rumieni; pewne rzeczy, a jest ich wiele, nam, ludziom, nie przysparzają chluby. Został na lunchu i opowiadał trochę o dalekim Wschodzie – Babilonie, Palmirze, Isfahanie i temu podobnych – skąd niedawno wrócił. Również maluje, chociaż najwyraźniej nie wystawia. Jednak zapytał, czy może zobaczyć moje prace; pokazałam mu więc – ze swym zwykłym spokojem i pewnością siebie – kilka starych akwarel z innego czasu i klimatu, które szczęśliwie zabrałam do Ameryki. Było jasne, że uznał mnie za bardzo zdolną; podejrzewam, że nie pokazując własnych prac, przejawia sporą roztropność. Gdy oświadczyłam, że nie ma tu nic do malowania, prostokątne miasta się nie nadają itd., zapytał, dlaczego nie spróbuję malować ludzi. Jakich ludzi? Z Piątej Alei? Są jeszcze mniej malowniczy niż ich domy. Ci z Szóstej Alei nie są w niczym lepsi, ani ci z Czwartej lub Trzeciej, ani z Siódmej lub Ósmej. Dobry Boże! Co za nazewnictwo! Miasto Nowy Jork przypomina długie dodawanie, a ulice – kolumny liczb. I ja tu żyję, ja, która nie znoszę arytmetyki! Próbowałam malować panią Ermine, ale tylko dlatego, że mnie poprosiła; pani Ermine prosi o wszystko, czego jej się

zachce. Wydaje mi się, że portret szczególnie się jej spodobał – mimo że marny, jest nie dość marny, by ją zadowolić. Sądziłam, że zrobię go z łatwością, gdyż jej wygląd polega głównie na braku – nie ma barwy, nie ma formy, nie ma inteligencji; właściwie mogłam poprzestać na czymś w rodzaju połyskliwej plamy. Odkryłam jednak, że oddanie wyrazu twarzy tak całkowicie pozbawionej wyrazu nastęrcza pewne trudności. Ze swym dużym, bladym, bezkształtnym obliczem, którego nie rozjaśnia najmniejszy błysk zrozumienia, pani Ermine wygłasza nader nieskładne i niespodziewane uwagi. Onegdaj zapytała Eunice, czy nie należałoby wprowadzić do niej kilku panów – najwyraźniej zna ich tak niewielu, jest taka samotna. A kiedy Eunice jej podziękowała, prosząc, by nie zadawała sobie trudu – nie czuje się samotna, w każdym razie nie życzy sobie, aby jej samotność zaludniano w ten sposób – pani Ermine oświadczyła niewzruszenie, że proszę bardzo, to drobiazg, i że to chyba wielka zaleta, kiedy się jest sierotą, bo można liczyć, że ktoś przyprowadzi z wizytą dżentelmenów. – Nie lubię być sierotą, nawet z tego względu – odparła Eunice, która istotnie wcale tego nie lubi, mimo że w przyszłym miesiącu obchodzi dwudzieste pierwsze urodziny i miała kilka lat, żeby się przyzwyczaić. Pani Ermine jest bardzo pospolita, ale uważa się za osobę wysoce dystyngowaną. Bardzo się cieszę, że nie łączy nas bliższe pokrewieństwo. To idiotka i nudziara, niemniej sędzę, że jest nieszkodliwa. Spędza czas, kontemplując powierzchnię świata – czego nie mam jej za złe, bo sama bardzo lubię powierzchnie. Ale ona nie widzi tego, na co patrzy, krótko mówiąc, jest bardzo uciążliwa. To jedna z tych rzeczy, do których Eunice nie chce się przed sobą przyznać – że Lizzie Ermine w końcu zanudzi nas na śmierć. Teraz, gdy wydała obie córki za mąż, czas jej się dłuży; jestem pewna, że zięciowie nie zachęcają jej do odwiedzin. Być może jednak jakoś udaje się jej bywać i u nich, i u nas, jak bowiem kiedyś wyznał mi pewien biedny młody żonkoś, *belle-mère* po ślubie nie da się uniknąć, tak jak lepkich rąk po zjedzeniu miodu. Głupiec może wyrządzić wiele szkód bez żadnej intencji. Ostatecznie, intencje są zawodne, a przypadek poznaje się właśnie po tym, że doszedł do skutku. Pani Ermine mnie nie lubi – sądzi, że powinna być na moim miejscu; że kiedy Eunice utraciła swoją starą guwernantkę, którą trzymała jako „damę do towarzystwa”, powinna była, zamiast zabierać mnie z Rzymu, wrócić do domu i rzucić się na łono jakiejś przytulniejszej formy pokrewieństwa. Jest o mnie zazdrosna i zirytowana, że nie dostarczam jej więcej do tego okazji; bo myślę, że uparła się, iż powinnam należeć do cyganerii, a wtedy mogłaby przekonać Eunice, że jestem nader niewłaściwą osobą. Jestem niezamężna, niemłoda, nieładna, niebogata i niespecjalnie pragnę być lubiana; na kciuku mam paletę i często zaplamiony fartuch – chociaż, wyjąwszy te plamy, udaję nieskazitelnie schludną. Jakim prawem nie należę do cyganerii i nie uczę Eunice palenia papierosów? Jestem przekonana, że pani Ermine czuje zawód, że nie palę. Może i ma rację – za mocno trzymam się swoich przyzwyczajzeń i zasad. Kilka osób było łaskawych nazwać mnie artystką; ale nią nie jestem. Jestem tylko, na małą skalę, robotnicą. Chodzę zbyt prosto; od dziesięciu lat nikt mnie nie prosił do tańca! Szkoda, pani Ermine, że nie mogę pani wyświadczyć przysługi i od czasu do czasu zanurzyć się w cyganerii! Ale nie da się mieć wad związanych z cechami, których się nie posiada. Nie jestem artystką, zbyt wiele we mnie krytyka. Kobieta krytyk to chyba rodzaj potwora; kobiety

mogą tylko być krytykowane. Dlatego zachowuję to wszystko dla siebie – dla siebie, czyli dla tego zeszytiku. Kilka miesięcy temu znużyłam się sobą i zamknęłam siebie na klucz w biurku. Była to jakby kara, lecz także wielkie wytchnienie – na chwilę przestać oceniać, przestać się przejmować. Teraz, gdy wyszłam na zewnątrz, pewnie powinnam złożyć przysięgę, że nie będę złośliwa.

Czytając to, co napisałam, zastanawiam się, czy warto było wrócić do dziennika. Niemniej, czemu nie skorzystać z faktu, że uważają mnie za niemłą – nie skorzystać z luksusu, jakim jest zapisywanie spostrzeżeń? Kiedy jest się biedną, brzydką, dumną – a w tym prywatnym miejscu pozwolę sobie dodać, i bystrą – pewien rodzaj zemsty staje się niezbędny!

10 kwietnia. Znów był u nas Adrian Frank i chyba się nam spodobał (wystarczy jako pierwsza nuta w bardziej życzliwym tonie). Ma bardzo niebieskie oczy i bardzo białe zęby – dwie rzeczy, które zawsze mi się podobały. Zrobił się znacznie bardziej rozmowny i niemal obiecał pokazać mi swoje obrazy – mimo faktu, że najwyraźniej wciąż jest pod wrażeniem moich umiejętności. Może odkrył, że próbuję być życzliwa! Chce nas zabrać na przejażdżkę – to znaczy Eunice, bo ja, naturalnie, pojedę tylko dla przyzwoitości. Ona nie wychodzi sama z młodymi panami; jej edukacja nie obejmuje tego składnika. Wczoraj powiedziała do mnie: – Jedynym mężczyzną, z którym pojedę gdzieś sama, będzie człowiek, którego poślubię. – Tak rzadko mówi o małżeństwie, że zrobiło to na mnie wrażenie. Podobno to nieuchronny temat dziewczęcych rozmów, ale trudno o młode kobiety, które zajmują się nim mniej niż ja i ona. Chyba mogę powiedzieć, że w ogóle go nie poruszamy. Sądzę, że gdyby jakiś mężczyzna przeczytał te słowa, byłby bardzo zdziwiony i nieszczerólnie zbudowany. Skoro jednak nie ma takiego zagrożenia, pozwolę sobie dodać, iż zawsze milcząco zakładałam, że Eunice wyjdzie za mąż. W żadnym razie nie udaje, że nie; i jeśli się nie mylę, stać ją na uczucie, którego oczekuje się od dobrej żony. Im dłużej z nią mieszkam, tym bardziej widzę, że to kochana dziewczyna. Teraz, kiedy ją lepiej poznałam, dostrzegam jej całkowitą naturalność. Kiedyś myślałam, że za bardzo się stara – a nawet, być może, przygląda się sobie z pewnym ukradkowym podziwem. Ale to dlatego, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, iż jej pobudki są takie proste. Po prostu nie chce cierpieć – ogromnie się tego boi – dlatego pragnie być czuła dla wszystkich, łagodzić ogólną sumę cierpienia w nadziei, że jej się upiecze. Biedactwo! Nie wie, że możemy zmniejszyć cierpienie innych, jedynie biorąc na siebie jego część; ilość tego towaru w świecie jest zawsze taka sama, tylko rozkład się zmienia. Wszyscy usiłujemy wykręcić się od swojej porcji i niektórym się to udaje. Ja uważam, że najlepiej o tym nie myśleć i malować akwarelki; Eunice sądzi, że najlepszy sposób to okazywać szczodrość i nie potępiać nikogo, zanim się go wysłucha.

Dzieje się wiele rzeczy, o których tu nie wspominam; wydarzenia towarzyskie, tak się podobno je określa. Ludzie składają nam wizyty i czasem zapraszają nas na przyjęcia. Bywamy na koncertach, które często są bardzo dobre. Codziennie chodzimy na spacer, ja czytam Eunice na głos, a ona dla mnie gra. Kilka razy w tygodniu zjawia się pani Ermine i przynosi wieści z miasta – znacznie więcej, niż potrzebujemy. Uważa, że kryjemy się w norze; niejednokrotnie wyrażała przekonanie, iż pod względem

towarzyskim nic nie mogę zrobić dla Eunice. Co do tego ma całkowitą rację; zdają sobie sprawę, że towarzysko niewiele znaczą. Ale zdają sobie również sprawę, że mojej kuzynki nie trzeba popychać. Niewiele wiem o tutejszych ludziach i ich sprawach, lecz wiem dość, aby dostrzec, że jacykolwiek by byli, najlepsi z nich są na jej usługi. Pani Ermine sądzi, że to wielka szkoda, iż Eunice przybyła pod koniec sezonu, zbyt późno, by z nią „wychodzić”; potem jest już niewiele zabaw, przy których nie wystarczy moja ochronna obecność. Jednak Eunice wcale się do tego nie kwapi; często wręcz dziwię się jej obojętności. Nigdy nie myśli o tańcach, które ją ominęły, ani nie pyta o te, na których wciąż mogłaby się pokazać. Nie jest smutna, nie cierpi na melancholię, ale z pewnością pozostaje dość indyferentna. Lubi czytać, rozmawiać ze mną, muzykować i jadać na mieście, kiedy przypuszcza, że dojdzie do „prawdziwej rozmowy”. Ma niezwykle upodobanie do prawdziwych rozmów; pochlebiamy sobie, że między nami często do nich dochodzi. Rozmawiamy o życiu, religii i George Eliot; i wszystko to, mam nadzieję, jest dostatecznie prawdziwe. Eunice dużo rozumie i ma całe mnóstwo opinii; to bez wątpienia nowoczesna młoda kobieta, choć jej maniere nie są nowoczesne. Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego, jak powiada pani Ermine, życzy sobie być tak okropnie spokojna. I to nie przeze mnie, mimo podejrzeń owej damy, że jest inaczej. Co wieczór chodziłabym z Eunice na przyjęcia, gdyby sobie tego życzyła, rozsyłałabym wizytówki, obwieszając, że „przyjmujemy”. Lecz jej ambicje nie są ambicjami młodej dziewczyny; a w każdym razie jeżeli czeka na to, co zwykle dziewczyny, to czeka bardzo cierpliwie. Jak mówiłam, nie bardzo potrafię odgadnąć, na czym polega sekret jej cierpliwości. Jednak nie muszę; to nie jest konieczne – nie umawialiśmy się, gdy do niej dołączyłam, że nie będziemy nic przed sobą ukrywać. Ja ukrywam przed nią bardzo wiele, przynajmniej mam taką nadzieję: na przykład, jak przeraźliwie się nudzę. Sądzę, że jestem równie cierpliwa jak ona; ale też ja mam pewne rzeczy do pomocy – mój wiek, moją rezygnację, moje zdolności, oraz, zapewne, moją zarozumiałość. Pani Ermine nie przyprowadza młodych ludzi, lecz mówi o nich po imieniu, Harry i Freddy. Bardzo chce, by Eunice wyszła za mąż, chociaż nie wiem, jaką miałaby z tego korzyść. Najwyraźniej to bezinteresowne uwielbienie małżeństwa – a raczej, rzekłabym, uwielbienie ślubów. Żyje w świecie „zaręczyn” i obwieszcza coś nowego za każdym razem, gdy do nas przychodzi. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby tak często się pobierano. Pani Ermine marzy o tym, by móc powiedzieć ludziom, że Eunice się zaręczyła; jej kuzynka nie może być pozbawiona takiego wyróżnienia. Swoją drogą, ktokolwiek ją poślubi, obejmie całkiem sporą fortunę.

Trzy dni temu właściwie po raz pierwszy opowiedziała mi o swoich sprawach. Wie o nich mniej, niż sądzi – to dostrzegłam; ale wie rzecz najważniejszą, to znaczy, że w dwudziestym pierwszym roku życia, wedle zapisu w testamencie matki, stanie się panią swego majątku, którego pan Caliph przez ostatnie siedem lat był jedynym opiekunem. Owego dnia pan Caliph przekaze jej trzysta tysięcy dolarów, które tak długo zabezpieczał i pielęgnował. Najwyraźniej po tym cudownym człowieku oczekuje się wiele w każdej sytuacji! Określam go w ten sposób, sądzę bowiem, że dokonał rzeczy cudownej, dając się wyznaczyć jedynym depozytariuszem majątku sieroty na mocy testamentu bardzo zatroskanej, zapobiegliwej, kochającej matki, której jedynym

pragnieniem było przygotowanie dziecka do owocnej pełnoletniości, i która, co więcej, darzyła pana Calipha bardzo wielkim uznaniem, mimo że nie znała go zbyt długo. Był przyjacielem – i to bliskim – jej męża, który u kresu swych dni poprosił go, by zaopiekował się jego żoną. Jednakże ojciec Eunice nie uczynił go powiernikiem swego majątku; przekazał go w inne ręce i z tamtej strony Eunice ma bardzo dokładne rozliczenia. Niestety, ta część spadku to zaledwie jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jej matka względem pana Calipha postąpiła bardzo po kobiecemu – mogę się tak wyrazić w zaciszu tych kartek. Chociaż sędzę, że w stosunkach z panem Caliphem wszystkie kobiety są bardzo kobiece. Przy Eunice nazywam go „Harun-al-Raszyd”; przypuszczalnie spodziewa się nas zastać w stanie orientalnej prostracji. Ona wszakże zapewnia, że to nie jest ani trochę Turek Okrutnik i że trzy lata temu, gdy wyjeżdżała do Europy, nikt nie mógł być miłszy i bardziej uprzejmy. Bezustannie jej wówczas towarzyszył, był przy niej całymi miesiącami i jego atencja musiała wywrzeć na niej duże wrażenie. Taka reakcja to rzecz naturalna w wypadku siedemnastoletniej dziewczyny; więc powiedziałam jej, by przygotowała się na ujrzenie w nim dziś postaci znacznie mniej olśniewającej. Nie wiem, jak oceni niektóre z jej planowanych wydatków – założenie ogrodu w stylu włoskim przy domu nad rzeką, ufundowanie łóżeczka w szpitalu dziecięcym, dobudowanie pokoju muzycznego na tyłach domu. Następnej zimy Eunice zamierza przyjmować; ale pragnie przejawiać oryginalność w formie naprawdę dobrej muzyki. Niewątpliwie okaże się dość rozrzutna, przynajmniej z początku. Pan Caliph, rzecz jasna, nie będzie już miał żadnej władzy, niemniej może wciąż jej doradzać jako przyjaciel.

23 kwietnia. Dzisiaj pod nieobecność Eunice pojawił się pan Frank, który, jak mi później powiedziano, był dość uprzejmy, by zapytać o mnie, mimo że *padronina* wyszła. Wyjaśniłam mu, że poszła do pani Ermine i że pani Ermine to jej kuzynka.

– Mogę zatem powiedzieć to, czego bym nie zdołał, gdyby tu była – rzekł z owym szczególnym uśmiechem, przy którym pokazuje zęby i mruży powieki. Gdyby był młodym wieśniakiem, można by to nazwać szczerzeniem zębów. Nie jest to całkiem uśmiech prostaka, niemniej jest bardzo prosty.

– Cóż takiego? – zapytałam zachęcająco.

Wahał się chwilę, podczas gdy ja podziwiałam jego zęby, których z pewnością nie chciał wystawiać na pokaz; oczekiwałam czegoś cudownego. – Mimo że ma jasne włosy, jest naprawdę bardzo ładna – oznajmił w końcu.

Trochę mnie rozczarował, posunęłam się więc do oznajmienia, iż mógł uczynić tę uwagę w jej obecności.

Tym razem jego błękitne oczy pozostały szeroko otwarte. – Naprawdę tak pani sądzi?

– „Mimo że ma jasne włosy”, tę część być może należałoby pominąć; ale reszta z pewnością sprawiłaby jej przyjemność.

– Naprawdę tak pani sądzi?

– Cóż, „naprawdę bardzo ładna” nie jest, być może, całkiem stosowne; wydaje się sugerować pewne zdziwienie. Mógłby pan opuścić „naprawdę”.

– Pani by chciała, żebym opuścił wszystko – zaśmiał się, jakby moje słowa wydawały mu się niezwykle zabawne.

– Sedno rzeczy by zostało; „jest pani bardzo ładna”, to byłoby niespodziewane i miłe.

– Pani się ze mnie śmieje! – zawołał biedny pan Frank bez urazy. – Nie mam prawa tak mówić, póki nie upewnię się, że mnie lubi.

– Ależ lubi pana; nie widzę nic złego w tym, że pan się o tym dowie. – Wydał mi się tak skromny, tak naturalny, że poczułam się swobodnie, jakbym się zwracała do grzecznego dziecka; a właściwie nawet do kogoś więcej, gdyż dziecko, któremu można powiedzieć coś takiego, musiałyby być mocno ugrzecznione, a pan Adrian Frank ugrzeczniony nie był. Pojęłam to ze sposobu, w jaki odpowiedział; był on dość dziwny.

– Mój brat się ucieszy, gdy się o tym dowie!

– Tak go interesuje, jakie pan robi wrażenie?

– O, tak; chce, żebym dobrze wypadł. – Zostało to powiedziane ze wzruszającą niewinnością, jakby całkowicie przyznawał się do własnej niższości. Być może sprawił to ton; w każdym razie Adrian Frank porzucił nadzieję, że wypadnie równie dobrze jak jego brat. Ciekawe, czy człowiek naprawdę musi być gorszy, aby popaść w taki stan ducha? Tak czy inaczej, musiał być bardzo przywiązany do brata, sądzą nawet, że często się poświęcał. Młody człowiek zadał mi mnóstwo pytań dotyczących kuzynki; zrobił to prosto, szczerze, jakby stawianie pytań, kiedy chcemy się czegoś dowiedzieć, było rzeczą całkowicie naturalną. I zapewne jest, ale po co chciał się dowiedzieć? Niektóre z jego pytań z pewnością były jałowe. Co mogło go obchodzić, czy ona ma jednego pieska, czy trzy, albo czy jest wielbicielką muzyki przyszłości? „Czy dużo wychodzi, czy woli cichy wieczór w domu?” „Czy lubi mieszkać w Europie i którą jej część preferuje?” „Czy ma wielu krewnych w Nowym Jorku i czy często się z nimi widuje?” We wszystkich tych kwestiach czułam się zobowiązana do pewnego stopnia zaspokoić ciekawość pana Franka, potem jednak uznałam, że mam prawo zapytać, dlaczego chce to wiedzieć. Wyraźnie się zdziwił, że go sprawdzam; mocno się zaczerwienił, aż przez chwilę poczułam się tak, jakbym zadała prostackie pytanie. Pojęłam, że nie miał konkretnego powodu, że chciał tylko być uprzejmy i wyrażał zainteresowanie najlepiej, jak umiał. Zmieszał się, ale nie do tego stopnia, żeby się oddalić. Siedział jeszcze pół godziny, pozwalając, bym za pomocą przyjaznej rozmowy wynagrodziła mu wstrząs, na jaki go naraziłam. Wspomnę tutaj – gdyż chcę to ujrzyć czarno na białym – że p o t r a fi ę rozmawiać bardzo przyjaźnie. Słuchał z nader pochlebnią uwagą, błyskając na zmianę błękitem oczu i bielą zębów, i śmiał się szeroko, jakbym miała poczucie humoru. Nic mi o tym nie wiadomo. Wreszcie, gdy urwałam na chwilę, rzekł do mnie, całkiem nie à propos: – Czy sądzi pani, że szkoła realistyczna to coś... aa... godnego podziwu? – Pojęłam wówczas, że już zapomniał o wcześniejszym sprawdzianie – taki był skutek mojej życzliwości – i że zada mi tyle pytań osobistych, na ile mu pozwolę. Odpowiadałam mu chętnie, lecz tak, jak mi się podobało. Są rzeczy, których nigdy o sobie nie zdradzę, a najprostszym sposobem, by ich nie zdradzić, jest powiedzieć coś odwrotnego. Skoro ludzie są nietaktowni, niech ponoszą konsekwencje. Oświadczyłam, że szkoła realistyczna napawa mnie odrazą; że Nowy Jork to miasto nader interesujące i sympatyczne; że amerykańska dziewczyna to, moim zdaniem, najwspanialszy wytwór cywilizacji. Jestem pewna, że go przekonałam, iż jestem kobietą wyjątkową. Odszedł, zanim Eunice wróciła. Czarujący młodzieniec – typ jankeskiego Donatella. Gdybym

mogła zostać jego Miriam, sytuacja byłaby niemal idealna, gdyż Eunice to znakomita Hilda¹¹.

26 kwietnia. Pani Ermine była dziś w wielkiej formie; opisała wszystkie piękne rzeczy, które Eunice będzie mogła sobie kupić, kiedy dostanie pieniądze do ręki. Komplet z koronki mechelińskiej, diamentowa *rivière*, którą onegdaj widziała u Tiffany'ego, angielski faeton z parą kuców i małym forysiem, stadko mopsów, żeby dreptały po salonie – wszystkie te zbytki, zdaniem pani Ermine, są absolutnie niezbędne. – Chciałabym wiedzieć, że je masz, dobrze by mi to zrobiło! – oświadczyła. – Lubię widzieć ludzi otoczonych ładnymi rzeczami. Świadomość, że masz ten koronkowy komplet, sprawiłaby mi więcej przyjemności, niż gdybym sama go miała. Nic na to nie poradzę, taką mnie stworzono. Kiedy inni mają ładne rzeczy, częściej ich widuję i wtedy pragnę ich dobra; uznasz mnie za próżną, że tak mówię, ale nie dbam o to. Nie zaznam szczęścia, póki nie ujrzę cię w angielskim faetonie. Foryś nie powinien mierzyć więcej niż trzy stopy i sześć cali. Uważam, że powinnaś pokazać, za kogo się masz.

– Jak to, za kogo się mam? – zdziwiła się Eunice.

– No, za uroczą pannę z bardzo okazałym majątkiem.

– Nigdy nie pokażę więcej niż teraz.

– Powiem ci, co teraz pokazujesz; pokazujesz pannę Condit. – Tu pani Ermine obróciła ku mnie swoją dużą niemądrą twarz. – Uważaj, bo pokryje cię tapetą w stylu Williama Morrisa i wtedy wszystkie koronki świata nic nie pomogą!

– Nie nadażam za panią... nigdy za panią nie nadażam – powiedziałam, żałując, że nie mogę narysować jej takiej, jaka siedziała przede mną. Była zupełnie groteskowa.

– Wolalabym podróżować bez pani – ucięła.

– Myślę, że kiedy obejmę majątek, będę robić dokładnie to, co dotychczas – rzekła Eunice. – W końcu na czym miałyby polegać różnica? Dzisiaj mam wszystko, co kiedykolwiek będę miała. To wystarczy aż nadto.

– Nie będziesz musiała prosić o wszystko pana Calipha.

– Teraz też o nic go nie proszę.

– Cóż, moja droga – westchnęła pani Ermine – nie zasługujesz na to, aby być bogatą.

– Nie jestem bogata – powiedziała Eunice.

– No, skoro chcesz mieć milion!

– Niczego nie chcę – oznajmiła Eunice.

To nie całkiem jest prawda. Ona czegoś chce, ale ja nie wiem, co to takiego.

2 maja. Pan Caliph naprawdę jest zachwycający. Pojawił się dzisiaj i podbił nas całkowicie. Kiedy mówię, że nas podbił, chcę powiedzieć, że podbił mnie; Eunice nie musiała przewycięzać żadnych uprzedzeń. Gdy po jego odejściu zauważyłam: – Twój powiernik to bardzo bystry człowiek – jedynie uśmiechnęła się lekko i odwróciła w milczeniu. Zapewne rozbawiła ją poważna mina, z jaką oznajmiłam o tym odkryciu; Eunice dokonała go kilka lat temu i nie umiała już się nim ekscytować. Myślałam, że usłyszę jakąś wzmiankę o tym, że ją zanieczyścił – choćby jakieś wyjaśnienie długiej nieobecności. Lecz on zrobił coś znacznie lepszego. Nie złożył dosłownych przeprosin; jedynie zachowaniem, spojrzeniem i głosem dał wyraz serdeczności – uroczej dobroci,

która zawierała i przerastała wszelkie przeprosiny. Robi wrażenie trochę zmęczonego i zatroskanego; najwyraźniej trzyma wiele srok za ogon i przez tych kilka ostatnich tygodni był zajęty większymi sprawami aniżeli przeżycia dziewczynki z Nowego Jorku, której parę lat temu zdarzyło się mieć egzaltowaną matkę. To człowiek na wskroś życzliwy i najlepszy rozmówca, jakiego spotkałam od przyjazdu. Zupełnie inny typ niż młody Adrian; ani trochę przystojny, w gruncie rzeczy dość brzydki, lecz brzydota szlachetną, wyrazistą, malowniczą. Lat około czterdziestu, duży i zażywny, być może nawet tęgi, ma w sobie coś, czego nie umiem określić inaczej niż jako intensywność. Widziałam tak obdarzonych Włochów, ale wśród Amerykanów on jest pierwszy. Przemawia nie tylko ustami, ale i oczyma, swoją cudownie ruchliwą twarzą. Uśmiech ma częsty i czarowny, dłonie kształtne, lecz wyraźnie tłuście, bladą cerę i wspaniałą brązową brodę – brodę Haruna-al-Raszyda. Przypuszczalnie... powinnam to zapisać małymi literkami... w głębi duszy jestem przekonana, że jest Żydem lub ma żydowskie pochodzenie. Dostrzegam to w jego pulchnej białej twarzy, której odcień spodobałby się malarzowi i która przywodzi na myśl klęskę, a przecież jest tak ożywiona; w niezwykłych oczach, pełnych pradawnych odczuć – odczuć, których ślad pozostał, choć dzisiaj nie są już aktywne; w profilu, w namaszczonej brodzie, nawet w pierścieniach na spiczastych palcach. Jego przyrodni brat cierpi na zupełny brak tych rzeczy; przypuszczam więc, że Caliph żydowską krew ma po ojcu. Moim zdaniem, nie wygląda jak dżentelmen; wymyka się takim ocenom. Ale nie będąc dżentelmenem, nie jest także mieszczuchem – ani, w najmniejszym stopniu, typem cygana. Krótko mówiąc, twierdzę, że to Żyd; a Żydzi z klas wyższych mają swój własny styl. Jest bardzo inteligentny oraz, jak sędzę, autentycznie dobry. Nie ma nic bardziej czarującego niż sposób, w jaki zwraca się do Eunice – przejawia niemal ojcowskie zainteresowanie zmieszane z aurą pełnej szacunku galanterii (udziela jej dobrych rad, jednocześnie prawiąc komplementy); a całość w najmniejszym stopniu nie jest przesadzona. Sędzę, że znalazł ją odmienioną – stała się „bardziej osobą”, jak powiada pani Ermine; sędzę nawet, że był odrobinę zaskoczony. Ona chyba trochę się go obawia, co z kolei zaskoczyło mnie – przecież, według jej własnych słów, od dawna łączy ich wielka zażyłość. Styl ma niewątpliwie kwiecisty; dla mnie był niezwykle uprzejmy, to część tej kwiecistości. Zapytał, czy znamy jego przyrodniego brata, i błagał, byśmy dobrze go traktowały i pozwoliły mu często nas odwiedzać. Frank nie zna wielu ludzi w Nowym Jorku, a dla młodzieńca w tym wieku (cytuje pana Calipha) możliwość swobodnego obcowania z dwiema uroczymi paniami warta jest wszelkich pieniędzy. – Żeby poznać Adriana, trzeba włożyć wiele pracy; jest strasznie nieśmiały, ale nadzwyczaj inteligentny; i ma ogromnie słodki charakter! Jestem do niego bardzo przywiązany – jest wszystkim, co mam. Niestety, nieszczęściem biednego chłopca są jego zdolności. W tym kraju taki człowiek nie ma nic do roboty; nienawidzi interesów i nie ma do nich absolutnie żadnego talentu. Przyślę go tutaj, kiedy go następny raz zobaczę. – Eunice nic na to nie odpowiedziała; właściwie rzadko reagowała na uwagi pana Calipha, siedziała tylko i z uśmiechem wpatrywała się w podłogę. Uznałam zatem za właściwe oznajmić, że, naszym zdaniem, pan Frank jest bardzo miły i mamy nadzieję, że wkrótce znów do nas zajrzy. Następnie wspomniałam, że onegdaj był u mnie samej z długą

wizytą; że rozmawialiśmy przez godzinę i zostaliśmy świetnymi przyjaciółmi. Pan Caliph, gdy to mówiłam, siedział pochylony do przodu, z łokciem na kolanie, zanurzony wzniesioną dłoń w gęstej brodzie; druga ręka, zgięta w łokciu, spoczywała na drugim kolanie; głowę odwrócił nieufnie i zerkał na mnie byстрыm ciemnym okiem – okiem człowieka znacznie starszego. Mógłby pozować do akwareli; gdybym go malowała, ubrałabym go w spiczasty kołpak i szatę o bursztynowej barwie, ciasno, raz przy razie, opasaną długą, szeroką szarfą z różowego jedwabiu, za którą zatknięto mnóstwo noży o wysadzanych klejnotami rękojeściach. Nasze oczy się spotkały i przez chwilę mierzyliśmy się spojrzeniem. Nie wiem, czy jest próżny, myślę jednak, że musi widzieć, że go doceniam; jestem pewna, że wszystko rozumie.

– Podoba mi się, kiedy pani tak mówi – zauważył po jakiejś minucie.

– Miło mi słyszeć, że się panu podobam! – Na piśmie wygląda to ohydnie szelmowsko.

– Nie każdy mi się podoba – rzekł pan Caliph.

– Ani nam, Eunice i mnie; prawda, Eunice?

– Mimo że się staramy – odparła z najpiękniejszym z uśmiechów.

– Staramy się? Boże broń! Stanowczo protestuję! – zawołałam. – Eunice – rzekłam do pana Calipha – stanowczo jest zbyt dobra.

– Uczciwie do tego doszła. Twoja matka była aniołem, moje dziecko – dodał, zwracając się do niej.

Kuzynka Letitia bynajmniej aniołem nie była, ale już wspominałam, że pan Caliph wyraża się kwieciście. – Pan był dla niej bardzo życzliwy – szepnęła Eunice, wznosząc ku niemu oczy.

Podniósł się; stał już przed nami. Skłonił głowę i uśmiechnął się jak Włoch. – Musisz być taka sama jak ona, moje dziecko.

– Cóż mogę zrobić? – zapytała Eunice.

– Możesz we mnie wierzyć, możesz mi zaufać.

– Ależ ufam, panie Caliph! Proszę mnie wypróbować!

Taka wylewność była niespodzianką i odruchowo odwróciłam się od nich. Nie wiem, co jej zrobił za moimi plecami – niewykluczone, że ją pocałował. Kiedy mówi się do dziewczyny „moje dziecko”, przypuszczalnie wolno ją pocałować, ale być może to tylko moja bujna wyobraźnia. Gdy znów nań spojrzałam, wziął już kapelusz i laskę – że nie wspomnę o dopięciu obcisłego płaszcza na bardzo pokaźnej osobie – i szykował się, by podać mi dłoń na pożegnanie.

– Tak się cieszę, że pani z nią jest. Tak się cieszę, że ma taką wykształconą... taką zdolną towarzyszkę.

– Zdolną do czego? – zaśmiałam się, gdyż jego słowa były niedorzeczne; nic nie wie o moim wykształceniu.

Pan Caliph nie ma w sobie nic solennego, jednak obrzucił mnie spojrzeniem, którym zdawał się sugerować, że moja beztroska jest w złym guście. Tak, to upokarzające, że to zapisuję, ale zostałam ofuknięta przez Żyda o tłustych dłoniach!

– Zdolna udzielić jej dobrej rady! – rzekł cicho.

– Ach, nie mówmy o radach! – zawołała Eunice. – Rady zawsze przywołują na myśl kłopoty, a ja bardzo się boję kłopotów.

– Powinnaś wyjść za mąż – oznajmił z uśmiechem, który powrócił na jego twarz.

Eunice zarumieniła się i odwróciła głowę, ja zaś wtrąciłam, żeby coś powiedzieć, że dokładnie to samo mówi pani Ermine.

– Pani Ermine? Ach, słyszałem, że to urocza kobieta! – I zaraz potem odszedł.

Właściwie była to jedyna nieprzekonująca rzecz, którą powiedział – jedyne ustępstwo na rzecz pustej formy, gdyż oczywiście nikt nie mógłby uznać pani Ermine za uroczą, a już na pewno nie taki bystry człowiek jak on. Nie lubię, kiedy Amerykanie są podobni do Włochów, a Włosi do Amerykanów; lecz poza tym pan Caliph jest bardzo ujmujący. Czuliśmy się cudownie w jego towarzystwie; rozpuści nas pod względem oczekiwań wobec innych ludzi. Nie uczynił żadnej wzmianki o interesach, nie umówił się z Eunice, by jej przedstawić bieżące sprawy, ale przyszło mi to do głowy dopiero pół godziny po jego odejściu. Nic nie powiedziałam Eunice, wystarczy, że sama zauważy przeoczenie. Poza tym tylko jedno wzbudzało wątpliwości, a mianowicie prośba pana Calipha, by Eunice mu uwierzyła, by mu zaufała. A dlaczegoż by nie? Ta wypowiedź była tyleż osobliwa – dziwne, ale tak to właśnie wyglądało – co niesłychanie naiwna. Ale o tę cechę pana Calipha podejrzewać nie sposób; czy kto kiedyś widział naiwnego Żyda? Po jego wyjściu miałam już zapytać Eunice: „A tak na marginesie, czemu nigdy nie wspomniałaś, że to Hebrajczyk? To ważny szczegół”. Ale się powstrzymałam, wiedzona nieokreślonym odruchem, i teraz się z tego cieszę. Nie przypuszczam, by Eunice kiedykolwiek na to wpadła, i nie sądzę, by była zadowolona, gdyby tak się stało. To, że ja zorientowałam się niemal natychmiast, dowodzi jedynie, że mam zwyczaj studiować ludzki profil!

9 maja. Pani Ermine musiała odkryć, że pan Caliph słyszał, iż jest urocza, gdyż nieustannie tu wpada w nadziei, że go zastanie. Najwyraźniej sądzi, że on bywa u nas codziennie; kiedy bowiem na niego nie trafia, co zdarzyło się już trzykrotnie (to znaczy, zjawiała się tuż po jego wyjściu), oświadcza, że jeśli nie złapie go jutro, to sama złoży mu wizytę. Jak sądzę, jest do tego zdolna; nie ma znaczenia, że on jest nader zajęтым mężczyzną, a ona nader beczynną kobietą. Od pierwszych odwiedzin był tu czterokrotnie, jakby pragnął nadrobić wcześniejsze zaniedbania. Wobec Eunice zachowuje się nienagannie; nadal mówi do niej „moje dziecko”, ale tonem neutralnym, bezosobowym, jak mógłby to robić katolicki ksiądz. Opowiada nam o Waszyngtonie, o tamtejszych ludziach, a my zastanawiamy się, czy spodobałaby się nam Ulica K lub Ulica 14 i ½. I nadal, o ile wiem, ani słowa o interesach Eunice; zachowuje się, jakby po prostu o nich zapomniał. Jak widać, jego prośba onegdaj, by mu „wierzyła”, była całkiem stosowna, gdyż owa wiara nie przyszłaby automatycznie. Z drugiej strony, jest taki miły, że człowiek chce wierzyć po prostu dlatego, by mu wyświadczyć przysługę. Prowadzi bardzo wiele różnorodnych interesów powierniczych i prawnych. A przynajmniej tak mówi; w gruncie rzeczy, wiemy o nim niewiele ponad to, co sam opowiada. Mówiąc „my”, oczywiście mam na myśli przede wszystkim siebie, gdyż wciąż zapominam, że dla Eunice on nie jest kimś tak nowym jak dla mnie. Ona wie to, co wie; ja wiem tylko to, co widzę. Sporo się zastanawiałam, co wiadomo o panu Caliphie „na mieście”, jak tu powiadają, jednak bez wielkich skutków, bo naturalnie nie wybiorę się na miasto, żeby to sprawdzić. Konieczność zachowania pozorów wyklucza zadawanie

pytań; byłoby to dla Eunice kompromitujące, ktoś mógłby pomyśleć, że na niego narzeka – co, jak dotąd, nie miało miejsca. Ona lubi go takiego, jakim jest, i najwyraźniej jest całkiem zadowolona. Ponadto, jak rozumiem, panuje opinia, że jest niezmiernie błyskotliwy, choć trochę dziwak, i że zrobił bardzo duże pieniądze. Robi wszystko na swój własny sposób, wnosząc na giełdę i Wall Street wyobraźnię, humor i poczucie piękna. Onegdaj pani Ermine oznajmiła, że jest „najbardziej fascynującym mężczyzną w Nowym Jorku”, ale to romantyczny pogląd z szykownych dzielnic i nie o to mi chodzi. Brat pana Calipha wyjechał na kilka dni z miasta, on jednak nadal poleca młodego Adriana naszej gościnności. Doprawdy, w jego stosunku do tego dość ograniczonego młodzieńca jest coś, co mnie wzrusza.

11 maja. Pani Ermine jest w świetnym humorze; poznała pana Calipha – nie wiem gdzie – i w pełni potwierdza zdanie wyższych sfer. Uważa, że to najbardziej fascynujący mężczyzna, jakiego w życiu widziała, i dziwi się, że tak mało o nim mówiłyśmy. Taki przystojny i świetnie wychowany; ma takie doskonałe maniery; po prostu kochany z niego gość. Ja, w swej złośliwości, odkąd wysłuchałam wrażeń pani Ermine, oczywiście oceniam go o kilka stopni gorzej. Nie jest przystojny, nie jest świetnie wychowany, a jego maniery są dalekie od doskonałości. Ale są oryginalne i pełne wyrazu; jeśli ktoś go lubi, czekanie na to, co powie i zrobi, może być interesujące. Lecz dla kogoś, kto go przypadkiem nie lubi, będzie on nieznośny, a jego sposób bycia poufały i prostacki. Co do wychowania, rzeczywiście, dostrzegam w nim znamiona starożytnej rasy; jednakże nie sądzę, aby pani Ermine spodobało się, gdybym wykrzyknęła: „O tak, to żydowska krew!”. Poza tym nie mogłabym tego zrobić przy Eunice. Być może zanedbuję się z Eunice; być może zawodzi mnie mój zwyczaj, by próbować przeniknąć kogoś na wylot; być może interpretuję sprawy zbyt obszernie, jak wówczas (wiem o tym), kiedy malując stary mur, staram się mu nadać więcej „charakteru”; w końcu charakter w starych murach występuje w skończonej ilości. W każdym razie wydaje mi się, że w kwestii pana Calipha Eunice jest trochę nerwowa, co wyszło na jaw, kiedy pani Ermine wróciła do tematu. Długo rozwodziła się nad tym, jakie to dziwne, że go dotąd nie spotkała, „bo w końcu – zauważyła – obracamy się w tych samych sferach; on bywa w najlepszym towarzystwie”. Często słyszała, jak Eunice mówi o swym plenipotentie, lecz przypuszczała, że ów plenipotent to jakiś wstrętny staruch, który cały dzień przesiaduje w biurze nad stertą papierów. Nigdy nie podejrzewała, że to książe w przebraniu. – My też gdzieś mamy jakiegoś powiernika, tyle że ja go nie widuję; wszystkie interesy załatwia mój mąż. Jeśli to ktoś podobny do pana Calipha, to nic dziwnego, że go trzyma w ukryciu. – Po czym nagle zwróciła się do Eunice: – Moja droga, dlaczego za niego nie wyjdiesz? Wydaje mi się, że byś chciała. – Pani Ermine nie przenika nikogo na wylot; wystarczy, że go szturchnie parasolką. Eunice spłonęła rumieńcem i odparła, że na razie nie została poproszona o rękę; wyraźnie nie spodobał się jej żart pani Ermine, rzecz jasna, płaski jak deska. Następnie rzekła: – Za pana Calipha wyszłabym z przykrością, nawet gdyby się oświadczył. Lubię go, ale nie do tego stopnia, żeby go poślubić.

– Moim zdaniem, byłby całkiem w twoim stylu: jest taki czytany. Podobno pisze – ciągnęła pani Ermine.

– Cóż, ja nie piszę – zaśmiała się Eunice.

– Mogłabyś, gdybyś spróbowała. Jestem pewna, że napisałabyś śliczną książkę. –

Życzliwość pani Ermine nie zna granic.

– Dobrze ci tak mówić, ty nic nie czytasz.

– Nie mam kiedy – wyznała pani Ermine – ale lubię rozmowy o literaturze. To wielka oszczędność czasu poznawać ją w ten sposób. Pan Caliph tyle o niej wie.

– Zachowuje tę wiedzę dla pani – pozwoliłam sobie zauważyć. – Przy nas jest bardzo figlarny.

– Figlarny, czyli jaki? Dla pani pewnie i modlitewnik jest figlarny!

– Pan Caliph nigdy się z nikim nie ożeni – rzekła Eunice po namyśle. – Tego jestem całkiem pewna.

Pani Ermine wlepiła w nią zdumiony wzrok; nigdy nie jest tak pozbawiona wyrazu jak wówczas, gdy się dziwi. Ale zaraz ochłonęła: – Nie daj się nabrać! Kiedy już wszystkie z niego zrezygnujecie, weźmie sobie jakąś cichą kobietkę.

Eunice siedziała przy fortepianie, lecz po wejściu kuzynki określiła się na stołku. Teraz znów odwróciła się do klawiatury i wzięła kilka niepewnych akordów, jakby szukając czegoś po omacku. – Proszę, nie mów tak, nie lubię tego – powiedziała, nie przerywając gry.

– Będę mówić, jak tylko sobie życzysz! – zakrzyknęła pani Ermine ze swoim pustym śmiechem.

– Uważam, że to niskie. – Jak na Eunice była to wielka surowość. – Dziewczeta nie zawsze myślą o małżeństwie. Nie zawsze myślą o ludziach takich jak pan Caliph w ten sposób.

– Więc od moich czasów musiały się zmienić! I od pani czasów, prawda, panno Condit? – Jest tak głupia, że nie sądzę, by chciała zrobić mi przytyk.

– Nie ma żadnych „moich czasów”, pani Ermine. Urodziłam się jako stara panna.

– No, stare panny są najgorsze. Nie wiem, czemu mówienie o małżeństwie ma być niskie. Wyjść za mąż to rzecz godna szacunku, tak się powszechnie uważa. Wystarczy tylko się rozejrzeć.

– Nie chcę się rozglądać; to, co widać, nie zawsze jest piękne – odparła Eunice z lekkim uśmiechem i sporą dozą przekory jak na tak rozsądną młodą damę.

– Chyba za dużo czytasz – westchnęła pani Ermine, podnosząc się i stając przed lustrem, aby poprawić wstążki kapelusza.

– Moim zdaniem, on by je znienawidził! – zawołała Eunice, biorąc mocny akord.

– Znienawidził kogo? – zapytała kuzynka.

– Te wszystkie głupie dziewczyny!

– A któż to taki, ten „on”? – To sprytne pytanie należało do mnie.

– Och, Turek Okrutnik! – sarknęła Eunice, tłumiąc głos dźwiękiem fortepianu.

Fortepian daje spore możliwości.

12 maja. Dziś po południu, gdy siedziałyśmy przy herbacie, zapowiedziano Turka Okrutnika, który wkroczył z bukietem najpiękniejszych bostońskich róż, jakie kiedykolwiek rosły w seraju. (Swoją drogą, przenośnia jest nieco pokretna; ale niech zostanie, w końcu piszę tylko dla siebie). Po dziesięciu minutach zapytał Eunice, czy

może z nią mówić na osobności, „gdyż ma do niej mały interesik”. Natychmiast wstałam, by ich opuścić, ale Eunice stwierdziła, że woli rozmawiać w bibliotece, i zaprowadziła gościa w głąb mieszkania. Pozostałam w salonie, mówiąc sobie, że wreszcie odkryłam *fin mot* osobliwych cech pana Calipha, rzecz tak prostą, że tylko taka gęś jak ja mogła jej przedtem nie zauważyć. Ten człowiek posiada system; a jego system to po prostu całkowite rozdzielenie interesu i rozrywki. Może i ma przyjemność z liczb, ale nie ma liczb w jego przyjemności – którą dotychczas czerpał z tego, że odwiedzał Eunice jako człowiek światowy. Dzisiaj wystąpił jako plenipotent; mimo bukietu dostrzegłam to od razu, gdy wszedł. Bostońskie róże bynajmniej nie świadczyły o czymś innym, z tego doskonałego powodu, że tuż po uściśnięciu dłoni Eunice, która patrzyła na kwiaty, nie na niego, bukiet został wręczony Catherine Condit. Wówczas Eunice również skierowała wzrok na tę damę; ja zaś, biorąc kwiaty, spojrzałam panu Caliphowi w oczy, w których dostrzegłam uroczy błysk przyjemności. Sugestia, nawet w prywatnych zapiskach, że Eunice mogła być niezadowolona, zakrawałaby na podłość z mojej strony; skoro jednak nie mogę napisać, że miała śliczny wyraz twarzy, bo wyszłoby na to, iż w pewnym stopniu sugeruję mniej szlachetną możliwość, to już wina natury ludzkiej. Dlaczego pan Caliph nagle uznał za konieczne wręczyć kwiaty Catherine Condit, oto pole dociekań samo w sobie. Jak wspomniałam jakiś czas temu, to część jego kwiecistości. Poza tym wręczenie kwiatów na ogół jest zaskoczeniem; nie wiem dlaczego, ale zawsze wygląda na *coup de théâtre*. Piszę te słowa późno w nocy; bukiet stoi na stole, jego woń unosi się w powietrzu. Nie mówię tak z powodu kwiatów, ale nikt dotąd nie okazywał względów biednej pannie Condit tak konsekwentnie jak pan Caliph. Może to niezdrowe; może to Pamiętnik Niezdrowej Kobiety; lecz w takich sprawach jak ta podziwia ona konsekwencję. Tamto spojrzenie Eunice powraca do mnie, kiedy kreślę te słowa; to czysta, urocza dusza. Kiedy rozmawiała z panem Caliphem w bibliotece, zjawiała się pani Ermine i natychmiast zwróciła uwagę na bostońskie róże, które przyćmiewały wszystkie kwiaty w pokoju.

– Przysłano je z wiejskiego gniazda? – zapytała. Po czym, zanim zdążyłam odpowiedzieć, zauważyła: – Mam dzisiaj kilka osób na kolacji; wyglądałyby bardzo dobrze pośrodku stołu.

– Jeśli pani chce, bym je pani ofiarowała, naprawdę nie mogę tego zrobić; zbyt wysoko je cenię.

– Och, należą do pani? Oczywiście, że je pani ceni! Nie przypuszczam, by często dostawała pani kwiaty.

– To pierwsze kwiaty, jakie dostałam w życiu; od pana Calipha.

– Od pana Calipha? I dał je p a n i ? – Intonacje pani Ermine nie są najdelikatniejsze. Owo „pani” powinnam zapisać wielkimi literami.

– Własnoręcznie, przed kwadransem. – Te słowa brzmią triumfalnie; ale triumf nad panią Ermine to żadna sensacja.

Odłożyła bukiet niemal zamyślona. – On naprawdę chce poślubić Eunice – oświadczyła po chwili. Po wszelkich wzlotach wyobraźni zazwyczaj i tak ląduje w tym regionie. Ten wiecznotrwały czasownik przyprawia mnie już o mdłości, jednak akurat wtedy mnie zaskoczył, odparłam więc, że nie rozumiem.

– Dlatego daje pani kwiaty – wyjaśniła, co jeszcze bardziej zaciemniło sprawę, dodała więc: – Podobno istnieje francuskie przysłowie, które mówi, że chcąc zdobyć córkę, należy zalecać się do matki? Eunice to córka, a pani to matka.

– A pani to zapewne babka! Chce pani powiedzieć, że on pragnie, bym się za nim wstawiła?

– Nie wyobrażam sobie innego powodu! – rzekła i z uśmiechem szerokich ust wpatrzyła się w kwiaty.

– W takim razie pani również dostanie swój bukiet – mruknęłam.

– Och, ja nie mam żadnego wpływu! Powinna się pani zrewanżować; zaproponować, że namaluje pani jego portret.

– Wie pani, sama nigdy tego nie proponuję, to ludzie mnie proszą. Poza tym pani mnie rozpuściła, teraz wszystkie inne modele wydają się pospolite!

Pisząc to, nagle uświadomiłam sobie, że posunęliśmy się dość daleko – dalej, niż mi się wtedy wydawało. I posunęłybyśmy się jeszcze dalej, gdyby nie powrót Eunice i pana Calipha, którzy najwyraźniej sprawnie załatwili jego mały interesik. Człowiekiem interesu pozostał do końca i ku wyraźnemu rozczarowaniu pani Ermine nie chciał już usiąść. Spieszył się; był umówiony.

– Jedzie pan z miasta czy do miasta? Mam powóz pod drzwiami – wtrąciła.

– Z ulicy Pięćdziesiątej Trzeciej zazwyczaj jedzie się do miasta – i obdarzył ją swym osobliwym uśmiechem, zawsze zdającym się mówić znacznie więcej niż słowa, którym towarzyszy. – Będę wdzięczny, jeśli pani mnie podwiezie.

Wyszedł razem z nią, skazując ją na rozdarcie między perspektywą wspólnej przejażdżki a utratą szansy dowiedzenia się, co powiedział Eunice. Zapewne sądziła, że się oświadczył; mam nadzieję, że ją omamił w powozie należycie.

Nie oświadczył się Eunice; wręczył jej czek i podsunął kilka dokumentów do podpisu. Czek był na tysiąc dolarów, o dokumentach nic mi nie wiadomo. Decydując się z nią zamieszkać, uznałam, że jedyny sposób, aby zachować pozory bezstronności, to nie wiedzieć absolutnie nic o szczegółach jej spraw finansowych. Ma niezłą główkę na karku, więc jeśli sama ich nie rozumie, to ja z pewnością nie potrafię jej pomóc. Nie wiem, czemu tak mi zależy, aby w y g l ą d a ć na niezainteresowaną, skoro mam dostateczną świadomość, że taka jestem; ale rzeczywiście zależy mi na tym i cenię ten rodzaj czystości tak samo jak każdy inny. Ponadto jej głównym doradcą jest pan Caliph i naturalnie wszystko jej objaśnia. A przynajmniej taką mam nadzieję. Nie mogłam się powstrzymać, by nie powiedzieć tego Eunice.

– Moje drogie dziecko, spodziewam się, że rozumiesz, co podpisujesz. Pan Caliph powinien być... jak mam to nazwać?... krystaliczny.

Spojrzała na mnie z takim samym uśmiechem, jaki wykwitł na jej twarzy, gdy on wręczał mi kwiaty.

– O tak, tak sędzę. Jeżeli nie, to moja własna wina. On wyjaśnia wszystko tak pięknie, że przyjemnie jest słuchać. Zawsze czytam, co podpisuję.

– *Je l'espère bien!* – rzekłam ze śmiechem.

Spoważniała. – Zakończenie powiernictwa jest bardzo skomplikowane.

– Jeszcze nie zostało zakończone? Trwa to bardzo długo, według mnie.

– Nie można zrobić wszystkiego naraz. Poza tym poprosił o pewną zwłokę. Część spraw rzeczywiście jest już w moich rękach; inaczej nie musiałabym nic podpisywać.

– Czy taka prośba o zwłokę to częsta rzecz?

– O tak, jak najbardziej. Poza tym nie chcę mieć kontroli nad wszystkim. To znaczy, pewnego dnia zechcę, bo uważam, że powinnam wziąć na siebie obowiązki, tak jak przyjmuję przyjemności, ale się z tym nie śpieszę. Tak jest znacznie wygodniej i pan Caliph tak się dla mnie stara.

– Przypuszczalnie bierze okazałą prowizję – rzekłam dość obcesowo.

– Nie ma żadnej prowizji; nigdy by jej nie przyjął.

– Na twoim miejscu wołałabym, żeby jednak przyjął.

– Prosiłam go, ale odmawia! – zawołała Eunice z bardzo poważną miną.

Doprawdy jej powaga była tak wielka, że się uśmiechnęłam.

– Jaka cudowna wielkoduszność!

– Istotnie.

– A to zamknięcie zarządu powierniczego... odwlecze się na czas nieokreślony?

– Och, nie; tylko na kilka miesięcy; póki pan Caliph nie doprowadzi wszystkiego do ładu, jak to określa.

– Przecież miał na to kilka lat?

Eunice odwróciła się; wyraźnie nasza rozmowa była dla niej bolesna. Jednak sentymentalny pogląd na usługi pana Calipha, jaki przyjęła, a przynajmniej akceptowała, wzbudził we mnie lekki niepokój. – Catherine, chyba nie jesteś dobra; wygląda na to, że go podejrzewasz – mruknęła po chwili.

– Podejrzewam? O co?

– Że nie ma ochoty oddać mi majątku.

– Droga Eunice, ujmujesz to w takich strasznych słowach! Poważnie, nie przyszłoby mi do głowy, żeby go podejrzewać o coś tak głupiego. Co tu ma do rzeczy jego ochota? Czy tej sprawy nie reguluje prawo: zapis w testamencie twojej matki? Zarząd powierniczy po pewnym czasie wygasa samoistnie, prawda? Więc oczywiście pan Caliph musi tylko podjąć odpowiednie działania.

– I właśnie to robi. Ale konieczne są dalsze dokumenty, które będą gotowe dopiero za kilka tygodni.

– Nie mnóż dokumentów; ich nadmiar jest równie zły jak niedostatek. I zasięgnij jeszcze czyjeś rady – na przykład twego kuzyna Ermine'a, który jest o wiele roztropniejszy niż jego żona.

– Nie chcę żadnych rad – rzekła Eunice tonem, który oznajmiał, że dość już powiedziałam. Niebawem podjęła: – Myślałam, że lubisz pana Calipha.

– Bo lubię, ogromnie. Daje piękne kwiaty.

– Ach, jesteś okropna! – mruknęła.

– Pewnie, że jestem okropna. To moje zadanie: być okropną. – Na co znów sobie pozwoliłam pół godziny później, gdy napomknęła, że musi bardzo pilnować czeku, który dał jej pan Caliph, gdyż trochę potrwa, zanim dostanie następny. – Dlaczego ma to trwać dłużej niż zwykle? – zapytałam. – Czy zamierza zatrzymać twój dochód dla siebie?

– Nic już nie dostanę do końca roku, przynajmniej nie z powierzonego majątku. Pan Caliph adaptuje kilka starych domów na sklepy, żeby przynosiły większy zysk. Ale za przebudowę trzeba zapłacić, więc część kosztów pokrywa z mojego dochodu.

– A z czego mianowicie będziesz tymczasem żyć?

– I bez tego mam dosyć; i mam oszczędności.

– Wszystko jedno, swobodnie sobie poczyrna.

– Napisał do mnie jeszcze przed naszym przyjazdem, a ja uznałam, że tak będzie najlepiej.

– Sądzę, że nie powinien być cię pytać – powiedziałam. – Jako twój powiernik działa według własnego uznania.

– Trudno cię zadowolić – rzuciła Eunice.

To całkowita prawda; odparłam, że nie potrafię rozgryźć, czy naradza się z nią za często, czy za rzadko. Ale nie wiem, czy moja niemożność ma jakiegokolwiek znaczenie!

13 maja. Pani Ermine zjawiała się dziś wcześniej niż zwykle i zaraz po jej wejściu do pokoju zobaczyłam, że pragnie coś obwieścić. Tym razem nie chodziło o zaręczyny. – Przysłał mi bukiet: bostońskie róże, tyle sztuk co pani! Przyszły dziś rano, zanim jeszcze zjadłam śniadanie. – Przemowa ta skierowana była do mnie, a pani Ermine niemal świeciła własnym blaskiem. Eunice nie mogła za nią nadążyć.

– Mówi o panu Caliphie – wyjaśniłam.

Eunice znieruchomiła na chwilę, po czym jej twarz rozpląnęła się w tajemnym uśmiechu. – Wyraźnie daje kwiaty wszystkim oprócz mnie. – Dostrzegłam, że ta myśl sprawiła jej wyjątkową przyjemność.

– Cóż, daje je z myślą o tobie – rzekła pani Ermine. – Chce nas przeciągnąć na swoją stronę.

– Na swoją stronę?

– O tak; pewnego dnia będziemy mu potrzebne! – Tu pani Ermine próbowała zrobić dziarską i znaczącą minę. Ale jest niewypowiedziane *fade*, uznałam więc, że nie warto w tej chwili dłużej rozmawiać z Eunice o jej powierniku. Toteż, chcąc uprzedzić panią Ermine, rzekłam do niej szybko i bardzo cicho:

– Posłał pani kwiaty po prostu dlatego, że wczoraj zabrała go pani do swego powozu. To podziękowanie za pani wielką dobroć.

Zawahała się. – Być może. Mielśmy uroczą przejażdżkę – i to do samego śródmieścia! – Po czym, zwracając się do Eunice, wykrzyknęła: – Kochanie, nie poznasz tego człowieka, póki się z nim nie przejedziesz! – Któż zrozumie panią Ermine do końca? Co dzień jakaś niespodzianka!

19 maja. Adrian Frank wrócił do Nowego Jorku i trzykrotnie był w tym domu – raz na kolacji, dwa razy na herbacie. Po tym, jak jego brat wyraził silną nadzieję, że się nim zainteresujemy, Eunice najwyraźniej doszła do wniosku, że powinna co najmniej podjąć go posiłkiem. Swoją drogą, wydaje się, że nigdy nie proponowała tego zaszczytu panu Caliphowi; chyba ma tak wysokie mniemanie o jego inteligencji, że nie wyobraża sobie, aby któryś z jej znajomych był dość bystry, żeby zostać przedstawionym temu dżentelmenowi. Dla Adriana Franka wystarczająca okazała się pani Ermine, przyszedł również młody Woodley – Willie Woodley, jak go nazywają – i pan Latrobe. Nie było

zbyt zabawnie. Pani Ermine flirtowała z panem Woodleyem, który przyjmował to ze spokojem, podczas gdy ciemnowłosy Latrobe opowiadał mi o siódmym pułku – niemożliwy temat. Pan Frank od czasu do czasu zwracał się do Eunice, obok której został posadzony, lecz wyglądał na skrepowanego i wystraszonego, jakby wiedział, że brat przyrodni gorąco go polecał, ale czuł, że niepodobna, by dorósł do stosownego poziomu. Naprawdę jest bardzo skromny; nie sposób go nie lubić. Od czasu do czasu zerkał na mnie czystymi, niebieskimi oczami, rozumnymi i szeroko otwartymi, jakby błagając, bym pomogła mu z Eunice; potem zaś, gdy wtrącałam słówko, aby pchnąć ich rozmowę z miejsca, tak samo patrzył na nią, jakby wyrażając nadzieję, że go nie odtrąci. Nie istniało takie zagrożenie, chciała być dla niego miła; ale była zdenerwowana i zaaferowana, jak zwykle, gdy ma gości na kolacji – tak się boi, że się znudzą – i sędzę, że przez połowę czasu nie rozumiała, co on mówi. Wyznała mi później, że spodobał jej się nawet bardziej niż na początku; że choć nieśmiały, jej zdaniem ma lepsze maniere niż inni młodzi ludzie i że z tak miłą twarzą musi mieć dobry charakter; co powiedziawszy, dodała, że pomimo to z jakiegoś powodu przy panu Adrianie Franku czuje się nieswojo. Być może jestem trochę bez serca, lecz po tym wszystkim, kiedy przyszedł dwa dni temu, wyszłam z pokoju, zostawiając ich sam na sam. Prawdę mówiąc, ten wysoki, jasnowłosy, zagubiony, nielogiczny młodzieniec, będący tak osobliwym połączeniem skrepowania i szczerości, który wyglądałby jak pruski porucznik, gdyby pruscy porucznicy kiedykolwiek się wahali, rzeczywiście ma w sobie coś, co nie całkiem przypadło mi do gustu, i dlatego pozwoliłam sobie go zostawić. Co dziwne, nie mam najmniejszego pojęcia, co to takiego; zazwyczaj wiem, dlaczego czuję do kogoś niechęć. Do spłonionego Adriana wszakże nie czuję niechęci – i to jest najdziwniejsze ze wszystkiego. Nie, najdziwniejsze jest to, że mi go żal; zapewne dlatego (gdybym nie miała czasem obowiązku zostać) najchętniej wychodziłabym zawsze, gdy się pojawia. Nie lubię widywać ludzi, których mi żal; wzbudzić we mnie żal to upaść bezdennie nisko. Przekracza granice mego pojmowania, dlaczego darzę pana Franka takim współczuciem. Jest młody, inteligentny, cieszy się doskonałym zdrowiem, włada pokaźnym majątkiem i jest ulubionym bratem Haruna-al-Raszyda. Takie są skutki bycia kobietą z wyobraźnią. Kiedy przy obiedzie spytałam Eunice, czy był tak interesujący jak zwykle, odparła, że ocenę zostawia mnie, gdyż rozmawiał z nią wyłącznie o panie Condit! Uważa, że jest bardzo atrakcyjna! Biedak, kiedy to konieczne, wcale się nie waha, chociaż nie wyobrażam sobie, dlaczego miałyby to być konieczne. Sędzę, że *au fond* trochę nudzi Eunice, która jak wiele dziewcząt o delikatnym i wrażliwym usposobieniu woli mężczyzn starszych i bardziej pewnych siebie.

24 maja. Właśnie oznajmił mi niezwykłą wiadomość! Dziś rano, w poszukiwaniu „kąska”, poszłam do Parku, niosąc skrzynkę z farbami i pędzlami oraz cudownie dający się składać stołeczek, który mogę nosić w kieszeni. Przez pół godziny błąkałam się bez wyraźnego celu pośród starannie zaaranżowanej zieleni, w zamyśle mającej przedstawiać powierzchnię ziemi *en raccourci*, aż w końcu znalazłam kępkę brzoź, które dzięki białym pniom i drobnym, mokrym, zielonym listkom nie były całkowicie pozbawione wyrazu. Miejsce było ciche – żadnych nianiek ani rowerów – usadowiłam się więc i z przyjemnością na godzinę oddałam się owocnej pracy. Wtem usłyszałam, że

ktoś mówi za moimi plecami: – Chyba powinienem panią ostrzec, że podglądam! – Był to Adrian Frank, który poznał mnie z daleka i bezszelestnie zbliżył się po trawie. Tym razem nie mogłam odejść, gdyż jeszcze nie skończyłam malować. Usiadł nieopodal na artystycznie zachowanym kamieniu i w końcu odbyliśmy długą rozmowę – podczas której ja głównie słuchałam, gdyż nie umiem się wypowiadać na dwa sposoby naraz. A usłyszałam, co następuje: pan Caliph życzy sobie, by jego brat przyrodni „umizgał się” do Eunice, prawdomówny zaś Adrian chciałby wiedzieć, co sędzę o jego szansach.

– Jest pan w niej zakochany? – zapytałam.

– Mój Boże, nie! Gdybym był zakochany, wkroczyłbym od razu, bez... bez tego wszystkiego.

– To znaczy, bez zasięgania cudzej opinii?

– Cóż, tak. Nie pytałbym o zdanie nawet pani.

Odparłam, że słowo „nawet” jest zbędne; moje zdanie nie byłoby wiele warte. Jego oświadczenie z początku trochę mnie zaskoczyło, lecz po krótkim zastanowieniu uznałam, że zasługuje na podziw. Widziałam tyle „aranżowanych” małżeństw, które były szczęśliwe, i tyle związków „uczuciowych”, które okazały się koszmarem, że element wyrachowania już mnie właściwie nie gorszy. Oczywiście, nie wyobrażam sobie, aby pan Frank zawarł małżeństwo z rozsądku, niezwłocznie więc wyjaśniłam, że Eunice mogłaby się zgodzić, gdyby zdołał ją skłonić, by go pokochała, natomiast inne jego atuty w żadnym razie nie wpłyną na jej decyzję. Słowa „atuty” użyłam z uprzejmości; ten sam cel spełniłaby liczba pojedyncza. Jedynym atutem tego młodzieńca jest fortuna; nie ma wyglądu, talentu ani pozycji zdolnej olśnić dziewczynę, która sama jest bogata i inteligentna. A więc to miał na myśli pan Caliph przez cały ten czas – dlatego tak zabiegał, byśmy polubiły jego przyrodniego brata. Przychodzi mi do głowy, że powinnam się oburzyć, ale odkrywam, że właściwie jestem rada. Nie z pomysłu, żeby Eunice wyszła za biednego pana Franka; lecz z owego przejawu troski pana Calipha. Nie wiem, czy do normalnych obowiązków powiernika należy zapewnienie męża podopiecznej; być może w takim razie jego własne zasługi mogą być mniejsze. Przypuszczalnie pan Caliph powiedział sobie, że jeśli wyda Eunice za przyrodniego brata, ona nie wybierze kogoś gorszego. Oczywiście, niewykluczone, że wcale o niej nie myślał; że zwyczajnie pragnął, by prostolinijny Adrian zrobił, co należy, bez względu na punkt widzenia Eunice. Obawiam się jednak, że nawet ta myśl mnie nie oburza. Próba skłonienia ludzi do małżeństwa to bezwzględna gra w każdych okolicznościach; wykroczenie jest wszakże mniejsze, gdy chodzi o to, by uczciwy człowiek poślubił anioła. Eunice jest aniołem, a młody Adrian wygląda na całkowicie uczciwego. Nie byłby to, rzecz jasna, związek jej najskrytszych marzeń; bohater tych przeczystych wizji musiałby być bystry i nobliwy, a pan Frank nie odznacza się ani jedną, ani drugą z tych cech, ale sędzę, że jest doskonale dobry. Oczywiście, jest słaby – żeby przyjść i wziąć sobie żonę po prostu dlatego, że brat mu kazał! A może robi to tylko *pro forma*, bez wiary, że ona kiedykolwiek go przyjmie, że w związku z tym prawda nie wyjdzie na jaw, on zaś tanim kosztem zdobędzie to, co tak wyraźnie sobie ceni, czyli uznanie pana Calipha? Dlaczego tak je sobie ceni, to sprawa między nimi dwoma, o której nie muszę nic wiedzieć. Nie wiem, czy wzajemne stosunki mężczyzn w ogóle

mnie obchodzą: już ich stosunki z kobietami są dostatecznie złe, lecz kiedy brak kobiety, aby ratować sytuację – *merci!* Nie podejrzewam, by młody Adrian chciał się narazić na prostą odmowę, bo nie jest przyjemnie dostać kosza, nawet od kobiety, której się nie chce za żonę. Chociaż, ostatecznie, może by i zechciał; ludzie mają różne powody. Zapowiedziałam, że niczego się nie podejmę, i im więcej o tym myślę, tym mniej mam na to ochotę. Spadłby mi ciężar z serca, gdybym ujrzała ją wygodnie urządzoną w życiu, poza zasięgiem związku z jakimś brutalem na wysoki połysk – gdyż ten los w pewnych okolicznościach mógłby z łatwością stać się jej udziałem. Jest całkowicie zdolna zwinąć swe anielskie skrzydła i poświęcić się piekarzowi albo handlarzowi ryb, gdyby takowy przypadł jej do gustu. Bystry mężczyzna z jej marzeń mógłby ją bić lub się nią znużyć; lecz pan Frank, jestem tego pewna, kiedy już złoży przysięgę małżeńską, dotrzyma jej co do joty. Jednakże od tej świadomości do pchnięcia Eunice w jego ramiona droga daleka. Posunęłam się do zapewnień, że życzę mu jak najlepiej; lecz dałam także do zrozumienia, że nie udzielę mu pomocy. Przez jakiś czas siedział, dłubiąc laską dziurę w ziemi i bacznie przyglądając się tej czynności. Wreszcie obdarzył mnie swym szerokim, przesadnym uśmiechem – to jedyna rzecz w jego twarzy, która, choć zupełnie inna, przywodzi na myśl jego brata – i oznajmił: – Chyba chciałbym spróbować. – Zrobiło mi się go trochę żal, więc skłoniłam go do rozmowy o czymś innym; rozstaliśmy się bez wzmianki o Eunice, choć pod koniec przez chwilę spoglądał na mnie badawczo, jakby miał coś na końcu języka – zapewne pragnął wrócić do tematu. Powstrzymałam go; powiedziałam, że potrzebuję samotności, aby nadać pracy ostateczny szlif. Pewnie uważa, że jestem *brusque* i dziwaczna, ale poszedł sobie. Nie wiem, co zamierza zrobić; jestem ciekawa, czy rozpocznie oblężenie. Na razie trudno stwierdzić, by się zaczęło – tymczasem Eunice nie jest jeszcze niczego świadoma.

6 czerwca. Jej nieświadomość rozprasza się w szybkim tempie; od mego ostatniego wpisu pan Frank bywa tu codziennie. To osobliwy młodzieniec i nie potrafię go rozgryźć; chyba ma w sobie coś więcej, niż początkowo przypuszczałam. Nie nudzi nas i do pewnego stopnia stał się członkiem rodziny. Bardzo go lubię; wzbudza moją ciekawość. Nie bardzo widzę natomiast, co spodziewa się osiągnąć. Jakiś czas temu wspomniałam, iż Eunice wyznała, że czuje się przy nim nieswojo; teraz wszakże najwyraźniej się z tym pogodziła, nawet jeśli nadal tak jest. Wielokrotnie zapraszał ją na przejażdżki i dwa razy wyraziła zgodę; on ma parę ślicznych koni i powozik, w którym mieszczą się tylko dwie osoby. Choć powiedziałam, że nie udzielę mu czynnej pomocy, staram się zostawiać ich samych. Oczywiście Eunice zwróciła na to uwagę – to jedyna wskazówka z mojej strony, że jestem świadoma jego intencji. Nieustannie spodziewam się, że ona coś powie, jednak nic nie mówi; niewykluczone, że pan Frank wywiera pewne wrażenie. Zaleca się bardzo rozsądnie; najwyraźniej jego koncepcja polega na stopniowaniu intensywności. Oczywiście, codzienne wizyty nie mają w sobie nic stopniowego; ale podczas każdej z nich robi bardzo niewiele. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie, kiedy bowiem mówię o jego zalotach, nie oznacza to, że je widzę. Gdy jesteśmy we trójkę, mówi do mnie równie często jak do niej i nie ma różnicy w jego zachowaniu wobec nas obu. Nieśmiałość też mu przechodzi i czerwieni się znacznie rzadziej, do tego stopnia, że odkryłam jego naturalny kolor: jest o kilka odcieni mniej

pąsowy, niż sądziłam. Dokładałam starań, by się z nim nie widywać sam na sam; nie życzę sobie rozmawiać o tym, co robi – życzę sobie nic na ten temat nie mówić. Kilkakrotnie spoglądał na mnie takim samym wzrokiem jak owego dnia tuż przed rozstaniem w Central Parku, tak jakby chciał wejść ze mną w jakieś szczególne porozumienie. Ale ja nie życzę sobie szczególnego porozumienia i udaję, że nie dostrzegam jego spojrzeń. Nie bardzo rozumiem, dlaczego Eunice ze mną nie rozmawia, dlaczego nie wyraża zdziwienia nagłym przywiązaniem pana Franka. Być może pan Caliph ją uprzedził i jest gotowa na wszystko – nawet na to, aby przyjąć młodego Adriana. Mam wrażenie, że trochę by się nabrał, gdyby to zrobiła. Niewykluczone, że wkrótce nadejdzie dzień, kiedy będę mogła pomyśleć: „Uważaj, uważaj; może ci się udać!”. On zyskuje przy bliższym poznaniu; bardzo wiele wie i jest dżentelmenem do szpiku kości. Bardzo często rozmawiamy o Rzymie; samodzielnie odczytał każdą inskrypcję i ma je wszystkie zapisane w zeszyciku. Przyniósł go któregoś popołudnia i przeczytał kilka z nich, co było zabawniejsze, niż się wydaje. Słucham takich rzeczy, gdyż mogę słuchać czegokolwiek o Rzymie, a Eunice, być może, słucha dlatego, że pan Caliph jej kazał. Najwyraźniej gotowa jest zrobić wszystko, co polecił, a on przysyła jej coraz więcej dokumentów do podpisu. Nie był u nas od dnia, kiedy wręczył mi kwiaty; zaraz potem wyjechał do Waszyngtonu. Razem z papierami, które wyglądają nader urzędowo, dostała od niego kilka listów. Ale nic o nich nie mówi, a ja, odkąd wygłosiłam odnotowane wyżej słowa ostrzeżenia, nie zadaję pytań i nie występuję z krytyką. Czasem się zastanawiam, czy nie powinnam sama porozmawiać z panem Ermine’em; powstrzymuje mnie tylko obawa, że wyjdę na głupią i wścibską. Ale wydaje mi się bardzo dziwne, że nie ma nikogo innego; że pan Caliph wyraźnie sam trzyma wszystko w garści. W przyszłym tygodniu udajemy się do naszego „gniazda”, jak je nazywa pani Ermine. Owa znamienita dama, jak wielu innych ludzi z towarzystwa, również wyjechała z miasta do jednej ze swych córek. Potem ma zamiar odwiedzić drugą, potem zaś przybędzie do Eunice, do Cornerville.

II

8 czerwca. Dzisiaj późnym popołudniem, mniej więcej godzinę przed obiadem, pan Frank przyjechał swoim – jak zwie go pani Ermine – ekwipażem i zaprosił Eunice na krótką przejażdżkę. Z początku odmówiła: jest za późno, za gorąco, jest zbyt zmęczona; lecz wyraźnie bardzo mu na tym zależało i błagał, by zmieniła zdanie. Wreszcie jednak się zgodziła, a kiedy wyszła z pokoju, by się przygotować, odwrócił się ku mnie z uśmiechem uniesienia. Zrozumiałam, że chce mówić o swoich nadziejach, i postanowiłam tym razem dać mu szansę. Poza tym byłam ciekawa, jakie – swoim zdaniem – robi postępy. Ku memu zdziwieniu nie zaspokoił mojej ciekawości, powiedział jedynie ze zwykłą promienną nieśmiałością: – Zawsze tak się cieszę, gdy mam rację.

– Rację? A, tak. Chyba wiem, o co panu chodzi.

– O tym właśnie wtedy pani mówiłem. – Wydawał się nieco zaskoczony, że mogłabym wątpić, iż naprawdę zaprezentował się jako zalotnik.

– Zamierza pan poprosić ją o rękę?

Spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem i spoważniał. – To znaczy, dzisiaj?

– No owszem, na przykład dzisiaj; tak pan ją namawiał na przejażdżkę.

– Nie sądzę, bym zrobił to dzisiaj; jest za wcześnie.

Przypuszczalnie jego powaga była całkiem zrozumiała, ale nagle stała się tak solenna, że efekt był wręcz komiczny i nie zdołałam powstrzymać śmiechu. – Bardzo dobrze; kiedy pan tylko sobie życzy.

– Pani nie sądzi, że jest za wcześnie? – zapytał.

– Ach, ja nic o tym nie wiem.

– Widziałem ją samą tylko cztery lub pięć razy.

– Musi pan postąpić tak, jak uważa za słuszne.

– Ciężko powiedzieć. Jestem w bardzo trudnym położeniu. – Po czym znów zaczął się uśmiechać. Doprawdy, jest bardzo dziwny.

To chyba moja wina, że czuję zniecierpliwienie, gdy czegoś nie rozumiem; a nie rozumiem tej dziwnej mieszanki wyrachowania i namiętności ani osobliwie naprzemiennych przyplływów zwierzeń i wycofań pana Franka. – Nie potrafię postawić się w pana położeniu – powiedziałam. – Nie mogę panu w żaden sposób poradzić ani pomóc. – Nawet we własnych uszach mój ton zabrzmiał trochę oschle, jego zaś najwyraźniej speszył.

Oblał się rumieńcem, jak zwykle, i zajął się wkładaniem rękawiczek. – Bardzo sobie cenię pani zdanie i od kilku dni chciałem panią zapytać.

– Tak, dostrzegłam to.

– Jak pani to dostrzegła?

– Po sposobie, w jaki pan na mnie patrzył.

Zawahał się przez chwilę. – Tak, patrzyłem na panią, wiem o tym. W pani twarzy można bardzo wiele zobaczyć.

W tych okolicznościach jego uwaga wydała mi się niedorzeczna; znów zaczęłam się śmiać. – Mówi pan, jakbym była zbiorem osobliwości.

Odwrócił wzrok, unikając mojego spojrzenia; ujrzałam, że wprawiłam go w absolutne zakłopotanie. Aby skierować rozmowę ku sprawom codziennym, zapytałam, dokąd zamierza pojechać.

– Nieważne, dokąd pojedę... teraz wszędzie jest tak ładnie – odparł, najwyraźniej nie mając na myśli przejażdżki. Nagle wybuchnął: – Chciałbym wiedzieć, czy pani zdaniem ona mnie lubi?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Nic mi nie mówiła.

– Myśli pani, że ona wie, że zamierzam się jej oświadczyć?

– Powinien pan móc to ocenić lepiej niż ja.

– Boję się zakładać zbyt wiele; ale też boję się ją zaskoczyć.

– Bo, poruszona, mogłaby pana przyjąć? Tego pan się boi?

– Nie wiem, dlaczego pani tak mówi. Chciałbym, żeby mnie przyjęła.

– Naprawdę? Jest pan pewny?

– Całkowicie pewny. Dlaczego nie? To czarująca istota.

– A więc tym lepiej; może to zrobi.

– Pani w to nie wierzy! – wykrzyknął, jakby to odkrycie dowodziło wielkiej bystrości z jego strony.

– Za bardzo się pan przejmuje, w co ja wierzę. To nie ma nic do rzeczy.

– Nie, chyba nie – rzekł pan Frank, najwyraźniej bardzo pragnąc dojść ze mną do zgody.

– Lepiej by było, gdyby pan jak najszybciej dowiedział się tego od samej Eunice – dodałam.

– Nie spodziewam się odpowiedzi... przez jakiś czas.

– Chce pan rzec, przez rok albo dwa? Będzie gotowa z odpowiedzią znacznie wcześniej.

– O nie, nie rok ani dwa, ale przez kilka tygodni.

– Przecież pan przychodzi do nas codziennie. Powinien jej pan wyjaśnić.

– Być może nie powinienem bywać tu tak często.

– Być może!

– Ale bardzo to lubię – rzekł z uśmiechem.

Popatrzyłam na niego; nie wiem, co takiego ma w oczach. – Proszę się nie zmieniać! Dobry chłopiec z pana i nie wiem, co byśmy bez pana zrobiły. – I zostawiłam go samego, aby zaczekał na Eunice.

Z mojego okna na piętrze widziałam, jak odjeżdżali spod wejścia; razem tworzą jasną, promienną młodą parę. Niecały kwadrans później zapowiedziano pana Calipha. Pytał o mnie – o mnie osobiście; błagał, bym uczyniła mu tę uprzejmość i poświęciła mu dziesięć minut. Nie wiem, czemu ta prośba mnie zdenerwowała, ale tak się stało; na myśl o perspektywie bezpośredniego spotkania z panem Caliphem serce zabiło mi żywiej. Jest bardzo mądry, wysoce poważany, wiele się o nim mówi; a przecież mgliście go podejrzewam – sama już nie wiem o co! Uświadomiłam to sobie i poczułam ciężar odpowiedzialności; choć nie przewidywałam, i w rzeczy samej, nadal nie przewiduję żadnego starcia między nami. Ponadto należy odnotować, że kobieta nieładna i zarazem zarozumiała w obecności Haruna-al-Raszyda nieuchronnie odczuwa pewne wzburzenie. Zaczęłam się już przebierać do kolacji, więc kazałam mu czekać i skończyłam toaletę w normalnym tempie: to moja zemsta na mężczyznach, którzy wprawiają mnie w zdenerwowanie. Ten typ natychmiast wyczuwa, czy kobieta jest dobrze ubrana, nie sądzę jednak, by owa myśl miała wiele wspólnego z faktem, że założyłam najświeższą z moich trzech małych francuskich sukienek.

Siedział z zegarkiem w ręku, a przynajmniej wsunął zegarek do kieszeni, kiedy wchodziłam do pokoju. Nie spodobało mu się, że musiał czekać; gdy przeprosiłam, obłudnie, za zwłokę, odparł z pewną oschłością, że przyszedł załatwić ważną sprawę w bardzo krótkim czasie. Ciekawa byłam, co to za sprawa: czyżby przybył mi wyznać, że wydał pieniądze Eunice na własne potrzeby? Czy chciał, żebym użyła swego wpływu, aby nie wywoływała skandalu? Nie wyglądał jak człowiek, który chce prosić o ten rodzaj przysługi; jestem jednak pewna, że jeśli kiedykolwiek naprawdę poprosi o coś takiego, będzie wyglądał całkiem inaczej, niż można się spodziewać. Od stóp do głów ubrany był na biało, zapewne z powodu upału, a w butonierce miał pół tuzina róż – tym razem sam dał sobie kwiaty. W białym stroju wydawał się wielki jak Henryk VIII i proszę mi nie wmawiać, że nie jest Żydem! Ale to Żyd w typie artysty, nie handlowca; na jego widok pomyślałam, iż osobliwie byłoby mieć kogoś takiego za plenipotentą. Wydaje się, że mógłby wynieść tę funkcję w obszary transcendentalne, daleko poza

wszelką przyziemną jurysdykcję; toteż z zadowoleniem przypomniałam sobie, że nie mam majątku, którym trzeba się zajmować. Pan Caliph trzymał w dużej smukłej dłoni ogromną chustkę do nosa z ogromnym monogramem i co chwila dotykał nią twarzy. Upał wyraźnie go męczy, lecz mimo wszystko *il est bien beau*. Interes, z którym przyszedł, to nie to, co początkowo przyszło mi do głowy, nie wiem jednak, czy jest mniej dziwny.

– Wiedziałem, że zastanę panią samą, bo Adrian powiedział mi dziś rano, że zamierza zaprosić naszą młodą przyjaciółkę na przejażdżkę. Ucieszyłem się z tego; chciałem zobaczyć się z panią sam na sam, ale nie wiedziałem, jak to załatwić.

– Sam pan widzi, jakie to proste. Czyż nie przysłał pan brata? – zapytałam. W innym miejscu, wobec innej osoby mogłoby to zabrzmieć impertynencko; lecz najwyraźniej w stosunkach z panem Caliphem rzeczy mierzy się odmienną miarą, co wyczułam instynktownie. On potrafi bardzo wiele przyjąć i bardzo wiele dać.

Przyglądał mi się przez chwilę, jakby próbował ocenić, ile ja gotowa jestem przyjąć. – Widzę, że będzie pani nader zadowolającą rozmówczynią – stwierdził w końcu. – Na to właśnie liczyłem. Chcę, by mi pani pomogła.

– Tak myślałam; to z tego powodu pan Frank tak nalegał, żeby Eunice z nim pojechała – mówiłam dalej, pobudzona, przyznając, tymi słowami pochwały. – Z początku nie bardzo miała ochotę.

– Ona zazwyczaj nie ma ochoty, a on zazwyczaj musi nalegać? – zapytał jak człowiek zadowolony, że od razu może przejść do sedna.

– Czy to ważne, skoro ona w końcu się zgadza? – odparłam z uśmiechem, który z kolei wywołał jego uśmiech. Rozmawianie z nim jest dziwnie pobudzające, a nawet trochę podniecające; sprawia, że chce się podjąć ryzyko. Nie tak, jak zwykle ryzykują kobiety wiedzione przeświadczeniem o swej bezkarności, lecz na odwrót, z przecuciem kary – takiej kary, która przydaje sarkazmowi pewnej godności. Musi być niebezpieczny, gdy się go rozdrażni.

– Sądzi pani, że ona w końcu się zgodzi? – zapytał; i choć już przewidziałam, do czego zmierza, poczułam, że nawet przy rozmaitych środkach ostrożności, których wyraźnie postanowił nie przedsiębrać, prośbę, jaką zaraz ujął w słowa, nadal cechowałyby pewna ordynarność. – Chcę, by mój braciszek ją poślubił, i chcę, żeby pani pomogła mi do tego doprowadzić. – Potem rzekł, iż wie, że jego brat już ze mną o tym rozmawiał i że nie obiecałam mu wielkiego wstawiennictwa. Pragnął jednak, bym odniosła się przychylnie do jego planu; będzie to cudowne małżeństwo.

– Owszem, cudowne, dla pańskiego brata. To się najbardziej rzuca w oczy.

– Niewątpliwie, cudowne dla niego, ale również, skoro już o tym mowa, bardzo przyjemne dla Eunice. Adrian to najlepszy człowiek na świecie; dżentelmen; bez nałogów i wad; znakomicie wykształcony; i ma dwadzieścia tysięcy rocznie. Piękny majątek.

– Nieoddany w zarząd powierniczy? – zapytałam, patrząc w nadzwyczajne oczy pana Calipha.

– Och, nie; ma nad nim pełną kontrolę. Ale jest niezmiernie ostrożny.

– Nie zaprzęta panu głowy?

– O Boże, nie, a po co? Dzięki Bogu, nie mam tego na karku. Majątek dostał po ojcu, który nie miał ze mną nic wspólnego; chyba mnie nawet nie lubił. Ma znakomitych doradców – dyrektorów banków, nadzorców szpitali i temu podobnych. Podsunęli mu kilka świetnych inwestycji.

Pisząc to, sama się dziwię swojej śmiałości; ale wówczas jakoś nie wydawała mi się taka wielka, on zaś nie dał absolutnie żadnego znaku, że dopatruje się w mojej wypowiedzi innego znaczenia niż czysto dosłowne. Najwyraźniej ogromnie pragnie tego małżeństwa i myśli tylko o tym, jak mi je przedstawić, żebym była mu równie przychylna; albowiem, podobnie jak jego brat, wyraźnie ma przesadne pojęcie o moim wpływie na Eunice. U pana Franka nawet mnie to specjalnie nie dziwi; ale przyznaję, że wydaje mi się kuriozalne, iż człowiek tak przenikliwy, jak pan Caliph, mógł popełnić taki błąd i wziąć mnie za osobę żadną wpływu, jedną z tych, które lubią pociągać za sznurki. Wpływy napełniają mnie przerażeniem i nigdy nie zgodziłabym się zamieszkać z Eunice, gdybym nie dostrzegła, że w gruncie rzeczy jest silniejsza ode mnie, ja bowiem, mimo wielkopańskich póz, wcale silna nie jestem. Przypuszczalnie pan Caliph nie umie sobie wyobrazić, żeby kobieta w moim zależnym położeniu była obojętna na możliwość zakulisowych działań; powinien jednak zostawić te prostackie insynuacje pani Ermine. Ze swoją inteligencją powinien postrzegać człowieka takim, jakim jest; ale może przeceniam jego inteligencję?

– Wie pan, mam wrażenie, że namawia mnie pan, bym wzięła udział w spisku – oznajmiłam bezzwłocznie.

Zachnął się, lecz po chwili oświadczył, że nie zamierza wcale podważać takiego poglądu na swoją propozycję. Przyznał, że jest spiskowcem – w doskonałej sprawie. Wszelkie swaty to spisek. Niepodobna, by tak nieprzeciętna kobieta, jak ja, nie pojęła jego idei; był pewien, że jestem zbyt bywała w świecie, by wygłaszać b a n a ł y , na przykład, że młodzi nie są w sobie zakochani. Uczucie może być podstawą małżeństwa tylko z braku czegoś lepszego. Eunice powinna być urządzona w życiu, tak jest przyzwoicie i stosownie; jego, Calipha, sumienie nie spocznie, póki nie dopilnuje, by to zostało załatwione. I wcale się nie boi słowa „załatwione”; małżeństwo jest sprawą wysoce praktyczną i załatwiania nigdy dość. Przyznał, że przyjmuje europejski punkt widzenia: opiekunowie młodej dziewczyny powinni się starać, by wyszła za mąż z zachowaniem określonych konwenansów. Był pewny swego brata; wiedział, jak nieskazitelny jest Adrian. Przemawiał przez pewien czas, a wiele z tego, co mówił, onegdaj powtarzałam sama sobie po rozmowie z panem Frankiem; w szczególności potwierdził to, co sama sędzę o walorach takiego rozwiązania – że zbyt mało Amerykanów wstępuje w związek małżeński, że jesteśmy narodem, który najczęściej ze wszystkich rozwodzi się i rozstaje, że byłoby znacznie mniej takich wypadków, gdyby młodym ludziom ktoś pomagał w wyborze, gdyby małżeństwo, by tak rzec, było im prezentowane. Słuchałam pana Calipha z najwyższą uwagą, myśląc, że to dziwne, iż pewne rzeczy, które na własny użytek sformułowałam dość podobnie, w jego ustach brzmią całkiem inaczej. Powinny brzmieć lepiej, wygłoszone w taki sposób, z energią, przejrystością, przekonaniem człowieka nawykłego do argumentacji; lecz jakoś nie brzmiały. Obawiam się, że jestem bardzo przekorna.

Odpowiedziałam, już nie bardzo pamiętam co; lecz był w tym ślad owej przekory. Gdy zareplikował, wyczułam, że zaczyna mu być pilno – bardzo pilno; że owładnięty jest przemożnym pragnieniem, by coś zrobić. Pamiętam, że w końcu rzekłam: – Nie rozumiem jednego: dlaczego brat pana miałby chcieć poślubić moją kuzynkę? Powiedział mi, że nie jest w niej zakochany. Czyżby pańska prezentacja tego pomysłu, jak pan go nazywa, wystarczyła? Czy on po prostu działa na pańską prośbę?

Dostrzegłam, że nie miał w pogotowiu odpowiedzi, a jego niezwykle oczy na chwilę rozjarzyły się błyskiem, którego wcześniej w nich nie widziałam. Wydawały się mówić: „Naprawdę tak sobie ze mną igrasz? Miej się na baczności; mogę być niebezpieczny”. Ale on zawsze się uśmiecha. Tak, uważam, że jest niebezpieczny, choć właściwie nie wiem, co mógłby mi zrobić. Sądzę, że uśmiechałby się nawet do kata, gdyby musiał się z nim spotkać. Jest bardzo zły na swego brata, że ten przyznał mi się, iż nie darzy Eunice namiętnym uczuciem; zupełnie jakby potrafił, pod moim czujnym okiem, udawać, że jest zakochany! Nie sądzą, bym obawiała się pana Calipha; nie zamierzam na nic sobie pozwalać (jak, wydaje się, nazwały to jego oczy) ani z nim, ani w ogóle z nikim, ale stanowczo się go nie boję. Gdybym miała, na przykład, stanąć w obronie Eunice; domagać się sprawiedliwości – ale co ja za niedorzeczności wypisuję! Po pewnym czasie odparł z dużą dozą godności, a nawet sporą dozą rozsądku, że jego brat ma dla mojej kuzynki najwyższy podziw, że zgadza się w pełni i serdecznie ze wszystkim, co on, pan Caliph, mówił o świetności tej partii, że bardzo chce się ożenić, i to ożenić, jak przystało na dżentelmena. A ponadto nawet jeśli nie jest zakochany w Eunice, to nie jest zakochany w nikim innym.

– Mam nadzieję! – zaśmiałam się; na co pan Caliph podniósł się z miejsca, z miną, jak na niego, dość poważną.

– Nie mam pojęcia, dlaczego pani sobie wyobraża, że Adrian nie działa swobodnie. Nie wiem, jakie, pani zdaniem, mógłbym mieć środki nacisku.

– Nic sobie nie wyobrażam. Chyba tylko żałuję, że sam nie wpadł na ten pomysł.

– Nigdy nie wpadłby na żaden pomysł dla własnego dobra. Nie jest nim w ogóle zainteresowany.

– Cóż, nie sądzą, by to miało jakiegokolwiek znaczenie, gdyż nie przypuszczam, by Eunice widziała to tak... tak jak my to widzimy.

– Dziękuję, że powiedziała pani „my”. Czy jest zakochana w kimś innym?

– O ile mi wiadomo, nie; ale może ma na to nadzieję, pewnego dnia. A co więcej, może ma nadzieję, bardzo słusznie, że ktoś się w niej zakocha.

– Ach, zakocha! To wasze babskie gadanie! Wszystkie, co do jednej, chcecie mieć gwiazdkę z nieba. Jeśli nie zadowala jej, że ktoś o niej myśli tak, jak Adrian o niej myśli, to musi być bardzo niemądra. Cóż więcej może dostać aniżeli czułość? A ten chłopiec to sama czułość.

– Być może jest zbyt czuły – zauważyłam. – Może boi się ją zapytać.

– Tak, wiem, że się denerwuje na samą myśl o odmowie. Ale chciałbym, żeby raz mu odmówiła.

– Nie tego się boi, lecz tego, że ona go przyjmie.

Pan Caliph uśmiechnął się, jakby uznał moje słowa za bardzo pomysłowe. – Pani go

nie rozumie. Proszę wybaczyć! Myślałem, że pani, ze swoją znajomością natury ludzkiej i spostrzegawczością, że pani pojęła, jak on jest zrobiony. Prawdę mówiąc, trochę na to liczyłem. – Powiedział to lekko urażonym tonem, który byłby mnie wpędził w okropne poczucie niższości, gdyby nie towarzyszyło mu spojrzenie, zdające się oznajmiać, że koniec końców jest wielkoduszny i mi wybacza. – Adrian to jedna z tych natur, które rozpala brak sukcesu. Nie poddaje się; przeciwności mu służą. Jeśli ona mu odmówi trzy lub cztery razy, będzie ją wielbił!

– A więc z pewnością będzie wielbiona, chociaż nie jestem pewna, czy to zrobi jej różnicę. Jak dotąd, nic nie wskazuje na to, że jej na nim zależy.

– Dlaczego więc jeździ z nim na spacer? – Uniesienie, z którym pan Caliph podkreślił ten punkt, nie miało w sobie nic brutalnego; jednak odniosłam wrażenie, że trochę lituje się nade mną za narażenie się na tak szybką ripostę.

– To niczego nie dowodzi, moim zdaniem. Ja też pojechałabym na spacer z panem Frankiem, gdyby mnie zaprosił, ale bardzo bym się zdziwiła, gdyby to zostało wzięte za znak, że chcę go poślubić.

Pan Caliph wsparł dłonie na udach; i w tej pozycji, pochylając się lekko do przodu, rzekł z uśmiechem: – Ach, ale on nie chce poślubić pani!

To było, jak sądzę, dość brutalne; ale ośmieszyłabym się, próbując się obrazić. Powtórzyłam po prostu, że jak dotąd nic nie wskazuje na to, że Eunice jest świadoma choćby zamiarów pana Franka. Myślę, że jest, ale nie dlatego, że coś powiedziała lub zrobiła. Pan Caliph utrzymuje, że potrafiłaby przez pół roku niczym się nie zdradzić, cały czas zastanawiając się i w duchu podejmując decyzję. Możliwe, że ma rację – zna ją dłużej niż ja. Ale on bynajmniej nie życzy sobie czekać pół roku; a rola, którą ja mam odegrać, polega na przyspieszeniu sprawy. Powiedziałam, że nie widzę, dlaczego nie może porozmawiać z nią bezpośrednio, dlaczego działa w ten określony sposób. Dlaczego nie powie jej tego wszystkiego, co mówił mnie – że uczyniłaby go bardzo szczęśliwym, wychodząc za jego młodszego brata? Odparł, że to niemożliwe, ich związek jest tak bliski, że nie wypada; wyglądałoby to na rodzaj nepotyzmu. Rzecz powinna sprawiać wrażenie, jakby zdarzyła się sama z siebie – i ja mam zostać autorką tego wrażenia! Za wiele bywałam w świecie, zbyt dobrze znałam życie, by nie dostrzec siły tych argumentów. O mojej światowości miał zresztą bardzo wiele do powiedzenia, co w pewnym sensie wcale mi nie pochlebiało: myślałby kto, że jestem sfatygowaną matroną, która wydała za mąż piętnaście córek! To ostatnia rzecz, którą czuję, kiedy pan Caliph tak mnie zdumiewa. Ma jakiś inny powód, oprócz miłości dwojga młodych, by życzyć sobie tych zaślubin, ale nie bardzo wiem jaki. Jednak myślę, że jestem „odkryta” niczym dziecko bawiące się w chowanego. Nie lubię go i mu nie ufam, ale to niezwykle czarujący człowiek. Jego jowialność, barwność, zapewne powinnam napisać: magnetyzm, są nadzwyczajne; mimo podejrzeń on mnie fascynuje. Prawda jest taka, że na swój sposób jest artystą, a że ja także jestem po trosze artystką, wyczuwam to i nie potrafię do końca oprzeć się pokusie zbratania. Ale, co więcej, artysta w nim rozpoznaje artystkę we mnie – bardzo to ładnie z jego strony – i chciałby ze mną ustanowić coś w rodzaju tajemnego związku. „Wspólnie przyjmijmy artystyczny pogląd na życie” – tyle po prostu znaczy całe jego gadanie o tym, że jestem kobietą światową. I wszystko

to bardzo pięknie; lecz wydaje mi się, że byłoby pewną nikczemnością, gdybyśmy się namawiali jak artysta z artystką kosztem biednej Eunice. Chciałabym poznać pewne tajemnice pana Calipha, ale nie życzę sobie w zamian ujawniać swoich. Niemniej dałam mu coś na odchodne; właściwie nie wiem, co to było, nie bardzo wiem również, jak wydobyl to ode mnie. Jednak złożyłam coś w rodzaju obietnicy, że porozmawiam z Eunice, „tak jak chciałabym, żeby pan to zrobił”. Już się podniósł, żeby wyjść, ale zabawił jeszcze kwadrans; chodził po pokoju, wzięwszy się pod boki, perorował, przekonywał, śmiał się, przykuwał mnie oczyma i zniewalającą twarzą – naturalny, dramatyczny, a zarazem dyplomatyczny niczym Włoch. Jestem prawie pewna, że chciał wywołać konkretny skutek, omotać mnie, zamagnetyzować. Dziwna rzecz – pan Caliph wystawia na szwank siebie, ale nie swego brata. Ma po temu jakiś prywatny powód, z którym jego brat nie ma nic wspólnego. Takie też było moje ostatnie słowo.

– W chwili, gdy uznam, że mogę coś uczynić dla szczęścia pańskiego brata, i tylko dla niego, wstawiając się za nim u Eunice, natychmiast z nią pomówię. Ale dla pańskiego szczęścia nie mogę zrobić nic.

W odpowiedzi pan Caliph powiedział rzecz zupełnie nieoczekiwaną. – Szkoda, że nie znałam pani pięć lat temu!

Można było to rozumieć na wiele sposobów; niewykluczone, że wówczas usunąłby mnie z drogi. Ale mogłam rozpatrywać tylko uprzejme znaczenie tych słów. – Na taką znajomość jak nasza nigdy nie jest za wcześnie.

– Tak, chciałbym wcześniej panią poznać – ciągnął – mimo że nie jest pani dobra i nie jest pani sprawiedliwa. Czy prosiłem, by zrobiła pani coś dla mego szczęścia? Moje szczęście nic nie znaczy. Mnie szczęście nie dotyczy. Nie zasługuję na nie. Chcę go jedynie dla mego młodszego brata i dla pani uroczej kuzynki.

Musiałam przyznać mu rację; nie prosił o nic dla siebie. – Ale ja nie chcę dla pana nic zrobić nawet przez przypadek! – odrzekłam, naturalnie ze śmiechem.

Tym razem spoważniał. Przez chwilę przyglądał mi się bez ruchu, po czym wyciągnął rękę. – Tak, szkoda, że pani nie znałam!

Kiedy to mówił, jego głos był tak pełen wyrazu, twarz tak przystojna, zachowanie tak serdeczne i pełne szacunku, że na chwilę naprawdę mnie wzruszył i niemal odparłam z uczuciem: „Istotnie, szkoda!”. Jednak powstrzymał mnie instynkt, o którym już wspomniałam – niejasne wrażenie, że w obecnym stanie rzeczy między mną a panem Caliphem nie może istnieć żadne *rapprochement*, które nie pociągałoby za sobą ofiary z Eunice. Odpowiedziałam więc tylko: – Panie Caliph, wydaje mi się pan dziwny. Muszę powiedzieć, że nie rozumiem pana.

Trzymał moją dłoń, wciąż na mnie patrząc, i podjął, jakby w ogóle mnie nie słyszał: – Nie jestem szczęśliwy, nie jestem mądry ani dobry. – Po czym zupełnie innym tonem wykrzyknął: – Na litość boską, niechże ona wyjdzie za mojego brata!

Raptowna pasja tych słów sprawiła, że powiedziałam: – Jeśli więc to takie pilne, to naprawdę powinien pan z nią porozmawiać. Może się zgodzi, by zrobić panu przysługę!

Przeszliśmy razem do holu; ujrzałam jeszcze, jak stojąc w otwartych drzwiach, patrzy na mnie z tym swoim uśmiechem. – Do licha z nepotyzmem! A jednak z nią porozmawiam!

Cornerville, 6 lipca. Cały miesiąc minął, od kiedy dokonałam ostatniego wpisu; ale mam doskonałe usprawiedliwienie tej okropnej luki. Odkąd jesteśmy na wsi, znajduję tematy aż w nadmiarze i maluję tak dużo, że wieczorami ręka z radością odpoczywa. To miejsce jest prześliczne, a rzeka Hudson równie piękna jak Ren. Oto te słowa, czarno na białym, a pod nimi mój podpis; więcej nie mogę już zrobić. Powtarzałam je tuzin razy w odpowiedzi na tyleż pytań i teraz zapisuję swoją opinię z całą należną solennością. Niech mi służy przez resztę lata! To jest zachwycający stary dom w stylu, który w tym kraju czterdzieści lat temu uważano za dostojny. Pomalowany jest na wesoły kolor łupku, z wyjątkiem licznych pilastrów i okładzin, podkreślonych najczystsza, najświeższą bielą. Na górze ma coś w rodzaju niezgrabnego szczytu czy poddasza; na dole – zadaszony taras, z którego można zejść na trawnik, obsadzony rozkosznymi starymi drzewami; pośrodku, na pierwszym piętrze – głęboką werandę, wpuszczoną w głąb budynku, ozdobioną białą balustradą oraz wielkimi błękitnymi, kamiennymi amforami. Dodajcie mnóstwo zielonych okiennic i pasiastych markiz, masy winobluszczu i glicynii, rzućcie na to pyszne światło amerykańskiego lata, a zyskacie pewne pojęcie o warunkach, w jakich odbywa się nasza wilegiatura. Najwspanialszą jej zaletą jest oczywiście majestatyczna rzeka, która rozlewa się poniżej naszego okrągłego cypla ogromnym srebrzystym zakolem i ginie w mgiełce na przeciwnym brzegu. To kraina perspektyw: wciąż spogląda się w głąb jakiejś alei, wchodzi na pagórek, mija zakręt, żeby coś zobaczyć. Dla moich celów widoki trochę zbyt lśniące, zbyt jaskrawe; cała przyroda robi wrażenie mokrej od świeżości, lakierowanej blaskiem. Ale udaje mi się trochę zeskrobać. Jest z nami pani Ermine, równie błyszcząca jak otoczenie, oraz, co dziwne, Adrian Frank. Dziwne dlatego, że wieczorem przed wyjazdem z miasta posłałam do pokoju Eunice i spytałam ją, czy wie, a raczej podejrzewa, co się święci. Naszedł mnie nagły impuls; wydało mi się nienaturalne, że w takiej sytuacji miałabym coś przed nią zatajać. Nie lubię się wtrącać, lecz tym bardziej nie chciałam przesadzić ze swoją awersją do wtrącania się; toteż nie mając najmniejszej chęci, by doradzać Eunice, nabrałam jednak przekonania, że powinna wiedzieć, iż pan Caliph celowo złożył mi wizytę, aby mnie skłonić, bym na nią wpłynęła. Dopiero po jego odejściu zdałam sobie sprawę, że wysłał przodem swego brata, aby usunął Eunice z drogi, i że właśnie z tego powodu młody Adrian nie chciał przyjąć odmowy. Jest doprawdy świetnie wyszkolony. Wieczór był bardzo gorący. Eunice siedziała sama w pokoju przy zgaszonym świetle; okna były otwarte na oścież, półmrok rozjaśniały tylko światła uliczne. Majaczyła wśród ledwie widocznych przedmiotów w białej narzutce, z jasnymi włosami rozpuszczonymi na ramiona, a gdy zapytałam, czy wie, że pan Frank pragnie ją poślubić, dostrzegłam, że odwraca ku mnie wzrok. Dostrzegłam też jej uśmiech, gdy odparła, że owszem, wie, iż tak mu się wydaje, ale wie również, że on tego nie chce.

– Rzecz jasna, mam na to jedynie jego słowo – powiedziałam.

– Mówił ci o tym?

– O tak, i jego brat również.

– Jego brat? – Eunice uniosła się powoli.

– To jest również pomysł pana Calipha. A może nawet pana Calipha przede wszystkim. Byłtu dzisiaj, kiedy wyszłaś, żeby mi powiedzieć, jak bardzo chciałby do

tego doprowadzić. Całym sercem tego pragnie, prosił więc, bym zrobiła, co w mojej mocy, aby tak się stało. Rzecz jasna, nie mogę nic zrobić, prawda?

Słyszając te słowa, znów opadła na krzesło i znieruchomiała, patrząc w ciemność przed sobą. Nie odpowiadała; zebrała dłońmi gęste włosy, zwinęła ciasno i przytrzymując na czubku głowy jedną ręką, drugą usiłowała podpiąć je grzebieniem. Stałam za nią, by jej pomóc; widziałam, że jest poruszona. – Nie, nie możesz nic zrobić – odrzekła wreszcie ze śmiechem, który nie przypominał jej zwykłego śmiechu. – Wiem wszystko; powiedzieli mi, oczywiście. – Mówiła wymuszonym tonem i było widać, że w gruncie rzeczy nie wiedziała wszystkiego; nie wiedziała, że pan Caliph naciska na brata. Podeszłam do okna i wyjrzałam na rozpaloną pustą ulicę, gdzie latarnie gazowe ukazywały setkę wysokich ganków, dokładnie takich samych na lewo i prawo, brzydkich jak zły sen. I gdy tam stałam, nagle przyszła mi do głowy pewna myśl, która od tamtej pory leży tam, gdzie padła, bo nie mam ochoty jej ruszać ani nawet tutaj zapisywać. Zostałam z Eunice przez dziesięć minut; zrelacjonowałam wszystko, co powiedział pan Caliph. Słuchała w zupełnym milczeniu – widziałam też, że słuchała chętnie. Kiedy rzekłam, że nie chciał z nią osobiście rozmawiać w imieniu brata, bo byłaby to, jego zdaniem, niedelikatność, przerwała mi z pewnym przejęciem: – Tak, to bardzo naturalne!

– Teraz więc możesz wyjść za pana Franka bez mojej pomocy! – oświadczyłam, skończywszy opowieść.

Smutno, choć z uśmiechem pokręciła głową. – Za późno na twoją pomoc. Poprosił mnie o rękę, a ja odparłam, że nie ma na to nadziei, nigdy!

Zdziwiłam się, że przemówił, jednak nie wspomniała nic o czasie ani miejscu. Musiało to się stać tego popołudnia, podczas przejażdżki. Powiedziałam, że trochę mi żal naszego młodego przyjaciela, to taki miły chłopak. Zgodziła się, że jest wyjątkowo miły, lecz dodała, że to niedostateczny powód, aby za niego wychodzić; a gdy zauważyłam, że z pewnością znowu spróbuje, że mam zapewnienie pana Calipha, iż niełatwo będzie się go pozbyć i że odmowa tylko zwiększy jego upór, odparła, że może próbować, ile mu się podoba; tak mało jej się naprzykrza, że nawet to od niego przyjmie. A teraz, aby dać mu szansę ponownej próby, zaprosiła go tutaj, najwyraźniej sądząc, że dzięki obecności pani Ermine będziemy *en règle* z nakazami obyczajności. Dodaję dla porządku, że zapewniła mnie, iż nie istnieje realna groźba, by spróbował jeszcze raz; co prawda powiedział jej, że ma taki zamiar, ale zrobił to wyłącznie *pro forma*. Po co, skoro nie jest w niej zakochany? Wszystko to pomysł jego brata; jest bardzo wdzięczna panu Caliphowi, który zbyt poważnie traktuje swoje obowiązki i w żadnym razie nie musi dostarczać jej męża. Pan Frank i ona zgodzili się pozostać przyjaciółmi, jakby nic się nie stało; i wydaje mi się, że właśnie wtedy wspomniała o zamiarze zaproszenia go do tego domu. Tak czy inaczej, kilka dni po przybyciu tutaj powiedziała mi, że napisała do niego, proponując mu przyjazd, na co zauważyłam, że to dość osobliwy gest wobec odrzuconego konkurenta, którego nie chciałoby się zachęcać. A on uzna to za zachętę, tak w każdym razie pomyśli pan Caliph. Odparła, że nie obchodzi jej, co myśli pan Caliph, i że zna pana Franka lepiej niż ja i dlatego wie, że nie żywi on żadnych nadziei. Niemniej, ma konkretny powód, by życzyć sobie jego obecności. Zabrzmiało to bardzo

tajemniczo, lecz nie mogła powiedzieć nic więcej; za miesiąc lub dwa miałam sama odgadnąć jej pobudki. Co mówiąc, obdarzyła mnie promiennym uśmiechem, jakiego nie widziałam u niej od wielu tygodni. Albowiem twierdzę, że Eunice czymś się trapi – bardzo trapi. Minął już prawie miesiąc, a ja wciąż nie wiem, jakie są tego powody. W każdym razie, jak już mówiłam, pan Frank jest tutaj i nie mogę rozgryźć, upiera się czy ustępuje? Wobec Eunice zachowuje się tak samo: zawsze uprzejmy i zawsze nieśmiały, nigdy nie jest nieuważny i nigdy – jednoznaczny. O swych konkurach nie wspomniał już ani słowem. Poza tym jest bardzo sympatyczny i siadujemy razem, szkicując ramię w ramię. Dzień lub dwa temu wygłosił do mnie bardzo miłą uwagę; że wolałby skopiować mój rysunek niż próbować samodzielnie oddać widok z natury. Być może, powtórzone w ten sposób, nie wygląda to zbyt *galant*, ale powiedział to takim tonem, z takim spojrzeniem, że niemal mnie wzruszył. Swoją drogą, ucieszyłam się, słysząc od Eunice wieczorem przed wyjazdem z miasta, że nie dba o to, co sądzi pan Caliph; tyle że ucieszyłabym się jeszcze bardziej, gdybym w to wierzyła. A niestety nie wierzę, z tego, między innymi, powodu, że nie zgadza się to z ową myślą, która dopadła mnie jednym skokiem – Bóg wie skąd – kiedy patrzyłam przez jej okno na ganki domów. Z przyjemnością jednak widzę, że już nie przysyła jej żadnych papierów do podpisu. Dni mijają miękko, szybko, w dziwnym, wręcz nienaturalnym znieruchomieniu. Jakby coś unosiło się w powietrzu – jakaś nasłuchująca cisza. Brzmi to nader fantastycznie; przypuszczam, że podobne spostrzeżenia usprawiedliwić może tylko fakt posiadania przeze mnie artystycznego temperamentu – to znaczy, jeżeli go mam! Jeżeli nie, to nie ma wytłumaczenia; chyba że jest nim wyraźny niepokój Eunice i postać, jaką przybrał – świadomego, przesadnego opanowania, którego dotknięcie, napięcie odczuwam. Jest cicha jak mysz, a przecież niespokojna jak płomień. Nie jest ani zdrowa, ani szczęśliwa; i nie śpi. Wprawdzie gdy onegdaj zapytałam pana Franka, jakie zrobiła na nim wrażenie, on drgnął i odparł ze skwapliwym uśmiechem: – Och, urocza, jak zwykle! – ale pojęłam, że nie wie, o czym mówi. Jest strasznie spalony słońcem i czerwony jak pomidor. Wolałabym, aby mniej przyglądał się moim bohomazom, a więcej kobiecie, którą pragnie poślubić. Latem zawsze wystarcza mi własne towarzystwo i jestem tak zainteresowana pracą, że jeśli mam nadzieję, żarliwą, by Eunice nie spotkało nic złego, to zapewne, między innymi, z egoistycznych pobudek. Gdyby jej się coś stało, ogromnie bym się przejęła. A pani Ermine, *par exemple*, się nudzi! Marzy, aby urządzić garden party i przy tej okazji wlec po trawniku tren sukni; lecz mija dzień za dniem, a przyjęcia jak nie ma, tak nie ma. Niemniej Eunice obiecała je zrobić w przyszłym tygodniu i, jak sądzę, zamierza natychmiast rozesłać zaproszenia. Pani Ermine zaproponowała, że napisze je wszystkie; w końcu ma w tym *du bon*. Jednak jej bezmyślność, niezrozumienie tego, co ją otacza, przekracza wszelkie pojęcie. W ogóle nie widzi, co naprawdę się dzieje, i gapi się w pustkę bardzo z siebie zadowolona. Jej teoria jest niezmiennie taka, że pan Caliph kocha się w Eunice – nie dalej niż wczoraj zaczęła mówić do mnie na ten temat, gdyż nie mając z kim rozmawiać oprócz młodego Adriana, który się jej wystrzega, przestała przejmować się tym, że mnie nie znosi, ja zaś mam ją za gęś – że pan Caliph kocha się w Eunice, Eunice zaś, będąc dziwaczką gotową na wszystko, nawet go nie lubi, Caliph przysłał więc przyrodniego

brata, by ten opowiadał o dobrych uczynkach jego, Calipha, i skłonił ją, by przychylniej o nim myślała. Pani Ermine wierzy w te dobre uczynki i najwyraźniej uważa takie posunięcie ze strony pana Calipha za dyplomatyczne i dramatyczne zarazem. W najmniejszym stopniu nie podejrzewa istnienia prawdziwego małego dramatu, który rozgrywa się pod jej nosem. Żałuję, że nie cierpię na taki niedostatek wizji; byłaby to wielka ulga. Bóg jeden wie, że widzę więcej, niż pragnę – na przykład, że moja kuzyneczka jest stężona z bólu, a ja nie mogę jej ukoić, nie mogę nawet nic jej doradzić. Pierwszego nie zdołałabym zrobić, nawet gdybym chciała, drugiego nie pozwoliłaby mi zrobić, nawet gdybym mogła. To wręcz żałosne, wręcz niesłychane, ale ona nie ma do kogo się zwrócić. Kiedy w przyszłym tygodniu, co możliwe, pojedę na jeden dzień do miasta, chyba odwiedzę Williama Ermine'a. Czy mi wolno, czy nie wolno, i tak to zrobię.

11 lipca. Otrzymuje listy, po których czuje się gorzej. Rozmawiałam z nią wczoraj wieczorem – zaprosiłam ją do mojego pokoju. Powiedziałam, że widzę, jak cierpi; że patrzę na to z przerażeniem; że jestem pewna, iż ma jakiś nieszczęsny sekret. Przez kogo się tak męczy? Nikt nie ma prawa – nawet pan Caliph, jeśli to przez pana Calipha, na którego najwyraźniej wszelkie prawa zostały scedowane. Załamana się całkowicie, wybuchnęła płaczem i wyznała, że martwi się o pieniądze. Pan Caliph znów prosił o zwłokę w przekazaniu rozliczeń i oznajmił, że przez kolejny rok nie będzie miała dochodów. Uważa, że to dziwne; uważa, że coś jest nie tak. Nie boi się być biedną; utrzymuje, że to niegodne tak bardzo zajmować się pieniędzmi. Ale serce jej się kraje na samą myśl, że pan Caliph może być czemuś winny. Zawsze go podziwiała, zawsze w niego wierzyła, zawsze... Ale nie dowiedziałam się, co, po trzecie, zawsze robiła, gdyż w tym momencie wtuliła mi głowę w podołek i przez pół godziny zanosila się szlochem. Jej smutek był obezwładniający. Nigdy się tak nie martwiłam, i to mimo faktu, że złości mnie jej dziwnie akceptująca postawa w obliczu prawdopodobnej katastrofy. Boi się, że coś jest nie tak, dobre sobie! No, ja myślę! I myślę, że od Bóg wie jak dawna! Właśnie to wisiało w powietrzu, właśnie to unosiło się nad nami. Ale Eunice jest wprost zdumiewająca. Nie chce zobaczyć się z prawnikiem; nie chce obarczyć pana Calipha odpowiedzialnością; nie chce narzekać, pytać, wnikać w jakikolwiek sposób. Jestem chora, jestem w kropce – nie wiem, co począć. Jej łzy wyschły w okamgnieniu, gdy tylko zrobiłam oczywistą uwagę, że piękny, tajemniczy, urzekający pan Caliph jest nie lepszy niż pospolity oszust; obrzuciła mnie spojrzeniem, które by mnie zmroziło, gdybym dawała się zmrozić, kiedy jestem zła. Przyjęła to z *de bien haut*; i dała do zrozumienia, że jeśli kiedykolwiek jeszcze wypowiem się o panu Caliphie w taki sposób, to nasze drogi rozejdą się na zawsze. Męczyła się; przyznała, że czuje się zraniona. Na własne oczy widziałam, do jakiego stopnia. Ale nie zamierzała go osądzać. Wpadł w kłopoty, powiedział jej o tym; a jego kłopoty były gorsze niż jej, ponieważ w grę wchodził jego honor, który należało ratować.

– A to dobre, słyszeć, jak mówisz o jego honorze! – wykrzyknęłam, nie zważając na usłyszana przed chwilą groźbę. – Gdzie był jego honor, gdy pogwałcił świętą więź zaufania? Gdzie był jego honor, gdy oddalił się z twoim majątkiem? Na te pytania, moja droga, będzie musiał odpowiedzieć w sądzie. Zwróci ci wszystko, co ukradł, co do pensa,

albo nie nazywam się Catherine Condit!

Eunice znów obrzuciła mnie spojrzeniem, najwyraźniej mającym mi uświadomić, że w jej oczach nagle stałam się najnieprzyzwoitszą z kobiet, i zamasyście wyszła z pokoju. Natychmiast usiadłam i napisałam do pana Ermine'a, aby list do miasta był gotów do wysyłki jutro z samego rana. Oświadczyłam, że Eunice jest w okropnych tarapatach finansowych i sądzę – chociaż sama nie śmie go o to prosić – iż wyświadczyłby jej wielką przysługę, gdyby przyjechał się z nią zobaczyć przy pierwszej dogodnej okazji. Oczywiście, pisząc, zdałam sobie sprawę, że nie zdoła nic dla niej zrobić, jeśli ona nie zechce się z nim widzieć, lecz zaraz to nadrobiłam, mówiąc sobie, że przynajmniej ja się z nim zobaczę i zrobi coś dla mnie. W liście dodałam, że Eunice została ograbiona przez osoby, które miały w swej pieczy jej majątek, nie wymieniłam jednak pana Calipha z nazwiska. Właśnie zaklejałam kopertę, gdy Eunice znów weszła do mojego pokoju. W jednej chwili dostrzegłam, że jest inna niż kiedykolwiek przedtem – a przynajmniej inna, niż mi się wydawała. Cała pasja, całe podniecenie opadło, zniknęły nawet ślady łez. Była całkowicie spokojna, lecz wszelka miękkość ją opuściła; stała się poważna i bezosobowa niczym kapłanka jakiegoś kultu. Kiedy jej spojrzenie spoczęło na liście, poprosiła, bym była tak dobra i powiedziała jej, do kogo jest adresowany. Natychmiast spełniłam jej życzenie, mówiąc, co napisałam; wówczas zapragnęła, bym oddała jej dokument. – Muszę cię powiadomić, że natychmiast go spalę – oznajmiła i zaraz dodała, że gdybym odezwała się do pana Ermine'a, napisałaby do niego tą samą pocztą, żeby nie zważał na nic, co mówię. Podarłam więc list, lecz oświadczyłam, że pojedę do miasta i rozmówię się z adresatem osobiście. – To właśnie przywodzi nas do kwestii, w której przyszłam – odparła i zażądała, bym solennie przyrzekła, że żywej duszy nie wspomnę o tym, czego się dowiedziałam o jej sprawach. Były to wyłącznie jej sprawy i nie dotyczyły ani mnie, ani żadnej innej istoty ludzkiej; miała pełne prawo domagać się takiej obietnicy i oczekiwać, że jej dotrzymam. Miała je, w rzeczy samej – niestety! – ale w owej chwili, oburzona i podniecona, nie byłam w stanie przyznać, że uznaję to prawo. W końcu wszakże ustąpiłam i obiecałam. Wydaje mi się dziwne, że to zapisuję; a jednak, no proszę, związałam się potężną przysięgą, złożoną nad ranem w tym „osobistym” miejscu, że nie kiwnę palcem, nie szepnę słowa, aby zadośćuczynić krzywdzie, jakiej Eunice doznała za sprawą swego zdradzieckiego plenipotenty, że nie ujawnię prawdy nikomu innemu i nie będę wołać o sprawiedliwość, odszkodowanie czy litość. Jak mnie do tego zmusiła, nie jestem w stanie powiedzieć; zrobiła to siłą swej woli, która, jak już miałam okazję wspomnieć, jest o wiele silniejsza od mojej, oraz natężeniem namiętności, której żaru w niczym nie umniejsza fakt, że płonie w jej wnętrzu, rozpalając serce, podczas gdy twarz pozostaje czysta i anielska. Usiadła, splótłszy dłonie, i oznajmiła, że nie opuści mego pokoju, póki nie spełnię jej żądań. Jest w stanie nadzwyczajnego uniesienia; przedstawiła swój punkt widzenia nader elokwentnie. Raz po raz podkreślała, że nie osądza pana Calipha; cokolwiek zrobił, pozostaje to tylko między nią i nim; gdyby nie zdradziła się przede mną, wstrząśnięta świeżym odkryciem, iż będzie zmuszona znów pójść na ustępstwa, nikt by go o nic nie podejrzewał. Teraz jest całkowicie gotowa poczynić owe ustępstwa. Jest jej niewyobrażalnie żal pana Calipha. Pilnie potrzebował pieniędzy i skorzystał z jej

majątku; proszę, może powiem, czyich pieniędzy właściwie miał użyć? Jej pieniądze, od chwili gdy wciśnięto mu je w ręce, były dlań nieznośną udręką. Uczynienie go powiernikiem było w najgorszym możliwym guście; on nie jest osobą, którą wolno się posługiwać dla własnej wygody, to niegodziwość tak wykorzystać jego dobry charakter. Zawsze się wstydziła, że tak wiele mu zawdzięcza. W stosunkach z nią zawsze był bez zarzutu, choć pewnie od początku nienawidził i jej, i jej żalosnych inwestycyjek. Nie jego wina, że straciła pieniądze; on sam stracił o wiele więcej niż ona. To najlepszy, najukochańszy, najciekawszy z ludzi. Eunice wyrzuciła to z siebie wręcz wyzywająco; nigdy dotąd nie pozwoliła sobie na luksus mówienia o nim i poczułam się osobliwie, widząc, że pierwszy pretekst, pierwszą śmiałość zyskała tylko dzięki temu, że doprowadził ją do ruiny. Wszystko to wygląda groteskowo, gdy o tym piszę; lecz wczoraj w nocy narzuciła mi swoje zdanie z całą mocą swej namiętnej osóбки. Jak wspomniałam, zgadzam się, że ta sprawa to nie mój interes; to jest dostatecznie jasne. Równie jasne są dwie inne rzeczy. Po pierwsze, można ją oskubać jak kurczaka; po drugie, kocha się w bezcennym Caliphie, i to od lat! Nie ośmieliłam się tego napisać owego wieczora, gdy ta piękna idea nagle rozkwitła mi w głowie; ale teraz wszystko mi jedno, co piszę. Czuję się tak ohydnie zakneblowana, że muszę przynajmniej tutaj sobie ulżyć. Dziwię się, oczywiście, że wcześniej nie odgadłam jej tajemnicy, zwłaszcza że wciąż znajdowałam się tuż-tuż. To wiele tłumaczy; to coś okropnego. Zakochana w kieszonkowcu! *Merci!* Cieszę się, że mnie los nie spletał takiego figla.

14 lipca. Nie mogę przeboleć faktu, że ujdzie mu to na sucho. Siedzę przy pracy i zgrzytam zębami, odruchowo używam najjaskrawszych, najwścieklejszych kolorów. Odbyłam z Eunice kolejną rozmowę, ale wciąż zupełnie nie wiem, z czego będzie żyć. Mówi, że ma majątek po ojcu i że to zupełnie wystarczy; ale oczywiście nie może udawać, że będzie to życie jak dotąd. Będzie musiała znów wyjechać za granicę i oszczędzać; i zapewne będzie musiała sprzedać ten dom – to znaczy, jeśli zdoła. „Jeśli zdoła” oczywiście znaczy: jeśli będzie co sprzedać, jeśli nie zjadły go długi hipoteczne. Chciałabym wiedzieć jedno: czy pomimo milczenia ofiary w takim przypadku jak ten nie powinna wkroczyć Sprawiedliwość. Gdybym tylko mogła jej podpowiedzieć – temu aniołowi z wagą i mieczem – wbrew mej obmierzłej obietnicy! Nie mogę zapytać, czy pan Caliph pozostanie bezkarny, gdyż nie wolno mi wspomnieć o sprawie nikomu, kto udzieliłby mi odpowiedzi. Tak, im więcej o tym myślę, tym bardziej się raduję, że los nie spletał mi psikusa i nie kazał się zakochać w pospolitym złodzieju! Dotkliwszego cierpienia niż mojej kuzyneczki nie potrafię sobie wyobrazić, ani straszniejszej woli samopoświęcenia. Co to za sytuacja, gdy jedyna rzecz, którą można zrobić dla ukochanego mężczyzny, to wybaczyć mu kradzież! Jaka troskliwa delikatność, jaki wzruszający dowód czułości! To Eunice potrafi; przez tyle lat czekała, żeby coś dla niego zrobić. Mam nadzieję, że jest zadowolona z tej szansy. A przecież kiedy piszę, że wybaczyła mu kradzież, zatracam się w tajemnicy jej nieskazitelnej duszy. Kto wie, co takiego mu wybaczyła – czy ona sama wie? Zgadza się z tym, że została skrzywdzona i ograbiona, i ta zgoda napawa ją swego rodzaju zachwytem. Zauważyłam jednak, że już nie wspomina o honorze pana Calipha. Tego rzeczownika nigdy już nie usłyszy bez drżenia i sama się na to skazała, przyzwoliła bowiem na coś zbyt haniebnego.

Chciałabym jeszcze wiedzieć, jaki właściwie przyjął ton – czy wyznał wszystko i zdał się na jej łaskę, czy też uciekł się do brawury i wykrętów? Co w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, chyba że ze względu na samą scenę, która wydaje mi się trochę śmieszna. No i chętnie bym się dowiedziała, czy wszystko przepadło, czy da się jeszcze coś uratować. Można śmiało przyjąć, że ona nie wie najgorszego; bo jeśli sam przyznał, że sprawy źle stoją, to należy założyć, że nie ma już nic do stracenia. Można na niego liczyć, że załatwi rzecz bez zarzutu! Mam prawo reagować gwałtownie, gdyż w pewnej chwili sprawił, że go polubiłam, i czuję się tak, jakby mnie także oszukał. Ona się w nim kocha i dlatego dzieło jest doskonałe; dzięki temu dostrzegł sposobność, by ją oskubać. Nie podejmuję się orzec, skąd o tym wiedział, gdyż pilnowała siebie tak, jak oskarżony pilnuje sędziego; lecz w chwili, gdy to odgadł, z pewnością zrozumiał, że może zrobić, co zechce. Wprawdzie niezbyt pasuje to do planu, by poślubiła jego przyrodniego brata, ale wolę tak myśleć, gdyż przez to wydaje się jeszcze paskudniejszy. A propos Adriana Franka, dobrze się składa, że tak bardzo lubię j e g o (swoją drogą, wyszło to dość dosadnie), albowiem w przeciwnym razie byłabym wręcz skłonna uwierzyć, że sprzymierzył się z Caliphem. Nie ma żadnego dowodu, że nie oznajmił przyrodniemu bratu: „Doskonale; bierz, ile zdołasz, a ja się z nią ożenię i jako jej mąż wszystko zatuszuję” – żadnego, poza wyrazem jego niebieskich oczu. To bardzo niewiele, zważywszy na to, że wyrazy i oczy to specjalność tej rodziny; jakoś nie powstrzymały pana Calipha przed kradzieżą. Właśnie w jego oczach zakochała się Eunice i ze względu na nie mu przebacza. Lecz oczy młodego Adriana są całkiem inne i bynajmniej nie tak piękne, co według mnie ogromnie świadczy na jego korzyść. Oczy pana Calipha są południowe, oczy młodego Adriana należą do Północy. Ponadto, chociaż jest bardzo miły i uczynny, to chyba nie dość uczynny, by do tego stopnia *endosser* ofiary swego brata, nawet by ocalić braterski honor. Honorom akurat nie musi tak bardzo się przejmować, w końcu nie nosi nazwiska Caliph. A poza tym, biedak, jest za głupi; prawie tak głupi jak pani Ermine. Oboje siedzieli i adresowali zaproszenia na garden party Eunice tak spokojnie, jakby w życiu nie było żadnych trosk. Pani Ermine zaproponowała panu Frankowi tę rozrywkę, a że on nie ma w świecie nic do roboty, to zajęcie jest równie dobre jak każde inne. Ale drażni mnie, kiedy widzę, jak siedzi naprzeciwko pani Ermine przy wielkim stole w bibliotece i oboje układają koperty jedna na drugiej. Stos sięga im już powyżej głów; zaprosili chyba tysiąc osób. Nie mam pojęcia, kim są ci wszyscy ludzie. To zdumiewające, że Eunice urządza przyjęcie właśnie teraz – dzień po tym, jak odkryła, że jest bez grosza; ale oczywiście to nie Eunice, tylko pani Ermine. Powiedziałam wczoraj, że jeśli Eunice zamierza zmienić tryb życia – już teraz bardzo skromny, biedne dziecko – to lepiej zacząć od razu, bo przyjęcie pod kierownictwem pani Ermine będzie ją kosztować tysiąc dolarów. Odparła, że musi to ciągnąć, gdyż już się o tym mówi; nie życzy sobie, by ktokolwiek się o czymś dowiedział – by się czegokolwiek domyślił. To będzie jej ostatnia ekstrawagancja, jej pożegnanie z towarzystwem. Gdyby to było możliwe dla nas, heretyków, przypuszczalnie poszłaby do klasztoru. Ona też mnie drażni – wszyscy mnie drażnią. Ku swemu zadowoleniu czuję wszakże, iż rozdrażnienie rozjaśnia mi w głowie. To w końcu pan Caliph „się nabrał”. Nie wymyśliłby dla swego brata tego aliansu, gdyby wiedział –

gdyby miał cień podejrzenia – że Eunice się w nim kocha, jakkolwiek właśnie w takim wypadku miałaby zapewnioną bezkarność. Pomyśleć, że o tym nie wiedział – idiota!

20 lipca. Wciąż adresują zaproszenia, a pani Ermine wzięła całą rzecz na swoje barki. Zaprosiła osoby, o których Eunice nigdy nie słyszała – niezła hałastrą się uzbiera! Zamówiła muzyków z Nowego Jorku i nową suknię specjalnie na tę okazję – coś w najwyższym stopniu *champêtre*. Eunice jest całkowicie obojętna na jej działania; odkryłam, że myśli tylko o jednym. Pan Caliph też będzie i ta rozkoszna idea wypełnia jej umysł. Im więcej ludzi, tym lepiej; nie wyjdzie na to, że robi drobne oszczędności, by dokuczyć mu widokiem tego, do czego ją doprowadził.

– Tak właśnie powinna żyć Eunice – rzekła do mnie dziś po południu pani Ermine, zacierając ręce po wysłaniu ostatniego zaproszenia. To znaczy ostatniego, dopóki znów nie przypomni sobie o kolejnym, niesłychanie przecież ważnym, i nie przemieści się do biblioteki, by je nabazgrać. Ma typowo „zaproszeniowy” charakter pisma – rozlazły, pochyły i głupi, który wygląda, jakby całymi dniami tylko kreśliła „Pan i Pani Ermine mają przyjemność” lub „Pan i Pani Ermine z radością przyjmują”. Oznajmiła, że zna Eunice daleko lepiej, niż Eunice zna samą siebie, i że życiowym powołaniem tej ostatniej jest niewątpliwie „przyjmowanie”. Nikt lepiej niż ona nie stanie w drzwiach, z uśmiechem podając rękę; nikt nie będzie życzliwszą, uprzejmiejszą gospodynią, nikt z większą szczodrością nie zrobi użytku ze swego okazałego majątku. Doprawdy, okropnie męcząca jest ta pani Ermine ze swym „pokaźnym majątkiem”; jest jak zegar, który w kółko wybija niemożliwe godziny. Sądzę, że musiała wynająć specjalny pociąg dla gości, żeby zwiózł ludzi z miejscowości w górze i w dole rzeki. Adrian Frank pojechał dziś do miasta; wraca dwudziestego trzeciego, a zabawa odbędzie się następnego dnia. Zabawa! Boże dopomóż! Eunice z pewnością się rozchoruje, a mnie stać tylko na to, by powstrzymać się od uwag typu: dobrze jej tak! To dla mnie wielka ulga, że pan Frank wyjechał; to już nie jest miejsce dla niego. Tyle czasu minęło, odkąd mówił do mnie coś o swych „szansach”. Czarowne szanse, nie ma co!

26 lipca. Przyjęcie się odbyło i wiele innych rzeczy również. Czułam się zbyt pobudzona, zmęczona i oszołomiona, by coś zapisywać; ale nie sypiam po nocach – za bardzo się denerwuję – więc wolę się i bazgrać niż wiercić się w łóżku. Właściwie mogę od razu przyznać, że garden party bardzo się udało – za to jedno pani Ermine należy się uznanie. Dzień był prześliczny; trawnik znakomicie przygotowany; muzyka dobra; bufet najwyraźniej niewyczerpany. Zjawiło się mnóstwo ludzi, niektórzy przyjechali nawet z Albany – wiele osób nieznanych Eunice, a tylko protegowanych przez panią Ermine – jednak rozproszyli się po terenie i jak dotąd nie słyszałam, żeby ktoś kradł łyżeczki i zrywał kwiatki. Pani Ermine, nadzwyczaj *champêtre* – biały muślin i słoneczniki – orzekła, że Eunice „przyjmuje wprost rozkosznie” i jest w swoim żywiole. Niewątpliwie wzbudza wielką ciekawość, dlatego wszyscy przyszli. To znaczy, nie dlatego że podejrzewają, w jakim jest położeniu, lecz dlatego że na razie, odkąd wróciła, niewiele ją widywano i spotykano, a uchodzi za osobę wytworną – mądrą, piękną, bogatą, no i niezłą *parti*. Chyba wszyscy byli zadowoleni; została uznana za niezwykle interesującą i jeśli pominąć śmiertelną bladość, ładniejszą niż ktokolwiek z obecnych. Adrian Frank nie wrócił dwudziestego trzeciego i nie przyszedł na przyjęcie.

Tyle odnotowuję, na razie nic nie rozumiejąc. Jego nieobecność, po tylu wysiłkach pod kierunkiem pani Ermine, wymaga wyjaśnienia. Pan Caliph – chociaż był obecny! – też nic nie wyjaśnił. Utrzymywał, że jest zaskoczony, nie znajdując brata, powiedział także, że nie widział go w mieście i nie ma pojęcia, co się z nim stało. To zapewne całkowite kłamstwo. Mam obowiązek uważać za kłamstwo wszystko, co on mówi i robi; nie mam wątpliwości, że spotkali się w Nowym Jorku i że Adrian zdradził mu, z jakiego powodu nie wraca. Nie wiem, jak opisać to, co zaszło między mną i panem Caliphem; była to niesłychana scena – scena, podczas której moje nerwy doznały takiego wstrząsu, że do tej pory nie ochłonęłam. To doprawdy zdumiewająca osobistość; całkowicie przekracza moje pojmowanie, nawet nie próbuję go zgłębić. Powiedzieć, że nie ma zmysłu moralnego, to nic nie znaczy. Widywałam różne osoby pozbawione tego zmysłu, lecz nigdy nie spotkałam nikogo tak bezczelnego, tak cynicznego, tak bezlitośnie okrutnego. Nasze spotkanie było niesamowite; dziękuję Bogu, że zesłał mi siłę! Gdy znalazłam się twarzą w twarz z panem Caliphem i dotarło do mnie, pośród jego rozkwitłej, diabolicznej pewności siebie, że to on – ze swymi uśmiechami, ukłonami, pyszną *boutonnière* i tą aurą cudowności, którą rozpacza, jakby został namaszczoney i wyłoczoney – że to on właśnie zrujnował moją biedną Eunice, która wręcz zbieleła, gdy się zbliżył; kiedy więc to poczułam, krew we mnie zagrała i gdybym była kobietą przystojną, uwierzyłabym, że oczy mi rozbłysły niczym aniołowi zemsty. On był świeżutki jak czerwcowy dzień, ogromny i bardziej niż kiedykolwiek podobny do Haruna-al-Raszyda. Poprosiłam, by poszedł ze mną na spacer; przez jedną chwilę, zanim się zgodził, łypnął na mnie srogo, jak to mówią Francuzi. Niemniej udał, że jest zachwycony, i ruszyliśmy na spacer ścieżką prowadzącą nad rzekę. Nie dało się uniknąć ludzi, wszędzie było ich pełno, jednak zaprowadziłam go tak daleko, że po dziesięciu minutach znaleźliśmy się właściwie sam na sam. Z rozkoszą obserwowałam, że nie może tego ścierpieć. Wtedy właśnie zapytałam, co się dzieje z jego przyrodnim bratem, on zaś oświadczył, że nic nie wie o tym, gdzie się Adrian podziewa. Nienawidziłam go; jego towarzystwo napawało mnie wstrętem; lecz gotowa byłam znosić je godzinami, byle tylko dać mu odczuć, jak bardzo nim gardzę. Zasugerować mu to, nie mówiąc tego wprost – to był iście natchniony pomysł i możliwe, że dzięki niemu stałam się bardziej demonem aniżeli aniołem, o jakim wspomniałam wcześniej. Po chwili więc oznajmiłam obcesowo, że jego brat zrobiłby najlepiej, w przyszłości trzymając się od nas z daleka; zakrawa na farsę udawanie, iż chce skłonić moją kuzynkę do zmiany zdania.

– To po co go tutaj zaprosiła? – Zadał to pytanie pewnym głosem.

– Bo myślała, że będzie miło mieć w domu mężczyznę; a pan Frank jest mężczyzną nieszkodliwym, dyskretnym i uczynnym.

– To dlaczego nie zgadza się pani, żeby wrócił?

Sprawił, że zaczęłam się trochę plątać, i oczywiście świetnie się tym bawił. Miałam zamęt w głowie – zamęt wskutek zdenerwowania – i jeszcze pogorszyłam sprawę. Byłam wściekła, że Eunice kazała mi obiecać, że nic nie powiem, i gniew mnie zaślepił, jak to zwykle się w takiej sytuacji zdarza, chyba że chodzi o organizm tak subtelny jak pana Calipha.

– Bo Eunice nie jest w stanie podejmować gości. Jest bardzo chora; sam pan widzi.

– Bardzo chora? I urządza garden party z muzyką? To po co nas zaprosiła?

– Bo jest trochę szalona, moim zdaniem.

– Ależ pani jest konsekwentna! – wykrzyknął ze śmiechem. – Znam ludzi, którzy sądzą, że wszyscy oprócz nich są szaleni. Ostatnio miałem okazję rozmawiać z nią kilka razy o interesach i uważam, że ma rozum jasny jak słońce.

– Pozwoli pan, że powiem, iż za dużo pan z nią mówi o interesach. Słówek rady, jeśli wolno: proszę natychmiast, bez dalszej zwłoki, zamknąć jej sprawy i przekazać wszystko w jej ręce. Bardzo się denerwuje; wie, że to powinno być zrobione już dawno. Zalecam usilnie położyć temu kres.

Nie miałam pojęcia, że potrafię być taka bezczelna, nawet w rozmowie z oszustem. Przyznaję, że nie całkiem mi to wyszło, gdyż głos wyraźnie mi zadrżał, choć dokładałam starań, by zachować spokój. Pan Caliph podniósł z ziemi kilka kamyków i jął puszczać długie kaczki na wodzie. Przez chwilę ważył każdy kamyk w dłoni, zerkając na mnie z ukosa, po czym ciskał go, by skakał przez sto jardów. Zastanawiałam się, czy robiąc mu wymówkę, złamałam przysięgę daną Eunice, doszłam jednak do wniosku, że nie; przecież pozornie zdawałam się nie wiedzieć, że stała się jej nieodwracalna krzywda.

– Chce pani sama przejąć kontrolę nad jej majątkiem? – zapytał pan Caliph, puściwszy kolejną kaczkę. Było to powiedziane wspaniale, znacznie lepiej, niż ja bym umiała; toteż chyba odparłam – choć serce mi waliło – niemal z uśmiechem aprobaty.

– Czy pan się nie boi? – zapytałam łagodnie.

– Czego, pani?

– Sprawiedliwości... przyjaciół Eunice?

– Czyli pani, rzecz jasna. Tak, bardzo się boję. Jaki mężczyzna się nie boi w obecności mądrej kobiety?

– Tak, jestem mądra; ale nie dość mądra. Gdybym była mądra, nie miałby pan co do tego żadnych wątpliwości.

Założył ręce i stanął przede mną, przyglądając mi się – jak już nieraz wspominałam – niczym dobrotliwy Mefistofeles. – Mogę tylko powtórzyć to, co mówiłem przedtem: żałuję, że nie spotkałem pani dziesięć lat temu!

– Jakże pan mnie musi nienawidzić, skoro pan tak twierdzi! – zawołałam. – To pewna pociecha, niewielka, że pan mnie nienawidzi.

– Nie umiem powiedzieć, jak się czuję, widząc panią tak nierozważną – ciągnął, jakby mnie nie słyszał. – Ach, droga pani, niech się pani nie wtrąca; taka kobieta jak pani! Proszę pomyśleć, przecież to w złym guście.

– Niech będzie; ale pański jest znacznie gorszy.

– Mój? A co pani wie o moim guście? Co pani w ogóle o mnie wie? Widzi pani, jaka jest powierzchowna? – Urwał, uśmiechając się niemal ze współczuciem; po czym nakazał, raptownie zmieniając ton i zachowanie, jakby nasza rozmowa go zmęczyła i chciał już zakończyć i wrócić do domu: – Niech pani dopilnuje, by wyszła za Adriana; to wszystko, co pani ma zrobić!

– Ach, ten pański piękny pomysł! Sam pan już w to nie wierzy! – Te słowa wyrwały mi się, kiedy się odwracał i razem ruszyliśmy pod górę.

– To jedyna rzecz, w którą wierzę – odrzekł z powagą.

– Jaka szkoda, że nie wierzy w nią pański brat! Bo nie wierzy, upieram się przy tym! – Powiedziałam tak, gdyż uznałam, że w tym momencie to go najbardziej rozdrażni. Okazało się, że miałam rację.

Staął na ścieżce jak wryty i obrzucił mnie złym spojrzeniem.

– Chce go pani dla siebie? Może p a n i się do niego zalecała?

– Ach, panie Caliph, i pan mówi o dobrym guście?

– Do diabła z gustem! – wrzasnął pan Caliph, krocząc przed siebie.

– Też tak myślę!

Nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem, jakbym rzekła coś bardzo zabawnego, po czym w milczeniu weszliśmy na szczyt skarpy. Już na trawniku nagle zwróciłam się do niego:

– Naprawdę pan się nie boi, nic a nic?

Znów przystanął, spoglądając na dom i barwne grupki, którymi usiany był trawnik. Muzyka, którą przestaliśmy już słyszeć, ponownie rozbrzmiała nam w uszach. – Czy się boję? Oczywiście! Boję się ogromnie! Lęk mnie ogarnia zwłaszcza podczas takich scen. Ale nie widzę, co pani przyjdzie z tej wiedzy.

– Sprawia mi ona przyjemność. – To było kłamstwo; jakoś nie czułam przyjemności, kiedy tak mówił i wyglądał. Posiada absolutnie bezgraniczną zdolność do szyderstwa; naprawdę, choć to zgoła niedorzeczne, w owej chwili miałam wrażenie, że przejawiał sporą wielkoduszność, nie okazując mi, co sądzi o moich idiotycznych wysiłkach, by go nastraszyć. Jakoś, czemuś, czuje się silny i bezpieczny; nie umiem jednak odkryć, skąd się to bierze, albowiem z pewnością nie zna tajemnicy Eunice, a tylko stan jej uczuć gwarantuje mu bezkarność. Uważa, że jest zaledwie łatwowierna, że przekonały ją jego bałamutne argumenty, iż za parę miesięcy wszystko będzie dobrze; może jest trochę zdenerwowana – co by uzasadniało moją interwencję – ale przynajmniej w obecnej chwili całkowicie zdana na jego łaskę. Bo oczywiście teraz obchodzi go tylko terażniejszość; na przyszłość wymyślił Adriana Franka. Jak dalece przywiązał się do tego pomysłu, świadczą jego ostatnie słowa przed naszym rozstaniem na trawniku; wskazują niemal na to, że ma sumienie, i to jest takie niezwykle:

– Musi wyjść za Adriana! Musi wyjść za Adriana!

Z tym wezwaniem odwrócił się i odszedł, by porozmawiać z różnymi znajomymi. Rozmawiał z każdym; rozsiewał swój dobrotliwy wpływ po całym terenie i wielce się przyczynił do świetności przyjęcia. Kiedy zatem pani Ermine już po wszystkim oznajmiła, że pan Caliph zasługuje na uwielbienie i bez niego zabawa byłaby całkiem „zwyczajna”, nie mogłam nawet pocieszyć się myślą, że rozpływa się bardziej niż zwykle. – To znaczy, wie pani, w porównaniu – dodała. – A czemu pani nie zastawi na niego sideł? – rzekła nagle ze swą tępą impertynencją. – Myślę, że pani by chciała!

– Czy to możliwe, że moje gorączkowe wysiłki, by go złowić, umknęły pani uwadze? – odparłam. – Nie zauważyła pani, jak odciągnęłam go na bok i skłoniłam do wspólnego spaceru nad rzeką? Jest zbyt wcześnie, aby coś mówić, ale naprawdę sędzę, że robię postępy. – Doprawdy, opłaca się nabrać panią Ermine dla takiej łagodnej przyjemności! Od Eunice trzymałam się z daleka, aż wszyscy wyszli. Wiedziałam, że spojrzy na mnie w określony sposób, a nie chciałam patrzeć jej w oczy. Mam wyrzuty sumienia – choćbym nie wiem jak się wykręcała, to jednak złamałam daną jej obietnicę. Pan Caliph

się oddalił, nie rozmawiając już ze mną; zauważyłam przecież, że pół godziny przed wyjściem przez jakiś czas spacerował z Eunice. Natychmiast odgadłam, jaką miał sprawę: postanowił osobiście i bezpośrednio zadać jej pytanie o małżeństwo z jego bratem. Jaki szczęśliwy pomysł, jak dobrze wybrana pora! Kiedy wróciła, zauważyłam, że płakała, choć nie wydaje mi się, by widział to ktoś jeszcze. Dostrzegam u niej ślady łez, nawet gdy zdołała je powstrzymać tak szybko jak dzisiaj. Cokolwiek między nimi zaszło, odwiódło ją to, gdy zostałyśmy same, od patrzenia na mnie w sposób, którego się obawiałam. Natomiast pani Ermine jest bardzo płodna; nie ma końca obrazom rodzącym się w jej mózgu. Późnym wieczorem, gdy odjechał ostatni powóz i wchodziłyśmy razem po schodach, na górze zatrzymała mnie na chwilę.

– Przemyślałam to i boję się, że jest pani bez szans. Mam powody sądzić, że dzisiaj oświadczył się Eunice!

19 sierpnia. Eunice jest bardzo chora – byłam pewna, że tak się stanie – po trudach swego okropnego święta. Trzymała się jeszcze przez trzy dni, po czym zupełnie się załamała i od przeszło tygodnia leży w łóżku. Nie miałam czasu pisać, bo cały czas czuwam przy niej na zmianę z panią Ermine. Pani Ermine zamierzała nas opuścić po garden party, lecz gdy Eunice się poddała, oświadczyła, że zostanie i będzie się nią zajmować. Eunice twierdzi, że jest dobrą pielęgniarką, tylko za dużo gada, ale oczywiście dzięki niej mam szansę wypocząć. Eunice jest w dziwnym stanie; nie ma gorączki, ale życie jakby z niej wyciekło. Leży z zamkniętymi oczami, w pełni świadoma, odpowiada, gdy się do niej mówi, lecz tkwi pogrążona w całkowitym spoczynku. Zupełnie jakby przeżyła jakiś straszliwy wysiłek czy zmęczenie i teraz pragnie zanurzyć się w zapomnieniu. Nie martwię się o nią – boję się znacznie mniej niż pani Ermine albo lekarz, dla którego ona wyraźnie umiera ze słabości. Powtarzam doktorowi, że rozumiem, co jej dolega, już ją taką widywałam. To zapewne potrwa miesiąc, a potem powoli znów doprowadzi się do ładu. Biedak przyjmuje tę teorię z braku czegoś lepszego i najwyraźniej liczy na mnie, że, jak powiada, pomogę jej dojść do siebie. Pani Ermine chce posłać po jakiegoś wielkiego człowieka do Nowego Jorku, lecz jestem przeciwna temu pomysłowi i nadal będę się mu sprzeciwiać. Zakrawa na okrucieństwo (moim zdaniem) wystawianie biednej dziewczyny na pokaz większej liczbie ludzi, niż to bezwzględnie konieczne. Najgłupszy z nich zobaczy, że jest zakochana. Źródło choroby tkwi w jej umyśle, w duszy, i żadna toporna ręka nie może jej tam dotykać. Ona sama też protestuje – modli się szeptem, żeby jej nie zmuszano do oglądania nikogo innego. – Chcę tylko, żeby dano mi spokój... dano mi spokój. – Więc dajemy jej spokój, to znaczy tylko czekamy i patrzymy. Wyzdrowieje; nie umiera się od takich rzeczy; przeżyje, ale będzie cierpieć, cierpieć bez końca. Dzisiaj wieczorem jestem zmęczona, lecz jest z nią pani Ermine i do rana nie będę potrzebna; dlatego, zanim się położę, nadrobię na tych stronicach poważne przeoczenie. Właściwie nie wiem, po co to opisuję, tyle że interesuje mnie historia zdarzeń i odkrywam, iż pisanie sprawia mi nawet większą przyjemność niż czytanie o nich. Jeżeli z tego, co dotąd przelałam na papier, ma być jakiś pożytek, to muszę odnotować pewien incydent, który uważam za jeszcze dziwniejszy niż którakolwiek z opisanych scen.

Adrian Frank pojawił się nazajutrz po przyjęciu – późnym popołudniem, gdy

siedziałam na werandzie, patrząc na zachód słońca, a Eunice i pani Ermine poszły na spacer nad rzekę. Nie usłyszałam turkotu kół, nie dostrzegłam śladu pojazdu ani bagażu. Nie przeszedł przez dom, lecz okrążył go; zapewne któryś ze służących powiedział mi, że jesteśmy na zewnątrz. Na mój widok przystanął, zawahał się, po czym wszedł po schodkach, w milczeniu uściśnął mi dłoń, usiadł w pobliżu i spojrzał na mnie w zapadającym zmierzchu. Już to było dosyć tajemnicze, a wrażenie to pogłębiło się jeszcze, gdy zaczął się usprawiedliwiać. Sarknęłam, że spóźnił się na przyjęcie o jeden dzień, że bardzo nam go brakowało, a nawet że przejawiał pewien brak szacunku dla Eunice. Skoro nie stawiał się na jej święcie, niedelikatnością byłoby zakładać, że ona będzie gotowa go przyjąć tylko dlatego, że on ma teraz czas. Nie wiem, dlaczego stałam się taka zaczepna – jakby naprawdę istniała groźba, że przestał się z nami liczyć i nie ma wystarczającego wyjaśnienia. Wydaje mi się, że po prostu wczorajsza rozmowa z panem Caliphem narobiła mi złej krwi i wprawiła we wściekłość. Pan Frank odparł, że unikał nas nie przez przypadek – unikał nas celowo; pojechał na kilka dni do Saratogi, a wróciwszy do Cornerville, wynajął pokój w gospodzie w miasteczku. Nie zamierzał dłużej nadużywać gościnności Eunice; przyszedł z hotelu na piechotę, po prostu aby nam życzyć dobrej nocy i zdać relację ze swych poczynań.

– Drogi panie Frank, pańska relacja jest trochę mętna! – zawołałam ze śmiechem. – Cóż, u licha, robił pan w Saratodze? – Przyznaję, że jego pokora całkowicie mnie rozbroiła; zawstydziłam się brutalności, z jaką go powitałam, i ponownie nabrałam przekonania, że to najlepszy w świecie człowiek.

– Co robiłem w Saratodze? Ze wszystkich sił starałem się zapomnieć o pani!

Taka była replika pana Franka i przedstawiam ją dokładnie tak, jak ją wygłosił; a raczej niedokładnie, gdyż nie potrafię oddać jego tonu – raptownego, zaskakującego drżenia jego głosu. Ale tymi właśnie słowami odpowiedział na moje powierzchowne w intencji pytanie. Natychmiast zrozumiałam, że bardzo wiele dla niego znaczą – uświadomiłam sobie, że nagle znaleźliśmy się na głębokiej wodzie; a przynajmniej on się tam znalazł i próbuje pociągnąć mnie za sobą w główny nurt. Moje zaskoczenie było olbrzymie i całkowite; zupełnie nie podejrzewałam tego, co mi powiedział. A powiedział wiele rzeczy – ale nie ma potrzeby ich tutaj przytaczać. Nie z powodu szczegółów uznałam za stosowne zanotować to zdarzenie; chyba można polegać na kobiecie, że zapamięta formę takich deklaracji. Pozwolę sobie po prostu zapisać, że ów biedny, kochany młodzieniec ubzdurał sobie, że chce mnie poślubić. Przez chwilę – tylko przez chwilę – myślałam, że żartuje; po czym w świetle zmierzchu ujrzałam, że aż pobladł ze wzruszenia. Jest najzupełniej szczerzy. To dziwne, ale prawdziwe, a ponadto to jego własna sprawa. Co do mnie, gdy mówię, że byłam zdumiona, to właściwie mówię wszystko: *en tête-à-tête* sama ze sobą nie muszę się płonić i zaprzeczać. Nie poczułam najmniejszej złości czy przestrawu; przepelniała mnie dobroć i troska, poza tym byłam ogromnie zaciekawiona. Mówił do mnie przez kwadrans i wydawało mi się, że to bardzo długo. Poprosiłam, by odszedł, nie czekając na powrót Eunice i pani Ermine. À propos, oczywiście mu odmówiłam.

To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam o tej porze, i dała mi wiele do myślenia. Tej nocy leżałam bezsennie; byłam bardziej pobudzona, niż sądziłam, do głowy

przychodziły mi najróżniejsze obrazy. Nie wyjdę za młodego Adriana – muszę powiedzieć, że tego obrazu nie było wśród nich – lecz po namyśle to, co do mnie powiedział, stało się jaśniejsze, bardziej wyobrażalne. Zaczęłam nawet trochę się dziwić swojemu zdziwieniu. Wygląda na to, że miałam zaszczyt spodobać mu się od początku; zaczął do nas przychodzić nie ze względu na Eunice, lecz na mnie. Wyczerpująco zwierzył mi się na ten temat. Bał się mnie; uważał, że jestem dumna, sarkastyczna, zimna – sto okropnych cech; wydawało mu się niemożliwe, byśmy kiedykolwiek stanęli na tak zażyłej stopie, że mógłby mi się oświadczyć. Krótko mówiąc, uznał mnie za nieosiągalną i postanowił adorować mnie w milczeniu. (Innymi słowy, przypuszczalnie sądził, że jestem za stara, a teraz po prostu przyzwyczyił się do różnicy wieku). Jednak pragnął być blisko mnie, widywać mnie i słuchać (doprawdy, przytaczam więcej szczegółów, niż to warte); więc kiedy przyrodni brat polecił mu, aby spróbował ożenić się z Eunice, skwapliwie skorzystał z okazji, by umocnić swoją pozycję. W tej sytuacji wszystko dawało się pogodzić: mógł zrobić przysługę bratu, ofiarować najwyższy komplement mojej kuzynce i widywać mnie co dzień lub dwa. Od początku był przekonany, że nic mu nie grozi; miał moralną pewność, że Eunice nigdy nie spojrzy na jego zaloty łaskawszym okiem. Nie wiedział, skąd to przekonanie, do tej pory tego nie wie; to był tylko instynkt. Zaloty były jawnie zdawkowe, niemniej młody Adrian okazał się wielkim komediantem. Zapewnił mnie, że gdyby się okazało, iż się mylił, i Eunice zniechęcała by go przyjęła, poszedłby z nią do ołtarza i byłby dla niej znakomitym mężem; albowiem w ten sposób zyskałby pewność, że będzie mnie często widywał do końca życia! I pomyśleć, że całkiem nieoczekiwanie miało się taki cudowny wpływ! Przyjechał tutaj, po odmowie Eunice, po prostu dla przyjemności zamieszkania ze mną pod jednym dachem; od tamtej pory nie prowadził już gry – między nim a Eunice wszystko było jasne i oczywiste. Zapytałam go, czy chce przez to powiedzieć, że ona wie, jakie uczucia on żywi dla jej towarzyski, na co odparł, że nigdy nie puścił na ten temat pary z ust i pochlebia sobie, że zdołał zachować całą rzecz w tajemnicy. Nie ma powodu sądzić, że odgadła jego pobudki, ja zaś pozwolę sobie tu wtrącić, że też nie mam takiego powodu; są wprost niesłychane! Jak wspomniałam, jego wątpliwości uśmierzył po prostu czas i przywilej widywania mnie częściej. Nie próbowałam przemówić mu do rozsądku i chociaż, gdy już zostałam oświecona, obdarzyłam go uwagą pełną najwyższego szacunku, to nie wydaje mi się, bym potraktowała jego prośbę zbyt poważnie. Zauważyłam jednak, że jestem pięć czy sześć lat od niego starsza; i chyba nie muszę się zastrzegać, że nie było w tym nic z kokieterii. Odpowiedział mi bardzo elegancko, co wszakże należy do kategorii szczegółów. Jest naprawdę zakochany, niech mu Bóg przebaczy! Ale nie wyjdę za niego. Jakie dziwne są namiętności mężczyzn!

Widziałam się z panem Frankiem następnego dnia; pozwoliłam mu przyjść w południe. Przyłączył się do mnie w ogrodzie, gdzie jak zwykle rozstawiłam sztalugi. Decyzję, czy powinien najpierw zajść do domu i wyjaśnić zarówno swoją obecność, jak i nieobecność Eunice, a zwłaszcza pani Ermine – które nie wiedziały o jego wizycie poprzedniego wieczoru, gdyż nic im nie powiedziałam – zostawiłam do jego uznania. Usiadł przy mnie na ogrodowym krzeselku i przyglądał się, jak pracuję. Przez pół

godziny zamieniliśmy niewiele słów; czułam, że jest szczęśliwy, mogąc tak siedzieć, być przy mnie, patrzeć na mnie – choć wydaje się to dziwne! – co do mnie zaś, świadomość tego miała w sobie pewną słodycz, choć była to słodycz wyrozumiałości, nie uniesienia lub triumfu. Musiał dostrzec, iż tylko udaję, że maluję – to znaczy, jeśli śledził ruchy pędzla, chociaż raczej w to wątpię. W duchu byłam pełna determinacji, którą osiągnęłam po wielogodzinnej nocnej rozterce. Nad ranem spłynęło na mnie jakby natchnienie; niepodobna, bym kiedykolwiek za niego wyszła, ale może dałoby się jakoś wykorzystać jego przywiązanie? W chwili obecnej, zaledwie dwie doby później, wydaje się to dziwne, nierealne, niemal groteskowe; niemniej przez jakieś dziesięć minut sądziłam, że dostrzegam światło. Gdy tak siedzieliśmy pod wielkimi drzewami w nieruchomym spokoju południa, nagle zwróciłam się do niego i powiedziałam:

– Dziękuję panu za to wszystko, co pan mi powiedział; sprawiło mi to radość, prawie taką, jakiej mi pan życzy. Wierzę w pana; wierzę w każde zapewnienie o pańskim przywiązaniu. Uważam, że to przywiązanie sięga bardzo daleko; i zamierzam wystawić je na ogromną próbę, największą, jakiej można kogokolwiek poddać.

Zastygł wpatrzony we mnie, wychylony do przodu, z dłońmi na kolanach.

– Każda próba... każda... – wyszeptał.

– Proszę więc nie rezygnować z Eunice; proszę jeszcze raz się oświadczyć; chciałabym, żeby za pana wyszła!

Moje słowa zapewne zabrzmiały jak potworny żart, ale dla mnie stanowiły źródło nadziei i otuchy. Słyszając je, Adrian Frank oblał się głębokim rumieńcem; wzdrygnął się nieco, jakby smagnięty dłonią, której ciosu nie mógł oddać, i nagle łzy stanęły mu w oczach. – Och, panno Condit! – wykrzyknął.

Widziałam coś przed sobą jasno i wyraźnie; jego rozpacz nie wydawała mi się żadną przeszkodą, toteż ciągnęłam ze spokojem, pragnąc, by pojał podłoże mojej prośby. – Wiem, że to, co mówię, wygląda na celową obelgę; nic nie skłoniłoby mnie do zadania panu bólu, gdybym mogła pana oszczędzić. Niestety, drogi przyjacielu, to nie jest możliwe; to nie jest możliwe. Nawet najlepsza rzecz, jaką mogłabym panu powiedzieć, sprawiłaby panu ból; istnieją w życiu sytuacje, w których tylko możemy ból przyjąć. Nigdy za pana nie wyjdę; nigdy nie wyjdę za nikogo. Jestem starą panną, a jak stara panna może mieć męża? Będę dla pana przyjaciółką, siostrą, bratem, matką, ale nigdy nie będę pańską żoną. Ogromnie bym chciała być pańskim bratem, bo nie podoba mi się brat, którego pan ma, i, moim zdaniem, zasługuje pan na lepszego. Wierzę, jak już mówiłam, we wszystko, co pan mi powiedział, w pańską sympatię, czułość, szczerłość, w rozwagę, z jaką pan podszedł do tej sprawy. Jestem szczęśliwsza i bogatsza o tę świadomość; zapewniam pana, że dzięki temu moje życie zyskało coś, czego przedtem w nim nie było. Zawsze, cokolwiek się zdarzy, będziemy dobrymi przyjaciółmi, drogimi przyjaciółmi. Ale nie mogę zostać pańską żoną, chcę pana dla kogoś innego. Powie pan, że się zmieniłam, że trzeba było to oznajmić trzy miesiące temu. Ale to nie ja się zmieniłam; zmieniły się okoliczności. Widzę powody, aby pan poślubił moją kuzynkę, powody, których wówczas nie widziałam. Trudno powiedzieć, czy ona wysłucha pana teraz chętniej niż wtedy; nie mówię o niej, mówię tylko o nas dwojgu. Chcę, aby pan podjął jeszcze jedną próbę i aby podjął ją pan tym razem

z moim pełnym zaufaniem i poparciem. Ponadto stawiam jeden warunek – który zaraz panu wyjaśnię. Sądzi pan, że jestem lekko obłąkana, złośliwie przekorna, potwornie okrutna? Gdyby zajrzał pan w głąb mego serca, znalazłby pan tam coś, co, jak sądzę, dałoby panu niemal radość. Żeby pana prosić, by zrobił pan coś, czego pan nie chce, zamiast czegoś, czego pan pragnie; żeby powiązać to trudne zadanie z warunkiem, który będzie wymagał sporego namysłu i z pewnością uczyni je jeszcze trudniejszym; proszę mi wierzyć, że mam po temu jakiś nadzwyczajny powód. Albowiem, niech pan pamięta, że ja nie mogę nigdy pana poślubić.

– Nigdy – nigdy – nigdy?

– Nigdy, nigdy, nigdy.

– Co to za nadzwyczajny powód?

– Że po prostu chcę, by Eunice miała pańską opiekę, dobroć i fortunę.

– Moją fortunę?

– Straciła własną. Czeka ją bieda.

– Na Boga, w jaki sposób? – zawołał biedny chłopiec, marszcząc brwi, coraz bardziej oszołomiony.

– Nie mogę panu powiedzieć, a panu nie wolno o to pytać. Ale to pewne. Większa część jej majątku przepadła; wie o tym od pewnego czasu.

– Od pewnego czasu? Jak to? Nie widać po niej, że coś się zmieniło.

– Pan nic nie dostrzegł, i tyle! Myślał pan o mnie. – Mam wrażenie, że tę uwagę wygłosiłam z uśmiechem, uśmiechem tym bardziej nietaktownym, że mógł go jedynie wprowadzić w tym większe zmieszanie.

Myślę, że z początku wręcz mi nie uwierzył. – Osobliwe, żeby w takiej chwili urządzić wystawne przyjęcie! – zawołał, wlepiając we mnie oczy całkiem inne niż jego stare – lub raczej młode – oczy; oczy, które inaczej niż poprzednio, kiedy (jak zazwyczaj bywało) nie dostrzegały nawet połowy tego, co miały przed sobą, teraz usiłowały dojrzeć w mojej twarzy, w słowach więcej, niż było widać na powierzchni. Nie wiem, co zobaczył biedny Adrian Frank; nigdy się nie dowiem, co jeszcze zobaczył.

– Zgadza się z panem, że chwila jest bardzo osobliwa – rzekłam. – Nie rozumie pan, nie może rozumieć, nie oczekuję tego – ciągnęłam. – O to właśnie mi chodzi, gdy mówię o przywiązaniu, z takim właśnie apelem się zwracam; chcę, żeby uwierzył mi pan na słowo, działał w ciemno, zrobił coś po prostu dlatego, że tak sobie życzę.

Spojrzał na mnie, jakby chciał zgłębić tajniki mojej duszy; i nigdy dotąd moja dusza nie wydawała się tak głęboka. – Mam ożenić się z pani kuzynką? To wszystko? – zapytał z dziwnym śmieszkiem.

– O nie, nie wszystko; również ma pan być dla niej dobry.

– A przede wszystkim, żebym dał jej dużo pieniędzy?

– Przez pana czuję się jak idiotka; ale nie zwracałabym się do pana z tą prośbą, gdyby nie był pan właścicielem fortuny.

– Może mieć moje pieniądze, nie wychodząc za mnie.

– To nedorzecznosc. Jakże mogłaby wziąć od pana pieniądze?

– Jakże w takim razie mogłaby wziąć mnie?

– To właśnie chcę zobaczyć. Sama panu mówiłam wiele tygodni temu, że ona wyjdzie

tylko za człowieka, którego pokocha; pozornie więc przeczę sama sobie, przypuszczając teraz coś odwrotnego. Ale mówię panu, wszystko się zmieniło.

– Myśli pani, że jest zdolna wyjść za mąż dla pieniędzy?

– Dla pieniędzy? Czy pan składa się wyłącznie z pieniędzy? Czy istnieje lepszy człowiek od pana, dżentelmen bardziej doskonały?

Słyszając to, odwrócił twarz, ukrył ją w dłoniach i jęknął. Współczułam mu, ale teraz się zastanawiam, czy nie powinnam współczuć mu jeszcze bardziej; czy współczucie nie powinno było mnie powstrzymać. Lecz byłam zbyt pochłonięta swym pomysłem. – To chyba przeznaczenie – szepnął pan Frank. – Najpierw mój brat, a teraz pani. Nie rozumiem.

– Wiem. Wiem, że pański brat tego chce... bardziej niż kiedykolwiek. Ale nie dbam o to, czego chce pański brat, a wpadłam na ten pomysł całkiem niezależnie. W najmniejszym stopniu nie wierzę, że teraz uda się panu lepiej niż za pierwszym razem. Jednak to może być tylko kwestia czasu, jeśli gotów jest pan czekać i patrzeć, jeśli pan pozwoli, bym panu pomogła. Pamięta pan, że już mnie pan kiedyś o to prosił, a ja odmówiłam. Ale powtarzam po raz kolejny: obecnie wszystko się zmieniło. Niech pan pozwoli, bym z panem czekała, bym z panem patrzyła. Jeżeli się panu uda, będzie mi pan bardzo drogi, jeżeli nie, tym bardziej. Sam pan widzi, że co jak co, ale to istotnie byłby akt przywiązania. Zdaję sobie sprawę, że proszę o coś niespotykanego, niesłychanego. Och, niewykluczone, że to dla pana zbyt wiele. Mogę jedynie panu to przedłożyć, tylko tyle. I jak mówię, pomóc panu. Oboje będziecie moimi dziećmi, zawsze będę w pobliżu. Skoro nie może pan mnie poślubić, może uzna pan, że to najlepsza rzecz, jaką pan może zrobić. Wie pan, sam pan tak mówił wczoraj wieczorem.

Wreszcie zaczął słuchać, jakby trochę ulegał perswazji. – Oczywiście, powiadomię ją, że panią kocham.

– Jest zdolna powiedzieć, że pan nie kocha mnie bardziej niż ona.

– Nie wierzę, że byłaby w stanie powiedzieć takie głupstwo. Ale zobaczymy.

– Tak, ale nie dzisiaj ani nie jutro. W ogóle nie teraz. Będzie pan musiał czekać wiele miesięcy.

– Będę czekał, jak długo pani zechce.

– I nie wolno panu mówić do mnie takich słów, jakich używał pan wczoraj.

– Czy to jest pani warunek?

– Och, nie; mój warunek to zupełnie inna i bardzo trudna sprawa. Prawdopodobnie wszystko zepsuję.

– A więc proszę, chcę go natychmiast usłyszeć.

– Bardzo trudno mi o tym wspominać; musi pan mi dać chwilę czasu. – Odwróciłam się do swej małej sztalugi i znów zaczęłam mazać, ale chyba ręka mi drżała, bo moje serce biło bardzo szybko. Na kilka chwil zapadła cisza; nie mogłam się zdecydować.

– U licha, jak ona straciła pieniądze? – zapytał nagle pan Frank, jakby właśnie przyszło mu to do głowy. – Czy jej sprawami nie zarządza mój brat?

– Pan Caliph jest jej plenipotentem. Nie mogę orzekać, jak doszło do strat.

Wstał szybko. – Chce pani powiedzieć, że o n je spowodował?

Uniosłam wzrok i dojrzałam w jego twarzy coś takiego, że porzuciłam pracę i również

wstałam. – Teraz przedstawię panu swój warunek – rzekłam. – Oto on: nie wolno panu zadawać pytań, ani jednego! – Nie o takim warunku myślałam, ale na więcej nie miałam odwagi i to musiało wystarczyć.

Bardzo poblądł; położyłam mu rękę na ramieniu, on zaś patrzył na mnie, jakby usiłując wydrzeć mi z oczu tajemnicę. Nazywam ją moją tajemnicą przez uprzejmość; Bóg jeden wie, jak straszliwie bliska byłam jej wyjawienia. Bóg mi wybaczy, ale Eunice zapewne nie. Czy dotrzymałam przysięgi, czy też ją złamałam? Zadałam sobie to pytanie; ale odpowiedź, o ile mogłam wnosić z oczu pana Franka, nie była pocieszająca. Obawiałam się jego następnej kwestii, jednak gdy nastąpiła, była całkiem inna, niż się spodziewałam. Coś gwałtownego zaszło w jego umyśle, coś, czego nie mogłam dociec.

– Jeśli zrobię to, o co pani prosi, jaka będzie moja nagroda?

– Uczyni mnie pan bardzo szczęśliwą.

– A pani kuzynka... Boże, miej nas w opiece!

– Będzie mniej udręczona niż dzisiaj.

– „Udręczona”? – zapytał, marszcząc brwi jak przedtem; była to nader przygnębiająca przemiana jego miłego oblicza.

– Ach, kiedy pomyślę, że muszę panu o tym mówić... że pan tego nie zauważył... tracę nadzieję! – wykrzyknęłam ze śmiechem.

Położyłam mu dłoń na ramieniu, on zaś przytrzymał ją mocno prawą ręką i nie zwalniając uścisku, powiedział: – Niech pani nie traci nadziei!

– To proszę obiecać, że pan zaczeka – odparłam. – Wszystko zależy od pana czekania.

– Obiecuję! – Po czym poprosił, bym go pocałowała, co też uczyniłam, w usta. Było tak, jakby wyruszał w podróż – jakby zostawiał mnie na bardzo długo.

– Przyjedzie pan, jeśli po pana poślę? – zapytałam.

– Uwielbiam panią! – zawołał; a potem odwrócił się, by opuścić teren, nie zbliżając się do domu. Patrzyłam za nim; po chwili zniknął mi z oczu. Nie pojawił się już, a gdy okazało się podczas lunchu, że ani Eunice, ani pani Ermine nie wspominają o jego wizycie, postanowiłam zachować rzecz dla siebie. Nic im nie powiedziałam i do chwili, gdy Eunice się rozchorowała – następnego wieczoru – nie mówiłyśmy o nim. Co prawda pani Ermine wielokrotnie dawała wyraz ciekawości, gdzie to on się podziewa, utrzymując, że nie posiada doskonałych manier swego przyrodniego brata, który przestrzega *convenances* wręcz nabożnie; ale sądzę, że udało mi się wysłuchać tego bez zmieszania. Niemniej miałam wyrzuty sumienia i nadal je mam; dotkliwie dają znać o sobie, gdy siedzę z Eunice w zaciemnionym pokoju. Jednak ją zdradziłam, jednak złamałam obietnicę. Ale to nieprawda, co napisałam przedtem; ona mi jednak wybaczy! Po odejściu pana Franka siedziałam przy sztalugach jeszcze przez godzinę i nagle odkryłam, że przekazując szaleństwo dalej, całkowicie się z niego wyleczyłam. Było skutkiem nagłej namiętnej żądz, by coś zrobić dla Eunice. Namiętność jest ślepa – ale gdy otworzyłam oczy, ujrzałam dziesięć tysięcy trudności, a raczej jedną, która obejmowała wszystkie pozostałe. Tego wieczoru napisałam do pana Franka na jego nowojorski adres, aby go powiadomić, że miałam atak obłędu, który już minął, choć z przykrością stwierdzam, iż wciąż niepodobna, bym za niego wyszła. List pozostał bez odpowiedzi, ale cóż adresat mógł właściwie odpowiedzieć na tę deklarację? Nadal

będzie mnie uwielbiał. Dziwne są namiętności mężczyzn!

Nowy Jork, 20 listopada. Milczałam przez trzy miesiące z ważnych powodów. Eunice chorowała przez wiele tygodni, lecz ani przez chwilę nie czułam prawdziwego niepokoju; wiedziałam, że wyzdrowieje. W ostatnich dniach października była już dostatecznie silna, by dać się przewieźć do miasta, gdzie miała do załatwienia różne interesy, i teraz już prawie doszła do siebie. Z rozmysłem piszę „prawie”, bo już nigdy nie będzie sobą – dawną słodką, ufną sobą, przynajmniej jeżeli chodzi o mnie. Po prostu mi nie wybaczyła! Zdarzyło się coś dziwnego – coś, czemu nie śmiem się bliżej przyglądać, bo inaczej sama również bym sobie nie wybaczyła. Eunice odzyskała cały majątek! Pan Caliph zwrócił jej wszystko – wszystko, co rzekomo przepadło, wszystko, z czego trzy miesiące temu nijak nie umiał się rozliczyć. Przed wyjazdem do miasta spędził z nią na wsi długi dzień (podczas którego starałam się jej unikać), a po naszym powrocie przychodził raz po raz. Kiedyś zapytałam Eunice, co takiego miał jej do powiedzenia, ona zaś odparła, że „wyjaśniał”. Po kilku dniach oznajmiła, że zdał jej pełną relację ze stanu interesów; że wszystko jest w porządku; że myliła się w tym, co mówiła poprzednio. Poza tym krótkim oświadczeniem nie pokajała się jednak za sposób, w jaki przedstawiła wcześniejsze postępowanie pana Calipha. Na razie sama nie wie, co o tym sądzić, domyśla się tylko, że odzyskała majątek wskutek czyjejś interwencji, i przypisuje – bądź imputuje – tę interwencję mnie. A skoro interweniowałam, to złamałam obietnicę, i tego, jak powiadam, ta łagodna istota nie potrafi mi wybaczyć. Dziwne są namiętności mężczyzn, lecz namiętności kobiet jeszcze dziwniejsze! Słodsze jej było cierpienie doznane z rąk pana Calipha niż odzyskanie z nich tego, co się jej zwyczajnie należało. Patrzy na mnie z ukosa; chłód przeziera przez jej sumienne wysiłki, by nie okazywać, że jej uczucia się zmieniły. A potem znów jest zdziwiona i zaskoczona, nie rozumie, co, jak i dlaczego się stało. Po chorobie ocknęła się w innym świecie – w świecie, w którym rozliczenia pana Calipha jednak okazały się poprawne; w którym, w trakcie wybielania skaz, z jego barwnej fizjonomii został wyprany wszelki kolor. Niejasno podejrzewa, że doszło do wielkiego poświęcenia, wielkiego wysiłku na jej rzecz, podczas gdy jej życiowy plan polegał na tym, by samej dokonywać wysiłków i poświęceń. Ale nie zadaje mi żadnych pytań; ostatecznie ma prawo do majątku i myślę, że boi się dowiedzieć o pewnych sprawach. Ale ja boję się jeszcze bardziej, gdyż zaczynam rozumieć, że ktoś istotnie bardzo się poświęcił. Nie widziałam się z Adrianem Frankiem od naszego rozstania pod drzewami trzy miesiące temu. Wyjechał do Europy, a w przeddzień odjazdu dostałam od niego liścik z tymi tylko słowami: „Kiedy pani po mnie przyśle, przyjadę. Czekam, jak mi pani kazała”. Sądzę, że dopóki nie wspomniałam o utracie przez Eunice pieniędzy, dopóki nie poprosiłam, by o nic nie pytał, nie żywił wobec swego szlachetnego krewniaka żadnych konkretnych podejrzeń; niemniej wystarczyła iskra, by wzniecić ogień. Wtedy odszedł, by znieść wstyd, nieznośny ciężar, Bóg wie jaką ohydę wyjaśnień swego przyrodniego brata! A ten dżentelmen jest w jeszcze jaskrawszym rozkwicie; na moje oko wygląda dokładnie tak jak człowiek, który przyjął czyjąś ofiarę; i ani słowem nie wspomina już o tym, by Eunice poślubiła Adriana Franka. Pani Ermine trwa przy swym pomysle, że pan Caliph i Eunice stworzą parę; ale ja sądzą, że Eunice jest wyleczona. O tak, jest wyleczona!

Dokonałam o wiele więcej, niż zamierzałam, lecz nie tak, jak zamierzałam; jestem bardzo znużona i nie będę już więcej pisać.

27 listopada. O tak, Eunice jest wyleczona! I tego właśnie nie może mi wybaczyć. Pan Caliph powiedział jej wczoraj, że pan Frank zamierza spędzić zimę w Rzymie.

3 grudnia. Postanowiłam wrócić do Europy i napisałam w sprawie swego rzymskiego mieszkania. Jeśli to możliwe, dziesiątego grudnia wyjadę z Nowego Jorku. Eunice mi mówi, że z łatwością uwierzy, iż będę tam szczęśliwsza.

7 grudnia. Muszę koniecznie odnotować coś, co miałam dziś przyjemność powiedzieć panu Caliphowi. Nie było go przez trzy tygodnie, ale dziś po południu nas odwiedził. Już nie jest plenipotentem, jedynie gościem. Siedziałam sama w bibliotece, kiedy go wprowadzono; minęło dobre dziesięć minut, zanim zjawiła się Eunice, więc zamieniłam z nim kilka słów, chociaż teraz napawa mnie nieopisanym wstrętem. Z początku rozmowa była zdawkowa, lecz nagle wykrzyknął jeszcze zuchwalej niż kiedyś: – Nasza pogawędka w Cornerville to jednak było coś niezwykłego! – Zdziwiłam się, że na tym poprzestał; oczekiwałam, że w ten czy inny sposób zemści się na mnie za doprowadzenie brata na trop jego występków. Jego milczenie w tej kwestii mogę wytłumaczyć, jedynie przypuszczając, iż pan Frank wymusił na nim obietnicę, że nie będzie mnie prześladował. Uosabiał jednak tak bezwstydnym sukcesem, że sam jego widok napełnił mnie żółcią, spróbowałam więc wymyślić coś, co by mu dopiekło.

– Nie wiem, co ani jak pan zrobił – rzekłam – ale dążył pan do celu w niesłychanie okrutny sposób. Był czas, gdy mógł pan poślubić Eunice.

To, rzecz jasna, nic nowego, że zaczęliśmy mówić szczerze, odpowiedział mi więc z uśmiechem: – Poślubić Eunice?

– Wiosną była w panu bardzo zakochana.

– Bardzo we mnie zakochana?

– Och, ale to już minęło. Wyobraża pan sobie? Jest wyleczona.

Wybuchnął śmiechem, lecz wyczułam, że go zaskoczyłam.

– Jest pani zachwycająca! – zawołał.

– Proszę pomyśleć, o ileż byłoby prościej; to znaczy, pierwotnie, kiedy wszystko szło dobrze, jeśli kiedykolwiek dobrze szło. Chyba pojmuje pan, o czym mówię? Ale teraz jest już za późno. Zobaczyła pana, gdy pan nie był na pokaz. Zapewniam pana, że jest wyleczona!

W tej chwili weszła Eunice, a ja zaraz potem opuściłam pokój. Jestem pewna, że doznał objawienia, i zapewniłam mu *un mauvais quart d'heure*.

Rzym, 23 lutego. Gdy wróciłam do ukochanego miasta, Adrian Frank był nieobecny; dowiedziałam się, że wyjechał na Sycylię. Tydzień temu napisałam do niego: „Obiecał pan, że przyjedzie, kiedy pana wezwę. Byłabym bardzo rada, gdyby przyjechał pan teraz”. Pojawił się wczoraj wieczorem, a ja oświadczyłam, że nie zniosę już dłużej niepewności w pewnej sprawie. Czy zechciałby mnie łaskawie poinformować, co takiego zrobił w Nowym Jorku, kiedy zostawił mnie pod drzewami w Cornerville? Jakim to poświęceniem zawinił; na jaką to najwyższą szczodrość – strach o tym myśleć – się skazał? Powiedział mi bardzo niewiele, ale jest teraz niemal ubogi. Dochodu ledwie mu starcza na mieszkanie we Włoszech.

9 maja. Pani Ermine zachciało się do mnie pisywać. Miałam już od niej trzy listy; w ostatnim, wczorajszym, wraca do starej śpiewki, że Eunice i pan Caliph wkrótce się pobiorą. Nie mam pojęcia, co się dzieje; czy to możliwe, że poddałam jej ten pomysł? Doprawdy, szczęśliwą mam rękę!

15 maja. Wczoraj oznajmiłam Adrianowi, że wyjdę za niego, jeśli Eunice wyjdzie za pana Calipha. Wymieniłam nazwisko jego przyrodniego brata po raz pierwszy od chwili, gdy tuż po przyjeździe do Rzymu chciałam z nim coś wyjaśnić, i wyraźnie mu się to nie spodobało.

Tyrol, w sierpniu. W rewanżu za ostatni list posłałam pani Ermine małą akwarelę, gdyż nie jestem w stanie do niej pisać; tak jest łatwiej. Teraz znów do mnie napisała, pewnie chce dostać następną. Oczywiście bazgrze o Eunice i panu Caliphie, ale po raz pierwszy jej słowa mają coś wspólnego z rzeczywistością. Narzeka, że Eunice bardzo powoli zmierza do celu; podobno biedny pan Caliph, który zaczął jej się zwierzać, czasem wydaje się bliski rozpacz. Oczywiście, nic nie sprawiłoby mu więcej przyjemności niż zawłaszczenie dwóch fortun; dwie są znacznie lepsze niż jedna. Jednak, żeby nie wiem ile wyjaśniał, to z pewnością nie wyjaśni wszystkiego. Adrian Frank przebywa w Szkocji; pisząc doń trzy dni temu, skorzystałam ze sposobności, by powtórzyć, że poślubię go w dniu, w którym odbędzie się pewien inny ślub. Dzięki temu jestem bezpieczna. Wyślę pani Ermine kolejną akwarelę. Eunice nie dba o akwarele i nie pisze do mnie. To jasne, że mi nie wybaczyła. Uważa mnie za wiarołomną – i oczywiście nią jestem. Możliwe, że w końcu za niego wyjdzie.

– Wszyscy wypytyują mnie, „co myślę” dosłownie o wszystkim – powiedział Spencer Brydon – a ja odpowiadam, jak umiem, odbijając lub omijając pytanie, zbywając ich byle bzdurą. Doprawdy – ciągnął – nic ich by to nie obeszło, bo gdybym nawet zdołał spełnić, bądź co bądź, pod przymusem, to niemądre żądanie wypowiedzi na tak ogromny temat, moje „myśli” dotyczyłyby prawie wyłącznie spraw, które mają znaczenie tylko dla mnie.

Mówił do panny Staverton, z którą przez ostatnich kilka miesięcy rozmawiał przy każdej możliwej okazji; ta skłonność i sposobność, ta pociecha i wsparcie – tak bowiem w gruncie rzeczy wyglądała sytuacja – dość szybko zajęła pierwsze miejsce w licznych szeregu zaskakujących zdarzeń, towarzyszących jego dziwnie spóźnionemu powrotowi do Stanów. Zresztą, w pewien sposób, niespodzianką było dlań prawie wszystko – być może stan naturalny dla kogoś, kto tak długo i konsekwentnie odwracał się do wszystkiego plecami, ba, wręcz dokładał starań, by dać pole do popisu niespodziankom. No i dał im ponad trzydzieści lat – dokładnie biorąc, trzydzieści trzy lata, a teraz odnosił wrażenie, że urządzają mu spektakl ponad miarę owego okresu swobody. Wyjechał z Nowego Jorku jako dwudziestotrzylatek, teraz liczył sobie lat pięćdziesiąt sześć, bywało wszakże, i to coraz częściej od czasu repatriacji, że oceniał swój wiek wedle samopoczucia, w którym to wypadku – myślał – żyłby już dłużej, niż to jest zazwyczaj dane człowiekowi. Trzeba by stu lat, mówił raz po raz do siebie, a także do Alice Staverton, stu lat oraz nieobecności znacznie dłuższej i umysłu bardziej nieuważnego niż ten, którym zawinił, aby do tego stopnia spiętrzyć różnice, nowości, osobliwości, a nade wszystko wielkości, jakie, na dobre i złe, obecnie atakowały jego wzrok, gdziekolwiek spojrzał.

Jednak głównie przytłaczała go nieobliczalność – albowiem przez wiele dziesięcioleci uważał się za człowieka, który, w sposób nader liberalny i inteligentny, liczy się ze zmianą w całym jej oślepiającym blasku. Teraz zaś dostrzegł, że tak naprawdę niczego nie brał pod uwagę: przeoczył to, co był pewien znaleźć, a znalazł to, czego nawet sobie nie wyobrażał. Proporcje i wartości stanęły na głowie; brzydkie rzeczy, których się spodziewał, rzeczy z odległej młodości, gdy aż zbyt prędko stał się świadomy brzydoty – te niesłychane zjawiska niemalże go oczarowały, gdy tymczasem rzeczy „butne”, nowoczesne, gigantyczne, sławne, które śladem tysięcy corocznych dociekliwych przybyszów on również szczególnie pragnął obejrzeć, okazały się dlań źródłem konsternacji. Było tak, jakby ktoś pozostawiał pułapki, wywołujące uczucie przykrości, a przede wszystkim zmuszające do reakcji, które wyzwalał każdy jego nerwowy krok. I całe przedstawienie, skądinąd bardzo ciekawe, stałoby się zupełnie nie do zniesienia,

gdyby nie pewna bardziej subtelna prawda, w jakimś stopniu ratująca sytuację: w spokojniejszym świetle wyraźnie dostrzegał, że nie przyjechał w y ł ą c z n i e dla tych potworności, lecz pod wpływem odruchu – nie tylko na skutek najnowszej analizy, lecz również w chwili decyzji – z którym nie miały nic wspólnego. Przyjechał – mówiąc podniosłe – obejrzeć swoją „posiadłość”, do której przez ostatnią trzecią wieku zbliżył się najwyżej na cztery tysiące mil; bądź też, ujmując rzecz mniej przyziemnie, poddał się chęci ponownego zobaczenia swojego niezłego narożnego domu, jak zazwyczaj z pewną czułością go opisywał – domu, w którym po raz pierwszy ujrzał światło dzienne, w którym żyło i umarło wielu jego krewnych, gdzie spędzał wakacje w przeciążonych nauką latach chłopięcych, gdzie zbierał nieliczne kwiaty swej towarzysko lodowatej adolescencji, a który, porzucony następnie na tak długo, stał się, wskutek śmierci obu braci oraz wygaśnięcia dawnych ustaleń, jego wyłączną własnością. Był również właścicielem innej kamienicy – co prawda nie tak „dobrej” jak ów „niezły narożnik”, dawno temu wspaniale rozbudowany i konsekrowany – i obie te nieruchomości składały się na jego podstawowy kapitał, dochód zaś, zwłaszcza w późniejszych latach, stanowiły pobierane czynsze, które (właśnie wskutek pierwszorzędnej jakości budynków) nigdy nie zmniejszyły się zbyt przygnębiająco. Zyski z kwitnącego nowojorskiego najmu pozwalały mu mieszkać „w Europie”, jak miał w zwyczaju, i to tym wystawniej, odkąd się okazało, że drugi dom, będący zaledwie numerem w szeregu innych na tej samej ulicy, popadłszy przez dwanaście miesięcy w gorszy stan, dzięki wysokiej zaliczce daje się cudownym sposobem przebudować.

Były to doprawdy dwie doskonałe nieruchomości, jednak przyłapywał się na tym, że od chwili przybycia różnicował je bardziej niż zwykle. W domu przy ulicy, położonym dwie kanciaste przecznice na zachód, kipiał remont, mający go zmienić w spiętrzoną masę mieszkań; Brydon, który jakiś czas temu zgodził się na propozycję przeróbki, teraz, gdy się rozpoczęła, nie bez zdumienia odkrył, że nie posiadając uncji doświadczenia w tym względzie, z miejsca potrafi rozumnie, wręcz autorytatywnie w niej uczestniczyć. Do tego stopnia żył dotąd odwrócony plecami do podobnych zajęć, kierując twarz ku sprawom całkiem innego rzędu, że właściwie nie wiedział, co sądzić o rozkwicie zdolności do interesów i zmysłu budowlanego w niezbadanej dotąd przegródce swego umysłu. Zalety owe, obecnie tak rozpowszechnione wszędzie wokół, trwały uśpione w jego głowie, można rzec, spały tam snem sprawiedliwych. Ale teraz, przy wspaniałej jesiennej pogodzie – w tym okropnym miejscu przynajmniej jesień stanowiła czyste dobrodziejstwo – niezrażony, sekretnie pobudzony doglądał swej „pracy”, w najmniejszym stopniu nie przejmując się faktem, że całe przedsięwzięcie uważano za plugawe i pospolite, gotów był wchodzić po drabinach, biegać po kładkach, z mądrą miną macać budulec, zadawać dociekliwe pytania, kwestionować wyjaśnienia i naprawdę „dobierać się” do rachunków.

Bawiło go to, zgoła urzekało; a tym samym niewątpliwie bawiło Alice Staverton, choć urzekało ją jakby mniej. Jednakże jej położenie nie miało się poprawić, inaczej niż jego – i to o ile; zapewne już nic, jak wiedział, nie mogło wpłynąć na poprawę jej położenia teraz, w jesieni życia, gdy była już tylko skromną właścicielką i lokatorką niewielkiego domu przy Irving Place, który dzięki pewnej subtelności udało jej się

zatrzymać przez prawie cały okres własnej nowojorskiej kariery. Jeżeli drogę pod ten adres poznał lepiej niż jakąkolwiek inną w okropnym, namnażającym się mrowiu numerów, które zamieniły dlań miasto w olbrzymią stronicę księgi rachunkowej, przerośniętą fantastyczną gęstwą krzyżujących się liczb i linii prostych – jeżeli, ku swemu pocieszeniu, nabrał nawyku odwiedzania panny Staverton, to w dużej mierze dlatego, że urzekło go spotkanie w nieogarniętej miejskiej dżungli hurtowego handlu, w marnym, ordynarnym gąszczu spowszechniałego bogactwa, sukcesu i siły, małego zacisza, gdzie rzeczy, cienie i kruche przedmioty zachowały jasność szkolonego wysokiego głosu, a w powietrzu, niczym woń ogrodu, unosił się zapach skromności. Jego przyjaciółka mieszkała z jedną tylko pokojówką, sama odkurzała pamiątki, przycinała knoty lamp i czyściła srebra; wycofana ze straszliwego ścisku nowoczesności, ruszała wszakże w bój, kiedy musiała, kiedy było to wyzwanie dla „ducha” – który, jak w końcu dumnie, lecz trochę nieśmiało przyznała, był duchem odległego, lepszego czasu, wspólnego im obojgu prehistorycznego ładu społecznego. W razie potrzeby korzystała z tramwajów, przeraźliwych urzędów, do których ludzie pchali się niczym ogarnięci paniką rozbitkowie do szalup; przymuszona, niewzruszenie stawiała czoło wszelkim publicznym starciom i udrękom; a przecież zadziwiająca gracia jej szczupłej sylwetki – budząca pytanie, czy to śliczna młoda kobieta, nieco postarzała od trosk, czy piękna i gładka, lecz dojrzała już osoba, zachowująca młody wygląd dzięki obojętności – a nade wszystko jej bezcenne nawiązania do wspomnień i historii, w których mógł się zanurzyć, czyniły ją dla niego równie wyjątkową, co jakiś blady, zasuszony kwiat (sam w sobie rzadki), i – z braku innych słodyczy – stała się dostateczną nagrodą za jego wysiłki. Łączyła ich wspólna pamięć – „nasza” pamięć (ów wykluczający zaimek nie schodził z jej ust) – wizji minionej epoki, na którą, w jego przypadku, nakładało się doświadczenie mężczyzny i wolność wędrowca, przyćmione przez przyjemności, zdrady i przejścia życiowe – by tak rzec, przez „Europę” – dla niej co prawda obce i niejasne, ale wciąż przeźrocyste, jawne i drogie dzięki zawsze bliskiej, żarliwej obecności nieodstępnego ducha.

Pewnego dnia poszła z nim obejrzeć, jak rosną jego „apartamenty”; pomagał jej na nierównościach i objaśniał swe plany, a ponadto odbył przy niej krótką, ale gwałtowną dyskusję z majstrem, przedstawicielem przedsiębiorstwa budowlanego, które podjęło się robót. Odkrył wówczas, że potrafi nieźle „postawić się” temu osobnikowi, który nie dopilnował jakiegoś uzgodnionego szczegółu, i przekonywał go z taką klarownością, że oprócz ślicznego rumieńca, jakim panna Staverton z miejsca się oblała w uznaniu dla jego triumfu, później uzyskał jeszcze opinię (niepozbowioną wszakże sporej dawki ironii), że najwyraźniej przez zbyt wiele lat zaniedbywał swój prawdziwy dar. Gdyby został w kraju, wyprzedziłby wynalazcę drapacza chmur. Gdyby został w kraju, mógłby w porę odkryć swój talent i zapoczątkować jakąś nową okropną architektoniczną modę, drażąc ją, aż zamieniłaby się w kopalnię złota. W ciągu następnych tygodni słowa te rozbrzmiewały mu w pamięci niczym srebrny dzwoneczek na tle jego własnych, najosobliwszych i najgłębszych, choć jak najskrzętniej skrywanych i tłumionych wibracji.

Odkrył ich istnienie już po pierwszych dwóch tygodniach; swawolny zachwyt ujawnił

mu się z przedziwną nagłością, zupełnie jakby – taki obraz miał przed oczami, rozważając sprawę z wcale niemałym przejęciem, a nawet upojeniem – za zakrętem ciemnego korytarza w pustym domu natknął się na nieoczekiwaną obecność całkiem niespodziewanego mieszkańca. Ta zniewalająca analogia dość uporczywie się go trzymała, chyba że ubierał ją w lepszą, wyrazistszą formę: że otwiera drzwi, za którymi, jak się przedtem upewnił, nic nie ma, prowadzące do opróżnionego, zamkniętego pokoju, i wtem, hamując odruch wielkiego przestachu, staje twarzą w twarz z groźną postacią, jakby wrosniętą w środek podłogi i przyglądającą mu się w półmroku. Po owej wizycie na budowie przespacerował się ze swą towarzyszką do drugiego domu, wciąż o ileż lepszego, położonego nieco na wschód – właśnie na owym „niezłym” narożniku, gdzie ulica, której zachodni kraniec, dziś ogólnie zhańbiony i oszpecony, krzyżuje się ze względnie powściągliwą Aleją. Aleja ta, zdaniem panny Staverton, wciąż miała pewne pretensje do przyzwoitości; ale dawni ludzie niemal całkiem zniknęli, dawnych nazwisk nikt nie znał, tylko tu i ówdzie pojawiało się niewyraźnie jakieś dawne skojarzenie, podobne do napotkania bardzo starej osoby, która zbyt późno wyszła z domu i którą, wiedzeni opiekuńczym odruchem, pragniemy obserwować lub odprowadzić, póki nie znajdzie bezpiecznego schronienia.

Nasza para przyjaciół weszła razem do środka; on otworzył drzwi własnym kluczem, gdyż, jak wyjaśnił, nikogo nie zatrudniał, z pewnych powodów woląc zostawić dom pusty, jedynie pod opieką kobieciny z sąsiedztwa, która zgodnie z prostą umową przychodziła codziennie na godzinę, aby przewietrzyć, odkurzyć i pozamiatać. Spencer Brydon miał po temu swoje powody, które uświadamiał sobie coraz wyraźniej; za każdym razem, gdy tu bywał, wydawały mu się coraz lepsze, ale nie wymienił ich wszystkich swojej towarzyszce ani też się nie przyznał, jak często, jak absurdalnie często odwiedza to miejsce. Na razie tylko, chodząc po wielkich czystych pomieszczeniach, pozwolił jej dostrzec, że panuje tu absolutna próżnia i że oprócz miotły pani Muldoon w jednym z kątów, od strychu po dach nie ma nic, co mogłoby skusić włamywacza. Pani Muldoon akurat znajdowała się na miejscu i wielomównie powitała gości, biegnąc przed nimi z pokoju do pokoju, otwierając okiennice i uchylając okna – wszystko po to, jak podkreśliła, by im pokazać, że nie ma tu nic do oglądania. Istotnie, w wielkim opustoszałym budynku do oglądania było niewiele, jednak ogólny plan i podział przestrzeni w stylu epoki obszerniejszych wnętrz ich właściciel odbierał jak uczciwe, szczerze błaganie o referencje lub wręcz skromną pensyjkę starego oddanego sługi, który przepracował wiernie całe życie; z drugiej strony, dotarła do niego uwaga pani Muldoon, że chociaż ona chętnie idzie mu na rękę, robiąc swój południowy obchód, to ma nadzieję, że o jedno nigdy nie zostanie poproszona: bo gdyby z jakiegoś powodu on zażyczyłby sobie, aby przyszła tu po zmroku, to ona odpowie mu po prostu, by „jeśli łaska” zwrócił się do kogoś innego.

Fakt, że nie było co oglądać, w żadnym razie nie świadczył dla zacnej kobiety o tym, że nigdy nie b ę d z i e; wprost oświadczyła pannie Staverton, że chyba nie można oczekiwać od damy – no nie? – żeby zechciała „skradać się na pintro w tom złom godzinie”. Gaz i elektryczność zostały odłączone, więc udało jej się niemal przywołać ponury obraz marszu przez szare pokoje – tak strasznie ich dużo! – w migotliwym

blasku świec. Panna Staverton przyjęła jej oburzone spojrzenie z uśmiechem i oświadczyła, że ona sama z pewnością cofnęłaby się przed taką wyprawą. Spencer Brydon zachował spokój – na razie; kwestia „złych godzin” w jego starym domu stała się dlań zbyt poważna, już bowiem od pewnego czasu „skradał się” na piętro i dokładnie wiedział, po co właśnie w tym celu trzy tygodnie temu własnoręcznie schował paczkę świec do szuflady pięknego starego kredensu, który jako „stałe wyposażenie” zajmował głęboką wnękę w jadalni. Teraz więc tylko wyśmiał swe rozmówczynię – niemniej szybko zmienił temat. Po pierwsze, w owej chwili wydało mu się, iż jego śmiech wzbudził dziwne echo, świadomie ludzki rezonans (nie bardzo wiedział, jak to określić); gdy sam krążył po domu, dźwięki wracały do jego ucha albo wyobraźni; po drugie zaś, przez moment odniósł wrażenie, że Alice Staverton, czytając mu w myślach, zamierza zapytać, czy często tak krąży. Na takie domysły nie był przygotowany, w każdym razie udało mu się uchylić od pytań, dopóki pani Muldoon nie przeszła w głąb budynku.

Na szczęście istniało wiele innych tematów, które mógł poruszyć swobodnie i otwarcie w tym uświęconym miejscu; toteż kiedy jego towarzyszka, rozejrzawszy się tęsknie dookoła, sama przerwała tamę: – Ale mam nadzieję, że nie chce pan powiedzieć, że każą panu t o rozebrać na części? – z jego ust popłynął cały strumień deklaracji. Odpowiedział natychmiast, na nowo czując gniew: oczywiście, właśnie tego chcieli i codziennie się go o to „czepiali” z nieustępliwością ludzi, którzy za nic nie są w stanie pojąć, że człowiek ma prawo do przyzwoitych odruchów. Ten dom, taki jaki był, stanowił dla niego źródło zaciekawienia i radości większej, niż umiał wyrazić. Istniały wartości większe od czynszu, a więc, a więc... Lecz tu panna Staverton wpadła mu w słowo: – A więc tyle pan zarobi na swoim drapaczu chmur, że pławiąc się w luksusie dzięki nieuczciwym zyskom z t a m t e g o , tu będzie pan mógł sobie pozwolić na odrobinę sentymentalizmu! – W jej uśmiechu i słowach dosłyszał szczególną, delikatną ironię, którą, jak odkrył, przesycona była połowa wszystkiego, co mówiła; ironię pozbawioną goryczy, wywodzącą się ściśle z wielkiej wyobraźni, jakże różną od taniego sarkazmu, powszechnego w tak zwanym „towarzystwie”, dzięki któremu ludzie próbowali wyrobić sobie opinię inteligentnych, choć właściwie żadnej inteligencji nie posiadali. Miał miłą pewność, że gdy po chwili wahania odrzekł: – No tak; precyzyjnie to pani ujęła! – jej wyobraźnia jednak oddała mu sprawiedliwość. Wyjaśnił, że nawet gdyby nie zarobił ani centa na swym drugim domu, t e n ceniłby nade wszystko; i podczas dalszej nieśpiesznej przechadzki nieustannie wracał myślami do faktu, że dopuścił się prawdziwej mistyfikacji, wykreował najwyższe zdumienie.

Mówił o zaletach, jakie przypisywał temu miejscu – samym widokom pustych ścian, kształtom pokoi, trzaskom podłóg, dotykowi starych posrebrzanych gałek w mahoniowych drzwiach, kojarzącemu się z uściskiem dłoni zmarłych; o siedemdziesięcioletniej świetnej przeszłości, którą rzeczy te reprezentowały, o pamięci prawie trzech pokoleń, włączając dziadka, który dokonał żywota w tym domu, o rozsianych prochach własnej, dawno zgasłej młodości, zawisłych w powietrzu jak mikroskopijne drobinki kurzu. Słuchała wszystkiego: należała do kobiet, które prowadzą intymne rozmowy, lecz w ogóle nie paplą. Nie tworzyła wokół siebie chmury słów – i bez niej umiała przytakiwać, zgadzać się, a przede wszystkim zachęcać. Dopiero pod

koniec go zaskoczyła: – Ale właściwie, skąd pan może wiedzieć? Może ostatecznie zechce pan jednak tu zamieszkać? – To go trochę otrzeźwiło, gdyż nie myślał o tym, przynajmniej nie w takim samym sensie. – Chodzi pani o to, że postanowię zostać ze względu na miejsce?

– Cóż, mając taki dom... – Co najpiękniejsze, miała zbyt wiele taktu, by stawiać kropkę nad tak monstrualnym „i”, ściśle przy tym dowodząc swojej niechęci do plecenią trzy po trzy. W samej rzeczy, jak ktokolwiek obdarzony odrobiną rozumu mógłby się upierać, że ktoś inny „zechciałby” mieszkać w Nowym Jorku?

– Och – powiedział – m o g ł e m tu zamieszkać, miałem przecież swoją szansę we wczesnej młodości, mogłem się tu urządzić przez te wszystkie lata. Wszystko wyglądałoby trochę inaczej i, śmiem twierdzić, trochę „zabawniej”. Ale to inna sprawa. Cała uroda sytuacji, mam na myśli swoją przekorę, odmowę „robienia interesów”, polega na zupełnym braku rozsądku z mojej strony. Czy pani widzi, że gdybym miał w tej kwestii choć trochę rozsądku, gdybym postąpił całkiem odwrotnie, byłby to nieuchronnie rozsądek mierzony w dolarach? Tu nie ma rozsądnych rozwiązań oprócz dolarowych. A zatem, niechaj nie będzie ich wcale, ani jednego, ani cienia.

Rozmawiali w holu, już gotowi do wyjścia. Z miejsca, w którym stali, przez otwarte drzwi roztaczała się perspektywa wielkiego kwadratu głównego salonu i jego cudownych, nieomal starożytnie śmiałych przestrzeni międzyokiennych. Oderwała wzrok od tego widoku i na chwilę pochwyciła jego spojrzenie. – Naprawdę jest pan pewien, że ów cień nie służy raczej...

Wręcz poczuł, że blednie. Lecz dalej już się nie posunęli, przynajmniej nie wtedy, gdyż udało mu się, jak sądził, utrzymać odpowiedź w stosownym tonie, między rozbawieniem a oburzeniem: – Ach, te cienie! Naturalnie, że w tym domu aż się od nich roi! W przeciwnym razie byłbym się go wstydził. Biedna pani Muldoon ma rację, dlatego prosiłem ją tylko, by czasem tu zajrzała.

Wzrok panny Staverton znów się zatracił, podczas gdy, co widział wyraźnie, rzeczy niewymówione przepływały jej przez głowę. Być może w głębi pięknego pokoju wyobraziła sobie nawet niewyraźny, gęstniejący kształt. Uproszczony niczym maska pośmiertna ładnej twarzy, mógł w owej chwili zrobić na niej podobne wrażenie jak grymas utrwalony w „pamiątkowym” gipsie. Jednakże, cokolwiek poczuła, zareagowała jedynie ogólnikowym banałem: – Ach, gdybyż był urządzony i zamieszkaany...

Najwyraźniej sądziła, że gdyby dom nadal był umeblowany, on, Brydon, byłby nieco mniej przeciwny idei powrotu. Ale zaraz przeszła do sieni, jakby chcąc zostawić te słowa za sobą, po chwili więc otwierał już przed nią drzwi wejściowe i stał z nią na stopniach. Zamknął drzwi na klucz, a gdy chował go do kieszeni, rozglądając się po ulicy, dotarła doń w całej jaskrawości rzeczywistość Alei, przywodząca na myśl zewnętrzne światło pustyni, atakujące podróżnika, który opuszcza egipski grobowiec. Zanim zeszli po schodkach na trotuar, zaryzykował wszakże powściągliwą odpowiedź: – Dla mnie on j e s t zamieszkaany. Dla mnie on j e s t urządzony. – Po czym już łatwo było jej westchnąć, nader dyskretnie i stosownie: – A, tak! – wiedziała bowiem, że jego rodzice i ukochana siostra, nie wspominając o innych licznych krewnych, żyli tu do końca swoich dni i tu dokonali żywota. I to oni w tych ścianach stanowili niezatarty ślad

życia.

Właśnie kilka dni później, kiedy znów wpadł do niej na godzinę, dał upust zniecierpliwieniu, jakie budziło w nim przypochlebne zainteresowanie spotykanych osób jego opinią o Nowym Jorku. Nie zdołał wyrobić sobie żadnej opinii, którą mógłby zaprezentować w towarzystwie, a w ogóle, co się tyczy „myślenia” (o czymkolwiek tutaj, lepszym lub gorszym), jego myśli zaprzętała wyłącznie jedna sprawa. Był to zwykły, próżny egoizm, więcej – proszę bardzo – chorobliwa obsesja. Jednak wszystko sprowadzało się dlań do kwestii, kim mógłby zostać, jak by „skończył”, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby od razu na początku z niego nie zrezygnował. Przyznając po raz pierwszy, jak intensywnie i głęboko przeżywa te absurdalne rozważania – które bez wątpienia stanowiły również dowód, że zwykły był myśleć tylko o sobie – jednocześnie potwierdził, że nic innego nie jest w stanie go zainteresować, nic go tutaj nie pociąga. – Co by się tu ze mnie zrobiło? Co by się tu ze mnie zrobiło? Cały czas się zastanawiam nad tym jak jakiś idiota, no bo skąd miałbym wiedzieć! Widzę, co się zrobiło z dziesiątkami ludzi, których spotykam, i myśl, że ze mną też mogłoby się coś zrobić, sprawia mi wręcz ból, czasem nie do zniesienia. Tyle że nie mam pojęcia co o , i ten niepokój, drobny szal ciekawości, której niepodobna zaspokoić, przypomina mi, co czułem raz czy drugi, kiedy z pewnych powodów postanowiłem spalić jakiś ważny list bez czytania. Żałowałem tego, nienawidziłem... nigdy nie dowiedziałem się, co list zawierał. Oczywiście, pani zapewne powie, że to drobiazg...

– Nie mówię, że to drobiazg – przerwała mu z powagą panna Staverton.

Siedziała przy ogniu, on zaś niespokojnie chodził tam i z powrotem, rozdarty między siłą swych idei a ulubionymi starymi przedmiotami na półce nad kominkiem, które muskał niewidzącym spojrzeniem ubranego w monokl oka. Jej słowa sprawiły, że spojrzał na nią baczniej. – A jeśli nawet, to wszystko mi jedno! – zaśmiał się – poza tym to tylko metafora moich obecnych uczuć. Gdybym w młodości nie poszedł swoją krnąbrną drogą, i to niemalże wbrew, by tak rzec, klątwie ojca, gdybym po dziś dzień się jej nie trzymał, bez wahań i ukłuć sumienia, przebywając „po tamtej stronie”; gdybym, przede wszystkim, tak bardzo jej nie polubił, ba, nie pokochał, a niewątpliwie pokochałem ją wskutek bezmiernego zapatrzenia w swoje preferencje; gdybym choć trochę z niej zбочył, to moje życie i „forma” z pewnością byłyby inne. Powinienem był w miarę możliwości tutaj wytrzymać, choć mając dwadzieścia trzy lata, byłem zbyt młody, aby ocenić, *pour deux sous*, czy to w ogóle możliwe. Gdybym zaczekał, być może uznałbym, że tak; i może zostając, upodobiłbym się choć trochę do tutejszych typów, tak mocno zahartowanych i wyczulonych przez okoliczności. Nie chodzi o to, że ich podziwiam – ich wdzięk, czyjkolwiek wdzięk, pominąwszy wybujałą żądzę pieniądza, którą wymusza na nich sytuacja, nie ma tu nic do rzeczy; pytam tylko, jakież to fantastyczne, lecz całkiem dopuszczalne cechy charakteru nie ujawniły się w moim rozwoju osobistym. Odnoszę wrażenie, że podobnie jak ciasny pąk skrywa zalążek rozkwitłego kwiatu, tak u mnie gdzieś głęboko kryło się dziwne alter ego. Jednak poszedłem swoją drogą, przeniósłem ten kwiat w inny klimat i raz na zawsze skazałem go na uwiąd.

– A teraz wciąż pan o nim myśli – rzekła panna Staverton. – Ja również, jeśli chce

pan wiedzieć, i to od kilku tygodni. Wierzę w ten kwiat – ciągnęła. – Czuję, że byłby wspaniały, ogromny, gigantyczny.

– Zwłaszcza gigantyczny! – sarknął jej gość – a tym samym ohydny i ordynarny.

– Wcale pan tak nie sądzi – odrzekła stanowczo – bo inaczej by się pan nie zastanawiał. Wiedziałyby pan, i tyle. Nie, pan czuje, i ja razem z panem, że miałyby pan władzę.

– I podobałbym się pani?

Zawahała się, lecz tylko na moment. – Jakże miałyby się pan nie podobać?

– Rozumiem. Podobałbym się pani. Wolałaby pani, żebym był miliarderm!

– Jakże miałyby się pan nie podobać? – powtórzyła z prostotą.

Stał przed nią nieruchomo – jej pytanie nie pozwoliło mu zrobić kroku. Chłonał jej słowa, tak wiele mówiące; świadczył o tym brak innej reakcji z jego strony.

– Przynajmniej wiem, kim jestem – powiedział po chwili z prostotą – druga strona medalu rysuje się dość wyraźnie. Nie byłem wzorem cnót; sądzę, że w wielu kręgach mam opinię ledwie przyzwoitego. Chadzałem dziwnymi ścieżkami i czciłem dziwnych bogów. Z pewnością nieraz uświadamiała sobie pani, nawet sama to pani przyznała, że przez te trzydzieści lat właściwie bez przerwy prowadziłem życie samolubne, niepoważne i skandaliczne. I widzi pani, co ono ze mnie zrobiło.

Uśmiechnięta zaczęła, aż skończy: – A pan widzi, co ono zrobiło ze mnie.

– Och, pani jest osobą, której nic zmienić nie mogło. Urodziła się pani, by być tym, kim jest, wszędzie, mimo wszystko; w pani jest doskonałość, której nic nie może zwarzyć. Przecież rozumie pani, że gdyby nie wygnanie, nie czekałbym do tej chwili... – urwał, czując dziwne ukłucie.

– Wydaje mi się – rzekła po chwili – że najważniejsza rzecz to zrozumieć, że to nic nie szkodzi. Nie przeszkodziło panu wreszcie się tu znaleźć. Nie przeszkodziło panu powiedzieć... – ale jej również głos się załamał.

Zastanowiło go, co mogą oznaczać jej powściągane emocje. – A więc sądzi pani... to okropne!... że jestem tak dobry, że nie mógłbym już być lepszy?

– O, nie! Wcale nie! – To mówiąc, wstała z fotela i zbliżyła się do niego. – Ale nie dbam o to – dodała z uśmiechem.

– Chce pani powiedzieć, że jestem dość dobry?

Namyślała się przez chwilę. – Uwierzy mi pan, jeśli powiem, że tak? Chodzi mi o to, czy uzna to pan za ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestii? – Lecz widząc z jego twarzy, że się wycofuje, że nurtuje go jakaś myśl, z której, jakkolwiek byłaby niedorzeczna, nie chce na razie zrezygnować, zawołała: – Och, pan też o to nie dba, ale z innego powodu! Pan nie dba o nic oprócz siebie.

Miała rację; rzeczywiście, on sam, Spencer Brydon, tak właśnie kategorycznie twierdził. Niemniej wyjaśnił uroczyście: – O n nie jest mną. Jest całkowicie inną osobą. Ale bardzo chcę go zobaczyć – dodał. – I potrafię. I zobaczę.

Ich spojrzenia spotkały się na moment i wyczytał w jej oczach, że domyśla się osobliwego sensu tych słów. Oboje wszakże powstrzymali się od dalszych gestów, a jej wyraźne zrozumienie, pozbawione szoku, protestów czy łatwej drwiny, poruszyło go bardziej niż cokolwiek dotychczas, będąc dla jego tłumionej przekory niczym łyk

świeżego powietrza. Jednakże to, co powiedziała, całkowicie go zaskoczyło:

– Cóż, ja też go widziałam.

– Pani?...

– Widziałam go we śnie.

– A, we śnie!... – Był zawiedziony.

– Dwukrotnie – dodała. – Widziałam go tak jak pana teraz.

– Śniła pani ten sam sen?...

– Dwa razy – przytaknęła. – Ten sam.

To już bardziej do niego przemówiło, gdyż poczuł się mile połączony. – Tak często pani o mnie śni?

Uśmiechnęła się: – O n i m !

Znów spojrział na nią bacznie. – No, to wszystko pani o nim wie. – A ponieważ milczała, zapytał: – Więc jaki jest ten nieszczęśnik?

Zawahała się, jakby za mocno ją nacisnął, a ona z sobie wiadomych powodów stawiała opór i odwróciła się plecami. – Kiedy indziej panu powiem!

II

Nastał teraz dla niego szczególny czas: największą wartość, najtroskliwiej pielęgnowany czar, najbardziej niesłychane, tajemne podniecenie znajdował w poddawaniu się swej obsesji i zajmowaniu się czymś, co w coraz większym stopniu uważał za swój przywilej. Przez wiele tygodni był to sens jego życia – albowiem prawdziwe życie zaczynało się dla niego wtedy, gdy pani Muldoon usuwała się ze sceny, on zaś, sprawdzwszy obszerny dom od strychu do piwnic, aby się upewnić, że jest sam, bezpiecznie obejmował go w posiadanie i, jak przyznawał po cichu, „pozwał sobie”. Czasem przychodził dwa razy na dobę; najbardziej lubił chwile, gdy się ściemniało, gdy nadchodził krótki jesienny zmrok, gdyż ta pora, na czym się raz po raz przyłapywał, budziła w nim największe nadzieje. Wydawało mu się, że w tych chwilach obcuje z domem najintymniej, czuwa i czeka, staje i słucha, skupiając napiętą uwagę, czujną jak nigdy dotąd, na pulsie wielkiej, pogrążonej w półmroku przestrzeni. Upodobał sobie te szare, bezświatne godziny, żałował tylko, że nie da się przedłużyć codziennego głębokiego uroku zmierzchania. Później – rzadko przed północą, lecz wówczas był gotów na długie czaty – przyglądał się wnętrzem w migotliwym świetle lampy; chodził wolno, unosił ją wysoko i posyłał jej promień jak najdalej, ciesząc się w duchu z otwartych perspektyw, przejść między pokojami i z długich korytarzy; z jasnej, choć niewielkiej szansy na „ukazanie się”, jak by to nazwał, zjawy, którą podobno pragnął wywołać. Odkrył, że może świetnie uprawiać te praktyki bez wzniesienia komentarzy; nikt niczego się nie domyślał i nawet Alice Staverton, skądinąd wzór dyskrecji, nie całkiem je sobie wyobrażała.

Otwierał drzwi i zamykał je za sobą pewnie, ze spokojem właściciela; los sprzyjał mu do tego stopnia, że jeśli nawet gruby posterunkowy z Alei widywał go czasem, kiedy

wchodził o wpół do dwunastej, to jak dotąd najwyraźniej nie zauważył, że on, Brydon, opuszcza dom o drugiej nad ranem. Chodził tam na piechotę w rześkie listopadowe noce, docierając na miejsce, gdy kończył się wieczór; po proznej kolacji było to dla niego równie łatwe jak spacer do klubu lub do hotelu. Kiedy nie jadł na mieście, wychodził z klubu i rzekomo udawał się do hotelu; z hotelu, jeżeli spędzał tam część wieczoru, wychodził, rzekomo idąc do klubu. Wszystko układało się lekko i zgrabnie, wszystko sprzysięgło się na jego korzyść; doprawdy, doświadczenie to miało w sobie coś, co prześlizgując się nad resztą jego świadomości, wręcz ją kołło i upraszczało. Krążył, rozmawiał, odnawiał, niezobowiązująco i uprzejmie, stare znajomości, starał się w miarę możliwości zaspokajać również nowe oczekiwania, aż doszedł do wniosku, że w zasadzie, mimo rozwoju rozmaitych kontaktów, które, jak mówił pannie Staverton, postronnym obserwatorom nie wydałyby się zbyt umoralniające, właściwie jest dosyć lubiany. Odniósł niejasny, drugorzędny sukces towarzyski, i to wśród ludzi, którzy nie mieli o nim żadnego pojęcia. Te wszystkie pomruki powitań, strzelanie korków stanowiły tylko powierzchowny hałas; podobnie jego reakcje i gesty były jak przesadne cienie, wyolbrzymione wobec ich nikłego znaczenia, w jakimś teatrze *ombres chinoises*. Całymi dniami przenosił swe myśli prosto nad zjeżonym szeregiem twardych, niczego nieświadomych głów w to drugie, prawdziwe, czekające nań życie, które zaczynało się, gdy wielkie drzwi domu na niezłym narożniku zamykały się z trzaskiem za jego plecami, uwodzicielskie niczym inicjalne powolne takty głębokiej muzyki po wzniesieniu batuty przez dyrygenta.

Zawsze chwycił pierwsze stuknięcie stalowego czubka laski o starą, marmurową, czarno-białą szachownicę posadzki holu, zapamiętaną z dzieciństwa jako źródło zachwyty oraz zaczątek, jak teraz dostrzegał, najwcześniejszej koncepcji stylu. Był to niewyraźny, dźwięczny pogłos jakby dalekiego dzwonka, zawieszzonego, któż wie gdzie? – w głębi domu, w przeszłości, w innym, mistycznym świecie, który teraz rozkwitałby wokół niego, gdyby, na dobre czy na złe, ongiś go nie porzucił? Słyszając ten dźwięk, zawsze robił to samo: bezszelestnie odstawiał laskę do rogu z nawracającym uczuciem, że dom przypomina wielką szklaną misę, cenny kryształ, wprawiony w cichy brzęk wskutek przeciągnięcia zwilżonego palca po krawędzi. Mistyczny świat mieścił się, by tak rzec, w tym kryształ, którego nieopisanie delikatny śpiew brzmiał w czujnych uszach Brydona jak westchnienie, ledwie słyszalny, żałosny lament wszystkich starych zaniechań i niespełnionych szans. A więc zachowywał się jak najciszej, wzywając je, budząc do widmowego życia, takiego, jakie jeszcze w nich drzemało. Owszem, były nieśmiałe, niemal nieuleczalnie bojaźliwe, ale właściwie nie złowrogie; a przynajmniej nie takie, jakimi dotąd je postrzegał, zanim przybrały Formę, w którą tak bardzo pragnął je przyoblec, Formę, którą, jak mu się zdawało, sam chwilami przybierał, kiedy wręcz ścigał je na palcach, na czubkach wieczorowych pantofli, z pokoju do pokoju i z piętra na piętro.

Tak przedstawiała się istota jego wizji – czysta bzdura, można by powiedzieć, póki przebywał poza domem, zajęty czym innym, nabierająca wszak prawdopodobieństwa, gdy znalazł się na miejscu, „na pozycji”. Wiedział, o co mu chodzi i czego pragnie: było to równie jasne jak cyfry na czeku wymienianym na gotówkę. Jego *alter ego* tedy

„chadzało” i w takiej postaci je sobie wyobrażał, natomiast motywy własnej osobliwej rozrywki wyobrażał sobie jako chęć, by wreszcie je zaskoczyć i poznać. Sam krążył wolno, czujnie, niestrudzenie – pani Muldoon bezwzględnie miała rację ze swoim obrazem „skradania się” – i sądził, że zjawa, której wypatruje, także niespokojnie krąży po domu, nieuchwytna i równie ostrożna jak on. Przekonanie o prawdopodobnym, ba, rozsądnym, zgoła s ł y s z a l n y m unikaniu przez nią pogoni narastało w nim z nocy na noc, aż wreszcie narzuciło mu rygor, z którym nic w jego życiu nie dało się porównać. On, który zdaniem wielu ludzi o powierzchownych sądach – wiedział o tym – zmarnował życie na szukaniu wrażeń, nigdy nie doznał przyjemności tak wyrafinowanej jak obecne napięcie, nigdy nie uprawiał sportu wymagającego więcej odwagi i cierpliwości niż te łowy na istotę subtelniejszą, lecz w osaczeniu być może groźniejszą od jakiegokolwiek leśnego zwierzęcia. Związane z polowaniem określenia, porównania, a nawet praktyki wręcz się narzucały; w pewnych chwilach przypadkowe doznania budziły nawet wspomnienia młodości, wrzosowisk, gór i pustyń, ożywione dlań – ku wyostrzeniu zmysłów – przez olbrzymią siłę analogii. Niekiedy przyłapywał się na tym, że odstawiwszy pojedyncze światło na jakąś półkę czy gzyms, wycofywał się w cień, pod osłonę drzwi albo wnęki, podobnie jak ongiś szukał schronienia za skałą bądź drzewem; że wstrzymuje oddech i żyje radością chwili, a największej emocji dostarcza mu sama obecność grubego zwierza.

Nie czuł strachu (choć zadawał sobie pytanie o to; jak słyszał, zdarzało się, że dżentelmeni polujący na tygrysa w Bengalu lub podchodzący wielkiego niedźwiedzia w Górach Skalistych też je sobie zadawali), w gruncie rzeczy – przynajmniej tutaj mógł być szczery! – odczucie, intymne i dziwne, że sam budzi lęk, niewątpliwie było dlań źródłem nadspodziewanie ekscytującego napięcia. Oznaki niepokoju, jaki rodziła jego czujna obecność, układały się w jego świadomości w kategorie, stawały się wręcz znajome, co wszakże nie przeszkodziło mu posępnie odnotować, że zapewne jest mu dane nawiązać stosunki i przeżyć doznania wyjątkowe w ludzkim doświadczeniu. Większość ludzi na ogół panicznie bała się zjaw, czy jednak dotąd komuś udało się odwrócić sytuację i samemu wzniecić w zjawiskowym świecie nieobliczalne przerażenie? Byłby to uznać za cudowne, gdyby ośmielił się więcej o tym myśleć; lecz doprawdy nie upierał się zbyt przy tej stronie swych uprawnień. Dzięki nawykom i powtórzeniom w nadzwyczajnym stopniu posiadał umiejętność penetrowania mrocznych dystansów i ciemnych kątów, przywracania niewinności zdradliwym skutkom niepewnego światła, złowieszczym kształtom, jakie w ciemności przybierały zwykłe cienie, powietrznym zdarzeniom i złudzeniom zmiennej perspektywy; mógł odstawić swą przyćmioną lampę i dalej wędrować bez niej, przechodzić do innych pomieszczeń ze świadomością, że w razie potrzeby ma ją za plecami, widzieć, dokąd idzie, wyobrażać sobie otoczenie ze względną jasnością. Wyposażony w świeżo nabyte zdolności czuł się jak ogromny przyczajony kot; ciekawe, zastanawiał się, czy czasem nie łypie dużymi, błyszczącymi, żółtymi ślepiami i czy jego własne biedne, doprawdy zaszczute *alter ego* zniosłoby spotkanie z takim typem.

A przecież lubił, gdy okiennice były otwarte; jeśli je zatrzasnęła pani Muldoon, otwierał je, a na końcu znów starannie zamykał, żeby nic nie zauważyła; lubił – och,

jakże lubił, zwłaszcza w pokojach na piętrze! – twarde srebro jesiennych gwiazd na szybach, lubił też poświatę latarni ulicznych pod oknami, biały blask elektryczności, który mogły powstrzymać tylko zasłony. To było ludzkie, rzeczywiste, społeczne, to był świat, w którym żył; a maska bezosobowego chłodu, w którą, mimo dystansu, najwyraźniej został w tym świecie ubrany, z pewnością pozwalała mu utrzymać spokój. Naturalnie, w pokojach od frontu i od strony dłuższej pierzei owo wsparcie było największe, zawodziło natomiast w mrokach wnętrza domu. Lecz jeśli robiąc swój obchód, często cieszył się z lepszej widoczności, to pomieszczenia od tyłu, kto wie, czy nie częściej, jawiły mu się jako dżungla, w której kryła się zdobycz. Przestrzeń była tam bardziej poszatkowana, w szczególności duża dobudowana oficyna z mnogością służbówek obfitowała w zakamarki i wnęki, schowki i przejścia, zwłaszcza wokół rozbudowanych szerokich schodów dla służby, w głąb których, przechylony przez balustradę, wielokrotnie z powagą spoglądał, niezrażony nawet świadomością, że obserwator mógłby go wziąć za solennego głupka, który bawi się w chowanego. Na zewnątrz sam byłby w stanie popełnić takie ironiczne *rapprochement*; ale w tych ścianach, mimo przejrzystych okien, jego stałość była odporna na cyniczny blask Nowego Jorku.

Od początku idea zdesperowanej jaźni ściganego wiązała się dlań z prawdziwą próbą, od początku bowiem przekonywał sam siebie, że potrafi, och, stanowczo! „wykształcić” swoją percepcję. Po prostu wiedział, że jest podatna na kształtowanie – w istocie była to tylko inna nazwa sposobu, w jaki spędzał czas. Rozwijał ją i doskonalił w praktyce, dzięki czemu stała się tak subtelna, że odbierał wrażenia, potwierdzenia pierwotnego postulatu, które wcześniej by do niego nie dotarły. Sprawdzało się to szczególnie w wypadku zjawiska, teraz już często napotykanego w pokojach na piętrze, mianowicie zdał sobie sprawę – bez najmniejszej wątpliwości, poczynając od konkretnej godziny, kiedy wznowił kampanię po dyplomatycznej przerwie, umyślnej trzydniowej nieobecności – że z całą pewnością ktoś za nim chodzi, śledzi go, ostrożnie trzymając się z dala, wyraźnie zamierzając mu uświadomić, że zbyt arogancko i dufnie tkwi w przeświadczeniu, iż tylko on jest tropicielem. Zmartwiło go to, a nawet załamało, dowodziło bowiem, że spośród wszystkich możliwych wrażeń prawdziwe jest to, które najmniej mu odpowiada. Był widziany, sam w istocie rzeczy pozostając niewidomym, mógł jedynie uciekać się do nagłych spojrzeń za siebie, szybkich wypadów w utracony teren. Odwracał się więc raptownie, wracał po własnych śladach, próbując w ten sposób choćby poczuć na twarzy ruch powietrza, wzbudzonego innym szybkim obrotem. To prawda, że jego myśli, w pełni oderwane, kojarzyły te łamańce z Pantalonom ze świątecznej szopki, bitym i nękanym sztuczkami wszędobyłskiego Arlekina, nie kwestionował jednak wpływu otoczenia za każdym razem, gdy się na niego wystawiał, toteż, z drugiej strony, przykra asocjacja, gdyby pozwolił się jej utrwalić, tylko zwiększyłaby jego powagę. Jak już mówiłem, pragnąc wytworzyć w budynku złudne uczucie wytchnienia, trzykrotnie pozwolił sobie na absencję; skutkiem zaś trzeciej przerwy było potwierdzenie wniosków płynących z drugiej.

Kiedy powrócił owego wieczoru – po ostatniej nieobecności – przystanął w holu i spojrzął w górę klatki schodowej z pewnością siebie bardziej dogłębną niż

kiedykolwiek dotychczas. „On tam jest, na górze, i czeka, nie wycofuje się, by zniknąć swoim zwyczajem. Nie ustępuje, i to pierwszy raz – najlepszy dowód, nieprawdaż? że coś się z nim dzieje”. Tak perswadował sobie Brydon z dłonią na poręczy i stopą na najniższym stopniu, lecz wówczas poczuł, jak nigdy dotąd, że powietrze stygnie od jego logiki. Przeszył go chłód – nagle uświadomił sobie, co wchodzi w grę. „Przyściśnięty do muru? Tak, już to zrozumiał, stało się dla niego jasne, że przybyłem, jak to mówią, na dobre. Wreszcie przestało mu się to podobać, nie może tego znieść, w takim sensie, że lęk dorównał teraz jego furii i groźnej ciekawości. Tropiłem go, aż się «odwinął», oto, co dzieje się na górze – jest jak wyposażony w rogi albo zęby zwierz, który w końcu został osaczony”. Wspomniałem już, że ogarnęła go dojmująca pewność – pod jakim wpływem, tego nie podejmuję się napisać! – zaraz jednak oblał go pot, choć za nic nie zgodziłby się przyznać, że ze strachu, podobnie jak nie odważyłby się w tej chwili na żadne bezpośrednie działania. Niemniej był to potężny dreszcz emocji, owszem, przejaw nagłej konsternacji, lecz także zachwycający zwiastun przedziwnego, przecudownego, a może, za chwilę, wręcz dumnego podwojenia świadomości.

„Kluczył, cofał się, ukrywał, lecz rozgniewałem go, będzie więc walczył!” – dobitny ten koncept wyrażał, by tak rzec, przerażenie i aprobatę zarazem. Nadzwyczajna w tej uczuciowej aprobacie była jej skwapliwość, wynikało z niej bowiem, że jeśli istotnie wytropił swoje drugie „ja”, to owo niewymawialne istnienie ostatecznie nie okazało się go niegodne. Czaiło się gdzieś, zjeżone – niedalekie, mimo że wciąż niewidoczne – jak każde zapędzone w kąt stworzenie, jak przysłowiowe zaszczute zwierzę musi wreszcie się zjeżyć; Brydon zaś zapewne posmakował właśnie doznań bardziej skomplikowanych niż wszystko, co dotychczas jakoś godził ze zdrowym rozsądkiem. Miał wrażenie, że byłoby mu wstyd, gdyby istota do tego stopnia z nim związana odniosła triumf, tylko się skradając, do końca wstrzymując się od otwartego wystąpienia, redukcja tej groźby z miejsca mocno podniosła go więc na duchu. Lecz w odmiennym, rzadkim rejestrze tej samej subtelności podjął już próbę oceny, jak dalece jemu samemu grozi strach; cieszył się, że zdołał aktywnie wzbudzić lęk w innej Formie, a jednocześnie drżał z niepokoju o tę Formę, w której mógłby biernie go doznać.

Niewykluczone, że obawa przed poznaniem trochę w nim wzrosła, wówczas bowiem nastąpił najdziwniejszy moment jego przygody, najlepiej zapamiętana i najciekawsza chwila kryzysu: na mgnienie oka utracił wyostrzoną świadomość walki, poczuł, że musi czegoś się chwycić, jak człowiek, który coraz niżej i niżej zsuwa się po jakiejś strasznej pochyłości; a przede wszystkim miał odruch, by działać, ruszyć do boju, zaatakować cokolwiek, jakkolwiek – słowem, udowodnić sobie, że się nie boi. „Trzymał się” – do takiego stanu został sprowadzony, a gdyby w pustce wielkiego domu istniało coś, czego naprawdę mógłby się przytrzymać, niebawem ocknąłby się z tym czymś w ręce, tak jak u siebie pod wpływem wstrząsu przytrzymałby się oparcia najbliższego krzesła. W każdym razie ze zdumienia – tego b y ł świadomy – zrobił rzecz bez precedensu, odkąd wziął budynek w posiadanie; zamknął oczy i pod wpływem odruchu niepokoju i terroru w i d z e n i a przez dłuższą chwilę zaciskał powieki. Gdy je otworzył, pokój i sąsiadujące pomieszczenia wyglądały, co osobliwe, na jaśniejsze, tak jasne, że początkowo niemal wziął tę zmianę za nastanie dnia. Stał jednak dzielnie, nie ruszając

się z miejsca, wspomagany swoim zwykłym uporem – miał nawet wrażenie, że udało mu się coś przetrwać. I po pewnym czasie zrozumiał, co to było: groziło mu, że rzuci się do ucieczki. Powstrzymał się najwyższym wysiłkiem woli; niewiele brakowało, a popędziłby ku schodom i z zamkniętymi oczami zbiegł, sprawnie i szybko, na sam dół.

Ale wytrzymał i nadal tu był – tu, na piętrze, w misternym układzie górnych pokoi, a musiał przecież stawić czoło innym pomieszczeniom, całej reszcie domu, którą należało sprawdzić, zanim nadejdzie pora odejścia. Zamierzał odejść o zwykłej porze, nie wcześniej; czyż co noc nie wychodził o tej samej godzinie? Spojrzał na zegarek – było dostatecznie jasno. Dopiero co minął kwadrans po pierwszej, nigdy nie wycofywał się tak szybko. Do hotelu na ogół docierał około drugiej, przy czym droga zabierała mu piętnaście minut. A więc zaczeka jeszcze kwadrans, postanowił, nie ruszy się stąd; i nie odrywając oczu od wyjętego zegarka, pomyślał, że ta zamierzona zwłoka, świadomy wysiłek czekania, będzie doskonałym świadectwem tego, czym pragnął się wykazać. Udowodni w ten sposób swoją odwagę – chyba że udowodniłby ją jeszcze skuteczniej, wreszcie ruszając się z miejsca. Teraz czuł przede wszystkim, że skoro nie czmychnął od razu, to ma jakąś godność – chyba nigdy w życiu nie miał jej tak wiele – trzeba ją zachować i nosić wysoko. Prawda ta jawiła mu się wręcz namacalnie, niczym materialny obraz, wart bardziej romantycznej epoki. Lecz ten krótki rozbłysk po chwili rozjarzył się jeszcze piękniejszym światłem: która bowiem romantyczna epoka mogła się naprawdę równać ze stanem jego umysłu lub „obiektywną”, jak to określano, cudownością jego położenia? Jedyna różnica była taka, że wówczas, w bardziej heroicznych czasach, podążyłby na dół, wymachując swą godnością jak zwojem pergaminu, w drugiej ręce zaś dzierżąc nagi miecz.

Ale na razie rolę miecza musiała odegrać lampa, odstawiona na półkę nad kominkiem w pokoju obok; które to narzędzie momentalnie odzyskał, wykonując niezbędną liczbę kroków. Drzwi między pokojami były otwarte, z drugiego do trzeciego prowadziły kolejne drzwi. Wszystkie te pomieszczenia, o ile pamiętał, wychodziły na wspólny korytarz, lecz na końcu leżał jeszcze czwarty pokój, dostępny tylko w amfiladzie. Ponowny ruch i odgłos własnych kroków przyniósł mu znaczną ulgę, mimo to znów zatrzymał się na chwilę przy kominku, na którym zostawił światło. Odwrócił się z wahaniem, niepewny, w którą stronę pójść, gdy nagle zdał sobie sprawę, że zobaczył coś, co najpierw nie do końca pojął, lecz co zaraz przyprawiło go o wstrząs, jaki często wiąże się z ukłuciem wspomnienia, gwałtownym końcem szczęśliwej niepamięci. W zasięgu jego wzroku znalazły się drzwi kończące krótki ciąg, na które patrzył teraz z bliższego progu, nie całkiem na wprost. Drzwi te, położone nieco skośnie w lewo, prowadzące do ostatniego, czwartego pokoju, pozbawionego innych wejść i wyjść, zostały, o czym był najgłębiej przekonany, zamknięte już p o j e g o poprzedniej inspekcji, która odbyła się mniej więcej kwadrans temu. Stał jak wryty, wlepiając wzrok w dziwne zjawisko, wstrzymując oddech, by się zastanowić, co to oznacza. Z pewnością ktoś zamknął je p ó ź n i e j – bo ponad wszelką wątpliwość były otwarte, kiedy ostatnio tędy przechodził!

Jak obuchem uderzyła go świadomość, że tak właśnie było – bo przecież nie mógłby nie zauważyć (to znaczy, kiedy pierwszy raz tego wieczoru obchodził wszystkie

pomieszczenia), że wyrosła przed nim przeszkoda. Rzeczywiście, od tamtej chwili doświadczył tak niesłychanego wzburzenia, że mógł mylnie pamiętać, co widział wcześniej; próbował też sobie wmówić, że może wówczas wszedł do czwartego pokoju i wychodząc, bezwiednie, odruchowo zamknął drzwi za sobą. Kłopot w tym, że tego właśnie nigdy nie robił, byłoby to wbrew całej jego strategii, której sedno polegało na zapewnieniu sobie niezakłóconych perspektyw. Od początku, z czego doskonale zdawał sobie sprawę, miał je trochę „w rozumie”: osobliwe pojawienie się na dalekim planie zaskoczonych „zdobyczy” (określenie to dotkliwa ironia losu uczyniła niezbyt stosownym!) stanowiłoby sukces w formie, którą najwyżej ceniła jego wyobraźnia, zawsze przydająca zjawie subtelności piękna. Po pięćsetkroć wzdrygał się, zaskoczony, a potem uspokajał; po pięćsetkroć pod wpływem krótkiej, rozkosznej halucynacji z jego piersi wyrывał się stłumiony okrzyk: „Tam!”. A tak się składało, że dom wspaniale się do tego nadawał. Brydon dziwił się co prawda gustom owej epoki, naiwnej architekturze, która z takim upodobaniem mnożyła drzwi – w skrajnym przeciwieństwie do współczesnego, niemal całkowitego zakazu ich stosowania – niemniej jego obsesja obecności postrzeganej, by tak rzec, teleskopowo, uchwyconej i badanej w coraz to dalszej perspektywie, jakby ze statywu, w znacznym stopniu była nią sprowokowana.

Takie to rozważania zaprzętały obecnie jego uwagę – świetnie się nadawały, by dodać doniosłości odkryciu. W żadnym razie nie mógł zamknąć tego przejścia; a skoro tego nie zrobił, jeśli to niepodobieństwo, to jakże, czyż nie było jasne, że musiał to zrobić ktoś inny? Ktoś inny? – przed chwilą wydawało mu się, że wręcz słyszy jego oddech, ale czy cokolwiek zbliżyło ich bardziej niż ta prosta, logiczna, całkowicie osobista czynność? To znaczy, czynność tak logiczną można było wziąć za o s o b i s t ą ; lecz za co o n j ą bierze? – zdyszany Brydon zadawał sobie to pytanie, czując, że oczy wychodzą mu z orbit. Ach, tym razem wreszcie obie jego projekcje, oba wcielenia, stały dokładnie naprzeciw siebie; tym razem wszakże pojawił się przed nim, bo musiał, wcale nie miały problem zagrożenia. Za nim zaś, wyraźnie jak nigdy dotąd, zamajaczyła kwestia odwagi – pojmował bowiem, że pusta twarz drzwi mówi do niego: „Pokaż nam, na co cię stać!”. Wpatrywały się w niego, gapiły się wręcz wyzywająco, stawiając go przed alternatywą: otworzyć czy nie? Och, mieć tę świadomość oznaczało m y ś l e ć – a myśleć, o czym Brydon dobrze wiedział, oznaczało patrzeć, jak czas mija, stać i nic nie robić! Nic się nie zrobiło – w tym całe nieszczęście i ból – i wciąż nic się nie robi, tylko przeżywa wszystko w nowy, okropny sposób! Jak długo stał, jak długo się wahał? Na razie nie miał sposobu, by to zmierzyć, gdyż jego rozedrganie już zmieniło charakter, choćby na skutek swej intensywności. Ta istota zamknięta, osaczona, walcząca, cud namacalny, udowodniony, dokonany, ogłaszający się jak na jaskrawym szyldzie – przy takim przesunięciu akcentów cała sytuacja uległa przemianom, a Brydon, wyjątkowo, zdecydował wreszcie, w co się przemieniła.

Przemieniła się w zupełnie inne napomnienie: w nadzwyczajną wskazówkę na temat wartości Taktu! Bez wątpienia, świtało mu to w głowie powoli, lecz nie było pośpiechu, tak dokładnie tkwił na granicy, tak nieznacznie przemieszczał się w przód albo w tył. I rzecz najdziwniejsza, lecz także przepiękna i rzadka: teraz, kiedy wystarczyło zrobić dziesięć kroków i naciskając dłonią klamkę – lub nawet, w razie konieczności, pchając

ramieniem i kolanem całe skrzydło – nasycić podstawowy głód, zaspokoić najwyższą ciekawość, ukoić niepokój, upór jakby za dotknięciem różdżki go opuścił. Takt rzucił się na niego skwapliwie, z zapalem; i naprawdę nie dlatego, że mógł ocalić mu nerwy czy skórę, ale dlatego że, co bardziej cenne, mógł uratować sytuację. A piszę „rzucił się”, gdyż czuję, że to określenie współbrzmi z faktem, że kiedy znów się ruszył – po jak długim czasie, nie wiadomo – podążył prosto do zamkniętych drzwi. Nie zamierzał ich dotknąć, choć teraz miał wrażenie, że mógłby, gdyby zechciał; zamierzał jedynie odczekać chwilę, aby pokazać, udowodnić, że tego nie robi. Zajął więc nową pozycję w pobliżu cienkiej przegrody, która dzieliła go od objawienia, tam jednak spuścił oczy i powściągnął ręce, z całym skupieniem zachowując bezruch. Nasłuchiwał, jakby miał czego słuchać; ale jego postawa, póki trwała, sama w sobie stanowiła przekaz: „Jeżeli nie chcesz – dobrze; oszczędzę cię i zrezygnuję. Ująłeś mnie, jakbyś wprost wołał o litość; przekonałeś mnie, że z ważnych, bezwzględnych powodów – cóż ja o tym wiem? – sądzisz, że obaj byśmy ucierpieli. Uszanuję je zatem i choć jestem wzruszony i uprzywilejowany, jak nigdy chyba nie było dane człowiekowi, to odchodzę, odstępuję – na honor, nigdy już nie podejmę próby. A więc zostań w spokoju – i daj spokój mnie!”.

Taki był dla Brydona najgłębszy sens jego ostatniej demonstracji – poważnej, wyważonej, kontrolowanej jak jego uczucia. Skończył; odwrócił się; i dopiero zrozumiał, jak bardzo jest wstrząśnięty. Wycofał się po własnych śladach, biorąc po drodze świecę, z której, jak zauważył, został zaledwie ogarek, i znów – mimo że starał się stąpać jak najciszej – odnotowując stukot własnych kroków, po czym ocknął się po drugiej stronie domu. Tu zrobił coś, czego dotąd nigdy nie robił o tej porze – otworzył skrzydło jednego z okien od frontu i wpuścił nocne powietrze, co w przeszłości uznaliby za okrutne zakłócenie czaru. Ale nie miało to znaczenia, gdyż czar prysł – sam go zniszczył przez swe ustępstwo i kapitulację, czyniąc jakikolwiek powrót tutaj bezcelowym. Bezludna ulica – drugie życie, obecne nawet w wielkiej, oświetlonej latarniami pustce – była w zasięgu głosu, w zasięgu ręki; stał nieruchomo, pragnąc się tam znaleźć, mimo że wciąż tkwił wysoko ponad nią; i szukając pociechy w dowolnym pospolitym fakcie, czekał na jakiś ordynarny, żywy odgłos, na biegnącego szczura lub złodzieja, na nocnego ptaszka, choćby najpodlejszego. Błogosławiłby tę oznakę życia; wręcz z radością powitałby nieśpieszne nadejście swego przyjaciela posterunkowego, którego dotychczas starał się tylko unikać; nie był nawet pewien, czy na widok policjanta nie uległby odruchowi, by zawrzeć z nim znajomość, by go zawołać pod byle pretekstem ze swojego trzeciego piętra.

Jaki pretekst nie byłby zbyt głupi lub kompromitujący, jakie wyjaśnienie pozwoliłoby mu zachować twarz i w razie czego uchronić nazwisko przed prasą, tego nie potrafił określić; myśl, aby potwierdzić własny Takt – dotrzymać ślubowania, które właśnie złożył swemu prywatnemu adwersarzowi – zajmowała go do tego stopnia, że przytłoczyła inne sprawy, a zwłaszcza, o ironio, poczucie proporcji. Gdyby przy frontowej ścianie stała drabina, nawet zawrotnie wysoka, pionowa, jaką tynkarze lub dekarze po pracy czasem zostawiają na noc, zapewne usiadłby okrakiem na parapecie i wyciągając jak najdalej nogę albo rękę, próbowałby jej dosięgnąć i zejść na dół. Gdyby

istniała tu niebywała konstrukcja, napotykana w pokojach hotelowych, wyjście przeciwpożarowe w postaci liny z węzłami lub płóciennej rury, zrobiłby z niej użytek, aby wykazać – cóż, swoją aktualną delikatność. Jednak w obecnym stanie rzeczy hołubił to uczucie trochę na próżno, więc po pewnym czasie – znów nie bardzo wiedział, jak długim – poczuł, że wskutek wpływu, jaki na jego umysł wywarł brak reakcji świata zewnętrznego, ponownie pogrąża się w nieokreślonym cierpieniu. Miał wrażenie, że już całe wieki czeka na jakiś ruch w ogromnej, posępnej ciszy; życie miasta zamarło jak zaczarowane; jak okiem sięgnąć, znajome, brzydkie obiekty zastygły w nienaturalnej ciszy i bezruchu. Czy kiedykolwiek dotąd, pytał sam siebie, te budynki o twardych fasadach, siniejące w mętym świetle brzasku, tak mało mówiły jego złaknionej duszy? Wielkie zabudowane próżnie, wielkie, stłoczone, nieruchome bryły, nad ranem, w sercu miasta, często zakładały jakby odpychającą maskę; z tej właśnie rozległej, zbiorowej negacji Brydon nagle zdał sobie sprawę – tym dobitniej, że, nie do wiary, zbliżał się świt, naoczny dowód, że zabawił tu całą noc.

Ponownie spojrzął na zegarek i dostrzegł, co się stało z jego poczuciem czasu (godziny uznał za minuty, zamiast, jak w innych momentach napięcia, minuty za godziny), dostrzegł także dziwną barwę powietrza, przesyconego słabym, posępnym rumieńcem wschodu, w którym wszystko wciąż tkwiło zamknięte. Zdławione wołanie z jego własnego otwartego okna stanowiło jedyną oznakę życia, lecz i on, coraz bardziej zrozpaczony, musiał się w końcu uciszyć. A przecież, mimo głębokiego zniechęcenia, zdobył się na odruch świadczący o nadzwyczajnej stanowczości, przynajmniej według jego obecnej miary: powrócił na miejsce, w którym przeszył go chłód, kiedy utracił ostatni cień wątpliwości co do tego, że w domu obecny jest ktoś jeszcze. Wysięk ten przyprawił go o mdłości; miał jednak swój powód, który chwilowo przesłonił wszystkie inne względy. Musiał przejść przez cały dom, a jakże byłby się na to odważył, gdyby się okazało, że drzwi, które przedtem widział zamknięte, są teraz otwarte? Mógł, co prawda, uchwycić się myśli, że ich zamknięcie stanowiło dla niego praktycznie akt łaski, szansę, by wyjść, oddalić się, opuścić teren i nigdy więcej go nie profanować. Ta koncepcja miała sens, działała; jednak wyraźnie widział, że teraz jej wartość zależy od tego, ile wyrozumiałości zrodziło jego niedawne działanie, a raczej niedziałanie. Obraz „obecności”, czymkolwiek była, czekającej, by odszedł – obraz ten nigdy nie był dla jego nerwów tak uchwytny jak wówczas, gdy powstrzymał się przed uzyskaniem ostatecznej pewności. Albowiem z całą stanowczością, a ściśle mówiąc, z obawą, jednak się zatrzymał – nie chciał naprawdę z o b a c z y ć. Ryzyko było zbyt wielkie, a jego lęk zbyt określony; w tej chwili zaś przybrał konkretną, straszną postać.

Zrozumiał – tak jak dotąd nie rozumiał niczego – że gdyby jednak zobaczył, że drzwi są otwarte, oznaczałoby to jego marny koniec. Oznaczałoby to, że sprawca jego hańby – marność bowiem była dlań haniebna – znów jest na wolności i objął dom w pełne posiadanie; stało się oślepiająco jasne, jaki los wówczas przypadłby Brydonowi w udziale. Rzuciłby się do okna, które zostawił otwarte, aby, widział to w duchu, choćby bez drabiny czy sznura, kurczowo, szaleńczo, samobójczo dostać się na ulicę. Przynajmniej tego strasznego losu mógł uniknąć, lecz tylko cofając się w porę, z a n i m się upewnił. Musiał przemierzyć cały dom; ale teraz już wiedział, że jedynie niepewność

może zmusić go do działania. Chyłkiem zawrócił z miejsca, gdzie się opamiętał – to wystarczyło, by nagle poczuł się bezpieczniej – i podążył na oślep do wielkiej klatki schodowej, zostawiając za sobą rozwarte pokoje i pełne ech korytarze. I oto znalazł się u szczytu, nad pięknym, szerokim, mrocznym zejściem z trzema przestronnymi podestami. Instykt podpowiadał mu, żeby iść cicho, lecz jego buty stukały o posadzkę, ale, o dziwo, kiedy niebawem zdał sobie z tego sprawę, jakoś stało się to dlań pomocne. Nie był w stanie mówić, dźwięk własnego głosu byłby go przestraszył, a powszechnie przyjęte „pogwizdywanie w ciemnościach” (dosłownie czy w przenośni) zabrzmiałoby prostacko i wulgarnie. Lecz z przyjemnością słuchał własnych kroków, a gdy dotarł do pierwszego podestu – nieśpiesznie, lecz miarowo – ów częściowy sukces wydarł z jego piersi westchnienie ulgi.

Dom wydawał się bezkresny, skala przestrzenna – przesadna; otwarte pokoje, do których nie zbaczał wzrokiem, zionęły ciemnością zamkniętych okiennic niczym wyloty jaskiń; jedynie wysoko umieszczony świetlik, wieńczący głęboką studnię schodów, wyznaczał przestrzeń, w której dawało się iść dalej, lecz która wskutek osobliwej barwy wydawała się niemal podwodnym światem. Brydon próbował myśleć o czymś nobliwym, na przykład o tym, że ma naprawdę wspaniałą budynek, świetną nieruchomość, ale ta myśl zaraz przeszła w czysty zachwyt, że wreszcie zdoła ją oddać w ofierze. Budowniczy, burzyciele – niech wejdą od razu, proszę bardzo, niech wchodzą, kiedy tylko zechcą. Dwie kondygnacje niżej znalazł się w innej strefie; w połowie trzeciej, kiedy została mu już tylko jedna, zaczął odczuwać wpływ okien na parterze, na wpół zaciągniętych rolet, przypadkowych błysków latarni ulicznych, przeszklonych przestrzeni westybulu. To było dno morza, z własną iluminacją, wybrukowane – co dostrzegł, wychylając się w pewnym momencie, aby przeciągle spojrzeć zza poręczy – marmurowymi płytkami dzieciństwa. Niewątpliwie, jak byłby stwierdził w pospolitszej sprawie, poczuł się lepiej, dzięki czemu mógł przystanąć i nabrać tchu, a widok starych czarno-białych kafli jeszcze złagodził napięcie. Lecz przede wszystkim pojął, że z całą pewnością – element bezkarności ciągnął go mocną, twardą ręką – rzecz rozstrzygnęła się na korzyść tego, co ujrzałby na górze, gdyby poważił się na tamto ostatnie spojrzenie. Zamknięte drzwi, dzięki Bogu już dalekie, pozostały zamknięte – a od wyjścia dzieliło go kilka kroków.

Zszedł niżej i przeciął korytarz prowadzący do ostatniej kondygnacji, a jeśli tutaj zatrzymał się na moment, to dlatego że perspektywa rychłej ucieczki przeszła go dreszczem podniecenia. Przejęty, zamknął oczy – a gdy je otworzył, ujrzał przed sobą ostatni, stromy odcinek schodów. Oto był już bezkarny, bezkarny niemal za bardzo; albowiem poświata z bocznych okien i półkolistego lufcika nad wejściem wpadała wprost do holu. Zjawisko to, jak spostrzegł po chwili, było skutkiem faktu, że westybul stał otworem: skrzydła wewnętrznych drzwi zostały rozwarte na oścież. Poczuł, że oczy niemal wychodzą mu z orbit; tak jak tam na piętrze, przed tamtymi wymownymi drzwiami, znowu natarło na niego p y t a n i e : jeżeli tamte drzwi zostawił otwarte, to czyż tych nie zamknął? Czyż nie miał przed sobą b e z p o ś r e d n i e g o świadectwa niebywałej tajemnej aktywności? Pytanie było ostre jak cios nożem pod żebra, lecz odpowiedź zwlekała, zatracona w półmroku ujętym w półkolisty margines bladego

świtu, sączącego się z łuku nad wejściowymi drzwiami – zimny, srebrzysty nimb, który igrając z jego wzrokiem, przemieszczał się, rozszerzał i kurczył na przemian.

Pod osłoną cienia coś jakby się kryło, coś, co rozmiarem odpowiadało nieprzejrzystej powierzchni tła, malowanych płycin ostatniej przeszkody na drodze ucieczki – drzwi, do których klucz tkwił w jego kieszeni. Niewyraźny zarys drzwi z jego zdumienia, zda się, tłuścił i kwestionował wszelkie poczucie pewności, jednak Brydon, mimo że zachwiał się w pół kroku, natychmiast wziął się w garść i ruszył w dół z uczuciem, że oto wreszcie ma przed sobą coś, co da się dopaść, dotknąć, zabrać, poznać – co wprawdzie jest nienaturalne i straszne, czemu jednak trzeba stawić czoło, gdyż od tego zależy jego wyzwolenie bądź przeciwnie, całkowita klęska. Cień, gęsty i mroczny, niemal całkowicie okrywał postać, stojącą nieruchomo niby posąg we wnęce lub strażnik skarbu w czarnej przyłbicy. Brydon dopiero później miał zrozumieć, miał sobie przypomnieć i odtworzyć, co konkretnie myślał, schodząc po schodach: oto niewyraźny kontur w obrębie wielkiego szarego nawiasu poświaty się wyostrzył i przybrał tę właśnie postać, za którą on, z namiętą ciekawością, tęsknił przez tak wiele dni! Z mroku, z uroku, było to coś lub ktoś – był to cud osobowej obecności.

Stężały, lecz świadomy, widmowy, lecz ludzki – czekał na niego człowiek tej samej wagi i postury, pragnący jego miarą sprawdzić swoją moc przerażania. Ale tylko... tylko dopóki Brydon, podchodząc, nie pojął, że twarz tamtego była niewidoczna, gdyż zakrywały ją uniesione ręce – że nie dość, iż nie patrzyła nań wyzywająco, lecz jakby skłoniła się w pokornym błaganiu. I tak Brydon, już z bliska, wreszcie z o b a c z y ł ; każdy szczegół, teraz już wyraźny w twardym, górnym świetle: znieruchomią, sugestywną prawdę, siwą, schyloną głowę i blade, maskujące dłonie, przesadnie modny wieczorowy strój, zwisające binokle, lśniący jedwabny fontaż, śnieżnobiałą koszulę, perłowe guziczki, złotą dewizkę, błyszczące lakierki. Żaden portret współczesnego mistrza nie ukazałby tamtego równie intensywnie, nie wypchnąłby go z ram z większym kunsztem, nawet gdyby wszystkie blaski i cienie oddano z największą pieczołowitością. I nasz przyjaciel, zanim się spostrzegł, poczuł nieopisaną wręcz odrazę – zniżył się bowiem, w akcie obserwacji, do sensów zagadkowego manewru adwersarza. Jeden sens zwłaszcza się narzucał, kiedy tak stał i się gapił – gdyż gapić się musiał – na swoje drugie „ja” pogrążone w tej drugiej rozpacz; gapił się bowiem na jawny dowód, że jemu, który reprezentował życie spełnione, pogodne, triumfujące, nie sposób było w tym triumfie dorównać. Czyż te wspaniałe, kryjące twarz dłonie, mocne, o rozpostartych palcach, nie były tego najlepszym dowodem? Palcach rozpostartych rozmyślnie w taki sposób, że mimo pewnego szczegółu, nadzwyczajnie wprost wiarygodnego, a mianowicie faktu, że na jednej z rąk brakło dwóch palców, z których, jakby wskutek postrzału, zostały jedynie kikuty, oblicze było skutecznie chronione?

„Chronione”, ale czy na pewno? Brydon, zdumiony, dyszał ciężko, gdy nagle dostrzegł poruszenie, sprowokowane, jak mu się zdawało, jawnym zuchwalstwem swej postawy i natarczywością spojrzenia, które jednakże w następnej chwili okazało się częścią głębszego zamysłu, odważniejszej intencji. Głowa się uniosła, dłonie rozchyliły, po czym, jakby na skutek nagłej decyzji, błyskawicznie opadły, ukazując nagą, bezbronną twarz. Na ten widok zgroza ścisnęła Brydona za gardło i uwięzła mu w krtani

ze zdławionym okrzykiem: obnażona tożsamość, jako je go w ł a s n a, była czymś zbyt ohydny. Wpatrywał się w nią z namiętym sprzeciwem – twarz, t a twarz miałyby należeć do Spencera Brydona? Doszukiwał się podobieństwa, odwracał wzrok z odrazy i rozpacz, spadał jak kamień ze szczytów swojej wyniosłości. To było niesłychane, niebываłe, okropne, oderwane od jakiegokolwiek prawdopodobieństwa! Polując na to stworzenie, jęknął w duchu, zwyczajnie dał się „nabrać”; potwór przed nim był tylko potworem, zgroza w jego duszy – tylko zgrozą, lecz zmarnowane noce były groteską, a powodzenie jego wypraw – kpina. To monstrum nie przypominało go w ż a d n y m aspekcie, czyniło potworną samą tę możliwość. Nie, po stokroć nie, powtarzał sobie, widząc, że się zbliża – ta twarz była twarzą obcego. A zbliżała się coraz bardziej, ogromniejąc na podobieństwo fantastycznych obrazów, rzucanych przez latarnię magiczną w dzieciństwie; obcy, kimkolwiek był, napierał jakby z agresją, zły, odrażający, bezczelny, wulgarny, i Brydon uświadomił sobie, że ustępuje. Zaszczuty, wstrząśnięty, w odwrocie przed gorącym tchnieniem i rozbudzoną pasją życia większego niż własne, przed furią osobowości, w obliczu której się załamał, poczuł, że oczy zalewa mu ciemność, a nogi pod nim miękną. Zakręciło mu się w głowie; przepadał; przepadł.

III

Z powrotem, wyraźnie – choć po jak długim czasie? – sprowadził go głos pani Muldoon, docierający z niewielkiej odległości, tak niewielkiej, że po chwili niejasno ujrzał ją klęczącą obok na podłodze i patrzącą nań z góry. Nie leżał na wznak; właściwie pólleżał, unoszony i podtrzymywany, a także świadomy, o tak, pewnej subtelności swej podpory, zwłaszcza niezwyklej miękkości pod głową i delikatnej, świeżej woni perfum. Dziwił się, zdumiewał, jego rozum działał tylko połowicznie, lecz wtedy w polu widzenia pojawiła się inna twarz, pochylona tuż nad nim, więc w końcu zrozumiał, że jego rozległą, wspaniałą poduszką są kolana Alice Staverton, usadowionej na najniższym stopniu schodów, natomiast reszta jego długiego ciała spoczywa na znajomych czarno-białych płytach posadzki. Marmurowe kwadraty jego młodości tchnęły zimnem, lecz on go nie odczuwał – ów powrót, małymi krokami, do barwnej przytomności był najcudowniejszą godziną, jaką kiedykolwiek przeżył, wtrącony we wdzięczną i przepastną bierność, mając wokół siebie skarby wiedzy, które tylko czekały, by je spokojnie zawłasczył intelektem, roztopiony, by tak rzec, w atmosferze tego miejsca, w złocistym późnojesiennym blasku popołudnia. Tak jest, wrócił – i to z odległości dalszej, niż zdołał pokonać ktokolwiek inny; co jednak najdziwniejsze, miał przemożne uczucie, że naprawdę wspaniałe jest to, do czego wrócił, jakby cała jego niezrównana podróż odbyła się tylko w tym celu. Powoli, lecz pewnie odzyskiwał jasność i stopniowo obraz jego stanu się dopełniał: cudownym sposobem został tu p r z e n i e s i o n y – zabrany i troskliwie przemieszczony z miejsca, gdzie go podjęto, w najdalszym końcu szarego, nieskończonego korytarza. A teraz pozwolono mu odpocząć, tym zaś, co przywróciło mu świadomość, była przerwa w płynnym, łagodnym ruchu.

Został obdarzony wiedzą, tak jest, wiedzą – oto, na czym polegało piękno jego stanu, coraz podobniejszego do kondycji człowieka, który zasnął, otrzymawszy wieść o wielkim spadku, a potem, gdy go już przepuścił we śnie i sprofanował nieistotną bzdurą, zbudził się i poczuł niezachwianą pewność, że wystarczy leżeć i patrzeć, jak rośnie. Taki był sens jego cierpliwości – że musi jedynie dać się oświecić. Ponadto, z przerwami, na pewno brano go i przenoszono dalej; jakim innym sposobem, z jakiego powodu mógłby się ocknąć później, gdy popołudniowa poświata zgęstniała, już nie u stóp schodów – leżących, jak mu się teraz zdało, na drugim, ciemnym końcu jego tunelu – lecz na szerokiej podokiennej ławie w wysokim salonie, okrytej jak kanapa miękkim płaszczem na szarym futrze, który Brydon dobrze znał z widzenia i który teraz czule gładził dłonią, jakby szukając w nim potwierdzenia prawdy? Twarz pani Muldoon zniknęła, lecz druga twarz, którą rozpoznał, wisiała nad nim w sposób dowodzący, że nadal ma podparcie i poduszkę. Chłonał to wszystko, a im dłużej patrzył, tym bardziej mu to wystarczało; czuł taki spokój, jakby dano mu jeść i pić. Znalazły go we dwie, dzięki temu, że pani Muldoon o zwykłej godzinie użyła klucza, a przede wszystkim nadeszła, gdy panna Staverton stała pod domem, zwlekając z odejściem. Właśnie się odwracała, pełna niepokoju, od daremnie szarpanego dzwonka, gdyż według jej rachuby była to pora odwiedzin zacnej gospodyni – i szczęśliwie się doczekała. Razem otworzyły drzwi. Brydon leżał przy wejściu do westybulu właściwie tak samo jak teraz, to znaczy tak, jak upadł; cudownym zrzędzeniem losu nie miał na ciele sińców ani zranień, był tylko pogrążony w głębokim omdleniu. Tym jednak, co w tej chwili, gdy umysł mu się rozjaśnił, zrobiło na nim największe wrażenie, był fakt, że Alice Staverton przez długą, przeokropną chwilę nie miała wątpliwości, że on nie żyje.

– Bo pewnie tak było, pewnie n i e ż y ł e m – wyszeptał, spoczywając na jej kolanach. – Tak, musiałem umrzeć, nic innego. Dosłownie przywróciłaś mnie do życia. Tylko – podniósł na nią zadziwiony wzrok – tylko, na wszystkie świętości i błogosławieństwa, jak?

Zajęło jej to zaledwie chwilę: schyliła się i pocałowała go; coś w tym geście, w uścisku dłoni, ciasno oplatających jego głowę, gdy czuł na skórze chłodną życzliwość i cnotę jej ust, coś w całym tym błogostanie w pewien sposób rozstrzygnęło wszystkie pytania. – A teraz cię zatrzymam – powiedziała.

– Och, zatrzymaj mnie, zatrzymaj! – zawołał błagalnie, wpatrzony w zawieszoną nad nim twarz, która w odpowiedzi znów opadła i blisko, bardzo blisko przywarła do jego własnej. Ich stan został poświadczony, poświadczony pieczęcią, której przyłożenie Brydon smakował w milczeniu przez długi, rozkoszny moment. Wreszcie ochłonał. – Ale skąd wiedziałaś...

– Byłam niespokojna. Pamiętasz, miałeś przyjść... i nie przysłałeś żadnej wiadomości.

– Tak, pamiętam... miałem u ciebie być dzisiaj o pierwszej. – Zahaczało to o ich „stare” życie i stosunki, tak bliskie i zarazem tak dalekie. – Wciąż byłem w tamtej dziwnej ciemności; gdzie to było, co to było? Chyba przebywałem tam dość długo. – Mógł się jedynie dziwić głębokości i długości omdlenia.

– Od wczoraj? – zapytała z lekką obawą, że okaże się nietaktowna.

– Chyba od dzisiejszego ranka... od dzisiejszego zimnego, mętnego świtu. Gdzie ja

byłem – jęknął niewyraźnie – gdzie ja byłem? – Poczuł, że ona obejmuje go mocniej, co jakby pomogło mu bezpiecznie wyrazić ten łagodny lament. – Co za długi, mroczny dzień!

Ogarnięta tkliwością odczekała chwilę. – Od zimnego, mętnego świtu? – zadrżała.

Lecz on zaczął już układać w całość dalsze fragmenty cudownego zdarzenia.

– Więc kiedy się nie zjawiłem, przyszedłeś prosto...

Nie wykręcała się. – Najpierw poszedłem do ciebie do hotelu... i tam powiedzieli mi, że cię nie ma. Że wyszedłeś wczoraj zjeść kolację na mieście i już nie wróciłeś. Ale wyraźnie wiedzieli, że byłeś w klubie.

– Więc podejrzewałaś...

– Co? – zapytała po chwili.

– No... że coś się stało.

– Byłam przekonana, że przynajmniej tu zajrzałeś. Od początku wiedziałam, że tu bywasz.

– Wiedziałaś?

– W każdym razie przypuszczałam. Po naszej rozmowie miesiąc temu nie chciałam ci nic mówić... lecz byłam pewna. Wiedziałam, że to zrobisz – oświadczyła.

– To znaczy, że się uprę?

– Że go zobaczysz.

– Ach, ale nie zobaczyłem! – wyjęczał żałośnie Brydon. – Jest tu ktoś, jakaś przerażająca bestia, którą, co za okropieństwo! – udało mi się osaczyć. Ale to nie ja.

Słyszając te słowa, znów się nad nim pochyliła i spojrzała mu prosto w oczy. – Nie... to nie ty. – On zaś, patrząc w unoszącą się nad nim twarz, odniósł wrażenie, że gdyby nie bliskość, mógłby wyczytać w niej zatarte uśmiechem, całkiem konkretne znaczenie. – Nie, dzięki Bogu – powtórzyła – to nie ty! Oczywiście, że to nie miałeś być ty.

– Ależ tak – rzekł z łagodnym uporem, wpatrując się w przestrzeń tak jak przez tyle tygodni. – Miałem poznać sam siebie.

– Nie mogłeś – odparła pocieszająco. Po czym, jakby chcąc się jeszcze wytłumaczyć z tego, co zrobiła, wróciła do tematu: – Rzecz nie tylko w tym, że nie przyszedłeś do domu. Czekałam tutaj, aż zjawi się pani Muldoon; spotkaliśmy ją o tej porze w dniu, kiedy byliśmy tu razem; i na szczęście przyszła, zastając mnie na schodkach zrozpaczoną, bo nikt nie otwierał drzwi. Dzięki Bogu; gdyby nie nadeszła, znalazłabym sposób, żeby ją odszukać. Ale – Alice Staverton jakby znów podjęła piękną myśl – chodziło nie tylko o to.

Znów zwrócił ku niej wzrok. – A więc o co?

Stawiła czoło jego zdumieniu. – Od zimnego, mętnego świtu, powiadasz? Otóż o zimnym, mętym świecie ja również cię widziałam.

– Widziałaś... m n i e ?

– Widziałam j e g o – oznajmiła Alice Staverton. – To musiał być ten sam moment.

Przez chwilę zastanawiał się, czy dobrze słyszy, jakby próbował za wszelką cenę być rozsądny. – Ten sam moment?

– Tak... we śnie. Takim jak ten, o którym ci mówiłam. Wrócił do mnie. I wtedy zrozumiałam, że to znak. Że przyszedł też do ciebie.

Brydon aż się unióś; musiał ją lepiej widzieć. Gdy pojęła jego zamiar, podparła go; w końcu usiadł nieco chwiejnie na podokiennej ławce, ściskając jej dłoń. – Do mnie nie przyszedł – powiedział.

– Ty przyszedłeś do siebie – uśmiechnęła się ślicznie.

– Ach, ja dopiero teraz przyszedłem do siebie, dzięki tobie, najdroższa. Ale ten typ ze swoją straszną gębą... ten typ to jakiś straszny nieznajomy. Nie ma w nim nic ze mnie, nawet tego, czym mógłbym się stać – Brydon niezłomnie trwał przy swoim.

Ona jednak zachowała jasność umysłu, która była jak tchnienie nieomyślności. – Lecz chyba całe sedno w tym, że ty byłbyś inny?

Niemal się skrzywił. – Inny do tego stopnia?

I znów jej spojrzenie wydało mu się piękniejsze niż rzeczy tego świata. – Przecież chciałeś dokładnie wiedzieć, jaki byś się stał, prawda? No więc dziś rano – ciągnęła – ukazałeś mi się.

– Jako o n ?

– Jako straszny nieznajomy.

– To skąd wiedziałaś, że to ja?

– Stąd, że jak ci mówiłam już kilka tygodni temu, mój umysł i wyobraźnię wciąż zaprzętała kwestia, czym mógłbyś, a czym nie mógłbyś się stać, bo widzisz, zamierzałam pokazać, co o tobie sędzę. I pośród tego przyszedłeś do mnie we śnie, aby uśmierzyć moje wątpliwości. Wiedziałam – ciągnęła – byłam wręcz pewna, że skoro to pytanie, co mi wyznałeś owego dnia, tobie też nie daje spokoju, to sam się przekonasz. Kiedy zatem dzisiaj znowu go z o b a c z y ł a m , zrozumiałam, że to dlatego, że ty również... a także dlatego, że od pierwszej chwili jakoś mnie chciałeś. Wydawało mi się, że o n wyraźnie to powiedział. Jakże więc – rzekła z dziwnym uśmiechem – miałabym go nie lubić?

Spencer Brydon zerwał się na równe nogi. – Polubiłaś... ten horror?

– Mogłabym go polubić. I dla mnie nie był horrorem. Przyjęłam go.

– Przyjęłaś?... – wykrztusił Brydon nieswoim głosem.

– Owszem, już wcześniej, ciekawa jego inności. A ponieważ się go nie wyparłam, ponieważ go poznałam, czego ty, mój drogi, wreszcie stając z jego innością oko w oko, jakże okrutnie n i e zrobiłeś, cóż, zapewne nie był już dla mnie taki straszny. I może sprawiło mu przyjemność, że mu współczuję.

Również wstała, wciąż trzymając go za rękę, wciąż podtrzymując go ramieniem. Lecz choć dostrzegał już mętne światło, zapytał niechętnie i z urazą: – Współczułaś mu?

– Był nieszczęśliwy, był wyniszczony.

– A ja nie byłem nieszczęśliwy? A ja, wystarczy na mnie spojrzeć!, nie jestem wyniszczony?

– Ach, nie twierdzę, że lubię go b a r d z i e j – oświadczyła po zastanowieniu. – Lecz jest posępny, znużony, działy się z nim różne rzeczy. Nie może się z tobą równać co do wyglądu, z twym czarującym monoklem.

– Nie. – I dodał olśniony: – Faktycznie, nie mógłbym obnosić się z nim w śródmieściu. Dostałbym za swoje.

– Takie wielkie, wypukłe pince-nez, widziałam je i rozpoznałam typ, nosi ze względu na słaby, zrujnowany wzrok. Nie mówiąc o jego biednej prawej dłoni...

– Ach! – wzdrygnął się Brydon, czy wskutek potwierdzenia tożsamości, czy też na myśl o utracie palców. – Ma milion rocznie – dodał trzeźwo. – Ale nie ma ciebie.
– I nie jest, nie, nie jest t o b ą ! – wyszeptała, gdy brał ją w objęcia.

Trzykrotnie w ciągu kwadransa – zmieniając wciąż pozycję na swoim miejscu rozmyślań – spoglądał na zegarek, jakby szukał ostatniej, dobitnej wskazówki, że powinien podjąć decyzję, powinien wstać. Siedział na jednym z kilku dość oddalonych krzeseł, pustych, wyjąwszy jego własną przedłużającą się obecność, skąd spoglądał na połąć trawnika, świeżego po ostatnich kwietniowych deszczach, na którym oddawały się zabawie różne małe dzieci. Drzewa, krzewy, rośliny; każda kiść i gałąź, niedawno zmierzwiona pierwszym dotknięciem lekkich palców łagodniejącego roku, zdawała mu się zastygła w błogiej nadziei dalszej pieśczoćy; teren wokół niego wstrzymywał oddech niby dziecko, które karnie otwiera buzię i zamyka oczy, czekając na przyobiecany jadalny efekt tego, że było grzeczne. W bezwietrznym, nagrzanym słońcem powietrzu owego pięknego popołudnia późnej zimy White-Mason miał wrażenie, że cały Central Park czeka; dzięki czemu Nowy Jork też wydał mu się „grzeczny”, dostatecznie grzeczny dla niego; nawet odgłosy miasta brzmiały niewyraźnie, niemal słodko, docierając doń jakby z bardzo daleka, zza drzew na horyzoncie, stanowiących odległą granicę płytkiej trawiastej niecki. Okrzyki igrających dzieci nie brzmiały już ostro i nijako – w rzeczy samej, stały się prawie tak żywe i miłe jak zdobne w falbanki, wstążki i marszczenia stroje małych dziewczynek, które w tej części świata zawsze wyglądały, jakby nader solennie wystawiano na pokaz córki osobliwej tubylczej – czyli przytłaczająco obcej – ludności.

Ale żadna z tych spraw nie była teraz szczególnym przedmiotem jego medytacji; chciał pod koniec spaceru po prostu usiąść na chwilę z boku i pomyśleć, co też czynił od dwudziestu minut i jak dotąd nic nie zakłóciło czaru owego postoju. Jednak patrzył, nie widząc, i słuchał, nie słysząc; wszystko, co zdołał uzyskać, to słabe wrażenie, że nie całkiem przestał odczuwać. Wyczuwał od początku i wyczuwał nadal – owszem, mając czterdzieści osiem lat równie mocno jak w każdej chwili domniemanego władania młodzieńczych wzruszeń – działanie wielkiego ducha powietrza, delikatny zew wiosny, najwyższy, by tak rzec, apel Przyrody do jego wieku; zupełnie jakby ta Siła, swobodna, pobłażliwa, cyniczna, obojętna, oferowała mu ostatnią szansę, którą mogłyby jeszcze pochwycić jego krew i rozum. Oprócz tego zaś żywił przekonanie – będące zarazem szczytem i długotrwałym skutkiem przyjętego stanu znieruchomienia – że gdyby zaszedł do pani Worthingham i zastał ją w domu, nie mógłby, chcąc oddać sobie sprawiedliwość, nie zadać jej pytania zaniechanego tamtym, ostatnim razem z powodu irytującej i uporczywej, aczkolwiek przypadkowej obecności innych osób. Ależ ona miała znajomych – tak głupio i bez skrupułów łgnęli! Gdyby doszli, on i ona, do porozumienia, zapewne musieliby nim objąć pewnych członków jej nadzwyczaj źle

dobranego kręgu, a niepodobna, by mógł darzyć tych ludzi jakimkolwiek zainteresowaniem. Ale nie potrafił być sprawiedliwy wobec siebie – widzicie, skupiał się głównie na s o b i e ; idealna sprawiedliwość dla n i e j , jej wyobrażenie o treści tego pojęcia to była całkiem inna i odmienna sprawa – a to z powodu faktu, że trwało niedzielne popołudnie, a ona nie „trzymała” tego dnia dla niego: jak dotąd nie zaczęli jeszcze aranżować spotkań i schadzek wedle zasady jawnych poświęceń. W każdym razie miał pewne podstawy, by sądzić, że miła i praktyczna środa – gdyby poruszając się w obecnym tempie, istotnie umiał ją zatrzymać, zanim się skończy – zostanie mu oddana szczerze i z rozmysłem.

Dźwięk, który w końcu nader przytomnie rozpoznał w swym zakątku, był to pojedynczy niski ton, zwiastujący wpół do piątej, przybyły z jakiegoś wysoko położonego publicznego zegara. Podniósł się w końcu z uczuciem, że od tej chwili jego czas powinien być przeżywany co najmniej jako święty. W tym punkcie – kiedy stał, otrzepując ubranie, prostując kapelusz, krawat, mankiety, przecierając buty do połysku, jakby szukał w nich odbicia swej postaci, prostej, szczupłej i szpakowatej, wytwornej, wykończonej i ubranej, bez reszty dystygowanej postaci dobrze urządzonego dżentelmena, lecz także wyraźnie zdenerwowanego kawalera – bez wątpienia, w tym właśnie kryzysowym punkcie oceniał swoją trudność z największą dokładnością i najmniejszą niechęcią. Jeśli tam pójdzie, z pewnością ją zastanie, a jeśli ją zastanie, to niemal z pewnością przejdzie do sedna. Nie będzie odkładał tego na później – przecież tak bardzo mu zależy, aby oddać sprawiedliwość chociaż samemu sobie. Nigdy dotąd nie odmówił sobie niczego tak jawnie bogatego w możliwości, jak pomysł oświadczenia się pani Worthingham – nigdy dotąd, innymi słowy, nie odmówił sobie żadnej rzeczy, której tak wyraźnie pragnął; efekty zaś tej zasady stanowiły dlań najdokładniej najcenniejsze składniki doświadczenia. Same tylko propozycje jego szlachetnej ręki przynajmniej w trzech zapamiętanych przypadkach były konsekwencją równie silnego impulsu jak teraz, równie przemyślanego szacunku wobec siebie; szacunku, który ponadto w najmniejszym stopniu nie doznał uszczerbku wskutek niepowodzenia oświadczyn. W tych trzech sytuacjach – jedynych, które w ogóle dało się porównać z obecną – spotkał się ze szczerym wyznaniem, że jakoś, mimo całego wdzięku, jego osoba nie zdołała wzbudzić zabobonnej wiary; późniejszy zaś upływ czasu rozwiał wiele wątpliwości.

Nic by z tego nie wyszło, co pojmował w końcu, z pełną jasnością, za każdym razem, gdy mu odmawiano; a naturę miał tak szczerą, że był w stanie uznać te właśnie przejścia za dowód, jak dalece miał rację – racja owa polegała na tym, że wiedziony fortunnym instynktem proponował swoją osobę wyłącznie w sytuacjach niemożliwych. Miał przyjemną świadomość, że oto wystawił ważne pytanie na kluczową próbę, ale – zgodnie z powyższą nieubłaganą logiką – ustrzegł się poważnego błędu. Jakiż mógł być lepszy dowód jego racji aniżeli fakt, że teraz był w stanie swobodnie ponowić to nader interesujące pytanie, że zamierzał zrobić dokładnie to samo co przedtem, w innych, lepszych okolicznościach? Okoliczności były zaś lepsze o tyle – o taką część jego kariery, charakteru, sytuacji, mógłby wręcz powiedzieć: reputacji, znajomości życia, nieco większego majątku, względnie wzmożonego wdzięku i niewątpliwie doskonalszego

umysłu i humoru – ile faktycznie wymagało zbliżające się porozumienie. Kiedy już był w ruchu, kiedy przeszedł przez Central Park i opuścił go, kiedy skręcił, by pokonać niewielki odcinek jednej z krótkich uliczek na East Side, jego krok stał się krokiem mężczyzny dostatecznie młodego, by czerpać pewność siebie, ba, zadowolenie, z poczucia niemal każdego fizycznego działania. Nadal umiał się cieszyć prawie wszystkim – nawet, z braku czegoś lepszego, rzeczami nieprzyjemnymi – co mogło mu przypomnieć, że jeszcze nie jest taki stary. Niemniej narzucająca się nowość wznoszących się wokół rzeczy nieco nadwątląła jego pogodę ducha; a dom pani Worthingham, gdzie w końcu się zatrzymał, miał blichtr nowych pieniędzy, ów blask świeżo wybitej sztuki złota, która po raz pierwszy brzęczy na każdym gotowym ją przyjąć kontuarze i której dowolna transakcja nadaje pozór czegoś więcej niż „dobrej monety”.

Tym bardziej dotyczyło to wrażenie wprowadzonego, zaangażowanego obserwatora. Chcę powiedzieć, że gdy już nasz znajomy został wpuszczony i znalazł się w holu, wrażenie ogólnej, błyszczącej doraźności, nieucichłego po wstrząsie zgiełku stało się chyba silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Wyrывało się z każdego kąta wysokim piskiem zainteresowania, ze szczerością, której odpowiednika – nie, z pewnością – nigdy dotąd nie widział; każdy kosztowny przedmiot krzyczał chętnie i prostodusznie, że właśnie „zjawił się w domu”. Całą tę wizję powitał z rodzajem grymasu, który pojawia się u ludzi bez okularów, gdy wychodzą z zamknięcia na oślepiające światło; i gdyby – całkiem możliwym przypadkiem – został w tej chwili „zdjęty”, zrobiłby wrażenie kogoś, kto składa pierwszy hołd w świątyni czarującej pani Worthingham, niemal krzywiąc się z cierpienia. Nie był, należy wyjaśnić od razu, okularnikiem z natury; lecz Nowy Jork często go skazywał na tak brutalne przejścia – musiał się z nimi liczyć, ilekroć wychodził, by tak rzec, od siebie. Pisk zainteresowania był to, jego zdaniem, pisk historii, pisk nabytej i zasłużonej sugestii, słowem, pisk skojarzenia; tymczasem on sam bezspornie żył, z wyboru, jeśli nie w bogatym półmroku, co przerastało jego środki i nastroje, to przynajmniej wśród przedmiotów i obrazów, które trzymały się tonacji czasu.

Zawsze czuł tę niezbywalną obecność – co więcej, odczuwał potrzebę, która w żadnym punkcie nie kłóciła się z jego łagodnym zwyczajem, by nie powiedzieć, subtelną sztuką, przeciągania tego, co mu zostało z młodości; rozsmarowywania cienko i oszczędnie resztek owego najbardziej wybornego dżemu, jaki został w kredensie umysłu, na końcówce kromki życia, wciąż jeszcze dość grubej, by to wytrzymać; innymi słowy, przesuwania granic istotnych oznak melancholii wciąż odrobinę dalej, w dużym stopniu tak, jak niekiedy w nocy przesuwają się ukradkiem parkan posiadłości czy słupy graniczne. Prawdę mówiąc, w sprzeczności wobec zbyt odruchowego gestu, którym ze smutkiem chronił swoje oczy – do czego zmuszało go tak wiele aspektów Nowego Jorku – wręcz pielęgnował ideał powściągliwej aprobaty, odważnej ciekawości, lojalnie przyzwalając, by świat wokół niego, świat nieustannej zdyszanej odnowy i bezlitosnej zmiany, przypuścił nań płomienny atak na swoich własnych, wygórowanych warunkach. Nowość była samoistną wartością – dla nabywcy, przynajmniej niekiedy – nawet jeśli akt głośnego „trąbienia”, zwiastujący gorącą, świeżą nowinkę bądź inną

formę inwazji, nie dawał spokoju tym, którzy już długo byli w polu; choćby dlatego, że dojrzały ton najwięcej przecież znaczy, najlepiej pociesza, kiedy człowiek, sianiając się, do niego wraca, ranny, krwawiący, oślepiiony szaleństwem surowizny – albo, by niewątpliwie ładniej opisać całe doświadczenie, ekscesami światła.

II

Jednak, jeżeli nawet wszedł do środka, odruchowo krzywiąc się z lekka, to doprawdy, w owej chwili istniały dwa dość istotne powody, aby filtrować obserwacje. Po pierwsze, cały dom jak nigdy dotąd zdawał się odbijać osobiste lśnienie gładkiej, zamożnej, niedużej postaci pani Worthingham – uśmiechał się jej uśmiechem, skrzył się nie tylko błyskiem jej prześlicznych zębów, lecz wszystkich jej pierścieni, brosz, bransolet i błyskotek, skręcał się i zwijał spazmatycznie, jakby na wzór jej cudnych, kunsztownych, złotych pukli, otaczał ożywione biało-różowe pasterki z dreźnieńskiej porcelany, ich falbanki i wstążki, riuszki i bukiety, idealnym splotem rokokowych łuków, zawijasów i innych ozdób, istną altanką malowanych, złożonych, wykończonych form. Był i drugi powód tego nagłego wrażenia wizualnej ekstrawagancji, trochę jakby uniosła się dla niego kurtyna przed pierwszym aktem niewielkiej, dużym kosztem wystawionej opery komicznej – bo mimo wszystko ona nie czekała nań w czułym odosobnieniu, lecz znowu, cokolwiek niedelikatnie, naraziła go na trud wzięcia w rachubę, jakkolwiek przyjazne były jego plany, trzeciej, całkiem zbędnej osoby: małej, czarnej, nieistotnej, niemniej uciążliwej obcej kobiety. Dziwne, że w owej chwili mała dama, zajęta rozmową, wydała mu się całkiem czarna – zupełnie jakby w takim otoczeniu każde zjawisko niemające świeżej pastelowej barwy ani wdzięcznych pretensji do uroczych kształtów bezwzględnie musiało być pozbawione wdzięku. Każdy świadek ich spotkania – gospodyni na pewno to czuła – wprowadzałyby fałszywą nutę w cały ten różany blask; ale czyżby nuta tak fałszywa jak owa bura obecność – podkreślająca zbytnio, być może, widoczne dążenie do efektu – rzeczywiście miała jej dostarczyć rzeczywistego kontrastu bądź tła? Obecność, co więcej, której nazwisko i status skłonna była wymienić i wyjaśnić nie bardziej, niż zechciałyby „przedstawić” leżącego u jej stóp lub karnie wyprostowanego kudłatego, starego domowego teriera albo pudła.

Co niezwykle, będąc w pokoju przez pięć minut – podczas których współobecny gość nie poruszył się ani nie wydał dźwięku – dostrzegł, iż pani Worthingham jest w pełni zadowolona, że go widzi, doskonale świadoma jego planów, ale zarazem osobliwie spokojna w obliczu jego poczucia, że coś stoi na przeszkodzie ich realizacji. Było zupełnie tak, jakby nie uważała za przeszkodę znieruchomienia, nie mówiąc już o pozornym opanowaniu, ich nietaktownej towarzyszki; na którą tymczasem nasz znajomy, po pierwszym speszonym spojrzeniu, nie odważył się patrzeć dłużej, niż podpowiadała mu wrodzona dobroć, bo zwrócić na nią choć trochę uwagi znaczyłoby, siłą rzeczy, niegrzecznie gapić się spode łba. Jakoś więc prowadził rozmowę z kobietą, która – co do tego żywił ostatnio coraz klarowniej odcedzone przekonanie – miała

wszelkie dane, aby go zadowolić, bawić go i mu służyć, która stosownie, w zorganizowany, wręcz wskazany sposób, zdołałaby rozświetlić jesienne popołudnie jego życia; jednak przez cały czas zażarcie dyskutował z własną duszą, usiłując wyczytać w zachowaniu owej uroczej istoty – inaczej nie umiał jej nazwać – potwierdzenie teorii, że ona również przeżywa wewnętrzny dygot i z niepokojem na niego liczy. Szczęśliwie dla właśnie wyrażonego przekonania, znalazł owo potwierdzenie w myśli, jak na razie wcale nie odrażającej – a nawet związanej z subtelniejszą esencją jej powabu – że ona także miała wizję własnej klasy i ceny i że wygląd osoby chętnej i gotowej na wszystko był ostatnim, w jaki pragnęła się uzbroić.

Właściwie, gdy się nad tym zastanowić, nie uprzedził jej definitywnie; i zapewne nie byłby od początku tak świadomie do niej przekonany, gdyby nie chwalebne wrażenie, że będąc osobką o dwudziestu powierzchownych cnotach, była również osobką mającą swoją tajemną dumę. Zupełnie możliwe, że umieściła na jego drodze wyleniałego lwa – by nie powiedzieć, domowego pieska – na znak, że nie jest tania i łatwa; w żadnym bowiem razie nie mógł sobie życzyć, by jego przyszła żona okazała się taka już zawczasu, choćby wyłącznie dla niego. To, że skłoniła go do zadawania sobie podobnych pytań, stanowiło właśnie część pociągającej gry jej opalizującej powierzchni, migotliwego zespolenia rozmaitych aspektów: młodości z niezależnością – zwłaszcza finansową – żywości z urodą, a nade wszystko swobody z niezwykle nowinkarstwem; z wysoką nowoczesnością, jak ludzie najwyraźniej jęli to nazywać, która czyniła ją pod wieloma względami tak bardzo „na czasie”, że nawet on, człowiek niewątpliwie światowy, nie mógł do czegoś podobnego pretendować, a wszystko to na podstawie nader nieświadomych, instynktownych, nieskrępowanych przypuszczeń. Była „w kursie” wszystkiego, wszystkiego świadoma – w każdym razie począwszy od pewnej chwili w niezbyt odległej przeszłości (od pozaprzeszłego tygodnia, dajmy na to, jakby tymczasem zdarzyło się na świecie nie wiedzieć jak wiele historii); podobnie niczemu się nie dziwiła, w tym kierunku zaś można było rachować daleko naprzód, do końca jej życia lub przynajmniej do końca jego życia, a tylko to go obchodziło; uważała chyba za rzecz oczywistą, iż przyszłość dostosuje się do jej osobistych i dość rozpieszczonych gustów, tak że wręcz widział, jak mimo trzewiczków z drezdeńskiej porcelany i rozwianych falban nowomodnych halek drobi po parkiecie u boku nadchodzących czasów i nadaża za ich monstrualnym krokiem, gotowa powtórzyć wszystkie figury tańca.

Jej poglądy przybrały dłań nagle kształt wielkiego kwadratowego słonecznego okna, solidnie zawieszzonego nad ogromem życia. Wznosiła się ku niemu, niczym z wielkiej rojnej *plazy*, wysoka fala ruchu i dźwięku; a przecież, jednocześnie, miał wrażenie, że jej jasna, upierścieniona dłoń, błyskająca ku niemu, pośród innych rzeczy, idealnym lśnieniem ślicznych różowych paznokietków, jakby zwolniła sprężynę przemysłnego, współczesnego przyrządu do błyskawicznej beztroski i spuściła na połowę sceny pastelową roletę, furkoczącą frędzlami markizę z jedwabiu czarownej barwy, szykując chłodną kąpiel cienia dla miłego przyjaciela, który wraz z nią – a zatem dla obojga, dla szczęśliwej pary – wychylał się przez balkon. Rozciągał się stamtąd rozległy widok na przywilej stanu, którego pragnął – bo czyż go nie pragnął? – stanu przebywania

bezpiecznie u jej boku; a, by tak rzec, smuga prywatności, szerokie, miękkie pociągnięcie pędzla zanurzonego w czystej umbrze, który ciężki od farby kreśli pręgę w poprzek mocnej gamy kolorów, stanowiła symbol tego bezpieczeństwa, całej podniosłej elegancji wewnętrznej – sytuacji, idealnej przecież, w której nie byłby od niczego odcięty, a jednak, szybując śmiało i radośnie, niczym by się nie martwił ani nie przejmował. Toteż, jak mówię, póki to żywe wrażenie trwało, wewnątrz, przed którym stał nasz znajomy, uroczyście otworzyło się i rozpostarło, wizja ta zaś, jak u poety, choć właściwie z innego powodu, przybrała dlań formę „kwadratu zamglonego”¹²; a, co bardziej niezwykle, z osobliwym obiektem w polu widzenia, który najwyraźniej uzurpował sobie przywilej ramy i w tym momencie zasłonił mu widok.

Osobliwym obiektem okazała się głowa kobiety przystrojona w czarny kapelusik z rzadkimi piórami – ozdobę całkiem niepodobną do noszonych przez damy, na jakie White-Mason głównie zwracał uwagę – która teraz robiła się coraz większa i bliższa, przykuwając jego wzrok na modłę obrazów w kinematografie. Niebawem stała się tak wielka, że nie widział już nic więcej – nie tylko przedmiotów dalej położonych, które pani Worthingham ostatecznie i wszak niewątpliwie by mu zaprezentowała, lecz także rozmaitych atrybutów i akcesoriów owej damy, które właśnie przyswajał swojej świadomości. W ciągu minuty stała się rzecz przedziwna: wszystko się zmieniło, uwiędło, pociemniało, zniknęło; rozwinął skrzydła wyobraźni tylko po to, aby zaraz groteskowo oklapły, albowiem w milczącej towarzyszce gospodyni – w uciążliwej obcej osobie, która, choć istotnie nie zakłóciła wzlotu jego fantazji, to jednak udaremniła natychmiastowe wyznanie i stała się przyczyną jej obsunięcia, by nie rzec, gwałtownego upadku na ziemię – rozpoznał całkowicie zwyczajną postać Corneli Rasch. To ona stała z boku niemal na baczność; to jej gospodyni mu nie przedstawiła; to jej nie chciał spojrzeć w twarz, by się nie wydać niegrzecznym. Wpatrzył się w nią – wszystko poza tym zniknęło.

– Jak to, przez cały czas to byłaś ty ?

Panna Rasch wyraźnie pobladła. – Chciałam zobaczyć, czy mnie poznasz.

– Ależ, droga Cornelio – wypalił prosto z mostu – no, przecież!

– Ale chyba nie dlatego – odparła, na odmianę oblewając się pąsem – żebyś zbyt długo mi się przyglądał!

Uśmiechnęła się, nawet roześmiała, dostrzegł jednak, że biedaczka boleśnie odczuła jego niezręczność – jako koleżanka, wręcz przyjaciółka z młodości, towarzyszka lat dziecinnych, wieku męskiego, a prawdę mówiąc, także wieku dojrzałego jeszcze kilka, co najwyżej dziesięć, lat wstecz; lecz również znajoma wielu jego znajomych i prawie wszystkich krewnych z innej epoki, którzy w większości odeszli już na zawsze; krótko mówiąc, osoba, której zniknięcie, choć, zdawało się, ostateczne, odnotowano dopiero w ostatnim okresie. A teraz znów była obecna, całkiem nieoczekiwanie; gdyż doszły go słuchy, że w końcu, osamotniona po kolejnych zgonach, mając niewielkie środki, szukała finansowego ratunku w Europie, ziemi obiecanej oszczędnych Amerykanów – objawiła się jako ta prawie stara i dziwnie niepewna siebie postać, mała i pulchna, do której tyleż nie było obowiązku się zwracać, co do czarnej, krytej atłasem kanapy,

„przystrojonej” guzikami i lamówką; należąca do klasy przedmiotów, wobec których pewna ślepotą stanowiła konieczność. Czując, że potrzebne jest jakieś usprawiedliwienie, bez namysłu wyjaśnił kosztem pani Worthingham: – Ale widzisz, nie zostaliśmy sobie przedstawieni!...

– Nie, jednak nie przypuszczałam, że trzeba ci podawać moje nazwisko!

– Ależ, moja droga, nie musisz... zrozum mnie! – Przynajmniej to mógł jej powiedzieć. – Cały czas sądziłem!... – Lecz opowiadanie, co właściwie sądził, zajęłoby mu zbyt wiele czasu, zwłaszcza że tymczasem zdał sobie sprawę ze ślicznego zdziwienia, jakim promieniała pani Worthingham. Prawie jakby zaprosił ją na spacer i następnie naraził na niedogodność, przystając na ulicy, by porozmawiać z obcą kobietą.

– Nigdy nie podejrzewałam, że pan ją zna!... – gospodyni do niego skierowała swoje wyjaśnienia.

Na te słowa panna Rasch zerwała się, wyraźnie zaczerwieniona, wyraźnie zmieniona na twarzy i bez wulgarnej złości – Cornelia była do niej niezdolna – jedynie dość zabawnie strosząc się i śmiejąc, jedynie okazując, że na to właśnie czekała, jedynie mówiąc dokładnie to, co należało, co mogła tak jawnie zamienić w żart, oznajmiła: – No pewnie, bo gdybyś podejrzewała, tobyś go przedstawiła.

Odpowiadając, pani Worthingham znów spojrzała na White-Masona.

– Nie chciałam, żebyś odeszła... co właśnie chcesz zrobić, kiedy tylko się do ciebie odezwał. Ale nawet mi się nie śniło...

– Że coś jest między nami? Ach, całe mnóstwo rzeczy! – On, z drugiej strony, choć mówił do kobiety młodszej i ładniejszej, to patrzył na swoją dawną znajomą, do której następnie się zwrócił: – Kiedy wróciłaś? Czy mogę cię zaraz odwiedzić?

Cornelia drgnęła i wstrzymała oddech – prawie zachichotała. Utraciła już wszystkie elementy swej dawnej, młodej, zawsze niepojętej urody, które czasem przezierały na chybił trafił spoza jej niewybaczalnych rysów, sprawiając, że patrzenie na nią było rodzajem sportu. Docierały o niej jakieś wieści, słyszał niejasno (nie było żadnych listów, dzięki Bogu: ich znajomość w późniejszym okresie nie posuwała się tak daleko), że próbowała czynić oszczędności, by w końcu się osiedlić, z tych samych smutnych względów, w jakiejś nad wyraz angielskiej mieścinie, St. Leonard’s, Cheltenham, Bognor, Dawlish – okropność, co to b y ł o ? – teraz zaś, na dobrą sprawę, sprawiała wrażenie niedużej, lękliwej, egzaltowanej, nobliwie rozmawiającej starej panny w typie trochę mu znanym z trzytomowych powieści (i często spotykanym „w prawdziwym życiu”), którymi karmił się bardzo dawno temu podczas swojego pobytu w Brighton. Dziwniejszy wszakże niż jakikolwiek aspekt postaci jego dawnej znajomej był fakt, że mimo wszystko w pewien sposób cieszyła oko. W rzeczy samej, największym dziwem było to, że jej odpowiedź na pytanie, czy pozwoli się odwiedzić, absolutnie go oczarowała. Nie spojrzała na niego; tylko rzuciła na panią Worthingham pocziwe, krótkowzroczne, znaczące spojrzenie spod niemodnego, krepowego, dziwacznie egzotycznego kapelusza i z cudną figlarnością, z przesadną intonacją kobiety nieśmiałej odrzekła: – Tak, możesz mnie odwiedzić, lecz tylko kiedy nasza droga ślicznotka z tobą skończy! – I po chwili już jej nie było.

Czterdzieści minut później oddalał się już od swojej dziwnie poronionej przygody; oddalał się, bez jednoznacznie świadomego zamysłu, przez tę samą przestrzeń, która tak niedawno była świadkiem jego całkowicie utrwalonego przekonania. Mówił sobie wówczas, albo prawie mówił, że skoro może robić dokładnie to, co chce, niezawodnie będzie wkrótce wracał po swych śladach, niemalże nucąc pierwsze takty marsza weselnego, tak pięknie stało się jasne, że „spodobałoby mu się” pozwolić pani Worthingham na przyjęcie jego oświadczyn. Jednak teraz najwyraźniej wydawało się, że nie będzie nucił żadnego marsza – na razie bowiem nie miał co nucić, a przecież, co niezwykle, wcale nie dlatego, że mu odmówiła. Dlaczego ów miły akt przekazania w jej ręce prawa, by mu nie odmówić, nie spodobał mu się tak, jak chciał? Czyżby wszystko wzięło się z owej niezręcznej chwili, kiedy nie umiał się zdecydować, czy odprowadzić wychodzącą Cornelie do drzwi? W ogóle się nie zdecydował – co, u licha, w niego wstąpiło? – tylko tańczył po pokoju tam i sam, zmieniając zdanie i znów, pod wpływem impulsu, je zmieniając. Miotał się jak osioł nedorzecznie biegający na zadnich nogach między dwiema wiązkami siana; ostateczny skutek musiał być taki, że zrobił całkowicie błędne wrażenie. Jakże można było choć przez chwilę przypuszczać, że wspólna przeszłość obliguje go do czegokolwiek wobec krepowej Cornelii? Z całych sił grzmotnął laską w żwir, odrzucając wszelki cień zobowiązania.

Mniej udana okazała się, niestety, próba pozbycia się szczególnie dojmującego wrażenia, że gospodyni, choć zdziwiona jego widocznym popłochem – a jednak nie dość zdziwiona, by zadać współczujące pytanie – przede wszystkim, ogólnie rzecz biorąc, była dość otwarcie rozbawiona; co stanowiło znakomity przykład jej najnowszej, najświeższej, najwspanialszej swobody, pełnego szczerości sposobu bycia, który zakładał – nie „bezdusznie”, nie złośliwie, a nawet niezbyt świadomie, lecz z pogodną, rozpieszczoną ufnością, która zapewne w końcu zaczęłaby działać człowiekowi na nerwy jako najbardziej impertynencka w świecie postawa – że każda, u licha, rzecz, przydarzająca jej się w związku z czymkolwiek, to materiał do rozrywki. No i proszę, znów to robiła z niewinnym egotyzmem, a w gruncie rzeczy połączanym, barokowym anarchizmem swej niewątpliwie nieświadomej, niemniej wścieklej nowoczesności. Jej beztroski wdzięk był doskonały, ale był to właśnie wdzięk b e z t r o s k i – ani strzępka wdzięku rozterki czy trudności, co oznaczało, przy bliższym spojrzeniu, że aby szczęśliwie działać, ów wdzięk ani na jotę nie uwzględniał zwykłych dobrych manier. Wyraźnie taka miała być melodia przyszłości – że jeśli ludzie będą dostatecznie bogaci, dostatecznie umeblowani, dostatecznie wykarmieni, wyćwiczeni, higieniczni i wymanikiurowani, dostatecznie wyszkoleni, wylansowani i „wiedzący”, dostatecznie *avertis*, jak to obecnie określano w Paryżu, to za grzeczność wystarczy im przyjąć rozbawiony, ironiczny stosunek do tych, którzy są mniej wtajemniczeni. Za j e g o czasów, gdy był młody, a nawet w tylko trochę mniej średnim wieku, najlepsze maniery polegały na jak największej życzliwości, największa zaś życzliwość sprowadzała się zazwyczaj do sztuki niepodkreślania swej luksusowej inności, a nawet do ukrywania – jeśli nie przez zwykłą przyzwoitość, to ze względów czysto ludzkich – przynajmniej

części swego przemożnie zajadłego dążenia, aby „wiedzieć, co w trawie piszczy”.

A tak, „co w trawie piszczy” – i pani Worthingham nurzała się w tej trawie instynktownie, nieuchronnie, automatycznie, po czubek głowy; co wszakże w żadnym stopniu nie przeszkadzało jej być kompletną ignorantką we wszystkim, co prawdziwie, intymnie i fundamentalnie dotyczyło j e g o , biednego starego White-Masona. Po pierwsze, nie miała pojęcia, kim on jest – przez co rozumiał, że nie wiedziała, jak to jest b y ć White-Masonem, „choćby” biednym, droгим i starym. I to właśnie – tu w pełni oddawał jej sprawiedliwość – stanowiło o istocie jej nowości i świeżości, jej pięknej, śmiałej nieodpowiedzialności społecznej, którą tak go olśniła na początku; to właśnie, że nie miała ani krztyny wycucia dla żadnej jakości, ilości czy tożsamości, dla żadnej, by tak rzec, wartości historycznej lub towarzyskiej, przenikającej Nowy Jork z dawnych, niemal już legendarnych czasów; to, a także dodatkowy fakt, że, skoro już o tym mowa, on ze swej strony w kwestii jej pochodzenia również pielęgnował obojętność, ostrożny brak zainteresowania – w najlepszym razie zdawkowość – z jakimi wszyscy uczeni, przywoici ludzie, nowojorczyki z cenionego przezeń środowiska i konserwatywnego pokolenia, pozwalali sobie traktować, na ogół bez wątpienia bardzo słusznie, rodowody, korzenie oraz przedziwne, niewyobrażalne, wczesne doświadczenia ludzi wnikaających do ich kręgu z tych części kraju, które nieuchronnie i naturalnie jawiły im się jako „zapomniane przez Boga” i ogólnie niewyobrażalne.

Nieliczni rozproszeni ocalali przedstawiciele dawnego „dobrego” towarzystwa, *rari nantes in gurgite vasto*, w obecnym stanie rzeczy napotykali – nawet wśród ongiś świętych cieni dni minionych lub tego, co z nich zostało – wszelkie formy towarzyskich niemożliwości i odkrywali, tym bardziej nieodparcie, że zjawiska te często (najczęściej w wypadku kobiet) przejawiają się z zadziwiającą, dziką śmiałością, tyleż niewzruszoną, co niezrównaną, jakiej apogeum prezentowała pani Worthingham. Któż chciałby sięgać głębiej do ich annałów i historii, rekonstruować ich kroki i etapy, stawiać im kropki nad „i”, oglądać od podszewki jakiegokolwiek ich sprawy? Nikt nie zrobiłby tego za żadne skarby – nie pozwalało na to rudymen tarne poczucie taktu; a przecież hamulec podstawowego, bezdyskusyjnego dobrego smaku w niczym nie kłócił się z szacunkiem dla nich, a w każdym razie z szacunkiem należnym samemu sobie w stosunkach z nimi; czego przykładem mogła być właśnie przemożna niechęć, jaką on sam, biedny, kochany stary White-Mason, odczuwał wobec wszelkich prób zapoznania go, pod jakimkolwiek pretekstem, z duchem, bezsprzecznie bardzo osobliwym, zmarłego pana Worthinghama. Nigdy nie pytał ani pytać nie zamierzał – choćby od tego, w najintymniejszym sensie, zależało jego życie, czyli powodzenie zalotów – ani o nieznanego sprawcę zamożności jego wybranki, ani o szczęsne źródło i najwyraźniej obfite dopływy zapewnionego przezeń strumienia złota.

Ze wszystkich tych widocznych anomalii jaki więc miał wyciągnąć morał? Z tym pytaniem znów opadł na parkowe krzesło, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia, jakim sposobem zdołał się oddalić, wciąż nie złożywszy wybrance hołdu. Chociaż najwyraźniej – takie miał wrażenie – w ogóle nie dawało się tu nic stwierdzić ani wywnioskować, pozostawało tylko dalej się martwić, w prostej konsekwencji faktu, że choć jako człowiek mógł znać, albo nie, potrzebę uzgadniania czynów z sumieniem

i smakiem, to nigdy nie czuł się całkiem zwolniony z obowiązku dostosowania sumienia i smaku do czynów. To ostatnie zajęcie pochłonęło go teraz bez reszty; z drugiego ataku rozpamiętywań zwolniony został dopiero z nadejściem słodkiego wiosennego zachodu, gdy w zapadającym zmierzchu mniej więcej wyjaśnił sobie rzeczywiste związki między różnymi fragmentami swego idiotycznie drażniącego przeżycia. Nerwową ręką, wspomagany zmrokiem, zdołał wyłapać, pochwycić pewne istotne fakty za ich niewyraźne, ruchliwe ogony; niespokojne prawdy, które wyroily się jak te istoty dopiero w szarą godzinę nabierające odwagi, a teraz wzlatywały i krążyły wokół niego, mimo nieśmiałości wręcz muskając go w nos. Tak jest, po prostu siedział dalej ze swoją „wybranką” – Boże, co za słowo! – jakby nie chciał przejść do sedna; jakby objawiło mu się, dość bezwzględnie, że byłoby w tym coś prostackiego i okropnego. Cały czas, jaki spędził u niej po wyjściu Cornelli, zajęło mu niemal ostentacyjne stwarzanie sobie okazji, której nie miał wykorzystać. Zupełnie – wróciło doń – jakby patrzył na siebie z boku: Zrobię to czy nie zrobię? Chcę tego czy nie chcę? „Powiedzmy, za trzy minuty, powiedzmy, kwadrans po szóstej, najdalej za dwadzieścia minut – oczywiście, jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie”.

Lecz coś już stało na przeszkodzie, a tym czymś – rzecz najdziwniejsza, najzabawniejsza, a co najmniej najbardziej niesłychana w świecie – była nie tyle obecność Cornelli, ile właśnie jej nieobecność, stan rozproszenia, w jaki wprawiła jego myśli, które teraz niezdarnie za nią podążały, nie wiedzieć jak i dlaczego. Tłumaczył to sobie poniekąd tak, że skoro już do tego stopnia się rozproszył, ponowne skupienie się na gospodyni, podjęcie sprawy, z którą do niej przyszedł, stało się dlań, niespodziewanie, powrotem z bardzo daleka. I to po prostu wszystko – a raczej nieco mniej niż wszystko, gdyż przyczyniło się do tego coś jeszcze. – Nie śniło mi się, że pan ją zna – oraz: – A mnie się nie śniło, że p a n i ją zna – nieuchronne te zdania padły między nimi, uzupełnione lichym strzępkim wyjaśnienia ze strony pani Worthingham: – O tak, bardzo słabo, jak widać. Dwa lata temu przebywałam „na kuracji” w pewnej wysoko położonej miejscowości w Szwajcarii, gdzie przez trzy tygodnie padał deszcz. W hotelu pełnym ryczących, żrących i palących Niemców była jedyną osobą, z którą dało się zamienić słowo i jako jedyne mówiące po angielsku osoby trzymałyśmy się razem niczym rozbitkowie na bezludnej wyspie wśród szalejącej burzy. Potem się rozchorowała, a ponieważ nie miała pokojówki, posłałam jej swoją, żeby się nią zajęła. Była mi za to wdzięczna; pisała później, że jeśli kiedykolwiek wróci do Nowego Jorku, z pewnością mnie odwiedzi. No i widzi pan, wróciła, i zjawiała się, biedne stworzenie!

Tyle pani Worthingham – lecz zapytana, czy pannie Rasch kiedykolwiek zdarzyło się o nim mówić, właściwie nie dodała prawie nic. Widać było, że już nigdy później nie zaprzętała sobie głowy żadną osobą, którą mogła wspomnieć panna Rasch, ani żadną rzeczą, którą mogła stwierdzić; i naturalnie miała słuszność, określając tamtą jako stworzenie bystre i dziwaczne. To była bezspornie prawda, a przecież zapewne – ponieważ było to wszystko, co umiała wymyślić – właśnie owo zdanie spowodowało, że jego zwykła galanteria doznała paraliżu. Nie wskutek tego, co zostało powiedziane wprost, lecz tego, co w świetle jego sekretnego, niszczycielskiego cynizmu wypowiedź ta

symbolizowała w sposób wręcz krzyczący.

Opuścił fotel w salonie w stylu Ludwika XV, nie dając damie porzuconej, by tak rzec, na placu boju, niczego oprócz wyjątkowej szansy, by się nie zdradzić z zawiedzioną nadzieją – to znaczy, by nie ponieść uszczerbku na „dumie”, która rzekomo w takich sytuacjach wspiera nawet najbardziej zadurzone kobiety; i z tejże szansy, oddając jej sprawiedliwość, dama owa wyraźnie w pełni skorzystała. Lecz z miejsca swego późniejszego spoczynku w końcu podniósł się, czując niemal triumf; szczęśliwym ruchem dłoni zdołał pochwycić najcenniejszą, najmniej niejasną z owych ulotnych, nieuchwytnych rzeczy, które ocierały się o jego uszy. To, czego pragnął – była to podstawa do pewnych dalszych rozważań – ujrzał przed nosem w chwili, gdy pojął, że pani Worthingham nie ma żadnych danych. Niemal przytulił do siebie to słowo – nagle tak wiele zaczęło dla niego znaczyć. Nie miała danych, tak czuł, by powziąć mniemanie, co Nowy Jork „z jego czasów” oznaczał w jego życiu osobistym – Nowy Jork niespodziewanie, ostro, można by rzec, przewrotnie, przywrócony jego zmysłom przez swoją tożsamość z miastem z czasów biednej Cornellii; albowiem nawet ona miała tu swój czas, choć dzisiaj wydawał się niepozorny, i czasy ich obojga były takie same. Cornelia bowiem, w chwili gdy odchodził, przedstawiała dlań, przez kontrast i przeciwieństwo, całkiem solidną porcyjkę danych. Na myśl o tym niecierpliwość, by się z nią zobaczyć, jeszcze się zaostrzyła; był bowiem pewien, że odkryje, iż jeśli jej dotknie, jeśli gdziekolwiek naciśnie delikatnie, lecz mocno – niczym miłośnik starych domów, który opukuje i głaszcze ścianę zniekształconą licznymi warstwami tapety, przekonany o istnieniu pod nią boazerii – wszędzie ujrzy jakąś niewielką wytłoczkę historii.

IV

Uznajmy więc za prawdziwy cud, że tymczasem zdążył, w pewnym sensie, zastosować ową szczęśliwą formułę – i ujawnił ją Cornellii Rasch po niespełna dziesięciu bądź dwudziestu minutach, rozsiadłszy się w dość wygodnym fotelu, który wskazała mu dwa dni później przy swoim płonącym kominku. Zjawił się pod jej adresem dzięki fortunnemu przypadkowi: wychodząc od pani Worthingham, zauważył jej wizytówkę, zostawioną dobrym, starym nowojorskim zwyczajem na rokokowym stolyczku w holu. Jego oko przykuł dopisek ołówkiem, który w następnej chwili wydał mu się umieszczony tam tylko ze względu na niego. To był zaiste łut szczęścia, gdyż doprawdy nie miałby ochoty prosić pani Worthingham o podpowiedź – t a k c z u ł, choć akurat teraz był zbyt niecierpliwy, by poddawać swoją niechęć analizie. Nie miał nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić o wskazówki, i już ta refleksja zdążyła mu uprzytomnić, jak dalece o wyjątkowości położenia jego i Cornellii – wspólnego im obojgu położenia świadomych, ironicznych, żalonych ocaleńców z martwego, pogrzebanego już społeczeństwa – świadczył fakt, że w całym mieście, w takiej potrzebie, nie znalazłby ani jednej osoby ze swego dawnego kręgu, która zdołałaby mu pomóc. Pomogła mu zdobyć tę wiedzę pani Worthingham, nawet jeśli zrobiła to

mimowolnie, co było, z jego punktu widzenia, ostatnim gwoździem do trumny drogiej, zagasłej przeszłości – oto dotarł do znajomej z dawnych czasów jedynie dzięki wstawiennictwu najnowszej nowości. Ton tej właśnie refleksji w istocie narzucał się tym bardziej, że przyczyna powrotu Corneli na scenę tak dalece oczyszczoną z uroku skojarzeń wcale nie była oczywista. A więc po co właściwie wróciła? – pytał się w duchu, dochodząc do wniosku, że zapewne po części dlatego, iż chciała się zatroszczyć o resztki majątku. Może przybyła, by ratować to, co zostało z jej okrojonych dochodów; może ci, którzy zajmowali się nimi w jej imieniu, oszukali ją i ograbili, więc pragnęła „dobrać się” do faktów. A może wręcz przeciwnie – była to pogodniejsza możliwość – jej inwestycje, przyzwoicie zarządzane, zaczęły przynosić większy zysk i można było nieco rozluźnić oszczędnościowy rygor Bognor.

O atrakcjach Europy niewiele nowego już mógł się dowiedzieć; spodziewał się raczej, że gdyby związał się z panią Worthingham, rozprawiałby o Paryżu i Rzymie, o Wenecji i Florencji ze swadą kogoś nawet bardziej „wiedzącego” niż ona. Żyłby dalej w s w o i m Nowym Jorku, to znaczy w jego sentymentalnej, duchowej, mniej lub bardziej romantycznej wizji – ale czy naprawdę był przekonany, że mógłby żyć w j e j mieście? – chyba że całe jego marzenie, w gruncie rzeczy, obracałoby się dokładnie wokół tej możliwości (jak słynny *vertige de l'abîme*, prowokowanie niebezpieczeństw lub wszystkiego, co okropne). Jakkolwiek było, obecnie jego ciekawość absorbowały raczej marzenia biednej Corneli; dało się bowiem pomyśleć, że nawet Nowy Jork pani Worthingham – to znaczy, gdyby znów stał się możliwy – miałby biednej wygnance do zaproponowania coś trochę innego niż tonację Bognor. Oprócz tego zaś z pewnym zdziwieniem, by nie rzec, z odczuwalną przyjemnością, zauważył, gdzie skupia się jego zainteresowanie w ferworze owej fantazji na temat sprzeczności tak wyczuwalnych, jak ta pomiędzy najświeższą, najnowszą, najkrzykliwszą władzą pieniądza a dawną rezerwą, powściągliwością i umiarem. Te ostatnie, prawem kontrastu, jawiły mu się niczym spłowiwały brąz wytartego, zniszczonego aksamitu, który, wyświechtany czy wręcz przybrudzony, wciąż przecież jest miękki, subtelny, a k s a m i t n y – a więc pełen godności; podczas gdy kanciaste fakty bieżących finansów wydawały się srogie, metaliczne i niesamowite jak piętrowa „ekspozycja” brzydkich patentowych wynalazków, przedmiotów, których jego średniowieczny umysł nie pozwalał mu pojąć do końca. Miał na przykład poczucie, że pamięta miłą fortunę Raschów – miłą o tyle, o ile; niewyraźne wspomnienia i wrażenia, czym była i nie była, jak rosła, jak marniała i topniała, wracały do niego z taką jaskrawością, że niemal umiał sobie wyobrazić, że świadczy na jej korzyść przed jakimś uprzejmym, krzepiącym Zarządem. Z drugiej strony, pomyśl, że miałby w jakiegokolwiek formie zabierać głos w sprawie zasobów pani Worthingham, byłby nim wstrząsnął niczym ohydna tortura, rażące obnażenie i upokorzenie w kręgu bezwzględnej, nieżyczliwej uwagi, wśród skupionych, wzgardliwych, bezpomocnych oczu.

W małym i wręcz cynicznie nowoczesnym mieszkanku Corneli – budynek nosił groteskową nazwę „Gainsborough”, lecz przynajmniej nie był to pensjonat, czego się obawiał, mogła więc, co tym lepiej, przyjąć go bez uszczerbku na honorze – byłby gotów z najwyższą swobodą zaraz zagadnąć ją po przyjacielsku: „Czy masz jeszcze stary

«rodzinny interes», te dwie kamienice przy Siódmej Alei? – obok tego, no wiesz, sklepiku na rogu? Na parterze był sklep z cukierkami, gdzie proporcja podejrzanie stęchłego popkornu do innych, rzadziej spotykanych i lepkich łakoci świadczyła o ograniczonych środkach najemcy lokalu, który należał do twojego ojca, dziadka czy jeszcze kogoś, i z którego, pamiętam to jednak, wyszedłem kiedyś jak ze słodkiej kąpieli, z posklejanym ubraniem i włosami! Trochę dalej, przed bliźniaczym sklepem tytoniowym, stał wspaniały ogromny Indianin, który podtykał nieczułemu światu drewniane cygara (w sklepie z popkornem też sprzedawali cygara, z cukru, które wolałem od drewnianych); dobrze pamiętam, jak zafascynowany gapilem się na Indianina, zastanawiając się, czy tak wyglądał ostatni Mohikanin; to znaczy, oprócz tego, że bardzo podziwiałem przedsiębiorczość rodziny, której «majątek» przybierał takie formy. Ostatnio tam nie chodzę – musimy wybrać się razem; tylko mi nie mów, że te formy przepadły bez śladu!”. W taki właśnie sposób, właściwie bez wstępów, mógłby z łatwością przemówić do Corneli – zupełnie jakby podejmował dawną rozmowę, jakąś wspólną plotkę, w miejscu, gdzie ją przerwali; nawet mając świadomość, że trochę przesadza, że w imię obecnej harmonii, odtworzenia, odzyskania (jak miał to nazwać?), wręcz przesadnie podkreśla barwę i ilość tego, co przeszłość dała im obojgu.

Naturalnie, nie pobiegł zaraz na Siódmą Aleję, mieli do omówienia zbyt wiele dawnych spraw, i znacznie bliższych, i znacznie późniejszych; rzecz jedynie w tym, że w każdej kwestii, o której rozmawiali, kiedy już naprawdę wygodnie się rozsiadł i rozprostował nogi, kiedy, przede wszystkim, pozwoliła mu zapalić pierwszego z wielu papierosów – w każdej kwestii wręcz hołubił pewną przesadę i pompę, jakby piętrząc chrust na ołtarzu pamięci; tak że po półgodzinie ona również, nader mężnie, przystąpiła do gry. Gry, w której chodziło o to, by wciąż podsycać piękny migotliwy płomień – rudy, zielony, złoty, niebieski, różowy, bursztynowy, srebrny – wszystkim, czego zdołali się doszukać, wszystkim, co mogło iskrzyć się i palić. Sytuacja, w istocie, wydawała się gęsto usiana takimi mgnieniami, choć w gruncie rzeczy, po starannym przejrzeniu, pewne okazałyby się, że w owym „innym życiu” nie spotykali się zbyt często. Owszem, było dość dużo przygodnych kontaktów i doniosłych spotkań, ale żadnych szczególnych „przeżyć”, nic, co w jego mniemaniu liczyłoby się jako „ich własne”, czyli poza tym zupełnie niczyje. Jednak te drobiazgowo odcienie historii nic nie znaczyły; to, co było, zarówno w mniejszym, jak i większym stopniu, doskonale współgrało – po prostu dlatego, że on tu był, a ona się z tego cieszyła – z ich obecną potrzebą, by sądzić, że m i e l i to wszystko, co dzięki ich staraniom wydawało się, że dała im przeszłość. Do takiej melodii tańczyli, jakby świadomie troszeczkę udając: on dawał przykład i narzucał tempo, ona zaś, biedactwo – po nieuchronnym wstępnym ataku nieśmiałości, niepewnego zdumienia, zdyszanej odwagi – dostosowała się do jego kroku i podążała za nim, dokąd zechciał.

Pokazała, że jest na to gotowa, z radością chwytając, o co może mu chodzić; a jeśli nie pograżyła się całkiem i natychmiast – ani w ciągu pierwszej półgodziny, ani trzech lub czterech kolejnych, z których, nawet spoglądając na zegarek, wciąż ledwie zdawał sobie sprawę – to przecież pojęła, co należy, w tej samej chwili, gdy pojęła, że gdyby nie tak piękna i właściwa powściągliwość, mógłby jej przekazać to, owo lub jeszcze coś

innego, nieskładnego i łatwego, stosując dość ułomny instrument głosu i wymowy. „Nie, nigdy się do ciebie nie zalecałem; doprawdy, byłoby to niedorzeczne, nie obchodzi mnie również – choć niemal wiem, w tym sensie, że niemal pamiętam! – kto się do ciebie umizgał, a kto nie; ale zawsze byłeś w okolicy, ja również; i choć zapewne mało dbasz o to, o kogo ja się starałem, śmiem twierdzić, że dobrze sobie przypominasz (w takim sensie, że o tym wiedziałaś!) wszelkie wiele mówiące okoliczności. Jednak po takim czasie nie możemy odmówić sobie pomocy w odzyskaniu – no, wszystkiego, co było, gdyż tego już więcej nie ma i nie istnieje sposób, aby dotrzeć tam inaczej niż w ł a ś n i e t a k; dlatego więc wspólnie stwórzmy, przetwórzmy i odtwórzmy nasz zaginiony świat; do czego mamy w końcu, w najgorszym razie, całe mnóstwo materiału. Byłaś w szczególności przyjaciółką mojej drogiej, biednej siostry – uważali, że jesteś przezabawną, burą istotką; czy to znów nie wychodzi na dobre? Byłaś moja tylko w tej mierze, że często do nas wpadałaś – bo tak często, skoro o tym mowa, wpadało się wtedy, na południe od Trzydziestej Ulicy i na północ od placu Waszyngtona, w owych czasach, w owych wypełnionych przestrzeniach, towarzyskich, arkadyjskich czasach, gdy, pochlebając sobie, sądziliśmy, iż wypełniamy je nowoczesną gorączką, czasach, które tak bardzo jednak były inne od tych ustaleń udawanego Czasu, które co godzinę w nieskończoność rozbijają się w proch, jakby spadały z pięćdziesiątego piętra drapacza chmur”.

Takiego typu rzeczy wisiały w powietrzu, nieważne, czy o nich mówił, czy nie, i mogły tam wisieć wśród zupełnie innych rzeczy, które pojawiały się bardziej prostacko; pojawiały się, chociaż, być może, z wyrachowaniem chciano nas przekonać, że one przede wszystkim powinny pozostać niewyrażone i skryte. Były wkładem Cornellii i kiedy tylko zaczęła mówić o pani Worthingham – nie o n zaczął! – dzielnie zajęły miejsce w środku kręgu. Tam utworzyły na pewien czas znaczącą niewielką figurę, otoczoną pierścieniem pięćdziesięciu innych aluzji, kapryśnych, lecz istotnie silniejszych zakłóceń, które wahały się i błąkały, przychodziły i odchodziły, chwilami biorąc się za rękę i wirując w zespole, by zaraz potem dźgnąć stłoczone centrum swobodnym drgnięciem, pchnięciem, szarpnięciem bądź innym bezceremonialnym ruchem, trochę na wzór wesołych, nieregularnych kroków wiejskiego tańca lub świątecznego korowodu.

– Jesteś taki zakochany, tak bardzo pragniesz się z nią ożenić! – oznajmiła, nader sentymentalnie i tęsknie, biedna krepowa Cornelia, jakby było rzeczą oczywistą, że wszystko wie o sprawie. Po czym, gdy jednak zapytał, skąd to przekonanie, dlaczego mówi takim wszechwiedzącym tonem – pełen zdumienia, że akurat w tej godzinie wydaje się znacznie bardziej „wtajemniczona”, niż on sam by się określił, odrzekła: – Ach, ależ od prześlicznej damy osobiście! Chyba nie przypuszczasz, że ona o tym nie wie?

– Ach tak, wie? Wie na pewno? – ledwie usłyszał, jak zadaje to pytanie; miał przedziwne poczucie, że gwałtownie pragnie pewności, ale że jednocześnie słyszy swój głos, widzi siebie, wymawiającego te słowa jakby przez kilka grubych warstw nieprzenikalnej materii. Wracał tam z wielkiej odległości, tak jak musiałby wrócić (to znowu stało się dla niego jasne), gdyby ponownie chciał spełnić zamiar, który dojrzał

w nim trzy dni temu – to znaczy, gdy teraz obecna, lecz wtedy nieobecna przyjaciółka zostawiła go w tym celu z osobą teraz nieobecną, lecz obecną wówczas. – Chcesz powiedzieć, że ona, co za pewność!, tego się spodziewa? – ciągnął dalej, nie bardzo przejęty faktem, że musiało to zabrzmieć głupio, zyskując na czasie dzięki jej westchnieniu, przesyconemu tym, co niewyraźne, stłumionemu okrzykowi zdziwienia, jaki wyrwał się z jej ust w odzwie na jego wątpliwości. Dostrzegł, że towarzyszka na niego patrzy, lecz spojrzeniem jakby sprzed trzydziestu lat, kiedy – to bardzo możliwe! – zadał jej takie samo pytanie o dziewczynę, która już dawno umarła. Czy najpierw słabo, potem zaś wyraźniej nie wezbrało w nim nagłe uczucie, przemożne, właśnie dlatego, że osobliwe, iż coś podobnego już się między nimi zdarzyło – tak, wtedy chodziło o Mary Cardew! – jesienią sześćdziesiątego ósmego roku?

– Jak to, nie zdajesz sobie sprawy ze swej sytuacji?

Uderzyło go, że panna Rasch wręcz przepięknie lamentuje, co sprawiało, przede wszystkim, że, ze swej strony, wydawała się głęboko zainteresowana, to znaczy także i jego osobą. – Mojej sytuacji? – powtórzył; zastanowił się; po czym, dzięki brzmiącej w tym nucie oderwania, odległej projekcji, po raz kolejny przypomniał sobie, jaki był stan jego świadomości, tuż zanim dentysta kiedyś podał mu eter.

– Twojej i jej; sytuacji, w której ona cię uwielbia. Przypuszczam, że przynajmniej o tym wiesz – uśmiechnęła się Cornelia.

Tak, było tak jak wtedy, a jednak nie było. Ona – biedna Cornelia – była taka jak wszystko, co wtedy było; to w pewien sposób było dla niego najbardziej konkretne. Niemniej zdołał odpowiedzieć: – To, że ona mnie uwielbia, nazywasz m o j ą sytuacją?

– No, to z pewnością część twojej sytuacji, jeśli się w niej kochasz.

– Ja? Śmieszna stara osoba? czy się w niej Kocham? – wykrzyknął White-Mason.

– Może jestem śmieszna starą osobą – odcięła się Cornelia – właściwie, na pewno nią jestem! Ale ona jest młoda, śliczna, bogata i mądra; cóż byłoby bardziej naturalne?

– Ależ ten obelżywy epitet dotyczył... – Nie dokończył, choć chciał powiedzieć, że odniósł go do siebie. Wstał z fotela, obrócił się i dostrzegając w pokoju, gdy powiódł po nim wzrokiem, kilka przedmiotów, spokojnych, solidnych, ani trochę tandetnych, niewielkich nowojorskich przedmiotów z sześćdziesiątego ósmego roku, użył całego duchowego kunsztu, aby je rozpoznać – to znaczy, użył dla siebie; z chwilowym uczuciem, że prosi je, błaga, żeby i one rozpoznały j e g o , żeby stały się przedmiotami z jego własnej przeszłości. Którymi naprawdę były, jak niemal wykrzyknął za moment; gdyby bowiem trzy albo cztery małe, ziemiste zdjęcia do kart wizytowych, skrzętnie opracowane, lecz upiornie wyblakłe, nie przemawiały – w każdym szczególnie krynolin i wzdętych spódnic, fałszywych balustrad na tarasach niesłychanych „majątków” i tym podobnych szczegółów – tonem epoki, nie posiadały sekretu odpiernienia i łagodzenia nieustannej groźby bolesnego grymasu, przywdziewanego w obronie własnej, to doprawdy, nie byłoby innego wyjścia, jak tylko zastygnąć w owym grymasie lub całkiem serio rozważyć kwestię niebieskich okularów na resztę życia, jaka mu jeszcze ewentualnie została.

Tym, co *de facto* zabrał z małego stolika przy Dwunastej Ulicy z jego nabożnie zachowanym kręgiem zwykłego mahoniowego blatu, bez cienia zawijasa, ornamentu czy krzykliwej ozdoby – tym, co przyciągnęło go na chwilę, gdy stał tyłem do krepowej Cornellii, która siedziała, patrząc nań z tej perspektywy wyłupiaście, szczerze i czule, była jedna ze wspomnianych zniszczonych pamiątek, której widok wywołał natychmiast stłumiony, lekki okrzyk zrozumienia. Jeszcze przez moment wpatrywał się w nią, a gdy się odwrócił, wciąż trzymał ją w ręce, nieznacznie skrytą za plecami. – Na pewno wróciłaś na stałe... masz te wszystkie piękne rzeczy. Cóż innego mogłoby to znaczyć?

– Piękne? – zdziwiła się dawna przyjaciółka, marszcząc czoło i odymając usta z wyraźną dezaprobatą. Trudno powiedzieć, aby były dużo ładniejsze niż ona sama. – Och, proszę, nie mów tak, po tym, co jest u pani Worthingham! Tam to dopiero jest pięknie, sam przyznasz; takie rzeczy, takie rzeczy! Ale własne ubogie resztki i drobiazgi są przynajmniej własne; no i wraca się do nich. Oprócz nich nie mam do czego wracać. Dałam je na przechowanie, a ile za to zapłaciłam... – dodała żałośnie panna Rasch.

Objął w posiadanie małe stare zdjęcie; wracał do niego; intensywnie się w nie wpatrywał, to znów chował za siebie, jakby ktoś chciał mu je wyrwać lub jakby samo jego dotknięcie, ściśnięcie sprawiało przyjemność jego dłoni. – Rzeczy pani Worthingham? Uważasz je za piękne?

Dopiero teraz Cornelia zrobiła dziwną minę. – Ależ oczywiście, tak czy inaczej nadzwyczajne, chyba każdy temu przytaknie?

– Niewątpliwie, doszło już do tego, że każdy przytaknie każdej okropności. Właśnie to mam za złe.

– Z a z ł e? – zawołała przeciągle, jakby zaskoczona; nigdy nie przyszłoby jej to do głowy.

– Dla mnie jej rzeczy są straszne. Najnowsze z najnowszych.

– Ach, ale ten stary styl!

– To mnie razi najbardziej. To znaczy, te bezwstydnne podróbki.

– No, ale – zaapelowała – nie wszyscy możemy być n a p r a w d ę starzy.

– Nie, nie możemy. Ale ty, Cornelio, t y możesz! – oznajmił White-Mason z najszczerzym uznaniem.

Uniosła głowę i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakim przypuszczalnie patrzyła na wikariusza w Bognor.

– No, dziękuję ci bardzo! Skoro tylko tego chcesz...

– Tak – przyznał – tylko tego. Albo prawie.

– A więc nic dziwnego, że taka osoba nie jest dla ciebie odpowiednia! – rzekła lekko moralizatorskim tonem.

Mimo że pytanie, które chciał zadać, było wielkiej wagi, spojrzał na nią, jak umiał najłagodniej: – Naprawdę uważasz, że ona nie jest odpowiednia?

– A cóż ja mogę ci powiedzieć na ten temat? Sam do tej pory tego nie wiesz?

– Nie, ale chyba się dowiaduję. – Z tymi słowami znów zaczął krążyć po pokoju.

Panna Rasch zamyśliła się.

– To znaczy, że nie spodziewasz się dojść z nią do porozumienia? – Po czym widząc, że nie odpowiada nawet na wyzwanie tak bezpośrednie, dodała: – To znaczy, rezygnujesz?

Odczekał kilka chwil, jednak nie patrzył jej w oczy, tylko wciąż rozglądał się po pokoju. – A ty, jak sądzisz, jakie mam szanse?

– Och! – wykrzyknęła jego towarzyszka. – A co to ma do rzeczy, co ja sędzę? Na pewno się jej podobasz, jak mogę sądzić cokolwiek innego?

– Tak, oczywiście. Ale jak bardzo?

– Więc naprawdę tego nie wiesz? – zapytała Cornelia.

Dziwnie pobudzony, nie przestawał krążyć i wciąż unikał jej wzroku. – A ty, moja droga?

Odczekała chwilę. – Jeśli rzeczywiście nic jej nie proponowałeś, to nie przypuszczam, żeby wiedziała.

Na te słowa w końcu się zatrzymał. – Droga Cornelio, ona nie wie...

Urwał, jakby z nutą rozpacz, a przynajmniej silnego wzburzenia, podjęła więc: – Tym większy powód, by pomóc jej się dowiedzieć.

– Chodzi mi o to – wyjaśnił – że ona w ogóle nic nie wie.

– Nic?

– Nic poza tym... to znaczy, jeśli wie chociaż t o .

Cornelia zastanowiła się. – Ale co więcej – konkretnie – miałyby wiedzieć? Czy t o nie jest rzecz najważniejsza?

– No – znów zaczął krążyć – ona nie wie nic z tego, co my wiemy. Nic – powtórzył z naciskiem – kompletnie nic!

– No, a nie poradzi sobie bez tego?

– Ależ poradzi sobie, jak najbardziej, najwyraźniej sobie radzi, i to świetnie! Pytanie, czy j a sobie poradzę.

Na tej kwestii jeszcze raz urwał, lecz ona, biedna Cornelia, tylko wpatrywała się w niego ze zdumieniem. – Ale przecież, skoro ty sam wiesz...

– Ach, wiem, że sam wiem, ale to mi nie wystarcza! Chciałoby się, żeby kobieta wiedziała d l a mnie – perorował, przechadzając się bez śladu zwykłego grymasu – żeby wiedziała z e mną. Tak jak ty teraz – wyznał otwarcie.

Znów osłupiała. – Chcesz powiedzieć, że chciałbyś ożenić się z e m n ą?

Jednak to, co chciał z siebie wyrzucić, przepęłniało go do tego stopnia, że w ogóle nie zauważył jej reakcji. – Na przykład nie ma najmniejszego pojęcia o moim wieku.

– To dlatego, że jesteś taki młody!

– No, dobre sobie! – zachnął się ponownie, jakby ogarnięty niesmakiem. To ją wyraźnie speszyło, choć Cornelia, nawet speszona, wciąż była nader czujna; jednak po kolejnym okrążeniu przyszedł jej z pomocą: – Pamiętaj, proszę, że mam prawie tyle samo lat, co ty.

Z pewnością zachowała całą czujność, gdyż wzdrygnęła się i burknęła:

– Jesteś dokładnie o rok i dziesięć miesięcy starszy ode mnie.

Aż przystanął z zachwytem: – Pamiętaj o moich urodzinach!

Pojaśniała niczym dalekie światło domu.

– Pamiętam o wszystkich urodzinach. Od dawna mam taki zwyczaj, nigdy go nie zarzuciłam.

Patrzył na nią przez cały pokój jak na jakieś zaskakujące, urzekające zjawisko. – Otóż to, właśnie czegoś takiego bym chciał! – Wymowny, szczery wyraz jego oczu był potwierdzeniem tych słów.

Cóż zatem, zdawała się pytać, mogła zrobić innego, jak powtórzyć zadane przed chwilą pytanie, na co, w rzeczy samej, zaraz się zdecydowała:

– Chcesz się ożenić z e m n ą?

Tym razem odniosło ono większy sukces – jeśli w ogóle przyznamy, że to określenie jest w jakimkolwiek stopniu stosowne. Całą szczerą, a w każdym razie sporą jej część, zawarł w powolnym, łagodnym, życzliwym, zamyślonym potrząśnięciu głową. – Nie, Cornelio, nie chcę się z tobą o ż e n i ć .

To rozróżnienie było wręcz zdumiewające; ponieważ jednak najwyraźniej zaczęła go już traktować tak, jakby zdumiewało ją wszystko w jego osobie, mogła mu sprostać równie subtelnie:

– Przynajmniej – uśmiechnęła się nerwowo – dopóki nie spróbujesz postąpić honorowo z panią Worthingham. Naprawdę nie masz zamiaru? – nalegała dzielnie.

Znowu zaczekał; po czym oznajmił: – Niebawem ci powiem. – I jakby pod wpływem kolejnego rzutu oka na pokój, wrócił do tego, co wydawało się najbliższe. – Ten stół stał kiedyś na Dwunastej Ulicy?

– Wszystko tutaj jest stamtąd.

– Och, co za ulga! Z tobą, ach, z tobą nie muszę nosić niebieskich okularów. – Ponownie zerknął na małą fotografię, którą przez cały ten czas ścisnął w dłoni. – Czy nie rozmawialiśmy wtedy o Mary Cardew?

– Cóż to, pamiętasz? – zdumiała się aż do przesady.

– Ty to sprawiłaś. Ty mnie z tym łączysz. Ty łączysz to z e m n ą. – Pragnął jej okazać, jak cudownie okazała się przydatna, jaką przysługę mu wyświadczyła. – Jest tyle związków, a będzie jeszcze więcej. Mam uczucie, że dzięki tobie znów dla mnie ożyją; właściwie już teraz wydobywasz je z niebytu, kiedy na ciebie patrzę, tak szybko, jak to możliwe. Sam fakt, że znałaś ich wszystkich... – dodał; a przecież w tym również było coś więcej, o czym jeszcze nie umiał myśleć bez obawy.

– Tak, znałam wszystkich – oznajmiła Cornelia Rasch, tym razem z całkowitą prostotą. – Podejrzewam, że wiem o nich więcej, niż ty kiedykolwiek wiedziałeś.

To go urzekło; z zachwyty nie mógł oderwać od niej oczu.

– O nich – o n a s z y c h ?

– O naszych. Teraz są już wyłącznie nasi.

Ach, jakież to było ciekawe – przyjąć od niej wszystko, co te słowa mogły oznaczać! Tak był w tej chwili daleki od grymasu, że z wrażenia niemal otworzył usta. – Istotnie, są nasi, i bardzo dobrze, że tak jest; i to, że my jesteśmy tu dla nich! Nie został już nikt, nawet kot; tylko ty!

– Ale ja j e s t e m kotem! – uśmiechnęła się szeroko Cornelia.

– To znaczy, możesz mi opowiedzieć różne rzeczy?... – To było tak piękne, że wręcz nie do wiary.

– O tym, co naprawdę było? – zawahała się chytrze, całkowicie przykuwając jego uwagę. – Cóż, jeśli z czasem do ciebie nie wrócili, jeżeli się nie dowiedziałeś, nie domyśliłeś...

– Och – zawołał uspokajająco, uspokajająco najwyraźniej dla siebie samego – nic do mnie z czasem nie wróciło, wszystko ode mnie odeszło. Jak mam się teraz dowiedzieć! Jaka istota ma jakiegokolwiek wyobrażenie?...

Uniosła w górę ręce, wzruszając ramionami jak za dawnych czasów – lekkim, raptownym ruchem, który zwykły przedrzeźniać jego siostry i po który nie musiała jeździć do Europy. Tyle tylko, że teraz błogosławił ją za to, że przywiozła go z powrotem. – Ach, wyobrażenia dzisiejszych ludzi!...

– Tak, ich wyobrażenia z pewnością nie są o nas. – Smutno stawił temu czoło. – Niemniej musimy z nimi żyć.

– Z ich wyobrażeniami?... – zapytała Cornelia.

– Z nimi, z tymi cudami nowoczesności, jakiegokolwiek są! – Po czym dodał: – Musiałeś wrócić, żeby mi pomóc.

Nic na to nie powiedziała, tylko skinęła głową ku fotografii. – Co się stało z twoim? To znaczy, z twoim egzemplarzem jej zdjęcia?

Tym razem pobladł. – Pamiętasz, że miałem jej zdjęcie?

Nie odrywając od niego wzroku, rzekła: – W kapelusiku z rondem i włosami zwiniętymi w siatkę. To było wtedy takie modne, zwłaszcza z podpiętą w girlandy spódnicą na sztywnej halce w kolorze fuksji i ze sznurem wielkich koralów z onyksu na aksamitnej szamerowanej pelerynce, szamerunek był bardzo szeroki i bardzo prosty, no, wiesz?

Uśmiechnął się, słysząc, jak nadzwyczajnie pamiętała te rzeczy – tak dokładnie, jakby miała je przed oczami. – Och, pewnie, że „no, wiem”. Byłaś w brązowym aksamicie, a na tych nadzwyczajnie małych rączkach miałaś śmieszne rękawiczki, takie jak u mnie.

– Och, jednak pamiętasz? Ale: jak to, u ciebie?

– Chcę powiedzieć, takie jak na moim zdjęciu Mary. – Tu wrócił do wizerunku, który trzymał w dłoni: – To jednak jest lepsze, naprawdę widać jej śliczną główkę.

– Główna Mary była cudowna! – przyznała Cornelia.

– Owszem, lepsza niż jej serce.

– Ach, nie mów tak! – zawołała. – Postąpiłeś nie fair.

– Uważasz, że byłem wobec niej nie fair? – To go ogromnie zainteresowało, tym bardziej że istotnie wówczas mógł być nie fair; właściwie teraz miał niemal taką nadzieję.

– Ona sądziła tak do samego końca.

– Tak sądziła? – Ach, jakież stosowne rzeczy mówiła mu Cornelia! Lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, znowu wpatrzył się z bliska w małą wyblakłą twarzyczkę na zdjęciu. – No tak, tak, ona tak sądzi. Och, te przepiękne, smutne oczy, jak one p r z e m a w i a j ą , po tylu latach, wprost do serca! No, nie wiem, nie wiem! – westchnął White-Mason z pewnym zadowoleniem.

Jego towarzyszka wyraźnie doceniła efekt. – W taki właśnie sposób flirtowałeś z biedną dziewczyną. Może chciałbyś je zatrzymać? – zaproponowała.

– To zdjęcie? na zawsze? – Podniósł wzrok, zachwycony. – Naprawdę mógłbym?

– Owszem, jeśli dasz mi swoje. Zamienimy się.

– To uroczy pomysł. Zamienimy się. Ale musisz przyjść i wziąć je ode mnie z domu, gdzie zobaczysz inne moje rzeczy.

Przez jakiś czas milczała, jakby targana emocją. Wreszcie powiedziała:

– Przed chwilą pytałeś mnie, dlaczego wróciłam.

Spojrzał na nią, jakby szukając związku. – Chyba nie dlatego?... – zapytał w końcu z uśmiechem.

Po krótkiej chwili odparła, rzucając mu dziwne spojrzenie: – Teraz już mogę robić takie rzeczy; więc tak!, w pewnym sensie również dlatego. Ale wróciłam – rzekła – bo pewnego dnia nagle zdałam sobie sprawę jak nigdy przedtem, że jestem stara.

– Rozumiem. Rozumiem. – Świetnie rozumiał; dosłuchał się u niej takich tonów. – I jak ci się spodobało?

Zawahała się... i podjęła decyzję: – Cóż, jeśli mi się spodobało, to na tej samej zasadzie, na jakiej niektórzy lubią grać o wysoką stawkę!

– O wysoką stawkę? A to dobre! – zaśmiał się. – Ach, moja droga, oboje gramy wysoko!

– Nie, ty jeszcze nie – potrząsnęła głową. – Ja, w każdym razie, nie chciałam już żadnych przygód.

Z przekonaniem pokazał jej ich małą relikwię. – Chciałaś n a s , i oto jesteśmy. Och, jak możemy rozmawiać! przy tym wszystkim, co ty wiesz! Jesteś prawdziwym odkryciem. I zobaczysz, że ja także wiem różne rzeczy. Będę tu przychodził, coś, codziennie.

Wysłuchiwała go, lecz odpowiedziała dopiero po chwili: – Obiecałeś, że coś mi powiesz. Czy nie zamierzasz spróbować?...

– Z panią Worthingham? – Wyjął z surduta portfel, starannie umieścił w nim zdjęcie Mary Cardew, niespiesznie go złożył i schował do kieszeni. Następnie odparł: – Nie; już postanowiłem. Nie mogę... nie chcę.

Cornelia zdumiała się, a przynajmniej tak to wyglądało. – Mimo wszystkiego, co ona ma?

– Tak... wiem, co ona ma. Lecz wiem także, czego nie ma. A ona, jak ci mówiłem, tego nie wie, nie ma najbledszego pojęcia i nigdy mieć nie będzie.

– Nie – zamyśliła się Cornelia wielkodusznie – ale wie inne rzeczy.

Pokręcił głową, jakby widząc w duchu ów złowieszczy stos. – Zbyt wiele... zbyt wiele. I rzeczywiście innych, całkiem innych. Wiesz – ciągnął – że to przez ciebie? Że zjawiłaś się jakby dla mnie, żeby mi to uświadomić?

– Dla ciebie – zastanowiła się szczerze. – Ale skoro nie możesz się ze mną ożenić, to co ty ze mną zrobisz?

Cóż, i na to pytanie najwyraźniej znał już odpowiedź. – Wszystko. Mogę z tobą żyć... właśnie w ten sposób. – Z tymi słowy opadł na drugi fotel przy kominku i wyciągnął nogi, patrząc w ogień. – Nie mogę z ciebie zrezygnować. To bardzo ciekawe uczucie. Naszło mnie tak samo jak ciebie, kiedy wyrzekłaś się Bognor. Tak jest, w końcu to zrozumiałem i widzę, że można to polubić. Gram wysoko. Nie musisz zaprzeczać. Taki

mam gust. Jestem stary. – I mimo silnego żaru jej małego domowego ołtarza powiedział
to bez grymasu.

1909

On, Mark Monteith, na miasto wyszedł tylko raz, następnego dnia po przyjeździe – ze statku zszedł poprzedniej nocy – po czym, jak by to określił, wszystko zważyło się na niego naraz, wszystko się zmieniło. Przyplłynął we wtorek; przeważającą część środy spędził *downtown*, wnikając w nieszczęsny powód swego niepokoju – niepokoju, który przygnał go, za sprawą nagłej decyzji, przez nieprzyjazne morze w środku zimy – i właśnie informacja, którą uzyskał w środę wieczorem, stała się miarą jego straty oraz, nade wszystko, bólu. Czuł, że są to dwie różne rzeczy, obie złe, niemniej jedna znacznie gorsza od drugiej. Chociaż właściwie dopiero u schyłku trzeciego dnia naprawdę zrozumiał, jak bardzo został zraniony. W czwartek rano obudził się, o ile w ogóle spał, ze świadomością oślepiającej nowojorskiej zamieci i jednocześnie głębokiej wewnętrznej udręki. Na dworze szalała wielka wściekła burza śnieżna i nie wyszedłby nawet przy najlepszym samopoczuciu – ale jego zbolwały stan sam w sobie stanowił po temu dostateczny powód.

W istocie, tak bardzo dotknął go ten cios, tak bardzo odebrała mu dech brzydota, gorycz i, ponad wszystko, ponura dziwność tego, co go spotkało, że w miarę jak przedmiot jego trwogi stopniowo odłączał się i wyodrębniał, sadowiąc się tuż przed nim jako coś, z czym musiał żyć już zawsze, on sam zyskiwał wrażenie, że odpowiada za jakąś rzecz ohydną i obcą, za dziką, wystraszoną, nieszczęśliwą istotę; obcowanie z nią, prawdę mówiąc, nie daje zbyt wiele radości, lecz jej zachowanie zapewne nie stanie się źródłem podejrzeń ani kompromitacji tak długo, jak będzie jej pilnował. Młodziutka roztrajkotana małpa z rodzaju bardziej okazałych czy też złowieszcza latorośl pantery przemycona do krzykliwego hotelu, której istnienia w żadnym razie nie mógł rozgłaszać – żadna z tych istot, tak czuł, nie wymagałaby bardziej troskliwego nadzoru. Ów wielki krzykliwy hotel – „Pocahontas”, urządzonej wszakże głównie w stylu „du Barry” – obok, z tyłu, niżej, wyżej, w oficynach, poziomach i nadbudówkach, piętrzył wokół niego swój defensywny ogrom; tkwiąc między tym potężnym labiryntem a nowojorską pogodą, nie czułby się bardziej osobny nawet w czasie sztormu, zamknięty w latarni morskiej. I nawet kiedy w ów najgorszy z możliwych czwartków z niejasną ulgą uświadomił sobie, że jego nieszczęście nie jest skutkiem wyłącznie ohydnych potwierdzonych faktów i że gardło, prawdopodobnie gorączka i muśnięcie epidemii – która zawsze go muskała – też coś tłumaczy, nawet wówczas nie godził się na łóżko, bulion i półmrok, lecz tym uparciej chodził, krążył po swej wysokiej klatce i tym uparciej ze swego dziesiątego piętra obserwował furie żywiołu.

Po południu przyjął doktora – w karawanseraju, który dostarczał wszystkiego w dużych ilościach, na pewną liczbę pokoiów przypadał jeden lekarz – tylko po to, by

się upewnić, że jest straszliwie *grippé*. Ale gość, niewiele sobie robiąc z jego „ataku”, oznajmił mu dość przewrotnie, że raczej jest trochę *blue* – co bynajmniej nie wychodziło na to samo – i to z powodów, które zapewne zna; niemniej „dał mu coś”, zalecił ciepło, spokój, bulion i odwagę, i wrócił następnego dnia, by ponownie zaaplikować dozę tej ostatniej. Po czym orzekł, że mu się poprawiło, a w sobotę uznał, że jest zdrowy – tym bardziej że burza ustała, a ze śniegiem się uporano, jak to w Nowym Jorku, który przyparty do muru, umie uporać się ze wszystkim. O tak, Nowy Jork wiedział, jak się porać – porać się z innymi złogami, pasywami leżącymi w zasięgu ręki – i teraz Mark cały aż zwijał się z bólu na skutek takiego właśnie przeżycia; toteż, szamocąc się ze swoją psychiką, w sobotę niemal wypaplał, co mu dolega. Doktor jakby wniósł ze sobą nastrój hotelu, który ten poczciwy człowiek chciał upowszechniać, pogodnie i sumiennie, za pomocą swej prostej filozofii: tchnąc echem wszystkich innych zmartwień i boleści, przekazywał szczery morał, że zwłaszcza przy tej temperaturze na każdego przypada ich aż nadto. Nasz chory tymczasem chętnie by już komuś się zwierzył; w pierwszym, naturalnym odruchu wysączył, do ostatniej jadowitej kropli, cały swój żal, wchłonął go, jak tylko umiał, samodzielnie, w warunkach, które sprzyjały przynajmniej temu; teraz jednak uznał, że chyba m u s i poczuć się lepiej, i chciał choć częściowo zrzucić ciężar z serca.

Jeszcze w czwartek wieczorem wygrzebał kilka starych fotografii, wetkniętych w skórzany futerał z małą witrynką – część zwykłego podróżnego ekwipunku, którą stawiał na stole, kiedy przebywał gdzieś dostatecznie długo; z jednej z połączanych kwadratowych ramek tej wygodnej, przenośnej kolekcji, równie znajomej jak lusterko do golenia czy szczotki do włosów o pięknie już zmatowiały i wytartych grzbietach, które matka dała mu przed laty, spojrzał mu w twarz przystojny Phil Bloodgood. Niewspółczesny, trochę wyblakły, lecz przez to jeszcze straszniej wymowny wizerunek zdawał się tkwić w swoim odwiecznym okienku niczym od dawna skuteczna, lecz dopiero teraz ujawniona „przynęta” losu. Taki cudownie przystojny, taki uroczy, kochany i szczery – oprócz tego, że był dalekim kuzynem czy czymś w tym rodzaju, a potem kolegą ze szkoły i jednej grupy w college’u – że właśnie d l a t e g o człowiek tak beznadziejnie mu ufał. Żyć w ten sposób z tą nieskreśloną, niezniszczoną, ujmującą, zdradziecką twarzą, to znaczyło – tego życzył sobie nasz podróżny – przeżyć cały skurcz męki naraz; przełknąć ból jednym palącym, żrącym haustem, aby w miarę możliwości pozbyć się go jak najszybciej, zostawiając tylko zimne fusy. Gdyby więc doktor, chcąc z grzeczności coś powiedzieć, zauważył to jakże istotne zdjęcie, gdyby okazało się, że wręcz go zna, tak jak, szeroko i przyjaźnie, znał go Nowy Jork – w pewnym stopniu na własną zgubę, czyż nie? – puchar by się przepełnił i Monteith, mimo swej wiary w coś wręcz przeciwnego, rozładowałby się ze łzami w oczach.

„Och, to on mi dolega – że opiekując się moimi biednymi dochodami, świadcząc tę usługę przez dziesięć lat mojej nieobecności, zwyczajnie wyzuł mnie z całej fortunki, choćby niewielkiej, a kiedy wreszcie postanowiłem wrócić, nieuchronnie niepewny i niespokojny, skorzystał z okazji i dziesięć dni temu «odpłynął» w nieznanie i, jak dotąd, nieodgadnione. Nie chodzi już o te zakichane walory; to tylko kłopot i jakoś go przeżyję, choćnie bardzo wiem, gdzie się obrócić; chodzi o paskudny fakt, że zrobił to

o n i że zrobił to m n i e – na żywo, by tak rzec, bez uprzedzenia i wyjaśnienia”. Tyle, zagadnięty lub poruszony, mógłby ujawnić – choć później zapewne czułby, że zmarnował odruch, a nawet trochę skalał uczciwość. Ostatecznie doktor nawet nie spojrzął na jego zbiór portretów – co uzmysłowiło naszemu przyjacielowi, o ile większa musi być panorama obrazów, jaką na ogół widywały oczy człowieka, który chodził od pokoju do pokoju, od jednego dziwnego przypadku do drugiego, w takim miejscu jak to. To nie on miał szukać ulgi – ze wzruszeniem, z uczuciem czy jeszcze inaczej – u tego człowieka; stosowniej byłoby, gdyby ów człowiek – wyjąwszy kwestie tajemnicy zawodowej – opróżnił przed nim swój worek cudowności: klejnotów obserwacji, kwiatów osobliwości, nieszczęścia i potworności, zebranych podczas długotrwałej praktyki hotelowej. Niezliczone możliwości, sprzyjające, zdaniem Marka, zdawkowości lekarzy, gromadziły się i kipiały pod ich drzwiami; był to dowód, że świat jest nieobliczalny, toteż wreszcie w niedzielę postanowił opuścić swój pokój.

II

Szedł przez hotel, gdzie wszystko trwało nadal – wszelkie życiowe usługi, cała rynkowa krzątania, nie mniejsza, o dziwo, od zgiełku przedszkola czy boiska; a zwłaszcza trwał wielki bezład ogromnego stadnego tygla; była to kompletna społeczna scena, na której występowały postacie, szalały namiętności, gęstniały intrygi, rozwijały się dramaty bez związku z jakąkolwiek inną sferą, a może i bez związku z czymkolwiek. Napotykał tego oznaki za każdym zakretem zawiłej drogi przez labirynt, przechodząc od jednej zadziwiającej maskarady kosztownych przedmiotów do drugiej, od jednej pompatycznej „epoki” zdobniczej bądź gwałtownej reklamy w napastliwej fazie do innej; duszne gorąco, przepych, ekstrawagancja, nadmiar składały się na wrażenie bujnej dżungli tropikalnej, gdzie krzykliwe, bystrookie, upierzone istoty najrozmaitszych rozmiarów i barw trzepotały się na pół zdławione wśród poszycia aksamitów i obić, gęstwy marmurów i brązów. I fauna, i flora jednakowo go zdumiewały – pomiędzy nimi jego zbolący duch zwinął i złożył skrzydła. Błądził jednak i odpoczywał, eksplorując i na swój sposób czerpiąc przyjemność z tego wybujałego ogromu, gdy nagle w jego głębiach wpadł na panią Folliott, z którą ostatni raz widział się w Londynie pół roku temu i która wówczas opowiadała mu właśnie o Philu Bloodgoodzie, od lat swym specjalnym amerykańskim agencie, a także, jak to określiła, faktotum, który wszakże miał u niej tak złe notowania z powodu niesłychanych rzeczy, jakie wyprawiał, że wybierała się do kraju – wspomniała o tym bez skrępułów – aby czym prędzej odebrać mu pełnomocnictwo.

Mark pamiętał niepokój, jaki wtedy poczuł, lęk, którym napełniła go sama rozmowa z tą ciętą i zdecydowaną małą osobką, mimo że z całym naciskiem i rozmachem powtarzał, iż ufa staremu znajomemu, i bronił go do znudzenia. Ta wymiana opinii została mu w pamięci wskutek swego rodzaju intymnego ferworu; jego rozmówczyni, istota o uroczym wyglądzie, była taka, jaka była; lubił wspominać, jak się zbliżyli na tle

różnicy zdań i wymyślali sobie niemal od idiotów, nie obrażając się jednak nawzajem. Utarczka – z braku prawdziwej bójkii – z taką osobowością to zawsze jakaś więź; i teraz miał cień przeczucia, że coś z tego się zachowało. On, w każdym razie, wtedy, w Londynie, nie wrócił pośpiesznie do kraju; ani wtedy, ani później nie zrobił nic, stał bowiem na stanowisku, że zanim zacznie snuć podejrzenia, chciałby mimo wszystko poznać więcej faktów. Pani Folliott również go pamiętała i ucieszyła się, czemu dała wielki i konkretny wyraz; a że mieszkała tutaj, na miejscu, zasiadła z nim pod rozłożystą palmą w cudownym rokokowym salonie, w otoczeniu najróżowszych, to znaczy najpulchniejszych, reprodukcji Bouchera i zażądała, by Mark jej powiedział, czy t e r a z też stanie w obronie oszusta. Sama, gdyby nie zbyt kowny strój, mogłaby całkiem dobrze opaść na obłok w pulchnym Boucherowskim stylu; niemniej była całkiem realistycznie świadoma tego, co się naprawdę zdarzyło, i natychmiast domyśliła się, że Bloodgood „uciekł”.

Po powrocie podjęła energiczne kroki – uratowała, ile się dało, co wszakże nie zapobiegło obrzydliwej stracie około dziesięciu tysięcy dolarów. Była śliczna, żywa, życzliwa, zaciekawiona, świetnie pamiętała Monteitha i ich rozmowę owego dnia podczas przyjęcia na wodzie nad Tamizą; ale siedząc z nim przez pół godziny, mówiła wyłącznie o swejszczególnej, jakże okrutnej tragedii – nigdy bowiem nie odzyskała ani grosza. Miał poczucie, że przez całe spotkanie tęsknie wyciąga do niej rękę – tak wyraźny pod koniec poranka, po wszystkich posępnych, przypadkowych stacjach własnej drogi krzyżowej, był jego przesynt kontaktami bez znaczenia, wrażenie, że ludzie wokół niego, ożywieni gorączkowo, choć nieszkodliwie, są jednak całkowicie obojętni. Ich – ją i jego – łączył przynajmniej wspólny problem, dzięki temu w pewien sposób mógł się czuć mniej opuszczony. Rzecz nie w tym, że pragnął wzbudzać litość, gdyż sam właściwie nie litował się nad sobą; raczej wzdrygał się, a nawet zwijał z bólu, cierpiąc w imieniu biednej, zhańbionej, skazanej na klęskę postaci Bloodgooda. Pragnął, wiedziony rozpaczliwym miłosierdziem, nadać lżejszy charakter nagiej szpetocie podstawowych faktów; pozbyć się swej obsesji, zmieszać owe fakty z inną winą, inną litością, wszystko jedno jaką – byle tylko inną; byle tylko w takim rozcieńczeniu zyskały w pewnym stopniu, dla człowieka o pewnej wrażliwości, rozrzedzony, mniej jadowity smak.

Jednakże po pięciu minutach z panią Folliott poczuł, że jego wyschnięte wargi zaciskają się w sztuczny uśmieszek. Nie była w stanie nic p r z y j ą ć – żadnej szerszej, bogatszej percepcji czegokolwiek, co nie mieściło się w jej ciasnym umyśle; tak więc, chociaż musiała sobie przypominać lub wyobrażać, że do niedawna on również miał wiele do stracenia, jej egoistyczna paplanina szybko odniosła ten skutek, że pożałował, iż nie wdał się w rozmowę z francuskim kelnerem, zawisłym w dalekiej perspektywie, której zwieńczeniem była orientalna kawiarnia, lub ze stojącym na zewnątrz policjantem, którego hełm wyzierał znad parapetu. Opłakiwała swe nieszczęsne pieniądze aż do przesady – ona, która, był tego pewien, miała ich jeszcze całe mnóstwo; małymi, nadzwyczaj wypielegnowanymi i upierścienionymi rączkami tarosiła i podrzucała swą ogryzioną kość, aż zaczęło mu to działać na nerwy; podkreślała wszystkie zwroty swej historii, tragiczne skutki tego, że wahała się i płała, że zrobiła

to, a nie tamto, że głupio zaniechała napaści od razu, gdy przyszło jej to do głowy, w sezonie. Obrzucała sprawcę ich krzywd obelgami – tym samym uznając, że Monteith ma prawo go nie znosić – jako złoczyńcę, którym się niewątpliwie okazał, lecz była tak prostacka w swej analizie, tak niezdolna, zdaniem słuchacza, do subtelniejszej krytyki, że z niechęcią uznał, iż nie zasługuje na ani odrobinę jej o wizji, jej o wersji tego, co, a zwłaszcza w jaki sposób, ich spotkało; nawet nie powstało jej w głowie (wielka strata, akurat!), że wydałby się wówczas bardziej interesujący. Miała, w głębszym sensie, bardzo złe maniery; przejmować się nią, z perspektywy czasu, znaczyłoby odczuwać, że powaga historii – ich rozmowa bowiem dotyczyła strat – skazuje go na straty najcięższe. Doprawdy, takie fantazje lub jakikolwiek cień autoironii byłyby chińszczyzną dla pani Folliott.

Jednak prawdą tylko nieznacznie dziwniejszą było również to, że kiedy niebawem wpadła na stosunkowo fortunny pomysł: „Niech pan zje z nami lunch, biedaku!”, i wymieniła trzy lub cztery osoby ze swej „paczki” – paczka dość dla niej nowa, ale świetni kompani na niedzielny lunch, ogromnie zabawni, zaraz pewnie się pojawią – rzecz wydała mu się niebywale łatwa; toteż już po chwili, zabrnawszy głębiej w dżunglę, patrząc, jak w istic południowej temperaturze paczka „zamawia” w komplecie, otarł pot z czoła i poczuł, że się odpręża. Co też się niewątpliwie stało, przynajmniej w takim stopniu, by kwestię manier pani Folliott zostawić daleko za sobą. Ani jej maniery, ani w ogóle niczyje nie miały tu znaczenia; jeśli przestała opłakiwać swe dziesięć tysięcy, to tylko dlatego, że nie było jej słyhać wśród podniesionych głosów. Biedny Bloodgood, można by rzec: nie miał się z czym pokazać, z niczym się nie przebił. Paczka była tak nowa, że w ogóle o nim nie słyszeli – albo dlatego, że nie był otoczony żadną wrzawą, albo odwrotnie, bo tymczasem, w sprawach innych defraudantów, było jej aż za wiele – i nie życzyli sobie żadnych szczerych wynurzeń pani Folliott, przynajmniej na ten temat, tak jak ona niedawno nie miała ochoty słyhać Monteitha.

Nie ma jak tłum – o czym nasz nieszczęśnik dobrze wiedział – żeby człowiek poczuł się samotny, toteż uczucie samotności narastało w nim podczas całego posiłku; w pewnej mierze uwolnił się zatem od przerażającej paniusi, a po niespełna godzinie tym bardziej zapragnął uwolnić się od całej reszty. Już miał wykonać ten manewr, gdy został powstrzymany przez wesołą młodą damę z lewej strony, która miała więcej do powiedzenia o hotelach w centrum i poza nim niż jakakolwiek znana mu młoda dama w ogóle na jakikolwiek temat; ta używała wyłącznie określeń hotelowych, a nazwy owych placówek przewijały się przez jej wypowiedź niczym rozhasany *leitmotiv*, pobłyskujący w błuźnierczym utworze muzycznym moderny. Chciała przedstawić go ładnej pannie, z którą przyszła i która podobno dała jej do zrozumienia, że musi to zrobić.

– Wydaje mi się, że zna pan mego szwagra, pana Newtona Wincha – oznajmiła natychmiast owa ładna panna; i jakby poruszana jedną sprężyną obróciła naraz głowę i ramiona, co mogło być skutkiem sztywności karku lub rozluźniającej się z tyłu fryzury, i przedziwna rzecz, dzięki temu wydała mu się jeszcze ładniejsza. On, jej szwagier, przeczytał w gazecie wzmiankę, że pan Monteith wrócił – pan Mark P. Monteith, prawda? – i gdzie mieszka, trzy dni temu, kiedy właśnie u niego była, po czym

wykrzyknął: „Halo, a cóż sprowadza tu Marka?”. Najwyraźniej sądził – on, Newton – że ten wałkoń, jak go nazwał, nigdy, p r z e n i g d y nie wróci; pewnie gdyby wiedział, że ona natknie się na jego starego znajomego („którym pan jest, jak on twierdzi” – rzekła ładna panna), to poprosiłby, aby zapytała, o co tu chodzi. Jednak prawdziwą przyjemność ów stary znajomy by mu sprawił, gdyby po prostu poszedł i osobiście to wyjaśnił; bo ostatnio chyba szwagier jest w strasznym dołku.

– O tak, pamiętam go – Mark nie wyparł się znajomości i z łatwością umiejscowił kolegę, tyle że ten jeszcze nie był wtedy żonaty, siostra ładnej dziewczyny musiała wkroczyć później; i to, że nie wiedział takich rzeczy, dowodziło, jak dalece stracili ze sobą kontakt. W odpowiedzi ładna panna z przykrością oznajmiła, że jej siostra nie żyje – zmarła dwa lata po ślubie i Newton tkwi na Pięćdziesiątej Ulicy całkiem sam; skąd (co wyjaśniało ów „dołek”) nie wychodzi od wielu dni z powodu ciężkiej grypy; choć teraz już zdrowieje, bo inaczej by do niego nie poszła, w żadnym razie – miała gripę już dziewiętnaście razy i nie chciała znowu się zarazić. Lecz ten paskudny jad najwyraźniej przeniknął do duszy biednego Newtona.

– Czasem to człowieka tak bierze, wie pan? – Po czym, obracając się po swojemu, jednym ruchem, spojrzała na naszego przyjaciela spod uroczo zmrużonych powiek: – Nie chce go pan odwiedzić?

Mark zawahał się: – No, mam się zobaczyć z pewną damą...

Wpadła mu w słowo: – Oczywiście, że ma się pan zobaczyć z damą... jak każdy mężczyzna w Nowym Jorku. Ale Newton, na swoje nieszczęście, nie jest damą, nie dzisiaj; w niedzielne popołudnie, w takim miejscu, w taką pogodę, sam!...

– Tak, czy to nie okropne? – Wydała mu się całkiem pociągająca.

– Och, p a n m a swoją damę!

– Tak, mam swoją damę, dzięki Bogu! – Jego ferwor był szczerym hołdem dla otrzymanego w piątek rano liściku od pani Ash – jedynej rzeczy, która trochę złagodziła jego przygnębienie.

– A więc, odrobinę współczucia! Niech pan znajdzie dla niego czas! Niech mu pan powie dlaczego!

– Dlaczego wróciłem? Cieszę się, że to zrobiłem... skoro spotkałem panią! – dzielnie odparował Monteith, obiecując, że zrobi, co będzie mógł. Podobała mu się ładna panna, jej prostolinijne obejście i niezręczna swoboda – a także to, że różniła się od pozostałych dzięki pewnej rozwadze i dystynkcji, których przydawała jej wyraźna troska o Newtona. A przecież wydało mu się dziwne i świadczące o upływie czasu, że Winch – jakiego znał z dawnych lat – mógł do tego stopnia być powodem czyjejkolwiek troski.

Intensywność chłodu na zewnątrz – był to przeskok z tropików na biegun – sprawiła, że z całą mocą odczuł to, co właśnie powiedział: że gdyby nie miły list powitalny, wysłany, co charakterystyczne, od razu, gdy pani Ash, podobnie jak wierny męczennik

z Pięćdziesiątej Ulicy, dostrzegła jego nazwisko zamieszczone w gazecie w spisie gości hotelowych, to doprawdy, pozbawiony koneksji i wsparcia, nie odważyłby się wyjść na pustkę i mróz jednocześnie, tylko wśliznąłby się z powrotem do dżungli i spróbował w niej zatracić. Teraz wszakże podjął przeciwny wysiłek, gotów iść piechotą, choć czasem niepewnie przystając tu i ówdzie na zasypanych skrzyżowaniach, skąd promieniście rozchodziły się ulice, albo na zimno rozważyć długą, choć, jak mu się wydało, nadal szkicową perspektywę Alei w kierunku północnym, lśniącą i jałową, czystą i ostrą, strojną i jakby natrętną – perspektywę niczym stronica kwiecistych współczesnych komunałów. Nie bardzo wiedział, czego się spodziewać po swoim powrocie – na pewno nie serenad i delegacji – lecz bez pani Ash jego korespondencja nie zawierałaby w ogóle nic życzliwego, jakby Phil Bloodgood uciekł, zabierając nie tylko spory kęs jego niewielkiego *pecunium*, lecz także okruchy jego strzaskanej przeszłości, zerwane wątki starych przyjaźni, które przypuszczalnie znów zdołałby podjąć. Cóż, być może powinien podjąć przynajmniej niektóre z nich – w pocie czoła, albowiem, jak to oceniał, nic nie mogło sprawić, by same z furkotem wpadły mu do rąk.

Które to refleksje jeszcze umocniły jego przeświadczenie, że powróci urok starego, uporczywego paryskiego zwyczaju – tak cenionego przezeń nawyku sprzed lat dziewięciu, kiedy wciąż się spodziewał, że jego czułe upodobanie do *beaux arts* przyniesie jakieś rezultaty; kiedy dokładnie w każdą niedzielę, bez wyjątku, chodził na drugi brzeg rzeki, na rue de Marignan, i przesiadywał przy kominku pani Ash, często – bez wątpienia niegrzecznie – kiedy już wszyscy sobie poszli. Jakże wtedy pragnął tych godzin; a teraz, niebawem, rue de Marignan mogła być tuż-tuż! Chodził do niej z nieistotnymi kłopotami, które zawsze wzbudzały jej wesołość – w taki właśnie pogodny, mądry sposób je przyjmowała. Na tamtym etapie nie umiała z nimi zrobić nic więcej aniżeli dać się rozbawić – biedactwa były zupełnie niewinne w porównaniu z tym, jakie być mogły. Możliwe, że jego obecne kłopoty również będą ją bawiły; możliwe, że dostarczą inspiracji do podejścia, które stosowała najlepiej i którego była instynktowną mistrzynią; on w każdym razie nie sądził, by akurat to chciał mieć jej za złe. Taka pani Folliott, na przykład, nie wynagrodziła mu faktu, że zanudzała go swoją skargą i nie okazała ani odrobiny świadomego rozbawienia jego własną.

– Jak przyjemnie znów pana widzieć, mam panu nieprzebrane mnóstwo do powiedzenia! – zabrzmiało z najwyższym ożywieniem od razu, gdy stanął w progu dwadzieścia minut później, z uczuciem, że widzi rue de Marignan w tym czarującym pokoju, wśród tych wszystkich przedmiotów, odtworzonych, pogrupowanych, cudownie zachowanych, łącznie ze wzajemnym układem miejsc do siedzenia, łącznie ze słabym słodkawym zaduchem pokoleń papierosów. Ale wszystko poza tym było odmienione, nawet trochę obce, i to wedle jeszcze innej miary niż długość ich rozłęki oraz wzruszające, nieznaczące zmiany, jakie zaszły na twarzy tej cudownej kobiety. Wziął poprawkę na owych dziewięć lat, należało mieć nadzieję, że ona również; poza tym jednak ostatnią rzeczą, która mogłaby się zmienić – pojął to natychmiast – była siła, intensywność jej wzruszenia, że go widzi. Bo się wzruszyła, och, jakże widocznie, czule i niemal promiennie – tyle że była, o tak, trochę sfatygowana, wyraźnie bardziej, niżby wynikało z upływu lat; bo cóż by innego zdołało przysiąść z tak skrajną niecierpliwością

na stercie rzeczy „do powiedzenia”, jak ów szczególny gatunek znów żywego poczucia, że może się wywnętrzyć właśnie przed nim. W zasadzie nie miało prawie znaczenia, jak szybko wyjmie i nieledwie z brzękiem rzuci na intarsjowany stolik między nimi (skarby prawdziwy, odwieczny przedmiot zazdrości) najcięższą sztukę złota – swoją bieżącą historię – jako zapłatę za to, że tak szczęśliwie do niej wrócił; bez słów bowiem rozpoznał intymne, osobiste napięcie, które w tych ścianach musiało niedawno osiągnąć apogeum i któremu najlepiej mógł się przysłużyć – och, jak zamierzał służyć! – w roli najżyczliwszej w świecie pary uszu.

Zresztą cała rzecz spadła mu na głowę właściwie bez zwłoki: oznajmiła Bobowi, co myśli, definitywnie, na początku tygodnia, teraz to już absolutnie ostatecznie powinni jawnie zacząć prowadzić oddzielne życie – bez żadnych paskudnych „formalności”, ale jej położenie, niezależność muszą być zapewnione raz na zawsze. Zabierała się do tego długo, bez pośpiechu, tyle przeszła – cóż, taki stary przyjaciel bez trudu odgadnie ile; lecz znalazła się w punkcie, och, jakże szczęśliwie, w którym zamierzała zostać, a jakże; i co więcej, jak na okrasę, on sam zjawił się w tak cudowny sposób, a ona po prostu samolubnie się cieszy. Bob pojechał do Waszyngtonu – podobno w interesach, lecz naprawdę aby złapać oddech; mówiąc prostacko, zwała go z nóg, więc daje mu czas zebrać się do kupy. Ponadto, była tego pewna, pani Folliott również tam pojechała – nie ulega wątpliwości, że widziano ją tam przed pięcioma dniami; bo oczywiście o n musiał przede wszystkim zmontować coś z panią Folliott na użytek publiczny. Mark wie o pani Folliott? Która, skoro już o tym mowa, była tylko jedną z regularnego „stadka”? Ale to nie ma większego znaczenia, jeśli nie wie, opowie mu o niej później.

Wykorzystał pierwszy ułamek przerwy, by uznać, że nie całkiem wie, co miałby wiedzieć o pani Folliott – chociaż trochę potrafił sobie wyobrazić – i chyba właśnie w chwili, gdy ostatecznie zajął pozycję na osobistej wyściełanej *bergère* z rozkosznymi widmowymi „motywami” na oparciu i siedzeniu, częściowo odetchnął, a przecież częściowo zdołał również stłumić głębokie, zrezygnowane westchnienie ogólnego zrozumienia. Wiedział, co go czeka, słyszał, jak ona mówi – jak wciąż i wciąż powtarza, jak bez końca podkreśla, uśmiechając się do niego ze swym osobliwym, zwiewnym urokiem, z nieprzyćmioną, wrażliwą radością: – Po prostu samolubnie się cieszę, samolubnie! – Cóż, miała po temu powody; był jej najdroższym, najzaufańszym sprzymierzeńcem na świecie i zamierzała przedstawić mu całą sprawę, wszystkie swoje kłopoty i plany, każdy akt tragikomedii swej bieżącej egzystencji. J e g o sprawa nie miała szans, chociaż głównie z jej powodu tu przyszedł; jednak poczuł tylko łagodny, niemy skurcz wewnętrzny, przejściowy wysiłek zamiany, ot tak, od ręki, jednego przedmiotu zainteresowania na inny.

Prostując się na starej *bergère*, zaciskając usta w tym samym biernym grymasie, który kilka godzin temu służył jako zachęta dla pani Folliott, teraz zaś oczyszczał scenę przed znacznie dłuższym przedstawieniem, Mark zatrzasnął drzwi – zdał sobie z tego sprawę już w trakcie tej czynności – przed wszelkimi osobistymi roszczeniami do jakichkolwiek względów towarzyskich, a ponadto złożył mały, doskonały hołd w uznaniu dla istoty blasku przyjaciółki. Albowiem tylko takiego uznania można było odeń oczekiwać – że chociaż, potajemnie, nie zamierzał się interesować tym, czy ona jest interesująca, to

jednak wiedział, że właśnie taka będzie ze względu na prześliczną postać materialną (doprawdy, Bob Ash był konkursowym osłem!), i zamierzał pozostać tego świadom – i owszem, do samego końca. I kiedy po upływie godziny zbierał się do wyjścia, pyszny fakt, że taka była, zaistniał już między nimi, dając wrażenie, że ich szczerzy, nieustraszone, nieszkodliwy epizod intymności przy kominku przewyższa nawet najlepsze wspomnienia z lubej przeszłości. Nie, nie „rozbawił” jej, nie w takim sensie jak w czasach rue de Marignan – wtedy to on, wyrazisty, wybuchowy, wymowny, najczęściej się przechadzał po pięknym woskowanym parkiecie, a ona, z głębi drugiej, identycznej *bergère*, witała śmiechem jego młodzieńczą przekorę. Dzisiaj głos i scena należały do niej, jemu pozostał jedynie trud nieustającego „brawo!”. A to wszystko wskutek zmiany punktu odniesienia – rozbawienie, które jest inną nazwą dla pełnego przejścia zapału, nieuchronnie stało się jego udziałem; jakże mogło być inaczej, skoro jego ciekawość dostała taki „smakołyk”? Zbliżała się pora herbaty, zaczęli się schodzić goście, toteż odszedł, tłumacząc się, że musi to przemyśleć. Miał nadzieję, że uśmiech, z jakim ją zapewnił, iż jest przejęty do głębi – jakby mogła wiedzieć, o co mu chodzi! – nie wydał się jej zbyt dziwny. Ale odparła, całkiem promiennie, że bezgranicznie ją urzekł; i dowiodła swej szczerości, kiedy chwilowo się z nim żegnając, wyznała otwarcie: – Samolubnie się panem cieszę, to straszne, przyznaję; więc jeśli to pana nie zadowala... – I przy tych słowach jej znużona uroda ponownie oblała się rumieńcem.

IV

Kiedy znalazł się na ulicy i znów ruszył przed siebie, zrozumiał, że to będzie m u s i a ł o go zadowolić dość gruntownie i że zapewne jeszcze długo nie będzie zadowolony w inny sposób. A nawet wówczas, przy jego nowym punkcie odniesienia, czego właściwie mógł, biedak, się między nimi spodziewać? Ona, w każdym razie, nie zamierzała w żadnym wymiernym czasie zajmować się czymkolwiek oprócz uroczo dziwacznych warunków, na jakich – wskutek niezrównanej głupoty owego dżentelmena – musiała się ułożyć z własnym mężem. Tak właśnie bywało, kiedy ktoś posiadał jej szczególny wdzięk – najżywszą wesołość w połączeniu z najwyższą wrażliwością; jakimże popisem owej kombinacji, rozmyślał, idąc, Mark (gdyby umiał, darzyłby ją jeszcze większym uznaniem), właśnie go uraczyła! Zachował w pamięci jedynie ostatni, śliczny rumieniec jej znużenia; a przecież, gdy niebawem przystanął na skrzyżowaniu w dzielnicy, przed całkowitym opuszczeniem ocalonej przez zatłoczony trolejbus, który akurat przejechał, wyjąc pod ciężarem ludzkiego ładunku, wydało mu się, że odczuwa ssanie podobne do tego, jakie przeżywa człowiek głodny na widok wystawnych przygotowań do cudzego obiadu. Florence Ash pożywiała się, by tak rzec, na uczcie poklasku, poklasku dla tego, co miała mu „do opowiedzenia”, przy której ją zostawił; no i dobrze, smacznego – smacznego, smacznego, smacznego, powtórzył smutno i tęsknie, chociaż zarazem odrobinę mechanicznie, jeszcze przez chwilę trzymany w miejscu przez bolesny wrzask kolejnego publicznego pojazdu oraz dziwny, automatyczny nawrót myśli do

najpiękniejszego kwiatu paczki pani Folliott, ładnej panny, z którą rozmawiał o Newtonie Winchu. Wprost nadzwyczajne, jak w jednej chwili przypomniała mu, z drugiej strony miasta, że ona zaproponowała mu obiad; doprawdy, było to dość osobliwe, jakby nagle szepnęła mu do ucha, dokąd może pójść i go dostać. Z tym, że jej najwyraźniej by tam nie znalazł – a co miał w sobie pożywnego wizerunek Newtona Wincha? Jednak natychmiast stwierdził, że pożywność – rzecz w pewien sposób do pomyślenia za sprawą ładnej panny – wynika z faktu, iż jest to po prostu jedyny znany mu obraz czegokolwiek, jaki miało mu do zaoferowania to okropne miasto. I to właśnie, pomyślał chwilę później, było najdziwniejsze: chory i obolały w posępną nowojorską szarą godzinę, nie miałby gdzie się obrócić, gdyby nie wzmiankowana przez nią Pięćdziesiąta Ulica.

W tę zatem stronę się udał, a kiedy znalazł podany mu numer dzięki tej samej interwencji losu, która poruszyła jego pamięć, uznał, że Opatrzność bezpośrednio maczała w tym palce i że bezwzględnie tylko cudem dało się objaśnić tak błyskawiczne powiązanie przezeń zupełnie przeciwieństw skojarzeń. Cud wkrótce stał się jaśniejszy: Opatrzność, z jakiegoś bardzo mętnego powodu, wybrała tę prześmieszoną godzinę, by uratować go przed grzechem samolubstwa, obsesją egoizmu, i naginała go do swojej woli, nieustannie kierując jego uwagę ku cudzym żądaniom. Kto wie, co w tamtym kluczowym momencie stałoby się z panią Folliott (również tak przykro uwikłaną!), gdyby nie mogła dać przy nim upustu swemu żalowi i wściekłości? – i podobnie, któż mógł zaprzeczyć, że zapewne Florence Ash świetnie zrobiło, iż zaprowadziła porządek w swych myślach o Bobie przy pomocy człowieka, dla którego wizja Boba w świetle owych myśli (czyli jej wizja Boba i nic poza tym) oznaczała tak rozkosznie dużo? Na tej samej ogólnej zasadzie biedny Newton Winch, owdowiały, samotny, chory, być może umierający, do tego obarczony niezbyt miłym charakterem (przynajmniej takim go Mark zapamiętał), z którym musiał się zmagać przy prawie każdym apelu o zaspokojenie swoich ludzkich dążeń – na tej samej zasadzie, w dużym stopniu, nieszczęśnik na Pięćdziesiątej Ulicy został Markowi podsunęty jako źródło zbawiennej dyscypliny. Pora na tę naukę mogła się wydać dziwna, zważywszy na to, że przez trzy ostatnie dni w hotelowym pokoju jego duch miał dość okazji do całkiem samodzielnych ćwiczeń; najwyraźniej jednak jego gnuśna dobroczynność zasłużyła na napomnienie bardziej dobitne niż zwykły przypadek, więc kiedy w końcu, odnalazłszy dom Wincha, został wyniesiony na stosowny poziom i nacisnął elektryczny dzwonek u drzwi, czuł się tak, jakby rzeczywiście działał pod wpływem ostrego szturchańca pod żebra.

W mieszkaniu, do którego go wpuszczono, przenikliwość, którą mu przypisujemy, potwierdziła się w ciągu trzech minut; tyle czasu bowiem, gdy stanął wreszcie przed starym znajomym, zajęło mu przyznanie w duchu, że nigdy dotąd nie widział, by ktoś się tak poprawił. Wygląd pomieszczenia, czegoś w rodzaju wysokiej pracowni ze

światlikiem, oraz ogólna atmosfera nadmiaru i rozmachu, mogły go nieco zniechęcić wskutek kilku rażąco fałszywych akcentów, przykładów miejscowej „sztuki” współczesnej, jakby trochę puszczanej samopas. Przykład, na mniejszą skalę, narzucał tu być może dekoracyjny zamęt hotelu „Pocahontas”, gdzieśgdzie przezierający spod farb i stiuków w stylu „du Barry” – przykład zastosowany jawnie i rozrzutnie, świadczący o tym, że Winch obecnie był bogaty, tak jak bogata wydawała się większość nowojorczyków; jak, mimo grabieżczych praktyk Boba, bogata była pani Ash; i pani Folliott mimo Phila Bloodgooda; i nawet sam Phil Bloodgood z przyczyn aż nadto oczywistych; krótko mówiąc, jakby wszyscy posiadli sekret, jak być, czuć się bogatymi, lub na takich wyglądać – przynajmniej wszyscy oprócz Marka Monteitha.

Fakty te jednakże były niczym wobec nagłego silnego poczucia, że blady, nerwowy, uśmiechnięty, gładko wygolony gospodarz przeszedł, odkąd ostatnio się widzieli, proces jakiegoś niesłychanego wysubtelnienia. Niewątpliwie niedawno przechodził chorobę – a skutki pogrążenia się w prostym, cnotliwym życiu tam, gdzie istnieją jakieś resztki wrażliwości, bywają często zdumiewające, a czasem niemal czarujące. Niezależnie jednak od tego i przez czas znacznie dłuższy musiała nań oddziaływać jakaś inteligentna zasada, jakaś sztuka życia. Zapamiętany z college’u i dwóch lub trzech nieszczęsnych, niewiernych lat Wydziału Prawa jako pospolity z natury, konsekwentnie, a zatem niewątpliwie mocno grubiański, zdolny tylko do rzeczy ordynarnych i podejrzanych, teraz prezentował się tak, jakby został raptownie i tajemniczo wyedukowany. Był pewien wdzięk w jego szerokim, „mizernym” uśmiechu ozdowieńca, w sposobie, w jaki jego delikatne palce – czy ongiś miał coś takiego, jak delikatne palce? – ujmowały lub tylko muskały natychmiast zaoferowany, być może odrobinę chaotyczny wybór cygar, kordiałów, popielniczek, a także kwestię kapelusza, płaszcza i laski gościa, jego ogólnej wygody i poczęstunku; i jak, u licha, dziwił się zatem Mark, zdołał ten przemożny wdzięk „wyrównać” pozostałe, dawne elementy? Aby ten krótki okres tak się z nim obszedł, jakie siły musiały tu działać, jaki brzemienny w skutki, wydajny proces, których tak wiele było w Nowym Jorku, zastosowano tu tak umiejętnie? Czy takie rzeczy robił z człowiekiem Nowy Jork, kiedy dano mu pełną swobodę działania, rzeczy, które on, Mark, być może ze zbytnią pewnością siebie przeoczył? Dziwne, początkowo niemal zniechęcające – wręcz niesamowite – było to poczucie, że Newton przez cały ten czas niczego nie przepuścił ani nie popsuł, lecz jakby z myślą o nadchodzącym *coup de théâtre* skłaniał patrzącego, niejako na wyrost, aby obniżył swe wstępne oczekiwania do tamtego żalostnego poziomu. Można było to wręcz uznać za akt złej wiary – gdyż doprawdy, posunięcie tak rzadkiej subtelności trudno zrealizować, działając naturalnie i wprost.

Takie przynajmniej myśli przelatowały przez wzburzony umysł Monteitha; osobliwe natężenie obawy, podziwu, zdumienia, w pewien sposób rozbudzone i wyostrzone przez górne, zimne światło marcowego popołudnia i wręcz imponujący w swej pospolitości efekt pięćdziesięciu nazbyt dekoracyjnych cacek. Wszystko to jednak prysło już w następnej chwili, gdy człowiek, którego, zwiedziony własną inteligencją, zaczął traktować protekcyjnie, wprowadził go w całkowite osłupienie niesłychaną wypowiedzią: – Zaraz, zaraz, słuchaj, chyba byłeś chory albo przeżyłeś wielki wstrząs,

albo coś cię strasznie zdenerwowało; naprawdę, jesteś pewny, że powinieneś wychodzić na dwór? – Tak, po chwili jednak dał wiarę własnym uszom: Newton Winch, grubiański prostak, do którego zaszedł, bo w końcu, jako dżentelmen, mógł sobie na to pozwolić; Newton Winch, grubiański prostak, który miał kłopoty, padł ofiarą jadowitej epidemii, był w opłakanym stanie zdrowia, którego twarz, a nawet napięcie – właśnie ów „wdzięk” obejścia – nosiły ślady niedawnej udręki oraz, jeśli już o to chodzi, ledwie zakończono, dzielnego ozdrowienia – ten niebawmy dawny kolega jednym pociągnięciem zapisał się (w każdym razie w rozgorączkowanej wyobraźni naszego przyjaciela) jako najbardziej dystyngowany z ludzi. O tak, ten zapowiadał się interesująco, tak jak przedtem zapowiadała się Florence Ash; lecz Mark poczuł, jakże żywotnym prawem kontrastu, iż był to skutek jego własnej, gruntownej mobilizacji wewnętrznej. Po niespełna minucie zrozumiał, że łzy stają mu w oczach; spojrzał przez mgłę na znajomego i ostro zapytał: – Dlaczego, skąd wiesz? Skąd możesz wiedzieć? – I zanim Winch zdążył się odezwać, dodał: – Kilka godzin temu poznałem twoją uroczą szwagierkę – na lunchu w „Pocahontas” – i dowiedziałem się od niej, że paskudnie się rozłożyłeś i że mówiłeś o mnie. Więc przyszedłem się tobą zająć.

Obiekt jego zamysłu, bardzo niespokojny, znów zaczął się kręcić: przestępował z nogi na nogę, chodził z miejsca na miejsce, nerwowo gestykulował, zapalał zapałkę, by przypalić świeżego papierosa, po raz kolejny, niepotrzebnie, podawał ogień gościowi, po czym nie przypalał sam sobie – lecz przez cały czas miał uśmiech innej istoty niż ta, którą Mark kiedyś znał; przez cały czas bił odeń szlachetny blask wszystkiego, co przeszedł. W pewnej chwili Mark zdał sobie sprawę, że współistnieją w nim dwa zupełnie różne procesy rejestracji – po pierwsze, że niemal natychmiast poddał się następstwu aktu percepcji ze strony gospodarza, do której dwie kobiety, rzekomo wyćwiczone w sztuce przyjemności, okazały się całkowicie niezdolne; oraz że dane jest mu ujrzeć pewien stan Newtona, który wręcz ośmieszał jego, Monteitha, ubogą zdolność przewidywania. Zwłaszcza to ostatnie stało się rażąco wyraźne, gdy komentując opowieść, w jaki sposób się tu znalazł, gospodarz niezwykle żywo, niemal promiennie wykrzyknął: – Och, ależ to bardzo interesujące! – Po wszystkim, co przeszedł, to właśnie był ten zaskakujący ton; ani pani Folliott, ani pani Ash nawet się nie zająknęły, nie pisnęły, że mogłyby zasłużyć na podobną pochwałę. Nic dziwnego zatem, że teraz oniemiał z wrażenia – oto ktoś zupełnie nowy był gotów podejrzewać, przypisywać mu taką cechę, chociaż jeszcze przez dobrych kilka minut obaj jakby dążyli do ustalenia, który z nich może posądzić drugiego o cud większej przenikliwości. Słowem, Mark był tak urzeczony niezwykle trafnym domysłem, który Winch wyciągnął dlań z zanadrza, że wspierany przez inne ulotne impresje nie miał wyjścia, jak samemu przejść do rzeczy: – Mój drogi, najwyraźniej stało się z tobą coś cudownego! – Całkiem nieodparty, ciepły szeroki uśmiech, całkiem niewątpliwe zrozumienie w ciemnym, szeroko rozwartym oku, które towarzyszyły nie całkiem natychmiastowej reakcji na tę uwagę, Mark miał zapamiętać na długo.

– Skąd wiesz... albo dlaczego tak sądzisz?

– Bo musiało tak być, żebyś zobaczył! Nigdy bym się tego nie spodziewał.

– To masz mnie za cholernego głupca! – zaśmiał się cudowny Newton Winch.

Bez wyjątku wszystko, co mówił, wzbogacało pogląd Marka na jego osobę pod względem sensu albo formy do tego stopnia, że po krótkim czasie nasz przyjaciel przyłapał się na tym, iż gapi się na rozmówcę z coraz większą ciekawością. Z chwili na chwilę ta ciekawość rosła; na przykład pytanie, czy znane mu z młodości, całkiem zwyczajne oczka Newtona Wincha, kiedykolwiek przedtem, z dowolnej przyczyny, mogły wydawać się ciemne i szeroko rozwarte; a przede wszystkim pytanie, w jaki sposób nadzwyczaj wrażliwe wypustki wargowe tego nieobliczalnego oblicza – nader korzystnie obnażone (rzucił się na jedno z wyjaśnień) dzięki usunięciu najpospolitszych chyba wąsów świata – uzyskały tak zdumiewającą siłę wyrazu. Przy tym jaskrawo uderzyła go niezwykłość tego efektu, rozpalając jego ciekawość tym bardziej, że przypomniał sobie, jak niegdyś odnotował, iż taki eksperyment w wypadku Phila Bloodgooda dał całkiem odwrotny skutek. Zapytany wcześniej, powiedziałby, że biedny Winch nie może sobie pozwolić na ryzyko odsłonięcia „prawdziwych” ust; podobnie uznałby, że pomimo pięknej ozdoby otulającej usta Phila, ten mógłby tylko zyskać, gdyby je pokazał. Lecz ujrzenie Phila ogolonego – co się raz Markowi zdarzyło – oznaczało żarliwie się modlić, by ten rychło znów zarósł szczecina; pod jego wąsami nie kryło się nic, co by „wynagradzało” ich zniknięcie. Teraz, gdy o tym myślał, rysunek grymasu – inaczej nie umiał tego określić – na twarzy, którą miał przed sobą, owa ruchliwa, interesująca, ironiczna linia, podwójny łuk łączący mocne nozdrza z dolną częścią policzka, stał się kluczem do pierwszej myśli o zdobytej przez Newtona subtelności. Ogolił się – i został szczęśliwie przeistoczony. Phil Bloodgood ogolił się – i na dobrą sprawę przepadł; chociaż dlaczego, chyba zbyt pochopnie, wspomnienie to wróciło właśnie teraz?

Ta kwestia, za sprawą dziwnego splotu skojarzeń, pochłonięła Marka nawet w obliczu dowodów, że stan jego ducha, w miarę upływu sekund, jest skrupulatnie odnotowywany. Przyczyną jego stanu ducha był Phil Bloodgood – a zatem pewien związek istniał; aczkolwiek, co niezwykle, od chwili gdy jego gospodarz zaczął go sondować, wiedział, że w istocie rzeczy chęć, wręcz konieczność mówienia, pragnienie, które rano przerwało zakłęty krąg samotności, impuls, który pchnął go bezowocnie w ramiona pani Folliott i Florence Ash – że te siły, zda się, traciły na zniecierpliwieniu, a zyskiwały na rozwadze. Gospodarz znów przemówił i w tym momencie jego, Marka, przymus porozumienia w przedziwny sposób gdzieś przepadł. Było tak, jakby czyjaś czuła dłoń dotknęła jego osobistych spraw – i na tym skończyła się skromna zachłanność. – Teraz wiem, czemu wróciłeś, Lottie wspomniała, że się dziwiłem? Ale siadaj, siadaj, tylko pozwól, że ja będę stał, nerwowe ze mnie zwierzę! I uwierz mi, gdy powiem, że już przestałem się dziwić. Człowieku, mój drogi, ja w i e m ! To Phil Bloodgood, nie może być inaczej! Wyłazi z ciebie ten bydlak – tak musi być po tym, co ci zrobił, prawda? Wczoraj wpadł do mnie pewien gość, Tim Slater, nie sądzę, byś go znał, który jest „w kursie” wszystkiego, co się dzieje, już po dwóch minutach (w życiu nie widziałem takiego gościa!), i on potwierdził moje przypuszczenie (zwróć uwagę, że sam na to wpadłem), że jesteś jedną z ofiar. Więc jak, u licha, miałbyś n i e czuć się

skopany? Dlaczego miałbyś wyglądać, jakbyś się świetnie bawił? Żeby zrobić takie świństwo tobie, właśnie tobie, spośród wszystkich przyjaciół! – Tak mówił Newton Winch; tak również chwilowy obserwator (w rzeczy samej, mogę jedynie prosić czytelnika, by nim został) mógłby odebrać nastrój między nimi: jako nerwową, lecz troskliwą, a także nader baczną ciekawość z jednej strony, z drugiej zaś, po pewnym czasie, stan ostatecznego, zafascynowanego pochłonięcia szczerze okazywaną, a zwłaszcza s t o s o w n ą uwagą. – Przeszkadza ci, że o to pytam? Bo jeśli tak, to nie będę naciskał; lecz jako człowiek, którego zadania, przynajmniej niektóre, nie różnią się bardzo, o ile wiem, od niektórych j e g o obowiązków, chciałbym wiedzieć, jak można było dopuścić do tego!... Ale ja cię chyba dręcę?

Mark zasiadł w fotelu, poruszony, lecz powściągliwy, i zastygł z łokciami na poręczach, dość kurczowo splatając przed sobą dłonie, w zasadzie tak samo jak przed godziną na starej wyściełanej *bergère*; o ile jednak tam jego sztywność wynikała z morderczego wysiłku dawania i udawania, tutaj, w znacznej mierze, była wynikiem obawy, że okaże zbyt histeryczną wylewność. Również – jego rana wciąż jeszcze była świeża – jakby się wzdrygnął, słysząc, że jej sprawca został napiętnowany. Epitety użyte przez panią Folliott nie obeszły go tak bardzo, bo dotyczyły przeniewiercy jej papierów wartościowych. Jednak jako przeniewiercę jego własnych walorów nie tyle chciał Phila piętnować, ile zrozumieć – byłoby wręcz „zabawniej”, gdyby się udało! – być może przy czyjejs inteligentnej pomocy, jak taki człowiek, w takiej sytuacji, mógł wkroczyć na taką ścieżkę; i w tym właśnie interesującym aspekcie ciekawość i sympatia Wincha mogły okazać się pomocne. W każdym razie natychmiast zastrzegł, że nie afiszuje się z urazą: – Czuję się dotknięty, przyznaję, to okropne, co mnie spotkało; ale kiedy mówisz o nim „bydło” i „świnia”, to trochę mnie skręca, bo chyba nie ma bydła i świń w tym piekle, w którym on teraz przebywa.

Newton Winch, wyprostowany przed kominkiem, z dłońmi wbitymi głęboko w kieszenie, wystukujący, jak dostrzegł jego gość, długimi palcami rytm na udach, Newton Winch rozkołysany, rozhuśtany odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno: – No, muszę powiedzieć, że przyjmujesz to zdumiewająco! Tym bardziej, że kiedy cię takim widzę, czuję, że gdybym chciał wskazać człowieka, którego delikatność, ufność i ogólna postawa przez cały ten czas zasługiwały na specjalne względy, ty byłbyś tym człowiekiem. – I znów zwrócili się ku sobie twarzą w twarz; Newton uśmiechał się, uśmiechał z zachwytem, aż nasz przyjaciel niemal zadał sobie pytanie, czy ktokolwiek inny wyglądałby tak dobrze, uśmiechając się od ucha do ucha. Jednakże na głos powiedział tylko, że Newton, przedstawiając go w tak pochlebnych słowach, opisuje zarazem osobnika kusząco bezmyślnego; następnie zaś, gdy gwoli przyzwoitości i sprawiedliwości padło między nimi kilka protestów oraz apeli na rzecz jeszcze subtelniejszej tezy, że nawet najbardziej nikczemne postęпки, gdyby im się przyjrzeć, mają swoją zjednującą stronę, nasz bohater znów bezwiednie znalazł się na nogach z uczuciem, że zawodzą go wszelkie doznania z wyjątkiem przerażenia – przerażenia wywołanego pewnym zwrotem rozmowy, a w rzeczy samej, wręcz faktem jej swobodnego biegu. Było tak, jakby daleki odgłos nagonki, wizja dawnego znajomego zaszczutego i osaczonego nagle wdarła się do jego myśli – tym bardziej że ten drugi

kolega, drugi, nieodparcie inteligentny towarzysz, odmalował obraz, w którym najgorsza szpetota stała się realna. – Och – rzekł Mark – po prostu chciałbym zrobić przy kimś cierpką minę; i sam fakt, że mi na to pozwalasz i się przejmujesz, i chcesz się czegoś dowiedzieć, dobrze mi robi, a nie jakieś ohydne pytania. Nie tyle interesuje mnie moja sprawa... ile, widzisz, człowiek się zastanawia, co mógłby zrobić dla niego. To znaczy, chodzi o to... – tu zaplątał się trochę, w końcu nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi, gdyż wielka chmara wspomnień, wielki, donośny pomruk jakby gęstniejących ech przypuściły nań szturm, w obliczu którego skurcz rzeczywiście wykrzywił mu twarz. Gdyby się nie starał, zacząłby wyć, a więc starał się mniej lub bardziej skutecznie; niemniej, kiedy chwilowo zażegnywał tę groźbę, gospodarz bacznie się przyglądał. – Nie przeszkadza mi... chociaż chyba w tym rzecz; że dziś rano, po trzech czarnych, marnych, złych dniach, poczułem, że być może przyjaciele jednak o mnie myślą. Teraz jestem świadom tylko tego, daję ci moje słowo, że chciałbym go zobaczyć.

– Chciałbyś go zobaczyć?

– Och, ale to nie znaczy – uśmiechnął się smutno Mark – że chciałbym, aby on zobaczył mnie.

Stojący obok niego Newton Winch – a stali już obaj przed kominkiem, na wielkim dywanie, który był triumfem współczesnego orientalizmu – wyciągnął swą wybitnie piękną dłoń i położył mu ją na ramieniu, wymownie kręcąc głową. – Tego mu nie życz, Monteith – tego mu nie życz!

– Cóż – rzekł Mark, jeszcze bardziej unosząc brwi – ale wtedy by zobaczył, że trzymam się całkiem dobrze!

– Niech Bóg broni, żeby to zobaczył, mój stary! – wykrzyknął Newton jakby przeszyty bólem.

Mark, w każdym razie, odniósł się do tego pomysłu z przedziwnym uczuciem uniesienia, spotęgowanym jeszcze okazaną mu szczerością. – Poszedłbym do niego. Niech mnie licho, jeśli bym nie poszedł, gdziekolwiek!

– Poszedłbyś do niego? – Dłoń przyjaciela wciąż leżała na jego ramieniu.

Mark sprostał wyzwaniu, choć próbował oddalić podniosłość jako pretensjonalną. – Pobiegnę jak strzała. – Po czym dodał: – Pewnie to zrobię, kiedy nam się poprawi.

– Kiedy „nam” się poprawi?

– No – ton rozmówcy trochę go speszył – mówię tak, bo ty mi pomożesz.

– Och, ja nade wszystko chcę ci pomóc! – odparł Winch i wszystko wróciło do normy; zwłaszcza że nasz przyjaciel wciąż czuł, że jest wspierany krzepiąco i kojąco. Ale Winch mówił dalej: – Naprawdę poszedłbyś do niego, z dobroci?

– No, żeby zrozumieć.

– Żeby zrozumieć, jak mógł ci oszukać?

– No, żeby spróbować dowiedzieć się od niego, jak po tym wszystkim... – tu urwał; nie potrafił o tym mówić.

Ale jego towarzysz jakby wiedział. – Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłeś, oczywiście... po tych przysługach, które mu wyświadczyłeś.

– Ach, dawne czasy! Gdybym mógł ci opowiedzieć – jęknął daremnie nasz przyjaciel – gdybym mógł ci opowiedzieć!

– Powiedz mi, powiedz! – Newton Winch pogładził go po ramieniu.

– To znaczy, taki rodzaj związku; tyle wspólnych spraw!... – Jednak znów się powstrzymał; usłyszał, że drży mu głos.

– Powiedz, powiedz – powtórzył Winch, powtarzając także gest.

Jego ton sprawił, że ich oczy znów się spotkały i na widok zmienionej twarzy rozmówcy Mark wreszcie docenił – z jakiegoś powodu nie zrobił tego przedtem – rozmiar niedawnych spustoszeń. – Musiałeś być naprawdę ciężko chory.

– Dość ciężko. Ale już mi lepiej. I twoje towarzystwo dobrze mi robi. – Przy tych słowach na jego twarz wrócił ozdrowieńczy blask.

– Nie nudzę cię okropnie?

Winch pokręcił głową. – Wspierasz mnie i dzięki tobie nikt inny się do mnie nie zbliża.

Mark dostrzegł na własne oczy, że mu lepiej – chociaż nie dało się jeszcze uznać, że nic mu nie dolega. Jeśli w ogóle komuś nadal coś dolegało!... Ale nie można było się przy tym upierać, a tymczasem tamten wyraźnie pragnął towarzystwa. – No, tak to już jest. Ja sam też nie miałem do kogo pójść.

– Ratujesz mi życie. – Newton ponownie uśmiechnął się szeroko.

VII

– Cóż, sam jesteś sobie winien – odparł Mark – skoro pozwalasz mi się wykorzystywać.

Winch cofnął rękę, która utkwiała z powrotem w kieszeni, przy wtórze gwałtownego brzęku kluczy albo monet; i raptem w tej pozycji zrobił pauzę, stał się odczuwalnie nieobecny, albo wskutek niezwykłego spadku uwagi, zwrócenia się ku innej myśli, albo po prostu faktu, że nagle zamienił się w słuch. Istotnie, jego gość – być może na skutek sugestii – również odniósł wrażenie, że za drzwiami rozległ się jakiś dźwięk. – Chyba coś słyszysz; czy przypadkiem ktoś do ciebie nie idzie? – Mark wyrzekł te słowa dość lekko, toteż tym bardziej uderzyło go, że gospodarz jeszcze pobladł; a przy tym teraz już naprawdę nasłuchiwał. – Słyszysz coś?

– Wydawało mi się, że ty coś słyszysz. – Kiedy Mark zadzwonił do mieszkania, Winch osobiście otworzył mu drzwi, co dobitnie wskazywało, że w niedzielne popołudnia wszyscy mieli wychodne: jego służący, opiekunowie lub nawet kwalifikowane pielęgniarki. To również znamionowało pewien etap rekonwalescencji, i w tym sensie – po pierwszym przypiływie zdumienia – nawet utorowało Monteithowi drogę. W chwili obecnej Newton ledwie zwracał na niego uwagę; i jakby wiedziony dziwnie sprzecznym impulsem poderwał się z miejsca i niespokojnie okrążył duży pokój, aby jednak zaraz wrócić do wyrażonej przed chwilą przez przyjaciela obawy, że go znudzi. – Jeżeli cię namawiam, byś mnie wykorzystał, to znaczy mówił, cudownie mówił do mnie, to właśnie tego chcę. Mów do mnie, mów do mnie! – Wręcz ponaglił go gestem; powstrzymał wszakże swój potok słów, by zapytać: – Może lepiej byś usiadł?

Mark, który został przy ogniu, mógł się jedynie wymówić. – Dziękuję, tu mi dobrze.

Myślę o różnych sprawach i trochę się wiercę.

Winch przystanął ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Naprawdę jesteś pewien?

– Całkiem pewien; wszystko w porządku, jeśli pozwolisz.

– Jak chcesz! – Z tymi słowy Winch, przesadnie wymachując długimi nogami, znów okręcił się raptownie – jednak ruch ten, gdy stanął odwrócony plecami, uderzył gościa jako najkapryśniejsza z form jego dość nienaturalnego zachowania. Dziwne, ale od tyłu miał inny wygląd, co Mark dostrzegł dopiero teraz – bezwolny i nieco chwiejny, jakby na skutek niepewnego kroku; wrażenie to było tak dziwaczne – nasz przyjaciel, zaniepokojony, z miejsca poczuł taką potrzebę wyjaśnień, że na pewien czas powstrzymał się od mówienia, i Winch, który dotarł tymczasem do wielkiego okna w wykuszu na końcu pokoju, zdążył znów się do niego odwrócić. Stanął tyłem do światła, ponownie ukazując twarz; dzięki czemu jego zapadnięte, rozbiegane źrenice objęły jak największą przestrzeń i przeszukały ją szybko z taką swobodą, na jaką pozwalało ustawienie mebli. Wypatrywał czegoś; choć ów zdradziecki rzut oka trwał tylko sekundę, Mark pochwycił jego spojrzenie i przy swej rozwibrowanej wrażliwości od razu zrozumiał, że to coś oznacza i że to coś ma związek z dość wyraźnym apelem gospodarza – apelem sprzed chwili – aby nie trwał w pozycji stojącej. Winch zdążył się już bez trudu domyślić, że to tylko zawieszenie broni; co oznaczało, że nagle popatrzyli na siebie ponad rozległą podłogą, uzbrojeni w zupełnie nową świadomość.

Wszystko się zmieniło – zmieniło się nadzwyczajnie dzięki zwykłemu obróceniu się plecami, których wiarygodnego aspektu ich właściciel z pewnością nie mógł przewidzieć. Napięcie rosło, skoro już o tym mowa, ale to nie wrażliwość Marka wibrowała z byle powodu. Gospodarz najwyraźniej uprzytomnił sobie, że w ciągu ostatnich kilku minut stało się coś ważnego, jemu wszakże zaświtał pewien wniosek, który nakazał mu zachowywać się jak dotąd. Newton, z drugiej strony, mógł teraz zachowywać się tak, jak chciał. Przeczesał wzrokiem podłogę, jakby chciał ustalić położenie czegoś, co upuścił lub zgubił, czegoś krępującego bądź, przede wszystkim, kompromitującego; jakby pragnął, by kolega nie obserwował tej sceny z dywanu przed kominkiem, z tego dywanu, na którym przed chwilą go zagadywał, hipnotyzował, oślepił, właśnie dla tego, że stamtąd rzeczony obiekt był najlepiej widoczny. Mark – przeniknięty nagłą obawą – przyjął to z uczuciem, że słabnie, że nie ma siły, by ciągnąć to dalej; jednakże zarazem z przemożnym pragnieniem, by wydawało się, że nie odrywa oczu od przyjaciela, który, skoro już o to chodzi, znów zwrócił się do niego ze świeżym apelem: – I co, nie wykorzystasz mnie, stary, naprawdę mnie nie wykorzystasz?

Wszystko, jako się rzekło, uległo zmianie; nic nie świadczyło o tym bardziej niż fakt, że w tym właśnie momencie z tonu Wincha zniknęła ochocza szczerość, zastąpiona przez rozdrażnienie, ostre i niemal władcze. „To dlatego, że on widzi, że ja coś widzę!” – powiedział Mark do siebie; i nie musiał dodawać, że w żadnym razie nie przeszkodziło mu to dostrzec jeszcze więcej – z tego prostego powodu, że cudownym sposobem właśnie tak się stało, gdy niewzruszenie gapił się przed siebie. Niepodobna tego wytłumaczyć, ale sam ten akt, ostentacyjna próba, by spoglądać prosto, zamienił się w rzut oka długości milionowej części sekundy, dzięki któremu uzmysłowił sobie, że osobliwym

trafem krawędź dywanu tuż pod nieco przesuniętym fotelem nie całkiem przykrywa coś małego i dziwnego, schludnego i lśniącego, krzywego i zgrabnego, i to pomimo energicznych starań czubka buta, by ukradkiem przesunąć to coś we właściwą stronę. Nasz przyjaciel z miejsca, gdzie zawisł i skąd patrzył prosto na mistrza ceremonii, zobaczył wszakże pod owym fotelem jakby maleńki odbłysek światła na gładkim metalu. To, co rozpoznał, a przynajmniej to, czego się domyślił, na chwilę zmroziło mu krew w żyłach; czuł jeszcze ten chłód, gdy Winch ponownie zwrócił się do niego: – Błagam cię, na litość boską, mów do mnie, mów do mnie!

Brzmiała w tym prawdziwa rozpacz i męka, co jednak przynajmniej było bardziej ludzkie niż oślepiający blask inteligencji, którym biedak dotychczas go raczył. Toteż Mark odpowiedział szybko: – Mój drogi, ty masz jakieś poważne kłopoty, więc proszę, wybaczyć, że tak mnie pochłonęły moje własne, żałosne sprawy.

– Oczywiście, że mam poważne kłopoty – rzekł Winch, znów do niego podchodząc – ale tego właśnie chciałem: żeby cię rozkręcić.

Mimo rosnącej konsternacji, Mark Monteith, słysząc te słowa, nie mógł się nie roześmiać, tak dalece jego poczucie humoru w tym krótkim skurczu przeważyło nad poczuciem grozy. Oto jaką ulgę w cierpieniu najwyraźniej niosło cierpienie cudze; oto jaka była wartość bezinteresownej sympatii! – Więc miałeś w tym interes...

– Miałem interes w tym, żebyś ty był interesujący. Bo jesteś! A moje nerwy... – odparł Newton Winch, ukazując twarz, z której zniknął zagadkowy uśmiech, na której wszakże, co Mark doceniał tak wytrwale, nadal, pośród spustoszeń, gościła godność.

Mark wpadł w zadumę – dziwne rzeczy przychodziły mu do głowy. – Twoje nerwy potrzebowały towarzystwa. – Teraz już mógł położyć Winchowi dłoń na ramieniu, podobnie jak niedawno tamten jemu, gestem, który zawłaszczwał i zarazem więził. – A więc tym lepiej dla ciebie – ciągnął – a jeszcze lepiej dla mnie, że cię odnalazłem ze swoją skargą. Teraz ty mów do m n i e, d o m n i e, Newtonie Winchu! – dodał, natchniony wielkim współczuciem.

– To co innego; tyle to inni mogą dla mnie zrobić, aż w nadmiarze. Ale powiem jedno. Jeśli chcesz pójść do Phila Bloodgooda...

– Tak? – podpowiedział Mark, gdy tamten urwał. Urwał, a Mark już kładł mu dłoń na ramionach i trzymał je na wyciągnięcie ręki – trzymał w szlachetnym celu, nie całkiem bez związku z małą, schludną sztuką broni, którą Newton, siedząc w niskim, wygodnym fotelu z marokinu przepięknej pomarańczowej barwy, obracał w palcach, po czym odłożył na dywan; i na której, po wypuszczeniu gościa, przytomnie skupił myśli, ale uznawszy, że nie da rady jej podnieść, nie zwracając jego uwagi, postanowił kopniakiem lub innym niedbałym manewrem ukryć ją przed obcym wzrokiem.

Stali teraz bliżej siebie niż przedtem – Winch całkowicie bierny, już jakoś bez śladu tajemnicy w oczach, ujawniając wrażliwym dłoniom, które go trzymały, niezwykle, przejmujące drżenie całego ciała. Błaganie Marka przyjął krótkim milczeniem, które wszakże, przy jego wymownej twarzy, było niczym otwarta rana. – Cóż – rzekł w końcu – p o t o nie musisz się fatygować. Widzisz, ja też jestem taki.

– Taki jak Phil?...

Nie mrugnął okiem. – Nie wiem na pewno, ale chyba gorszy.

– To znaczy, że jesteś winien?...

– To znaczy, że będą mnie ścigać. Tyle że ja zostałem, by to znieść.

Mark odrzucił głowę do tyłu, lecz tylko zacisnął dłonie. Niesłychane, ale zrozumiał; w życiu nie zaznał niczego równie dziwnego i okropnego jak to – że oto dotarł, na długiej prostej, by tak rzec, do potwornego sensu „edukacji” swego przyjaciela. Była to, w swym przemożnym działaniu, edukacja interesu, którego owoce otaczały ich ze wszystkich stron. Interes był kolosalny, gdyż zaprawdę – takim zamajaczył przed Markiem – kolosalny musiał też być system. – „Znieść”? – powtórzył, zacinając się trochę: – Co znieść?

Ledwie skończył mówić, gdy w drzwiach zewnętrznych rozkrzyczał się długi ostry dzwonek, dźwięk tak przenikliwy i kategoriyczny, że Mark aż się wzdrygnął, na chwilę rozluźniając uścisk na ramionach gospodarza, choć te nie poruszyły się wcale, chyba że wskutek coraz silniej wyczuwanego dygotu całej jego osoby. – To! – odrzekł Newton Winch.

– Więc wiedziałeś?...

– Spodziewałem się. Pomogłeś mi czekać. – Po czym, gdy Mark jęknął ironicznie, dodał: – Pozwoliłeś mi przetrwać. W moim stanie pragnąłem kogoś albo czegoś. Czy byłbyś zatem uprzejmy wyświadczyć mi na koniec przysługę i otworzyć drzwi?

Mark spojrzał mu głęboko w oczy, wciąż jednak nie dostrzegał w tej głębi żadnego przebłysku dawnego człowieka. Dawny człowiek był tym, którego jakże zapamiętał – a przecież, gdyby to był on, o ileż sprawa byłaby prostsza! Następnie skierował wzrok prosto ku fotelowi, pod którym leżał rewolwer, zaledwie kilka stóp dalej. Wyczuwał, że towarzysz pojął jego myśli; dało to początek kolejnej długiej wymianie spojrzeń. – Co zamierzasz zrobić?

– Nic.

– Słowo honoru?

– M o j e g o „honoru”? – odparł gospodarz z intonacją, której (Mark uświadomił to sobie, już słysząc te słowa) miał nigdy nie zapomnieć.

Oblał się pąsowym rumieńcem, opuścił czujne dłonie. Po czym, spoglądając na niego jakby po raz ostatni, powiedział: – Jesteś cudowny!

– M y jesteśmy cudowni – rzekł Newton Winch, a przenikliwy dźwięk dzwonka elektrycznego, tym razem znacznie dłuższy, ponownie rozdarł ciepły dym z papierosów.

Mark odwrócił się i wyrzucił ręce w górę, lecz okropny hałas ustał dopiero, gdy przeszedł przez hol i położył dłoń na klamce. Po chwili miał przed sobą dwóch osobników: nijakie indywiduum w cylindrze, karakułowym kołnierzu i mankietach, oraz wielkiego posterunkowego w ciasnym pasie, wspaniałego masywnego nowojorskiego „glinę”, w typie, jeśli wierzyć jego rozległym obserwacjom – miał sposobność sporo nad tym rozmyślać już podczas przechadzki – całkowicie osobnym pośród światowych stróżów porządku. Obaj wkroczyli od razu, bez słowa; lecz kiedy Mark po ich wejściu zamykał drzwi, rozległ się trzask, niewątpliwie strzału z broni palnej, a tuż po nim, tak szybko, że był to właściwie jeden wielki huk, ciężki odgłos padającego ciała; wskutek czego Mark przeleciał, by tak rzec, przez próg pokoju w czasie krótszym, niż trwa zapisanie tego faktu. Lecz pośpiech nie na wiele się zdał: Newton leżał na wznak przed

kominkiem z bronią przyciśniętą do skroni, twarzą do góry, ohydnie zniekształcony. Wysłannicy prawa spojrzeli w dół, równocześnie wysapali szorstkie przekleństwo, po czym osobnik w kapeluszu pochylił się nad ciałem, a drugi, w kasku, zwrócił ku Markowi srogie spojrzenie. – Nie sądzi pan, sir, że mógł temu zapobiec?

Mark miał wrażenie, że dostrzega sto rzeczy naraz – szczegóły sytuacji, chwili obecnej i wszystkich chwil poprzednich – lecz jedna oczywistość rzucała się w oczy bardziej jaskrawo niż inne. – Prawdę mówiąc, sądzę, że to spowodowałem.

- ¹ Polskie wydanie: *Daisy Miller. Wychowanek. Łgarz. Bestia w dżungli*, przeł. Jadwiga Olędzka, „Czytelnik”, Warszawa 1961. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.
- ² *Ibid.*
- ³ *Madonna przyszłości i inne opowiadania*, przeł. Maria Skibniewska, PIW, Warszawa 1962.
- ⁴ Przeł. Witold Pospieszala, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1959.
- ⁵ Przeł. Maria Skibniewska, „Czytelnik”, Warszawa 1977.
- ⁶ Przeł. Maria Skibniewska, „Czytelnik”, Warszawa 1960.
- ⁷ Przeł. Anna Kłosiewicz, Ludwik Stawowy, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011.
- ⁸ Alfred de Musset, *Une bonne fortune*.
- ⁹ William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Stanisław Barańczak.
- ¹⁰ William Shakespeare, *Makbet*, IV.3, przeł. Krystyna Berwińska.
- ¹¹ Chodzi o bohaterkę powieści *Marmurowy faun* Nathaniela Hawthorne’a.
- ¹² Alfred Tennyson, *Tears, idle tears...* („Niespodziewane łzy co znaczyć mogą?...”), przeł. Zygmunt Kubiak.